

Wydawnictwo  
Allegro

SUSAN ELIZABETH  
PHILLIPS



NA PRZEKÓR  
WSZYSTKIM



**Phillips Susan Elizabeth**

**Na przekór wszystkim**

# Prolog

Przez trzy przerażające dni 1958 roku panna młoda była najstynniejszym dzieckiem Ameryki. Osiemnaście lat później Susannah Faulconer znowu poczuła się jak przerażona siedmiolatka. Kroczyła u boku ojca po białym chodniku, który wiódł środkiem ogrodu w posiadłości Faulconerów. Miała wrażenie, że rodowy klejnot – ciasno opinający szyję naszyjnik z pereł - tamuje jej oddech. Wiedziała, że to niemożliwe, naszyjnik wcale nie był za ciasny, nosiła go przecież nieraz. Pierwszy raz założyła go na bal debutantek, gdy miała osiemnaście lat. Ale dzisiaj nic nie powinno tamować jej oddechu. Miała ochotę zerwać naszyjnik z szyi i cisnąć w tłum elegancko ubranych gości.

Ale tak naprawdę, nigdy by tego nie zrobiła. Nie ona, nie poprawna Susannah Faulconer. Miała wprawdzie rude włosy, ale nikomu nie przyszłoby na myśl posądzać ją o ognisty temperament. Może dlatego, że jej włosy nie miały bynajmniej płomiennego odcienia z reklam farb do włosów, tylko kasztanowy – szlachetny, patrycjuszowski. Gdy się na nie patrzyło, przypominały się inne, spokojniejsze czasy: czasy polowań na lisy o świcie, porcelanowych filiżanek i kobiet pozujących Gainsboroughowi. Tego dnia związała włosy w gruby węzeł na karku. Była to fryzura nieco zbyt surowa, zbyt skromna dla panny młodej, pasowała jednak do niej. Zamiast zapierającej dech w piersiach kreacji miała na sobie prostą suknię ze starej koronki. Mandaryński kołnierzyk podkreślał szczupłą arystokratyczną szyję, opasaną pięcioma sznurami pereł – naszyjnikiem, który przyprawiał ją o taki stres. Wszystko to świadczyło o bogactwie, klasie i opanowaniu zupełnie nie na miejscu u dwudziestopięcioletniej kobiety.

Sto lat temu Susannah Faulconer uchodziłaby za skończoną piękność, jednak w latach siedemdziesiątych jej regularne rysy były zbyt delikatne, zbyt subtelne, by konkurować z wyrazistą urodą modelek z okładek magazynów. Miała długi prosty nos, wąskie, ale pięknie wykrojone usta. Tylko jej oczy były na wskroś współczesne: szeroko rozstawione, duże, świetliście szare. Nie umiały także kłamać, dlatego czasami rozmówcom Susannah zdawało się, że ich nie słucha, że ucieka w miejsce, do którego nikt poza nią nie ma dostępu.

Od godziny towarzyska śmietanka Kalifornii zjeżdżała się na ślub. Limuzyny pokonywały drogę ocienioną drzewami, zatrzymywały się na podjeździe w kształcie półksiężyca przed Falcon Hill, posiadłością Faulconerów. Mogło się wydawać, że Falcon Hill stanowi część wzgórz San Francisco od wieków - w rzeczywistości jednak rezydencja liczyła zaledwie dwadzieścia lat. Wybudował ją w zamożnej dzielnicy Atherton Joel Faulconer, ojciec Susannah, niedługo po tym, jak przejął Faulconer Business Technologies od własnego ojca.

Mimo różnicy wieku goście siedzący na ozdobnych krzeselkach z białego kutego żelaza, byli do siebie bardzo podobni. Bogaci i konserwatywni, przywykli wydawać polecenia, a nie ich słuchać. Wyjątek stanowiła piękna młoda kobieta w ostatnim rządzie. Wśród kreacji Halstona i Saint Laurenta tania brązowa sukienka Paige Faulconer, młodszej siostry panny młodej, rzucała się w oczy, nie wspominając o różowym boa z marabuta na ramionach.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Susannah Faulconer ostrożnie zerknęła w bok i napotkała cyniczny uśmiech siostry. Nie, nie pozwoli, by stare właśnie zepsuły dzień jej ślubu. I tak dobrze, że Paige przyszła na uroczystość. Po ostatnich wydarzeniach Susannah nie spodziewała się, że siostra się pojawi. Po raz kolejny pomyślała o tym, jak ciasny jest naszyjnik. Starła się nie zaprzętać sobie głowy problemami Paige, tylko skupić się na pięknie ogrodu. Marmurowe posągi z Vicenzy i

fontanny z jednego z zamków nad Loarą nadawały ogrodom klimat starego świata. Dziesiątki wazonów białych róż rozmieszczono wśród zielonych krzewów. W fontannach pływały gardenie, białe wstążki powiewały na ciepłym czerwcowym wietrze. Wszystko było dokładnie tak, jak zaplanowała.

Skoncentrowała się na Calu, który czekał na nią pod nieskazitelnie białym baldachimem, przy największej fontannie. Calvin Theroux przypominał dżentelmenów z reklam szkockiej whisky w drogich magazynach dla panów. W wieku czterdziestu dwóch lat był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w korporacji Faulconerów. Choć dzieliło ich siedemnaście lat, powszechnie uważano, że Susannah i Cal są dla siebie stworzeni. Mieli tyle wspólnego: oboje dorastali w dostatku - ona w San Francisco, on w Filadelfii, uczęszczali do najbardziej ekskluzywnych prywatnych szkół, obracali się w najlepszym towarzystwie. Oczywiście Cala nie porwano, gdy miał siedem lat, ale też nie spotkało to znakomitej większości ludzi.

Naszyjnik dusił ją coraz bardziej. Gdzieś z oddali dobiegał monotony warkot kosiarki. Pomyślała, że ojciec musi być niezadowolony, że ogrodnik z sąsiedniej posiadłości akurat teraz zabrał się za koszenie. Będzie miał do niej pretensje, że nie uprzedziła sąsiadów o uroczystości. Cal musnął ją ramieniem, gdy podawał jej rękę. - Pięknie wyglądasz - szepnął. Zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się, gdy się uśmiechnął.

Pastor odchrząknął i przemówił:

- Moi drodzy, zebraliśmy się tu, by...

Wiedziała, że postępuje słusznie, wychodząc za Cala. Zawsze postępuje słusznie. Cal ją kocha. Jest dojrzały i troskliwy, będzie doskonałym mężem. Jednak rosnąca w gardle gęstwa zagłuszała głos rozsądku.

- Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie?

- Ja. - Ojcowska duma łagodziła nieco surowe rysy Joela Faulconera, gdy podał rękę Susannah Calowi. Odsunął się. Usłyszała, jak zajmuje miejsce w drugim rzędzie.

Warkot kosiarki przybierał na sile. Druhna wzięła od niej bukiet i Susannah dyskretnie dotknęła naszyjnika. Wsunęła palec pod rodowy klejnot Bennettów i odsunęła go od szyi. Cal z uwagą słuchał kapłana, więc niczego nie zauważył.

- Ja, Calvin James Theroux, biorę sobie ciebie, Susannah Bennett Faulconer...

Hałas kosiarki tak się nasilił, że inni także zwrócili na nią uwagę. Nozdrza Cala poruszyły się nieznacznie, jakby dotarł do niego nieprzyjemny zapach. Susannah stała bez ruchu, spokojna i opanowana. Aż nagle zrozumiała, że to wcale nie kosiarka.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, krew odpłynęła jej z twarzy. Pastor zwracał się teraz do niej. Nie mogła się skupić. Hałas narastał, był coraz bliżej ogrodu. Cal odwrócił się w stronę, skąd dobiegał, pastor urwał w pół słowa. Susannah poczuła, że się poci. I wtedy to się stało. W atmosferę spokoju i dostatku panującą w ogrodach Faulconerów wdarł się głośny, wulgarny ryk potężnego harleya.

Motocykl minął posąg Andromedy, niszcząc wypielęgnowany trawnik. Krzyk kierowcy zagłuszył nawet ryk silnika:

- Suzie!

Ze stłumionym jękiem odwróciła się na pięcie. Czowała, że serce wali jej jak młotem. Ojciec zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Cal obronnym gestem złapał ją za rękę. Motocykl zatrzymał się na skraju chodnika, którym szła przed chwilą. Koła skalaty nieskazitelną biel tkaniny. Nie, pomyślała, to nieprawda. To tylko zły sen. Kolejny zły sen.

- Suzie!

Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i džinsy opięte na muskularnych udach. Jego oczy były ciemne, przenikliwe, a kości policzkowe wystające jak u Indianina, choć on akurat zawdzięczał to krwi śródziemnomorskiej. Był śniady, miał wąskie, niemal okrutne usta. Bryza znad zatoki San Francisco rozwiewała długie do ramion włosy – trzepotały jak pióra kruka.

- Co jest, Suzie? Zapomniałaś mnie zaprosić? - Jego głos zagłuszał ryk harleya. Czują, że ciemne, gorące oczy niemal ją parzą.

Wśród gości dały się słyszeć pomruki i szept – wyraz oburzenia, zaskoczenia i zachwytu pomieszanego z przerażeniem. Czyżby to był jeden z przyjaciół Susannah? Nie, to niemożliwe. Były chłopak Paige, owszem, ale nie Susannah! Susannah jednym uchem słyszała, jak druhna powtarza bezmyślnie: „O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże” jak mantrę. Zorientowała się, że kurczowo trzyma ramię Cala, jakby był ostatnią deską ratunku. Chciała coś powiedzieć, ale właściwe słowa nie przechodziły jej przez gardło. Pociągnęła za naszyjnik. Długie arystokratyczne palce drżały, gdy mocowała się ze sznurami pereł.

- Nie rób tego, Suzie - powiedział motocyklista.

- Co to ma znaczyć! - wrzasnął ojciec. Usiłował wyplątać się z girlandy oddzielającej krzesła od podestu, na którym stali państwo młodzi. Była tak zdenerwowana, że nawet nie pomyślała o upokorzeniu przed tłumem gości. Panuj nad sobą, powtarzała. Bez względu na to, co się stanie, panuj nad sobą. Mężczyzna na motorze wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, Suzie.

- Susannah - powiedział Cal - kim jest ten osobnik?

- Wezwijcie policję! - zawołał ktoś w tłumie. Motocyklista nie opuścił dłoni.

- Dalej, Suzie. Wskakuj.

Naszyjnik Bennettów uległ wreszcie drżącym palcom Susannah, perły potoczyły się na biały chodnik i dalej, na trawę. To dzień mojego ślubu, myślała rozpaczliwie. Dlaczego taki wulgarny, nieodpowiedni incydent zdarza się akurat dzisiaj? Babka nie posiadałaby się z oburzenia. Zatoczył pogardliwy łuk ramieniem.

- Chcesz wydawać przyjęcia do końca życia, czy razem ze mną postawić świat na głowie? Odsunęła się od Cala, zakryła uszy dłońmi - niewłaściwe, szokujące zachowanie u idealnej Susannah Faulconer. W końcu wykrztusiła:

- Idź stąd! Nie chcę tego słuchać! Nie będę tego słuchać! - Z tymi słowami odsuwała się od ołtarza, jakby chciała oddalić się od wszystkich.

- Chodź ze mną, skarbie - kusił. - Rzuć to wszystko i chodź ze mną. - Jego oczy hipnotyzowały, przyciągały. - Wskakuj na motor, skarbie. Wskakuj na motor i chodź ze mną.

- Nie - wykrztusiła. - Nie, nie zrobię tego.

To renegat, wyrzutek. Od wielu lat Susannah panowała nad swoim życiem. Robiła wszystko, jak należy, przestrzegała zasad, nie popełniła żadnej gafy. Jak to możliwe? Jakim cudem jej życie tak szybko wymykało się jej spod kontroli? Za nią stał silny, spokojny Cal Theroux, bratnia dusza, mężczyzna, który przegonił jej demony. Przed nią – sprytny włóczęga na harleyu. Pod wpływem impulsu poszukała wzroku siostry, ale na jej twarzy dostrzegła tylko szok. Paige jej nie pomoże. Nigdy jej nie pomagała.

Susannah dotknęła szyi, ale naszyjnika już nie było. Poczwała, jak powraca stary strach i koszmar tamtego wiosennego dnia 1958 roku, dnia, gdy stała się najsłynniejszym dzieckiem Ameryki.

Otoczyły ją wspomnienia. Nagle zobaczyła, że ojcu udało się w końcu wyplątać z girland, i zebrała wszystkie siły, by powrócić do terażniejszości. Ma tylko chwilę, ułamek sekundy, by coś zrobić, zanim ojciec przejmie kontrolę nad sytuacją.

Po jej prawej stronie Calvin Theroux obiecywał miłość, bezpieczeństwo i komfort. Mesjasz na motocyklu po lewej stronie nie obiecywał niczego. Ze stłumionym okrzykiem poprawna Susannah Faulconer dokonała wyboru.

## Część pierwsza

### Wizja

*Cokolwiek możesz zrobić lub wydaje ci się, że możesz zrobić, zrób to. Śmiałość to geniusz, siła i magia. Goethe*

## Rozdział pierwszy

Prawdziwym ojcem Susannah nie był Joel Faulconer, tylko Anglik nazwiskiem Charles Lydiard. Poznał matkę Susannah w Nowym Jorku w 1949 roku. Katherine - Kay Bennett była piękną córką niedawno zmarłego nowojorskiego finansisty. Zobaczyła Lydiarda na jachcie znajomego, gdy palił tureckie cygaro i sączył drinka. Kay – wieczna poszukiwaczka przystojnych wolnych mężczyzn – jeszcze tego samego dnia zakochała się w jego arystokratycznych rysach i cynizmie. Kay nie należała od osób szczególnie spostrzegawczych, toteż dopiero po roku małżeństwa dowiedziała się, że jej elegancki mąż nad jej uroki przedkłada atrakcyjnych młodych mężczyzn.

Błyskawicznie zabrała dwumiesięczną córeczkę i wróciła do matki, do apartamentu przy Park Avenue. Natychmiast rzuciła się w wir życia towarzyskiego, by jak najszybciej zapomnieć o niesmacznym incydencie. Robiła też wszystko, by zapomnieć o małej dziewczynce ze smutną twarzą, która stanowiła żywy dowód na to, że Kay nie umie trafnie oceniać ludzi.

Charles Lydiard zginął w wypadku na motorówce w 1954 roku. Kay bawiła wówczas w San Francisco. Niewiele wcześniej poślubiła Joela Faulconera, kalifornijskiego przemysłowca, i interesował ją teraz jedynie młody, bardzo męski mąż, a nie pomyłka z przeszłości. Nie zawracała też sobie głowy trzyletnią córeczką, którą zostawiła pod opieką matki na drugim końcu kontynentu. Susannah Bennett Lydiard z szarymi oczami, wąskim noskiem i rudymi włosami zaplecionymi ciasno w dwa warkoczyki wyrastała na malutką smutną myszkę. Kiedy miała cztery lata, sama nauczyła się czytać i poruszała się bezszelestnie po ogromnych pokojach w mieszkaniu babki, przemykała jak cień koło okien zasłoniętych ciężkimi aksamitnymi storami, które miały tłumić wulgarny zgiełk ulicy. Jak szept muskała kosztowne grube dywany. Żyła bezgłośnie niczym wypchane ptaki pod szklanymi kloszami na wypolerowanych stoliczkach.

Babka Bennett stopniowo popadała w obłęd, lecz Susannah była zbyt mała, żeby to zrozumieć. Wiedziała tylko, że babka jest bardzo surowa, a nieposłuszeństwo kończy się szybką i straszną karą. Babka Bennett zwykła powtarzać, że pobłażała zbyt jednoznacznie jednemu niesfornemu dziecku i nie zamierza drugi raz popełnić tego błędu. Matka odwiedzała ją dwa razy w roku. Wtedy, zamiast jak co dzień iść na spacer w towarzystwie jednego z dwóch wiekowych służących babki, Susannah piła z matką herbatę w hotelu Plaza. Matka była bardzo piękna i Susannah z zachwytem patrzyła, jak przypala jednego papierosa od drugiego i co chwila zerka na zegarek wysadzany brylantami. Po herbacie

Susannah wracała do babki. Kay całowała ją w czoło i znikwała na następne pół roku.

Babka Bennett twierdziła, że Susannah nie mieszka z matką, bo jest niegrzeczna. Rzeczywiście, Susannah była okropną, nieznośną dziewczynką. Czasami drapała się w nos przy stole, kiedy indziej garbiła się przy obiedzie. Zdarzało się, że zapomniała powiedzieć „dziękuję” i „proszę”. Za wszystkie te grzechy spotykała ją kara - co najmniej godzina w garderobie. To dla jej dobra, tłumaczyła babka, choć Susannah nie mogła zrozumieć, jak coś tak okropnego może być dobre.

Garderoba była mała i duszna, najgorsze jednak, że wisiały tam stare futra babki. Dla dziecka o bujnej wyobraźni przebywanie w niej koszmarem. Paskudne ciemne gronostaje muskały jej blade policzki, szorstkie bobry ocierały się o chude ramionka. Najgorszy był kołnierz z lisa. Nawet w ciemności czuła na sobie przebiegłe spojrzenie szklanych oczu. Siedziała wbita w kąt, sztywna ze strachu, i czekała, aż rozerwą ją ostre kły.

Mała dziewczynka wiodła życie posępne i smutne. Jako pięcioletnie dziecko zachowywała się jak dorosła. Nie podnosiła głosu, rzadko się śmiała, nigdy nie płakała. Robiła wszystko, byle trzymać się z dala od przepastnych czeluści szafy, i wkładała w to tyle wysiłku, że pewnie odniosłaby sukces, gdyby w środku nocy, gdy smacznie spała, nie zawiodło jej własne ciało.

Zaczęła się moczyć. Nigdy nie wiedziała, kiedy do tego dojdzie. Czasami upływało kilka tygodni, ba, nawet miesiąc, bez katastrofy. W końcu jednak nadchodził taki ranek, gdy budziła się w mokrej pościeli. Wąskie, pergaminowe nozdrza babki drgały z niesmakiem, gdy przyprawiano do niej dziewczynkę. Nawet Katherine, niesforna matka Susannah, nie robiła czegoś tak obrzydliwego, oznajmiała.

Susannah próbowała ukrywać pościel, było jej jednak zbyt wiele i zawsze ją na tym przyłapywano. Babka wygłaszała wtedy zjadliwe uwagi i zamykała ją w garderobie w mokrej koszuli nocnej. Ostry odór moczu mieszał się z zapachem kamfory, aż nie mogła oddychać. Włochate potwory kłębiły się dokoła, czekając na okazję, by ją pożreć. Czuła, jak ostre zęby wgryzają się w jej ciało, silne szczęki gruchoczą jej kości. Na plecach miała siniaki, tak mocno przywierała do ściany.

Nocami walczyła ze snem. Czytała książki z biblioteki babki, szczypała się po nogach, byle nie spać. Miała jednak tylko pięć lat i bez względu na to, jak się starała, w końcu zasypiała. A wtedy lis o szklanych oczach wykradał się z garderoby i kąsał ją, aż opróżniła pęcherz ze strachu.

Każdego ranka budziła się przerażona. Bała się poruszyć. Bała się zaczerpnąć powietrza, dotknąć prześcieradła. Jeśli pościel była sucha, kręciło jej się w głowie ze szczęścia. W taki dzień wszystko wydawało się piękniejsze: widok na Park Avenue, czerwone jabłko po śniadaniu, zniekształcone odbicie własnej smutnej twarzyczki w srebrnym dzbanku do kawy.

Jeśli pościel była mokra, żałowała, że jest za mała, żeby umrzeć. Aż nagle, kilka dni po jej szóstych urodzinach, wszystko się zmieniło. Siedziała w szafie, dusząc się od odoru moczu i ze strachu. Mokra koszula nocna przylegała do nóg, stopy zaplątały się w wilgotną pościel, którą babka kazała włożyć do szafy, co miało być dodatkową karą. Wpatrywała się w ciemność, w jeden punkt - w miejsce, gdzie, jak wiedziała, czają się szklane oczy lisa.

Była tak skupiona, że początkowo nic nie słyszała. Dopiero po jakimś czasie dotarł do niej przenikliwy, wysoki głos babki i inny, niski męski głos, którego nie znała. Znała niewielu mężczyzn. Odźwierny zwracał się do niej „panienko”, ale to chyba nie on. Był jeszcze hydraulik, który naprawiał krany, kiedy przeciekały, i pan doktor, który w zeszłym roku zrobił jej zastrzyk. Widywała mężczyzn na spacerze, ale ponieważ nie była słodkim kwiatuszkiem, nikt nie zwracał na nią uwagi.

Przez grube drzwi słyszała, że męski głos się zbliża. Głośny i gniewny. Poruszyła się przerażona i

futra zaatakowały. Gronostaj i bóbr - czuła na sobie ich martwe skóry. Krzyknęła, gdy upiorny lisi łeb dotknął jej policzka. Drzwi się otworzyły, ale ponieważ płakała, nie zauważyła tego. Dobry Boże! Gniewny męski głos dotarł do jej świadomości. Przerazona wcisnęła się jeszcze głębiej w szafę, instynktownie wybierając znane zło.

- Dobry Boże - powtórzył głos. - To nieludzkie. Patrzyła na złowrogi lisi pysk. Zakwiliła cichutko.

- Chodź, kochanie - odezwał się głos tym razem miękko. - Chodź do mnie.

Odwróciła się powoli, mrużąc oczy przed ostrym światłem. Zwróciła się w stronę miękkiego, czulego głosu i po raz pierwszy zobaczyła Joela Faulconera. Był wielki i złoty w świetle słońca, miał szerokie ramiona i piękną twarz. Jak księżę z bajki uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź do mnie, skarbie. Nie zrobię ci krzywdy.

Nie była w stanie się ruszyć. Chciała, ale stopy zaplątały się w mokre prześcieradło, a lisi łeb co chwila dotykał jej policzka. Mężczyzna wyciągnął do niej rękę. Skuliła się odruchowo, wtuliła mocniej w futra. Przemawiał do niej pieszczotliwie, uwalniając ją od martwych skór:

- Wszystko będzie dobrze, kochanie, zobaczysz.

Wziął ją na rękę, przycisnął do silnej piersi. Czekwała, aż skrzywi się z obrzydzeniem, gdy zorientuje się, że koszula nocna jest mokra, i poczuje odór moczu, ale nic takiego się nie stało. Przytulił ją tylko mocniej do drogiej marynarki i zaniósł do sypialni. Pomógł jej się ubrać, a potem na zawsze zabrał z apartamentu przy Park Avenue.

- Głupia suka - mruknął pod nosem, gdy wychodzili na ulicę. Dopiero dużo później zrozumiała, że nie miał na myśli jej babki.

Joel Faulconer nie był człowiekiem sentymentalnym, nie mógł więc być przygotowany na niespodziewany przyływ uczuć, jakiego doświadczył na widok Susannah kulającej się niczym zwierzątko wśród przeżartych przez mole futer teściowej. Teraz, sześć godzin później, zerknął na małą istotkę siedzącą obok w samolocie i ścisnęło mu się serce. Ogromne szare oczy zdawały się wypełniać prawie całą twarzyczkę o ostrych rysach, a cienkie warkoczyki spleciono tak ciasno, że wydawało się, że wyciągnęły cały kolor z bladej buzi. Patrzyła prosto przed siebie. Nie odezwała się ani słowem, odkąd wyciągnął ją z garderoby.

Joel napił się burbona, którego podała mu stewardesa, i starał się nie myśleć, co stałoby się z Susannah, gdyby nie uległ niezrozumiałemu impulsowi, który tego ranka pchnął go do domu teściowej. Kay nie lubiła matki, widział więc ją tylko kilka razy z okazji jakichś spotkań towarzyskich i nigdy nie rozmawiał na tyle długo, by się zorientować, że jest szalona. Ale dlaczego Kay tego nie zauważyła?

Na myśl o żonie jak zwykle poczuł mieszaninę irytacji i pożądania. Powiedziała mu, że ma dziecko, dopiero kilka miesięcy po ślubie, gdy zaczął mieć wątpliwości, czy słusznie postąpił, żeniąc się z nią. Kay zapewniła przy tym, że dziewczynce dobrze jest u jej matki i Joel, niezbyt zachwycony wizją opieki nad dzieckiem innego mężczyzny, nie poruszał więcej tego tematu. Ilekroć Kay była w Nowym Jorku widywała się z dzieckiem i Joel zakładał, że u dziewczynki wszystko jest w porządku. Kiedy Kay urodziła mu córkę, niemal zapomniał o tamtej.

Obracał szklanekę z burbonem i patrzył w okno niewidzącym wzrokiem. Jaka kobieta może zapomnieć, że ma dziecko? Tylko Kay - osoba zbyt głupia i płytką, by dostrzec to, co dla innych jest oczywiste. Już dawno temu powinien był się tym zająć. Spojrzał na dziewczynkę. Siedziała sztywno wyprostowana, z rączkami na kolanach. Główka jej się kiwała. Przypuszczał, że monotony szum silnika zaraz ją uśpi. Jej powieki zatrzepotały jak skrzydła motyla i uniosły się gwałtownie.



- Jesteś śpiąca - powiedział.

Podniosła na niego oczy i znowu ogarnęła go litość, gdy zobaczył jej oczy: ogromne i przerażone jak oczy sarenki.

- Nie... nie jestem. - wyjąkała.

- Możesz spać. Będziemy w Kalifornii dopiero za kilka godzin. Zdrzemnij się. Susannah bezradnie patrzyła na czarodzieja, na złotego księcia, jej wybawcę. Nie sposób mu się sprzeciwić, ale jeśli zaśnie, lis z garderoby na pewno ją znajdzie. Znajdzie ją nawet tu, w srebrnym samolocie, i sprawi, że się zsiusia, i wtedy księżę dowie się, jaka jest niedobra. Joel uściskał jej dłoń.

- Zamknij oczy.

Miał tak ciepły głos, że z trudem powstrzymała łzy.

- Ja... nie mogę.

Poświęcał jej całą uwagę, jakby była ważnym dorosłym, a nie tylko dzieckiem.

- Dlaczego?

- Bo to nierozważne. Proszę pana - dodała za późno. Oby nie zauważył, jaka jest nieuprzejma.

- Niewiele wiem o sześcioletnich dziewczynkach. Musisz mi to wytłumaczyć. Niebieskie oczy przenikały ją na wylot. Były ciepłe, ale wymagające. Miał dołek w brodzie. Chciałaby dotknąć go paluszkami, żeby się przekonać, czy pasuje. W panice szukała wiarygodnego usprawiedliwienia. Toaleta to sprawa wulgarna. O tym się nie rozmawia.

- Przypuszczam... - zaczęła - to wielce prawdopodobne... Zachichotał.

Spojrzała na niego przerażona. Ponownie uściskał jej dłoń.

- Ależ z ciebie dziwna dziewczynka.

- Tak, proszę pana.

- Nie mów do mnie „proszę pana”.

- Dobrze, proszę pana. A jak mam mówić? Zamyślił się.

- Może tato? - Uśmiechnął się. - Wiesz co, może lepiej „ojcze”. Na razie. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to ci prędzej przejdzie przez gardło.

- Ojcze? - Kręciło jej się w głowie z radości. Co za piękne słowo! Jej ojciec nie żyje. Chciała zapytać złotego księcia, czy to znaczy, że będzie jego córeczką, ale to bardzo niegrzecznie zadawać osobiste pytania, więc trzymała język za zębami.

- Skoro tę sprawę załatwiliśmy, może mi powiesz, czemu nie możesz się zdrzemnąć? Nieszczęśliwa, patrzyła przed siebie.

- Obawiam się, że... nie celowo, rzecz jasna... że całkowicie przez przypadek... mogę dopuścić się pewnego występku...

- Występku?

Skinęła głową. Jak ma mu wytłumaczyć coś tak okropnego?

Milczał dłuższy czas. Bała się na niego spojrzeć, pewna, że zobaczy niesmak na jego twarzy. Wpatrywała się w oparcie fotela przed nią.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - To ciekawy problem. Jak możemy go rozwiązać?

Nie odrywała wzroku od fotela. Wydawało się jej, że czeka, aż coś powie, zaczęła więc nieśmiało:

- Może uszczypniesz mnie w ramię, kiedy zasnę?

- Tak..., to dobra myśl, tylko że ja też mogę zasnąć i wtedy nie zauważę. Mam chyba lepszy pomysł.

Odważyła się na niego spojrzeć. Zmarszczył czoło, jakby intensywnie myślał.

- A co, jeśli... Zdrzemnijmy się oboje. Jeśli się obudzisz i zobaczysz, że popełniłaś ten... no,

występek, szturchniesz mnie w ramię.

Poproszę stewardesę o szklankę wody, a potem niby niechący rozleję na ciebie i na fotel.

Susannah natychmiast zrozumiała, na czym polega jego genialny plan.

- Och, tak - szepnęła. - Tak, proszę.

Spała kilka godzin. Obudziła się sucha, wypoczęta i szczęśliwa.

Była szczęśliwa także podczas pobytu w cudownym miejscu zwanym Falcon Hill. Dom był wielki jak pałac i pełen słońca. Miała śliczną trzyletnią siostrzyczkę Paige, a swoją piękną mamę widywała codziennie, nie tylko na herbacie w hotelu Plaza. Co wieczór nowy ojciec przychodził do niej przed snem i przynosił szklankę wody, którą mogłaby rozlać, gdyby popełniła „występek”. Susannah kochała go aż do bólu.

Odkąd skończył piętnaście lat, Joel Faulconer obserwował pilnie poczynania Toma Watsona, założyciela IBM. Gdy IBM stało się jedną z najlepszych firm na świecie, zapragnął, aby tak samo potoczyły się losy Falcon Typewriter, firmy, którego ojciec Ben i wuj Lewis założyli w 1913 roku. Joel Faulconer nie chciał być dobry. Chciał być najlepszy.

Po powrocie z II wojny światowej przedstawił ojcu i stryjowi śmiałe plany rozwoju firmy Maszyny do pisania to za mało, twierdził. Muszą rozszerzyć asortyment, zabrać się za maszyny liczące. Lewis Faulconer, miłośnik hawańskich cygar i krzykliwych strojów, zbył pomysły bratanka machnięciem ręki: - Chłopcze, zarobiliśmy z ojcem miliony. Po co nam więcej?

- Żebyśmy byli najlepsi – zdenerwował się Joel. - Żebyśmy mogli zagrozić Watsonowi i IBM.

Lewis przyjrzał się młodej twarzy bratanka.

- Do diabła, Joel, jeszcze ci mleko pod nosem nie wyszło, a już chcesz uczyć stare wygi, jak robić interesy?

Ben Faulconer, który przez lata nabrał więcej towarzyskiej ogłady niż brat, chętnie wysłuchał pomysłów syna. On także jednak zachował powściągliwość, zwłaszcza wobec propozycji daleko idących zmian, których zdaniem Joela domagała się powojenna gospodarka. Joel był jednak przekonany, że poradzi sobie z ojcem, jeśli pozbędzie się stryja Lewisa.

Jak się później okazało, w przyływie geniuszu i jasnowidztwa Joel skupował patenty rodzącego się przemysłu komputerowego. Jednocześnie rozpoczął dyskretną kampanię przeciwko stryjowi. Zajął mu to dwa lata, ale usunął Lewisa z drogi. Ostatniego dnia w firmie, którą zakładał z bratem, Lewis zwrócił się do Bena:

- Wpuściłeś wilka do owczarni - oznajmił bełkotliwie. Nie musiał już czekać z pierwszym drinkiem do wieczora. - Uważaj, chłopie, bo będziesz następny. Bzdura, pomyślał Ben, w głębi duszy dumny z Joela. Syn pozbył się z firmy człowieka, który zaczął stanowić problem. Pomyśl, żeby na siebie uważać, wydał się Benowi śmieszny. W końcu był prezesem, człowiekiem nie do ruszenia. A poza tym Joel to przecież jego syn.

Syn zmusił go do przejścia na emeryturę niecały rok później i jako trzydziestolatek przejął stery Falcon Business Technologies, czyli FBT. Firma rozkwitła w tempie przekraczającym najśmielsze oczekiwania. Dwa tygodnie po przyjeździe Susannah do Kalifornii FBT obchodziło ósmą rocznicę przejścia władzy przez Joela i przenosiny do nowej siedziby – zwanej przez wszystkich Zamkiem - w Palo Alto. Joel skrycie cieszył się z tej nazwy. Czyż jest dla króla odpowiedniejsza siedziba niż zamek?

Rzecz jasna naprawdę wcale nie uważał się za króla, ale w świecie FBT miał władzę absolutną. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych odpowiada przed narodem, tymczasem prezes FBT tylko

przed samym sobą i kilkoma osobami z rady nadzorczej. Był dumny, że osiągnął tak wiele w tak krótkim czasie. W wieku trzydziestu ośmiu lat był jednym z najpotężniejszych przemysłowców w Ameryce. Gdyby jeszcze był równie niepodzielnym władcą we własnej rodzinie.

Wpiął onyksowe spinki w mankiety koszuli i niecierpliwie zerknął na żonę. Siedziała przy toalecie i malowała usta, które niedawno sprawiły mu tyle rozkoszy. Miała trzydzieści trzy lata i dopiero zbliżała się do wieku, w którym jej uroda rozkwitnie pełnym blaskiem. Piersi uwodzicielsko napinały koszulkę, ilekroć pochylała się w stronę lustra. Pracowała w absolutnym skupieniu, jakby tak prosta czynność jak umalowanie ust wymagała całej jej inteligencji. Co nie jest takie dalekie od prawdy, pomyślał Joel.

- Znowu się spóźnimy, Kay – warknął. - Wiesz przecież, jakie to ważne. Obiecałaś, że zdążysz.

- Naprawdę? – zapytała z roztargnieniem. Zakręciła szminkę i rozejrzała się za kasetką z biżuterią. Kosmyki ciemnych włosów muskały jej policzki, łagodziły rysy. Miała zbyt pełne usta, niemodne teraz, ale jemu się podobały. Może nawet za bardzo. To usta kobiety lekkich obyczajów, nie żony potentata.

- Nie złość się, skarbie - poprosiła. - Jesteś na mnie zły, odkąd wróciłeś z Nowego Jorku.

- Dziwisz się? Wiedziałem, że jesteś głupia, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia. Kay sięgnęła po zapalniczkę.

- Nie krzycz na mnie, Joel. Tłumaczyłam ci już, że to nie moja wina. Kiedy widywałam Susannah, była ładnie ubrana. Skąd miałam wiedzieć, że coś jest nie tak? Joel ugryzł się język. Wiedział, że jeśli się pokłóca, jego głupiutka żona będzie się szykować jeszcze dłużej. Starał się nie myśleć o swojej słabości, o tym, że ciągnęło go do kobiet pokroju Kay - uwodzicielskich, dobrze urodzonych kociaków, znakomitych w łóżku, a poza nim do niczego. W końcu człowiek z jego pozycją może sobie pozwolić na jakieś słabości. Zastanawiał się, czy się z nianie rozwieść, ale skandal jest zbyt niebezpieczny dla człowieka na jego stanowisku.

- Widziałeś moje kolczyki, skarbie? Te z szafirami? - Bezradnie grzebała w stercie kosmetyków na toalecie w nadziei, że cenne klejnoty zawieruszyły się między puderniczkami i flakonami perfum.

- Boże, Kay, jeśli jeszcze raz gdzieś je wsadzisz, zabiorę ci je. Wiesz, ile kosztowały? Z roztargnieniem ponownie sięgnęła po szminkę.

- Majątek, jak się domyślam. Już wiem, przypominam sobie. Zdjęłam je w salonie i wsadziłam do szuflady, żeby nie zginęły. Kochany, bądź aniołem i przynieś je. Zszedł do salonu. Nie zauważył Susannah wpatrzonej w niego jak w obraz. Siedziała na fotelu jak cicha mała myszka.

- Cholera! - W szufladzie sekretarzyka było sporo skarbów Kay, ale nie kolczyki.

Sprawdził wszystkie szuflady po kolei. - Do diabła, gdzie ona je wsadziła? - Czy mogę ci pomóc, ojcze? – Susannah zsunęła się z krzesła i podeszła spokojnie. Joel zabronił zaplatać jej włosy w warkocze, więc teraz swobodnie zwisały, sięgając ramion. Była taka mała, tak skora do pomocy, że poczuł wzruszenie. Był potężny i dlatego tak bardzo rozczulała go jej bezradność. Jest taka cicha, tak poważna i uprzejma, wyraża się jak dorosła kobieta. Nie przypominał sobie, żeby chciał się kiedyś opiekować kimś tak jak nią. Nie czuł tego nawet wobec własnej córki Paige. Mała Paige miała do dyspozycji armię nianieek. A ta mała staroświecka dziewczynka ma tylko jego.

- Mama zostawiła tu kolczyki.

- Kolczyki? Niebieskie?

- Tak, z szafirami. A co? Widziałaś je?

- Widziałam wczoraj, jak mama chowa je do wazy na kominku.

Joel wyjął szafiry z głębokiej patery. Uśmiechnął się, mała odpowiedziała nieśmiałym wygięciem ust. Był to żalostny uśmiech, ale zawsze uśmiech.

- Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką - powiedział miękko. - Bardzo grzeczną. –

Przytulił ją.

Żadne z nich nie wiedziało, że tego dnia sześćioletnia Susannah zrobiła pierwszy krok na drodze ku roli idealnej żony, której Joel tak potrzebował.

## Rozdział drugi

Następny rok był jak z bajki. Joel adoptował ją i teraz była jego prawdziwą córką- już nie Susannah Lydiard, tylko Susannah Faulconer. Po raz pierwszy poszła do szkoły. Nauczyciele ją chwalili, była najmądrzejszą dziewczynką w klasie. Przestała moczyć się w nocy, nauczyła się częściej uśmiechać. Polubili ją wszyscy z wyjątkiem matki. Susannah robiła wszystko, co w jej mocy, by zadowolić matkę, lecz nadaremnie. Była czyściutka i schludna jak nowiutka moneta, a mimo to Kay wciąż narzekała.

- Nie zakradaj się od tyłu! - Krzyczała codziennie. - Mówiłam ci tysiąc razy! Dostaję od tego gęziej skórki.

Susannah nauczyła się chrząkać cicho w obecności matki, żeby Kay zawsze wiedziała, że jest w pobliżu.

Kay lubiła Paige o wiele bardziej niż Susannah. Susannah oczywiście nie miała do niej o to pretensji. Paige okazała się urocza, tak że Susannah z własnej woli oddała się przyrodniej siostrze w niewolę. Przynosiła jej zabawki, zabawiała, gdy się nudziła, uspokajała, gdy płakała. Nie mogła znieść, gdy różową buzię Paige wykrzywił płacz.

- Rozpieszczasz ją - powiedziała Kay pewnego dnia. Podniosła głowę znad kolorowego tygodnika w poszukiwaniu popielniczki. - Nie powinnaś spełniać wszystkich jej zachcianek. Susannah z ociąganiem wyjęła nową lalkę Barbie z rączek Paige. Niebieskie oczy siostrzyczki pociemniały, zaniósła się płaczem. Płakała coraz głośniejsze, nie zważając na wysiłki Susannah, która starała się zainteresować ją innymi zabawkami. Po chwili magazyn zamknął się z trzaskiem.

- Na litość Boską! - krzyknęła Kay. - Daj jej lalkę. Jeśli ją popsuje, kupię ci nową! Tylko ojciec pozostał odporny na urok Paige.

- Paige musi się nauczyć, że nie dostanie wszystkiego, czego zapragnie - tłumaczył Susannah surowo.

- Musisz być bardziej stanowcza. Oboje wiemy, że od twojej matki nie można tego wymagać. Susannah obiecała, że się postara, i następnego dnia wyszła z pokoju w połowie napadu hysterii Paige, choć myślała, że pęknie jej serce. Skończyła pierwszą klasę. Powoli dochodziła do siebie. Jak na ironię krytyka Kay okazała się równie dobroczynna jak miłość Joela. Susannah przekonała się, że nikt nie zamknie jej w garderobie tylko dlatego, że mama jej nie lubi. Świat z czasem stawał się normalnym, bezpiecznym miejscem i Susannah nie miała się już ciągle na baczności. Zachowywała się jak normalne dziecko w jej wieku. To był fatalny błąd.

Falcon Hill stało u szczytu długiego krętego podjazdu, który łączył rezydencję z bramą wjazdową z kutego żelaza. Po południu dorośli zbierali się na tarasie na drinka, a Susannah wędrowała cienistym podjazdem aż do bramy, bawiła się tam lalkami albo wspinała na wrota i wyglądała na świat za ogrodzeniem. Po latach ograniczonych spacerów dookoła kilku budynków wolność ją oszałamiała.

Właśnie skakała na skakance przy bramie, gdy w pewne czerwcowe popołudnie przyszedł

sprzedawca baloników. Miała już siedem lat, ale skakanka była dla niej nowością i dlatego skoncentrowana na nowej zabawie, początkowo wcale go nie zauważyła. Podeszwy skórzanych sandałków zgrzytały na żwirze, a ona mruczała coś pod nosem - pewnie liczyła skoki. Delikatne rude włosy spięte spinkami w kształcie pieszków podskakiwały przy każdym skoku.

W końcu podniosła głowę i zobaczyła sprzedawcę baloników. Jego obecność wcale jej nie zdziwiła: przecież na urodziny Paige przyszedł magik, królik wręczał im prezenty na Wielkanoc... Kalifornia to cudowna kraina, gdzie wszystko może się zdarzyć. Cisnęła skakankę na ziemię, wspięła się na bramę i patrzyła, jak sprzedawca się zbliża.

- Baloniki za darmo! - krzyczał.

Miał zakurzone brązowe buty i szary kombinezon robotnika, za to na twarzy maskę klauna z czerwonym nosem i kręconymi czerwonymi włosami.

- Baloniki za darmo! Nigdy nie pękają, nigdy nie znikają! Najlepsze baloniki w mieście. Baloniki, które nie pękają? Susannah szeroko otworzyła oczy. Nie znosiła głuchego trzasku pękającego balonika. Zachwyciła ją wizja balonika, który nigdy jej nie przestraszy. Sprzedawca był coraz bliżej. Wsunęła drobną rączkę między pręty, zebrała się na odwagę i zapytała:

- Czy mogłabym dostać taki balonik, proszę pana? Chyba jej nie usłyszał.

- Baloniki za darmo. Nigdy nie pękają, nigdy nie znikają. Baloniki za darmo.

- Przepraszam - powtórzyła grzecznie. - Czy mogę prosić o balonik?

Nadal na nią nie patrzył. Może mnie nie widzi przez tę maskę, pomyślała.

- Baloniki za darmo - wołał. - Za mną, za mną!

Za nim? Co prawda nikt nigdy jej tego nie zabronił, jednak Susannah była pewna, że nie powinna wychodzić za bramę. Spojrzała tęsknie na pęk kolorowych baloników tańczących na sznurkach. Zakręciło jej się w głowie.

- Baloniki za darmo. Za mną, za mną!

Wołanie sprzedawcy baloników brzmiało jej w uszach. Rodzice piją drinka na tarasie. Jeśli pobiegnie zapytać o pozwolenie, sprzedawca sobie pójdzie. Głupio byłoby przepuścić okazję zdobycia czarodziejskiego balonika. Przecież tatuś nie będzie miał nic przeciwko temu. Powtarzał, że ma się dobrze bawić i niczym nie martwić.

- Baloniki za darmo. Za mną, za mną!

Wyjęła kluczyk do bramy ze schowka w kamiennej urnie. Cenne sekundy uciekały, gdy mocowała się z zamkiem.

- Proszę poczekać - zawołała przestraszona, że sprzedawca baloników odejdzie. Zagryzła wargi i skoncentrowała się na opornym zamku. Wreszcie kluczyk obrócił się z trzaskiem. Zaparła się i szarpnęła z całej siły, aż brama uchyliła się na tyle, że zdołała się prześlizgnąć. Była z siebie bardzo zadowolona, gdy biegła wzdłuż żywopłotu zasadzonego, żeby jeszcze bardziej odizolować rezydencję od ulicy.

- Proszę na mnie poczekać! - wołała.

Był ciepły czerwcowy dzień. Żółta sukienka uderzała o kolana, włosy powiewały, gdy biegła. W oddali przed nią baloniki tańczyły jak wesołe kolorowe chmurki na błękitnym niebie. Roześmiała się z radości, że są takie ładne, że jest małą dziewczynką i biegnie wąską drogą. Ten śmiech wydał się jej dziwny i cudowny zarazem. Była zbyt mała, żeby to zrozumieć, ale ciężar przeszłości nie ciążył jej już tak bardzo. Poczowała się szczęśliwa, bezpieczna i cudownie beztraska.

Śmiała się jeszcze, gdy zza drzew wyskoczył mężczyzna i ją złapał.

W panice wbiła mu palce w ramiona i wydała stłumiony zwierzęcy jęk. Miał wielki mięsisty nos. Śmierdział. Chciała krzyczeć, wołać tatusia, ale nie zdążyła nawet pisnąć, bo ktoś inny - sprzedawca baloników - podszedł od tyłu i zakrył jej usta dłonią. Zarzucili jej koc na głowę, ale zdążyła dostrzec twarz sprzedawcy, gdy zdjął maskę klauna - wąska i przebiegła jak pysk lisa.

Rzucili ją na podłogę furgonetki, kopnęli i kazali być cicho. Spinka w kształcie pieska zaczęła się o gruby splot koca i wyrwała kosmyk rudych włosów. Zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć. Było jej gorąco i niewygodnie. Przede wszystkim jednak panicznie się bała. Straciła przytomność.

Obudziło ją nagle szarpnięcie - to furgonetka zahamowała. Poczowała w ustach metaliczny smak krwi i zrozumiała, że zaraz umrze. Mimo to nie wydała nawet najcichszego dźwięku. Drżała. Instynktownie zwinęła się w kłębek, jakby chciała ochronić najdelikatniejsze organy, od których zależało jej życie. Zawiasy w tylnych drzwiach zaskrzypiały przeraźliwie. Zerwano z niej koc. Zacisnęła oczy - była zbyt mała, by z odwagą patrzeć na to, co ją czeka.

Wyciągnęli ją z furgonetki. Zimne nocne powietrze otrzeźwiło ją. Z przerażeniem patrzyła na płaski pustynny krajobraz. Ciemność była równie nieprzenikniona jak w garderobie babki, czerń przecinały tylko lodowate sople gwiazd i stłumione światła furgonetki.

Sprzedawca baloników o podstępnej twarzy trzymał ją mocno, ale instynkt okazał się silniejszy - gdy niósł ją w stronę drewnianej szopy, spróbowała się wyrwać. Krzyczała i krzyczała, ale pustynia pochłaniała krzyki małej dziewczynki jak ziarenka piasku. Mężczyzna z wielkim nosem zdjął kłódkę z drzwi i wrzucili ją do środka. Śmierdziało kurzem, rdzą i ropą. Milczeli. Ciszę przerywało jedynie jej łkanie. Założyli jej na szyję gruby łańcuch, jakby była psem, i przykuli do ściany. Zanim wyszli, wpuścili do szopy pęk balonów. Okazało się, że sprzedawca baloników kłamał. Drugiego dnia w upale panującym w szopie wszystkie popękały.

Gazety w całym kraju donosiły o porwaniu małej Susannah Faulconer. W skrzynce pocztowej znaleziono list z żądaniem miliona dolarów okupu. Kay zamknęła się w sypialni z Paige i nie podchodziła nawet do okna. Joel szalał z niepokoju o przybraną córkę, którą tak bardzo pokochał. Przemierzając pokoje Falcon Hill, starał się zrozumieć, jak coś podobnego mogło się zdarzyć. Jest potężny. Ma władzę. Co zrobił nie tak? Susannah znaczyła dla niego więcej niż ktokolwiek inny na świecie, a jednak nie okazał się dość silny, dość bezwzględny by ją chronić.

Trzeciego dnia po porwaniu anonimowy informator zwrócił uwagę FBI na drewnianą szopę na skraju pustyni Mojave. Susannah była przykuta łańcuchem do ściany. Leżała na ziemi zbyt wyczerpana, by podnieść głowę, by zrozumieć, że przychodzą przyjaciele, nie wrogowie. Była cała podrapana. Koło niej leżały strzępy tuzina balonów.

Była odwodniona do tego stopnia, że lekarze nie wykluczali uszkodzeń mózgu.

- To dzielne dziecko - mówił Joel w kółko, jakby miał nadzieję, że jeśli powtórzy te słowa wystarczająco wiele razy, staną się prawdą. -Przeżyje. Jest dzielna. - Tulił ją do siebie, starał się wlać swoją siłę w bezwładne ciało. Były współwięzień wsypał porywaczy. Złapano ich tydzień później podczas blokady dróg. Sprzedawca baloników wyciągnął broń i zginął na miejscu. Drugi mężczyzna powiesił się w więzieniu na prześcieradle.

Ku radości Joela i uldze Kay fizycznie Susannah szybko dochodziła do siebie. Psychicznie jednak nie wracała do sił w równie szybkim tempie. W krótkim życiu spotkało ją zbyt wiele złego, zbyt wiele krzywd. Minęły tygodnie, zanim się odezwała, miesiące, zanim Joelowi udało się wywołać uśmiech na jej twarzy. Gdyby porwano ją, kiedy mieszkała z babką, skutki byłyby mniej widoczne. Niestety, zdarzyło się to, gdy w końcu poczuła się bezpieczna. Nic dziwnego, że porwanie zostawiło trwałe

Ślady w jej psychice.

Przez dziesięć lat co rano limuzyna odwoziła ją do szkoły. Wyrosła na wysoką i szczupłą dziewczynkę. Inne uczennice w najlepszej prywatnej żeńskiej szkole w San Francisco lubiły ją, bo zawsze wszystkim pomagała i nigdy nikogo nie obmawiała. Była jednak zbyt zamknięta w sobie, żeby chciały się z nią przyjaźnić, i tak poważna, że czasami przypominała im ich matki.

Kay drażniły jej opanowanie i spokój, równocześnie jednak Susannah oszczędzała jej tylu wysiłków i przykrości, że z czasem obdarzyła starszą córkę ciepłym uczuciem. Mimo to nadal nie rozumiała, dlaczego Joel przedkłada adoptowane dziecko nad własne ciało i krew. Niestety, im bardziej krytykował Paige, tym bardziej córka się buntowała. Gdyby nie Susannah, Paige ciągle byłaby narażona na gniew ojca, o czym Kay doskonale wiedziała.

Jako siedemnastolatka Susannah była Joelowi równie niezbędna jak jego zastępcy. Zajmowała się służbą, pamiętała o zobowiązaniach towarzyskich i była uroczą gospodynią - nigdy nie zdarzyło jej się popełnić błędu Kay i powitać gościa niewłaściwym imieniem. Susannah oszczędziła Joelowi wstydu z powodu nieudolności Kay.

Arogancja Joela rosła wraz z jego imperium. Nawet Susannah nie uniknęła okresów chłodnej dezaprobaty, gdy coś układało się nie po jego myśli. Wtedy starała się jeszcze bardziej. Sprawiała mu przyjemność, gdy jej debiut w towarzystwie San Francisco okazał się najbardziej udany od lat - w każdym razie w oczach matron, które organizowały takie imprezy. Ujęła je rezerwą i wdziękiem. Stare tradycje i styl życia nie przeminają, o nie - zgadzały się - jeśli będą takie dziewczęta jak Susannah Faulconer.

Susannah lubiła matematykę. W szkole osiągała doskonałe wyniki, dostałaby się na każdy uniwersytet w kraju, jednak ze względu na obowiązki pani domu wybrała miejscowy college. Od początku miała kłopoty - opuszczała zbyt wiele zajęć. Jeździła z ojcem w podróże służbowe i zajmowała się domem. Joelowi Faulconerowi zawdzięczała jednak wszystko i świadomość, że robi to, czego od niej oczekuje, z naddatkiem rekompensowała jej utratę niewyraźnych marzeń o samodzielności.

Kiedy miała dwadzieścia lat, zakochała się w starszym o dziesięć lat analityku finansowym i zaczęła myśleć o małżeństwie. Był to początek lat siedemdziesiątych, wręcz oddychało się atmosferą wolnej miłości, ale mężczyzna do tego stopnia obawiał się Joela, że nie zdobył się na więcej niż kilka niewinnych pocałunków. Kiedy zebrała się na odwagę i oznajmiła, że jest gotowa posunąć się dalej, odparł, że za bardzo ją szanuje, żeby spać z nią przed ślubem, i że po wszystkim czułaby wstyd do samej siebie. Kilka miesięcy później dowiedziała się, że sypia z koleżanką Paige, i zerwała z nim.

Usiłowała pogodzić się ze świadomością, że kobiety takie jak ona budzą w mężczyznach szacunek, nie namiętność, ale nocami oddawała się marzeniom. I nie były to przyzwoite marzenia o cichej muzyce i romantycznym blasku świec, o nie. Wyobrażała sobie brutalnych szejków na pustyni i przystojnych, nieokrzęsanych niewolników. Potem u Kay stwierdzono raka płuc i wszystko inne przestało mieć znaczenie. Susannah rzuciła studia, żeby opiekować się matką i by móc sprostać rosnącym wymaganiom ojca. Kay zmarła w 1972 roku, gdy Susannah miała dwadzieścia jeden lat. Kiedy trumnę z ciałem matki składano do grobu, Susannah ogarnął smutek i niepokojące przecucie, że jej dzieciństwo i młodość zakończyły się równie nieodwracalnie jak życie Kay. W słoneczny kwietniowy dzień 1976 roku, dwa miesiące przed planowanym ślubem z Calvinem Theroux, Susannah umówiła się z Paige w małej, przytulnej knajpce ukrytej przed turystami przy porcie. To był wyjątkowo ciężki dzień, nie było jednak widać po niej zmęczenia. Jasnozielony kostium wyglądał, jakby przed chwilą wyjęła go z szafy; trudno było uwierzyć, że miała go na sobie od siódmej rano. W

uszech połyskiwały skromne złote klipsy, rude włosy zaplotła we francuski warkocz – fryzurę zbyt surową dla kobiety, która dopiero za miesiąc skończy dwadzieścia pięć lat.

Paige była już dziesięć minut spóźniona, ale Susannah nie denerwowała się tym, że musi czekać. Wpatrywała się w dal i w myślach modyfikowała plan dnia. Głos Paige wyrwał ją z zadumy.

- Mam sporo spraw na głowie, więc lepiej się streszczaj.

Podnosząc wzrok na siostrę, Susannah stłumiła irytację. Paige jest, delikatnie mówiąc, złośliwa, ale nie może się z nią pokłócić, zanim nie porozmawiają. Powróciło wspomnienie czasów, gdy obie były dziećmi. Przemyślała do pokoju Paige zabawki i czekoladki, gdy Joel ją ukarał. Aż pewnego dnia Paige zdradziła ojcu, co robi Susannah, i Joel położył kres gestom współczucia. Do tej pory nie rozumiała, dlaczego siostra ją wsypała. Paige rzuciła na ziemię worek żeglarski i usiadła naprzeciwko siostry. Susannah przyglądała się jej ukradkiem. Paige była piękna nawet w spranych dżinsach i powyciąganej meksykańskiej koszulce. Miała malutki zadarty noseć, pełne usta Kay, niebieskie oczy Joela i jasne włosy opadające na plecy niesforną falą. Zawsze wyglądały, jakby zakochany mężczyzna dopiero co je zmierzwił, kochając się z nią namiętnie.

Dwudziestodwuletnia Paige była tak nowoczesna jak Susannah staroświecka. Była twarda i zadziorna, klęła jak szewc i chyba nigdy nie traciła pewności siebie. Susannah zlekceważyła ukłucie zazdrości, którą zawsze odczuwała w towarzystwie siostry. Zerknęła na kartę dań.

- Łosoś jest pyszny. A może spróbujesz awokado nadziewanego krabami?

- Wolę hamburgera - prychnęła Paige.

Susannah zamówiła dla siebie mahi mahi, rybę, w której rozsmakowała się podczas częstych pobytów na Hawajach z Joelem.

- Pamiętasz, o czym mówiłyśmy przez telefon? Dzisiaj ojciec kończy pięćdziesiąt osiem lat. Ucieszy się, jeśli przyjdiesz.

- Król Joel ci to powiedział?

- Nie musiał. Jestem tego pewna. - To była nieprawda, ale musi jakoś położyć kres ciągłym kłótniom Joela i Paige. Przecież siostra nie mieszka nawet w domu, tylko w obskurnej kawalerce z piosenkarzem rockowym Contim Dove'em.

Paige ze zniecierpliwieniem odgarnęła włosy z czoła.

- Nigdy ci się nie znudzi zabawa w Polyanę? Odpieprz się, dobrze?

Po Susannah nie widać było, jak bardzo zabolęły ją okrutne słowa, które padły z małych ślicznych ust siostry. Zastanawiała się, jakby to było choć raz w życiu rzucić takie słowa komuś w twarz. Jak to jest, być wolnym? Jak to jest, kiedy życie przypomina niezgruntowane płótno i czeka, aż pokryje się śmiały, zdecydowanymi ruchami pędzla?

- To twój ojciec - odparła pojednawczo. - Wystarczająco długo się kłócicie.

- Dokładnie dwadzieścia dwa lata.

- Nie o to mi chodzi. Miałam na myśli to, że się wyprowadziłaś z domu.

- Nie wyprowadziłam się, Susannah. Jego wysokość mnie wyrzucił. O, byłam już spakowana, więc możesz sobie darować współczującą minę. Wiesz, wyprowadzka z tego mauzoleum to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. - Paige wyjęła papierosa i zapaliła go plastikową tandetną zapalniczką. Susannah odwróciła wzrok. Papierosy zabiły ich matkę. Nie chciała patrzeć, jak Paige pali.

- Słuchaj, jeśli o mnie chodzi, siedź tam i baw się w posłuszną córeczkę tatusia, księżniczkę w królewskim zamku. Obsługuj go na kolanach, wydawaj przyjęcia, słuchaj pokornie jego kazań. To nie dla mnie.



Zdecydowanie nie, pomyślała Susannah. W ciągu półtora roku Paige udało się wylecieć z college'u i usunąć ciążę. Joel w końcu stracił cierpliwość i poinformował ją, że nie będzie w jego domu mile widziana, dopóki nie zacznie się zachowywać jak dorosła, odpowiedzialna osoba.

Kelner przyniósł zamówienie - mahi mahi z grilla dla Susannah i hamburgera z frytkami dla Paige. Paige wbiła zęby w bułkę. Starła się nie patrzeć na śmietanowy sos na rybie siostry, starała się nie myśleć, jak smaczne jest mahi mahi. Najbardziej egzotyczne danie, jakie w ciągu minionego roku miała w ustach, to pizza z anchois. Hamburger ciążył jej w żołądku i bez tego podrażnionym latami tłumionych niechęci i żalu. Dorastała w cieniu starszej siostry - chodzącego ideału. Siostry, która przysłała znikąd i zajęła jej miejsce w sercu ojca, kiedy Paige była zbyt mała, by się bronić.

Obserwowała, jak Susannah z wdziękiem odkłada widelec. Siostra przypominała jej kobiety z dziewiętnastowiecznych portretów, które oglądała na studiach, zanim ją wylali. Były to portrety wiotkich, bladych, wątłych kobiet, które całymi dniami wylegiwały się na szezlongach i rodziły dzieci o sinych usteczkach. Żłudny obraz, przyznała Paige. Zdawało się, że Susannah dysponuje niewyczerpanymi zasobami energii, zwłaszcza gdy w grę wchodził jakiś zbożny cel, na przykład ratowanie siostry żyjącej w grzechu.

Paige najchętniej pochyliłaby się nad stołem i zmierzwiła rude włosy siostry, pogmiotła zielony kostium. Gdyby Susannah choć raz wpadła w złość, może rozumiałyby się lepiej. Ale ona nigdy nie traciła panowania nad sobą. Zawsze spokojna i opanowana, idealna córeczka tatusia. Zawsze postępowała właściwie, mówiła, co trzeba. Teraz jeszcze miała poślubić odpowiedniego mężczyznę - Calvina Nadętego Dupka Theroux.

Paige dałaby sobie rękę uciąć, że Susannah nadal jest dziewicą. Dziewicą w wieku dwudziestu pięciu lat! To dobrze. Wyobraziła sobie parę młodą zmierzającą do łóżka w noc poślubną. Wyobraziła sobie, jak Cal Theroux błyska zębami w uśmiechu i unosi jej koszulę nocną na wysokość ud.

- Wybacz, skarbie, to nie potrwa długo.

Paige wyobrażała sobie dalej, jak Susannah sięga po okulary do czytania i egzemplarz „Town and Country” i mówi tym swoim spokojnym wyważonym głosem:

- Ależ oczywiście, mój drogi. Daj mi znać, kiedy skończysz. Susannah zauważyła jej cyniczny uśmiech, ale postanowiła nie zwracać na niego uwagi.

- Przyjście zaczyna się o ósmej - powiedziała. - Przyjdą wszyscy jego przyjaciele. Byłoby głupio, gdybyś nie przyszła.

- Gówno prawda - warknęła Paige. - Odwal się, dobrze? Paige...

- Słuchaj, nie jesteś moją matką, więc przestań się zachowywać, jakbyś nią była. Susannah zawahała się.

- Wiem, że ci jej brakuje. Nie chciałam nalegać.

- Nawet nie zauważy, że mnie nie ma. - Paige odsunęła talerz z niedojedzonym hamburgerem i wstała.

- Słuchaj, muszę lecieć. Do zobaczenia. Podniosła worek z podłogi i ruszyła do wyjścia. Większość gości płci męskiej odprowadziła ją wzrokiem. Jej rozwiane blond włosy i obcisłe dżinsy zwracały uwagę. Uśmiechnęła się uwodzicielsko do kilku najbliższych mężczyzn i wyszła. Susannah po raz tysięczny żałowała, że nie są ze sobą blisko jak siostry. Cudownie byłoby mieć kogoś, komu można zaufać... z kim można się powyglupiać.

Tylko że ona nigdy się nie wyglupia. Przecież życie to poważna sprawa. Płacąc rachunek, przypominała sobie, jak często Paige chichotała z koleżankami, i znowu poczuła ukłucie zazdrości.

- Mam nadzieję, że smakowało, panno Faulconer?

- Jak zawsze było pyszne, Paul. Dziękuję.

Schowała kartę kredytową do portfela i wstała. Gdy wychodziła z restauracji, trzymała się prosto jak zawsze. Poruszała się z gracją i spokojem. W niczym nie przypominała małej dziewczynki, którą do tego stopnia zachwyciły kolorowe baloniki, że otworzyła bramę i przez kilka cudownych chwil była wolna.

## Rozdział trzeci

Falcon Hill przypominało francuską rezydencję. Oprócz łazienek w marmurze i polerowanych posadzek z drzewa tekowego, w pokojach znajdowały się kominki z la Ludwik XV. W piwniczce na wina leżakowały najlepsze europejskie roczniki. Susannah zatrzymała się w łukowato sklepionym wejściu do jadalni, żeby sprawdzić, czy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik przed przyjęciem z okazji urodzin ojca. Zabytkowe kryształowe kandelabry delikatnie oświetlały ręcznie malowaną tapetę. Ze srebrnych wazonów zwisały białe kwiaty. Na stole leżał zabytkowy lniany obrus i serwetki, kupione przed dziesięciu laty na aukcji w Londynie. Wyhaftowano na nich złotem inicjały cara Mikołaja I.

Susannah kończyła układać kompozycję z kwiatów, gdy usłyszała w korytarzu głos Cala. Poszła się z nim przywitać. Poprawiła mu krawat, tak samo jak zawsze poprawiała ojcu. Cal i Joel pod wieloma względami byli podobni. Obaj lubili rządzić, obaj wymagali absolutnego posłuszeństwa.

- Ślicznie wyglądasz, skarbie. - Cal otwarcie podziwiał jej czarną wieczorową suknię.

Miała odkryte ramiona, dekolt ozdabiała falbanka z białej organdy. Kiedy założyła ją po raz pierwszy, pomyślała, że falbanka w połączeniu z jej jasną skórą sprawia wrażenie, jakby wynurzyła się z kąpieli w kremie śmietankowym.

Połąskotał ją pod brodą.

- Wyglądasz jak śliczny, wdzięczny łabędź.

Oto jej szczęście. Cal jada krem śmietankowy, ale nie słyszała, żeby kiedykolwiek zjadł łabędzia. Odwróciła się szybko i wprowadziła go do salonu. Pocałował ją ponownie - był to pocałunek nieskazitelny jak kanty jego spodni, staranny jak przedziałek w jego włosach.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem o problemach w okręgu Harrisona?

Mówił ściszym głosem, na wypadek gdyby ktoś ich podsłuchiwał. Nie czekając na odpowiedź, wdał się w długą, zawiłą opowieść o swoich sukcesach w pracy. Powinna porozmawiać z kucharzem, ale słuchała cierpliwie. Nie przeszkadzało jej, że Cal ciągle opowiada o pracy. Na zewnątrz był skromny i dyskretny aż do bólu, tylko przy niej rezygnował z ostrożności. Czasami miała wrażenie, że jego zwycięstwa cieszyły go naprawdę, dopiero kiedy jej o nich opowiadał.

Przyszli goście i kolacja mogła się rozpocząć. Posadziła Cala obok ojca. Choć miał dopiero czterdzieści dwa lata, był już zastępcą Joela. Myślano o nim jako o następcy, zwłaszcza że związał się z Susannah.

Podziwiała urodę ich obu. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat Joel był niemal tak szczupły jak jej narzeczoney. Niebieskie oczy nie straciły nic ze swej przenikliwości. Lata nadały jego twarzy więcej stanowczości, niż malowało się na niej tamtego dnia, gdy wyciągnął ją z garderoby babki. Dołek w podbródku pogłębił się, kwadratowy zarys szczęki był bardziej wyrazisty. Jasne włosy co prawda posiwiały na skroniach, ale nie łysiał i był z tego bardzo dumny.

Trójkątna twarz Cala była dużo węższa niż Joela, miał szerokie czoło, ale wąskie policzki i ostry

podbródek. Siwe pasmo przecinało ciemną czuprynę gwałtownie jak błyskawica. Był zawsze opalony i uśmiechał się, błyskając zębami. Emanowała z niego pewność siebie.

- Cudowna kolacja, Susannah. - Joel uniósł kieliszek w jej stronę. - Przeszłaś samą siebie.

Uśmiechnął się tak, jak uśmiechał się tylko do niej. Poczuli się, jakby ktoś obsypał ją deszczem złotych gwiazd. Czasami ojciec bywał trudny i władczy, ale bardzo go kocha. Pulchna starsza włoska hrabina, jej sąsiadka przy stole, kończyła jeść spory kawałek truflowego tortu czekoladowego.

- Wy, szczupłe dziewczęta, macie szczęście - westchnęła z silnym obcym akcentem, łakomie zerkając na prawie nietknięte ciasto na talerzyku Susannah.

- Muszę uważać na wszystko, co jem.

- Nie do wiary - zdziwiła się Susannah uprzejmie. - Ma pani wspaniałą figurę. Bardzo ładna sukienka. Włoskiego projektanta, prawda? - Zręcznie sprowadziła rozmowę na inne tory, żeby hrabina przestała martwić się szeroką talią. Starsza dama z zapalem zaczęła rozprawiać o najnowszej kolekcji Valentino.

Z drugiego końca stołu dobiegł ją śmiech ojca. Spojrzała w tamtą stronę. Jeśli odrobinę pochyli głowę, zobaczy ojca i Cala. Hrabina ze szczegółami opisywała dwuczęściowy strój wizytowy, a Susannah patrzyła na dłoń Cala na kieliszku wina. Miał silne opalone palce.

Widziała wykrochmalony skraj mankietu. Ucieszyła się, że włożył spinki, które mu podarowała. Jego palce powoli przesuwały się po cienkiej nóżce kieliszka. Ogarnęło ją podniecenie.

- Rzeczywiście, hrabino - zgodziła się. - Włoscy projektanci rosną w siłę w tym roku.

Przypomniała sobie pierwszy raz, gdy poszła z Caliem do łóżka. Była tak podniecona, tak żałośnie wdzięczna, że ktoś w końcu pozbawi ją ciężaru dziewictwa. Niestety, bardzo szybko było po wszystkim. Nie było to ani trochę tak podniecające, jak się spodziewała. Oczywiście, to jej wina. Po tylu sprośnych marzeniach nic dziwnego, że pieszczoty Cala wydały jej się sztuczne i takie... sterylne. Nie zapomniała też, jak się później wstydziła.

- Prawie wykłułaś mi oko, skarbie - zauważył Cal. - Nie spodziewałem się, że z ciebie taka... sportsmenka. - Uśmiechnął się, jakby uśmiech mógł złagodzić przykre słowa: - Oczywiście nie narzekam. Jestem tylko zaskoczony, to wszystko. Poczuli, że jej namiętność jest nie na miejscu, i od tej pory kontrolowała się jeszcze bardziej. Sypialnia okazała się kolejnym miejscem, gdzie liczą się dobre maniery. Ugryzła mały kęs ciasta i skinęła głową hrabinie. Jednocześnie wyobraziła sobie, że przesuwa językiem po gardle Cala, a potem niżej, po klatce piersiowej i twardym brzuchu.

Czubek jej języka muska jego skórę, dotyka napiętego ciała.

- Może sherry, hrabino? - zapytała.

- Bardzo chętnie, moja droga.

Wystarczył ledwie zauważalny ruch głową, by zbliżył się jeden z kelnerów, których zatrudniła na ten wieczór. Światło świec rozpalało złote iskierki w jej włosach. Ojciec znowu parsknął śmiechem. Tym razem Cal zawołał do niej:

- Susannah, twój ojciec opowiada nam kłamstwa na twój temat. Uśmiechnęła się.

- On nigdy nie kłamie, tylko koloryzuje. Joel zachichotał i spojrzał na nią ciepło.

- Nie tym razem, Susannah. Opowiadałem Calowi, jak chciałaś zostać hipiską.

Zacisnęła dłonie na kolanach, ale na jej twarzy nie widać było zdenerwowania.

- Uważaj, tatusiu, bo wystraszysz biednego Cala, zanim zaciągniemy go do ołtarza.

- Nie jest aż tak tchórzliwy. Nie przestraszy się odrobiny liberalizmu.

Susannah napiła się wina. Nadal uśmiechała się chłodno, choć z trudem poruszała ustami.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Susannah chciała zostać hipiską - stwierdził Paul Clemens.

Był przewodniczącym rady nadzorczej FBT i najstarszym przyjacielem Joela.

- Wprawdzie nie nosiła koralików we włosach i nie mieszkała w komunie - przyznał Joel - ale kiedy skończyła dwadzieścia lat, przyszła do mnie i ze śmiertelną powagą, oznajmiła, że myśli o wstąpieniu do Korpusu Pokoju.

Najpierw zapadła cisza, potem rozległy się chichoty. Błagam, tatusiu, nie rób tego, prosiła Susannah bezgłośnie. Nie wywlekaj moich zwierzeń w błahej rozmowie przy stole. Dotknęła chusteczką ust, aż na złotym monogramie cara Mikołaja I została odrobina szminki.

- Na pewno nikt nie chce słuchać o mojej nudnej młodości.

Joel na ułamek sekundy ściągnął brwi. Wiedziała, że jest zły. Nie lubił, gdy ktoś mu przerywał.

Marge Clemens, żona Paula Clemensa, zapytała Susannah:

- Dlaczego, na litość Boską, chciałaś wstąpić do Korpusu Pokoju? To takie... takie pospolite.

- Byłam młoda. - Susannah uśmiechnęła się blado i wzruszyła ramionami. - Młoda i pełna ideałów. - Zacisnęła dłonie na chusteczce.

- Mała buntowniczką. - Cal puścił do niej oko, jakby miała dziesięć lat.

Joel odchylił się na krześle – mądry patriarcha chroniący głupiutkie kobietki przed głupiutkimi błędami.

- Wykład o polityce i nagana starego ojca wybiły jej to z głowy, rzecz jasna, ale nie przestałem jej tego wypominać.

Susannah uśmiechała się bez przerwy. Nikt nie wiedział, jak bardzo jest upokorzona.

- Skoro skończyliśmy jeść - zaproponowała gładko - przejdźmy do salonu na drinki.

Godzinę później rozmawiała z żonami dyrektorów FBT, a kwartet smyczkowy przygrywał dyskretnie.

Nagle podszedł do niej kelner i szepnął:

- Jakiś człowiek chce się widzieć z panem Faulconerem. Nie chciał wyjść, więc zaprowadziliśmy go do biblioteki.

Co teraz? Przeprosiła rozmawiające panie i poszła do biblioteki, żeby załatwić sprawę, zanim ojciec się zorientuje, że coś jest nie tak. Pierwsze, co zobaczyła, to wytarte podeszwy ciężkich butów na biurku Joela Faulconera.

- Przecież to, kurwa, niemożliwe - mruknął męski głos.

Przez ułamek sekundy myślała, że mówi o niej, ale zaraz się zorientowała, że podziwia płaskorzeźby na suficie.

- Czym mogę służyć? – zapytała chłodno i wrogo.

Ku jej zdumieniu nie zerwał się na równe nogi zawstydzony. Co prawda opuścił stopy na podłogę, ale siedział dalej i taksował ją wzrokiem.

Był tak obcy w jej świecie, że poczuła niepokój i fascynację. Miał na sobie starą czarną skórzaną kurtkę i czarną koszulkę. Miał też długie włosy. Nie odrobinę dłuższe jak modni młodzi menedżerowie, tylko długie jak Indianin. Opadały aż na ramiona. Był mniej więcej rok od niej młodszy i niewiarygodnie bezczelny. Miał wystające kości policzkowe i wąskie usta. Przed wszystkim jednak uwagę zwracały jego oczy – czarny marmur upstrzony plamkami bursztynu. Wulgarnie.

Nie była to obleśna wulgarność. Nie rozbierał jej wzrokiem, nie oceniał. Wulgarna w jego spojrzeniu była intensywność, nie na miejscu przy tak krótkiej znajomości.

- Proszę, żeby pan natychmiast wyszedł - powiedziała.

- Chcę się widzieć z Joelem Faulconerem.

- To niemożliwe.

- Nie wierzę.

Dlaczego patrzy na nią, jakby była egzotycznym stworzeniem w zoo?

- Jeśli chce się pan z nim zobaczyć, proszę zadzwonić do jego sekretariatu i umówić się.

- Zrobiłem to. Wredna suka, która odbiera telefony, ciągle mnie splawia.

Jej głos nie był już chłodny, tylko zimny.

- Bardzo mi przykro, ale nic nie mogę na to poradzić. Bzdura.

Na jej szyi pojawiła się mała pulsująca żyłka, gdy mężczyzna wstał. W każdej chwili może wezwać pomoc, wiedziała o tym, ale nagle poczuła, że ma dość grubych hrabin i zblazowanych wiceprezesów. Czy to naprawdę będzie takie straszne... i niebezpieczne, jeśli poczeka tu kilka minut i wysłucha nieznanego? Dowie się, dlaczego chce zawracać głowę ojcu.

- To bzdura, że nic nie możesz poradzić - powtórzył.

- Prosiłam, żeby pan wyszedł.

- Kim jesteś? Jego żoną? Córką? Możesz wszystko. - Pstryknął palcami. - O tak, możesz mi załatwić spotkanie.

Uniosła głowę, odrobinę, tyle tylko, żeby móc patrzeć na niego z pogardą. Nauczyła się tej sztuczki od ojca.

- Jestem Susannah, jego córka. Dzisiaj wieczorem odbywa się tu przyjęcie. - Dlaczego mu się przedstawia? Co ją opętało?

- W porządku. Więc jutro. Zobaczę się z nim jutro.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

- Jezus Maria. - Patrzył na nią z obrzydzeniem. Pokręcił głową. - Kiedy cię zobaczyłem, tam, w drzwiach, miałem takie dziwne uczucie. Umilkł. Było tak jakby zagrał pierwszych siedem nut Piątej Symfonii Beethovena i zapomniał o ósmej. Susannah czekała. Bała się tak bardzo, że jej dłonie zwilgotniały od potu. Bała się, owszem, ale była też podekscytowana, co tylko potęgowało strach. Aż za dobrze wiedziała, że nieszczęście może nadejść z najmniej oczekiwanej strony, w najmniej spodziewanym momencie - w słoneczne czerwcowe popołudnie zza uśmiechniętej maski klauna. Mimo to nie chciała go zostawić i iść po pomoc. Może to efekt spotkania z Paige, a może zbyt wielu spotkań z ludźmi znacznie od niej starszymi.

- Jakie uczucie? - Nie chciała wcale o to zapytać, słowa same padły z jej ust. Wstał i obszedł biurko, nie odrywając od niej czarnych oczu z bursztynowymi plamkami.

- Uczucie, że może zrozumiesz.

Gdzieś w innym świecie przygrywał kwartet smyczkowy. Zaszło jej w ustach. Co zrozumieć? Teraz otwarcie i bezwstydnie taksował ją wzrokiem, jakby tylko on widział gorącą rudowłosą nimfę skrywającą się za zasłoną opanowania. Nie wiadomo skąd, wyobraźnia podsunęła jej nieoczekiwany obraz: ściąga z niej suknię. Trwało to zaledwie chwilę, ale skutki okazały się nie do zniesienia - najpierw wezbrało w niej pożądanie, a potem wstąpił do samej siebie.

Uśmiechnął się krzywo, jakby czytał w jej myślach, i rozchylił pełne bezczelne usta. Nagle dotarł do niej rytmiczny odgłos. Spojrzała w stronę, skąd dochodził. Stukał butem w skórzaną teczkę opartą o biurko ojca.

- Wiesz, co tam mam? - zapytał, ciągle stukając. Mówił z napięciem, z błyskiem w oku. Wyglądał jak Apacz, który zaraz zedrze skalp z głowy wroga. Nie mogła oderwać od niego wzroku, więc tylko

pokręciła przecząco głową.

- Klucz do przyszłości.

- Nie... nie rozumiem. - Znowu się zacina. Jąkała się przez kilka lat po porwaniu. Czyżby podświadomość wysłała sygnały ostrzegawcze?

Nagle uśmiechnął się szeroko, chłopięco, rozbijając. Podniósł walizkę z podłogi, postawił na wypolerowanym blacie biurka z orzecha. Nie przejął się, że rozsypał przy tym stertę papierów. Poglądził walizkę delikatnie.

- Tutaj jest koło. Ogień. Pierwsza maszyna parowa. Pierwsza przedziałnia. Geniusz Edisona i braci Wright, Einsteina i Galileusza. W tej walizce mam przyszłość całego pieprzonego świata.

Nie usłyszała przekleństwa, zahipnotyzowana pasją w jego głosie.

- To ostatnia granica - mówił. - Na Alasce wybudowano wieżowce, w Afryce restauracje McDonald's. W Chinach kupisz pepsi. Starsze błękitnowłose panie latają weekend na Antarktydę. Została jeszcze jedna granica, jeden kontynent do podbicia i mam do niego klucz. Starła się zachować chłodną, obojętną twarz, nie zdradzić, o czym myśli, ale po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, nie bardzo jej się to udawało. Podszedł bliżej, tak, że teraz patrzyli sobie w oczy. Nawet jego oddech zdawał się emanować energią. Chciała zatrzymać go w płucach, żeby zobaczyć, jak to jest.

- Bariera umysłu - szepnęła. - Nie ma innych granic. A klucz spoczywa w tej walizce.

Nie ruszała się przez chwilę, aż jego słowa dotarły do logicznie myślącej części jej mózgu. Zdała sobie sprawę, że robi z siebie idiotkę. Poczuli się oszukana i zła.

- Jest pan sprzedawcą - stwierdziła. Była zdenerwowana, bo miała wrażenie, że wyrwano jej z rąk błyszczącą gwiazdę. To tylko sprzedawca. Stała tu i jak zaczarowana słuchała handlarza odkurzaczami.

Roześmiał się. Był to śmiech młodości, głośny i beztroski, zupełnie inny niż stłumione chichoty, do których przywykła.

- Tak, można tak powiedzieć. Sprzedaję marzenie, przygodę, nowy styl życia.

- Mój ojciec nie kupi polisy ubezpieczeniowej. - W jej słowach wyraźnie słychać było sarkazm. Rzadko posuwała się do złośliwości. Ojciec tego nie pochwalał. Oparł się o biurko, skrzyżował nogi i uśmiechnął do niej.

- Masz męża? Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Nie, ja... jestem zaręczona. To nie pański interes! - Dlaczego się zacina? Od lat umie sobie radzić w trudnych sytuacjach. Ukryła niepokój pod chłodem i wrogością: - Pozwoli pan, że udzielę panu pewnej rady, panie...

- Gamble. Sam Gamble.

- Wątpię, żeby udało się panu spotkać się z moim ojcem. Dobrze strzeże dostępu do siebie. Ale w FBT są inni....

- Już z nimi rozmawiałem. To idioci. Chodzące trupy w trzyczęściowych garniturach.

Dlatego zdecydowałem się zakłócić waszą imprezę. Muszę pogadać z twoim starym.

- Ma gości.

- Więc załatw mi spotkanie w poniedziałek, dobrze?

- Nie, nie dobrze. Będzie zły...

- Wiesz co, naprawdę mnie wkurzasz. - Zacisnął usta w wąską kreskę, położył dłonie na skórzanej walizce. - Nie wiem, czy ci pokazać, czy nie, nawet jeśli tylko przez ciebie dotrę do starego. Nie

podobasz mi się.

Zaniemówiła, słysząc taką bezczelność.

- Ja ci się nie podobam?

- Już wystarczająco okropne jest to, że muszę przyjść do tak reakcyjnej firmy jak FBT z czapką w garści.

W bibliotece Joela Faulconera wygłaszano herezję. Powinna być zła, tymczasem czuła dreszcz podniecenia. Szybko się opanowała i odpokutowała grzech:

- FBT to jedna z najbardziej postępowych i wpływowych firm na świecie - oznajmiła prawie takim tonem jak ojciec.

- Skoro jest taka postępowa, to dlaczego nikt w tej zakichanej firmie nie chce ze mną rozmawiać?

- Panie Gamble, może nie ma pan odpowiednich referencji. - Nie wspominając o skórzanej kurtce. I długich włosach. I zdecydowanie zbyt obcisłych dżinsach.

- Referencje to bzdura. - Chwycił walizkę, przecesał włosy palcami. Był nerwowy i spięty. - Słuchaj, muszę się z tym przespać. Wysyłasz sprzeczne sygnały i nie wiem, co z tym zrobić. Wiesz co? Jeśli uznam, że jesteś w porządku, spotkamy się jutro w południe przed rotundą przy Akademii Sztuk Pięknych. Jeśli mnie nie będzie, to znaczy, że zmieniłem zdanie. - Ruszył do drzwi.

Zdumiona wpatrywała się w jego plecy.

- Nigdzie nie przyjdę.

Zatrzymał się i powoli odwrócił w jej stronę. Uśmiechnął się lekko, unosząc kącik ust.

- Ależ tak, Suzie. Nie przegapisz takiej okazji za żadne skarby świata. A wiesz dlaczego? Bo głęboko pod tą uroczą buzią pokerzysty uważasz, że jestem cholernie pociągający. I wiesz co? Ty też. Stała bez ruchu, gdy zamykały się za nim drzwi. Miała wrażenie, że jej skóra płonie. Nikt nigdy nie powiedział, że jest pociągająca. Nikt. Nawet Cal, jej kochanek. Zaraz jednak przyszła pogarda, że dała się nabrać – choćby przez moment – takiemu prostakowi. Czy Sam Gamble naprawdę myśli, że się z nim jutro spotka? Wyobraziła sobie, jak przychodzi w umówione miejsce i przekonuje się, że wystawiła go do wiatru. Sprawilo jej to dużą przyjemność.

Wyprostowana, jakby miała na sobie fiszbinowy gorset z ubiegłego stulecia, wróciła do gości. Przez resztę wieczoru uparcie ignorowała zapomniane wezwanie z przeszłości. „Baloniki za darmo. Za mną, za mną”. Po powrocie do domu Sam Gamble przekonał się, że w garażu nadal palą się światła. Nic dziwnego. Czasami gości dopiero koło piątej, szóstej nad ranem. Odstawił walizkę na stół kuchenny. Był to zwykły, stary stół z porysowanym blatem i metalowymi nogami. W oknie wisiała smętna paprotka. Na parapecie poniewierało się puste opakowanie po chipsach i brzydki ceramiczny pojemnik na ciasteczka. Uniósł pokrywę i wrzucił do środka elektroniczne cacko, dzięki któremu sforsował bramę Falcon Hill. Była tak zaszokowana, że nawet nie zapytała, jak się dostał na teren posiadłości. Otworzył energicznie lodówkę. Zajrzał do środka. Cholera. Skończyło się spaghetti. Zamiast jedzenia wyjął puszkę coli. Napił się, zabrał ze stołu walizkę i poszedł do garażu. Nad stołem roboczym pochylał się mężczyzna. Nie zareagował na wejście Sama. - Dzisiaj poznałem najbardziej fascynującą kobietę na świecie. - Sam rozsiadł się na brudnej kanapie obitej materiałem w kwiatki. - Żałuj, że jej nie widziałeś. Wygląda jak ta aktorka, o której ci opowiadałem, ta ze sztuki na PBS – Mary Streep czy jakoś tak – ale jest ładniejsza. I opanowana. Jezu, jaka ona jest opanowana. Pozornie chłodna. Ma klasę. Ale w oczach... Sam nie wiem. Udawała wredną sukę, więc uznałem, że nie ma sensu jej pokazywać. A chciałem. Chciałem, żeby to do niej dotarło. – Sam ułożył się wygodnie i postawił puszkę coli na piersi. - Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś ruszał się tak jak

ona. Jest spokojna, rozumiesz. Spokojna, nawet kiedy się rusza.

Nie podniosła głosu, choć pewnie bardzo ją wkurzyłem. Sączyl colę przez jakiś czas. W końcu wstał i podszedł do stołu roboczego.

- Muszę pogadać z jej starym, pokazać mu, co mamy, ale zawsze ktoś mi przeszkadza. Może jeśli ją zainteresuję, załatwi mi audiencję. Nie podoba mi się, że się sprzedamy FBT, ale nie mamy wyjścia. Sam nie wiem. Może wcale nie przyjdzie. Muszę to przemyśleć. – Obserwował dłonie drugiego mężczyzny - precyzyjne ruchy, pewny dotyk. Potrząsnął głową z podziwem. - Jesteś geniuszem, Yank, wiesz o tym? Prawdziwym geniuszem. Objął go i pocałował w policzek. Mężczyzna nazwany Yankiem wyrwał mu się gwałtownie.

- Co ci odbiło? - Wytarł policzek rękawem. - Dlaczego to zrobiłeś? - Bo cię kocham - odparł Sam z krzywym uśmiechem. - Bo jesteś pieprzonym geniuszem.

- Ale nie musisz mnie zaraz całować. - Ponownie wytarł policzek. Uspokoił się i rozejrzał po garażu, jakby nie było go tu od dawna. - Sam? Kiedy wróciłeś? Nie słyszałem, jak wszedłeś. Sam uśmiechnął się szerzej.

- Przed chwilą, Yank. Dosłownie przed chwilą.

## Rozdział czwarty

Conti Dove, który przyszedł na świat jako Constantine Dovidio, był głupi, słodki i bardzo pociągający. Kilka miesięcy temu jakaś dziewczyna powiedziała mu, że wygląda jak John Travolta, i od tego czasu powtarzał to Paige nieustannie. Conti miał ciemne włosy i akcent z New Jersey. Zdaniem Paige podobieństwo do aktora na tym się kończyło. Paige prawie go kochała. Conti był dla niej dobry i zbyt głupi, żeby się zorientować, że Paige jest do niczego.

- Dobrze ci, malutka? - zapytał, przebierając palcami, jakby nadal grał na gitarze.

- Och, tak, tak. - Jęczała, wiała się, odgrywała przedstawienie, żeby Conti się nie zorientował, że jego ognista panienka nie znosi, kiedy jej dotyka.

Conti nie był złym kochankiem. Naciskał właściwe guziki, nie zasypiał, gdy skończył. Po prostu Paige nie lubiła seksu. Rzecz jasna sypiała z mężczyznami, wszyscy to robili, i lubiła, kiedy Conti ją do siebie tulił. Najczęściej jednak nie miała ochoty się kochać. Czasami wręcz tego nie znosiła.

Kiedy miała szesnaście lat, zgwałcił ją student z college'u. Poznała go na koncercie rockowym w parku Golden Gate. Nigdy nikomu o tym nie powiedziała. Ludzie albo by jej współczuli, albo twierdziliby, że sama się o to prosiła. Conti pieścił ją, a ona czekała, aż skończy. Trzymała go za muskularne ramiona i rozglądała się po malutkim pokoju. Miał muskularne ramiona dzięki hantlom, które poniewierały się w rogu ciasnej sypialni. Pokój był czysty, zadbała o to, ale bardzo brzydki.

Jedynie wyposażenie stanowiły niedobre krzesła, stolik i materac na podłodze. Paige obawiała się zasnąć, kiedy Contiego przy niej nie było - bała się, że mysz wplącze się jej we włosy.

- Powiedz mi, jak ci dobrze - szeptał jej do ucha. - Powiedz...

- Cudownie, Conti. Cudownie.

- Malutka, malutka... Jezus, jak ja cię kocham. - Wszedł w nią i poruszał się rytmicznie, jakby też słyszał piosenkę *I can't get no satisfaction*, którą ona ciągle słyszała. Ta piosenka wychodziła zespołowi Doves najlepiej. Paige śpiewała chórki, Jason grał na basie, Benny na perkusji. Mike szalał przy klawiszach, a Conti śpiewał, zrywał struny gitary i kołysał biodrami.

*I... can't...get no... satis...faction....*



Conti złapał ją za pośladki i uniósł, żeby wejść głębiej. W myślach uciekła w piękne miejsce – do wiejskiego ogrodu pełnego słońca i kwiatów, ze starą metalową pompą pośrodku. Niemal słyszała śpiew ptaków, czuła słodki zapach dzwonków. Wyobraziła sobie, że leży na kocu w cieniu wiekowego drzewa, a obok niej wesoły różowy bobas wymachuje rączkami. Jej dziecko. Dziecko, które usunęła.

*I can't...get no...*

*I cant..get no...*

Conti jęknął cicho i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi. Nagle ogarnęła ją głupia potrzeba chronienia go. Gładziła spocone plecy. Ilu już mężczyzn dyszało jej w szyję? Ponad tuzin. Grubo ponad tuzin. Jej przyjaciółka Roxie twierdziła, że dziewczyna jest naprawdę nieprzyzwoita, dopiero kiedy liczba jej kochanków jest trzycyfrowa. Paige jednak czuła, że jest nieprzyzwoita, odkąd została zgwałcona.

Conti się uspokoił, zajrzał jej w oczy i mruknął: - Kocham cię, malutka. Miał łzy w oczach i ku swemu zdumieniu poczuła, że jej także zbiera się na płacz.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała, choć wiedziała, że to nieprawda. Uznała jednak, że okrucieństwem byłoby powiedzieć coś innego. Przez igraszki w sypialni byli już spóźnieni, musieli się więc pospieszyć. Wszyscy członkowie zespołu Doves, cała piątka, pracowali w knajpie Taffy jako kelnerzy. Nie dostawali pensji i mogli zatrzymywać tylko połowę napiwków, ale zgadzali się na to, bo właściciel pozwalał im grać przez godzinę co wieczór.

Taffy był trzeciorzędny klubem w niezbyt malowniczej dzielnicy San Francisco, zdarzało się jednak, że przy najlepszym stoliku zasiadały grube ryby. Conti miał nadzieję, że ktoś kiedyś pozna się na Doves. W chwilach depresji Paige wydawało się, że tylko Conti ma dość talentu, by występować w lepszym miejscu niż Taffy, zazwyczaj jednak starała się unikać czarnych myśli. Może nie jest dobrą piosenkarką, ale i tak odniesie sukces i rzuci go ojcu w twarz.

Wchodzili już do klubu, gdy Conti pomachał komuś i wrzasnął na całe gardło: Hej, Ben!

Paige skrzywiła się, słysząc głośny okrzyk. Podszedł Benny Smith, perkusista. Był drobny i szczupły, miał jasnobrażową skórę i afro na głowie.

- Hej, Conti. Jak leci?

Conti wsunął dłoń pod jej włosy i objął ją za kark jak szkolny bohater cheerleaderkę.

- Normalnie. Słyszałeś coś jeszcze o tym gościu z Detroit, o którym mówił Mike?

- Facet się zmył - odparł Ben. – Ale podobno wczoraj w Bonzo's byli jacyś kolesie z Azday Records.

- Żartujesz! Może wpadną i do Taffy.

Paige nie wierzyła w to. Bonzo's był zdecydowanie lepszym klubem, zatrudniano tam lepszych wykonawców. Słuchała rozmowy Benny'ego i Contiego i zazdrościła im. Zachowywali się, jakby lada dzień mieli znaleźć złoty klucz do drzwi sukcesu. Nie pamiętała już, jak to jest mieć takie marzenia. Tego wieczora w Taffy było jeszcze mniej gości niż zazwyczaj, więc spóźnieni tym bardziej rzucali się w oczy. Doves grali właśnie trzeci kawałek Stonesów, gdy przy najlepszym stoliku usiadło dwóch mężczyzn. Paige, w tandetnym niebieskim kombinezonie, z tamburynem w dłoni, zauważyła ich od razu. Jeden miał ponad pięćdziesiąt lat, jego towarzysz był sporo młodszy. Obaj wyglądali na ludzi sukcesu. Ich garnitury miały połysk charakterystyczny dla jedwabiu, mignęły jej drogie zegarki na przegubach.

Benny stracił rytm, kiedy ich zobaczył. Skończyli *Heart of Stone*. To ci goście z Azday Records. Ten stary to Mo Geller. Dalej, nie schrzaniemy tego! To nasza szansa! Conti spojrział na nią przerażony.

Paige była spokojna, zważywszy na powagę chwili, i uśmiechnęła się do niego z otuchą. Benny podał rytm. Zagrali. Poczuli rytm, potrząsnęła długimi włosami. W świetle reflektorów wyglądało to, jakby jej głowa stanęła w płomieniach.

Conti odwrócił się w jej stronę. Nagle coś go opętało. Uśmiechnął się zmysłowo – rzucił jej wyzwanie. Podjęła rękawicę. Zakręcił biodrami. Odpowiedziała śmiechem i uwodzicielsko odeła usta. Podszedł do niej, nie przerywając grać, i pochylił się przed nią. Smagała go włosami. Wykonywali szalony, nieprzyzwoity taniec przy akompaniamencie okrzyków zachwyty innych członków zespołu. Po tej piosence nagrodzono ich najgłośniejszymi brawami, jakie kiedykolwiek dostali.

Dwaj mężczyźni obejrzeni ich występ do końca, później postawili wszystkim drinki.

- Cóż, dzieciaki, macie w sobie masę energii - stwierdził Mo Geller. - Gracie jakieś własne kawałki?

Benny potwierdził i Doves wrócili na scenę, żeby zagrać dwie piosenki autorstwa basisty.

Kiedy skończyli, Mo wręczył im wizytówkę ze słowami:

- Za wcześnie jeszcze, żeby rozmawiać o kontrakcie, ale spodobaliście mi się. Będziemy w kontakcie.

Cały zespół poszedł do Paige i Contiego, żeby świętować. Palili trawę, opowiadali głupie dowcipy, pili tanie wino. Conti wygłosił długą przemowę, mówił, ile wszyscy dla niego znaczą, i zalał się łzami. Byli pijani, naćpani i oszołomieni szansą na sukces. O świcie mężczyźni zasnęli. Paige siedziała na krześle przy oknie. O szóstej wymknęła się z mieszkania i na palcach podeszła do telefonu, który wisiał przy wejściu do bloku. Wyłowiła monetę z kieszeni dżinsów i po chwili wahania wykręciła numer. Susannah jeszcze śpi, gospodyni przychodzi o ósmej. Ojciec odbierze, chyba że gdzieś wyjechał.

- Tak? - rzucił oschle, jakby rozmawiał przez interkom w biurze. Zwijała brudny kabel w palcach.

- Tatusiu, to ja, Paige. Chwila ciszy.

- Jest szósta rano, Paige. Właśnie się ubieram. Czego chcesz?

- Posłuchaj, przepraszam, że wczoraj nie przyszedłam na twoje urodziny. Nie... nie mogłam.

- Nie wiedziałem, że jesteś zaproszona.

Jej usta wykrzywił grymas goryczy. Właściwie mogła się domyślić, że zaproszenie pochodzi od świętej Susannah.

- No cóż, byłam. Rozumiem.

Wbiła wzrok w porysowaną ścianę. Mówiła szybko, gorączkowo.

- Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, że wczoraj wieczorem słyszał nas facet z Azday Records i chyba podpiszą z nami kontrakt.

Zamknęła oczy, prawie nie oddychała, czekając na jego reakcję. W myślach zaklinała go, żeby powiedział to, co chciała usłyszeć - słowa pochwały, zachęty.

- Rozumiem - powtórzył.

Oparła czoło o ścianę, zacisnęła dłoń na słuchawce tak mocno, że pobieleły jej kłykcie.

- To jeszcze nic pewnego, wiesz. Azday to duża firma. Oglądają wiele zespołów. Może nic z tego nie będzie.

Joel westchnął ciężko.

- Nie wiem, dlaczego zadzwoniłaś, żeby mi o tym powiedzieć, Paige. Chyba nie spodziewasz się mojego błogosławieństwa. Kiedy zaczniesz postępować jak dorosła? Skrzywiła się.

- Hej, Joel, bawię się świetnie. Życie jest za krótkie na bzdury. - Płakała. Odpowiedział chłodno, głosem pełnym dezaprobaty:

- Muszę się ubrać, Paige. Kiedy zaczniesz zachowywać się odpowiedzialnie, bardzo chętnie z tobą porozmawiam. Głuche stuknięcie oznaczało koniec rozmowy. Paige stała bez ruchu ze słuchawką w dłoni. Jej łzy zmazywały sprośne napisy i numery telefonów sprzed dziesięciu lat nabazgrane na ścianie.

- Nie odchodź - szepnęła. - Nie chciałam cię zmartwić. Nigdy. Chciałam tylko, żebyś mnie zauważył, żebyś był ze mnie dumny. Proszę, tatusiu. Bądź ze mnie dumny. Trzasnęły drzwi. Na korytarzu pojawił się dwudziestolatek. Szedł do pracy. Odwiesiła słuchawkę i wyprostowała się szybko, jakby ktoś uderzył ją w plecy. Uniosła głowę i minęła go, kołysząc biodrami. Zagwizdał z podziwem. Potrząsnęła włosami.

- Pieprz się, gnojku.

Srebrny mercedes sedan Susannah – urodzinowy prezent od ojca – wjechał na parking przed budynkiem Akademii Sztuk Pięknych. Rotunda górowała nad innymi budynkami San Francisco Marina District. Przypominała barokowy ślubny tort. Zanim dotarła do miasta, zaczęło mżyć. Drżącą ręką wyłączyła silnik i wycieraczki. Jeszcze może zawrócić, powtarzała sobie. Nerwowo dotknęła starannie upiętych włosów. Wsunęła kluczyki do torebki. Gdy wysiadała z samochodu, miała wrażenie, że ktoś obcy kieruje jej ciałem, jakaś nieznana buntowniczką. Dlaczego to robi? Poczucie winy nie dawało jej spokoju. Zachowuje się równie niepoważnie i nieodpowiedzialnie jak jej siostra, a przecież zawsze ją za to krytykowała.

Szła przez parking w stronę głównego budynku. Woląca myśleć o historii architektury niż o swoim zachowaniu. Budynek Akademii Sztuk Pięknych powstał w 1913 roku jako część wystawy, zorganizowanej, by uczcić oddanie do użytku Kanału Panamskiego. Pod koniec lat pięćdziesiątych odrestaurowano go. Teraz mieściło się tu Exploritorium, ukochane muzeum dzieciaków, w którym wszystkiego można dotknąć. Do niedawna Joel zasiadał w tutejszej radzie nadzorczej, teraz ona zajęła jego miejsce.

Minęła Exploritorium w drodze do rotundy stojącej nad małym jeziorkiem. Rotunda, otwarta na żywioły, miała masywne kolumny i kopułę ozdobioną klasycznym fryzem. Padało coraz bardziej.

Patrząc na smutny, pusty staw, skrzyżowała ręce na piersi. Miała na sobie wełniane spodnie i sweter, a i tak żałowała, że nie ubrała się cieplej. Nerwowo bawiła się pierścionkiem zaręczynowym. Oprócz niego nosiła tylko mały złoty zegarek.

- Mniej znaczy więcej - zwykła mawiać jej babka. - Pamiętaj, Susannah. Mniej zawsze znaczy więcej.

Czasami jednak Susannah wydawało się, że mniej to po prostu mniej. Była coraz bardziej niezadowolona. Niepotrzebnie tu przyszła. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Wmawiała sobie, że jedynym powodem jest ciekawość, co takiego Sam Gamble ukrywa w skórzanej walizce, ale w głębi serca wiedziała, że to nieprawda.

- Nie myliłem się co do ciebie.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła, jak wchodzi pod kopułę. Na jego kurtce lśniły krople deszczu, we włosach mignęło coś srebrnego. Zdumiona przyjrzała mu się uważnie i dostrzegła kolczyk. Jej żołądek poruszył się niespokojnie. Jaka kobieta wymyka się w tajemnicy przed ojcem i narzeczonym na spotkanie z mężczyzną, który ma kolczyk w uchu? Postawił skórzaną walizkę na skrzyni pozostawionej pewnie przez robotników, którzy remontowali rotundę. Pachniał deszczem – poczuła

to, gdy podszedł bliżej. Popatrzyła na ciemny kosmyk na policzku, przesunęła wzrok na kolczyk, który wyglądał jak jedna z prymitywnych rzeźb z Wyspy Wielkanocnej. Kiedy Sam mówił, kolczyk kołysał się rytmicznie jak wahadełko hipnotyzera.

- Zazwyczaj oczekuję od ludzi zbyt wiele i spotykają mnie rozczarowania. Wsunęła dłonie w kieszenie swetra, zdecydowana milczeć, jak zawsze, gdy czuła się niepewnie. Jak na ironię właśnie te chwile milczenia sprawiły, że cieszyła się opinią osoby egocentrycznej. Raptem, jakby zahipnotyzował ją srebrny kolczyk, usłyszała własny głos:

- A ja oczekuję od ludzi zbyt mało.

Jak na nią powiedziała o sobie bardzo dużo, on tymczasem tylko wzruszył ramionami:

- Nie dziwię się. - Obserwował ją z irytującą intensywnością. Nagle uśmiechnął się zawadiacko. - Chcesz się przejechać na moim harleyu?

Patrzyła na niego dłuższą chwilę i wtem, ku swemu zdumieniu, uśmiechnęła się. Jego pytanie było tak nieoczekiwane, tak cudownie zaskakujące. Nikt nigdy jej o coś takiego nie pytał.

- Nie należę do miłośniczek motocykli.

- To co? Jechałaś już kiedyś na motorze?

Przez chwilę wyobrażała sobie, jakie to uczucie, ale zaraz dotarło do niej, że to niebezpieczne i nieprzyzwoite. Pokręciła przecząco głową.

- Jest super - powiedział. - To fantastyczne uczucie. Siadasz na motor. Czujesz siłę między nogami...

Wibracje, warkot silnika. - Zniżył głos, nie odrywając od niej oczu. - Prawie tak samo fajne jak seks. Była mistrzynią świata w dziedzinie ukrywania uczuć. Na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień - nie dała po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa. Nagle zobaczyła z całą ostrością, jaki błąd popełniła, przychodząc tutaj. Było w nim coś, co przypominało jej nieprzyzwoite fantazje.

- O ile pamiętam, chciał się pan ze mną spotkać, żeby rozmawiać o interesach, panie Gamble.

- Myślałem, że rudzielce mają ognisty temperament. A ty się chyba nigdy nie złościsz.

Nie wiadomo dlaczego, odebrała to jako obelgę.

- Oczywiście, że się złościsz.

- Wkurzyłaś się kiedyś naprawdę?

- Jak wszyscy.

- Cisnęłaś czymś?

- Nie.

- Uderzyłaś kogoś?

- Skądże.

W kącikach jego ust czaił się kpiący uśmiech.

- Nazwałaś kogoś dupkiem?

Już miała odpowiedzieć wyniośle, jak na to zasłużył, ale znowu zdradził ją uśmiech.

- Zostałam zbyt dobrze wychowana.

Uniósł rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Jesteś wyjątkowa, wiesz o tym, Suzie?

Uśmiech zniknął. Miał szorstką skórę. Ręce Cala były tak gładkie, że czasami nawet nie zauważała, że jej dotyka. Odsunęła się.

- Mam na imię Susannah. Nikt nie mówi do mnie Suzie.

- To dobrze.

Zła na siebie, nerwowo poprawiła skórzany pasek torebki na ramieniu.

- Może mi pan powie, po co to spotkanie? Roześmiał się.

- Wiesz, poza kilkoma profesorami w college'u nikt, kogo znam, nie używa takich sformułowań jak ty.

- Był pan w college'u? - To nie pasowało do wizerunku zbuntowanego motocyklisty.

Kilka lat. Potem mi się znudziło.

- Nie wyobrażam sobie, jak college może się komuś znudzić.

- Cóż, jestem zmienny. - Nie pytając o pozwolenie, wziął ją za ramię i poprowadził do drewnianej skrzyni. - Siadaj. Chcę ci coś pokazać.

- Posłusznie przysiadła i skrzyżowała ręce na kolanach. On tymczasem podniósł skórzaną walizkę. -

Lubię wzywania, Suzie. Przygody. Może zrozumiesz, kim jestem, kiedy zobaczysz, co tu mam.

Wstrzymała oddech, gdy mocował się ze sprzączkami. Co takiego może mieć w starej walizce ten szaman, showman, motocyklista? Wyobraźnia podsuwała jej beznadziejnie romantyczne obrazy: pożółkłe mapy wyspy skarbów, bezcenne klejnoty z prastarymi klątwami, święte zwoje z jaskiń nad Morzem Martwym.

Uniósł wieko dramatycznym gestem. Milczał dłuższy czas. Kiedy w końcu się odezwał, mówił natchnionym szeptem, jaki zazwyczaj można usłyszeć w kościele:

- Widziałaś kiedyś coś równie pięknego? Zajrzała do walizki i poczuła się rozczarowana.

- Zobacz, jakie to eleganckie, cholernie efektywne. To jest to, Suzie. To jest nowe życie.

Widziała tylko płataninę kabli.

- To komputer, Suzie. Komputer na tyle mały i na tyle tani, że może zmienić świat. Jej rozczarowanie było niemal namacalne. Więc po to wymknęła się z domu jak przestępczyni? To chyba stres spowodowany ślubem, bo jak inaczej wyjaśnić tak nierozsądne zachowanie? Poprawiła pierścionełk zarczynowy i wróciła do swojej starej skorupy.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego mi to pan pokazuje. - Chciała wstać, ale pchnął ją z powrotem na miejsce. Zdziwiona krzyknęła cicho.

- Wiem, co myślisz. Myślisz, że to za małe na komputer. Wcale nie o tym myślała, ale może lepiej przyznać mu rację.

- FBT jest pionierem technologii komputerowej od lat pięćdziesiątych - powiedziała spokojnie. -

Przez całe życie otaczały mnie komputery. Są dużo większe niż to.

- No właśnie. Nawet tak zwane minikomputery są wielkie jak lodówka. Ale to naprawdę jest komputer, Suzie. To jest serce komputera. Mikrokomputer. A Yank ciągle nad nim pracuje.

- Yank?

- To geniusz. Urodzony haker. Przyjaźnimy się od lat. Wymyśla najcudowniejsze elektroniczne zabawki, jakie sobie możesz wyobrazić. Postawił sobie za punkt honoru, żeby zmieścić wszystko na jak najmniejszej ilości chipów. Gdyby pomogła nam jakaś duża firma, nasz komputer wszedłby na rynek pod koniec roku. Mówiąc „duża firma”, miał na myśli FBT. Jak mogła zapomnieć, że potrzebna mu była tylko jako droga dojścia do ojca?

Zrobił z niej idiotkę, więc odpowiedziała wrogością. To nie było w jej stylu, ale też nie w jej stylu było wykradanie się z domu na spotkanie z naciągaczem. Lekceważąco machnęła ręką w stronę płataniny kabli i niewielkich części, które wyraźnie dla niego miały wielką wartość.

- Nie wiem, kto chciałby to kupić. - Żartujesz, prawda?

- Ja nigdy nie żartuję.

Spostrzegła jego zniecierpliwienie i jak zahipnotyzowana patrzyła, jak daremnie stara się zapanować

nad sobą. W przeciwieństwie do niej nie ukrywał chyba niczego. Jak to jest być wolnym?

- Nie rozumiesz, prawda? – zapytał.

- Czego nie rozumiem?

- Pomyśl, Suzie. Większość komputerów w tym kraju to maszyny warte miliony dolarów. Stoją w bunkrach, do których mają dostęp tylko faceci w trzyczęściowych garniturach, faceci z przepustkami, identyfikatorami. Firmy takie jak FBT i IBM produkują komputery dla wielkich firm, dla rządu, uniwersytetów, dla wojska. Grube ryby robią komputery dla grubych ryb. Komputery to wiedza, Suzie. To władza. Dotąd wielkie firmy i rząd całą władzę mieli dla siebie i trzymali pod kluczem.

Wskazała głową niepozorną walizkę.

- I to coś zmieni?

- Nie od razu. Ale z czasem tak, zwłaszcza jeśli stanie za nami taka firma jak FBT. Musimy być samowystarczalni. Potrzebny jest terminal i monitor. Yank wciąż nad tym pracuje. To geniusz.

- Nie darzy pan FBT szacunkiem. Dlaczego chce im pan przedstawić swój pomysł?

- Nie mam pieniędzy, nie mogę sam produkować. Jasne, moglibyśmy z Yankiem sprzedać kilka egzemplarzy znajomym, ale to za mało. Nie rozumiesz? Gigant taki jak FBT rozpocznie lawinę. Jeśli FBT wypuści komputer Yanka na rynek, ludzie będą go kupować. Będzie ich na to stać. Komputer domowy. Twój. Który stanie na biurku. Za kilka lat dzisiejsze wielkie komputery będą jak dinozaury. Jego oczy płonęły, opowiadał z taką energią i zapałem, że przez moment dała się porwać wizji, zanim wzięła się w garść.

- Jak to działa?

- Tu ci nie pokażę. Trzeba go podłączyć do prądu. Załadować pamięć. Trzeba mieć klawiaturę taką jak maszyna do pisania. Telewizor.

- Innymi słowy, to jest nic.

- To jest komputer, na litość Boską!

- Ale nic nie zrobi bez tych wszystkich dodatków, tak?

- Tak.

- Tracisz czas, Sam. Mój ojciec nie będzie zainteresowany. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał to kupić.

- Cały pieprzony świat będzie to kupował! Za kilka lat komputer będzie w domu takim samym sprzętem jak lodówka czy toster. Nie rozumiesz? Była zła, że tak ją atakuje, ale nie dała tego po sobie poznać. Mówiła spokojnie, ale pewnym głosem, jak na spotkaniu komitetu dobroczynnego w szpitalu:

- Może w XXI wieku, ale nie w 1976 roku. Po co komu maszyna, która nie działa, dopóki nie podłączy się do niej masy innych?

- Na razie to sprzęt dla hobbystów, ale w latach osiemdziesiątych...

- Nie znajdzie się tylu hobbystów, żeby opłacało się to produkować. - Zerknęła na zegarek, żeby dać mu do zrozumienia, że ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż siedzieć tu i słuchać mrzonek.

Pokręcił głową i spojrzał na nią z ledwie skrywaną wrogością.

- Wyglądasz na inteligentną, ale nic nie rozumiesz. Czyżby tyle czasu zajmowało ci wydawanie przyjęć, że nie widzisz, co się dzieje dookoła? To Kalifornia. Mieszkasz w Dolinie Krzemowej. Światowa stolica elektroniki leży u twoich stóp. Masy ludzi czekają na coś takiego.

Jako córka Joela Faulconera wychowała się w świecie, w którym najnowocześniejsza technologia była czymś równie oczywistym jak zupa na obiad. Nie była ignorantką i nie podobało się jej, że

traktuje ją z góry.

- Przykro mi, Sam - powiedziała sztywno - ale widzę tylko walizkę pełną elektronicznych drobiazgów, które nic nie mogą. Tracisz czas. Mój ojciec nie zechce się z tobą spotkać, a w każdym razie nie będzie zainteresowany czymś tak mało przydatnym.

- Więc go przekonaj, Suzie. Niech się zgodzi mnie przyjąć. Resztę zostaw mnie. Popatrzyła na skórzaną kurtkę, długie włosy, srebrny kolczyk.

- Przykro mi, ale nie mogę.

Zacisnął wąskie usta, zapatrzył się gdzieś ponad nią, w przestrzeń. Mżawka zamieniła się w ulewę, woda w stawie wzburzyła się. Wsunął ręce do kieszeni kurtki.

- No dobrze. Spotkaj się ze mną w przyszłym tygodniu. To możesz zrobić.

Zaniepokoiła się. Jedno spotkanie wystarczy, drugie byłoby niewybaczalne.

- To niemożliwe.

- Tak ci się tylko wydaje. Wyluzuj się. Zaszalej.

- Nie rozumiesz. Jestem zaręczona. To byłoby niestosowne, gdybym się znów z tobą spotykała.

- Niestosownie? - Pytająco uniósł brwi. - Nie proszę, żebyś poszła ze mną do łóżka. Chcę tylko, żebyś poznała moich znajomych. Zgódź się, Suzie. Zapomnij o etykiecie. Nie chciała, żeby zobaczył, jak bardzo jest poruszona. Wzięła torebkę z ziemi i wstała - wyprostowana Susannah Faulconer, otulona przyzwoitością jak szalem starej ciotki. Wyjęła z torebki kluczyki.

- Kogo chcesz mi przedstawić? - zapytała chłodno. Sam Gamble się uśmiechnął.

- Hakerów, skarbie. Prawdziwych hakerów.

## Rozdział piąty

Najdziwaczniejsi z dziwaków - kalifornijscy chłopcy w okularach - dorastali na przedmieściach na południe od San Francisco. W pozostałej części Ameryki amerykański futbol i bejsbol królowały niepodzielnie, ale w dolinie Santa Clara oddychało się elektroniką. Zdomowały się tu Stanford i Hewlett-Packard, a także inne firmy i laboratoria. Od świtu do zmierzchu chłopcy z doliny spędzali czas wśród cudów tranzystorów i półprzewodników.

Ich idolami byli nie sportowcy i aktorzy, lecz inżynierowie z sąsiedztwa - mężczyźni pracujący w laboratoriach Lockheed i Sylvania. W dolinie Santa Clara powietrze było przesiąknięte elektroniką, a okularnicy z przedmieść i inżynierowie okazali się współczesnymi podróżnikami, odkrywcami egzotycznych tajemnic przepływu elektronów i fal sinusoidalnych.

Chłopcy rozwinęli handel wymienny. Podejmowali się drobnych prac w zamian za części, które dorosli wynosili z fabryk i laboratoriów. Okularnicy myli samochody, malowali garaże i wydawali każdego zarobionego centa na części, z których w zaciszach swoich sypialni składali rozmaite elektroniczne zabawki. Szczerze mówiąc, tylko na to mogli wydawać pieniądze. Większość z nich nie miała jeszcze prawa jazdy. Starsi i tak nie musieli oszczędzać na randki, bo żadna szanująca się dziewczyna z Kalifornii nie pokazałaby się w towarzystwie podobnych indywidualistów. Najdziwaczniejsi z dziwaków - grubi tak, że brzuchy wylewały im się zza pasków, chudzi tak, że grdyki zdawały się przebijać skórę na szyi.

Pryszczaci, w okularach, przygarbieni. Gdy podrośli, szli do college'u. Mimo wysokiego ilorazu inteligencji wielu najzdolniejszych nigdy nie skończyło studiów. Zbyt dobrze się bawili, łamiąc kody na uniwersyteckim komputerze, żeby chodzić na zajęcia z termodynamiki albo uczyć się do egzaminu

z fizyki kwantowej. Programowali wielkie maszyny i grali w gry, które sami wymyślali, gdzie kosmos eksplodował deszczem gwiazd, a statki kosmiczne mknęły pośród galaktyk. Ponieważ mieli dostęp do komputerów tylko w nocy, spali w ciągu dnia i szaleli na swych maszynach, dopóki nie wyrzucili ich asystenci. Żywili się w barach szybkiej obsługi, żyli w błękitnym świetle jarzeniówek, bladzi jak wampiry.

Byli napaleni. Jeśli akurat nie zajmowali się nowym kodem, śnili o kobiecie, której można dotknąć, którą można przytulić – o jej piersiach i tyłeczku w minispódniczce. Żyli jednak nocą, więc niełatwo było im kogoś poznać, zresztą i tak zawsze pakowali się w tarapaty. Co za frajda rozmawiać z kimś, kto nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy przez cały wieczór szaleć na DEC PDP 8?

Najdziwaczniejszym z dziwaków rzadko udawały się randki. Większość z nich zbyt była podekscytowana próbą włamania się do jeszcze jednego komputera, by zdawać sobie sprawę, że w ich zasięgu leży klucz do nowego społeczeństwa. Marzyły im się małe, niedrogie maszyny, z których mogliby korzystać do woli, ile dusza zapagnie, we dnie i w nocy, zamiast zakradać się do laboratorium na uniwersytecie o trzeciej nad ranem. Jednak przeważnie na marzeniach się kończyło. Zbyt dobrze się bawili, pisząc wymyślne programy, żeby usprawniać gry. Byli hakerami, nie wizjonerami, i nie myśleli zbyt wiele o przyszłości.

Ale wizjonerzy byli w pobliżu. Młode, gniewne oczy, których nie zdążyła zepsuć stara wiedza, widziały, co się dzieje, gdy dziwacy schodzili się jednym miejscu, na przykład w klubie komputerowym Home-brew. Wizjonerzy widzieli i rozumieli. Sam Gamble nerwowo przechadzał się po korytarzu. Susannah się spóźniała. Może w ogóle nie przyjdzie? Wbił ręce w kieszenie kurtki i znalazł tam portfel. Był grubszy niż zwykle, bo tego dnia dostał wypłatę. Kupił sobie dwie książki - *Profiles of the Future* Clarke'a i *The Society of Mind* Minsky'ego i kasetę Eagles. Nie cierpiał swojej pracy. Był technikiem w małej firmie produkującej półprzewodniki w Sunnyvale. Był dobry w tym, co robił, ale brak dyplomu sprawiał, że wykonywał tylko męczące mechaniczne prace. Yank też nie miał dyplomu, ale Yank to geniusz. Ma dobrą pracę w Atari. Niestety, pewnie nie na długo, pomyślał Sam. Yank ciągle tracił pracę, bo chronicznie zdarzało mu się zapominać o bożym świecie, jeśli akurat pracował nad złamaniem nowego kodu. Sam doszedł do wniosku, że nowoczesne firmy - nawet tak postępowe jak Atari - to nie miejsce dla geniuszy pokroju Yanka. Jego zdaniem zegary w miejscu pracy były jedną z tysiąca rzeczy, które komplikują życie.

Sam rzucił college i dłuższy czas włóczył się po kraju. Było fajnie. Poznał wielu ludzi, spał z wieloma kobietami, lecz z czasem zmęczył go brak celu. Po powrocie do domu spotkał Yanka Yankowskiego, który znowu stracił pracę. Znali się z Yankiem od dziecka, tyle że Yank był rok starszy i obracali się w innych kręgach. Sam wzniecał burdy i awantury, a Yank był praktycznie niewidzialny – chudy dzieciak, który całymi dniami ślęczał w garażu i konstruował dziwne urządzenia. Uwagę Sama zwrócił warkot doskonale ustawionego niemieckiego silnika. Z przyjemnością patrzył, jak srebrny mercedes wjeżdża na parking. Niby dlaczego taki samochód nie może powstać w Detroit? Nie ma żadnych przeszkód prócz chciwości i braku wyobraźni.

Susannah szła w jego stronę. Uosabiała wszystkie kobiety, których pragnął i których nie mógł zdobyć. Nie pociągały go ani jej pieniądze, ani jej uroda. Sypiał już bogatymi i z dużo ładniejszymi do niej. Susannah jest inna. Patrzył, jak się porusza, zachwycał się wykrojem jej ust, spokojną elegancją kaszmirowego płaszcza. Klasyka: płaszcz, samochód i Susannah Faulconer.

Susannah szła w jego stronę, wyprostowana, jakby babka nadal przywiązywała jej do pleców kij. Cały dzień powtarzała sobie, że nie powinna tu przychodzić, ale potem zadzwoniła do niej Marge



Clemens, żeby omówić program obiadu dla żon regionalnych przedstawicieli FBT. Marge zastanawiała się, kogo zaprosić na prezentację. Może kolorystę – ostatni krzyk mody – a może kogoś innego? Marge optowała za kolorystą, dowodziła, jakie to praktyczne, gdy ktoś powie ci jasno, jakie odcienie do ciebie pasują, aż nagle zmieniła zdanie.

Zaproponowała, że może po prostu zaproszą tego cudownego lekarza? Jej siostra była na jego prezentacji.

- Jest fantastyczny, Susannah - zachwyciła się Marge. - Wszystkie się czegoś nauczymy.

Przyniesie slajdy i w ogóle. W końcu menopauza dotyczy nas wszystkich. Susannah nie powiedziała ani słowa. Przez moment siedziała bez ruchu, a potem ostrożnie opuściła słuchawkę i odłożyła ją na widełki w samym środku wypowiedzi Marge. To niewybaczalne, ale jej ręka poruszała się samowolnie. Dziesięć minut później była w drodze do Palo Alto.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała do Sama.

- Stchórzyłaś? – Szedł w jej stronę na szeroko rozstawionych nogach, jakby ciągle siedział na harleyu.

- Skądże - odparła sztywno. - Po prostu za późno wyszłam z domu.

- Akurat. - Zatrzymał się przed nią i patrzył z jawnym zachwytem na jej płaszcz. Nie rozumiała, dlaczego stare kaszmirowe palto tak bardzo przypadło mu do gustu. - Ile masz lat? – zapytał.

Pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt pięć. Czeka ją menopauza i tabletki hormonalne.

- W zeszłym miesiącu skończyłam dwadzieścia pięć - odparła. Uśmiechnął się.

- Super. Ja mam dwadzieścia cztery. Bałem się, że gdybyś była dużo starsza, miałabyś opory. Właściwie wyglądasz starzej, na trzydziestkę. - Wziął ją pod rękę i ruszył w stronę budynku wyraźnie nieświadomy, jaką przykrość sprawiły jej te słowa. Chyba poczuł jej opór, bo się zatrzymał. W pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi, po chwili jednak uśmiechnął się drwiąco.

- Nie przywykłaś do tego, że ludzie mówią, co myślą, prawda, Suzie? No więc wiedz, że ja nie owijam niczego w bawełnę. Mówię prawdę. Już taki jestem.

- Ja też - odparła. To było absurdałne stwierdzenie. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, mówiąc: – Nikt tego nie rozumie. - Te słowa wzbudziły w niej niesmak. Dlaczego ciągle mówi takie osobiste rzeczy człowiekowi, którego praktycznie nie zna? Przyglądał się jej swoimi ciemnymi oczami.

- Niezła jesteś, wiesz? Klasyczna, elegancka, skromna. Jak dobry projekt.

Z trudem zaczerpnęła tchu. Starła się mówić spokojnie, żeby mieć czas na powrót do skorupy:

- Nie jestem pewna, czy odpowiada mi to, że porównujesz mnie do projektu.

- Cenię jakość. Co prawda nie mam pieniędzy, ale zawsze lubiłem rzeczy w najlepszym gatunku.

Nieoczekiwanie objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Zakreśliło jej się w głowie. Patrzył na nią, pieścił wzrokiem jej czoło, nos, usta.

- Proszę - szepnęła. - Nie sądzę, żeby to...

- Nie sądz - odparł, pochylając się, by pocałować ją w szyję. - Zdaj się na zmysły. Był uwodzicielem, kusicielem, sprzedawcą marzeń na harleyu, objazdowym kaznodzieją obiecującym życie wieczne, spryciarzem proponującym udziały w moście Golden Gate. Naciągaczem. Wiedziała o tym, wiedziała od razu, a mimo to nie mogła się zmusić, by go odepchnąć. Przesunął głowę i dotknął ustami jej ust. Były ciepłe i wilgotne, pełne życia. Jest taki namiętny, taki młody, ma taką ciepłą, szorstką skórę. Oparła dłoń na skórzanej kurtce. Pragnęła jego dotyku, jego ust. Zacisnęła dłoń i bezwolnie rozchyliła wargi.

Ich języki zaczęły tańczyć - jej początkowo nieśmiało, jego szybko, odważnie. Niósł czarodziejskie

obietnice. Zapomniała o dobrych manierach, rezerwie, godności. Zapomniała nawet, że się boi, bo w jej żyłach zagrała młodość, wiosna, zielona i gwałtowna. Nagle poczuła, ile naprawdę ma lat, osłabła, gdy wzburzyły się w niej hormony. Rozsunął jej usta bardziej, wsunął dłonie pod płaszcz, uniósł bluzkę tak, że dotykał nagiej skóry. Kochał ją językiem. Jęknęła i przywarła do niego mocniej. To on się odsunął. Jezu mruknął.

Przerażona przycisnęła nadgarstek do ust. Znowu straciła panowanie nad sobą, zupełnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy kochała się z Calem. Jak w tamten czerwcowy dzień, gdy wymknęła się z Falcon Hill w pogoni za kolorowymi balonikami.

- Rozluźnij się, Suzie. - Starał się ją uspokoić, widząc jej zdenerwowanie. - Nie przejmuj się tak bardzo drobiazgami. Żyj na luzie.

- Nie mogę. Nie jestem taka jak ty. - Drżącymi palcami szukała kluczyków w kieszeni. - Tak dalej być nie może, Sam. Porozmawiam z ojcem i poproszę, żeby się tobą spotkał. Tylko tyle mogę zrobić. A potem przerażona, niezdolna myśleć logicznie zrobiła coś bardzo głupiego. To był odruch osoby przywykłej do oficjalnych spotkań. Wyciągnęła do niego rękę. Popatrzył na nią i parsknął śmiechem. Chciała się wycofać, ale złapał jej dłoń, uniósł do ust i mocno ugryzł opuszki palców. Jęknęła z bólu. Całował ślady po ugryzieniu.

- Działasz na mnie - powiedział ochryple. - Naprawdę na mnie działasz.

Chciała uciec, lecz nie zdążyła, bo mocno złapał ją za ramię.

- Jeszcze nie, skarbie. Jeszcze nie odejdziesz.

Wciąż trzymając ją za ramię, poprowadził Susannah schodami i długim korytarzem w głąb budynku.

- Naprawdę muszę już iść - protestowała.

- Nie musisz robić nic, na co nie masz ochoty. A teraz masz ochotę być tutaj. Skręcili w wąski korytarzyk. Nie pozwolił jej zebrać myśli, otworzył zamasyście drzwi i wprowadził ją do królestwa dziwaków - do klubu komputerowego Homebrew Nadal nie mogła myśleć logicznie i dopiero po kilku chwilach uspokoiła się na tyle, by przyjrzeć się temu, co działo się dookoła. Zobaczyła około stu osób stojących w grupkach w wielkiej sali. Widać było, że to nietypowa mieszanina. W miarę jak odzyskiwała spokój, przekonywała się, że większość stanowią mężczyźni, przeważnie dwudziestokilkuletni, choć byli także nastolatki. Niewielu miało na sobie garnitury jak szanujący się biznesmeni - większość wyglądała jak przeżytki ery kontrkultury. Widziała nieogolone policzki, końskie ogony, niebieskie robocze koszule. Grupki pochylały się nad turystycznymi stolikami ustawionymi przy scenie i pod ścianami. Naprzeciwko niej przyszczaty nastolatek klócił się zawzięcie z trzema mężczyznami co najmniej dwukrotnie od niego starszymi.

Tłuscioch w koszuli z poliestru minął ją, wrzeszcząc:

- Kto ma oscyloskop? Muszę pożyczyć oscyloskop na kilka dni.

- Ja ci pożyczę, pod warunkiem że ty pożyczysz mi... Wymieniano się częściami.

Omawiano schematyczne rysunki. Sam pokazał jej niechlujnego mężczyznę z orlim nosem.

- To John Draper, najsłynniejszy telefonista świata.

- Telefonista?

- Odkrył, że gwizdki dodawane do opakowań Capitaín Crunch, no wiesz, płatków śniadaniowych, wydają dźwięk o takiej samej częstotliwości jak sygnał, który telekomunikacja wykorzystuje w rozmowach międzymiastowych i międzynarodowych. Wybierał numer, dmuchał w gwizdek i rozmawiał za darmo. Potem badał trasy połączeń telefonicznych i kombinował, jak wybrać najdłuższą. W końcu zadzwonił sam do siebie przez Tokio, Indie, Afrykę Południową i jeszcze kilka

krajów i cieszył się jak dziecko, kiedy telefon na drugim stoliku zaczął dzwonić. Dzięki opóźnieniom mógł rozmawiać sam ze sobą. Wie wszystko, jeśli chodzi o darmowe rozmowy telefoniczne. Na dźwięk jego nazwiska firmy telekomunikacyjne dostają szału.

Uśmiechnęła się, a nie powinna, zna przecież wielu członków rady nadzorczej Bell System's. Sam zaprowadził ją do stolika, wokół którego zebrała się spora grupka gapiów. Siedział przy nim dwudziestokilkuletni niechlujny brodaty mężczyzna w grubych okularach. Intensywnie wpatrywał się w ekran telewizora.

- To Steve Wozniak. Tylko on jest równie dobry jak Yank. Pracuje w Hewlett-Packard, a w wolnych chwilach razem z kumplem Steve'em Jobsem pracują nad małym komputerem jak ja i Yank. Nazwali go Apple, jabłko. Dziwaczna nazwa, prawda?

Dziwaczna to za mało powiedziane, pomyślała, patrząc na zgromadzenie indywiduów wymieniających części i informacje. Nie rozumiała prawie nic z tego, o czym rozmawiano, ale wyczuwała napięcie, tak jak Sam to przewidział.

- Tu wszystko jest jawne. Każdy dzieli się wiedzą. To spuścizna po pierwszych hakerach z początku lat sześćdziesiątych - swobodna wymiana informacji. - Wskazał nastolatka kłócącego się ze starszymi. - W Homebrew liczy się to, co wiesz, nie to, ile masz lat albo pieniędzy. Nie tak jak w wielkich firmach takich jak FBT, prawda? Po jego twarzy przemknął cień. Domyślała się, że choć nalega, by załatwiła mu spotkanie z ojcem, nie podoba mu się, że musi prosić o pomoc FBT.

- Chodź, przedstawię ci Yanka.

Podobnie jak Steve'a Wozniaka, Yanka Yankowskiego i jego stolik otaczała grupka gapiów. Yank siedział przy otwartej walizce, takiej samej jak ta, w której Sam nosił swój skarb.

- Trochę potrwa, zanim uda mi się zwrócić jego uwagę. Czasami, kiedy pochłonie go praca, jest... -

Sam urwał w pół słowa, gdy wysunął się przed nią i zobaczył ekran telewizora.

- Jezus, Maria - powiedział z nabożnym podziwem. - Yank złapał kolor! Udało się! Mamy kolor! - Zapomniał o niej i zaczął przepychać się przez tłumek gapiów, żeby jak najszybciej dotrzeć do Josepha „Yanka” Yankowskiego.

Według Susannah Yank był jedną z najbardziej rzucających się w oczy postaci w całym klubie. Był wysoki, przewyższał Sama o pół głowy. Nosił okulary o grubych szklach w plastikowej czarnej oprawce. Włosy miał ostrzyżone na jeża. Był chudy jak szczapa, miał wysokie czoło, wystające kości policzkowe i długi nos. Wątki tułów wspierał się na długich cienkich nogach. Z odpowiednią fryzurą, szklami kontaktowymi, dodatkowymi kilogramami i w ciuchach, które nie wyglądałyby, jakby w nich spał, byłby nawet atrakcyjny. Teraz nie spójrzałyby na niego żadna dziewczyna.

Susannah obserwowała prezentację. Sam najwyraźniej o niej zapomniał. Zasypał Yanka gradem pytań, uważnie przyglądał się maszynie na stoliku. Usiadła na krzeselku z boku i podziwiała długie włosy Sama spływające na ramiona. Jej ojciec nie da mu dojść do słowa, kiedy zobaczy te włosy nie mówiąc już o kolczyku. Dlaczego obiecała, że postara się załatwić mu spotkanie?

Nie chciała myśleć o ojcu, wolała skupić się na gwarze wokół. Przypomniała sobie wycieczki po FBT. W laboratoriach FBT zawsze panował porządek. Mężczyźni w białych kitlach, ze starannie przystrzyżonymi włosami, pochylali się nad wyznaczonymi stanowiskami pracy. Zwracali się do siebie z szacunkiem. Nikt nie krzyczał. A już z pewnością nikt nie określał efektów pracy kolegi mianem „gigantycznej kupy gówna”, jak to przed chwilą usłyszała w Homebrew

To, co tu widziała, ocierało się o anarchię. Co chwila wybuchały kłótnie. Ludzie włązili na krzesła i na cały głos krzyczeli, co chcą pożyczyć. Przypomniała sobie plastikowe identyfikatory i białe kitle

FBT, specjalne przepustki, których wymagano nawet od ojca. Przypomniała sobie zamknięte drzwi, umundurowanych strażników i to, co Sam mówił o spuściźnie hakerów. Tutaj, w Homebrew, chyba nikt nie ma żadnych tajemnic. Dookoła swobodnie wymieniano się informacjami. Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że można by zrobić na tym interes. Sam podszedł do niej cicho.

- Susannah, chodź, poznasz Yanka. Wyobraź sobie, że udało mu się dodać kolor bez zwiększania liczby chipów. Ostatnio rozmawiali o tym z Wozniakiem, ale właściwie nie wierzyli, że to możliwe.

- Nie do wiary - stwierdziła, choć miała tylko blade pojęcie, o czym Sam mówi.

- Może chwilę potrwać, zanim cię zauważy - ostrzegł Sam. - Yank, to jest Susannah.

Opowiadałem ci o niej. Yank nie odrywał wzroku od ekranu.

- Yank?

- Sukinsyn nie reaguje na polecenia. - Yank nadal gapił się w ekran. Sam spojrział na nią i wzruszył ramionami.

- Praca pochania go całkowicie.

- Widzę.

Sam spróbował jeszcze raz.

- Yank?

- Dlaczego, do licha, nie reaguje?

- Może przedstawiś nas sobie przy innej okazji.

- Tak, chyba tak.

Zaraz pożałowała, że powiedziała to tak, jakby mieli przed sobą jakąś przyszłość. Przecież już się nie spotkają. Po tym, co zaszło na dworze, nie wolno jej nawet o tym myśleć.

- I co ty na to? - zapytał.

- Interesujący klub.

- Nie jedyny. W całym kraju są ich setki. We wszystkich hakerzy kombinują, jakby tu zrobić mały komputer. - Przyglądał się jej dłuższą chwilę. - Czy ty rozumiesz, co się tu dzieje? To awangarda.

Dlatego muszę porozmawiać z twoim ojcem. Mówiłaś poważnie, załatwisz mi spotkanie?

- Spróbuję - powiedziała z ociąganiem. - Ale może się nie zgodzić.

- Dam ci mój numer telefonu. Zadzwoń, kiedy to załatwisz.

- Jeśli załatwię. - Zawahała się. Pewnie ją wyśmiej, dobrze go zna.

- Jeszcze jedno...

- Tak?

- Jeśli załatwię spotkanie, musisz... musisz zwrócić uwagę na strój, dobrze?

- Co, boisz się że przyjdę tak jak teraz?

- Nie, skąd - skłamała.

- Cóż, masz rację. Przyjdę. Zmarszczyła czoło, przerażona.

- Nie! To byłby poważny błąd. Mój ojciec należy do innego pokolenia. Nie rozmawia z mężczyznami, którzy nie noszą garnituru. Albo mają kolczyk w uchu. I musisz ściąć włosy. - Ledwie to powiedziała, pożałowała tych słów. Uwielbia jego włosy. Są częścią jego – wolne i dzikie.

- Powiedziałem ci już, Suzie. Nie bawię się w takie bzdury. Jestem, jaki jestem.

- Jeśli chcesz robić interesy z moim ojcem, musisz pójść na kompromis.

- Nie! - krzyknął na tyle głośno, że zagłuszył harmider Homebrew - Nie! Nie pójde na kompromis.

- Proszę, nie tak głośno. Złapał ją za ramię.

- Żadnych kompromisów, Suzie. Nie rozumiesz? Stąd się biorą klęski. Dlatego ten kraj jest taki

popieprzony, bo firmy są popieprzone. I dlatego kocham komputery. To namiastka doskonałości. Komputery nie idą na kompromis. Czerń i biel. Jedyńki i zera. Bit istnieje albo nie.

- W życiu jest inaczej - powiedziała miękko, myśląc o wszystkich obietnicach, które musiała składać.  
- Tylko dlatego, że ludzie się na to zgadzają. Jesteś tchórzem, Suzie, wiesz o tym? Boisz się zrobić coś z pasją.

- Nieprawda.

- Odgrywasz pierwszorzędne przedstawienie, ukrywając przed całym światem jak bardzo się boisz. Strata czasu. Daruj sobie. – Łypnął na nią wrogo, po chwili złagodniał. - Posłuchaj, nie martw się garniturami i fryzurami. Niech stary zgodzi się mnie wysłuchać. Był pionierem w latach pięćdziesiątych. Wierzę, że zrozumie. Pokażę mu czary. Zrozumie, choćby była to ostatnia rzecz, jakiej w życiu dokonam!

Widząc płomienny wzrok Sama Gamble'a, Susannah przez moment uwierzyła, że naprawdę mu się uda.

## Rozdział szósty

Sam jechał na północ, do siedziby FBT. Nie musiał sobie przypominać, jak ważna jest dzisiejsza rozmowa. Od wielu miesięcy zamykały się przed nim drzwi w całej Dolinie Krzemowej. Steve Wozniak pokazał płytę główną Apple swoim szefom w Hewlett-Packard i zapytał, czy byliby zainteresowani produkcją. Powiedzieli, że nie.

Ulegając namowom Sama, Yank zwrócił się do Nolana Bushnella w Atari, ale firma zbyt szybko zaangażowała się w rynek gier wideo. Atari podziękowało. Na Wschodnim Wybrzeżu Kenneth Olsen, prezes Digital Equipment Corporation, nie mógł zrozumieć, po co komu komputer w domu. DEC podziękowało. W Armonk w stanie Nowy Jork potężne IBM uznało mikrokomputer za zabawkę bez przyszłości w biznesie. IBM podziękowało.

Wszystkie wielkie firmy po kolei kręciły przecząco głowami. Wszystkie oprócz FBT. Sam postanowił, że ten scenariusz się nie powtórzy. Pożyczył od Yanka plymoutha duster i słuchał teraz hałasu silnika i wycia zepsutego tłumika. Był wściekły. Jak Yank może jeździć takim gruchotem? Zawsze się denerwował na myśl o tym, że Detroit przehandlowało jakość za szybkie pieniądze.

Obicie na sąsiednim fotelu było podarte, w samochodzie poniewierały się opakowania po hamburgerach i wnętrze kilku telewizorów. Najdziwniejszym przedmiotem było pudełko po butach pełne rur próżniowych – leżały na podłodze jak kości dinozaura. Sam nie rozumiał, po co Yankowi coś takiego. Przecież to przeżytek, odkąd Bardeen, Brattain i Shockley odkryli właściwości krzemu i stworzyli tranzystor. Ten wynalazek odmienił życie doliny Santa Clara i Sama Gamble'a.

Gdy nadeszły lata sześćdziesiąte, bydło i owoce na jednym z najbardziej żyznych terenów na ziemi ustąpiły miejsca nowoczesnym technologiom. Teraz opłacało się uprawiać elektronikę, nie zboża. Sam nieraz słyszał, jak starsze pokolenie mlaska z dezaprobatą i wspomina, jak to kiedyś było w dolinie, jemu jednak podobała się myśl, że mieszka tam, gdzie zbiera się półprzewodniki zamiast brzoskwiń. Zachwycała go idea miniaturyzacji – dzisiaj na kawałku krzemu można zmieścić to, co kiedyś zajmowało wielką halę.

Wcisnął pedał gazu i zmienił pas. Nie trzeba kryształowej kuli, by zobaczyć, że postępująca miniaturyzacja doprowadzi do powstania małego komputera, dlaczego więc wielkie firmy są tak ospałe? Były. Do dziś. Dzięki Susannah czeka go audiencja u Joela Faulconera.

Na myśl o Susannah pogłaskał kierownicę. Kiedy wszedł z nią do Homebrew, poczuł się jak król całego świata. Chodziło jednak o coś więcej. Przy niej słyszał ten dziwny klik w głowie, jakby wszystko trafiało na miejsce.

To niezwykle pomysł. Zjechał z autostrady na zachód od Palo Alto i pomknął w stronę wzgórz. Po chwili zobaczył siedzibę FBT Kompleks zajmował przeszło pięćdziesiąt hektarów. Sam wjechał na wysadzany palmami podjazd. Uśmiechnął się pogardliwie. Gdyby to od niego zależało, zbudowałby siedzibę w całkiem innym stylu. Grecki klasycyzm jest dobry na Wall Street, nie tutaj. Za dużo kolumn, za dużo marmuru. Paskudztwo.

Po krótkiej szamotaninie ze strażnikami, którzy mieli zastrzeżenia co do jego walizki z prototypem, Sam pod eskortą wkroczył do budynku. Sam-esteta zachwycał się obrazami na ścianach, Sam-idealista starał się nie zwracać uwagi na plastikowy identyfikator przyczepiony do skórzanej kurtki. Po raz kolejny chęć, by podzielić się ze światem cudownym dziełem Yanka walczyła w nim z niechęcią do współpracy z tak wielką, nieludzką firmą.

Recepcjonistka na najwyższym piętrze była młoda i ładna. Zacisnęła usta na jego widok, więc bezczelnie przesunął wzrok na jej piersi. Pieprzyć ją. Nie lubił takich kobiet – idiotek, które łudziły się, że klasę można kupić w drogim sklepie. Podał swoje nazwisko. Zajrzała do kalendarza i poprowadziła go długim korytarzem. Złościł się coraz bardziej. Wystrój wewnątrz był rzeczywiście pierwsza klasa, ale drażniła go atmosfera panująca w firmie - sekretarki czujne jak psy, zamknięte drzwi, cisza, skupienie. Z każdą chwilą coraz bardziej tęsknił za gwarem Homebrew Szkoda, że nie mają z Yankiem pieniędzy, żeby założyć własną firmę. Szkoda, że nie mają wyboru.

Susannah siedziała przed biurem Joela. Na jej widok znowu usłyszał w głowie kliknięcie. Dziwny dźwięk dodający otuchy. Rude włosy zaplotła we francuski warkocz. Wyglądała spokojnie i elegancko w beżowej wełnianej sukience, ze sznurem pereł na szyi. Na jej widok przeszedł go dreszcz. Chciał jej dotknąć, chciał usłyszeć opanowany głos z akcentem z najlepszej prywatnej szkoły.

Susannah uniosła głowę, gdy się zbliżał. Jej serce opadło w dół, do żołądka, i zaraz podjechało aż do gardła. Brakowało jej tchu, nie wiedziała, co się dzieje. Działał na nią tak silnie, że dopiero po chwili zdołała mu się przyjrzeć. Z najwyższym trudem ukryła konsternację. Mimo wszystko spodziewała się, że na spotkanie z Joelem przyjdzie w garniturze, a nie w džinsach i skórzanej kurtce. Sekretarka odeszła. Przypomniała sobie, jaki zły był Joel, gdy nalegała, żeby przyjął Sama. Kazał jej być obecną przy spotkaniu, co – jak podejrzewała – było subtelną karą. Pełna coraz gorszych przeczuciu wstała i podeszła do niego.

- Witaj, Sam.

Przyjrzał się jej z aprobatą i skinął głową.

Wepchnęła torebkę pod ramię. Cały czas starała się nie dać po sobie poznać, jak szaleńczo wali jej serce:

- Niestety, mój ojciec nie jest zbyt zadowolony z tej sytuacji. Nie aprobuję mieszania spraw rodzinnych i zawodowych i pewnie nie jest do ciebie pozytywnie nastawiony.

- Zmienię to.

Jego arogancja doprowadzała ją do szału. Jakim cudem dwudziestoczwolwiek może być tak pewny siebie?

- Powiedziała mu, że jesteś przyjacielem nowego członka rady nadzorczej Exploritorium. - Nie było to zupełnie kłamstwo, w końcu to ona jest nowym członkiem.

- Nie będę kłamał na nasz temat.

Zacisnęła pięści. Dlaczego jest taki nieugięty? Wdarł się w jej życie nieproszony i postawił wszystko na głowie.

- Nie ma nas - powiedziała sztywno. - A kłamstwa czasami okazują się dobrodziejstwem. Przyglądał się jej dłuższą chwilę i surowe linie wokół jego ust wygładziły się.

- Zaufaj sobie, Suzie. Nie bój się całego świata.

Nikt nigdy nie zarzucił jej tchórzostwa. Nawet gdy była mała, wszyscy chwalili ją, że tak dzielnie zniosła porwanie. Skąd Sam wie o niej takie rzeczy? Sekretarka Joela wprowadziła ich do prywatnego gabinetu ojca. Wstał zza biurka z blatem z polerowanego malachitu. W żaden sposób nie zdradził, co sądzi o długich włosach Sama i jego stroju, lecz Susannah i tak słyszała w wyobraźni jego gniewny głos. Sam nie spieszył się, wszedł powoli, podał Joelowi rękę. Susannah poczuła podziw i strach. Cóż to za człowiek, skoro nie boi się Joela Faulconera?

- Dzięki, że zgodził się pan mnie przyjąć - zaczął Sam. - Nie pożałuje pan.

Susannah skrzywiła się lekko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Joel.

Sam nie czekał na zachętę, zaczął opowiadać o projekcie Yanka i o przyszłości małego komputera. Jednocześnie położył walizkę na krześle i otworzył ją.

- Chętnie pokazałbym panu pełnię możliwości tego cudeńka, ale podobno nie ma pan czasu. - Czy jej się zdawało, czy naprawdę powiedział to z ironią? Susannah spojrzała przez okno na sztuczne jezioro i siedem fontann w kształcie obelisków. Symbolizowały pięć kontynentów, pięć elementów imperium FBT. Patrząc na smukłe kolumny, zapragnęła znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w gabinecie ojca. Nie znosiła napiętej atmosfery. Zawsze czuła, że jej obowiązkiem jest ją rozładować. Sam wyjął płytę główną, niedbale przesunął stertę dokumentów na biurku Joela.

- Oto fala przyszłości. Serce rewolucji. Dzięki tej maszynie władza przejdzie z rąk firm w ręce jednostek.

Nie czekał na pytania, opowiadał, opisywał szczegóły konstrukcji. Ojciec zadał kilka zbyt uprzejmych, zbyt grzecznych pytań. Wycofała się na skórzany fotel w najdalszym kącie gabinetu.

- FBT nigdy nie planowało wejścia na rynek odbiorców indywidualnych - oznajmił spokojnie Joel.

Sam zbył go machnięciem ręki.

- Nie słyszał pan o Altair 8800?

- Może pan mnie oświeci.

Sam przechadzał się po gabinecie, wypełniał go energią młodości. Wyczuwała ją nawet ze swojego bezpiecznego kącika.

- Półtora roku temu magazyn „Popular Mechanics” wydrukował na okładce zdjęcie Altair 8800, małego komputera wielkości połowy klimatyzatora, który można samemu zmontować. Jedyne sposoby na odczytanie wiadomości, to odczytanie kodu oktawowego z błyskających lampek. Maszyna nie ma pamięci, więc niewiele może, a kupujący dostaje tylko worek elementów, które sam musi złożyć do kupy. Mimo to firma zarobiła dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Byli na krawędzi bankructwa, a dzięki Altair 8800 zarobili ćwierć miliona dolarów.

Jole uniósł brwi, lecz Sam był tak przejęty, że nic nie zauważył.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Zebrali więcej zamówień, niż byli w stanie zrealizować. Ludzie zamawiali dodatkowe urządzenia, nad którymi dopiero pracowano. Pewien facet przyjechał aż z Albuquerque, mieszkał w przyczepie kempingowej, czekając na swój komputer.

- Coś takiego - Joel pokręcił głową. Udał, że się zastanawia. - Ile pan powiedział? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Sam położył dłonie na biurku, pochylił się z zapalem.

- W ciągu zaledwie trzech tygodni. To ogromny rynek, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że Altair to prymitywna zabawka w porównaniu z projektem Yanka. Joel z podziwem spojrzął na walizkę.

- Tak, widzę. A ile pan i pan... Yankowski, tak? Więc ile panowie sobie życzą za ten projekt?

Sam usiadł. Wahał się.

- Przede wszystkim musimy mieć pewność, że FBT będzie intensywnie promowało nasz produkt. Rozumiem.

- I chcielibyśmy pracować nad jego dalszym rozwojem.

- Ach, tak. W dziale nowych projektów? Sam zdziwił się, ale skinął głową.

- A pieniądze? - dopytywał się Joel.

Sam odchylił się do tyłu, założył nogę na nogę. Susannah niemal widziała, jak gorączkowo zastawia się nad odpowiednią sumą.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Rozumiem. - Joel bawił się nożem do papieru. - A jaki dochód przyniosłby pański produkt?

- Kilka milionów - powiedział Sam ostrożnie.

- Aha. - Joel zdawał się nad czymś myśleć. - Mógłby pan określić to dokładniej?

Dwa i pół.

- Dwa i pół? Na pewno?

Sam zrobił się czujny.

- Nie prowadziłem żadnych badań, jeśli o to panu chodzi.

- Może mniej? Może.

- Więcej? Trzy miliony? Może.

- Dwa koma osiem?

Sam przyglądał się Joelowi przez chwilę i wstał powoli.

- Pan sobie ze mnie kpi, tak? Susannah jęknęła cicho i wstała.

- Kpię sobie? - Joel zmarszczył brwi. - A skąd to panu przyszło do głowy?

Sam zacisnął usta.

- Proszę odpowiedzieć. Joel się roześmiał.

- Dlaczego miałbym kpić sobie z człowieka, który proponuje mi dochód rzędu dwóch milionów rocznie? Przecież FBT tyle płaci za wywóz śmieci.

Sam pobladł jak kreda.

- Nie ma pan zielonego pojęcia, o czym pan mówi, panie Gamble. Nie ma pan pojęcia, ile wart jest towar, który chce pan nam sprzedać. Widać, że nie odrobił pan pracy domowej, bo gdyby było inaczej, nie zawracałby mi pan głowy.

- Joel od kilku minut bawił się przyciskami na biurku. Teraz naciskał jeden po drugim. Powoli uniósł głowę i spojrzął w okno. Wzrok Sama podążył za jego wzrokiem i padł na słupy wody z fontann opadające jedne po drugich. Joel Faulconer jest jak Bóg, rządzi siłami wszechświata. Sam zrozumiał ten pokaz władzy.

Gdy opadła ostania kolumna wody, Joel podjął przerwany wątek.

- Nie obchodzą mnie bajeczki o firmach na krawędzi bankructwa i fortunie rzędu ćwierć miliona



dolarów. Nie interesują mnie nawet dwa miliony. Co innego, gdyby powiedział pan „sto milionów”.

- Ty draniu.

Jeden ruch ręki Joela i fontanny na nowo obudziły się od życia.

- Nie odmawiam panu dlatego, że jest pan bezczelny i arogancki, nawet nie dlatego, że nie zdobył się pan na elementarną przyzwoitość i nie poszedł do fryzjera przed tym spotkaniem. Odmawiam panu, bo nie mierzy pan wystarczająco wysoko. Miłego dnia, panie Gamble.

Sam stał w bezruchu kilka minut. Raptem chwycił walizkę i rzucił się do drzwi. Zanim jednak dotarł do progu, odwrócił się i spojrzał na Joela.

- Wiesz, Faulconer, właściwie ci współczuję. Jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem. - Z tymi słowami wyszedł.

Krew odpłynęła Susannah z twarzy, była blada jak ściana. Joel widział jej zdenerwowanie, ale wcale jej nie współczuł.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś komuś winna przysługę, czy nie. Nigdy więcej nie stawiaj mnie w takim położeniu.

Ja... nie chciałam - zaczęła. - Wiem, był bezczelny, tylko że... Joel spojrzał na nią tak, że głos uwiązł jej w gardle. Jak może bronić Sama po tym, co powiedział? Ale ojciec też zachował się niegrzecznie, podpuszczał Sama. - Tylko że... byłeś dla niego zbyt ostry - dokończyła.

- Czyżbyś go broniła?

- Nie, ja...

Wrogość w jego oczach przyprawiała o mdłości. Miała czelność sprzeciwić się ojcu. Teraz czeka ją surowa kara. Bez słowa pochylił się nad interkomem.

- Moja córka wychodzi. Proszę ją odprowadzić. Zaczęła się mroźna zima niełaski Joela Faulconera. Susannah nieraz widziała, jak inni męczą się, ukarani milczeniem ze strony Joela, sama jednak rzadko tego doświadczała, a już nigdy nie karał jej tak długo. Tygodnie mijały, ślub był coraz bliżej, a Susannah miała wrażenie, że ktoś rzucił na nią kłutwę. Mimo wielokrotnie ponawianych przeprosin i wysiłków, by poprawić ojcu humor, milczał nieugięcie.

Cal pojechał na kilka tygodni do Europy, nie mógł więc służyć jej wsparciem. Wydawało się, że każdy dzień niesie kolejną katastrofę w związku z przygotowaniami do ślubu. Dwukrotnie sięgała po słuchawkę, żeby zadzwonić do Sama Gamble'a i powiedzieć, co sądzi o jego zachowaniu, i dwukrotnie ją odkładała. Nie, lepiej z nim więcej nie rozmawiać. A już zdecydowanie lepiej nie myśleć ani o nim, ani o jego szalonym pomysle, że komputery znajdują się w zwykłych domach, równie powszechne jak lodówki i tostery.

Ojciec w końcu jej wybaczył, ale najpierw wygłosił wykład o braku szacunku i narzucaniu się. Jakiś nowy, cyniczny głos podpowiadał jej, że nie wybaczyłby tak szybko, gdyby nie była mu potrzebna w podróży do Paryża. Czułby się niezręcznie, odwiedzając członków francuskiego rządu bez odpowiedniej partnerki u boku. W Paryżu zatrzymali się w ulubionym hotelu Joela, Crillon, na Placu Zgody. Wieczorem w dniu przyjazdu wybrali się w towarzystwie Cala na przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej. Wobec obecności Joela powitanie narzeczonych było ciepłe, ale pełne rezerwy. Podczas przyjęcia nie mieli okazji rozmawiać, jednak gdy wychodzili, Cal uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Dziś będziemy świętować - oznajmił. - Zarezerwowałem stolik w Tour.

Tour l'Argent to jedna z najbardziej znanych restauracji na świecie, ale gdy wsiadali do limuzyny, Susannah zaproponowała, żeby poszli do bardziej zaciszniejszego lokalu. Przypominała sobie pewne deszczowe popołudnie w Paryżu przed laty.

- Może do La Coupole na Montparnasse? Wiem, jesteśmy zbyt elegancko ubrani, ale będzie miło. Spojrzał na nią sceptycznym wzrokiem ze szczyptą rozbawienia - tak czasami patrzył Joel.

Wyczuwała w nim jakieś napięcie, więc odpowiedziała uśmiechem. Pewnie zaraz jej opowie, jak sprytnie rozegrał trudną kampanię z Francuzami. Jest taki przystojny, taki doskonały. Mimo różnicy wieku będzie idealnym mężem. Mają podobne zainteresowania, pochodzą z tej samej sfery.

Pod wpływem impulsu pocałowała go mocno, zaborczo. Odwzajemnił jej pocałunek, ale szybko się odsunął i znacząco spojrział na kierowcę. Poklepał ją po udzie i opowiedział anegdotę z przyjęcia. Było jej przykro, że ją odepchnął. Cal miał obsesję na punkcie odpowiedniego zachowania. Zazwyczaj jej to nie przeszkadzało. Tylko że teraz byli w Paryżu! Nie może sobie odpuścić? Gdy w oddali pojawił się neon nad La Coupole, a Cal dalej opowiadał o przyjęciu, wyobraziła sobie, że obok siedzi Sam Gamble. Popycha ją na miękkie siedzenie, wsuwa dłonie pod suknię i przekonuje się, że pod spodem nie ma nic, jest otwarta, gotowa.

Przy Samie byłaby inną kobietą – dziką, wolną, namiętą.

Otrząsnęła się z takich myśli. Kilka minut później weszła z narzeczonym do La Coupole. Rozmawiali lekko, beztrąsko, o niczym.

Przez ponad pół wieku La Coupole przyciągała artystów, intelektualistów, studentów i ekscentryków. Tutaj Henry Miller grywał w szachy z Anais Nin. Przy stoliku w rogu Jean Paul Sartre jadał późne śniadania z Simone de Beauvoir. Bywali tu Chagall i Picasso, Hemingway i Fitzgerald. Lecz Susannah wspominała inną barwną postać, inną legendę z najlepszych lat La Coupole: w latach dwudziestych Kiki de Montparnasse, najpiękniejsza dziewczyna Paryża, pluskała się w fontannie pośrodku lokalu z różą w zębach.

- Dziesięć lat temu zrobili z fontanny gigantyczny wazon - powiedziała na głos. Cal podniósł wzrok znad karty dań. Uśmiechnęła się pod nosem i wskazała głową środek sali. - Zobacz, ten wazon był kiedyś fontanną, ale trzeba było ją zlikwidować, bo goście wciąż się w niej kąpali.

Uprzejmie skinął głową i zapytał, co woli – jagnię czy rybę?

- Naprawdę, Susannah, nie pojmuję, dlaczego zrezygnowaliśmy z kaczki w Tour na rzecz takich prostackich dań.

- Jagnię, proszę - odparła szybko. Czekali na jedzenie. Rozglądała się uważnie, ale magia prysła i nie widziała już La Coupole swoich marzeń. Była w zwykłej hałaśliwej restauracji. Ani śladu Camusa czy Modiglianiego. Nikogo, kto by choć trochę przypominał Josephine Baker, która wchodziła przez szklane drzwi z lwiatkiem na smyczy wysadzanej brylantami. Gdzie jesteś, Kiki de Montparnasse? Chciałabym zobaczyć kobietę wyzwoloną na tyle, by wskoczyć do fontanny i nie przejmować się tym, co pomyślą sobie ludzie. Cal wziął ją za rękę.

- Planowałem powiedzieć ci to w bardziej romantycznym otoczeniu, ale mogę nie mieć lepszej okazji. - Przykrył kciukiem brylant w jej pierścionku zaręczynowym. Miał równo jeden karat - uznali, że większy byłby zbyt ostentacyjny. Mniej to więcej. – Właściwie to niespodzianka twojego ojca, będziesz więc musiała udawać, że o niczym nie wiesz. Ale to coś tak wspaniałego, że sam chcę ci o tym powiedzieć.

- Nasz prezent ślubny? - zapytała.

Potwierdził ruchem głowy i uśmiechnął się szeroko.

Odkąd się zaręczyli, Joel czynił aluzje do tajemniczego prezentu. Kiedyś podsłuchiwała fragment jego rozmowy z prawnikiem i zwierzyła się Calowi, że jej zdaniem ojciec podaruje im dom na Maui na Hawajach. To cenna nieruchomość i byli poruszeni jego wielkodusznością.

- Miałaś rację co do domu - zaczął Cal.

- Tak myślałam.

- Tylko że nie o ten chodziło.

- Tak? - Upiła łyk wina. - Chyba też nie Londyn, musi mieć tam dom ze względu na interesy. W takim razie Pebble Beach, choć uwielbia grać tam w golfa.

- Nie, nie Pebble Beach. - Cal zamknął jej dłoń w swoich. Nie pamiętała, kiedy ostatnio był taki zadowolony z siebie. Zachichotał. W niebieskich oczach błyszczał tryumf. – Susannah, Joel da nam Falcon Hill.

## Rozdział siódmy

Następnego wieczoru przy kolacji, na którą składały się między innymi szparagi i wyborne białe vovray Joel oznajmił, że daje im Falcon Hill w prezencie ślubnym. Powiedział, że chciałby spędzać więcej czasu w Pebble Beach i że już nie potrzebuje tak dużego domu. A potem od niechcenia dodał, żeby Susannah urządziła mu przytulny apartament w części gościnnej Falcon Hill, by miał gdzie się zatrzymać, gdy będzie bawił w mieście.

Poprzedniej nocy praktycznie nie zmrużyła oka. Miała wrażenie, że jej serce kurczy się w piersi. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo cieszy ją perspektywa zamieszkania z dala od ojca. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że będzie chciał mieć ją blisko siebie? Dając im Falcon Hill w prezencie ślubnym, zapewnił sobie, że nadal będzie mu posłuszna.

Oczywiście natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jak może tak myśleć! Joel Faulconer dał jej wszystko. Jest księciem w lśniącej zbroi, który ją ocalił. Do końca kolacji rozmyślała o długach emocjonalnych: czy w ogóle można je spłacić? Kocha ojca z całego serca, ale czy jest mu winna swoje życie?

Później, gdy Cal odprowadzał ją do pokoju, usiłowała powiedzieć mu, co czuje. Przyciągnął ją do siebie i pogłaskał po karku, jakby pocieszał dziecko.

- Moim zdaniem trochę przesadzasz, kochanie. Rzeczywiście, czasami jest zbyt dominujący, ale to nie powód, żeby sądzić, że chce cię wykorzystać. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Falcon Hill jest warte miliony dolarów.

- Tylko to cię obchodzi? Ile jest warte Falcon Hill?

Odsunął się, zdziwiony jej wybuchem. Jego oczy stały równie chłodne jak srebrne pasmo we włosach.

- Celowo nadajesz błędny sens moim słowom. Nie lubię, kiedy się mnie tak traktuje. Przycisnęła palce do skroni.

- Przepraszam, po prostu jestem zmęczona.

- Ja też, a nie warczę na ciebie.

- Masz rację, to było niewybaczalne.

Lecz Cal nie przyjmował przeprosin. Spojrzał na nią z pogardą i wyszedł. Susannah poczuła w żołądku znajomy ucisk - kolejny ważny dla niej mężczyzna karze ją milczeniem. Wróciła do San Francisco z uczuciem, że otacza ją wieczne zimno. Po konfrontacji z Joelem Sam wskoczył na motocykl i ruszył do San Diego. Miał tam znajomych, ale nie spotkał się z nimi. Chciał być sam. Grał na automatach, spał na plaży. Obudził się w środku nocy zlany zimnym potem. Myślał tylko o jednym - Joel Faulconer to kawał drania. Choć starał się ze wszystkich sił, nie mógł zapomnieć twarzy Susannah patrzącej, jak jej tatuś robi z niego idiotę. Z każdym dniem był coraz bardziej zły na Yanka. W końcu to problem Yanka, nie jego. Ma już po dziurki w nosie matkowania facetowi, który nie jest w stanie sam przejść trzech przecznic, żeby nie zabłądzić. Yank powinien sam sprzedawać swój wynalazek. Tylko że Yank nie wybiega myślą w przyszłość dalej niż do następnego dnia i nowego kodu do złamania. Sam wiedział, że przyjaciel nie ma zielonego pojęcia, jak ważne jest to, co robi.

Aż kiedyś, pewnej nocy, gdy grał, oczami wyobraźni zobaczył ręce Yanka, te niewyobrażalnie genialne ręce, i jego gniew się ulotnił.

Wtedy zrozumiał, że Joel Faulconer miał rację: nie mierzy wystarczająco wysoko. Tak go pochłonał pomysł, by sprzedać maszynę Yanka wielkiej firmie, że nie słuchał wewnętrznego głosu szepeczącego, że byłoby to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzył. Wskoczył na motocykl i ruszył na północ. Założy własną firmę. Nieważne, ile to będzie kosztować, co będzie musiał poświęcić. Zrobi to. Im bardziej zbliżał się do Stan Francisco, tym więcej myślał o Susannah. Wspominał szczupłe dziewczyny z San Diego, dziewczyny z długimi nogami, w obcisłych bluzeczkach podkreślających pełne piersi.

Wysyłały sygnały zachęty, a on myślał tylko, jakie są tandetne, choć wiele było ładniejszych od Susannah. Nie znosił imitacji. Całe życie otaczały go produkty gorszej jakości: mieszkał w małym, brzydkim domku, niekompetentni nauczyciele nie rozumieli zdolnego buntownika. Ojciec całe wieczory spędzał przed telewizorem i w kółko powtarzał synowi, że się do niczego nie nadaje. Odkąd sięgał pamięcią, marzył, że kiedyś będą go otaczały piękne przedmioty i wyjątkowi ludzie. Zanim dotarł do doliny, nabrał przekonania, że jeśli zdoła zdobyć Susannah Faulconer, zdobędzie wszystko, o czym marzy.

Następnego dnia rzucił pracę, zapakował do samochodu telewizor i maszynę Yanka – rzeczy potrzebne do prezentacji – i wyruszył w objazd po wszystkich sklepach elektronicznych. Żaden nie był zainteresowany.

Drugiego dnia poczuł, że ogarnia go frustracja.

- Tylko podłączę - poprosił sprzedawcę w Santa Clara. - To zajmie tylko kilka minut. - Nie mam nawet kilku minut, przykro mi. Może innym razem.

Następnego dnia szczęście uśmiechnęło się do niego po raz pierwszy. Kierownik sklepu nie dość, że pozwolił na prezentację, to jeszcze zachwycił się dziełem Yanka. Pokręcił jednak przecząco głową.

- To sprytne małe cacko, co do tego nie ma wątpliwości. Ale kto to kupi? Ludzi nie interesują małe komputery. Po co im?

To pytanie doprowadzało Sama do szaleństwa. Ludzie już sobie wymyślą, co zrobić z komputerem. Jak ma tłumaczyć coś tak oczywistego?

- Można grać - odparł. – Łamać kody.

- Przykro mi, ale dzięki.

Czwartego dnia maszyna ani razu nie ujrzała światła dziennego, bo żaden właściciel sklepu nie zgadzał się na prezentację.

- Pokażę tylko, ile ona może - błagał. - Tylko kilka minut.

- Słuchaj synu, jestem zajęty. Mam klientów.

W sklepie elektronicznym koło Menlo Park Sam stracił panowanie nad sobą. Walnął w ladę pięścią z taką siłą, że zrzucił drobiazgi na ziemię.

- Mam tu maszynę, która zmieni przyszłość, a pan mi mówi, że nie ma jednej cholерnej chwili?

Właściciel sklepu odsunął się na bezpieczną odległość.

- Wynoś się, bo wezwę policję! Sam kopnął ladę z całej siły.

- Nic mnie to nie obchodzi, do cholery! Wzywaj, proszę bardzo! Ciekawe, czy chociaż tyle potrafisz! Wyszedł.

Dwa tygodnie przed planowanym ślubem, żony członków rady nadzorczej FBT zorganizowały dla Susannah przyjęcie. Wjechała na podjazd, skręciła za róg, do garażu. W bagażniku mercedesa piętrzyły się stosy bielizny i ręczniki z wyhaftowanymi monogramami. Z wyjątkiem pewnej nimfetki,

czyjejś młodej trzeciej żony, Susannah była znacznie młodsza od pozostałych pań, a traktowały ją jak rówieśnicę. Wspominały, w kim się kochały jako małe dziewczynki: Clark Gable, Charles Boyer, Alan Ladd. Popatrzyły na nią dziwnie, gdy powiedziała, że kochała się w Paulu Mc Cartneyu. Gdy sięgała do przycisku otwierającego garaż, zatęskniła za czasami, gdy bohaterem jej marzeń był puciułowaty Beatles, a nie długowłosego motocyklista. Ponownie nacisnęła guzik i przypomniała sobie, że mechanizm wczoraj się zepsuł. Bolała ją głowa. Uniosła dłoń do skroni. Ostatnio źle sypia, dlatego jest taka nerwowa. Niestety, zamiast spać, patrzy w sufit i wspomina swoje spotkania z Samem. Przypominała sobie, co dokładnie powiedział, jak na to zareagowała. Przede wszystkim jednak wspominała, jak ją pocałował. Opadła z powrotem na fotel, zamknęła oczy i znów przywołała zakazany obraz. Znowu poczuła bezczelne młode usta na swoich. W marzeniach zatarła się granica między prawdą a fikcją – wyobrażała sobie, co mogłoby być dalej, wyobraziła sobie, że dotyka jego nagiej piersi. Oddychała szybko.

Wielkiego wysiłku woli wymagało od niej otwarcie oczu i odszukanie klamki w drzwiczkach. Musi przestać. Zaczyna mieć obsesję na jego punkcie. Musi wziąć się w garść. Wysiadła, ruszyła w stronę drzwi do garażu i obiecała sobie, że nie będzie już myśleć o tym, co się stało. Nie będzie w ogóle o nim myśleć.

" Jakiś szelest w krzakach wyrwał ją z zadumy. Niespokojnie spojrzała za siebie, ale światła były pogaszone i nic nie widziała. Przyspieszyła kroku, aż znalazła się w zasięgu reflektorów mercedesa i wyciągnęła rękę w stronę drzwi garażu.

- Dobrze się bawiłaś?

Głośno zaczerpnęła tchu, odwróciła się na pięcie i zobaczyła Sama. Wyszedł z zarośli, zaczepił kciuki o szlufki dzinsów. Na jego widok krew zaczęła jej szybciej pulsować. Przycisnęła dłoń do gardła, głęboko odetchnęła.

- Co ty tu robisz? Wystraszyłeś mnie.

- To dobrze.

- Jakim cudem przedostałeś się przez bramę?

- Elektronika to moje hobby - odparł złośliwie. - Może już zapomniałaś?

- Sam, ja... jestem zmęczona. Nie chcę się kłócić. Uśmiechnął się kpiąco.

- Jak tam wieczór paniński? Czytałem o przygotowaniach do ślubu. Dlaczego, do cholery, nie dasz sobie spokoju?

- Dać sobie spokój? - Równie dobrze mógłby zaproponować, żeby wyhodowała sobie drugą głowę. Czy nie rozumie, że jeśli coś się zacznie, nie sposób się wycofać? Wpadła w pułapkę. Nie, nie w pułapkę. Skądże, nie jest w żadnej pułapce. Chce poślubić Cala. To idealny partner.

- To niesprawiedliwe! - krzyknął. - Przekreślasz nasz związek, nie chcesz dać nam szans! Boże, ale z ciebie tchórz. Gdyby nie było mi tak przykro, chyba bym ci współczuł.

- Nie ma nas - odparła energicznie. - Prosiłeś, żebym ci załatwiła spotkanie z ojcem. Zrobiłam to. I koniec.

- Kłamiesz. - Podszedł do mercedesa, wsadził głowę do środka, przekreślił kluczyk w stacyjce i zgasił silnik. Przez chwilę gładził dłonią skórzaną tapicerkę, potem spojrzął na nią. Zaniepokoiła się myśl o ojcu. Okna jego sypialni wychodzą na wschód, ale co będzie, jeśli ich usłyszy?

- Założę własną firmę, Suzie. I chcę, żebyś była przy mnie.

- Słucham?

- Lada dzień dostanę pierwsze zamówienie. To się zaczyna. Teraz.

- Cieszę się, że ci się udało, ale...

- Zaczyna się! Teraz! Nie bój się. Możemy razem spełnić marzenia. Zapomnij o ślubie. We dwoje zmienimy świat. Ty i ja. Razem możemy wszystko.

- O czym ty mówisz? Odejdź stąd. Nie rozumiesz? Nic nas nie łączy. Nie rozumiemy się. - Wiedziała jednak, że to kłamstwo, już w momencie, gdy wypowiadała te słowa. Sam czytał w jej myślach. Widział w niej to, czego inni nie dostrzegali.

- Uważasz, że nie jestem dla ciebie dość dobry? O to chodzi?

- Nie, nie jestem snobką, tylko....

- Potrzebuję cię. Razem założymy firmę.

Jego ciemne oczy przeglądały ją na wylot. Chciała zanurzyć dłonie w jego włosach, dotknąć jego języka. Przede wszystkim jednak chciała, żeby zrozumiał.

- Wychodzę za męża. Nie mam pojęcia o prowadzeniu firmy. Dlaczego chcesz, żebym ci pomogła? Sam tego nie rozumiał.

- Kiedy przy mnie jesteś, jest dobrze. Przypominasz mi, co w życiu się naprawdę liczy: klasa, jakość, elegancja.

- Więc tym dla ciebie jestem? Idealnym przedmiotem?

- Tylko częściowo. Między nami coś jest. Coś pięknego, wielkiego. Spław tego sztywniaka, z którym się zaręczyłaś. Gdybyś naprawdę go kochała, nie rozпалиłby cię tak mój pocałunek. Czeka na ciebie cały świat. Nie chcesz ani odrobiny?

- Nic nie wiesz o moim życiu.

- Wiem, że chcesz dużo więcej, niż dostajesz.

- Dostaję bardzo dużo - upierała się, za wszelką cenę chcąc mu dokuczyć. - Na przykład tego mercedesa, którego w kółko dotykasz. I Falcon Hill. Ojciec daje nam Falcon Hill w prezencie ślubnym.

- Czy dom rozgrzeje cię w nocy? Zaskoczona nie wiedziała, co powiedzieć.

- Więc jak, Suzie? - Zniżył głos do ochryplego szeptu. Podszedł bliżej. Odruchowo cofnęła się o krok, aż wpadła na drzwi garażu. - Oboje wiemy, jak bardzo tego pragniesz, prawda? Czy dom będzie się z tobą kochał? Będzie cię tulił, wypełniał sobą i sprawiał, że będziesz jęczała z rozkoszy?

- Wsunął rękę do jej kieszeni i dotknął brzucha. - Czy dom sprawi, że krzykniesz nisko, gardłowo? Krzyczałaś tak kiedyś dla mężczyzny? Jęczałaś? Dyszałaś z rozkoszy? Przestań. Proszę.

- Przy mnie byś tak krzyczała.

Przywarł do niej biodrami, przyciskając ją do drzwi do garażu. Dostrzegła srebrny kolczyk wśród ciemnych włosów, poczuła, jaki jest podniecony. Mroczny erotyzm, nad którym zdawała się tracić kontrolę, rozпалиł ją.

- Nie - szepnęła. - Nie rób tego.

Pochylił się, by pocałować ją w szyję. Odwróciła głowę w bok, jęknęła cicho. Jego dłoń odnalazła jej pierś. Roześmiał się i dotknął jej brodawki.

- Czy dom doprowadzi cię do orgazmu? Tego już za wiele. Odepchnęła go.

- Nie rób mi tego! Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknęła i uciekła do domu. Następne dni pamiętała jak przez mgłę. Ojciec i Cal przypisywali jej nerwowość stresowi przedślubnemu i obaj byli wyjątkowo wyrozumiali. Pewnego ranka ojciec przytulił ją i powiedział:

- Wiesz, że doceniam, jak mi pomagasz, prawda? Nie mówię tego często, ale kocham cię, skarbie. Czulość w jego głosie sprawiła, że stanęły jej w oczach łzy. Pomyślała o potajemnych spotkaniach z

Samem, o tym, jak oszukiwała ojca, i poczuła wyrzuty sumienia. Przysięgła sobie, że od tej pory będzie najlepszą córką na świecie. Niestety, takie obietnice łatwiej składać, niż ich dotrzymać. Do ślubu pozostał jeszcze tydzień. Susannah leżała z otwartymi oczami, a zegar wskazywał drugą osiemnaście rano. Nie mogła jeść, nie mogła spać. Miała wrażenie, że na jej piersi spoczywa wielki ciężar.

Nagle zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, przycisnęła do piersi i dopiero po chwili podniosła do ucha.

- Cześć - szepnęła, zadowolona, że nie tylko ona nie może spać. - Też nie możesz zmrużyć oka?

Lecz to nie był Cal, tylko Conti Dove, kochanek Paige. Dzwonił z wiadomością, że Paige została aresztowana kilka godzin temu - złapano ją w supermarkecie podczas próby kradzieży. Conti nie ma pieniędzy na kaucję. Susannah zamknęła oczy. Ciekawe, co jeszcze pójdzie nie tak. Cichutko, żeby nie obudzić ojca, włożyła na siebie to, co jej wpadło w rękę i wymknęła się z domu.

Paige trzymano na posterunku na skraju najbardziej niebezpiecznej dzielnicy San Francisco. Conti czekał przed wejściem. Susannah widziała go tylko raz, ale rozpoznała bez trudu. Szerokie spodnie, ciężkie, jakby senne powieki, kręcone ciemne włosy. Nie wyglądał, jakby miał szansę dostać się do Mensy, ale z całą pewnością był pociągający. Wsunął dłonie w kieszenie czerwonej wiatrówki i podszedł do niej.

- Eee... słuchaj, przepraszam, że cię obudziłem. Paige mnie zabije, kiedy się o tym dowie, ale przecież nie mogłem jej zostawić w więzieniu.

- Oczywiście. - Susannah założyła torbę na ramię i poszła za nim. Zapłaciła za Paige wymaganą kaucję spokojnie i sprawnie, jakby nic innego przez całe życie nie robiła. Była uprzejma dla policjantów i robiła wszystko, co w jej mocy, by wiadomość o aresztowaniu nie przedostała się do mediów. Gawędziła z Contim, tymczasem chciało jej się płakać ze złości i zmęczenia. Jej siostrę aresztowano za kradzież. Jej śliczna siostra, córka jednego z najbogatszych ludzi w Kalifornii, usiłowała ukraść dwie puszki kocięgo żarcia.

- Dlaczego, Conti? - zapytała, gdy usiedli na podrapanej drewnianej ławeczce w ciasnym korytarzu, przyprawiającym o klastrofobię. - Dlaczego Paige to zrobiła?

- Nie wiem.

Kiedy indziej Susannah pewnie na tym zakończyłaby rozmowę, ale w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, nie wiadomo dlaczego, zaczęły ją męczyć uprzejme pogawędki, drażyła więc temat.

- Jeśli potrzebowała pieniędzy, mogła do mnie zadzwonić. Wydawał się zawstydzony.

- Nie lubi prosić cię o pieniądze. - Poruszył się, założył nogę na nogę. - Sam nie wiem. Myśleliśmy, że Azday Records podpisze z nami kontrakt. Paige bardzo się cieszyła. Aż nagle, kilka tygodni temu, ten gość, Mo Geller, się wycofał. Powiedział, że słyszał lepszą kapelę. Paige bardzo się tym przejęła. Susannah zadała jeszcze wiele pytań, ale z Contim trudno się rozmawiało. W końcu zapadło milczenie. Minęło piętnaście minut. Conti wstał, napił się wody. Pół godziny. Susannah musiała iść do łazienki, ale bała się odejść. Conti wyblagał papierosa od nastolatka o nieprzytomnym wzroku.

- Nie wolno mi palić - powiedział. - Ze względu na głos.

- Tak, rozumiem.

- Trzymają ją w zbiorowej celi.

- Wiem.

- Słuchaj, tam nie ma facetów, co? Nie zrobią jej krzywdy?

- Chyba nie. Na pewno trzymają osobno mężczyzn i kobiety. - Skąd ta pewność? Nigdy nie była na



posterunku.

- Ukradła kocie żarcie - powiedział nagle. - Dwie puszki kociego żarcia.

- Tak. Tak powiedzieli.

Cisnął niedopałek na podłogę, zduślił go obcasem skórzanego buta. Podniósł głowę i zobaczyła, że jest zagubiony jak dziecko.

- Widzisz, tylko że my nie mamy kota.

W tej chwili w drzwiach stanęła Paige. Dzinsy miała podarte na kolanie, jasne włosy wisiały w niechlujnych strąkach. Wydawała się zmęczona i przerażona. Conti rzucił się w jej stronę, ale zanim do niej dotarł, zauważyła Susannah. Wyprostowała się dumnie.

- Co ona tu robi?

- Przykro mi, skarbie - tłumaczył Conti. - Nie miałem kasy na kaucję.

- Nie powinienesz być do niej dzwonić. Mówiłam ci, żebyś w żadnym wypadku do niej nie dzwonił.

Susannah przypomniała sobie wiśnie w czekoladzie, które przed laty chciała przemycić do pokoju ukaranej siostry.

- Nie potrzebuj cię - rzuciła Paige wrogo. - Wracaj, skąd przyszedłeś. Na widok jej wrogości Susannah poczuła, że robi jej się niedobrze.

Dlaczego Paige tak jej nienawidzi? Czego wszyscy od niej chcą? Stara się ich zadowolić i nigdy nie może sprostać ich oczekiwaniom. Wsunęła rękę do kieszeni płaszcza i zacisnęła w pięść mocno, aż paznokcie wbiły się w ciało.

- Paige, chodź ze mną - poprosiła. - Musisz się wyspać. Rano porozmawiamy.

- Nie chcę z tobą rozmawiać. Chcę się pieprzyć. Chodź, Conti. Spadamy stąd.

- Jasne, skarbie, jasne. - Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Susannah zrobiła krok naprzód.

Chciała powiedzieć Paige, że muszą porozmawiać, że nie można tak po prostu zapomnieć o takim incydencie. Powinna być logiczna, rozsądna, starannie dobierać słowa. Ale powiedziała coś zupełnie innego.

- Paige, nie wiem, czy pamiętasz, że w sobotę wychodzę za męża. Bardzo bym chciała, żebyś przyszła.

- Początkowo wydało się, że Paige jej nie usłyszała. Potem jednak, zanim wyszła z Contim na dwór,

niemal niezauważalnie skinęła głową. Sklep znajdował się w Cupertino, niedaleko Stevens Creek Boulevard. Samowi wydawało się, że zna każdy sklep w dolinie, ale Z.B. Electronics był nowy.

Zatrzymał samochód i zobaczył trzech nastolatków idących do sklepu. Na pierwszy rzut oka rozpoznał w nich komputerowych maniaków.

Pod wpływem impulsu wysiadł i otworzył bagażnik dusterka. Zawołał do chłopców:

- Hej, pomóżcie mi to wnieść, dobra?

Pulchny długowłosek nastolatek podszedł pierwszy.

- Co tam masz?

- Mikrokomputer - odparł Sam nonszalancko, jakby wszyscy w dolinie jeździli z mikrokomputerami w bagażniku.

- Nie żartuj! Chłopaki, ten facet ma małego w samochodzie! - Dzieciak nagle się ożywił.

- Sam go zbudowałeś?

Sam podał mu mniejsze pudełko, sam wziął ciężki telewizor. Drugi chłopak zatrzasnął wieko bagażnika.

- Pomagałem przyjacielowi. Jest najlepszy. Chłopcy zasypali go pytaniami: - Jaki macie mikroprocesor?

- 7319, Cortron.

- Do kitu - powiedział jeden z nastolatków. - Dlaczego nie Intel 8008 jak Altair?

- 8008 to starość. 7319 ma większą moc.

- A co sądzisz o IMSAI 8080 - zainteresował się pulchny. Miał na myśli nowy komputer, który zagrażał dominacji Altaira na rynku.

- IMSAI to tylko przeróbka Altaira - rzucił Sam pogardliwie. - Taki sam stary rupieć. Rozłożyliście go kiedyś na części? Nic. Kupa bzdetów.

Chłopak rzucił się, żeby przytrzymać mu drzwi.

- Ale jeśli wykorzystasz inne procesory, żadne rzeczy z Altaira nie będą na nim chodzić.

- I co z tego? Nasze są lepsze.

Weszli do Z.B. Electronics. Potężny gruby mężczyzna z białymi włosami i przekrwionymi oczami podniósł wzrok znad lady. Sam zatrzymał się w pół kroku, jego żołądek zrobił salto, a ciężki telewizor wydał się nagle lekki jak piórko. Nic dziwnego, że dzieciaki ciągną tu jak muchy do miodu. Na półkach za sprzedawcą stał tuzin mikrokomputerów Altair. Sam Gamble znalazł żyłę złota.

- Pogoda jak marzenie - powtarzał zadowolony Joel w dzień ślubu. Jak marzenie. Susannah wmusiła w siebie małą grzankę, tępym wzrokiem patrząc przez okno na słoneczny czerwcowy poranek.

Obserwowała, jak robotnicy mocują wśród drzew ostatnie lampiony.

Ojciec podniósł wzrok znad gazety. Wyglądał jak absolutny władca swego świata.

- Moja droga, poproszę jeszcze kawy.

Posłusznie spełniła prośbę. Poczula się zmęczona i wyczerpana jak staruszka, która ma już całe życie za sobą. Przez następnych kilka godzin sprawdzała, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik. O drugiej przyszedł fryzjer, uczesał ją. Uznała, że fryzura jest zbyt wymyślna, więc po jego wyjściu rozczesała włosy i związała w prosty węzeł na karku. O trzeciej po południu włożyła suknię ze starej koronki i upięła welon. Zapinając na szyi sznur pereł – rodzinny klejnot Bennettów – obserwowała przez okno, jak zjeżdżają się goście. Gdy nadszedł czas, zeszła na dół.

- Moja dziewczynka – powiedział Joel na jej widok. - Moja dziewczynka. Odezwały się trąbki oznaczające początek uroczystości. Cal uśmiechał się. Pastor zaczął przemowę, a Susannah dyskretnie dotknęła pereł. Dlaczego nie może oddychać? Dlaczego obroża jest taka ciasna?

Ceremonia trwała, a warkot kosiarki narastał. Goście odwrócili głowy, w stronę skąd dobiegał dźwięk. Cal ściągnął brwi. Zaczęła powtarzać za pastorem słowa przysięgi, gdy w końcu zrozumiała, co to za hałas. Jęknęła cicho, ale jej głos zagłuszył ryk harleya.

- Suzie!

Odwróciła się i zobaczyła ciemne włosy powiewające na wietrze jak piracka flaga. Wyglądał wspaniale i niebezpiecznie: mroczny anioł, szatański mesjasz.

- Co jest? - zawołał. - Zapomniałaś mnie zaprosić?

Kpił z niej, a ona słyszała nawoływanie sprzedawcy baloników.

- Dalej, Suzie. Wskakuj na motor. Odsunęła się od Cala, zakryła uszy dłońmi.

- Idź stąd! Nie chcę tego słuchać.

Lecz Sam był wizjonerem, dzieckiem klasy średniej nieczułym na konwenanse. Nie zważał na jej błagania. Odeszła od ołtarza, chcąc oddalić się od niego.

- Chodź ze mną, skarbie. Rzuć to wszystko i chodź ze mną.

Nie może. Nie pójdzie do bramy. Nie wyjmie klucza, nie otworzy jej. Będzie grzeczna. Zawsze grzeczna. Już nigdy, przenigdy nie pobiegnie za sprzedawcą baloników w masce klauna. „Baloniki za

darmo. Za mną, za mną”. Ojciec wyplątał się z girlandy, oddzielającej krzesła dla gości. Biegnie ku niej, żeby ją chronić, ratować, zatrzymać. Zatrzymać w Falcon Hill. U boku Cala. Dostrzegła przerażoną twarz Paige, niesmak w oczach Cala. Dotknęła szyi, ale naszyjnika już nie było. Białe perły rozsypały się po stopniach ołtarza.

- Wskakuj na motor, skarbie.

Pociągała ją jego gwiazda, jego wizja, szaleńcza śmiałość, wyzwanie. Pragnienie wolności wybuchło w niej niespodziewanie. Słyszała oburzone głosy przyzwoitych ludzi, ale głos diabła w czarnej skórce dodał jej odwagi. Koniec. Nigdy więcej nie przyzna, że mniej to więcej. Nigdy. Od tej pory więcej to więcej. Rzuciła się w jego stronę. Biegła po śnieżnobiałym chodniku, deptała go białymi pantofelkami. Zgubiła jeden but. Machinalnie zrzuciła i drugi. Welon spadł, a włosy rozsypały się. Paige zagłuszyła innych. Właśnie ona nie posiadała się z oburzenia, że siostra postąpiła w taki sposób.

- Susannah!

Joel rzucił się za nią. Paige krzyczała bez przerwy. Sam Gamble odrzucił głowę do tyłu i śmiał się wszystkim w twarz. Zapalił motor. Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, skarbie, chodź, chodź.

Uniosła suknię, odsłoniła szczupłe nogi i niebieską podwiązkę. Rude włosy powiewały na wietrze. Śmiało wsiadła na harleya.

Objęła go mocno, przywarła do jego pleców. Harley ożył między jej nogami, aż poczuła, że budzi się w niej nowe życie. W tym momencie nie obchodziło jej, że baloniki kiedyś pękną. Liczyło się jedno - jest wolna.

## Rozdział ósmy

Na kilka chwili goście zastygli w bezruchu niczym żywy obraz. Pierwszy poruszył się Cal Theroux. Poblądły, upokorzony, precyzyjnie się przez tłum i zniknął. Joel szedł do domu, nie patrząc na boki, wyprostowany i dumny.

Paige była zbyt zaskoczona, by się poruszyć. Wiatr szarpał piórami jej boa, tak że łaskotały ją w policzek, ale nic nie czuła. Jej świat stanął na głowie, wszystko się zmieniło i nigdy nie będzie takie samo.

Pokręciła głową starając się pogodzić chłodną opanowaną siostrę, którą znała, z szaloną kobietą, która uciekła sprzed ołtarza na motocyklu. Patrząc na biały chodnik i rozsypane perły, zrozumiała, że nie znała swojej siostry.

Przeraziła ją ta myśl. Natychmiast odepchnęła ją od siebie i czekała, aż jej miejsce zajmie dobry, porządny gniew. Susannah okłamała wszystkich. Prowadziła podwójne życie, czego nikt się po niej nie spodziewał. Udawała tylko, że jest opanowana i doskonała. Jaka spryciara. I kłamczucha. Manipulowała nimi i dlatego to ona była ulubienicą tatusia, a młodsza siostra wyrzutkiem. Paige podsyciała ten gniew, pozwalała, by wypełnił każdą komórkę jej ciała, tak żeby nie było miejsca na inne uczucia.

Jak zza zasłony docierały do niej odgłosy: krzyki, rozmowy prowadzone półgłosem. Goście podzielili się na grupki. Zaraz zaczną się nad nią litować, zadawać pytania, na które nie zna odpowiedzi. Nie zniesie tego. Musi uciec. Jej wiekowy volkswagen stał na parkingu pośród jaguarów i rolls-royce'ów. Szła okrężną drogą przez ogród, lecz nagle zatrzymała się w pół kroku i

obejrzała za siebie. Goście nadal stali w grupkach. Głowy poruszały się w energicznie, gdy ktoś starał się wytłumaczyć dzisiejszy incydent. Czekala, aż mężczyźni wyjmą pióra i zaczną liczyć, jak dzisiejsze zamieszanie odbije się na akcjach FBT.

Nagle wpadła w złość. Dosyć tego! Na to czekała! Całe życie czekała na taką okazję. Z wahaniem ściągnęła boa z ramion i nuciła je w krzaki. Z duszą na ramieniu wróciła do gości. Podeszła do najbliższej grupki, zebrała się na odwagę i powiedziała:

- Szkoda, żeby tyle smakołyków się zmarnowało. Zapraszam do namiotu na poczęstunek. Patrzyli na nią zdumieni.

- Och, Paige! - zawołała jedna z kobiet. - Biedactwo. Co za okropna historia!

- Nie możemy w to uwierzyć - wtrącił inny głos. - Żeby akurat Susannah...

Paige usłyszała własny głos. Odpowiadała spokojnie, grzecznie, trochę jak siostra.

- Susannah była ostatnio bardzo spięta. Możemy tylko mieć nadzieję, że specjaliści pomogą jej odzyskać równowagę.

Godzinę później grzecznie pożegnała się z ostatnim gościem i weszła do Falcon Hill. Dom ją otaczał, zamykał w sobie - dawał jej poczucie bezpieczeństwa i dusił zarazem. Szła przez puste pokoje na pierwszym piętrze, szukała ojca. Drzwi do jej starej sypialni były zamknięte. Nic tam na nią nie czekało.

Pokój Susannah był schludny jak zawsze. Walizki czekały przy drzwiach na podróż poślubną niby porzucone dzieci. Paige weszła do łazienki. Umywalka i wanna z marmuru były nieskazitelnie czyste. Nigdzie ani śladu rudych włosów, żadnych plam z pudru czy tuszu. Tak jakby siostra nigdy nie korzystała z łazienki, jakby jakimś cudem przyszła na świat czysta i doskonała.

Sypialnia ojca była równie czysta i pusta. Znalazła go w małym gabinecie na tyłach domu. Wyglądał przez okno na ogród, patrzył na żalosne ruiny po ślubie córki. Zrobiło jej się niedobrze.

- Tatusiu?

Odwrócił się i spojrzał na nią badawczo, jakby nic się nie stało.

- Paige?

Straciła resztki wiary we własne siły.

- Ja... ja chciałam tylko zobaczyć, czy dobrze się czujesz.

- Oczywiście, czemu miałoby być inaczej?

Ale gdy przyjrzała mu się uważniej, dostrzegła bladość i głębokie bruzdy przy ustach.

Jego słabość dodała jej sił.

- Masz ochotę na drinka?

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, jakby podejmował jakąś decyzję, a potem skinął głową.

- Tak, właściwie czemu nie? Odwróciła się, ale zatrzymał ją.

- Aha, Paige. Ta sukienka jest okropna. Przebierz się z łaski swojej. W pierwszym odruchu chciała się sprzeciwić, ale gniew zaraz znikł.

Nie wyrzuca jej. Pozwala jej zostać. Teraz, gdy Susannah odeszła, Paige już nie jest wyrzutkiem.

Podjęła decyzję w ułamku sekundy. Wymknęła się do holu i pobiegła do pokoju siostry. Ściągnęła tanią sukienkę przez głowę. Wyszła stamtąd po chwili w jedwabnej sukni Susannah.

Świat migał Susannah przed oczami jak na oszalalej karuzeli. Wiatr targał włosy, owijał dokoła głowy, smagał Sama po policzkach. Jej sukienka zadarła się wysoko, szorstkie džinsy Sama drażniły jej skórę, ale nie zwracała na to uwagi. Osiągnęła stan, w którym nie zauważa się takich rzeczy.

Objęła go mocniej i modliła się, żeby ta przejażdżka nigdy się nie skończyła. Motocykl to magiczny

rydwan, może zwyciężyć czas. Dopóki jedzie, nie ma przeszłości ani przyszłości. Jest tylko dziś. Sam zdawał się rozumieć jej pragnienia. Nie pojechali od razu na południe, tylko pędzili przez cały półwysep, tak że Susannah mogła zobaczyć znany jej świat z nowej perspektywy. Przed oczami mignęła jej zatoka. Mknęli przez ciche przedmieścia, ścigali się z wiatrem na autostradzie. Mijały ich potężne, osiemnastokółowe ciężarówki, wypluwały w twarz kłęby duszących spalin. Klaksony pozdrawiały pannę młodą na harleyu. Najchętniej nigdy nie zsiadałaby z motoru. Pognałaby przez czas do innego wymiaru, do świata, gdzie nie miałyby nazwiska. Do świata, w którym czyny nie pociągają za sobą żadnych konsekwencji.

Na południe od Moffet Field Sam zjechał z autostrady. Krajobraz zmieniał się szybko – teraz mijali hale fabryczne i centra handlowe. Zwolnił. Przycisnęła policzek do jego ramienia i zamknęła oczy. Nie zatrzymuj się, błagała w myślach. Nigdy się nie zatrzymuj. Nie posłuchał. Po chwili motocykl ucichł, znieruchomiał między jej nogami. Sam przyciągnął ją do siebie.

- Koniec przejażdżki, mała - szepnął. - Twój mężczyzna umiera z głodu.

Krzyknęła cicho ze strachu. Czy jest jej mężczyzną? Boże drogi, co ona zrobiła? Co z nią będzie? Puścił ją, zsiadł z motoru i podał jej rękę. Złapała ją kurczowo, jakby jego dotyk mógł ją ocalić.

- To nowy świat - oznajmił. - Wkraczamy do nowego świata.

Ściśle rzecz biorąc, wkraczali do Burger Kinga.

Susannah szeroko otworzyła oczy, gdy dotarło do niej, gdzie się znaj-dują. Asfalt grzał ją w stopy. Była boso. Boże drogi, jest boso i stoi przed Burger Kingiem! Jedwabna pończocha podarła się na kolanie, blade ciało wyglądało na świat jak wyrośnięte ciasto. Sam wziął ją za rękę. Widziała utkwione w nich spojrzenia. Zerknęła na swoje odbicie w szybie - pognieciona suknia ślubna, rozwiane rude włosy, nos zaczerwieniony od wiatru. Przerazona, złapała Sama za ramię.

- Sam, nie mogę....

- Owszem, możesz.

Uścisnął jej dłoń, otworzył drzwi i wprowadził ją do świątyni amerykańskiej klasy średniej.

Grupka nastolatków przerwała zawody w bekaniu i patrzyła na nich ciekawie. Ze wszystkich stron słyszała śmiech. Pończochy przykleiły się do tłustej plamy na podłodze. Sześciolatki w papierowych koronach zapomniały o przyjęciu urodzinowym i utkwili w niej zdumione spojrzenie. Jeden nawet pokazywał ją palcem. W całej restauracji goście zapomnieli o frytkach i hamburgerach i gapili się na Susannah Faulconer. Stała tam i starała się nie myśleć o tym, co zrobiła.

Grzecznych dziewczynek nikt nie porywa. Prawdziwa dama nie ucieka sprzed ołtarza na harleyu. Co się stało? Co ona najlepszego zrobiła? Co teraz? Upokorzyła Cala. Nigdy jej tego nie wybaczy. A ojciec... Nie, nie może teraz myśleć o ojcu. To, co zrobiła, jest zbyt przerażające. Nie teraz, jeszcze nie.

Sam podszedł do kontuaru. Odwrócił się w jej stronę.

- Nie będziesz chyba płakać, co?

Pokręciła przecząco głową. Nie była w stanie odpowiedzieć. Przez ściśnięte gardło nie przeszłoby jej ani jedno słowo. Sam nie wie jeszcze, że ona nigdy nie płacze, choć akurat w tej chwili miała na to wielką ochotę.

- Świetnie wyglądasz - szepnął. - Wolna i dzika.

Przeszedł ją dreszcz tak silny, że na moment zapomniała, gdzie jest. Nikt nigdy tak jej nie nazywał. Chciwie pochłaniała wzrokiem jego twarz i zastanawiała się, czy kiedykolwiek jej się to znudzi.

Uśmiechnął się krzywo.

- Co zjemy?

Nagle przypomniała sobie, gdzie jest. Starła się poszukać w nim oparcia - opinia innych nie obchodziła go. Powiedział, że jest wolna i dzika, więc taka będzie. Lecz słowa to za mało, by stworzyć nowego człowieka. Nadal jet Susannah Faulconer i była zła, że robi z siebie widowisko. Zamówił jedzenie. Posłusznie usiadła z nim przy oknie. Nie miała apetytu i po kilku kęsach przestała udawać, że je. Sam sięgnął po jej hamburgera. Patrząc, jak rwie bułkę mocnymi, białymi zębami, powtarzała sobie, że wszystko jest lepsze niż powolna śmierć w wieku dwudziestu pięciu lat. Nie wiadomo dlaczego, Susannah wyobrażała sobie, że Sam mieszka w ciasnej kawalerce. Nie była przygotowana na wiadomość, że nadal mieszka z matką. Zajmowali mały domek, jeden z tych, które wyrosły w dolinie jak grzyby po deszczu pod koniec lat pięćdziesiątych jako mieszkania dla robotników, którzy ściągali do Lockheed. Front pokrywało zielone aluminium, z tyłu dostrzegła brudne gipsowe stiuki. Dach pokrywała papa.

- Ciemno - stwierdził Sam, wskazując garaż pod wątlą palmą. - Pewnie Yanka nie ma.

- On też tu mieszka? - Z każdą chwilą jej zdenerwowanie rosło coraz bardziej. Dlaczego Sam mieszka z kimś? Co powie jego matce?

- Yank ma mieszkanie po drugiej stronie miasta. Mama na kilka tygodni pojechała do Las Vegas z przyjaciółkami. Mamy cały dom dla siebie.

Co za ulga. Podeszli do drzwi. Sam wyjął klucz z kieszeni i po chwili byli w środku, w saloniku. Susannah wstrzymała oddech.

Znalazła się w muzeum złego smaku. Na podłodze leżał ohydny złoty dywan. Przy kanapie obitej czerwonym aksamitem stało akwarium wypełnione błyszczącymi kamykami. Sam zapalił lampkę, czyli klatkę dla ptaków pełną sztucznych kwiatów. Centralną część ściany – najwyraźniej miejsce honorowe – zajmował olejny portret Elvisa Presleya naturalnej wielkości. Elvis miał na sobie biały kombinezon, jak podczas występów w Las Vegas, i zaciskał dłoń na mikrofonie.

Susannah przeniosła wzrok na Sama i czekała, aż coś powie. Odwzajemnił jej spojrzenie i zacisnął usta. Czekał na jej komentarz. Wyzwanie w jego oczach i uparta mina wzruszyły ją. Najchętniej podeszłaby do niego, oparła głowę na ramieniu i powiedziała, że go rozumie.

Dla kogoś, kto jak on uwielbia rzeczy najlepszej jakości, mieszkanie tu to piekło. Zapytała o łazienkę. Na mandarynkowych kafelkach pływały tłuste ryby z kalkomanii. Ściągnęła podarte pończochy i wyrzuciła do kosza. Ze ściany za ubikacją zerkał nieco mniejszy Elvis, tym razem namalowany na czarnym aksamicie. Na dole widniał napis LOVE ME TENDER, z którego odpadły literki, tak że teraz można było przeczytać LOVE ME TEN (kochaj mnie dziesięć). Nie raz, pomyślała, myjąc ręce i przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. Nie kochaj mnie raz czy dwa. Kochaj mnie dziesięć razy.

Zastała Sama w kuchni. Podał jej puszkę coli i złote sandałki ozdobione plastikowymi stokrotkami. - Mojej matki - wyjaśnił. - Nie będzie miała nic przeciwko.

Wsunęła stopy w sandałki, ale grzecznie podziękowała za colę. Przyglądał się jej przez chwilę.

Wziął w dłonie kosmyk jej włosów. Kręciło jej się w głowie od jego bliskości, jakby w szalonym tempie mknęła w stronę przepaści.

- Masz piękne włosy - szepnął.

Dotknął kciukiem jej ust. Oddychała coraz szybciej. Bursztynowe plamki w jego oczach żarzyły się jak świetliki, które jako dziecko trzymała w słoiku. Kiedy Susannah nie widziała, Paige otworzyła naczynie, wysypała owady na ziemię i podeptała. A później płakała tak rozpaczliwie, że Susannah

myślała, że nigdy nie przestanie.

Z oczu Sama wyczytała, że chce się z nią kochać, i nagle poczuła, że wszystkie mięśnie jej zwiotczały, jakby wypila za dużo wina. Tego dnia doświadczyła zbyt wiele. Najchętniej zrealizowałaby wszystkie swoje fantazje, lecz była na to za bardzo zmęczona. To będzie ostatni krok ku wolności, a ona jeszcze nie była gotowa.

Odsunęła się gwałtownie i weszła do sypialni. Elvis, pochmurny i gniewny, spoglądał ze ściany. Nagle zastanowiła się, czy kocha Sama. Czy w ogóle wie, czym jest miłość? Czy to miłość, czy tylko pożądanie? Kocha ojca, a proszę, co zrobiła. Udawała, że kocha Cala, i skończyło się to fatalnie. A Sam? Czy do reszty postradała zmysły, ulegając fantazjom, w których główną rolę grał bursztynowooki buntownik? Czy porzuciła wszystko dla seksu?

- Chodź do garażu - powiedział za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że stoi w progu między kuchnią i salonikiem.

- Chcę ci pokazać, nad czym pracujemy - wyjaśnił. - Teraz to także twoje życie.

Gdy szli do drzwi, usta mu się nie zamykały.

- Mówiłem ci, że to się zaczyna, Suzie, i naprawdę tak jest. W zeszłym tygodniu niejaki Pinky z Z.B. Electronics zamówił u nas czterdzieści kompletów! Czterdzieści! A to dopiero początek.

Była córką Joela Faulconera i niełatwo jej przyszło okazać entuzjazm, słysząc tak śmiesznie małe liczby. Starła się jednak nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie.

- To cudownie.

Plastikowe stokrotki na sandałkach drapały ją w stopy, gdy szli przez podwórze. Sam wskazał garaż, wymachując puszką coli. Przyglądała się jego dłoni. To ręka pracującego mężczyzny. Miał czyste, ale nierówne paznokcie i białą bliznę na kciuku.

- Tu, w dolinie, garaże przynoszą szczęście. Bill Hewlett i David Packard założyli swoją firmę właśnie w garażu w Palo Alto. Nasza firma też rodzi się tutaj. Połowa chłopaków z Homebrew majstruje coś w garażach. Pamiętasz Steve'a Wozniaka? Pokazywałem ci go.

- On i jego kumpel pracują nad komputerem, który nazywa się jak jakiś owoc.

Kiwnął głową. Zatrzymał się przed bocznym wejściem do garażu.

- Pracują w garażu rodziców Steve'a Jobsa w Los Altos. Podobno pani Jobs doprowadza Woza do szaleństwa, bo biega w kółko, robiąc pranie. - Uśmiechnął się krzywo i otworzył drzwi. - Yank ma jeszcze gorzej.

Susannah nie rozumiała, dopóki nie weszła do środka. Garaż podzielono na dwie części. Z tyłu dostrzegła regały pełne części elektronicznych, szeroki stół roboczy i kanapę obitą materiałem w kwiaty. Z przodu wydzielono pomieszczenie za pomocą jasnego przepierzenia. Stała w progu i zobaczyła zlew fryzjerski, fotel kosmetyczny i kilka suszarek. Tam, gdzie dawniej były drzwi do garażu, dostrzegła olbrzymie lustro upstrzone złotymi plamkami.

W tym momencie rozdzwonił się telefon na małym biurku. Włączyła się automatyczna sekretarka i kobiecy głos oznajmił:

- Witam, tu zakład fryzjerski Angeli. Przez najbliższe dwa tygodnie szukam szczęścia w Las Vegas. Proszę zostawić wiadomość. Oddzwonię.

Chwila ciszy, potem sygnał.

- Cześć, Angela, tu Harry Davis z domu pogrzebowego Longacres. Stara pani Cooney umarła w nocy. Chciałem, żebyś ją uczesała przed wystawieniem zwłok w poniedziałek, ale skoro cię nie ma, ściągnę Barb. Zadzwonię przy następnej okazji. Zapadła cisza. Susannah zwróciła się do Sama.

- Twoja matka czesze zwłoki? - zapytała słabym głosem.

- Czesze też żywych! - obruszył się. - Pracuje dla domu starców. Kiedy staruszki wyciągają nogi, wzywa ją zakład pogrzebowy. To doprowadza Yanka do szału. - Zakład pogrzebowy?

- Staruszki. Dom starców przywozi je autobusem. Czasami, gdy pracuje, zaglądały do niego i pytają, co robi. - Napił się coli i wskazał tylną część garażu. - Chodź, pokażę ci, nad czym pracujemy.

Wyszła z zakładu fryzjerskiego i znalazła się w innym świecie. Na stole znajdowała się płatanina kabli, magnetofon, telewizor i klawiatura. Sam zapalił górne światło i pochylił się nad sprzętem. Na jej oczach ekran telewizora rozjaśnił się. Sam wsunął kasetę do magnetofonu i po chwili na ekranie pojawił się napis drukowanymi literami:

JAK CI NA IMIĘ?

- Dalej - zachęcał Sam. - Pogadaj z nim. Podeszła bliżej i z wahaniem napisała: SUSANNAH .  
CZEŚĆ, SUSANNAH. MIŁO MI. JA JESZCZE NIE MAM IMIENIA. MOŻE MASZ JAKIŚ  
POMYSŁ?

Ogarnęło ją dziwne uczucie, gdy maszyna zwróciła się do niej po imieniu.

NIE, wpisała.

SZKODA. POZWÓL, ŻE OPOWIEM CI O SOBIE. URUCHAMIA MNIE MIKROPROCESOR  
7319 CORTON. MAM 8 KILOBAJTÓW PAMIĘCI. CZY INTERESUJE CIĘ COŚ JESZCZE?  
TAK, wpisała.

Maszyna odpowiedziała dalszymi szczegółami technicznymi, a potem, ku jej zdumieniu, wyświetliła pytanie:

JESTEŚ KOBIETĄ CZY MĘŻCZYZNĄ?

KOBIETĄ, odpowiedziała. ŁADNĄ?

Sam pochylił się i wystukał: TAK.

JESTEŚ WOLNA?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

- Ten komputer ma sprośne myśli.

- Nie moja wina. Nie ja go programowałem. Napisała: NIE.

SZKODA. CZY MIMO TO PÓJDZIESZ ZE MNĄ DO ŁÓŻKA?

Zachichotała i zaprzeczyła.

KURCZĘ. NIE MAM SZCZĘŚCIA DO KOBIET. CHYBA MAM ZA MAŁY PROCESOR.

Roześmiała się.

- A co by było, gdybym powiedziała tak? Sam przesunął dłońmi wzdłuż jej kręgosłupa.

- Kazałby ci się rozebrać i stanąć nago przed monitorem.

Zadrzała. Jego palce minęły wysoki kołnierzyk sukni ślubnej i muskały skórę na karku. Nie ruszała się. Gładził ją od niechcienia, cały czas opowiadając o komputerze. Prawie go nie słyszała.

Miała ochotę przytulić się do niego mocno, tak, by ich ciała stopiły się w jedno. Wyobrażała sobie, jak wnika w niego, jak stają się jednością. Może wtedy udzieliłaby się jej jego siła. Czerpałaby jego energię. Żyłaby jego arogancją i bezczelnością, jego śmiałością i pewnością wszystkim tym, czego jej brakowało, a co on posiadał w nadmiarze. Narodziłaby się na nowo i mogłaby z podniesioną głową iść przez życie. Nie bałaby się czarnoksiężników, nie imaloby się jej zło, nic złego nie mogłoby jej spotkać.

Wziął ją za rękę i wyszli z garażu. Wrócili do domu. W powietrzu unosił się zapach grillowanego mięsa, gdzieś w pobliżu hałasowały dzieci. Sam wszedł do kuchni.



- Siadaj - wskazał stół kuchenny. - Dzisiaj ja przygotuję kolację, jutro twoja kolej.

Wciąż nie miała apetytu.

- Przecież niedawno jedliśmy.

- Wiem, ale znowu jestem głodny. - Podeszedł do lodówki. - Mogę nie jeść przez kilka dni, a potem zmiatam wszystko w zasięgu wzroku. - Wyjął puszkę coli, zamknął lodówkę i napił się. Najwyraźniej nie znalazł nic innego.

Patrzył na nią tak przenikliwie, że odwróciła wzrok.

- Pijesz dużo coli - zauważyła. Była zdenerwowana.

- Jestem uzależniony. Wpadłem w nałóg, kiedy przestałem palić trawę. - Podeszedł do drzwiczek od spiżarki, otworzył je energicznie, obrzucił wnętrzem uważnym spojrzeniem i wyjął paczkę białego pieczywa, słoik masła orzechowego i plastikową butelkę z miodem. Po chwili siedział naprzeciwko niej.

- Co za smakołyki - stwierdziła lekko, starając się rozładować okropne napięcie.

Nie uśmiechnął się.

- Mam na głowie ważniejsze rzeczy niż jedzenie.

- Na przykład? - O Boże, co za głupie pytanie. Co za beznadziejnie głupie pytanie. Seks. I to z nią.

Wycisnął odrobinę miodu na palec. Zlizął go, cały czas patrząc jej w oczy.

- Naprawdę nie wiesz?

Nagle ogarnęło ją pożądanie – zaczęło się od piersi i rozpląnęło po całym ciele. Powtarzała sobie, że powinna wstać i odejść, ale czuła się jak sparaliżowana. A co, jeśli chce iść z nią do łóżka i nic więcej? Wie przecież, że to szaleniec i ryzykant. A co, jeśli taktuje ją tylko jak kolejne wyzwanie? Nie może dopuścić, by coś między nimi zaszło, dopóki nie porozmawiają. Muszą się lepiej poznać, zanim zrobią coś nieodwracalnego.

Przechylił głowę, tak że jego włosy opadły na ramię ciemną falą. Chwyciła słoik masła orzechowego, jakby umierała z głodu. Nerwowo mocowała się z zakrętką. Uśmiechnął się i powoli wyjął jej słoik z rąk.

- Przecież powiedziałem, że dzisiaj ja robię kolację.

Patrzyła, jak smaruje kromkę chleba masłem orzechowym, kładzie ją na stole i sięga po butelkę miodu. Przyglądał się jej dłuższą chwilę. Uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech. Wydawało się, że jego ręka porusza się w zwolnionym tempie, gdy sięgał do guzików jej sukienki. To niemożliwe, musi kazać mu przestać. Nie powiedziała jednak ani słowa. Przestał dopiero, gdy rozpiął całą górę. Rozsunął poły, aż odsłonił stanik. Był przezroczysty, cieniutki. Kupiła go w nadziei, że rozpali Cala Theroux.

Wsunął palec pod zapięcie z przodu, ale nie rozpiął.

- Boisz się?

Była przerażona. Patrzyła na butelkę miodu w jego dłoni i czuła, że w ustach zasycha jej ze strachu. Dlaczego nie ma jego śmiałości?

- Nie... skądże - wyjąkała. - Nie żartuj. Musnął kciukiem jej pierś.

- Może powinnaś się bać, bo, mała, nie masz pojęcia, co z tobą zrobię.

Czuła się, jakby ktoś odpalił w niej rakiety. Pożądanie wyparło strach. Chciała krzyknąć: „Zrób to! Błagam!”. Zacisnęła dłonie w pięści, żeby się opanować. Chociaż uciekła sprzed ołtarza na harleyu, chociaż miała na nogach złote sandały ze sztucznymi stokrotkami, chociaż korzystała z toalety na oczach Elvisa Presleya, nadal jest Susannah Faulconer. A dobrze wychowana młoda dama nie

krzyczy: „Zrób to!”, nawet jeśli mężczyzna rozpala w niej ogień.

Cofnął dłoń, nałód odrobinę miodu na kanapkę. Podniósł chleb do jej ust. Spojrzała na nią przelotnie. Nie drgnęła.

- Otwieraj - szepnął.

Przywykła spełniać polecenia mężczyzn, więc zrobiła, co jej kazał. Ugryzła mały kęs. Sam wbił zęby w drugi koniec.

- Dobra? - zapytał.

Skinęła głową. Podsunął jej kromkę. Jedli bez słów, powoli, patrząc sobie w oczy. Podniósł butelkę z miodem do jej ust. W pierwszej chwili myślała, że będzie ją karmił jak małe dziecko, on jednak tylko wycisnął odrobinę miodu na jej dolną wargę. Zanim słodycz skapnęła niżej, Sam ją zlizął.

- Uwielbiam miód - wyszeptał.

Pieścił językiem jej usta. Jęknęła cichutko i zamknęła oczy. Czowała, że przegrywa walkę z własnym ciałem. Całował jej szyję, zostawiał wilgotny, lepki ślad.

- Lubisz miód? - zapytał.

- Tak. Och, tak.

Rozpiął jej stanik, rozsunał cieniutką tkaninę, leciutko dotykał opuszkami palców. Z trudem powstrzymywała się od krzyku. Poczwała szorstki dotyk. Otworzyła oczy i zobaczyła, że dotyka jej sutka końcem butelki. Wycisnął odrobinę miodu na nabrzmiałą pierś.

Krzyknęła, gdy pochylił głowę i dotknął jej ustami.

Ten krzyk ją wyzwolił. Nie mogła dłużej nad sobą panować. Nie będzie już grzeczną, niewinną księżniczką o martwych piersiach i ściśniętych udach. Zanurzyła dłonie w jego włosach, uniosła je do ust. Chciała poczuć jego smak, wchłonąć jego siłę, jego szaleńczą odwagę.

Ze śmiechem pomógł jej wstać. Oparł ją o brzydki tapetę. Ujęła jego głowę w dłonie i przywarła ustami do jego warg. Przyjęła go ochoczo. Pocałunek był głęboki, namiętny, smakował miodem i masłem orzechowym.

Ściągnął jej suknię z ramion, tak że musiała opuścić ręce. Odnalazła jego pośladki i zacisnęła dłonie na silnym, jędrnym, młodym ciele. Mruczał nieprzyzwoite obietnice, opowiadał, co jej robi i co ona robi jemu, szeptał wulgarne, sprośne, cudownie erotyczne sonety pożądania. Mówiąc cały czas, zadarł jej suknię i odnalazł majteczki. Jej bezczelne, niegrzeczne dłonie szukały rozporoka. Był gotów.

- Najpierw... Potem... Zanim skończę, ty... Wszystkie propozycje witała okrzykiem. Ułożył ją na plecach. Brzydka kuchnia wirowała, gdy rozsuwała uda i stawała się nieprzyzwoitą kobietą ze swoich fantazji. Jego długie włosy laskotały wewnętrzną stronę jej ud, tak jak sobie wyobrażała. Poczwała na sobie jego usta. Nie mogła oddychać. Zaraz umrze. Upłynęło niewiele czasu i rozpląnęła się z rozkoszy. Słyszała swój głos, jakby należał do kogoś innego. Jęczała i łkała.

Gdy wróciła na ziemię, zrozumiała, że tego jej brakowało. Błogie uczucie zniknęło jednak, gdy przypomniała sobie, jak skandalicznie się zachowała. Co Sam sobie o niej pomyślał? Musi go przeprosić, wytłumaczyć...

Całował delikatną skórę jej ud.

- Zaopiekuję się tobą, maleństwo - szepnął. - Moje wygłodniałe maleństwo. - A potem wszystko zaczęło się od nowa.

Ledwie ucichły jej krzyki po drugim razie, a poczwała na sobie jego ciężar. - Chcę tego - szeptał, nie wiedziała, czy do siebie, czy do niej. - Chcecie. Wszedł w nią. Był młody i rozpalony samolubny i niecierpliwy. Wbił się między jej delikatne uda i brał ją gwałtownie, jak przystało na bezczelnego,

aroganckiego marzyciela, którego nic, nawet seks, nie nasyci.

Krzyczała przy każdym jego ruchu, wbijała paznokcie w jego plecy i prosiła o więcej. Tarzali się po drewnianej podłodze, przewrócili krzesło, uderzyli się o szafkę. Rude włosy splątały się z ciemnymi. Szczytował w niej, krzycząc z rozkoszy. Później pozwolił jej trochę odpocząć. Bawiła się jego włosami i ssała srebrny kolczyk, byle nie mówić.

Kazał jej wstać i rozebrał ją do końca. Nerwowo zerknęła w okno. Roześmiał się, gdy szybko zaciągnęła zasłony.

- Nikogo tam nie ma - wyjaśnił. - Nikt nas nie zobaczy.

- Na wszelki wypadek - powiedziała. Parsknął śmiechem i pochłonął resztki kanapki.

- Działasz na mnie - oznajmił z pełnymi ustami. - Naprawdę. A potem sięgnął po butelkę miodu i podszedł do niej.

## Rozdział dziewiąty

W porównaniu z resztą domu pokój Sama uderzał klasztorną wręcz skromnością. Stała tam solidna wiekowa komoda i półka na książki, a na niej wieża stereo doskonałej jakości. Śnieżnobiałych ścian nie zdobiły żadne obrazki, na komodzie nie stały żadne drobiazgi. Susannah wierciła się w podwójnym łożu. Rude włosy, jeszcze mokre po prysznicu z Samem, oplotły jej gardło. Jej świat stanął na głowie i nie wiedziała, co o tym myśleć. Logiczny racjonalny umysł, dzięki któremu tak dobrze radziła sobie w szkole z matematyką i naukami ścisłymi, nie pozwalał jej zasnąć.

Nie ma pieniędzy ani ubrań. Jej konta w banku na pewno zostaną zablokowane. Kocha ojca, ale jak mu wytłumaczyć to, co zrobiła? Jak wybłagać przebaczenie? Spojrzała na mężczyznę, dla którego porzuciła wszystko. Nawet podczas snu emanował pasją. Marszczył czoło, zaciskał usta. Popęlnili błąd, idąc do łóżka, zanim zdążyli się lepiej poznać. A jednak nawet jej logiczny umysł nie mógł wzbudzić w niej żalu z powodu tego, że pozwoliła, by sprawy między nimi zaszły tak daleko.

Kochali się jak w jej marzeniach. Po raz pierwszy mężczyzna docenił jej namiętność, tak że temperament stał się źródłem radości, nie wstydu. To bardzo cenny dar.

Poruszył się przez sen i wyciągnął ręce - namiętny, nienasycony, zupełnie jak demoniczni kochankowie z jej marzeń. Wyszeptał jej imię. Uniósł powieki i uśmiechnął się. Wtedy zrozumiała, że go kocha. To coś więcej niż seks. Dlatego porzuciła dla niego rodzinę. Kiedy go poznała, umierała. Zareagowała instynktownie, tak jak wysuszona pustynna roślina reaguje na letni deszcz. Potrzebowała jego dzikości, młodości, jego szaleńczego optymizmu. Potrzebowała wolności i odwagi.

Dotknęła srebrnego kolczyka w jego uchu. Wkrótce kochali się znowu. Kiedy się obudziła, łóżko było puste. W nogach leżała czysta koszulka i dzinsowa spódnica, zapewne pożyczone z szafy jego matki. Powąchała koszulkę - pachniała proszkiem do prania, nie Samem.

Ubrała się i poszła do kuchni. Nie zastała tam Sama. Wyjrzała przez okno w stronę garażu i zobaczyła go pochylonego nad stołem roboczym. Jakaś jej część chciała puścić się pędem przez podwórko i dotknąć go. Zamiast tego podeszła do telefonu. Drżącą dłonią wybrała numer Falcon Hill. Zajęte. Odłożyła słuchawkę, wdzięczna losowi za zwłokę. Powtarzała sobie, że powinna skontaktować się z Calem i spróbować go przeprosić, nie mogła się jednak na to zdobyć.

Wypiła szklanekę soku pomarańczowego i poszła do garażu. Gdzieś w oddali dzwoniły niedzielne dzwony. Na podjazd wjechał sfatygowany plymouth duster. Silnik umilkł nagle i z samochodu

wysiadł Yank Yankowski. Szedł w jej stronę – kościsty, niezdarny, przypominał bociana w okularach. Jego fryzura okazała się jeszcze gorsza, niż zapamiętała. Nie był to język komandosów z marines, tylko przedziwna fryzura w stylu Davida i Rocky'ego Nelsonów, modna w latach pięćdziesiątych.

Marszczył czoło w skupieniu. Podszedł bliżej. Zobaczyła jego oczy za grubymi szklami okularów – jasnobrązowe i błędne. Nie wiedziała, że można mieć wzrok błędny aż do tego stopnia.

- Cześć. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nie przedstawiono nas sobie jeszcze. Jestem Susannah Faulconer. Minał ją Zdumiona odprowadziła go wzrokiem do drzwi garażu. Miał dwie różne skarpetki - granatową i białą. Co za dziwny osobnik, pomyślała.

Po chwili i ona weszła do garażu. Yank i Sam byli pogrążeni się w dyskusji na tematy techniczne. Czekala, aż Sam odwróci się i ją zauważy. Gdy w końcu to zrobił, uważnie przyjrzała się jego twarzy, szukając jakiegoś znaku, że odmieniła go ostatnia noc. Wyglądał tak samo, ale chwila ciszy, zanim się odezwał, świadczyła o tym, że wspomina, co między nimi zaszło.

- Yank wymyślił nową grę, Suzie. Chodź, zobacz. Jest super! Musisz zagrać. Nie potrzebował jej zachęcać, by podeszła bliżej. Po chwili strzelała do ruchomych obiektów, a mężczyźni wykrzykiwali instrukcje. Do tego stopnia absorbowala ją bliskość Sama, że niemal nie zauważala Yanka. Jego uwagi były bezosobowe, dotyczyły gry. Chociaż mówił do niej, miała wrażenie, że tak naprawdę jej nie dostrzega. Była tylko parą rąk na jego bezcennym komputerze.

- Nie w tę stronę - powiedział Yank. - W lewo!

- Mam! - krzyknęła. - Trafiłam!

- Uważaj, bo oberwiesz!

To naprawdę dobra zabawa, uznała, ale nic więcej. Rozrywka na kilka godzin. To wszystko. Nie rozumiała obsesji Sama na punkcie tej zabawki. Daj, teraz ja. Zbyła go machnięciem ręki.

- Za chwilę. Jeszcze raz.

W końcu Yank zabrał im grę, żeby pomyśleć nad drobnym problemem technicznym. Gdy pracował, Sam udzielił Susannah pierwszej lekcji z podstaw elektroniki. Opowiadał o półprzewodnikach, tranzystorach, chipach i krzemie. Zachwycił się miniaturyzacją i roztaczał przed nią wizję przyszłości, w której dzisiejsze małe chipy uznają się za duże i niewygodne.

Niektóre rzeczy już wiedziała, większość jednak była dla niej zupełnie nowa. To fascynujący świat, uznała, i pełen życia dzięki charyzmie Sama. Yank poprosił Sama o pomoc, obserwowała więc, jak pracują. W końcu z ociąganiem wróciła do domu, żeby jeszcze raz zadzwonić do Falcon Hill. Ciągłe było zajęte. Po kilku próbach doszła do wniosku, że specjalnie źle odłożono słuchawkę.

Przypominała sobie stosunek ojca do Paige i zrobiło jej się zimno na myśl o życiu bez jego miłości. W niektórych rodzinach miłość otrzymuje się za darmo, bezwarunkowo. Niestety, nie u Faulconerów. Zadzwoniła do Cala, ale tam nikt nie odbierał. Napisała do niego list, prosząc, by wybaczył to, czego wybaczyć się nie da.

Przyszedł Sam i oznajmił, że zabiera ją na kolację do chińskiej knajpy. Susannah już miała powiedzieć, żeby chwilę poczekał, bo najpierw musi się przebrać, ale uświadomiła sobie, że nie ma żadnego ubrania na zmianę. Szli właśnie do kuchennych drzwi, gdy za dusterem Yanka zatrzymał się ciemnoniebieski ford pinto.

- Cholera - mruknął Sam.

- Co się stało? - Czyżby Angela Gamble wróciła wcześniej do domu? Co powie jego matce? Sam nie odpowiedział. Wróci do garażu z miną człowieka wyruszającego w samobójczą misję. Susannah

niechętnie poszła za nim. Ku jej uldze kobieta przy stole roboczym była mniej więcej w jej wieku. Była zdecydowanie za młoda, żeby być matką Sama, choć bluzka ze sztucznego włókna i odrosty sprawiały, że wyglądała na starszą niż była w rzeczywistości. Miała figurę w kształcie gruszki - wąskie ramiona, mały biust i szerokie biodra. Nieskazitelną czystą cerę szpecił wąsik nad górną wargą. Nie było to szczególnie odrażające, ale kobieta, która naprawdę o siebie dba, pozbyłaby się go.

- ...wszystkich grup pokarmowych, Yank. Zostawiłam ci sałatkę fasolową, ale czy zjadłeś choć odrobinę? Nie, skądże. Nawet nie spróbowałeś. Fasola to bogate źródło protein, a ty w kółko jesz tylko ciasteczka z czekoladą. Cóż, powiem ci jedno, mój drogi. Nie upiekę już ciasteczek z czekoladą, o nie. Najpierw zaczniesz się prawidłowo odżywiać.

Daj mu spokój, Roberto. Kobieta była tak pochłonięta pouczaniem Yanka, że nie usłyszała, jak weszli, i podskoczyła, gdy Sam się odezwał. Zarumieniła się.

- Sam...ja.... ja...nie...

Zbliżał się powoli. Lekko pochylony, na ugiętych, szeroko rozsuniętych nogach motocyklisty wyglądał naprawdę groźnie i Susannah wcale nie dziwiła się Robertcie, że ta cofnęła się o kilka kroków. Wsunął kciuk za szlufkę dżinsów. Susannah przeszedł dreszcz, a biedna Roberta przestraszyła się jeszcze bardziej.

- Chyba niezbyt jasno się wyraziłem, kiedy rozmawialiśmy ostatnio - stwierdził.

- Nie, Sam. Ja... Wpadłam tylko na moment.

- Nie chcę cię tutaj widzieć, Roberto. Nie podoba mi się, że tak go męczysz.

Roberta próbowała wziąć się garść.

- Będę tu przychodzić, kiedy zechcę. Yank lubi, kiedy jestem blisko, prawda, Yank? Yank sięgnął po śrubokręt. Sam oparł się o stół.

- Już powiedziałem, trzymaj się z daleka od garażu. Yank może z tobą sypiać, proszę bardzo, to jego sprawa, ale daj mu spokój, kiedy pracuje.

Roberta łypnęła na Sama groźnie. Wyraźnie zbierała siły do dalszej kłótni i równie wyraźnie nie mogła się zdobyć na awanturę. Susannah z przykrością patrzyła na jej drżący podbródek. Nie znosi przykrych scen i robi wszystko, co w jej mocy, by zakończyć i tę.

- Cześć, jestem Susannah. - Nazwisko Faulconer było zbyt znane, dlatego instynktownie przedstawiała się tylko imieniem.

Kobieta, wdzięczna za pomoc, odwzajemniła gest z niezaradnym pośpiechem.

- Roberta Pestacola. Jak pepsi-cola, tylko zamiast pepsi jest pesta.

- Jesteś Włoszką? Roberta skinęła głową.

- I to po obojgu rodzicach, a nie jak Sam tylko po jednym. Susannah nie wiedziała, że Sam ma włoskich przodków.

- Jestem dziewczyną Yanka - ciągnęła Roberta. - Właściwie jesteśmy zaręczeni. - Zaczęła opowiadać o swojej pracy. Była dietetykiem w szpitalu, w wolnym czasie zajmowała się garncarstwem. W końcu przerwała na chwilę. Było oczywiste, że oczekuje, iż Susannah udzieli równie wyczerpujących informacji o sobie.

- Jakie to ciekawe – skomentowała Susannah. Sam wziął Robertę za ramię.

- Odprowadzę cię do samochodu, Roberto. Na pewno musisz pomyśleć o jakiejś diecie.

Roberta odruchowo złapała się stołu – nie tyle z chęci pozostania w garażu z Yankiem, ile – jak podejrzewała Susannah – ze strachu na myśl tym, że mogłaby zostać z Samem sam na sam. Znowu

więc się nad nią ulitowała.

- Pójdę z wami.

Sam jednak był innego zdania.

- Nie mieszaj się w to, Susannah. Musimy zamienić z Robertą kilka słów na osobności. Napięcie rozładował cichy, spokojny głos.

- Roberta, potrzyмай mi lampę, dobrze? - Yank uniósł głowę i zamrugał szybko, jakby ocknął się z długiego snu. - Przytrzymaj, żebym widział, co robię. Roberta rzuciła się w stronę lampy. Sam spojrział na Yanka z dezaprobatą i zwrócił się do Roberty:

- Nie męcz go, Roberto. Mówię poważnie. Mamy spore zamówienie i Yank musi jeszcze sprawdzić, czy na pewno wszystko gra. Kiedy wrócę, ma cię tu nie być. Wyszedł z garażu. Susannah pobiegła za nim.

- Boże - jęknął. - To najgorszy przypadek seksualnej desperacji, jaki w życiu widziałem.

Susannah nie była pewna, kogo miał na myśli – Yanka czy Robertę. Żadne z nich nie robiło imponującego wrażenia.

- Rozumiem, że Yankowi niełatwo jest poderwać jakąś dziewczynę - ciągnął – ale nie wyobrażam sobie, jak można iść do łóżka ze starą Robertą. Założę się, że zanim do czegoś dojdzie, każe mu dezynfekować sprzęt.

Nie przywykła jeszcze do łączącej ich bliskości i zarumieniła się.

- Yank nie wygląda na ogiera.

- Pozory mylą. To on napisał tamten sprośny program. Tylko że lepiej radzi sobie z maszynami niż z kobietami. - Sam usiadł na harleyu i uśmiechnął się zawadiacko. - Ja natomiast równie dobrze radzę sobie z jednymi i z drugimi.

Zjedli w zapyziałej chińskiej knajpce – Sam pochłonął całą swoją porcję kurczaka w orzechach i trzy czwarte jej. Chichotali, czytając przepowiednie z ciasteczek. Sam pieścił ją pod stołem, aż błagała, by przestał.

W drodze do domu skręcił na opustoszały plac zabaw. Gdy zsiadali, podał jej rękę.

- Dzisiejszy wieczór to nasze ostatnie wolne chwile. Powinniśmy je dobrze wykorzystać.

Zaprowadził ją do piramidy ze starych opon. Usiadła. Jedyne oświetlenie stanowił reflektor motocykla – na całym placu zabaw królowały dziwaczne cienie. Ochłodziło się, więc zapięła wiatrówkę, którą pożyczył jej Sam. Podniosła głowę. Gwiazd nie było widać. Nie wiedziała, co je zasłania: mgła czy smog.

Sam dostrzegł na nocnym niebie coś zupełnie innego.

- Odkryjemy tajemnice wszechświata, Suzie. Ty i ja. Nie dla grubych ryb w wieżach z kości słoniowej, ale dla wszystkich. Dzięki nam zwykli ludzie zdobędą władzę bogów. Zadrzała.

- Nie jestem pewna, czy chcę mieć taką władzę.

- Bo ciągle się boisz własnego cienia. - Zniżył głos. - Wiesz, co ci da maszyna Yanka?

Wiesz? - Patrzył na nią tak przenikliwie, że wydawało się jej, że poznał wszystkie jej tajemnice. - Da ci odwagę.

Roześmiała się słabo.

- Jak Tchórzliwemu Lwu z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*?

- Dokładnie tak samo.

- Nie wierzę, że maszyna może dać odwagę.

- Ta maszyna - może. Jeśli będziesz tego chciała. Ale musisz naprawdę chcieć, Suzie. - Oparł się o

starą oponę. - Zdajesz sobie sprawę, że to zamówienie na czterdzieści kompletów znaczy o wiele więcej niż szansa na pieniądze, prawda? Dzięki temu stajemy przed wyborem, przechodzimy próbę. Niewielu ma taką szansę. Musimy zdobyć więcej zamówień, zacząć się reklamować. I nie popełnimy tego samego błędu co Altair z MITS. Nie będzie żadnych kompletów do samodzielnego składania. To, co sprzedajemy, musi być gotowe i najwyższej jakości.

Jego plany były tak nierealne, że aż ją to zaniepokoiło. Wszystko pięknie, dopóki opowiada o władzy bogów. Fakty jednak wyglądają zupełnie inaczej: mają maszynę, której nikt nie chce kupić, montują ją w garażu kobiety, która farbuję włosy nieboszczykom. Jak Sam może na czymś takim opierać swoją przyszłość? A ona?

- Części są drogie - zauważyła. - Ile będzie kosztowało złożenie czterdziestu kompletów?

- Uwzględniając zniżki i ceny okazyjne, około dwunastu tysięcy. Do tego obudowy. Proste, ale solidne. I jeszcze inne drobiazgi... W sumie koszt jednego zestawu wyniesie około trzystu dolarów. Pinky zapłaci nam po pięćset, a sprzeda po siedemset. Zainwestujemy zyski w dalsze komplety i wkrótce będziemy mogli wyprodukować domowy komputer – z monitorem, terminalem i innymi dodatkami. Pewnego dnia rozbijemy w proch FBT.

- Masz dwanaście tysięcy dolarów?

- Yank i ja mamy razem dwa tysiące, ale część z tego wydałem na obudowy. Jeden znajomy proponuje mi osiemset pięćdziesiąt za moją wieżę. To wszystko. Mając trzy tysiące dolarów, Sam porywa się na FBT. Kochała go, więc ukryła rozczarowanie.

- Próbowałeś w bankach?

- W bankach pracują sami idioci. Nie mają wizji. To dinozaury. Tak, wyraźnie próbował w bankach. Wysypała żwir z sandałka.

- To co zrobisz? Spojrzał na nią badawczo.

- Raczej co my zrobimy? Jesteś tego częścią. A może chcesz wrócić do domu, do tatusia i Calvina? Światła odbijały się w bursztynowych plamkach w jego oczach. Wzdrygnęła się.

- To nie fair.

- Nie obchodzi mnie, co jest fair, a co nie. Chcę wiedzieć. Wchodzisz w to czy nie?

- Chcę być z tobą, Sam.

- Nie o to pytam.

Zapędził ją w koziego róg. Była przerażona. Niezgrabnie zsunęła się z opony i spojrzała w dal, w ciemność.

- Nie mam pieniędzy. Na wypadek gdybyś na to liczył, informuję cię, że nie mam ani centa. Mój ojciec kontroluje wszystko.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy - zdenerwował się. - Nie dlatego chcę, żebyś weszła w to ze mną. Do cholery! Myślałaś, że o to mi chodzi?

- Nie, skądże. - Ale przez chwilę, przez ułamek sekundy właśnie tak myślała. - Nie mam nic, Sam. Nie mam pieniędzy, ubrań, nie mam gdzie mieszkać.

- Nie proszę cię o pieprzony posag! Zdobędziemy dla ciebie jakieś ciuchy, zamieszkas z mną. Wchodzisz w to, Suzie?

Jest taki pewny swego, zawsze taki pewny. Ciemność na skraju placu zabaw nagle wydała się złowroga, pełna niebezpieczeństw.

- Powiedziałam ci już, że chcę być z tobą.

- Nie możesz być ze mną i nie wejść w to.

Co ma mu powiedzieć? Jest praktyczna. Zrobiła jedną niepraktyczną rzecz w życiu - zakochała się w Samie Gamble'u. " - To nie takie proste. - Odwróciła się, ale nie dał jej odejść.

- Bzdura! Chcę wiedzieć!

- Nie krzycz na mnie!

- Chcę wiedzieć, do cholery! Przestań budować sztuczne przeszkody! Masz dość odwagi, żeby się na to zdobyć, czy nie? Masz dość odwagi, żeby spróbować? Mówiła szybko. Chciała zdążyć, zanim jej przerwie.

- To nie tylko kwestia odwagi. Muszę myśleć praktycznie. Muszę z czegoś żyć.

- To nie jest najważniejsze! Pieniądze nie są najważniejsze! Nie potrzebujesz ubrań, pieniędzy. To tylko wykręty. Dusza. To się liczy. To jedyna rzecz, którą naprawdę posiadamy. Nie rozumiesz? Jeśli chcesz, żeby twoja dusza żyła, rozwijała się, a nie usychała jak tam, w tym mauzoleum Falcon Hill, musisz zdobyć się na odwagę. Musisz pokazać światu, na co cię stać, musisz podjąć wyzwanie.

Boże, jak on umie mówić. Objęła się ramionami, chcąc się osłonić przed chłodem i niebezpieczeństwem czającym się w ciemności. Złapał ją za ramię. Jego oczy płonęły.

- Posłuchaj mnie, Suzie. Żyjemy na progu nowego świata, nowego społeczeństwa, nowego stylu życia. Nie czujesz tego? Stare metody już się nie sprawdzają. Ludzie chcą informacji. Kontroli. Władzy. Patrzysz na maszynę Yanka i widzisz tylko pojedyncze elementy. A to tylko fala - malutka fala ma morzu, z dala od brzegu. Malutka fala, która dopiero się tworzy. Tylko że ta malutka fala się zbliża, a im jest bliżej, tym jest potężniejsza.

Aż nagle, szybciej, niż myślisz, podniesiesz głowę i... Boże drogi, to już nie mała fala, tylko potężna ściana wody, tak wysoka, że niemal zakrywa niebo. Widzisz, jak na górze powstaje spieniony bałwan. Jak korona. Ten bałwan, ta biała piana rozszerza się, spływa w dół.

Słyszysz ją i nagle jest tak głośna, że zatykasz uszy rękami. Wtedy się cofasz. Nie chcesz przecież, żeby cię przewróciła, więc cofasz się coraz szybciej. I wtedy nagle rozumiesz. Nieważne, jak szybko biegiesz, i tak cię dopadnie i zaleje, tak jak zaleje nas wszystkich, cały świat. Tą falą jest przyszłość, skarbie. A przyszłość to maszyna Yanka. Kiedy fala nadejdzie, nikt z nas nie będzie taki sam.

Wypełniał ją słowami, tak jak przedtem wypełniał ją sobą. Słowa otaczały ją, dusiły, sprawiały, że brakowało jej tchu. Lecz mimo to Sam nie wiedział, co to znaczy rzucić wyzwanie. Nie ma nic do stracenia. Mieszka w brzydkim małym domku z portretem Elvisa Presleya na ścianie. Ma wieżę stereo i harleya. Kiedy mówi o wyzwaniu i śmiałości, nie ma nic do stracenia. Ona natomiast może stracić wszystko. Dotknął jej. Ujął jej twarz w dłonie, gładził policzki kciukami. Fala wyrzuciła ją na brzeg.

Poczuła to, co kobiety czują od wieków: zrozumiała, że kochając mężczyznę, musi kochać także jego wizję, nawet jeśli oznacza to podróże przez oceany, kontynenty, rozstanie z rodziną i znajomym światem.

- Muszę... muszę to przemyśleć. Jutro, kiedy pójdziesz do pracy, przemyślę to.

- Nie idę jutro do pracy.

- Dlaczego?

- Rzuciłem pracę, Suzie. Wchodzę w to. Na całego.

- Rzuciłeś pracę? – powtórzyła z niedowierzaniem.

- W zeszłym tygodniu. A ty? Wchodzisz czy nie?

- Nie wiem.



- To za mało.
  - Potrzebuję czasu.
  - Nie ma czasu.
  - Nie rób tego, Sam. Nie naciskaj.
  - Muszę wiedzieć, Suzie. Teraz, zaraz. Zdecyduj się. Wchodzisz w to czy nie? Poczula się, jakby była od niego starsza nie o rok, ale o tysiąclecia, o eony lat. Pomyślała o całym życiu spędzonym na rozmowach przy stole. Widziała przeszkody, o których nie miał pojęcia, trudności, na które wizjoner nie zwracał uwagi. Wszystko, czego się nauczyła przez całe życie, podpowiadało jej, że powinna mu odmówić, wracać do Falcon Hill i błagać ojca o przebaczenie.
- Tylko że go kochała i miłość wznieciła w niej nową iskrę. Miłość i jego beztroski entuzjazm. Ta iskra chce zapłonąć mocnym płomieniem, to ona każe jej iść za mężczyzną, którego tak nierozważnie pokochała.
- Odezwała się po długim milczeniu drżącym, ledwo słyszalnym głosem.
- Wchodzę w to.

## Rozdział dziesiąty

Kilka dni później Susannah pojechała do Falcon Hill. Wiekowy duster Yanka krztusił się i prychał jak gruzlik w końcowym stadium choroby. Odkąd sięgała pamięcią, jeździła samochodami wysokiej klasy i do tej pory nie przypuszczała nawet, że auto może się tak zachowywać. Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby zawrócić i wytłumaczyć się fatalnym stanem technicznym pojazdu, ale zaraz wyobraziła sobie ironiczną minę Sama, gdyby stanęła w progu z pustymi rękami.

Z każdym dniem coraz trudniej było jej się obejść bez swoich rzeczy. Sam dał jej pieniądze na pigułki antykoncepcyjne. Był to w tej chwili rzeczywiście artykuł pierwszej potrzeby, ale bynajmniej nie jedyny. Potrzebowała okularów do czytania i prawa jazdy.

Przydałoby się trochę ubrań, by nieco urozmaicić pożyczoną garderobę. Bez względu na to, jak bardzo się tego obawiała, nie mogła już dłużej odwlekać wizyty w domu. " W oddali zobaczyła bramę. Sam dał jej elektroniczną zabawkę, za pomocą której otworzył bramę, ale okazała się niepotrzebna. Był czwartkowy poranek i brama była otwarta - spodziewano się dostawy żywności. Wjeżdżając na podjazd, przypomniała sobie wydanie gazety z poprzedniej niedzieli. Znalazła tam szczegółowy opis swojego ślubu. Było nawet zdjęcie jej i Cala „z dawnych, lepszych czasów”. Poczula, że robi się jej niedobrze.

Próbowała skontaktować się z ojcem – tym razem dzwoniła do biura. Sekretarka zachowywała się, jakby nie wiedziała, z kim rozmawia, i poinformowała, że pana Faulconera nie ma w kraju. Jej zdenerwowanie rosło. Zaparkowała dusterą przed domem, podeszła po schodach do drzwi.

Nacisnęła dzwonek. Czekala, aż jej otworzą i żalowała, że w progu nie stanie gospodyni ze starych książek, która powitałaby ją z kwaśną miną i blachą gorących ciasteczek. Gospodyni w Falcon Hill miała niewielki tatuaż na grzbiecie dłoni i pracowała tu dopiero od kilku miesięcy.

Jednak na szczupłej dłoni, która otworzyła drzwi, nie było tatuażu.

- Paige?

- Proszę, proszę, uciekająca panna młoda powraca!

Dla Susannah już sam widok siostry był wystarczającym zaskoczeniem. Dodatkowo jednak Paige zamiast starych dzinsów miała na sobie starą jedwabną sukienkę Susannah i złote kolczyki, które Joel

podarował starszej córce, gdy ukończyła szkołę średnią.

Usta Paige wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Nie mieści mi się w głowie, że miałaś czelność tu przyjść.

- Co ty tu robisz?

Paige wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec nową fryzurę i niechlujny strój Susannah. Zauważyła także wiekowego duster na podjeździe.

- Falcon Hill to także mój dom, a może już o tym zapomniałaś? Siostra była tak z siebie zadowolona, że Susannah zrobiło się niedobrze.

- Zaskoczyłaś mnie, to wszystko. Czy ojciec jest w domu?

- Na twoje szczęście nie. Uznał cię za *persona non grata*. Polecił, żeby nigdy więcej nie wypowiadano twojego imienia. Wydziedziczył cię i zdaje się, że szuka sposobu, żeby unieważnić adopcję. Jak w Starym Testamencie, co? Susannah spodziewała się, że będzie źle, ale nie że aż tak. Jak człowiek uparcie dotykający językiem bolącego zęba pytała dalej:

- A Cal? Co z nim?

- Och, jest wyjątkowo spokojny, jeśli wziąć pod uwagę, że został publicznie upokorzony. Cud, że gazety nie zrobiły z tego większej afery, choć i tak wyszedł na dupka roku. Susannah nie chciała nawet myśleć, jak bardzo skrzywdziła Cala. Nie zniesie kolejnej dawki wyrzutów sumienia.

- Robi się tu coraz fajniej. Powoli wszyscy zapominają, że kiedykolwiek istniałaś, że byłaś częścią naszego życia.

Susannah nie chciała tego słuchać. Zrobiła krok do przodu, by wyminąć siostrę, wejść do domu i zabrać rzeczy, ale Paige zagroziła jej drogę.

- Nie wolno ci, Susannah. Tatuś zabronił.

- Przecież to śmieszne. Chcę tylko zabrać swoje rzeczy. Oczy Paige rozbłysły tryumfalnie.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim uciekłaś z kochasiem.

- To nie...

- Myślałam, że jesteś dziewicą. Zabawne, prawda? Wiesz, Susannah, jeśli już musiałaś mieć kochanka, to naprawdę mogłaś zdobyć się na tyle przyzwoitości, żeby nie kłuć tatusia w oczy. Susannah z trudem panowała nad sobą.

- Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Tak wyszło.

- Nie mów, że nie chciałaś nikogo skrzywdzić! - Zadowolona mina Paige zniknęła bez śladu.

Wyglądała teraz jak zagubiona mała dziewczynka. - Wydawało mi się, że cię znam, ale to nieprawda. Susannah, którą znałam, nie uciekłaby sprzed ołtarza. Boże... - Nagle, nie wiadomo skąd, wróciła wrogość. - Nic mnie to zresztą nie obchodzi.

Susannah starała się wytłumaczyć.

- Nie mogłam dłużej wytrzymać. Kocham ojca, ale miałam wrażenie, że się duszę. A Cal to jego młodsza kopia. Przez nich obu czułam się stara. Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, a czułam się jak matrona. Nie oczekiwałam, że oni zrozumieją, ale miałam nadzieję, że ty...

- Nie, nic nie rozumiem. Wiem tylko, że idealna Susannah nie jest już idealna. Po raz pierwszy tatuś nie stawia mi ciebie za przykład. Masz pojęcie, jak długo na to czekałam? Podczas kolacji rozmawia ze mną. Opowiada, co się działo w firmie. Wcale za tobą nie tęskni, Susannah! Susannah zrobiło się słabo, gdy słuchała gniewnych słów Paige. Nagle przypomniała sobie obrazek, który siostra narysowała przed laty w przedszkolu: Susannah i Paige stoją, trzymając się za ręce, pod tęczą. Co się stało z tamtymi dziewczynkami?

- Jesteś moją siostrą - powiedziała - zawsze chciałam się tobą opiekować.

- Przyrodnia. Nie ty jedna umiesz pełnić obowiązki pani domu. Poczekaj tu. Spakuję twoje rzeczy. Zanim Susannah zdążyła odpowiedzieć, siostra zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Paige wystawiła na próg dwie siatki od Gumpa. Były tam okulary do czytania, prawo jazdy i kilka sukienek, ale ani jednej ulubionej kreacji Susannah. Nie było biżuterii, nic o większej wartości. Susannah wróciła do domku Gamble'ów, powiesiła ubrania w szafie i starała się nie pamiętać o mściwości siostry. Praca nad płytami głównymi dobiegała końca, Sam tymczasem starał się zdobyć pieniądze na zakup innych potrzebnych części. Przyprowadził do garażu byłych współpracowników i roztoczył przed nimi wi-zję nowego społeczeństwa, w którym wszyscy w zasięgu ręki mieliby władzę niemal absolutną. Do czego owa władza miałaby im służyć, nie uściślił. Z czasem Susannah przekonała się, że sam miał tylko blade pojęcie o tym, co można by robić z komputerem. Choć stała u jego boku zafascynowana retoryką, denerwowała się coraz bardziej. Nie dość, że nie wiedzą dokładnie, komu chcą sprzedać swój produkt, na dodatek nie mają pojęcia, do czego ten produkt wykorzystać. W ciągu kilku dni zebrali osiemset dolarów, czyli zaledwie ułamek potrzebnej sumy. Cały wolny czas spędzała w bibliotece, pochłaniając wszystko, co wpadło jej w ręce na temat małych przedsiębiorstw. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej, by pomagając mu w pracy, okazać miłość. Niewiele czasu upłynęło, zanim się przekonała, że wszystko robią na opak. Nie mają pieniędzy, nie mają rynku dla swojego produktu, nie mają doświadczenia. Żadne z nich nie ukończyło college'u. Wszystko wskazywało na to, że nie mają szansy na sukces. Czytała o finansistach, którzy zbijają fortuny, finansując nowe ryzykowne przedsięwzięcia. Nie wyobrażała sobie jednak, by ktokolwiek potraktował poważnie trzyosobową firmę z siedzibą w garażu, częściowo zajęтым przez zakład fryzjerski. Wieczorami, gdy mężczyźni pracowali, związała sięw kłębek na kwiecistej sofie i pochłaniała książki ekonomiczne. Czasami potrzebowali dodatkowej pary rąk do pracy. Ilekroć Yank czegoś od niej chciał, zwracał się do niej *per* Sam.

- Podaj mi obcęgi, Sam - mówił. Albo: - Sam, potrzebuję więcej światła. Początkowo go poprawiała, ale patrzył na nią wtedy takim wzrokiem, że dała sobie spokój. Wydawało się, że do Yanka nie dociera fakt jej istnienia, a co dopiero świadomość, że od niedawna stanowi stały element jego życia. Nigdy nie знаła nikogo takiego jak on: praca pochłaniała go do tego stopnia, że wydawało się, iż żyje w zupełnie innym świecie. Minął kolejny tydzień. Płyty główne miały być gotowe następnego dnia. Mieli tylko tyle pieniędzy, by za nie zapłacić, i ani centa więcej. Skąd wezmą tysiące dolarów na zakup części do czterdziestu kompletów? Sam nie ma co liczyć na kredyt u dostawców, a bez poręczycieli żaden bank nie zechce z nim rozmawiać.

- To banda kretynów - narzekał, nerwowo przechadzając się po garażu. Z każdą chwilą denerwował się coraz bardziej. - Nie poznaliby się na dobrym pomysłe, nawet gdybym im go podsunął pod nos. Było już po północy, Susannah chciało się spać. Mimo to starała się otworzyć mu oczy.

- Sam - zaczęła delikatnie - nie możesz oczekiwać, że ci cokolwiek pożyczą. Widzą w końcu przed sobą nawiedzzonego harleyowca.

Niecierpliwie przeczesał włosy palcami.

- Tylko znowu z tym nie zaczynaj, dobrze? Nie jestem w nastroju.

Niesprawiedliwość zabolęła, ale ponieważ nie wiedziała, jak się bronić, wycofała się do swojej

skorupy. Ledwie sięgnęła po książkę o strategiach marketingowych, którą właśnie czytała, zaczęła szukać usprawiedliwienia dla niego. Przecież tak ciężko pracuje. Wcale nie chciał jej zranić. Nie rozumiała tego, co czyta. W kółko wspominała tamtą noc na placu zabaw, gdy Sam zapytał, czy ma dość odwagi, by zaryzykować. Czy ma dość odwagi, by walczyć o swoje zdanie, czy do końca życia będzie grzecznie przytakiwała słowom każdego napotkanego mężczyzny?

Z wahaniem zamknęła książkę.

- Posłuchaj, musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Świat jest, jaki jest, a nie taki, jaki chciałbyś, żeby był. - Mówiła powoli, z wahaniem, a nie pewnie i śmiało, jak zamierzała. Odwrócił się gwałtownie.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że wygląd zewnętrzny jest ważny. Podoba mi się, jak się ubierasz. Uwielbiam twoje włosy. To część ciebie. Niestety, poważni biznesmeni nie szanują buntowników.

Zacisnął usta w wąską linię - te same usta, które tego ranka całowały ją namiętnie.

- Wygląd zewnętrzny to nic, Susannah. Nie ma żadnego znaczenia. Liczy się jakość. Pomysły. Ciężka praca. Tylko to się liczy.

W mózgu włączył się alarm, żołądek zawiązał się w supeł, ale nie dawała za wygraną.

- W świecie biznesu wygląd zewnętrzny ma duże znaczenie.

- Może w świecie FBT, ale na takich wspólnikach mi nie zależy. Chcę odnieść sukces, tak, ale, do cholery, nie za cenę duszy. To twój świat, nie mój. Przytłoczyło ją poczucie klęski. Niektórzy odnajdują się w otwartej konfrontacji, ona najwyraźniej nie należała do tej kategorii ludzi.

Machinalnie sięgnęła po książkę. Już zamierzała przeprosić, gdy odezwał się Sam. Jeszcze z nią nie skończył.

- Wiesz, zaczynasz mnie wkurzać. Jesteś cholerną snobką. Jeśli chcesz sprawdzać, w jakich sklepach ludzie się ubierają, proszę bardzo, ale mnie w to nie mieszaj. I jeszcze jedno...

- Sam, mam problem - odezwał się Yank.

Susannah była mu wdzięczna, że zawołał go akurat w tej chwili. Choć był obok przez cały wieczór, po raz kolejny zapomniła o jego obecności. Sam pochylił się nad płataniną kabli, a Susannah zabrała książkę i uciekła do domu. Kiedy Sam przyjdzie, uda, że śpi, żeby nie ciągnąć kłótni. Usiłowała mu się przeciwstawić, ale Sam jest jak buldożer.

Odkąd zamieszkali razem, sypiała nago, teraz jednak wyjęła z szafy brzydką koszulę nocną, którą zapakowała jej Paige. Idąc do łazienki, rozmyślała o lodowatym milczeniu ojca i o chłodzie Cala. Szukała pocieszenia w tym, że Sam przynajmniej otwarcie okazuje gniew. Drzwi do łazienki otworzyły się gwałtownie.

- Co ci się stało, do cholery? - zapytał gniewnie. Odwróciła się na pięcie, uniosła dłoń do gardła. Ja... jestem zmęczona, dlatego się położyłam.

- Akurat. Byliście w środku awantury, a ty uciekłaś.

Wszedł do malutkiej łazienki. Spodziewała się, że kafelki odpadną od ścian, tyle było w nim energii.

- Awantury niczego nie załatwią.

- Kto tak twierdzi? Kto wymyśla takie bzdury?

- Nie chcę się kłócić.

- Dlaczego? - łypnął na nią groźnie. - Co, obawiasz się, że przegrasz?

- Nie lubię walki.

- Idiotka.

Zabolało. Nie była przygotowana na taką wrogość. Nagle ogarnął ją gniew, ogromny gniew. Nie

zasłużyła na to. Kocha go, ale to nie upoważnia go do mówienia takich rzeczy. Własna reakcja przeraziła ją tak samo jak jego atak, bo uświadomiła sobie, że nie jest w stanie uporać się ani z jednym, ani z drugim. Musi uciec, zanim stanie się coś strasznego. Rzuciła się do drzwi, chciała go wyminąć.

Złapał ją za ramię, odwrócił. Zaciśnął usta.

- Straszny z ciebie tchórz, wiesz? Mała szara myszka uciekająca przed własnym cieniem.

- Puść! - Gniew rósł z każdą chwilą, atakował jak groźny wirus.

- Nie! Nie lubię wystraszonych myszek.

- Przestań! Puść mnie!

- Zmuś mnie.

- Nie rób tego! - wrzasnęła. - Nie waż się traktować mnie w ten sposób. Nie zasłużyłam na to i nie pozwolę, żebyś mnie tak traktował! Idź do diabła! Roześmiał się.

- Lepiej, dużo lepiej. - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie mogła złapać tchu. Usiłowała go odepchnąć, ale przycisnął ją do toaletki. Walczyła, okładała go pięściami. A potem stało się coś dziwnego. Czuła, jak budzi się w niej płomień, mroczne pożądania. Rozchyliła usta. Płomień rozgorzał. Sam zakasał jej koszulę nocną aż do talii i posadził Susannah na toalecie. Rozsunął jej nogi. Czuła, jak rozpina rozporek, i poruszyła się niecierpliwie. Ujął jej kolana, rozsunął szerzej. Krzyknęła, gdy w nią wszedł, i oplotła go nogami w pasie, żeby nie uciekł. Było im bardzo niewygodnie, Susannah nie miała orgazmu, ale zachwyciła ją intensywność tego doznania. Po wszystkim poszli do łóżka i kochali się znowu. Tej nocy leżała u jego boku targana sprzecznymi uczuciami, ale z tryumfalnym błyskiem w oku. Wpadła w gniew, a świat się nie zawalił. Nie mogła zasnąć. Poprawiła poduszkę, lecz to nic nie pomogło. Uważając, żeby nie obudzić Sama, wysunęła się spod kołdry. Poszła do kuchni, żeby napić się wody. Mijając w saloniku portret Elvisa naturalnej wielkości, poruszyła się niespokojnie. Powinna była założyć szlafrok, tylko że wszystkie jej szlafroki zostały w Falcon Hill.

Nad kuchenka świeciła się jarzeniówka, oświetlając pomieszczenie niebieskawym światłem. Jej bosa stopy zastukały na podłodze. Podeszła do kredensu, wyjęła szklanekę. I nagle usłyszała dziwny odgłos. Odwróciła się gwałtownie, czujna jak zając, i z przerażeniem patrzyła, jak otwierają się tylne drzwi.

W progu stała ciemna postać. Wystarczyło kilka sekund, by rozpoznała wysoką chudą sylwetkę - Yank Yankowski. Co on tu robi, zastanawiała się gorączkowo. Dochodzi trzecia nad ranem, ona stoi tu, jak ją pan Bóg stworzył. Co powiedzieć? Przez otwarte drzwi wpadło zimne nocne powietrze, dostała gęsiej skórki. Yank jeszcze jej nie zauważył. Gorączkowo szukała kryjówki. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, rozplaszczyła na ścianie. Gdyby rzuciła się w stronę saloniku, na pewno by zauważył.

Minał ją w odległości zaledwie półtora metra, ale nadal jej nie widział. Ostra krawędź boleśnie raniła jej plecy, tak mocno przywarła do szafki. Gumowe podeszwy adidasów Yanka zaskrzypiały na linoleum. Zatrzymał się przy lodówce tyłem do Susannah. Nerwowo, po omacku szukała czegoś, czym mogłaby okryć nagość.

W tej chwili kuchnię zalało światło. W wyobraźni Susannah były to tysiące watów, w rzeczywistości Yank tylko otworzył lodówkę. Głośno zaczerpnęła tchu i natychmiast zastygła w bezruchu, przekonana, że ją usłyszał. Yank jednak nie odwrócił się. Stał przed lodówką i patrzył przed siebie. Upływały sekundy. Pół minuty. Jej palce znalazły pokrywkę. Osłoniła się niajak listkiem figowym,

coraz bardziej świadoma komizmu sytuacji.

Dlaczego Yank tak sterczy? Przez jedną szaloną chwilę myślała, że może śni, że to tylko sen podobny do tych, w których nago przewodniczyła zebraniu rady nadzorczej. Jedna ręka ścisnęła klamkę lodówki, druga zwisała bezwładnie wzdłuż boku. Co mu jest?

Dlaczego ani drgnie? Nie żyje, przemknęło jej przez myśl. Umarł na stojąco. Przesunęła się w prawo i znalazła się poza zasięgiem światła lodówki, za to w blasku jarzeniówki. Może wymknąć się na dwór i poczekać, aż sobie pójdzie? Ale co będzie, jeśli zatrzasną się drzwi?

Odwrócił się tak gwałtownie, że jęknęła cicho. Teraz patrzył prosto na nią. Zastygła w bezruchu jak zwierze oślepięone reflektorami samochodu. Światło z lodówki za jego plecami sprawiało, że nie widziała dokładnie jego twarzy, zwłaszcza że w okularach odbijała się jarzeniówka. Nie było jednak wątpliwości co do kierunku, w którym patrzył: prosto na nią.

Dłoń na pokrywce zwilgotniała od potu. Skuliła się, usiłując zakryć piersi ramionami. Wychowano ją tak, że umiała się zachować w najbardziej niezręcznej sytuacji towarzyskiej, nikt jednak nie przygotował jej na coś takiego.

Yank nadal się na nią gapił. Musi coś zrobić! Nie odrywając wzroku od jego oczu, powoli przesuwała się w stronę saloniku. Cały czas osłaniała się pokrywką jak Ewa listkiem figowym. Gdy mijiała kuchenkę, na chwilę zasłoniła sobą jarzeniówkę – dzięki temu po raz pierwszy zobaczyła oczy Yanka za grubymi szklami okularów. Były puste.

Zaskoczyło ją to do tego stopnia, że zatrzymała się w pół kroku i przyjrzała mu się uważniej. Nigdy nie widziała równie pustego spojrzenia. Przesunęła się w prawo – jego oczy pozostały nieruchome. Nie mieściło jej się to w głowie. Co za dziwak! Powoli opuściła pokrywkę.

Mało brakowało, a parsknęłaby śmiechem. Nie widzi jej! Po raz kolejny Josepha „Yanka” Yankowskiego do tego stopnia pochłonęły rozważania nad skomplikowanym problemem, że nie widział nic dokoła. Zamyślił się do tego stopnia, że nie zauważył nagiej rudowłosej kobiety tuż przed nim.

Wymknęła się z kuchni, pobiegła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i po raz pierwszy od wielu tygodni roześmiała się szczerze.

Tymczasem Joseph „Yank” Yankowski w dalszym ciągu stał bez ruchu w kuchni Angeli Gamble. Drzwi lodówki nadal były otwarte. Tylko jego oczy się zmieniły. Pod grubymi szklami okularów powieki zacisnęły się mocno, a miliardy komórek nerwowych pracowały pełną parą. Wszystkie części genialnego mózgu Yanka Yankowskiego z zapalem odtwarzały obraz bladego ciała Susannah. Choć źle spała, rano wstała pełna energii. Spotkanie z Yankiem ją rozbawiło, a konfrontacja z Samem dodała odwagi. Doszła do wniosku, że kobieta, która odważyła się na sprzeciw wobec Sama Gamble’a, może porwać się na wszystko. Nawet w czasie snu nie przestała myśleć i gdy rano brała prysznic, usłyszała w głowie ten sam szept co w nocy: Pozory. Pozory to połowa sukcesu.

Sam wszedł do kuchni kilka minut po ósmej. Zdażyła się już ubrać, stała przy zlewie i zmywała naczynia z poprzedniego dnia. Zazwyczaj drwił z jej zamiłowania do porządku, dziś jednak nie miał do tego głowy. Nie musiała pytać o powód jego milczenia. Za godzinę odbiorą płyty główne. Tylko że co im po płytach, skoro nie mają innych niezbędnych części?

Podszedł do lodówki i wyjął karton soku pomarańczowego. Nie zawracał sobie głowy szukaniem szklanki, tylko od razu przechylił go do ust. Susannah wytarła blat i odwiesiła ściereczkę. Wrażenie, powtarzała sobie, dobre wrażenie to połowa sukcesu.

Popatrzył na nią i dopiero teraz zauważył zmiany.

- Po co się tak wystroiłaś?

Miała na sobie czarno-biały kostium i skórzane czółenka. Nie przepadała za tym kompletem, ale był to jedyny stosowny do pracy kostium, jaki Paige jej oddała. Włosy upięła w kok. Spinki pożyczyła sobie z zakładu fryzjerskiego. Podeszła bliżej. Sam powiedział kiedyś, że machina Yanka da jej odwagę. Najwyższy czas przekonać się, czy to prawda.

- Próbowaliśmy po twojemu - powiedziała. - Teraz spróbujemy moim sposobem.

Magazyn firmy Spectra Electronics był miejscem, którego kobiety nie znoszą z zasady. Był to olbrzymi hangar z betonową podłogą, zastawiony półkami, na których piętrzyły się kartony pełne rozmaitych części. Na drewnianej ladzie leżały katalogi – wszystkie miały ośle uszy i tłuste plamy na okładkach. Jarzeniówki zalewały całe pomieszczenie zimnym, ostrym światłem. Magazyn pachniał metalem, plastikiem i papierosami. Tak diametralnie różnił się od miejsc, w których Susannah bywała, że właściwie spodobałoby się jej tu, gdyby nie umierała ze strachu.

- Cześć, Sam. Jak leci? - Mężczyzna za ladą podniósł głowę znad sterty faktur.

Sam podszedł bliżej.

- Nieźle, Carl, a u ciebie?

- Nie narzekam. - Carl wyjął długopis z poplamionej atramentem kieszeni i pochylił się nad rachunkami. Najwyraźniej nie uważał Sama za klienta na tyle poważnego, by warto było dla niego przerywać pracę.

Sam zerknął na Susannah i wzruszył ramionami, przypominając jej bez słów, że to jej pomysł i że to ona powinna działać. Grzanka, którą zjadła na śniadanie, podeszła jej niebezpiecznie blisko gardła. Widząc, że się nie rusza, Sam doszedł do słusznego wniosku, że straciła resztki odwagi, i spojrzał na nią z pogardą. Chciała mu udowodnić, że się mylił, że dama z towarzystwa może niejedno pokazać wygadnemu ulicznikowi, że nadaje się do czegoś więcej niż do wydawania przyjęć. Niestety, miała wrażenie, że stopy przykleiły się jej do podłogi. Nie była w stanie ich oderwać. Sam zajął się wertowaniem katalogu, wyraźnie się od niej dystansując. Nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle ruszyła z miejsca. Carl podniósł głowę. Wydawał się lekko zaskoczony. Kobiety w kostiumach od Chanel – nawet jeśli nie był to najnowszy model – nie należały do stałej klienteli Spectra Electronics.

Podążyła mu rękę. W ostatniej chwili przypomniała sobie, by ucisnąć jego dłoń mocno i energicznie.

- Faulconer - oznajmiła, po raz pierwszy w życiu przedstawiając się najpierw nazwiskiem. - Susannah Faulconer. Wspólniczka Sama. Spoczęły jej się ręce. Szybko puściła jego dłoń w obawie, że to zauważy. Podążyła mu ogniste czerwona wizytówkę z czarnym napisem SysVal. Modliła się przy tym, by tusz już wysechł.

SysVal to skrót od „Sam, Yank and Susannah in the Valley” (Sam, Yank i Susannah w Dolinie). Od rana kłóciła się z Samem o nazwę. Wciąż się sprzecali, gdy wchodzili do małego zakładu oferującego wizytówki w godzinę. Samowi marzyło się coś w rodzaju Hewlett-Hacker albo General Egocentric, ona jednak uparcie obstawała przy swoim.

Nakrzyknął na nią w obecności sprzedawcy, ale poprzednia noc nauczyła ją, że nie może mu ustępować, gdy wie, że Sam się myli. Do tej pory nie wierzyła, że na wizytówce widnieje nazwa, którą wymyśliła.

- Faulconer? – Carl uważnie studiował wizytówkę, na której jej nazwisko wyprzedzało nazwiska Sama i Yanka. Co więcej, towarzyszył mu tytuł prezesa. - Ma pani coś wspólnego z FBT?

- Joel Faulconer to mój ojciec - odparła. - Wzięłam urlop w FBT. - Cóż, nie było to do końca

kłamstwo.

Rozejrzała się, jakby oceniała magazyn, w rzeczywistości zaś chciała się uspokoić. Ze słów Sama wynikało, że Carl jest najodpowiedniejszym dostawcą, ale jakie ona ma pojęcie o elektronice? Mimo chłodu panującego w budynku była mokra od potu. To się nie uda. Jest damą z towarzystwa, a nie kobietą interesu.

Przypomniała sobie jednak błysk szacunku w jego oczach, gdy usłyszał jej nazwisko. To dodawało jej odwagi.

- Sam mówi, że jest pan bezkonkurencyjny. Nie szafuje komplementami. Jestem pod wrażeniem.

Carl wyraźnie ucieszył się z pochwały.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - stwierdził skromnie. - Działamy od dziesięciu lat. To kawał czasu jak na Dolinę. - Zaczął opowiadać o swojej firmie.

- Jakie to interesujące - mruknęła, gdy skończył. Wskazał ekspres do kawy.

- Może kawy, panno Faulconer?

Wydawało się, że zupełnie zapomniał o Samie, co wcale nie było takie złe. Kątem oka widziała, że Sam przegląda katalogi. Udawał, że pochłaniają go bez reszty, wiedziała jednak, że uważnie słucha każdego słowa.

- Dziękuję bardzo, niestety, nie mam czasu. Czeka mnie następne spotkanie. - Zerknęła na przegub, by nieco za późno zorientować się, że nie ma zegarka. Wszystkie zegarki zostały w Falcon Hill, w szufladzie albo na ręce siostry. Dyskretnie opuściła mankiet żakietu, żeby Carl się nie zorientował. -

Najwyraźniej zna się pan na rzeczy, a to dla mnie ważne. - Ugięła się pod nią kolana, ale dzielnie brnęła dalej. - Od dawna już interesują mnie drobne przedsiębiorstwa nie związane z FBT. Szukam fascynujących projektów. Kiedy Sam pokazał mi komputer, który zbudował ze współnikami, od razu wiedziałam, że to właśnie to, czego szukam.

- Sam jest niezły - zgodził się Carl, za późno przypominając sobie, kto ją tu przyprowadził. - Ma instynkt.

- Też tak uważam. Niełatwo jest zrobić na mnie wrażenie. - Nie mieściło jej się w głowie, że jeszcze jej nie przejrzał, ale Carl słuchał z uwagą. - Teraz szukamy poważnych dostawców i dlatego przychodzę do pana. Naszym zdaniem nowy komputer to przyszłość elektroniki.

Postanowiłam zainwestować w SysVal. - To właściwie prawda. Carl nie musi wiedzieć, jak skąpe są jej fundusze.

- Chętnie pomogę w miarę możliwości.

- To świetnie. Bardzo mi zależy, żeby dostarczył pan Samowi wszystkich części, których potrzebuje.

- Załatwione - zapewnił Carl entuzjastycznie.

- Liczy się czas. Musimy mieć je szybko. Rozumiem.

Podawała mu rękę. Tym razem uścisk jej dłoni był znacznie mocniejszy.

- Zdaję sobie sprawę, że jest pan zajęty, więc nie będę zajmowała panu więcej czasu. Ma pan moją wizytówkę. - Zawahała się w chwili, gdy powinna być najbardziej opanowana. Z nadzieją, że nie zepsuła wszystkiego, oznajmiła: - Proszę przesłać rachunek na ten adres.

Normalny termin płatności, trzydzieści dni?

Po raz pierwszy Carl zdradził pewien niepokój. Spodziewała się, że tak będzie, ale teraz zapomniała, jak miała zamiar sobie z tym poradzić.

- Zazwyczaj, gdy mamy do czynienia z nową firmą - zaczął - prosimy o zapłatę z góry.

Kątem oka dostrzegła, jak Sam podnosi głowę znad katalogu. A więc teraz. Teraz dama z



towarzystwa musi zamienić się w naciągaczkę. Skąd jej przyszło do głowy, że da sobie radę?

Uniosła brew, wmawiając sobie, że dzięki temu wygląda na znudzoną, a nie załamana.

- Z góry? To dziwne. Moi księgowi będą wściekli.

- Proszę tego nie traktować osobiście, panno Faulconer. To zwykła procedura.

- Oczywiście, rozumiem. Powinna się była domyślić, że to będzie kłopot. FBT korzysta z usług większych dostawców.

Odwróciła się i podeszła do Sama.

- Sam, wiem, że chciałeś zamówić te części właśnie tutaj, ale to, niestety, nie wchodzi w grę.

Zrozum, to pociągnie za sobą pewne kłopoty.

Sam, tak jak się spodziewała, naburmuszył się.

- Spectra ma najlepsze ceny - upierał się. - Gdzie indziej zapłacisz więcej.

Udało jej się wzruszyć ramionami.

- Cena jest rzeczą względną. Duża firma bez problemów zgodzi się na nasze warunki. Z mojego punktu widzenia to niewielkie zamówienie...

- Ależ panno Faulconer... - Carl wyskoczył zza lady. - Jestem pewien, że coś wymyślimy. Krew szumiała jej w uszach tak głośno, że nie wierzyła, że tego nie słyszy. Odważyła się jeszcze raz zerknąć na przegub. Wpół do komina. Przypomniała sobie to powiedzonko z dzieciństwa. Która godzina? W pół do komina.

- Właściwie jestem już spóźniona. Nie powinnam...

- Zajmiemy się tym - obiecał Carl. - Proszę się nie martwić. Trzydzieści dni? Zgoda.

Z najwyższym trudem powstrzymała promienny uśmiech.

- Na pewno? Nie chcę sprawiać panu kłopotu...

- Żaden kłopot - zapewnił Carl. - Niech pani biegnie na spotkanie, a Sam i ja zajmiemy się zamówieniem.

Miała ochotę skakać i tańczyć z radości i dumy, że okazała się taka sprytna, tak dzielna i niekonwencjonalna! Zamiast tego uśmiechnęła się do Carla i ruszyła do drzwi. Wychodząc, obiecała sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by go spłacić. Może go nabrała, ale nie pozwoli go oszukać.

## Rozdział jedenasty

Tego wieczoru Angela Gamble wpadła do garażu niczym człowiek-perkusja - dzwoniła srebrnymi bransoletkami, stukała obcasami, kolczyki w uszach dźwięczały cichutko.

- Sammy-Bammy! Wróciłam! - Otworzyła ramiona i rzuciła się na syna jak różowa błyskawica w obcisłym kombinezonie ze srebrnym paskiem. Obłok długich do ramion ciemnych włosów właściwie nie drgnął, tak obficie spryskała je lakierem.

- Cześć, mamó. - Objął ją z uśmiechem, ale jego oczy pozostały poważne.

Głośno cmoknęła go w policzek, lekko uderzyła.

- To za kłopoty, w które się na pewno wpakowałeś, gdy mnie nie było. - Nie zatrzymując się, podbiegła do Yanka, ujęła jego twarz w dłonie. - Cześć, kolego. Tęskniłeś za mną? Yank odwrócił się i zamrugał. Susannah, która rozpakowywała dostarczone części, gdy matka Sama wpadła do domku jak burza, obserwowała ze zdumieniem, jak na jego twarzy powoli pojawia się szeroki uśmiech.

- Cześć, Angela.

W wieku lat czterdziestu dwóch Angela Gamble była drobna i szczupła. Miała nieco ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Mimo upodobania do krzykliwej biżuterii i jaskrawych kolorów była ładna. Widać też było, że toczy – na razie zwycięską – walkę z wiekiem średnim. Wspięła się na palce i pocałowała Yanka w usta. A potem uderzyła go w policzek jeszcze mocniej niż swojego syna. - A to za kłopoty, w które się nie wpakowałeś, kiedy mnie nie było. Yank z roztargnieniem rozmasował policzek, uśmiechnął się znów i pochylił nad stertą kabli. Angela zwróciła się do Susannah.

- Witaj, skarbie. Jestem Angela Gamble. Czy jesteś nową dziewczyną Sammy'ego? Susannah podeszła bliżej i przedstawiła się. Angela przyglądała się jej ciekawie.

- Chyba skądś cię znam. Sammy, dlaczego mi się wydaje, że skądś ją znam? Sam, pochłonięty pracą, burknął:

- Jest podobna do aktorki z serialu, który niedawno oglądałaś na PBS.

- Nigdy nie oglądam PBS, nie znoszę obcego akcentu. Nie, to twoje włosy. Nigdy nie zapominam fryzury. Niewiele kobiet w dzisiejszych czasach czesze się w kok. Susannah poczuła, że musi się wytłumaczyć.

- Właściwie ja też rzadko się tak czeszę.

- Na twoim miejscu skróciłabym je poniżej linii brody. Niezupełnie krótko, ale można by je podcieniować. Nabrałyby lekkości i swobody.

Udzielała rad tak dobrodusznie, że nie sposób byłoby się obrazić.

- Zastanowię się - obiecała Susannah. Angela nie dawała za wygraną.

- Powiedziałeś, że jak się nazywasz?

- Faulconer - powtórzyła Susannah z wahaniem. Angela przyglądała się jej uważnie i aż pisnęła z radości.

- Nie do wiary! Czytałam o tobie w gazecie! Jesteś córką tego bogacza! Uciekłaś sprzed ołtarza, tak? O mój Boże! Sammy, czy ty wiesz, kto to jest? To Susannah Faulconer. Brała ślub z jednym gościem, aż tu nagle, w samym środku imprezy dla śmietanki towarzyskiej, przyjeżdża facet na harleyu i...

Urwała w pół słowa. Wodziła wzrokiem od Sama do Susannah i z powrotem. - O Boże - szepnęła. - To ty! To byłeś ty!

Nagle, bez słowa ostrzeżenia, zaczęła pisać i tańczyć jak miniaturowa tancerka flamenco. Obcasy głośno stukały po podłodze.

- Sammy! Powinnaś się była tego domyślić! Kiedy o tym czytałam, przeszedł mnie dreszcz! Jesteś taki sam jak ojciec, identyczny! Boże, szkoda, że tego nie słyszy!

Sam zeszywniał. Podeszedł bliżej.

- Susannah zostanie u nas przez jakiś czas.

- To wspaniale, po prostu wspaniale! Gdybym wiedziała, wróciłabym z Vegas w zeszłym tygodniu. I tak nic się tam nie dzieje. Bez Elvisa to nie to samo. Do tego musiałam wysłuchiwać narzekań Audrey, że ostatnio tak utył. Gruby czy chudy, król to król. Sam wpadł jej w słowo.

- Może byś coś ugotowała, na przykład spaghetti? Wprawdzie jest już późno, ale wszyscy jesteśmy głodni.

Susannah spojrzała na niego ze zdziwieniem. Przed chwilą proponowała, że coś ugotuje, ale wtedy nie chciał.

- Jasne, skarbie. - Angela poklepała go jeszcze raz i uściskała Susannah. - Możesz zostać, ile chcesz. Gdyby Sammy komplikował ci życie, daj mi znać. We dwie damy sobie z nim radę. - Wyszła z garażu

przy akompaniamencie biżuterii.

Tego wieczoru Susannah przeniosła się do pokoju gościnnego, choć Angela dała jej jasno do zrozumienia, że nie jest purytanką. Jej dezercja wyprowadziła Sama z równowagi, więc wygłosił kolejne kazanie na temat jej pruderii. Nie pomogło. Nie mogłaby dzielić z nim łóżka, wiedząc, że jego matka śpi za ścianą. Nie pobrali się, nie zaręczyli. Nawet nie brali tego pod uwagę.

Następnego ranka Angela znalazła ją w kuchni. Sam jeszcze spał.

- Chodź, skarbie - zdecydowała. - Zrobimy coś z tym kokiem.

Puściła protesty Susannah mimo uszu, zaciągnęła ją do garażu i posadziła w fotelu. Przez następnych dwadzieścia minut Angela paplała i paplała, a nożyczki szczękały bezlitośnie. Nie tyle obcięła, ile wycieniowała włosy, tak że fryzura nabrała lekkości. Susannah mogła nadal upinać włosy kok albo splatać je we francuski warkocz, teraz jednak niesforne kosmyki wymykały się i przydawały miękkości jej ostrym rysom. Fryzura nie była na tyle nowa, by czuła się w niej nieswojo, dotąd jednak nigdy nie nosiła włosów w takim nieładzie. Wiedziała, że Calowi Theroux nie przypadłaby do gustu, i miała wrażenie, że zdjęto jej z pleców ogromny ciężar.

Sam przewrócił się na bok i sięgnął po Susannah. Zmarszczył brwi, gdy zorientował się, że jej nie ma. Nie lubił, gdy wstawiała, zanim zdążył nacieszyć się ciepłem jej ciała, zanim poczuł kwiatowy zapach jej włosów. Zawsze zwijała się w kłębek, podciągała kolana, trzymała dłonie pod brodą. Robiło mu się smutno, gdy się tak kuliła, jakby chciała stać się jak najmniejsza, żeby nieszczęścia jej nie odnalazły.

Wstał, wziął szybki prysznic, poszedł do garażu i znalazł Susannah w zakładzie fryzjerskim w towarzystwie matki. Obie były do tego stopnia pochłonięte kontemplacją nowej fryzury, że go nie zauważyły. Przyglądając im się w progu, rozmyślał, jaka szkoda, że chociaż część klasy Susannah nie może przejść na jego matkę.

Jak zwykle bliskość Angeli sprawiała, że stawał się spięty. Dlaczego nie jest taka jak inne matki? Dlaczego ubiera się jak dziwka i urzęduje dom rupieciami z wyprzedazy? Kiedy był nastolatkiem, flirtowała z jego kolegami, czego nie darował jej do dzisiaj. Nie miała za grosz gustu ani klasy i nie robiła nic, by nabrać jednego albo drugiego. Z drugiej strony, odkąd sięgał pamięcią, zawsze go broniła. Gdy cały świat walił mu się na głowę, trzymała jego stronę przeciwko ojcu, nauczycielom i każdemu, kto jej zdaniem chciał skrzywdzić jej syna.

Susannah uniosła głowę i zobaczyła jego odbicie w lustrze. Poczul się dumny. Tak bardzo jej pragnął i oto jest jego. Niemal słyszał w uszach fanfary. Dzięki niej jego życie się odmieni. Jej spokój pomoże mu odnaleźć równowagę i skupić energię na jednym celu. Jej nienaganne maniery złagodzą jego szorstkość. Jej wdzięk i uroda przydadzą mu blasku w oczach innych.

Z Susannah u boku podbije świat. Jej brwi złączyły się w poziomą linię. Zorientował się, że czeka, by powiedział coś na temat jej nowej fryzury. Nadal nie mógł się nadziwić, że jego opinia tyle dla niej znaczy. Już otwierał usta, żeby powiedzieć, jak wspaniale wygląda, gdy włączyła się Angela.

- I co ty na to, Sammy? Nadal jestem świetna, prawda?

Bez słowa odwrócił się na pięcie i wrócił do garażu. Nie zdążył podejść do biurka, gdy w progu stanęła Susannah. Szare oczy patrzyły na niego smutno. Boże, co za rozkosz, gdy taka kobieta tak na niego patrzy. Zmarszczył czoło. Więc brak reakcji z jego strony działał jej na nerwy. Zaciśnęła usta, dumnie zadarła podbródek - prowokowała go, by powiedział coś niepochlebnego. Mało brakowało, a parsknąłby śmiechem. Szybko się uczy. Wystarczyło wskazać jej drogę.

Objął ją mocno.

- Wyglądasz fantastycznie.

Gniew zniknął bez śladu. Rozpromieniła się.

- Naprawdę ci się podoba?

- Pewnie. - Pocałował ją mocno. Przywarła do niego jak zawsze i jęknęła cicho. Oderwał się od niej z trudem.

Z westchnieniem rozejrzała się po garażu zastawionym pudłami.

- Zapędzisz mnie do pracy, tak?

- Obiecuję, że w połowie tygodnia pozwolę na przerwę na lunch. Roześmiała się. Po chwili oboje zabrali się za składanie komputerów.

Była to żmudna praca. Sam pokazał jej, jak należy łączyć poszczególne części. Kiedy wszystko było na miejscu, trzeba było starannie zamknąć pokrywę. Jeśli coś było nie tak, kazał jej robić wszystko od początku.

Kiedy zmontowała jeden komplet, Sam go sprawdził i włożył do inkubatora, czyli drewnianej skrzynki. Miał tam leżeć włączony przez dwie doby. Części zawodziły albo w tym czasie, albo w ogóle.

Po pierwszej godzinie bolały ją ręce, ale nie narzekała. Aż za dobrze słyszała tykanie zegara. Cały czas pamiętała, że mają tylko trzydzieści dni, by spłacić Spectra Electronics.

Joel śnił, że wściekły pies gryzie go w bark. Chciał dotrzeć do Su-sannah, uratować ją przed czymś koszmarnym, ale pies go dopadł, wbił zęby w ramię i teraz Joel nie mógł się ruszyć.

Obudził się z głośnym jękiem. Sen był tak rzeczywisty, że wciąż odczuwał ból. Nagle zdał sobie sprawę, że boli go naprawdę. Niezdarnie dotknął dłonią klatki piersiowej i poczuł, że piżama jest przepełniona.

Nigdy nie wybaczy Susannah tego, co mu zrobiła. Dał jej wszystko i oto, jak mu odpłaciła. Ból w barku złagodniał, oddychał spokojniej. Nie po raz pierwszy czuł ten przeszywający ból. Może powinien iść do lekarza. Nie miał jednak ochoty przed nikim, nawet przed lekarzem, zdradzać swojej słabości. Musi wziąć się w garść i tyle. Nie ćwiczył od czasu tego całego zamieszania. Wróci do dawnego trybu życia i wszystko będzie w porządku. Wystarczy trochę starej dobrej samodyscypliny. I powrót córki.

Nie wiadomo dlaczego, serce znowu przyspieszyło. Minęły już dwa tygodnie. Spodziewał się, że do tego czasu córka dawno będzie w domu. Okropna myśl, że może już nigdy nie wróci, cały czas czaiła się na krawędzi świadomości. Co on bez niej zrobi? Przecież jest dla niego wszystkim.

Ciemność zdawała się coraz groźniejsza. Drżącą ręką sięgnął do lampki na nocnym stoliku i przy okazji przewrócił wazon z kwiatami. Paige go tam postawiła. Woda zalała stos papierów i talerzyk z ciasteczkami – kolejny wymysł Paige. Nigdy nie jadł przed snem, ona jednak uparcie podsuwała mu smakołyki, jak dziecko wystawiające ciastka dla Świętego Mikołaja.

Joel zapatrzył się w mokre biszkopeciki. Nieraz zastanawiał się, dlaczego nie kocha rodzonej córki równie mocno jak adoptowanej. Jak zwykle analiza uczuć sprawiła, że poczuł się nieswojo, wstał więc i podszedł do okna. Liczą się tylko fakty. Już dawno pogodził się ze świadomością, że Susannah jest dla niego najważniejsza na świecie. Musi ją odzyskać.

Zapatrzonego w ciemność wyrzucał sobie, że nie odebrał jej ostatniego telefonu. Pewnie zdała już sobie sprawę, jaki błąd popełniła. Powinien był dać jej szansę, żeby go błagała o przebaczenie. Zaciśnął dłoń na parapecie. Odkąd pamiętał, był człowiekiem czynu i nigdy nie pozwalał, aby sprawy tak dalece wymknęły mu się spod kontroli. Był aż nadto cierpliwy. Jutro się z nią spotka. Uświadomi jej, jak karygodnie postąpiła, a potem, gdy już przedstawi swoje warunki, zmięknie i pozwoli jej wrócić do Falcon Hill.

Po raz pierwszy od dnia ślubu miał wrażenie, że w otaczającej go ciemności pojawił się promyk światła. Przechadzał się od okna do okna, wyobrażając sobie ich spotkanie. Oczywiście Susannah zaleje się łzami, ale nie może ulec szantażowi emocjonalnemu z jej strony. Po wszystkim, co przez nią przeszedł, niczego jej nie ułatwi. Będzie surowy, ale wyrozumiały. Z czasem Susannah podziękuje mu, że potraktował ją tak wielkodusznie. Kto wie, może po latach będą się z tego razem śmiali? Joel wrócił do łóżka w dużo lepszym humorze. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Podchodzi do całej tej sprawy zbyt emocjonalnie. Jutro o tej porze Susannah będzie już w domu. I wszystko będzie jak dawniej.

Jak na północną Kalifornię było to wyjątkowo upalne popołudnie. Susannah zostawiła drzwi do garażu otwarte, ale słaby powiew wiatru niewiele pomógł. Włosy związała w kucyk czerwoną gumką recepturką z porannej gazety, a i tak czuła na karku krople potu. Podniosła wzrok na Sama. Zawiązał na czole bandankę, żeby pot nie kapał na komputer. Zapatrzyła się na grę mięśni pod jego koszulką.

- Oby tylko Pinky nie zerwał umowy - powiedział nagle. - Już raz tak się zdarzyło. Tacy zapaleńcy

widzą tylko to, co im się podsunie pod nos. Zapominają o bożym świecie. Pewnie połowa chłopaków z Homebrew odkryła jego sklepik i teraz usiłują mu wcisnąć swój towar. Jeśli szybko nie dostarczymy mu tych czterdziestu sztuk, może nas wykiwać i ubić interes z kimś innym.

Susannah potarła kark bolący od ciągłego schylania się nad stołem.

- Wiesz, mamy tyle prawdziwych problemów, że nie ma sensu wymyślać nowych. - Przeciągnęła się powoli. - Nie zapominaj, że to my mamy kontrakt, nie oni. Mięśnie, które jeszcze przed chwilą podziwiała pod koszulką, nagle znieruchomiały. Powoli odłożyła śrubokręt.

- Sam?

Nie zareagował.

W jej głowie rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Wstała.

- Sam, przecież mamy podpisany kontrakt, prawda? Nagle całkowicie go pochłonęła praca.

- Sam?

Spojrzał na nią zaczepnie.

- Nie pomyślałem o tym, w porządku? Byłem taki podekscytowany. Po prostu o tym nie pomyślałem. Zdjęła okulary, zmęczona rozmasowała skronie. Nagle miała wszystkiego dosyć. Do tej pory miłość zaślepiała ją skutecznie do tego stopnia, że nie widziała, że jej ukochany to duży dzieciak. Szalony dzieciak z talentem krasomówczym. A ona jest beznadziejną panną z towarzystwa, Yank zaś to nieprzytomny kujon. Żadne z nich nie ma pojęcia, na co się porwali. Błądzą po omacku, bawią się w dorosłość. Właściwie dlaczego zdziwiło ją, że Sam nie pomyślał, żeby zawrzeć kontrakt? W tym momencie uświadomiła sobie, jak wiele jeszcze problemów przed nimi. Po uszy tkwią w długach. To tylko kwestia czasu, zanim wzniesiony z takim trudem domek z kart zawali się z hukiem.

- Słuchaj, nie przejmuj się - zaczął. - Mówiłem przecież, że ten facet ma fioła na punkcie sprzętu, a nasz jest najlepszy w całej Dolinie.

Miała ochotę na niego nakrzyczeć, powiedzieć mu, że czas dorosnąć. Zamiast tego powiedziała tylko.

- Żadnych umów na gębę, jasne, Sam? Od tej pory wszystko ma być na papierze. To się nie może powtórzyć.

- Od kiedy to ty wydajesz rozkazy? – prychnął. - Mówisz jak prawdziwa suka, wiesz?

Nie wiadomo, czy za sprawą upału, czy zmęczenia, dość, że po jej zwykłej cierpliwości nie został ślad. Poczula słuszny gniew. Z całej siły walnęła pięścią w stół. Głuchy odgłos wstrząsnął całym garażem, zaskoczył ją tak samo jak Sama. Przez chwilę przyglądała się swojej dłoni, jakby należała do kogoś innego, a potem, o dziwo, walnęła w stół jeszcze raz.

- Do licha, Sam, to ty schrzaniłeś sprawę! Nie waż się na mnie krzyczeć! To ty nawaliłeś, nie ja!

Patrzył na nią przez chwilę, potem otarł czoło rękawem.

- No, dobra, masz rację. W porządku.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Więc to tak? Czyżby naprawdę wygrała? Rozbawiło go jej zdumienie. Ruszył w jej stronę, błędząc po jej ciele pożądanym wzrokiem. Susannah przeszedł dreszcz rozkoszy. Poczula, że ma siłę. Było to nowe, ekscytujące uczucie. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsunęła palec wskazujący w szlufkę jego dżinsów i przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go mocno.

- Skarbie, wybacz, że wam przeszkadzam, ale potrzebuję pomocy! Umyjesz klientce głowę? Jestem strasznie spóźniona.

Susannah odepchnęła Sama gwałtownie, gdy Angela stanęła w progu. Sam odwrócił się gniewnie.

- Do cholery, ona u ciebie nie pracuje! Susannah nie dała mu powiedzieć nic więcej.

- Plecy mnie bolą, chętnie je rozprostuję. Nie ma sprawy. Zaraz przyjdzie Yank, a wieczorem pomoże nam Roberta.

Sam zacisnął usta, słysząc to imię, nie mógł jednak protestować, bo sam po nią zadzwonił. Susannah podejrzewała, że zapędziłby do pracy nawet wiekowe klientki Angeli, gdyby miały lepszy wzrok. Ledwie weszła do zakładu, uderzył ją powiew zimnego powietrza z wentylatora w oknie.

Starsza kobieta siedziała pod suszarką, drugiej Angela robiła trwałą. Susannah podeszła do trzeciej, zaprowadziła ją do umywalki i odkręciła kran. Nie miała nic przeciwko pomaganiu Angeli. Nie sposób nie lubić matki Sama. Zresztą pomagając jej, Susannah miała mniejsze wyrzuty sumienia - przecież nie dokładała ani grosza do domowego budżetu.

Delikatnie masując głowę staruszki, myślała, jak bardzo potrzebuje pieniędzy. Przez całe życie była uzależniona od ojca, teraz polegała na Samie i Angeli. Musiała prosić Sama o pieniądze na tampony! Dał jej bez słowa, ale upokorzenie powracało za każdym razem, gdy sobie o tym przypomniwała.

- Witamy serdecznie. - Zalotny, przekorny głos Angeli zagłuszył szum wody. Susannah podniosła głowę i gwałtownie zaczerpnęła tchu. Miała wrażenie, że ściany zakładu fryzjerskiego walą się jej na głowę.

W progu stał Joel Faulconer. Był tu zupełnie nie na miejscu w czystej zielonej koszuli i starannie zaprasowanych spodniach. Odkąd go ostatnio widziała, przytył, zbladła także opalenizna, którą zawdzięczał godzinom spędzonym na polu golfowym. To pewnie tylko jej imaginacja, ale wydawał się starszy.

Rozglądał się bez słowa. Susannah zdążyła już przywyknąć do otoczenia, teraz jednak patrzyła na wszystko jego oczami: tandetne lustro, sztuczne rośliny i okropne fotografie starszych dam z przesadnie wyszukanymi fryzurami. Zobaczyła siebie - nieelegancką i bez klasy w męskiej koszulce i powycieranych spodniach, które kiedyś zakładała do pracy w ogrodzie. Wyobrażała sobie, co myśli, gdy widzi ją, jak myje głowę staruszce w niebieskich kapciach z otworami na halluksy. Susannah usłyszała okrzyk bólu i zorientowała się, że zacisnęła dłonie na głowie klientki.

- Przepraszam - szepnęła. Drżącymi rękami splukała jej włosy i owinęła głowę ręcznikiem. Dopiero wtedy podeszła do ojca. Angela obserwowała całą scenę z nieskrywaną ciekawością.

- Próbowałam... próbowałam się do ciebie dodzwonić - zaczęła Susannah.

- Tak, słyszałem. - Joel patrzył na nią z pogardą.

Nawet bransoletki Angeli przestały dzwonić. Susannah czuła na sobie ciekawskie spojrzenia trzech klientek. Niezdarnie wskazała drzwi. Joel ruszył za nią. W sąsiednim pomieszczeniu nie było nikogo. Sam pewnie poszedł na spotkanie z człowiekiem, który miał dostarczyć obudowy do gotowych kompletów.

Zapach plastiku z inkubatora mieszał się z ostrą wonią płynu do trwałej. Garaż wydawał się nieznośnie duszny jakby w ogóle nie było tu powietrza. Objęła się ramionami.

- Może napijesz się mrożonej herbaty? W kuchni jest cały dzbanek, zaraz przyniosę. Nie słuchał jej. Podeszedł do stołu, pochylił się nad gotowym układem scalonym. Prychnął pogardliwie.

- A może wolisz drinka - ciągnęła słabo.

Odwrócił się i spojrzał na nią tak lodowato, że nie była w stanie uwierzyć, że kiedykolwiek patrzył na nią z miłością. Nie zniesie tego. Czuła, jak coś ściska ją za gardło, gdy stała naprzeciwko człowieka, którego kochała, niemal odkąd sięgała pamięcią - naprzeciwko złotego księcia z jej dzieciństwa, tego, który pokonał smoka i jako jedyny ją kochał.

- Nie patrz tak - szepnęła. - Błagam.

- Chyba nie sądzisz, że puszcze w niepamięć cierpienie, jakiego mi przysporzyłaś.

- Pozwól mi wytłumaczyć. Zrozum, jak się czułam.

- Aha, więc teraz będziesz mi tłumaczyła, jak się czułaś - zakpił. - Wspaniale. Teraz, po wszystkim, gdy szkód już się nie da naprawić, chcesz, żebyśmy sobie ucieli pogawędkę. Był taki zimny, taki wrogi.

- Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że nigdy nie chciałam cię zranić.

- Obawiam się, że czas zwierzeń już minął. Dlaczego nie porozmawiałaś ze mną przed tym pośladowaniem godnym ślubem? Wytłumacz mi, Susannah, od kiedy jestem takim potworem? Czy biłem cię, gdy zwierzałaś mi się jako mała dziewczynka?

- Nie - szepnęła - nie.

- Czy zamykałam cię w szafie, kiedy coś spocilaś?

- Nie, ale...

- A jeśli chciałaś mi się zwierzyć, czy lekceważyłem cię, mówiąc, że nie mam czasu?

- Nie. Byłaś wspaniała. Nigdy nie zrobiłaś nic podobnego, ale... - Urwała, próbując znaleźć odpowiednie słowa. - Kiedy cię zawiodłam, byłaś taki zimny. Uniósł brwi.

- Byłem zimny. No tak, jakże mogłem o tym zapomnieć? Wobec takiego okrucieństwa, któż mógłby obarczać cię winą za to, co zrobiłaś?

Zagryzła usta.

- Proszę. Nie chciałam cię zranić. - Wydawało się, że słowa z trudem przechodzą przez mikroskopijny otwór w gardle. - Nie chciałam też skrzywdzić Cala. Po prostu nie mogłam... Miałam dosyć bycia ideałem.

- Więc o to chodzi?- spytał niedbale. - O twoją doskonałość? Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś. Już dawno sprowadziłbym cię na ziemię, Susannah. Nigdy nie byłaś ideałem.

- Wiem. Tylko że... Miałam wrażenie, że jeśli nie będę doskonała, nie będziesz mnie kochał. Wydawało mi się, że muszę zawsze robić to, czego się ode mnie oczekuje.

- Cóż, w każdym razie wybrałaś spektakularny sposób, żeby nam udowodnić coś wręcz przeciwnego, prawda? - powiedział sarkastycznie. Z dezaprobatą popatrzył na bałagan na stoliku. Gdy ponownie na nią spojrzął, zauważyła, że jego rysy ściągnęły się w nieruchomą maskę. - I pewnie teraz, kiedy już zasmakowałaś prawdziwego życia, oczekujesz, że pozwolę ci wrócić do Falcon Hill?

Nie spodziewała się tego.

- Jesteś moim ojcem. Nie chcę tracić z tobą kontaktu.

- Mam o wszystkim zapomnieć i przyjąć cię z powrotem? To nie takie proste, Susannah. Skrzywdziłaś zbyt wiele osób. Nie możesz tak po prostu wrócić do dawnego życia i oczekiwać, że wszystko będzie jak dawniej.

- Nie chcę wracać do dawnego życia - szepnęła.

- Jeśli łudzisz się, że Cal powita cię z otwartymi ramionami, jesteś w błędzie - ciągnął, jakby jej nie słyszał. - Nigdy ci nie wybaczy.

Mimo upału wstrząsały nią dreszcze.

- Tato, ja nie chcę Cala. Chcę pomóc Samowi w pracy nad komputerem. Chcę tu zostać. Joel znieruchomiał, jego twarz przybrała odcień popiołu. Przez chwilę wyglądał, jakby nie mógł oddychać, a kiedy się w końcu odezwał, mówił dziwnym, ochryplym głosem.

- Chcesz mi powiedzieć, że wolisz zostać w tej ruderze z tym chuliganem, niż wrócić do domu, do rodziny?



- Dlaczego muszę wybierać? – krzyknęła. - Tato, Kocham cię! Ale Sama też!

- To nie jest miłość - burknął. - Nie łączy cię z nim miłość, tylko seks.

- Nie, to nie...

- Cał to przyzwoity mężczyzna, ale najwyraźniej był dla ciebie za mało ognisty, tak? Najchętniej zakryłaby uszy, żeby nie słyszeć jadowitych słów.

- Przestań. Nie chcę tego słuchać.

- Mogę się tylko domyślać, co cię tak pociąga - ciągnął bezlitośnie. - Skóra? Motocykle? Nie poznawała go. Czyżby ten mściwy, okrutny człowiek był naprawdę jej ojcem? W oddali słyszała szum suszarki i paplaninę Angeli. Zacisnęła dłonie w pięści. Próbowwała wziąć się w garść. Pod opalenizną Joel wydawał się bledszy, jakby poszarzały.

- Co takiego ma twój ogier? Bije cię? Może to lubisz? Przerwał mu młody drwiący głos.

- Neeee, Faulconer, wszystko ci się popieprzyło. To ona mnie bije. Prawda, Suzie?

Sam wszedł powoli - uosobienie arogancji. Włożył kciuki w szlufki dżinsów. Włosy opadały na ramiona. Srebrny kolczyk błyszczał wśród ciemnych kosmyków. Stał za nią, objął ją w talii.

- Twoja mała córeczka to dzika kotka z pejcem. Joel krzyknął cicho, zrobił krok do przodu.

- Ty bezczelny...

- Tak jest - wycedził Sam. - Jestem bezczelny, nieokrzesany, głupi. Tak głupi, że sprzątnąłem ci córkę sprzed nosa. - Przyciągnął ją jeszcze bardziej, dotknął kciukiem jej piersi. - Domyślasz się, co z nią zrobię?

- Przestań, Sam! - Susannah nie mogła tego słuchać. Zupełnie brak mu instynktu samozachowawczego. Wyrwała się z jego objęć, podeszła do ojca. - Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Przepraszam. Po prostu... tak wyszło. Joel odwrócił się jakby nie mógł znieść jej widoku. Spojrzał na stół. Odezwał się lodowato:

- Zrobiłeś kiepski interes, Susannah. Związałaś się z obibokiem i zainwestowałaś w zabawkę, której nikt nie kupi. Gdybyś mnie nie zdradziła, byłoby mi ciebie żal.

- Nie zdradziłam cię... Kocham cię.

- Okazałaś się dziwką. Tanią, niewdzięczną dziwką. Jego słowa raniły jak noże. Chciała się jakoś osłonić, ale była bezbronna. W małym garażu zapadła ciężka cisza. Stali bez ruchu, jakby nie mieli dokąd pójść.

- Nie wydaje się panu, że nieco pan przesadził, panie Faulconer? -Z zakładu fryzjerskiego dobiegł brzęk bransoletek.

Angela weszła do warsztatu. Joel Faulconer powitał ją spojrzeniem tak wrogim, że każda inna kobieta wycofałaby się natychmiast. Angela jednak przepadała za przystojnymi mężczyznami, a Joel Faulconer bez wątpienia był przystojny, choć był równocześnie kawałem sukinsyna, o czym zamierzała go poinformować.

- Pańska córka to urocza młoda dama. A jeśli chodzi o to, co pan powiedział o moim synu... nazwał go pan obibokiem... Chciałam pana poinformować, że wcale mi się to nie podoba. Sam ruszył w jej stronę.

- Nie wtrącaj się. To cię nie dotyczy. Angela powstrzymała go ruchem dłoni.

- Chwileczkę, Sammy Jeszcze nie skończyłam.

Joel popatrzył się na Angelę, jakby była wyjątkowo obrzydliwym gadem. Przesunął wzrok z plastikowych kolczyków na złote sandałki.

- Pozwól mamie dokończyć. Zbrodnią byłoby jej nie wysłuchać. Sam mruknął coś pod nosem,

zamachnął się gwałtownie. Susannah rzuciła się między niego i ojca.

- Nie, Sam! To tylko pogorszy sytuację! - Odwróciła się do Joela. - Nasze problemy nie dotyczą pani Gamble.

Angela wzięła się pod boki.

- I jeszcze jedno panu powiem, panie Faulconer....

- Mamo! Bądź cicho!

Angela zbyła Sama machnięciem ręki i skupiła się na Joelu.

- Wie pan co? Gdyby pan wiedział, kim naprawdę jest mój syn, nie obrzucałby go pan obelgami!

W głosie Sama pojawiły się złowieszcze nuty.

- Ani słowa więcej, mamo. Ostrzegam cię!

Angela dumnie podniosła głowę, gotowa zmierzyć się z samym prezesem FBT - Mój syn, którego nazwał pan obibokiem, który pańskim zdaniem nie jest wystarczająco dobry dla pańskiej córki...

- Przestań, mamo!

- Mój syn jest jedynym synem Elvisa Presleya!

W garażu panowała cisza jak makiem zasiał. Sam zastygł w bezruchu i wyglądał jak marmurowy posąg. Susannah otworzyła usta ze zdumienia. Joel Faulconer nie ruszał się przez chwilę. W końcu spojrzął na Susannah z pogardą.

- Nigdy ci tego nie wybaczę – syknął. I wyszedł. Susannah rzuciła się za nim, ale Sam złapał ją za ramię.

- Nie waż się - wycedził. - Zostaniesz tutaj! Nie pobeigniesz za tym draniem! Angela wróciła do zakładu bez słowa wyjaśnienia. Sam poczekał, aż oddali się warkot silnika samochodu Joela, i wybiegł z garażu. Susannah machinalnie rozmasowała bolące ramię. Sięgnęła po lutownicę, ale ręce trzęsły się tak bardzo, że nie mogła pracować. Usiadła, żeby poczekać, aż się uspokoi.

Sam nie przyszedł na kolację, choć Roberta i Yank siedzieli w garażu już kilka godzin. Bezmyślna paplanina Roberty w połączeniu z milczeniem Yanka działały na Susannah na nerwy do tego stopnia, że obawiała się, że wybuchnie. W końcu uciekła do kuchni i zajęła się robieniem sałatki. W tej chwili zjawiała się Angela.

- Wiesz, Susannah, na kolacji pewnie będziemy tylko we dwie. Jak znam Sammy'ego, nie pojawi się przez jakiś czas. - Angela myła ręce nad zlewem. - Wiesz co? Mam trochę sera i salami, zrobimy sobie sałatkę szefa.

Dobrze. Bransoletki Angeli uderzyły o drzwi lodówki, gdy wyjmowała poszczególne składniki.

- Lubisz oliwki?

- Tak. - Susannah szukała noża do siekania. - Przepraszam za tę okropną scenę z moim ojcem. Nie dość, że siedzę ci na głowie, to jeszcze taka awantura...

Zbyła ją machnięciem ręki.

- Nie ponosisz odpowiedzialności za jego zachowanie. Podoba mi się, że z nami mieszkasz. Jesteś prawdziwą damą. A twoja obecność dobrze wpływa na Sammy'ego. My... Pewnie zauważyłaś, że nie najlepiej się nam układa. Wstydzi się mnie. Susannah chciała uprzejmie zaprzeczyć, ale ugryzła się w język. Skoro Angela zdobyła się na szczerłość, nie ucieknie w grzecznościowe formułki.

- Jest jeszcze młody - powiedziała. Angela złagodniała.

- Młody i zbuntowany. Boże, co ja z nim przeszłam...

Rozpacz po kłótni z ojcem sprawiła, że zapomniała o rewelacji Angeli, teraz jednak przypomniawszy sobie o tym.

- Jego ojciec...

- Frank Gamble był porządnym facetem, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale nie miał za grosz wyobraźni.

Dłonie Susannah znieruchomiały, choć siekała sałatę. Nie o Franku Gamble chciała usłyszeć. Co z Elvisem? Angela rozpakowała salami.

- Musiałam za niego wyjść, bo ja, dziewczyna z porządnej włoskiej rodziny, wpakowałam się w tarapaty. Rozumiesz, co mam na myśli? Ale nie mieliśmy wiele wspólnego. Kiedy Sammy był nastolatkiem, Frank ciągle wrzeszczał, że jest hipisem i nierobem, i Sammy uciekał z domu. To było okropne. Zawsze kochałam Sammy'ego bardziej niż Franka. Kiedy kilka lat temu odszedł do innej kobiety, ulżyło mi, chociaż za każdym razem, kiedy szłam na zebranie Kółka Różańcowego, udawałam, że jestem zrozpaczona. Wiesz, to dlatego że jestem praktykującą katoliczką.

- Rozumiem. - Susannah siekała ogórka i starała się skleić opowieść w spójną całość.

- Oczywiście niełatwo mi było pogodzić się ze świadomością, że Frank rzucił mnie dla dwudziestolatki, i to akurat wtedy, gdy piersi mi obwisły i nie byłam już taka ładna jak dawniej. - Rozmarzyła się. Po chwili jednak roześmiała się kpiąco. - Słyszysz, jakie bzdury plotę? Można by pomyśleć, że szykuję się do grobu, a nie że wchodzę w najlepszy okres w życiu! Chcesz usłyszeć o Elvisie, prawda?

- Chyba że nie masz ochoty o tym mówić.

- Och, nie mam nic przeciwko temu. Tylko że... Sammy nie lubi, gdy o nim wspomynam. Wiem, tam w garażu powinnam była trzymać język za zębami, ale twój ojciec zachowywał się, wybac mi mocne słowa, jak prawdziwy sukinsyn.

- Wcale taki nie jest. Chyba bardzo go zraniłam.

- Sammy rani mnie bez przerwy, a wcale go tak nie traktuję. Susannah miała łzy w oczach. Z trudem się opanowała, energicznie opłukała pomidora.

- Gdzie poznałaś pana... Elvisa?

- W latach pięćdziesiątych co jakiś czas urywałam się do Los Angeles i pracowałam jako statystka. Załapałam się do pracy przy *Love Me Tender*. To był pierwszy film Elvisa. Pomogła mi znajoma znajomej... W każdym razie dostałam się na plan. - W zadumie ugryzła plasterek sera szwajcarskiego.

- Wystarczy, że zamknę oczy i widzę, jak śpiewa. - Zanuciła *Love Me Tender*.

Coś się tu nie zgadza. Sam ma dwadzieścia cztery lata. Urodził się w 1952. Wtedy Elvis chyba jeszcze nie grał w filmach?

- Kiedy to było?

- Nie wiem, wiecznie plączę daty. Zresztą, po raz pierwszy spotkałam go dużo, dużo wcześniej. W... tak, to było w pięćdziesiątym pierwszym. Pojechałam z koleżanką do Nashville. Elvisa nazywano wtedy Hillbilly Cat. Miał właśnie podpisać pierwszy kontrakt. Żałuj, że go wtedy nie widziałas. Był taki młody i pociągający z tymi zmrużonymi oczami i włosami zaczesanymi do tyłu. Nie zrozum mnie źle, Susannah. Byłam porządną dziewczyną. Co tydzień chodziłam na mszę. Ale z Elvisem to było jak komunია. Masz ochotę na jajko na twardo?

- Tak, chętnie - mruknęła machinalnie.

- Naprawdę go kochasz, prawda?

W pierwszej chwili myślała, że Angela dalej mówi o Elvisie, zaraz jednak zorientowała się, że ma na myśli Sama.

- Tak.

- Nie jesteście zbyt podobni.

- Wiem.

- Suzie, uważaj na niego. On jest inny. Nie patrzy na świat jak wszyscy ludzie. Miła z ciebie dziewczyna i nie chcę, żeby cię skrzywdził.

Zaniepokoiły ją te słowa, ale gdy kilka godzin później zastała Sama w garażu, pochłoniętego pracą, zepchnęła je na dno świadomości. Przez dłuższy czas pracowali ramię w ramię. W końcu zapytała go o Elvisa.

- To bzdura - stwierdził spokojnie. - Wymyśliła to po rozwodzie. Za każdym razem, gdy o tym mówi, zmienia co nieco. Daty nigdy się nie zgadzają. Zapomnij o tym, dobrze? Nie chcę o tym rozmawiać.

Nie naciskała. Po północy zaciągnął ją do pustego zakładu fryzjerskiego i kochali się na fotelu. Kiedy było po wszystkim, Susannah uświadomiła sobie, że nie zamknęli drzwi, ale to było bez znaczenia. Co prawda Yank nadal siedział w garażu, ale on się nie liczy. Nie zauważyłby, nawet gdyby kochali mu się przed nosem.

## Rozdział dwunasty

Stary znowu się bawi. Dwaj ogrodnicy, jeden wysoki i chudy, drugi niski i pulchny, oparli się o łopaty i patrzyli na fontanny przed Zamkiem FBT. Siedem obelisków, jeden po drugim, przestało wypływać strumienie wody. Zanim jednak powierzchnia stawu uspokoiła się, kolumny wody pojawiły się ponownie, najpierw w pierwszej fontannie, potem w drugiej i tak po kolei.

- Jezu, chciałbym mieć taką robotę - stwierdził wyższy, obserwując błyszczącą w promieniach słońca wodę. - Siedzisz sobie za biurkiem w gabinecie z klimatyzacją, bawisz się fontannami i zgarniasz kilka milionów dolców rocznie. Wrócili do pracy, co chwila jednak ciekawie zerkali na fontanny. Zamiast jak zwykle wypływać strumienie w regularnych odstępach, włączały się i nikły nieoczekiwanie. Nigdy czegoś takiego nie widzieli.

- Chyba stary ma zły dzień.

- Niby dlaczego? Człowieku, gdybym ja miał tyle kasy, tańczyłbym z radości.

Cztery fontanny nagle wyschły, jakby ktoś uderzył pięścią w pulpit sterujący ich pracą. Ogrodnicy przyglądali się jeszcze chwilę i wrócili do swoich zajęć. Joel odwrócił się na krześle, tak że teraz siedział tyłem do okna i do fontann. Kiedyś napawały go wielką dumą. Kiedy bawił się przyciskami, miał wrażenie, że sprawuje władzę nad pięcioma kontynentami, które symbolizowały: oto Europa budzi się do życia, Ameryka Południowa reaguje na jego najmniejszy ruch, Ameryka Północna pulsuje w sercu jego królestwa... nawet Azja ulegała jego władzy. Czuł się wtedy jak pan całego świata.

Teraz był tylko zmęczony. Powrócił uporczywy ból w klatce piersiowej. Nadal z trudem docierało do niego, co zaszło w ciasnym, obskurnym garażu. Nie okazała skruchy. Nie błagała, by pozwolił jej wrócić do domu. Prosiła, by zrozumiał. Jakby myślała, że jest w stanie zrozumieć coś tak nikczemnego.

Dzwonek interkomu wyrwał go z zadumy. Sekretarka zaanonsowała Cala. Joel wyprostował się pospiesznie i udał, że z uwagą przegląda dokumenty na biurku. Cal nie powinien zobaczyć, że coś jest nie w porządku. Nie dlatego, że Joel mu nie ufa. Wręcz przeciwnie, polega na nim całkowicie. Cal jest dla niego jak syn, którego nie ma: inteligentny, ambitny i bezwzględny jak on w jego wieku. Podstawowa zasada rządzących brzmi jednak: nie pozwól, by ktokolwiek, nawet najbliżsi, wiedział,

że się martwisz.

- W przyszłym tygodniu muszę lecieć do Rio - oznajmił Cal, gdy wymienili uprzejmości.

Podziękował sekretarce za kawę, usiadł wygodnie w skórzanym fotelu i zagłębił się w szczegółowy opis negocjacji z Brazylijczykami.

Joel słuchał i jednocześnie przyglądał się Calowi uważnie. Miał na sobie strój typowy dla pracowników FBT: granatowy garnitur, szytą na miarę białą koszulę i jedwabny krawat. W jego butach można się było przejrzeć, włosy miał starannie przystrzyżone. Joel co prawda uważał siwe pasmo na skroni Cala za zbyt ostentacyjne, ale przecież trudno go za to winić.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie porównać go z długowłosym nicponiem, który porwał mu córkę, z człowiekiem, który był ponoć nieślubnym synem Elvisa Presleya. Na myśl o tym, że Susannah przebywa w towarzystwie kogoś takiego, na nowo wpadł w gniew. Rozmowa się urwała. Joel bawił się długopisem.

- Moi ludzie mieli Susannah na oku - zaczął ostrożnie. - Wczoraj się z nią widziałem. - Nie przeszło mu przez gardło, że akurat myła włosy staruszcze. Cal zacisnął usta, ale była to jedyna reakcja. Jego opanowanie działało Joelowi na nerwy, może dlatego, że sam nie był już tak opanowany jak dawniej. Niewykluczone jednak, że jego niepokój oznaczał co innego: niejasną solidarność z wyrodną córką, którą, być może, wywołała widoczna niechęć Cala. Zdenerwowała go ta myśl.

- Ona i ten motocyklista znaleźli naiwnego, który zamówił tę śmieszna zabawkę, nad którą pracują. To handlarz z Doliny, drobna płotka.

- Rozumiem. - W nagłej ciszy filiżanka Cala nienaturalnie głośno stuknęła o spodeczek.

- Z tego, co mówisz, wynika, że są mniej więcej tak efektywni jak dzieciaki handlujące lemoniadą. - Skórzana poduszka skrzypnęła cicho, gdy zmienił pozycję. - Amatorzy nie powinni zajmować się interesami, bo to się kończy katastrofą. Tego właśnie spodziewał się po Calu, nadal jednak dręczył go niepokój. Cal mówił dalej.

- Skoro są w takich tarapatach, najmniejsza porażka położy ich na łopatki. Na przykład jeśli człowiek, który zamówił ich zabawkę, wycofa się...

- Jeśli się wycofa.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś w jego sytuacji nie chciał współpracować z FBT. Cal powiedział głośno to, o czym Joel myślał od dawna. Gdy się odezwał, sam był zaskoczony agresywnym tonem swego głosu.

- Nie. Żadnych interwencji, rozumiemy się? Szczęki Cala poruszały się.

- Jestem zaskoczony...

- Dlatego, że nie jesteś tak spostrzegawczy, jak sądziłem. Przecież nawet nie zauważyłeś, jak była nieszczęśliwa!

Cal znieruchomiał. Atak Joela wyraźnie go zaskoczył, jednak jeszcze bardziej zaskoczył samego Joela. Boże, czyżby zaczął usprawiedliwiać postępek Susannah? Natychmiast się wycofał.

- Nie myśl, że cię obwiniam. W każdym razie, żadnych interwencji. Po raz pierwszy Cal okazał rozgoryczenie.

- Najwyraźniej już jej wybaczyłeś, czego ja o sobie nie mogę powiedzieć. Właściwie nic dziwnego. W końcu to twoja córka.

Joel przypomniał sobie, że Susannah nie zaprotestowała, gdy Gamble położył jej rękę na piersi, i jego gniew rozgorzał na nowo.

- Nie chodzi o przebaczenie. Na litość Boską, Susannah musi ponieść konsekwencje swojego czynu!

Sądząc po tym, co wczoraj widziałem, ich klapa to tylko kwestia czasu. A kiedy już do tego dojdzie, chcę, żeby miała świadomość, że to wszystko jej wina. Rozumiesz, Cal? Rozegramy to po mojemu. Nie pozwolę, żeby się łudziła, że gdyby nie my, odnieśliby sukces.

Joel odprężył się odrobinę. Susannah potrzebuje więcej czasu, to wszystko. Minęło przecież zaledwie kilka tygodni. Niepotrzebnie się pośpieszył i pojechał do niej wczoraj. Kiedy wreszcie uświadomi sobie, w jakich warunkach przyszło jej żyć, namiętność do buntownika zgaśnie. Wtedy wróci.

Napięcie Cala nie uszło jego uwagi. Czyżby Theroux wyczuł jego wahanie w sprawie Susannah? Odwzajemnił jego spojrzenie i skierował rozmowę na bezpieczniejsze tematy.

- Paige wspominała, że zaprosiłeś ją na sobotę do jacht klubu?

- Tak. - Cal się odprężył. - Odpowiada mi jej towarzystwo.

*I can't get no satisfaction...*

Paige nie otwierała oczu i czekała, aż będzie po wszystkim. Dziwne uczucie, być w łóżku z Calem. Sama nie wiedziała, dlaczego się na to zgodziła. Tego ranka zadzwonił Conti, żeby jej powiedzieć, że wraca na Wschodnie Wybrzeże. Płakał.

Cal znieruchomiał na moment. Zastanawiała się, co się stało, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to oznaka jego orgazmu. Nie wydawał żadnych dźwięków, niemal go nie zauważała. Najwyraźniej Cal zachowywał się bez zarzutu w każdej sytuacji, nawet w łóżku. Wstała i poszła do jego złotobrazowej łazienki, wdzięczna losowi, że skończył tak szybko. Może Cal nie lubi seksu tak jak ona? Spodobała jej się ta myśl. Później, gdy odwoził ją do domu, postanowiła delikatnie go wy badać.

- Cal, uważam, że w przyszłości nie powinniśmy ze sobą sypiać. Reflektory samochodu z naprzeciwka oświetlały jego twarz.

- Jesteś bardzo wrażliwa, Paige. Dotąd tego nie widziałem. - O dziwo poklepał ją po nodze, ale był to raczej gest pocieszenia niż zmysłowa pieszczota. - Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale wydaje mi się, że w Falcon Hill nie jest ci łatwo. Szanuję Joela jak nikogo innego, ale nie wiem, czy chciałbym mieszkać z nim pod jednym dachem.

Wzruszyło ją jego współczucie i wyrozumiałość.

- Nie chciałbyś. Zwłaszcza że - dodała z goryczą - nie jestem jego skarbem, Susannah.

Spochmurniał jak zawsze, gdy padało imię siostry. Czasami wypowiadała je celowo, tylko po to, żeby zobaczyć, jak gniewnie zaciska usta.

- Susannah nim manipulowała - stwierdził. - Zresztą manipulowała nami wszystkimi, prawda? Kiedy sobie przypomnę, co mówiła o tobie... Kłamała, przekręcała wszystko, wyolbrzymiała fakty...

Najgorsze, że jej wierzyłem. - Zerknął na nią kątem oka. - Przykro mi z tego powodu, Paige. Uważam, że jestem ci coś winien. Skoro nie będziemy kochankami, może chociaż zostaniemy przyjaciółmi? Myślisz, że to możliwe? Paige miała cyniczny stosunek do mężczyzn. Zdawała sobie sprawę, że Cal chce być blisko Joela. Z jego punktu widzenia jedna córka czy druga, co za różnica. Ale okazał się taki miły, taki troskliwy, a ona tak bardzo potrzebuje opieki.

- A... seks? - zapytała. - Nie jesteś zły? Znowu poklepał ją po udzie.

- Nigdy nie zależało mi na nowych podbojach. Nie zrozum mnie źle, lubię seks, ale nie to jest najważniejsze w życiu. W tej chwili bardziej mi zależy na przyjaciółce niż na kochance. - Wyciągnął rękę. - Umowa stoi?

Mówił tak szczerze, że zapomniała o ostrożności.

- Stoi - potwierdziła i uściśnęła jego dłoń.

Gawędzili swobodnie przez całą drogę do Falcon Hill. Powoli się rozluźniała. Cal rozumiał, że Joel od początku był wobec niej niesprawiedliwy. Po raz pierwszy od śmierci matki miała kogoś po swojej stronie. Jeszcze zanim dotarli do domu, czuła się dużo lepiej, jak statek, który w końcu zawinął do bezpiecznego portu.

Sam dostarczył Z.B Electronics czterdzieści komputerów w umówionym terminie. Na każdym opakowaniu widniał złoty napis SysVal i rzymska cyfra I. Susannah naklejała je do rana. Ku jej uldze Pinky zapłacił bez mrugnięcia okiem i nie musiała się martwić o rachunek dla Spectra Electronics. Niestety, pozbyli się długów tylko na jeden dzień, bo Sam zamówił nowe części na kredyt i wszystko zaczęło się od początku. Tylko że tym razem nie mieli żadnego kupca na komputery. W ciągu

następnych tygodni Pinky sprzedał kilkanaście komputerów zapaleńcom, ale ich produkt bynajmniej nie rozchodził się jak świeże bułeczki. Susannah zamartwiała się nieustannie. Ogłaszali się w pismach specjalistycznych, co zaowocowała kilkoma zamówieniami, lecz była to tylko kropla w morzu potrzeb. Yank rozpoczął już prace nad prototypem samodzielnego komputera, który chcieli wypuścić. Jeśli jednak chcieli go wyprodukować, musieli zdobyć pieniądze. I to spore.

Susannah schowała dumę do kieszeni i zabrała się do dzieła. Przez cały tydzień dzień w dzień wkładała czarno-biały kostiumik Chanel, wsiadała albo do dusterka Yanka, albo do toyoty Angeli i spotykała się ze znajomymi z – jak zwykła to określać – poprzedniego życia. Nie marnowała czasu, nawet nie próbowała skontaktować się z Joelem czy innymi pracownikami FBT. Dzwoniła do starych znajomych Kay i do ludzi, którzy wraz z nią zasiadali w komitetach dobroczynnych. Niemal wszyscy zgadzali się na spotkanie, szybko jednak zorientowała się, że kieruje nimi ciekawość, a nie chęć zainwestowania w SysVal. Ilekroć poruszała kwestie finansowe, niespokojnie wiercili się na krzesłach i nagle przypominali sobie o pilnych sprawach do załatwienia.

Wracała do domu zmęczona i rozczarowana. Pod koniec tygodnia poszła do garażu i poinformowała Sama, że nie zna nikogo więcej, do kogo mogłaby się zwrócić. Zgniółł w dłoni puszkę coli i stwierdził:

- Potrzebny nam finansista, który odważy się zainwestować w firmę kilkaset tysięcy dolarów. Dopiero wtedy możemy pomyśleć o czymś poważniejszym niż zabawki dla pasjonatów. - Pochylił się nad inkubatorem.

Z namysłem obracała puszkę ciepłej coli.

- Żaden poważny finansista nie zechce z nami rozmawiać. Nie robimy odpowiedniego wrażenia.

W tej chwili zabrzączał brzęczyk, który Yank zainstalował w garażu. Z westchnieniem odstawiła puszkę i pobiegła do kuchni.

Zazwyczaj odbierała przed piątym dzwonkiem, dzisiaj jednak potknęła się i straciła rachubę. Podnosząc słuchawkę, nie wiadomo który raz wyobraziła sobie, jak będzie wspaniale, gdy zainstalują osobną linię w garażu. Zdawała sobie sprawę, że kobiecy głos w słuchawce robi dobre wrażenie, ale często miała serdecznie dość ciągłego przyjmowania telefonów.

- SysVal. Czym mogę służyć?

- Mam pytanie: czy interfejs...

Dobrze chociaż, że to klient, a nie jedna z przyjaciółek Angeli.

- Proszę chwileczkę poczekać, połączę pana z działem technicznym. - Położyła słuchawkę koło radia nastawionego na cały regulator, pobiegła do garażu i kiwnęła na Sama. Po chwili sięgnął po słuchawkę.

Pozory, powtórzyła, nie wiadomo który raz. Pozory są najważniejsze.

Sama i ją czekała rzadka przyjemność spędzenia nocy razem - Angela wyjechała do znajomych w Sacramento. Niestety, nawet w łóżku kłopoty nie dawały o sobie zapomnieć.

- Ostatnio sporo myślałem. - Sam wtulił usta w jej włosy. - Potrzebny nam jeszcze jeden współnik. Ktoś, kto pasjonuje się elektroniką i zna się na marketingu. Bystry człowiek, którego jeszcze nie kupił system. - Przewrócił się na plecy. - Ktoś twórczy. I żaden dupek.

Potrzebny nam ktoś jak Nolan Bushnell w Atari.

- Zdaję się, że on ma już pracę - zaważyła kwaśno Susannah. Bawiła się włosami Sama.

- Albo... jeszcze lepiej, kogoś z zarządu Hewlett-Packarda.

Susannah popatrzyła w sufit. Hewlett-Packard, dzięki nowoczesnemu stylowi zarządzania, było



jedyną amerykańską firmą cieszącą się szacunkiem w oczach Sama.

- Dlaczego ktoś z H-P miałby rzucić dobrą posadę i pracować w garażu? Do tego za darmo?

- Dla wizji. Kurczę, gdyby nie patrzyli w przyszłość, wcale byśmy ich nie chcieli. Właśnie to w nim kochała i to zarazem doprowadzało ją do białej gorączki.

- Niemożliwe, żebyśmy przyciągnęli kogoś znanego.

- Przestań mi mówić, że coś jest niemożliwe! Skup się na tym, co możliwe!

- Jestem realistką.

- Nie, jesteś pesymistką! Mam tego po dziurki w nosie. Nie mogę pracować w takiej atmosferze. -

Wstał i poszedł do kuchni.

Gryzły ją wyrzuty sumienia, ale nie poszła za nim. Obiecała sobie, że nie będzie uległa. Sam denerwował się szybko, ale równie szybko się uspokajał. Mimo to nie mogła spać, zasnęła dopiero po kilku godzinach, kiedy wrócił do łóżka. Wkrótce zaczął polowanie na wiceprezesów Hewlett-Packarda. Czatował na nich na parkingu. Niektórzy myśleli, że chce ich okraść, wsiadali do samochodów i uciekali, jak mogli najszybciej, kilku jednak dało się namówić na wizytę w garażu. W pewien ulewny

wieczór Sam przydybał Billa Hewletta we własnej osobie.

Hewlett był uprzejmy, ale stanowczy. Nie, nie odejdzie z potężnej firmy, którą współtworzył, by dać się porwać wizji. Sam stracił cały szacunek dla Hewlett-Packarda.

We wrześniu, w Święto Pracy, odbywały się targi komputerowe w Atlantic City. Sam zdecydował, że pojedą.

- Musimy się pokazać jako firma krajowa, a nie lokalna manufaktura - stwierdził. Susannah przyznała mu rację, uważała jednak, że koszty podróży są za wysokie dla firmy, która nie sprzedawała jeszcze nawet pierwszych czterdziestu komputerów. Sam zbijał jej argumenty jeden po drugim, aż zrozumiała, że nie wyperswaduje mu tej eskapady. Postawiła jednak warunek: jeśli mają się pokazać na targach, zrobią to tak, jak ona zdecyduje.

Latem 1976 roku Atlantic City przypominało podstarzałą prostytutkę, którą trawiło wiele chorób. Prowadzono rozmowy na temat zalegalizowania hazardu, tymczasem miasto, które dawniej było najbarwniejszym skrawkiem wybrzeża Atlantyku, traciło wszelkie ślady dawnej urody. Promenada butwiała, hotel cuchnął pleśnią. Ledwie przyjechali, Susannah doszła do wniosku, że facygowali się niepotrzebnie, ale i tak poganiała obu współników, którzy ospale montowali stoisko.

Ulżyło jej, gdy jej największa obawa okazała się płonna - skrzynie zawierające, jak to określał Sam, „idiotyczny pomysł Susannah” dotarły bez szwanku. Woląca podziwiać kształtne pośladki Sama, niż słuchać, jak ciągle narzeka. Stoisko, koniec końców, kosztowało prawie tysiąc dolarów, czyli zdecydowanie więcej, niż mogli wydać. Chciała jednak, by wyglądali na firmę znacznie większą, niż byli w rzeczywistości, i dlatego wydała tyle mimo głośnych sprzeciwów Sama. Jeśli się myliła, cała wina spadnie na nią.

Ale nie myliła się. Następnego dnia na targi przyszły setki ludzi i wszyscy przystawali przy stoisku SysVal. Inne firmy prezentowały swoje produkty na zwykłych stolikach, ich nazwy wypisano na zwykłych tekturowych tabliczkach, SysVal tymczasem prezentowało swój komputer w kolorowej oprawie, a nazwę firmy wypisano fantazyjnymi szkarłatnymi literami. Tylko MITS, producenci Altaira, i IMSAI, ich konkurenci, mieli ładniejsze stoiska.

Dzięki pomysłowi Susannah SysVal wydawało się trzecią co do wielkości firmą na targach, podczas gdy w rzeczywistości było jedną z najmniejszych. Sukces napawał ją dumą, wzrosło poczucie

własnej wartości. Pod koniec pierwszego dnia podniosła głowę i zobaczyła Steve'a Jobsa przy ich komputerze. Ponieważ ich sytuacja była podobna, z zainteresowaniem śledziła poczynania obu Steve'ów - Wozniaka i Jobsa -którzy starali się zainteresować rynek swoim komputerem Apple. Jobs miał dwadzieścia jeden lat, jego partner dwadzieścia pięć. Podobnie jak jej współnicy, nie skończyli studiów. Jednak w porównaniu z Jobsem Sam wyglądał elegancko i porządnie. Steve był nieogolony w brudnych dzinsach i sfatygowanych sandałach. Wiedziała od Sama, że jest buddystą zen i wegetarianinem. Podobno jeździł do Indii w poszukiwaniu prawdy. Mówiono też, że ciągle się waha, czy tam nie wrócić i nie wstąpić do klasztoru.

Zamiast na ich komputer, Jobs patrzył na stoisko SysVal. On i Woz sprzedawali swojego Apple'a ze składanego stolika. Obserwowała minę Jobsa, gdy przyglądał się kolorowym ścianom i napisowi. Wiedział, że SysVal jest równie małe i biedne jak jego firma, ale udało mu się zrobić wrażenie przedsiębiorstwa dużo zamożniejszego. Popatrzył na Susannah – zrozumieli się bez słów. Na chwilę zniknęły wszelkie bariery między panną z towarzystwa i niechlujnym hipisem. Jobs rozumiał, co osiągnęła.

Domyślała się, że jeśli Apple Computer przetrwa, nigdy już nie popełni błędu, jakim było prezentowanie się na targach na składanym stoliku. W poniedziałek wieczorem, po zamknięciu targów, Susannah, Sam i Yank jechali na lotnisko w Filadelfii z zamówieniami na pięćdziesiąt dwa komputery w kieszeni. Taki sukces rozwiązał język nawet Yankowi. Wsiadali do samolotu w szampańskich humorach.

Sam rozsiadł się wygodnie i wyjął ze schowka na fotelu przed nim egzemplarz „Wall Street Journal”. - Skoro będę milionerem, muszę zmienić dziennik - zażartował. Z namaszczeniem otworzył gazetę i udał, że zagłębia się w lekturze. Chciał ją rozbawić, ale Susannah zdobyła się zaledwie na uprzejmy uśmiech. Zbyt często widywała ojca pogrążonego w lekturze tej właśnie gazety.

Ogarnęły ją mieszane uczucia – bolesne i przyjemne. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że Sam milczy. Spojrzała na niego. Był śmiertelnie poważny.

- Sam?

Gwałtownie złożył gazetę i wsunął ją pod pachę.

- Wysiadamy.

- Słucham?

- Szybko!

- Sam?

- Pospiesz się, zaraz zamkną drzwi. Odruchowo wstała. Popychał ją energicznie.

- Sam? Co ty wyprawiasz? Dokąd idziemy? Minęli stewardesę.

- Musimy wsiąść. Szybko.

Zerknęła przez ramię na Yanka. Siedział pogrążony w zadumie.

- A co z nim?

- Ktoś się nim zajmie.

Po chwili stała w hali odlotów, a jej bagaż właśnie odlatywał do San Francisco. Trzy godziny później siedziała w samolocie do Bostonu. Wyruszyli na poszukiwanie człowieka nazwiskiem Mitchell Blaine.

Mieszkał w eleganckim starym domu w najlepszej dzielnicy Bostonu. Popołudniowe słońce przenikało przez liście klonów i rzucało jasne plamy na ściany porośnięte bluszczem. Susannah i Sam szli wiekowym chodnikiem. Miała nadzieję, że właściciel domu jest na wakacjach gdzieś na Alasce.

Chociaż nawet to nie zniechęciłoby Sama. Poleciłiby do Fairbanks pierwszym samolotem. W drodze do Bostonu przeczytała w „Wall Street Journal” artykuł, który zwrócił uwagę Sama, i dowiedziała się co nieco o człowieku, z którym mieli się spotkać. Mitchell Blaine był cudownym dzieckiem Route 128, odpowiednika Doliny Krzemowej na Wschodnim Wybrzeżu. Pochodził ze Środkowego Zachodu: studiował w Ohio, tytuł magistra zdobył na prestiżowym Massachusetts Institute of Technology, a MBA na Harvardzie. Zawrotną karierę zawdzięczał jednak znajomości najnowszej technologii połączonej z magicznymi wręcz umiejętnościami marketingowymi.

W latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych pracował dla najlepszych bostońskich firm elektronicznych i bardzo rozsądnie kupował ich akcje, co dało początek jego osobistemu majątkowi. W 1976 roku miał, jak szacowano, koło pięciu milionów dolarów - niewiele w porównaniu z najbogatszymi tego świata, ale całkiem sporo jak na sierotę.

Analitycy widzieli w nim jednego z ludzi, którzy wytyczą kierunki rozwoju technologii komputerowych w latach osiemdziesiątych. I nagle, zaledwie cztery dni temu, jego błyskotliwa kariera dobiegła końca. W kilku krótkich zdaniach oznajmił, że odchodzi. Miał zaledwie trzydzieści jeden lat. Artykuł nie podawał powodów jego decyzji, jednak to nie stanowiło dla Sama żadnej przeszkody. Natychmiast wymyślił własną wersję:

- Facet się nudzi, Susannah. Ma dopiero trzydzieści jeden lat. Szuka nowego wyzwania.

SysVal to akurat to, czego mu potrzeba.

Mimo że bardzo się starała, nie zdołała znaleźć argumentów potwierdzających teorię Sama, przynajmniej nie w artykule. W gazecie były tylko fakty biograficzne, nie znalazła tam jednak nic o Blainie jako o człowieku.

Złapała Sama za ramię, gdy zbliżali się do schodków prowadzących do domu.

- Sam, to okropne. Powinniśmy najpierw zadzwonić.

- I pozwolić, żeby nas spławił? O nie. Zresztą nie spodziewałaś się chyba, że znajdziemy jego numer w książce telefonicznej, co? Wystarczająco się namęczyliśmy, szukając jego adresu.

Wolała nie pamiętać o tym, jak wyrwała z łóżka jednego z szefów filii FBT w Bostonie i sprzedała mu historyjkę o tym, jak to jej ojciec chciałby zaprosić Mitchella Blaine'a na spotkanie i dlatego musi zdobyć jego adres.

- Nie możemy tak po prostu do niego przyjść - upierała się. - Nie wypada.

Sam nacisnął dzwonek.

- Jeśli się martwisz o reputację, trochę się spóźniłaś. Szlag ją trafił, gdy wybrałaś się ze mną na przejażdżkę w dniu ślubu.

- Do cholery, Sam!

- Ojej, Panna Idealna przeklina! Bo pójdziesz do kąta! - Nacisnął dzwonek po raz drugi. Zachowywał się okropnie, znała go jednak dobrze: robił to, żeby odwrócić jej uwagę.

- I co mu powiesz? Jak wytłumaczysz naszą wizytę?

- Nie ja, ty. Przedstawisz się i nas wpuści. W domu ja będę gadał. Właśnie tego się obawiała.

Zadzwonił jeszcze kilka razy, ale nikt nie otwierał.

- Sam, nie ma go. Dajmy sobie...

- Dzwon dalej! - Zniknął za węglem.

Pogwałciła zasady dobrego wychowania, naciskając przycisk dzwonka jeszcze dwukrotnie. Już miała odejść, gdy Sam wrócił.

- W oknach na tyłach domu widziałem światło z telewizora. Wchodzimy.

- Nie! Sam, może to gosposia!

- To on, wiem to.

Potknęła się o krawężnik, tak energicznie ciągnął ją w stronę tarasu. Nagle rozdzwonił się alarm.

- Boże, jeszcze nas aresztują!

- Ale najpierw porozmawiam z Blaine'em. - Zaciągnął ją do tylnych drzwi i uderzył w nie pięścią.

- Hej, Blaine! - wrzasnął. - Wiem, że tam jesteś! Chciałbym z tobą pogadać! Jest ze mną Susannah Faulconer. Z tych Faulconerów od FBT. Córka Joela Faulconera. Nie lubi sterczeć pod drzwiami. Wpuść nas.

- Cicho! - syknęła. - Zamknij się! - Wyobrażała sobie, że Blaine kuli się w środku przerażony i czeka, aż zjawi się policja i uwolni go do szaleńca dobijającego się do drzwi. - Pomyśli, że chcemy go zabić!

Ledwie to powiedziała, drzwi się otworzyły i po raz pierwszy zobaczyli swoją ofiarę. W pierwszej chwili Susannah przyszło do głowy, że Mitchell Blaine ma prawdopodobnie w nosie, czy przybyli w zamiarach pokojowych, czy nie. Gdy cudowne dziecko bostońskiego przemysłu komputerowego wytoczyło się na próg, zorientowała się, że Blaine jest w sztok pijany.

Nawet zalany był wspaniały. Przez całe życie otaczali ją mężczyźni z elitarnego bractwa bogatych i wpływowych, więc od razu zorientowała się, że Blaine, choć młody i w kiepskiej formie, do niego należy. Gdyby ją jednak zapytać, na jakiej podstawie doszła do tego wniosku, nie umiałby odpowiedzieć. Członkowie bractwa za bardzo lubili władzę, by upijać się w sztok, tak jak Blaine. Co prawda miał na sobie odpowiedni strój - szytą na miarę białą koszulę i szare spodnie - tyle że sądząc po stanie ubrań, spędził w nich noc.

Proste piaskowe włosy przystrzygł fryzjer, który doskonale znał zasady panujące w bractwie, ale przedziałek był krzywy, a niesforne kosmyki, zamiast przylegać do czaszki, opadały na czoło, co jest dopuszczalne najwyżej po partii tenisa. Również jego sylwetka nie pasowała do schematu. Był wysoki, przede wszystkim jednak zbyt muskularny jak na członka elitarnego bractwa, jego brzuch był zbyt płaski. Znajome za to było bystre spojrzenie niebieskich oczu i mrozący chłód odrobiny nieregularnych rysów.

Wstrzymała oddech, gdy podszedł do Sama.

- Wynoście się stąd.

Sam uniósł ręce w geście pokoju; było to tak komiczne, że Susannah parsknęła śmiechem, gdyby nie było jej wstyd za to najście.

- Chcieliśmy tylko porozmawiać - Sam nie dawał za wygraną. - Zrobiliśmy kawał drogi, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jesteście na moim terenie i macie się stąd natychmiast wynieść! - Blaine zrobił niepewny krok naprzód.

Sam się rozgniewał; tylko on mógł poczuć się urażony w takiej sytuacji.

- Słuchaj no, stanęliśmy na głowie, żeby cię odnaleźć, więc przynajmniej nas wysłuchaj.

- Przynajmniej was stąd wywalę.

Susannah zebrała się na odwagę i stanęła między nimi.

- Wejdźmy do środka, panie Blaine. Zaparzę kawy, dobrze panu robi.

- Nie chcę kawy - odparł z denerwującym uporem. - Chcę jeszcze jednego drinka.

- Dobrze - zgodziła się. - Zaparzę kawy i wypije ją pan po drinku.

Na szczęście monotonne wycie alarmu działało mu na nerwy bardziej niż ich obecność. Zawrócił do

domu i wtedy zorientowała się, dlaczego od razu rozpoznała w nim członka bractwa. Nawet pijany w sztok ignorował nieproszonych gości. Poruszał się z wdziękiem zadziwiającym u kogoś w podobnym stanie, choć nie omieszkał potknąć się na progu. Sam nie czekał na zaproszenie. Złapał Susannah za rękę i wciągnął do środka. Znaleźli się w obszernym salonie z belkowanym sufitem i kominkiem, w którym płonął ogień. Na zielono-czerwonym dywanie widać było wgniecenia świadczące o tym, że niedawno stały tu stoliki i fotele; teraz jednak zostało niewiele mebli – wszystkie ciężkie, ciemne i oczywiście drogie.

Blaine zorientował się, że mu towarzyszą. Był zły, ale nie przerażony. Susannah zauważyła na stoliku jego szklankę i nie zważając na wyrzuty sumienia, podała mu. Sam rozglądał się ciekawie po pokoju, ona zaś starała się namówić Blaine'a na wyłączenie alarmu.

Gdy w końcu umilkł, Sam zaczął mówić:

- Słuchaj, Blaine, mam dla ciebie propozycję...

Poszła do kuchni zaparzyć kawy. Gdy czekała, aż woda się zagotuje, zauważyła dziecięce rysunki na lodówce. Najwyraźniej do niedawna mieszkały tu dzieci. Gdzie się podziały? Wróciła do salonu i przekonała się, że Blaine nalał sobie nowego drinka - na oko trzy palce czystej szkockiej. Sam wymachiwał puszką coli i mówił, mówił, mówił...

- Nie uwierzysz własnym oczom, ta maszyna to cudo. Nie mieści się w głowie...

Blaine skupił uwagę na Susannah.

- Joel Faulconer to twój ojciec? - Mówił trochę niewyraźnie.

- Tak.

- Sukinsyn.

Wzruszyła ramionami i podała mu kubek kawy, ale nawet na niego nie spojrzał. Przysiadła ze swoją filiżanką na jednym z nielicznych foteli. Coś ukłuło ją w plecy. Sięgnęła za siebie i wydobyła małą samochodzik. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym szybko wepchnęła go z powrotem między poduszki. Ślady po meblach na dywanie i po niedawnej obecności dzieci świadczą o jednym - Mitchell Blaine ma kłopoty rodzinne, i to najwyraźniej od niedawna, sądząc po jego stanie.

Sam nerwowo bawił się puszką coli. Popatrzył na Susannah.

- Mitch obiecał, że poleci dziś z nami do San Francisco? Ja?

- Przecież sam mi to powiedziałeś, Mitch - zapewnił go. - Przypomnij sobie. Chcesz zobaczyć nasz komputer.

Susannah zerwała się na równe nogi. Sam kłamie. To jego kolejny blef.

- Sam, nie uważam...

- Zadzwoń do linii lotniczych i zarezerwuj bilety, dobrze? Na najbliższy lot.

Blaine opróżnił szklankę.

- Nie ruszę się stąd, dopóki się nie napiję.

Pijacy zazwyczaj działali Susannah na nerwy, Blaine jednak ją wzruszał. Może gdyby Sam zorientował się, że cierpi, dałby mu spokój. Patrząc na ślady po meblach na dywanie, zapytała cicho:

- Kiedy odeszła pańska żona? Blaine spochmurniał.

- To nie pani sprawa.

Przepraszam. Rozumiem, że to dla pana trudne.

Sięgnęła po butelkę. Wiedziała, że chce się upić do nieprzytomności i że chce to zrobić w samotności. Patrząc, jak starannie nalewa kolejnego drinka, poczuła przypływ współczucia. Nawet pijany zachowywał godność. Widziała, że Sam powoli traci cierpliwość, ale po raz pierwszy potrzeby

innego mężczyzny wydały jej się ważniejsze niż zachcianki Sama Gamble'a.

- Picie nic nie pomoże - stwierdziła. - Może zadzwonię do pańskiego przyjaciela?

Sam spojrział na nią ostrzegawczo, odepchnął ją i wyjął butelkę z rąk Blaine'a.

- Wcale nie masz na to ochoty, prawda, Mitch? Po ci te nadęte bubki? Kalifornijski klimat postawi cię na nogi. A kiedy zobaczysz nasz komputer, zapomnisz o żonie. Susannah chciała się sprzeciwić, Sam jednak spojrział na nią tak groźnie, że ugryzła się w język.

Dwie godziny później lecieli do San Francisco, a na fotelu między nimi spał półprzytomny Mitchell Blaine. Ilekroć się budził, Sam puszczał mimo uszu jej sprzeciwu i nalewał mu kolejnego drinka. Jeszcze zanim dolecieli do San Francisco, Susannah ogarnęły złe przeczucia. Mitchell Blaine onieśmiała nawet po pijaku. Co będzie, kiedy wytrzeźwieje?

## Rozdział trzynasty

Blaine obudził się w fatalnym humorze. Z trudem poczłapał z sypialni Sama do przedpokoju, gdzie wpadł na Angelę Gamble, która miała na sobie jedynie puszysty ręcznik kąpielowy i lakier do paznokci. Zaskoczył ją przy tym do tego stopnia, że upuściła ręcznik, co zresztą nie zirytowało jej nawet w połowie tak bardzo jak fakt, że nie zdążyła ułożyć sobie fryzury.

Blaine z jękiem osunął się na ścianę. Susannah usłyszała go w kuchni, chwyciła więc szklanekę wody i trzy aspiryny i pobiegła do przedpokoju. Nadal miał na sobie to samo pogniecione ubranie co wczoraj. Na jego twarzy pojawił się rudawy zarost, oczy nabiegły krwią. Angela zdążyła owinąć się ręcznikiem. Posłała Susannah pytające spojrzenie. Poprzedniej nocy smacznie spała, gdy Sam i Susannah wrócili, nie miała więc pojęcia, że przywieźli gościa. Susannah uspokoiła ją, mówiąc wzrokiem „później ci wszystko wyjaśnię”, i podała Blaine'owi szklanekę wody i aspirynę. Wziął wszystko z ponurą miną.

- Dzień dobry - szepnęła. Ledwie przełknął, wskazała łazienkę. - Przygotuję panu czyste ubranie, a pan tymczasem może skorzystać z łazienki. Położyłam maszynkę do golenia na umywalce.

Popatrzył na nią wrogo.

- Kim pani jest?

- Porozmawiamy, kiedy weźmie pan prysznic.

Delikatnie popchnęła go w stronę łazienki. Ciekawe, co pomyśli, widząc Elvisa. Pokrótce opowiedziała Angeli, co się działo podczas ostatnich kilku dni, potem wyjęła czyste rzeczy z torby Blaine'a. Sama ją spakowała, zanim uprowadzili go z jego własnego domu. Wróciła do kuchni i usmażyła bekon. Ustalili z Samem, że najlepiej będzie, jeśli najpierw go nakarmi, żeby skutki wczorajszego pijaństwa nie były tak dokuczliwe. Dopiero potem zaprowadzi do garażu. Plan wydawał się logiczny, teraz jednak drżała na samą myśl, że ma zostać sama z Blainem. Niestety, Sam i Yank mieli pełne ręce roboty. Musieli zmontować chociaż prowizoryczny model komputera, nie miała więc wyboru.

Upłynęło niewiele czasu, zanim Blaine wkroczył do kuchni. Widząc różnicę w jego wyglądzie, poczuła niepokój. Rysy – wczoraj złagodzone alkoholem – stwardniały. Gładko wygolony podbródek znamionował upór. Jasne włosy, jeszcze wilgotne od prysznica, były starannie zaczesane, przedziałek idealny. Ubranie leżało na nim doskonale. Nawet wyciągnięte z małej torby żółta koszula i drogie spodnie nie miały odwagi pokazać choćby jednego zgięcia. Musiał go męczyć okropny kac, nie dał jednak tego po sobie poznać. Był sztywny, poważny, lodowato uprzejmy i wściekły.

- Mleko i cukier do kawy? – zapytała nerwowo.

- Czarną. - Wypluł to słowo.

Podawała mu kubek i podsunęła talerz z jedzeniem. Gotowanie nie było jej mocną stroną i jajka trochę za bardzo się przyrumieniły, ale nie skomentował tego. Po raz kolejny zapragnęła ukryć się w garażu, zmusiła się jednak, by nalać sobie kawy i podejść do stołu. Blaine wstał, odsunął jej krzesło. Ten uprzejmy gest był tak lodowaty, że przeraziła się jeszcze bardziej.

Popijała kawę nerwowymi łyčzkami i podziwiała jego nienaganne maniery. Gdy był pijany, współczuła mu, teraz jednak za bardzo przypominał jej mężczyzn, od których uciekła. Nie przejawiał najmniejszej chęci do rozmowy, więc sama zaczęła ostrożnie, przedstawiając mu się jeszcze raz. Przyglądał się jej przez chwilę, podczas której Susannah doszła do wniosku, że nie podoba mu się to, co widzi. Odwrócił wzrok w stronę okna. Niemal czuła, jak opanowuje się z najwyższym trudem. Czekwała na to, co musiało nastąpić.

- Co to jest, panno Faulconer? - zapytał chłodno. Spojrzała we wskazanym kierunku. Gdzie?

- Tam, w rogu podwórza. Chodzi panu o palmę?

- Palmę? - Przyłożył kciuk do skroni i zapytał sarkastycznie: – O ile mi wiadomo, w stanie Massachusetts palmy nie rosną?

- Nie, nie rosną.

- Aha. A gdzie rosną, panno Faulconer?

Poruszyła się niespokojnie na krześle i w myślach posłała Samowi wiązanke za to, że zostawił ją samą w takiej chwili.

- W Kalifornii. Jesteśmy w Menlo Park, na południe od San Francisco.

- W Dolinie Krzemowej? - Jego słowa ociekały jadem.

Ten właśnie niełatwy moment wybrała Angela, by wkroczyć do kuchni, stukając obcasami i pobrękując srebrnymi bransoletkami tak głośno, że Blaine zmarszczył brwi bólu.

Skinęła mu głową na powitanie i zwróciła się do Susannah.

- Wczoraj umarła pani Albertson, muszę jej ufarbować włosy przed wystawieniem zwłok. Obiecuj mi skarbie, że jeśli pani Leonetti też kopnie w kalendarz, zadzwonisz do mnie do domu pogrzebowego, żebyśmy nie musiały jechać po raz drugi. Mają taki sam odcień.

Ledwie wyszła, otworzyły się tylne drzwi i do kuchni wkroczył Yank. W jednej dłoni trzymał swój but, w drugiej woltomierz.

- Interfejs - oznajmił, nie wiadomo do kogo. Nie zwracając na nich uwagi, powędrował do salonu.

Susannah nie musiała patrzeć na Blaine'a, żeby wiedzieć, co sobie pomyślał. Nie wyglądał na człowieka akceptującego ekscentryczne zachowanie. Poderwała się na równe nogi.

- Może pozwoli pan ze mną do garażu i pozna mojego współlnika. Właściwie poznał go pan już wczoraj, ale...

- Nigdzie z panią nie pójdę, panno Faulconer. - Wstał poważny i chłodny. - Nie wiem, co mi pani wczoraj zrobiła, i nie zostanę tu na tyle długo, żeby się tego dowiedzieć. - Podszedł do telefonu i energicznie podniósł słuchawkę. Zadzwonił do informacji, wyjął z kieszeni kartę kredytową, wykręcił numer linii lotniczych. Gdy czekał na połączenie, Susannah starała się wytłumaczyć mu, nad czym pracują. Ignorował ją zupełnie.

Yank pojawił się ponownie, gdy Blaine zamawiał limuzynę. Susannah złapała Yanka za ramię.

- Powiedz Samowi, że jest mi potrzebny, i to natychmiast! Popatrzyl na nią pustym wzrokiem.

Wbiła palce w jego ramię, z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się, by nie stuknąć go w głowę.

- Zawołaj Sama. Rozumiesz, Yank? Jest mi potrzebny. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Nie jestem niedorozwinięty, Susannah - odparł spokojnie. - Oczywiście, że rozumiem. - Wszedł.

Blaine poszedł po walizkę. Ruszyła za nim.

- Panie Blaine, bardzo proszę, niech pan chociaż rzuci okiem na nasz komputer. Nie będzie pan tego żałował, zapewniam.

- Jeśli ktoś tu będzie czegoś żałował, to tylko pani, panno Faulconer. Właśnie do mnie dotarło, że mogę wytoczyć pani sprawę o włamanie i tuzin innych wykroczeń. - Opuścił wieko walizki. - Nie wiem, co chce pani osiągnąć, ale wybrała pani niewłaściwego człowieka.

Nigdy nie lubiłem pani ojca i nie lubię pani.

- Ja też nie lubię jej starego - odezwał się Sam. Stał w progu. - Ale Suzie jest porządku.

W porządku? Tylko w porządku?

Sam wszedł do pokoju i niedbale oparł się o framugę. W porównaniu ze sztywnym, wykrochmalonym Blaine'em był cudownie swobodny nieskrępowany.

- Posłuchaj, Blaine - zaczął. - Wiem, że jesteś wściekły, zresztą na twoim miejscu zareagowałbym tak samo. Ale obaj wiemy, że w Bostonie czeka na ciebie tylko butelka whisky i uzalanie się nad sobą, więc daj mi szansę i posłuchaj, co mam do powiedzenia. W ciele Blaine'a napięły się wszystkie mięśnie. Wziął walizkę i ruszył w stronę drzwi, Sam jednak zablokował wyjście.

- Zejdź mi z drogi. Sam zmrużył oczy.

- Tam, w garażu, czeka przygoda twojego życia. Okazja, żeby zmienić świat, żeby odcisnąć swoje piętno przyszłości, żeby wypisać swoje imię złotymi literami na firmamencie przyszłych pokoleń. To, co robiłeś do tej pory, to betka w porównaniu z tym, co cię czeka. Blaine, jesteśmy poszukiwaczami przygód. Błędnyymi rycerzami i misjonarzami zarazem. Wyruszamy na wycieczkę w przyszłość. Odrzutową tęczą w stronę gwiazd. Blaine najwyraźniej nie doceniał poezji, bo tylko zacisnął usta w jeszcze węższą linię.

- O co panu chodzi, do cholery?

- Chodzi mi o to, że mamy do wypełnienia misję. Być może ostatnią misję. Pamiętasz amerykańskich ryzykantów, poszukiwaczy przygód, o których uczą w szkole: baronów kolejowych, przemysłowców, nafciarzy? Ryzykanci, kapitaliści, nie bali się ciężkiej pracy, wyzwania, szaleństwa. Pamiętasz? Carnegie, Ford, Rockefeller? Rozumiesz, Blaine? My będziemy następni. Ty, Suzie, Yank i ja. Będziemy ostatnimi poszukiwaczami przygód w historii dwudziestowiecznej Ameryki.

Susannah najchętniej złapałaby się za głowę, tak bardzo jej się kręciło. Skąd on bierze te pomysły? Te słowa? Nawet Blaine był pod wrażeniem.

- Pan oszalał.

Sam nastroszył się gniewnie i nagle odsunął się od framugi.

- Spadaj z mojego domu.

- Sam...- zaczęła ostrzegawczo. Wykrzywił usta z pogardą.

- Szukamy człowieka z charakterem. Myślałem, że on taki jest, ale wyraźnie się myliłem. Nagle zrozumiała, że Sam wcale nie blefuje. Mitchell Blaine nie spełnił jego oczekiwań, więc Sam, ot, tak, wyrzuca go za drzwi. Skonsternowana obserwowała, jak Sam odwraca się na pięcie i wychodzi. Wpadła w panikę. Zakochała się w bardzo niebezpiecznym mężczyźnie: niecierpliwym, szybkim w sądach i czynach. Trzasnęły drzwi kuchenne. Blaine minął ją, wszedł do saloniku.

- Poczekam na samochód na dworze - oznajmił sucho.



W tej chwili włączył się Yank. Susannah nawet nie zauważyła, że przez cały czas stał z boku, pod portretem Elvisa. Ciekawe, czy słuchał rozmowy, czy był tak pochłonięty skomplikowanymi obliczeniami? Gdy szukała odpowiednich słów, Yank podszedł do niego i wyjął mu walizkę z ręki.

- Poniosę - mruknął.

- Dziękuję, nie trzeba.

Yank nie słuchał. Otworzył drzwi wejściowe. Poszła za nimi, nadal gorączkowo szukając argumentu, który przeważąby szalę na ich korzyść. Yank potknął się o jedną z zielonych glinianych żab Angeli na schodkach. Mignęła jej najpierw niebieska, potem zielona skarpetka. Skręcił w prawo, na trawnik. Blaine wydał nieartykułowany okrzyk, gdy Yank pomaszerował z jego walizką w stronę garażu. Hej! Yank zdawał się nie słyszeć. Uderzył walizką w duster.

Blaine popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Czy wyście wszyscy powariowali?

Susannah zastanawiała się tylko przez chwilę, a potem twierdząco skinęła głową.

- Boże - mruknął. - Hej, ty! Wracaj!

Yank szedł do garażu niezmienny jak prawa fizyki. I on, i walizka zniknęli w środku. Sam pochylał się nad prototypem, gdy weszli Susannah i Blaine. Yank odstawił walizkę, sięgnął po sfatygowaną książkę i przeglądał ją jakby był sam. Blaine podszedł do walizki.

- Nie wiem, skąd u was taka bezczelność, ale... - Nie dokończył, widząc paletę kolorów na monitorze. Puścił rączkę walizki i wyprostował się powoli. - Wydawało mi się, że pracujecie nad miniaturowym komputerem - powiedział oschle.

Sam nie odpowiedział od razu. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy warto otwierać usta.

- Tak - odparł w końcu.

Blaine intensywnie wpatrywał się w monitor.

- Na małym komputerze nie można uzyskać takich barw.

- Nam się udało - rzucił Sam.

Blaine zupełnie zapomniał o walizce. Podszedł do monitora.

- Nie wierzę. Otwórz to.

Sam spojrział na niego badawczo i sięgnął po śrubokręt. Nie zdążył zdjąć pokrywy, gdy Blaine zasypał go pytaniami. Sam odpowiadał początkowo oschle i skąpo, w miarę jednak jak zapalał się od tematu, skręcał coraz bardziej w stronę szczegółów technicznych tak, że Susannah nie rozumiała ani słowa. Wkrótce zresztą i Sam miał kłopoty z udzieleniem odpowiedzi na pytania Blaine'a. Wtedy włączył się Yank. Odpowiedział spokojnie, wyważonym tonem.

Susannah usłyszała klakson, ale nikt poza nią nie zwrócił na niego uwagi. Po chwili wahania wyszła na dwór i odesłała limuzynę.

Przez resztę dnia mozolnie składała nowe komplety i przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn. Przynosiła im napoje i kanapki. Wczesnym popołudniem Blaine złapał bakcyła. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Wykrochmalony, sztywny Mitchell Blaine okazał się takim samym wariatem jak jej współpracownicy.

O siódmej Sam i Blaine byli najlepszymi kumplami na świecie.

- Lubisz pizzę, Mitch? - zapytał Sam. - A może musimy cię zabrać do porządnej restauracji z obrusami na stołach?

Blaine uśmiechnął się dobrodusznie.

- Pizza wystarczy w zupełności.

Sam wycelował w niego puszką coli, jakby to był pistolet.

- A rock and roll?

- Szczerze mówiąc, wolę country. - Żartujesz.

- Więcej tolerancji dla starszych, Sam. Wszyscy mamy wstydliwe sekreciki.

- Owszem, ale country to już przesada.

Dziesięć minut później wiekowy duster ruszył spod domu. Sam siedział za kierownicą, a obok niego Mitchell Blaine. Susannah z tyłu trzymała na kolanach szpulę kabla koncentrycznego, a Yank oscyloskop. Jechali do Mom & Pop's, małej knajpki serwującej pizzę i hamburgery. Mieściła się w niewielkim pasażu handlowym między pralnią chemiczną i sklepem papierniczym. Podawano tam piwo i, co ważniejsze, zainstalowano automaty do gier wideo. Z tego powodu był to ulubiony lokal Sama i Yanka. Gdy wchodzili do środka, niepokój Susannah, który narastał przez całe popołudnie, zdawał się osiągać apogeum. Czuli się jak niewolnica, której jedynym obowiązkiem jest poić i karmić mężczyzn.

Wcisnęli się do największej łoży wyłożonej zielonym winylem, zrobili jej miejsce na skraju siedzenia i przestali zwracać na nią uwagę. Sam mówił z błyszczącymi oczami. Choć czuli się coraz bardziej urażona, jak zwykle poczuła zdradzieckie ciepło.

Akurat gdy kelnerka przyniosła im pizzę, zjawiła się Roberta. Przycupnęła koło Susannah.

- Nie rozumiem, dlaczego Yank i Sam tak chętnie tu przychodzą - szepnęła, dotykając najbliższej pizzy chusteczką higieniczną. - Wszystko tu wręcz pływa w tłuszczu. Mężczyźni rozprawiali o elektronice, a Susannah uprzejmie słuchała opowieści Roberty o zapaleniu zatok. Jej złość urosła do tego stopnia, że nie była w stanie dłużej jej ukrywać. Sam i Mitchell Blaine zachowują się, jakby się znali od lat, a nie od wczoraj. Nie pozwoli, żeby dłużej ją ignorowali. Gdy na chwilę zapadło milczenie ich rozmowie zwróciła się do Blaine'a.

- Czy mógłbyś nam udzielić kilku rad w kwestii przyciągnięcia kapitału? Popatrzył na nią z lodowatą nienawiścią. Co takiego mu zrobiła? Dlaczego tak ciepło odnosi się do Sama, a do niej z jawną wrogością? Ku jej zdumieniu zwrócił się do Sama, jakby to on zadał pytanie.

- To niełatwa sprawa, Sam. Jeśli nie będziesz ostrożny, możesz wszystko stracić.

- Czy to się często zdarza? - zapytała, nie pozwalając, by ją lekceważył.

Znowu odpowiedział Samowi.

- Ken Olson i Harlan Anderson założyli Digital Equipment Corporation w 1957 roku. Sprzedali wtedy siedemdziesiąt procent udziałów za sto tysięcy dolców. Według prognoz DEC przyniesie w przyszłym roku miliardowe zyski, nikt więc na tym nie ucierpiał, ale i tak schrzanili sprawę. Masz biznesplan?

- Pracuję nad tym.

Susannah zeszytywniała. To ona pracowała nad biznesplanem. Korzystając z informacji, których zebranie tak wiele ją kosztowało, Sam opisał Blaine'owi wszystko ze szczegółami. Zwracał się do niej tylko wtedy, gdy zapominał jakichś danych. Ledwie jednak podsunęła mu potrzebną informację, zachowywał się, jakby nie istniała.

- Susannah, chodźmy przypudrować nos. - Roberta zamknęła jej ramię w morderczym uścisku i wyciągnęła z łoży. Susannah nie miała wyboru, musiała z nią pójść, lecz w głębi duszy złościła się cały czas i nie słuchała paplaniny Roberty. Boże, przecież dziewczyna Yanka skończyła college. Dlaczego nie może sama iść do toalety?

Gdy weszły w obrotowe drzwi, Roberta stwierdziła:

- Pan Blaine naprawdę jest zainteresowany SysVal. To odpowiedni człowiek. Chłopcy długo go szukali.

- Nie tylko chłopcy - poprawiła ją ostro Susannah. - Ja także jestem częścią SysVal.

- Och, oczywiście, Susannah, ja też. Ale to co innego. Tkwimy w tym przez nich. To znaczy, ja przez Yanka, a ty przez Sama, prawda? – Roberta weszła do kabiny. - Chociaż powiem ci szczerze, że powoli tracę cierpliwość. Nie ubywa mi lat i chyba czas, żebyśmy się pobrali.

Roberta paplała bezustannie, a Susannah przyglądała się swojemu odbiciu. Czy to prawda? Czy naprawdę tkwi w SysVal tylko ze względu na Sama? Czy walczyłaby z wiatrakami, gdyby go nie kochała?

Odkręciła kran tak gwałtownie, że pochlapała sobie spodnie. SysVal jest także jej, do jasnej cholery! Połknęła bakcyła. Nie wiadomo kiedy uwierzyła, że ich marzenia mogą się spełnić. Sam powiedział, że są ostatnimi poszukiwaczami przygód XX wieku. Tak, tak będzie. I nie pozwoli, żeby o niej zapomnieli.

Zostawiła Robertę w kabynie - paplała bez przerwy - i wróciła do stolika, chcąc jasno postawić sprawę. Zastała tam jednak tylko Yanka. Rysował wykres na serwetce. Blaine i Sam grali na automatach. Obserwowała, jak Sam krzyczy tryumfalnie, a Blaine klepie go po plecach - sztywny milioner zamienił się nagle w beztroskiego nastolatka. Niemal czuła rodzącą się między nimi nic porozumienia. Wiele prawdy jest w twierdzeniu, że przeciwieństwa się przyciągają. Właśnie była tego świadkiem: Pan Elita spotkał Niebieskiego Ptaka.

Zamierzała porozmawiać z Samem w domu, dać mu jasno do zrozumienia, co sądzi na temat ignorowania jej obecności, lecz on i Blaine siedzieli razem do rana, snując wizję świata zmienionego przez mały komputer. Nawet nie zauważyli, gdy w końcu poszła spać.

Następnego dnia Blaine wynajął samochód i przeprowadził się o hotelu, jednak oprócz kilku godzin snu cały czas spędzał z Samem. Wciąż nie było dla niej miejsca wśród nich. Choć kłócili się często, a Blaine uparcie odmawiał zaangażowania się w SysVal, ich przyjaźń zacieśniała się z każdym dniem. Jeden miał to, czego brakowało drugiemu. Sama fascynowała wiedza i doświadczenie Blaine'a, jego zaś wizje i poezja Sama.

W końcu udało jej się dopaść Sama samego. Zbył jej uwagi wzruszeniem ramion.

- Blaine przywykł do pracy z mężczyznami i tyle. Wcale cię nie lekceważy. Robisz z igły widły.

Wcale tak nie uważała. Blaine naprawdę jej nie lubi, to coś więcej niż zwykła niechęć. Następnego dnia myła akurat głowę jednej z klientek Angeli, gdy usłyszała rozmowę zza ściany.

- SysVal I to zabawka dla hobbystów, Sam. Jeśli chcesz, żeby twoja firma odniosła sukces, musisz wypromować samowystarczalny komputer. Przeciętny człowiek nie będzie sobie zawracał głowy podłączaniem sprzętu do telewizora. Wszystko musi być w jednym kawałku, proste i małe. Wypuść maszynę na rynek, kiedy tylko zdobędziesz fundusze.

Rozmawiali o rynku komputerowym przez dłuższą chwilę, aż Sam zapytał, jak powinni nazwać swój produkt.

- Najlogiczniejsze wydaje się SysVal II - stwierdził Blaine.

- Tak, chyba tak. Chociaż wolałbym coś bardziej dramatycznego. Jej nigdy nie zapytał o nazwę nowego komputera. Rozgoryczenie Susannah rosło. Poszła do biblioteki, żeby choć trochę od nich odpocząć, ale przyłapała się na tym, że czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce na temat Mitchella Blaine'a. To, czego się dowiedziała, tylko pogorszyło jej humor. Nie dość, że był doskonałym inżynierem, był także genialnym strategiem, ba, uważano go za jednego z najpoważniejszych

analityków w całym kraju. Był spełnieniem ich marzeń i kimś więcej. Tylko że, zdaniem Blaine'a, o „nich” nie ma mowy - liczą się tylko Sam i Yank.

Zmiana otoczenia pozwoliła Blaine'owi zapomnieć o osobistych nieszczęściach.

- Słuchaj, Sam, bez urazy, ale mogę dostać pracę w każdej firmie w tym kraju. Bawię się doskonale, to prawda, ale postradałbym rozum, gdybym związał się dzieciakami z garażu. A ja nie zwariowałem.

Sam naciskał go jeszcze w drodze na lotnisko. Susannah siedziała w rogu i słuchała, jak Sam zadaje Blaine'owi to samo pytanie, co kiedyś jej.

- Wchodzisz w to czy nie? Blaine poklepał go po plecach.

- Nie, Sam. Od początku ci mówiłem, że nie. Czy ty wiesz, ile zarabiałem, zanim rzuciłem robotę? Prawie milion dolarów rocznie plus akcje, plus niezliczone bonusy. Nie przebijesz tego.

- Forsa to nie wszystko, do licha. Chodzi o wyzwanie. Nie rozumiesz? Zresztą będzie i forsa, to tylko kwestia czasu.

Blaine zbył go wzruszeniem ramion.

- Chyba wrócę na Środkowy Zachód. Może do Chicago? Ale będziemy w kontakcie.

Pomogłeś mi w najgorszym momencie i nigdy ci tego nie zapomnę. Będę ci udzielał rad jako przyjaciel.

- To za mało - upierał się Sam. - Chcę stuprocentowego zaangażowania. Jeśli odmówisz, będziesz tego żałował go końca życia. Mitchell Blaine okazał się twardszy niż Susannah. Zapomnij odparł.

## Rozdział czternasty

Blaine czytał szybko i miał niemal fotograficzną pamięć. Pochłaniał teksty tak jak inni hamburgery. Teraz jednak wpatrywał się w tę samą stronę „Business Week”, odkąd wylecieli z San Francisco, i nie miał zielonego pojęcia, co czyta. Cały czas myślał o Samie i Yanku i o tym, co robią w garażu. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio był tak podniecony. Oczywiście są skazani na klęskę, mimo to nie sposób ich nie podziwiać za to, że odważyli się zaryzykować.

Stewardesa obsługująca pasażerów pierwszej klasy przyglądała mu się uważnie. Pochyliła się nad kobietą na fotelu przed nim i wąska spódnica uniosła się na smukłych udach. Jako człowiek żonaty był zawsze wierny, ale to już przeszłość. Wyobraził sobie te uda pod sobą. Podeszła do niego i zapytała, czy coś podać. Zapach jej perfum zgasił pożądanie równie skutecznie jak zimny prysznic. Używała staromodnych, kwiatowych perfum. Przypominały mu mydło ciotek. Przez wiele lat sam tak pachniał - nie dlatego że używał ich mydła, tylko dlatego że w małym domku w Clearbrook w Ohio wszystko przesiąkło tym zapachem.

Zamknął oczy i przypominał sobie mydło kwiatowe, ciotki i dławiącą miękkość dzieciństwa.

- Mi-chull! Mi-chull!

Codziennie o czwartej trzydzieści jedna z ciotek wychodziła na werandę domku przy Cherry Street i wołała go na lekcję gry na pianinie. Nazywały się Theodora i Amity. Były krewnymi jego ojca. Tylko one zechciały zaopiekować się siedmioletnim chłopczykiem z astmą gdy jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym w niedzielę wielkanocną.

Nigdy nie wyszły za mąż. Choć utrzymywały, że był to świadomy wybór, a nie niechęć do mężczyzn jako takich, tylko trzech przedstawicieli rodzaju męskiego w całym Clearbrook cieszyli się ich sympatią: pastor, jego pomocnik i pan Leroy Jackson, złota rączka. Gdy po raz pierwszy zobaczyły

małego chłopca, który miał zamieszkać pod ich dachem, postanowiły, że będzie czwartym mężczyzną, którego obdarzą sympatią. To tylko kwestia wychowania.

- Mi-chull!

Miał jedenaście lat. Wraciał do domu, powłócząc nogami. Za jego plecami Charlie i Jerry przedrzeźniali ciotkę na tyle głośno, że ich słyszał, lecz do uszu Amity Blaine nie dotarło ani jedno słowo:

- Maminsynek, maminsynek! Biegnij do domu, niech ci zmieniają pieluchy! Zawsze tak robili. Wiedzieli, że nie uprawia żadnego sportu ze względu na astmę i że musi wracać do domu na lekcję gry na pianinie, ale zawsze mówili, że to przez pieluchy. Zacisnął pięści. Najchętniej by im dołożył, ale nie wolno mu się bić. Gdyby się bił, dostałby ataku, a ciotki bały się, ilekroć głośniej odetchnął. Czasami jednak podejrzewał, że jego astma to tylko wymówka, pretekst, żeby się nie brudził, bo ciotki najbardziej na świecie nie lubiły brudu. Nie lubiły także przezwisk, psów, potu, podrapanych kolan, sportu, telewizji, przekleństw i innych rzeczy, które wiązały się z dorastaniem w Clearbrook w Ohio w latach pięćdziesiątych.

Ciotki lubiły książki i muzykę, spotkania kościelne i szydełkowanie, kwiaty i dobre maniery. A jego kochały. Zawiasy furtki zaskrzypiały przeraźliwie. W tym domu wszystko skrzypiało, piszczało, trzeszczało.

- Mi-chull! Mi-chull!

Ciotka Amity czekała przy schodach. Chciał wyminąć ją bokiem, lecz była szybsza - zablokowała wejście drobnym, kościstym, ptasim ciałem i przyciągnęła go do siebie. Jerry i Charlie obserwowali z daleka, jak całuje go w czoło. Słyszał ich drwiący śmiech.

- Biegłeś, tak? - stwierdziła raczej, niż zapytała, poprawiając jego idealnie ułożone włosy, wyrównując zawsze równy śnieżnobiały kołnierzyk. - Biedny Mitchell. Już słyszę, jak ciężko oddychasz. Kiedy Theodora się dowie, że biegłeś, nie pozwoli ci jutro wyjść po szkole.

Zawsze robiły tak samo – jedna przyłapała go na psocie i obwiniła drugą za karę. Kary były nudne i łagodne: zakaz wyjścia po szkole, zdanie do napisania pięćdziesiąt razy. Myślały, że to dzięki ich metodom wychowawczym był najgrzeczniejszym chłopcem w Clearbrook. Nie pojmowały, że robił wszystko, co w jego mocy, by sprawić im przyjemność, bo je kochał.

Stracił już matkę i ojca. Gdzieś w głębi duszy obawiał się, że jeśli nie będzie bardzo, ale to bardzo grzeczny, straci także ciotki. Mył ręce bez zwracania uwagi i sam siadał do pianina. Z obrzydzeniem patrzył na klawiaturę. Nie miał talentu. Nie znosił piosenek, które grał, głupich melodyjek o jasnym słoneczku i grzecznych małych Indianach. Wolałby grać w piłkę z innymi chłopakami.

Nie wolno mu jednak, ma astmę. Napady duszności właściwie nie przeszkadzały – nie tak bardzo jak w dzieciństwie – nie mógł jednak wytłumaczyć tego ciotkom. Więc gdy inni chłopcy uganiali się za piłką, on ćwiczył gamy. Lecz nie gamy były najgorsze. Najgorsze były sobotnie ranki. Panny Amity i Theodora Blaine utrzymywały się z lekcji gry na pianinie i dobrych manier. Co sobota dziewczęta z najlepszych rodzin w Clearbrook zakładały niedzielne sukienki i białe rękawiczki i o jedenastej grzecznie pukały do drzwi panien Blaine.

Mitchell, w garniturze i krawacie, stał u boku ciotek i z nieszczęśliwą miną obserwował przychodzące dziewczęta. Każda po kolei dygała i mówiła:

- Dzień dobry panno Amity, panno Theodoro, dzień dobry, Mitchell. Dziękuję za zaproszenie.

Musiał kłaniać się uprzejmie nawet takim wiedźmom jak tłusta mała Cissy Potts, która siedziała za nim w szóstej klasie i wycierała sobie buty o jego siedzenie. Musiał mówić:

- Tak się cieszę, że panią widzę, panno Potts. A potem musiał wziąć ją za rękę. Dziewczęta siadały w saloniku i uczyły się, jak się przedstawiać, jak przyjmować zaproszenie do tańca i nalewać herbatę. Mitchell był ich królikiem doświadczalnym.

- Dziękuję, panno Baker, z przyjemnością napiję się herbaty - odpowiadał.

Zadzierająca nosa Penelope Baker podawała mu filiżankę wodnistej herbaty i pokazywała język, gdy ciotki nie patrzyły. Dziewczynki nie znosiły lekcji dobrych manier, nie znosiły więc i Mitchella. W sobotnie poranki ostrożnie stawiał sobie filiżanki z herbatą na kolanie i uciekał w świat, do którego kobiety nie miały dostępu. W świat, gdzie mężczyzna może pluć na ulicę, drapać się i mieć psa. Podawał ramię Mary Jane Simmons i prowadził ją na środek salonu do tańca, a w wyobraźni wskakiwał na konia i pędził po prerii. Wyobrażał sobie, że żegluje po morzu i wspina się na niebosiężne szczyty. Marzyły mu się strzelby wędki, miękkie flanelowe koszule i dzinsy, lecz wzrok i napomnienia ciotek delikatnie, choć stanowczo przywoływały go do porządku.

Tylko w szkole mógł być sobą. Nie zwracał uwagi na drwiny kolegów i robił użytek z bystrego umysłu. Odpowiadał na pytania, podejmował się dodatkowych zadań i zbierał najlepsze stopnie. Pupil. Lizus. Kujon.

Kiedy miał czternaście lat, gwałtownie urósł i przeszedł mutację. Niemal w ciągu doby przerósł chude, drobne ciotki. Na rozpoczęcie szkoły średniej wystroili go w białą koszulę i krawat. Rok szkolny jak zwykle oznaczał doskonale stopnie i bolesną samotność. Miał przed sobą jeszcze dwa lata szkoły średniej, gdy wracając do domu po zajęciach w szkółce niedzielnej, gdzie pomagał ciotkom, zobaczył wóz przeprowadzkowy i obcy samochód przy sąsiednim domu. Z samochodu wysiedli mężczyzna i kobieta, a potem pojawiła się para długich, opalonych nóg w postrzępionych dzinsowych szortach. Wstrzymał oddech, patrząc, jak z auta wysiada śliczna dziewczyna mniej więcej w jego wieku. Miała jasne włosy, zadarty nosek i pełne usta. Pod niebieską koszulą odznaczały się sterczące piersi.

Rozejrzała się po okolicy i dostrzegła go. Czekał, aż prychnie z pogardą i odwróci się, ona jednak uśmiechnęła się nieśmiało. Nie wierzył własnym oczom. Podeszedł bliżej zły, że nie może dyskretnie pozbyć się Biblii, którą trzymał pod pachą.

- Cześć - powiedziała.

- Jak się masz? – odparł i natychmiast ugryzł się język. Dlaczego jest taki sztywny?

Niestety, nie był równie swobodny jak inni chłopcy.

Opuściła wzrok na chodnik. Zauważył jasną kropkę dmuchawca w jej włosach i z trudem powstrzymał się, by go stamtąd nie wyjąć. Dłuższą chwilę patrzyła w chodnik i nagle zrozumiał, że jest nieśmiała. Poczul przyływ opiekuńczych uczuć.

- Jestem Mitchell Blaine - przedstawił się, robiąc w końcu użytek z manier, które po tylu latach sobotnich zajęć stały się niemal jego drugą naturą. - Mieszkam obok. Witaj w okolicy.

Podniosła na niego wzrok. Na górnej wardze została tylko odrobina różowej szminki, resztę zlizwała nerwowo.

- Mitch? – zapytała.

Nikt nigdy tak go nie nazywał, tylko rodzice, ale ledwie ich pamiętał. Nazywa się Mitchell. Mitchell... Mitchell - kujon.

- Tak - odparł. - Mitch.

- Candy Fuller.

Stali na chodniku i rozmawiali nieśmiało. Candy i jej rodzice pochodzili z Chillicothe. We wrześniu

będzie chodziła do szkoły Clearbrook High tak jak Mitchell. W starej szkole należała do cheerleaderek i ma nadzieję, że uda jej się to i tutaj. Kiedy się rozstawali, Mitchell miał wrażenie, że zaczął nowe życie.

Przez całe lato spotykali się na starej metalowej ławce za domem ciotek. Candy zawsze wcześniej zmywała, więc pachniała płynem do mycia naczyń. Siedzieli na małej ławeczce wśród winorośli i rozmawiali.

Candy opowiadała o przyjaciółach w Chillicothe i dzieliła się z nim obawami, że może się nie dostać do drużyny cheerleaderek. Mitch zwierzał się jej, że bardzo chciałby mieć samochód i nie wie, czy zdobędzie stypendium do college'u. Ukrywał przed nią całą swoją gorycz w obawie, że sympatia przerodzi się w pogardę.

Zachwyt w niebieskich oczach Candy Fuller rósł z każdym dniem. Mitch zupełnie stracił dla niej głowę. Żadna dziewczyna nigdy tak na niego nie patrzyła. Robiło mu się niedobrze, ilekroć sobie przypominał, że Candy jest z Chillicothe. Nic nie wie o maminsynku, pieluchach i kujonie, któremu nie wolno uprawiać sportu. Patrząc na niego, widzi jedynie szczupłego wysokiego piętnastolatka o jasnych włosach, niebieskich oczach i przystojnej twarzy.

Lato upłynęło im w cudownej izolacji, pachniało winogronami i płynem do mycia naczyń. Było jak niewypowiedziana, cudowna obietnica pierwszej miłości. Ostatniego wieczoru przed rozpoczęciem szkoły byli spokojniejsi niż zwykle, świadomi zmian, które przyniesie następny dzień. Candy podrapała się w opalone udo, aż zostawiła na nim białą kreskę.

- Wiesz, Mitch, już nie żałuję, że się tu przeprowadziliśmy. To był cudowny miesiąc. I ty. Ale boję się, co będzie jutro. Pewnie wszystkie dziewczyny za tobą szaleją. Wzruszył ramionami. Starał się zachować spokój, ale serce waliło mu jak oszalałe. Wbiła wzrok w czubki niegdyś białych tenisówek i mówiła dalej.

- Boję się, że kiedy zacznie się szkoła, już nie będziesz mnie lubił.

Nie wierzył własnym uszom. Ta śliczna delikatna dziewczyna o jasnych włosach i sterczących piersiach boi się, że go straci. Uczucie wezbrało w nim cudownie bolesną falą.

- Nadal będę cię lubił - mruknął. - Jutro i zawsze.

Podniosła twarz i nagle zdał sobie sprawę, że czeka, aż ją pocałuje. Zamknął oczy, pochylił się i dotknął jej ust swoimi. Mimo mrocznych marzeń o seksie, które dręczyły go od wielu tygodni, pocałunek był niewinny. Była to oznaka sympatii, symbol przyszłości, pożegnanie lata.

- Pójdziemy jutro razem do szkoły? - zapytała, gdy się od siebie odsunęli. Otworzyła szeroko oczy, jakby nadal nie była pewna, czy mu na niej zależy.

- Pewnie - odparł. Z nią poszedłby nawet na koniec świata. Wtedy pocałowali się znów. Tym razem inaczej. Byli spragnieni, młode ciała dotykały się z surową, nieznaną namiętnością. Poczul jej piersi na swoim ciele, pod palcami jej żebra. Pożądanie rozgrzewało mu krew. Był teraz mężczyzną. Pragnienie kazało mu zapomnieć o całym świecie. Myślał tylko o jednym, o ciele Candy

- Jeśli chcesz, możesz dotknąć moich piersi - szepnęła.

Nie wierzył własnym uszom. Przez kilka sekund nie zrobił nic, a potem wsunął dłoń między splecione ciała. Sprany materiał jej bluzki był miękki i przyjemny w dotyku. Nie powstrzymała go, więc posunął się jeszcze dalej i poczul dolną krawędź stanika. Spodziewał się, że każe mu przestać.

Nie zrobiła tego. Jego palce odnalazły stromiznę piersi. Nakrył ją dłonią. Jęknął cicho, obejmował ją, jakby była delikatną piłką do baseballa. Pocałowali się jeszcze raz. W tej chwili na werandzie Fullerów zapaliło się światło. Odskoczyli od siebie. Jej oczy zaszyły mgłą.

- Nie pozwoliłam na to żadnemu chłopcu - szepnęła. - Nie mów nikomu.

Pokręcił głową i przysiągł sobie, że na zawsze zachowa tę tajemnicę dla siebie. Następnego ranka spotkali się o wpół do ósmej. Widząc, że wstydzi się poprzedniego wieczoru, rozczulił się jej wrażliwością. Jest taka krucha, tak bardzo potrzebuje jego opieki. Postanowił, że zrobi wszystko, by uchronić ją przed potworami z Clearbrook High.

- Jak wyglądam? - zapytała, jakby jej życie zależało od jego odpowiedzi.

Spojrzał na białą bluzkę ze złotą broszką i zieloną spódniczkę.

- Będiesz najładniejszą dziewczyną w szkole - odarł szczerze. Szli do szkoły, trzymając się za ręce. Poranne słońce grzało go w twarz. Zwolnił kroku, żeby za nim nadążała. Z Candy Fuller u boku nie jest już Mitchellem Blaine. Od dziś jest Mitchem. Mitchem Nieustraszonym. Mitchem Potężnym. Mitchem - mężczyzną

- Jak myślisz, polubią mnie? - zapytała.

Poczuł pierwsze ukłucie niepokoju, mgliste przeczucie katastrofy. Jednak jako Mitch Waleczny odsunął je od siebie.

- Nie powinnaś się tak bardzo przejmować, co inni sobie pomyślą. Zorientował się, że zaskoczył ją tymi słowami, i przypomniał sobie, że jest cheerleaderką, a to oznacza walkę o popularność i uznanie. Zaniepokoił się na dobre.

- Więc mnie nie polubią? - Zmarszczyła czoło.

- Oczywiście, że tak.

Flaga amerykańska powiewała na porannym wietrze, gdy ramię w ramię weszli do szkoły. Zaczynali zajęcia w różnych klasach, ale obiecał, że zostanie z nią do dzwonka. Mitch do tego stopnia rozkoszował się świadomością, że kroczy głównym korytarzem Clearbrook High z Candy Fuller u boku, że na chwilę zapomniał o czujności. Stał akurat przy swojej szafce, gdy zaczęły się kpiny.

- O, przyszedł Mi-chull. - Rówieśnicy przedrzeźniali jękliwe wołanie ciotek. - Mi-chull, Mi-chull. - Było ich pięciu, opierali się o metalowe szafki. Pięciu wypucowanych buntowników *in spe*, silnych w grupie.

- Kogo przyprowadziłeś, Mi-chull? Hej, mała, chodź do nas, poznaj prawdziwych mężczyzn.

Candy wodziła wzrokiem od Mitcha do chłopców. Ich zachowanie zbiło ją z tropu. Żaden nie jest równie przystojny, równie wysoki jak Mitch. Dlaczego z niego drwią? Mitch silił się na lekceważący ton, mówił jak dorosły do nieznośnych maluchów:

- Chłopaki, dorośnijcie w końcu.

Ryknęli śmiechem, słysząc, że stara się ich uciszyć.

Candy nie wiedziała, co o tym myśleć. W jej oczach dostrzegł gniew. Myślała, że jest kimś wyjątkowym jednym z najpopularniejszych chłopców w Clearbrook High. Teraz zrozumiała, że to nieprawda. Wybrała wyrzutka.

Poczuł, jak słabnie ucisk jej palców, i wpadł w panikę. Chce się od niego odsunąć na bezpieczną odległość. W ciągu kilku sekund wszystko się zmieniło. Nie знаła faktów, nie wiedziała nic o jego przeszłości, a jednak rozumiała, że jest pariasem i że nie powinna się z nim pokazywać. Wiedział, że stracił Candy Fuller. Tej świadomości towarzyszyła inna wiedza - nie chce dłużej żyć. Skoro nie może być Mitchem Nieustraszonym z Candy Fuller u boku, nie będzie nikim. Wokół chłopców zebrały się dziewczęta. One również śmiały się beztrąsko i swobodnie.

Mitch był celem drwin od tak dawna, że atakowali go nie tyle ze złości, ile z przyzwyczajenia. W pewnym sensie darzyli go nawet sympatią.



Candy wyrwała swoją dłoń. Chciała od niego uciec, przejść ze strony niedotykalnych na stronę akceptowanych.

- Mi-chull, Mi-chull. - Charlie Shields zawodził falsetem. - Chodź, zmienimy ci pieluszki.

Wpadł w szal. Ze zdławionym okrzykiem wypuścił małą spoconą dłoń, wściekły, że traci dopiero co zdobytą męskość. W tej chwili wyczerpała się jego cierpliwość. Rzucił się na chłopców. Było ich pięciu, a on jeden, ale nie przejął się tym. Był to atak samobójczy, misja kamikaze – bez szans na przeżycie, za to z nadzieją na pośmiertną sławę i godność. Śmiali się, gdy się zbliżał. Zwijali się ubawieni pomysłem, że Mitchell Blaine miałby ich zaatakować. Gdy jednak zobaczyli jego oczy, spoważnieli. Zadawał wściekłe, bolesne ciosy. Dziewczęta zaczęły krzyczeć i już po chwili zebrał się tłum zwabiony bójką.

Charlie Shields jęknął z bólu, gdy pięść Mitcha złamała mu nos i trysnęła krew. Artie Tarpey stęknął, gdy pękło mu żebro. Mitch nie oszczędzał nikogo. Po raz pierwszy dał upust wściekłości, która wzbierała w nim od niemal dziesięciu lat. Walił na oślep, niemal nie czuł ciosów, które spadały na niego. Kiedy dwóm chłopcom udało się w końcu zamknąć go w szafce, wyważył metalowe drzwiczki i rzucił się na nich. Chłopcy bili się zawsze, odkąd sięgali pamięcią, i zawsze przestrzegali niepisanych zasad. Mitch jednak nigdy się z nimi nie bawił i nie znał reguł. Teraz chłopcy stanęli wobec ataku, przed którym nie umieli się bronić. Mitch powalił Herba McGilla na ziemię i przycisnął do chłodnej podłogi. Charlie, jęcząc z bólu i trzymając się za złamany nos, usiłował pomóc koledze, lecz Mitch strząsnął go z siebie.

Dopiero trzech nauczyciele położyli kres bijatyce, choć Mitch nie poddał się łatwo. Gdy prowadzili go do gabinetu dyrektora, unikał wzroku Candy Fuller.

Wezwano ciotki. Rozplakały się na jego widok: siedział niedbale rozparty, posiniaczony, zakrwawiony. Biała koszula była poplamiona krwią i podarta, podbite oko zapuchło. Spojrzał na dwie chude postacie i zobaczył strach.

Ciotka Theodora pierwsza wzięła się garść. Jak generał brygady zaatakowała dyrektora szkoły.

- Jordanie Featherstone, żądam natychmiastowych wyjaśnień. Jak mógł pan pozwolić, żeby coś takiego spotkało naszego Mitchella?

- Wasz Mitchell właśnie sprawił, że trzech jego kolegów trafiło na pogotowie - odparł ostro pan Featherstone. - Zawieszam go w prawach ucznia na dwa tygodnie.

Ciotki z przerażeniem słuchały szczegółowej opowieści o jatce, jaką urządził ich wychowanek. Patrzyły na Mitcha najpierw ze zdumieniem, potem z potępieniem. Amity zapłonęła słusznym gniewem.

- Natychmiast do domu, Mitchell - poleciała. - Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Bardzo nas rozczarowałeś! - wtrąciła Theodora. - Bardzo! Widać było, że obmyślają wyjątkowo surową karę. Długie kazanie, sto zdań zamiast pięćdziesięciu? Poczul, jak jego serce wzbiera miłością i żalem, że je zawiódł.

- Idźcie do domu - powiedział miękko. - Niedługo wrócę. Zdumione kazały mu iść z nimi. Gdy odmówił, Amity starała się związać podarte kawałki koszuli, a Theodora poinformowała Jordana Featherstone'a, że w szkole aż się roi od chuliganów. Pan Featherstone zaczął wygłaszać długie kazanie, ale Mitch miał co innego do roboty. Grzecznie przeprosił trójkę dorosłych.

- Przykro mi - tłumaczył się. - Nie chcę być niegrzeczny, ale muszę coś załatwić. Wyszedł ze szkoły i na piechotę dotarł do szpitala Clearbrook Memorial.

Dołączył do Artie Tarpeya, Herba McGilla i Charlie'ego Shieldsa, który przykładał lód do nosa.

Siedział z nimi przed gabinetem lekarskim, gdy czekali, aż przyjdzie ich kolej. Rozmawiali o sporcie, nauczycielach i o muzyce. Nikt nie wspominał bójk. Tej jesieni Mitch wyrwał się spod skrzydeł ciotek. Załatwił sobie pracę w punkcie naprawy telewizorów i zakochał się w męskim świecie elektroniki. Zanim powrócił do szkoły, cierpliwie wysłuchał rad i ostrzeżeń ciotek, potem pocałował je w pergaminowe policzki i zapisał się do drużyny futbolowej. Co prawda wybrano już skład reprezentacji, lecz upór i dyscyplina zdobyły mu uznanie trenerów i pod koniec sezonu znalazł się na boisku.

W ciągu następnych dwóch lat Mitch Blaine wyniósł futbol w Clearbrook High na wyżyny. Nie było tu dotąd takiego gracza. Byli od niego szybsi, on jednak imponował siłą, skupieniem i determinacją, tak że niemal niemożliwością było go powstrzymać. Coraz więcej college'ów proponowało mu stypendia.

Poza boiskiem nadal był najlepiej wychowanym chłopcem w Clearbrook w Ohio - spokojny, uprzejmy, schludny, zdolny. Dziewczeta, które kiedyś z niego kpiły, wysłały mu miłosne liściki i klóciły się, która poprosi go do białego tanga. Jedną z nich była Candy Fuller. Był wobec niej uprzejmy i lodowato obojętny. W małym domku nad jeziorem Hope Mitch Blaine i Penny Baker stracili dziewictwo. Było lepiej, niż to sobie wyobrażał, i postanowił oddawać się tej przyjemności tak często, jak to możliwe.

- Czy mógłby pan unieść oparcie, panie Blaine? Podchodzimy do lądowania.

Stewardesa, która pachniała jak jego ciotki, zatrzymała się obok. Nadal mu ich brakowało, choć umarły przed kilku laty - Amity trzy dni po Theodorze. Stewardesa pochyliła się lekko.

- Wybiera się pan do Bostonu w interesach czy wraca do domu?

- Wracam do domu - odparł, choć wcale tego nie czuł. Rozmawiała z nim jeszcze chwilę.

Nie zdołała ukryć rozczarowania, gdy nie poprosił o numer telefonu. Mitch już dawno przekonał się, jak działa na kobiety, ale nie zastanawiał się nad tym zbyt od czasu studiów na Uniwersytecie Ohio. Nadal nie rozumiał, że fascynowały je sprzeczności w jego charakterze. Pociągały je jego maniery i kontrastujący z nimi niemal prymitywny męski urok.

Teraz już się nie martwił o swoją męskość. Nie musiał. Kiedy jednak skończył szkołę średnią, nie był w tak komfortowej sytuacji. Pamiętał, jak zegnał się z ciotkami, wyjeżdżając na studia, i jak na drugim roku spotkał wreszcie człowieka, który zastąpił mu ojca. Wayne Woodrow Hayes, legendarny trener drużyny Buckeye.

Mitch z uśmiechem przymknął oczy. Samolot kołował nad lotniskiem Logan, a on wspominał sobotnie popołudnia na stadionie w kształcie podkowy nad rzeką Olentangy, gdy prowadził swoją drużynę od zwycięstwa do zwycięstwa. W uszach nadal rozbrzmiewały mu dźwięki *Carmen Ohio*. Przede wszystkim jednak pamiętał Woody'ego.

Wszyscy uważali graczy z drużyny Buckeye za głupców. Większość z nich nie grzeszyła inteligencją. Woody wprawdzie o tym wiedział, ale wolałby, żeby nikt więcej nie był tego świadom. Kiedy po raz pierwszy zobaczył układnego, schludnego chłopca z Clearbrook w Ohio, oczy zasły mu mgłą wzruszenia. Nie dość, że Mitch grał w piłkę nie tylko ciałem, ale i głową, tak jak Woody to sobie wymyślił, ale też miał średnią 3,7 z elektroniki.

Nie z wychowania fizycznego. Nie z umiejętności interpersonalnych i sztuki komunikacji. Ale z elektroniki. Woody lubił bystre umysły. Pasjonował się historią wojskowości i chętnie w swoich przemowach nawiązywał do ulubionych strategów: Napoleona, Pattona i generała Douglasa MacArthura.

Mitch Blaine wiedział, o kim mowa. Każdy gracz w szaro-czerwonej koszulce Buckeye bał się i szanował Woody'ego Hayesa, choć nie znaczy to, że z niego nie żartowano. Mitch był świadom komizmu trenera, ale i tak uwielbiał go słuchać. Wood wierzył w Boga, Amerykę i Uniwersytet Ohio w takiej właśnie kolejności. Wierzył w ciężką pracę i surowy kodeks moralny. Z czasem właśnie Woody Hayes nauczył Mitcha, co znaczy być mężczyzną.

Mitch zaprzyjaźnił się ze starym trenerem. Nawet gdy skończył studia na Uniwersytecie Ohio i kontynuował naukę w prestiżowym MIT, dzwonił do niego od czasu do czasu. Pewnego letniego wieczoru 1969 roku zadzwonił z najważniejszą wiadomością swego życia.

- Żenię się.

Na drugim końcu linii zapadło milczenie.

- Z tą rudą, którą mi przedstawiłeś, kiedy ostatnio byłeś w Columbus?

- Tak, z Louise.

- Pamiętam. - Woody szukał odpowiednich słów. - Mówiłeś, zdaje się, że pochodzi z bogatej rodziny?

- Jej przodkowie przybyli do Stanów z pierwszymi osadnikami. Kolejna chwila ciszy. W końcu Woody oznajmił:

- To zła krew, synu. Przemyśl to jeszcze. A Mitch, jak idiota, nie posłuchał.

W domu panował zaduch. Odstawił walizkę i przyłapał się na tym, że żałuje, że jest, jak jest. Wolałby iść na górę i zastać tam pięcioletniego Dawida i trzyletnią Lizę. O tej porze spaliby już w swoich łóżeczkach. Niestety, ich pokoje zieją pustką - nie ma śladu po mebelkach i zabawkach, o które zawsze się potykał, ilekroć szedł pocałować dzieci na dobranoc.

Gospodyni uprzątnęła ślady jego libacji. Idąc na górę, wzdrygnął się z niesmakiem. Przypomniawsobnie, jak się nad sobą użalał. Tuż po odejściu Louise i dzieci był w stanie funkcjonować normalnie. Tamtej nocy jednak dom wydał mu się tak pusty, że zapragnął towarzystwa whisky. Nie był to najlepszy pomysł jak na kogoś, kto nigdy nie pił dużo. Z czasem powziął pijacki plan: rzuci pracę, kupi jacht i będzie żeglował po Karaibach. Udało mu się zrealizować pierwszą część, niestety druga i trzecia wymagały zbyt wiele wysiłku.

Wtedy właśnie porwał go Sam Gamble i małe cuda, które widział w garażu w Dolinie Krzemowej, pomogły mu wrócić do życia. Zanim wszedł pod prysznic, przypomniał sobie, że Sam Gamble nie porwał go sam. Ze złością zacisnął usta na myśl o Susannah Faulconer. Ze wszystkich kobiet Sam musiał wybrać akurat tę najgorszą. Mitch wie, co mówi, w końcu ożenił się z identyczną. Susannah jest nawet fizycznie podobna do Louise. Obie są wysokie i szczupłe. Obie mają akcent prywatnej szkoły i noszą się z dyskretną elegancją dzięki starym pieniądzom. I obie najwyraźniej gustują w mężczyznach niższego stanu.

Zastanawiał się nawet, czy nie ostrzec Sama przed Susannah, doszedł jednak do wniosku, że Sam nie posłucha go, podobnie jak on zlekceważył przestrogi Woody'ego. Sam musi przekonać się na własnej skórze, ile warte są kobiety pokroju Susannah Faulconer. Fascynują je mężczyźni z innej klasy społecznej, lecz ta fascynacja nie przetrwa trudów codziennego życia.

- Mam dosyć bycia twoją żoną, Mitch - powiedziała Louise, gdy wieczorem wrócił z pracy. Nigdy nie zapomni widoku swojej opanowanej żony bawiącej się kluczykami od samochodu. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego - kontynuowała. - Ty lubisz pracę, a ja przyjęcia. Chciałabym się bawić także poza sypialnią. Mitch nie przyznawał się nawet przed sobą, że już jej nie kocha. Ich małżeństwo zbudowane było nie na wspólnocie zainteresowań, tylko na młodzieńczej fascynacji innością.

Niestety, za późno na zmiany. Mają dzieci, Louise jest dobrą matką i zostaną razem. - Jeśli jesteś nieszczęśliwa, postaramy się to zmienić - poprosił. - Louise, jesteśmy rodziną. Przysięgaliśmy. Możemy iść do specjalisty, jeśli sami sobie nie poradzimy z naszymi problemami.

- Ale po co? - spytała. Oznajmiła, że już odwiozła dzieci do swojej matki i sama zaraz do nich dołączy. Wzięła torebkę i wyszła bez słowa.

Tego właśnie nie mógł jej wybaczyć. Po prostu odeszła, porzuciła siedem lat małżeństwa, nawet nie starając się ratować ich związku.

Mitch zna się na znuzonych damach w rodzaju Susannah Faulconer. Wie, do czego są zdolne. Dlaczego współczuł Samowi Gamble'owi. Jednocześnie jednak nie mógł przestać myśleć o tym, co widział w garażu w Dolinie Krzemowej.

## Rozdział piętnasty

Susannah właśnie składała kolejny komplet, gdy Mitchell Blaine ponownie wkroczył w jej życie. Uplłynął niemal miesiąc, odkąd wrócił do Bostonu. Mimo że często rozmawiał z Samem przez telefon, nic nie wskazywało na to, że zmienił zdanie i dołączy do SysVal. Teraz, gdy uprzejmie skinął jej głową na powitanie, ogarnęła ją dziwna mieszanka nadziei i niechęci. Sam, rzecz jasna, bardzo się ucieszył na jego widok, ale starał się tego nie okazywać. Z niesmakiem spojrzął na granatowy garnitur i brązowy krawat Mitcha.

- Ktoś umarł czy co? Wyglądasz jak pieprzony grabarz.

- Niestety, nie wszyscy mamy równie dobry gust jak ty. - Mitch z obrzydzeniem popatrzył na postrzępione sprane dzinsy Sama i koszulkę rozciągniętą do granic możliwości. Sam uśmiechnął się pod nosem.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Rano miałem rozmowę w sprawie pracy. Postanowiłem zabrać ciebie i Yanka na obiad. W Palo Alto jest niezła francuska restauracja, ale jeśli chcecie, możemy iść gdzie indziej. Susannah zacisnęła pięści. Spojrzała na Sama ostro, czekając, aż zareaguje na fakt, że Mitch nie uwzględnił jej w swoich planach. Sam po raz kolejny zmierzył Mitcha drwiącym wzrokiem.

- Proponuję Mom & Pop's.

Czekała, aż powie coś jeszcze, wspomni o niej, ale milczał. Mitch przystał na ten lokal. Pochłonęła ich przyjacielska rozmowa. Sam pokazywał mu, jakie usprawnienia Yank ostatnio wprowadził w prototypie. Zaraz po wyjściu Mitcha Susannah przyparła Sama do muru, jednak zbył ją wzruszeniem ramion.

- Daj mu trochę czasu - poprosił. - Kiedy cię lepiej pozna, zmieni zdanie. Przesadzasz. - Przyciągnął ją do siebie, chcąc rozproszyć jej gniew pocałunkami, ale okazała się niespodziewanie uparta. Mitch nie lubi jej z niewiadomego pokoju i nic nie wskazuje na to, by w najbliższej przyszłości miało się to zmienić. Wstała ze stołka i poszła do domu, żeby uporządkować myśli. Sam został w garażu.

Wieczorem zamknęła się w łazience. Powtarzała sobie, że nie pozwoli, by o niej zapomnieli, lecz śmiałość w dalszym ciągu była jej problemem. Bardzo się denerwowała: nie mogła zapiąć guzika przy spódnicy, zaciągnęła luźny beżowy sweter, który kupiła w ulubionym sklepie Angeli. Zebrała włosy nisko na karku i przewiązała wstążką. Angela wpadła do łazienki i wzburzyła niesforne kosmyki wokół jej twarzy.

- Nie daj się, Suzie - poradziła, jak zwykle doskonale zorientowana w sytuacji. - Nie ustępuj ani na

krok. - Założyła jej czerwono-różowe klipsy. - Przyniosą ci szczęście, mówię ci. W zeszłym roku wygrałam dzięki nim pięćdziesiąt dolarów w Vegas.

Susannah uśmiechnęła się i serdecznie ją uściskała. Angela Gamble była jej bliższa niż rodzona matka. Yank i Sam siedzieli w kuchni. Sam zdziwił się na jej widok, jakby nie spodziewał się, że wybierze się z nimi. Różowo-czerwone klipsy boleśnie uciskały uszy.

- Nie wiem, czemu robisz z tego taką aferę - zaczął. - To tylko spotkanie.

Nie odpowiedziała. Wyszła na dwór i wsiadła do samochodu. Mitch już czekał w restauracji. Zmienił garnitur na brązowe spodnie i beżową koszulę. Na jego ręce połyskiwał rolex. Wstał, gdy podeszła do stolika, nie ukrywał jednak niezadowolenia. Sam i Yank usiedli po obu jego stronach, ona naprzeciwko. Siedziała wyprostowana jak struna albo jak laska babki Bennett.

- To spotkanie w interesach, Sam - powiedział Mitch, wskazując ją głową.

- Właśnie dlatego tu jestem - odparła, zanim Sam otworzył usta. Szafa grała ostatni przebój.

- Roberta nie przyjdzie - oznajmił nagle Yank.

Susannah zerknęła na niego uważnie. Yank nie przepadał za towarzyską rozmową, więc wyraźnie o coś mu chodzi. Niestety, nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć: czy to że jej również nie powinno tu być, czy że dostrzega różnicę między nią a Robertą i porównanie wypada na jej korzyść. Zaczął powoli rysować palcem na wilgotnej ścianie kufła z piwem - kolejny diagram. Boże, czy rysuje układy nawet we śnie? Na razie łatwiej jej było śledzić ruchy palców Yanka, niż starać się złagodzić napięcie. Kółko. Czyżby tranzystor? Dwie kropki. Uśmiech. Yank narysował uśmiechniętą buzię.

- Więc jak? Pracujesz dla IBM? - Sam nie ukrywał sarkazmu.

- Proponowali mi. - Mitch obserwował, jak kelnerka podchodzi z ich zamówieniem. - Szczerze mówiąc, miałem wiele interesujących propozycji. I nie tylko z Doliny Krzemowej. Nawet z Detroit. Ba, nawet pewna firma produkująca napoje... - Gdy jedli, opowiadał o innych propozycjach pracy, w tym o propozycji Cala Theroux z FBT. Sam powoli tracił cierpliwość. W pewnym momencie odepchnął talerz z pizzą i rozparł się wygodnie.

- Wygląda na bezpieczną, przewidywalną posadkę. Mitch spojrzał na niego przeciągle.

- To cud, że SysVal jeszcze istnieje. Nie macie pojęcia, jak się sprzedaje nowy produkt. Nie macie żadnej struktury organizacyjnej, nie macie grupy docelowej. Jesteście firmą tak ekscentryczną, że na myśl o was chce mi się śmiać. - Ciągnął jeszcze długo w tym duchu, aż usta Sama zacisnęły się w wąską kreskę, a Susannah miała wrażenie, że ktoś wali jej głową o ścianę. Yank zdążył narysować jeszcze trzy uśmiechnięte buzie. W końcu cierpliwość Sama się wyczerpała. Cisnął serwetkę na stół.

- Skoro jesteśmy tacy kiepscy, czemu tu siedzisz, ty dupku? Mitch rozluźnił się po raz pierwszy. Uśmiechnął się szeroko.

- Bo złapałem bakcyła. I to na dobre. Odkąd wróciłem do Bostonu, cały czas myślałem tylko o SysVal. Powtarzałem sobie, że muszę odpocząć. Chciałem zapomnieć. Nic z tego. Sam wyprostował się powoli, jeszcze poważny, jeszcze zbyt niepewny, by mieć nadzieję.

- Chcesz przez to powiedzieć, że...

- Wchodzę w to - Mitch skinął głową. - Na dobre i na złe wchodzę w ten interes. Yank się uśmiechnął. Sam wydał przeraźliwy okrzyk radości, aż kelnerka upuściła talerz z pizzą.

- Super! Jezu, super!

- Najpierw porozmawiamy o interesach. - Mitch uspokoił go ruchem dłoni. - Mam swoje warunki. Sam nie posiadał się z radości.

- Mów.

- Po pierwsze, chcę równego udziału z tobą i Yankiem. Każdy z nas dostaje jedną trzecią SysVal. W zamian gwarantuję kredyt bankowy w wysokości stu tysięcy dolarów.

To wystarczy na początek. - Otworzył skórzaną teczkę, wyjął złote pióro. - Yank, musisz odejść z Atari. SysVal I to tylko zabawka. Nasza przyszłość to prototyp, nad którym pracujesz. Musisz poświęcić się temu całkowicie.

- Podoba mi się w Atari - stwierdził Yank. - Za kilka miesięcy wyjdzie moja nowa gra.

- Czyś ty zwariował? - oburzył się Sam. - Przecież to o wiele ważniejsze niż jakaś zakichana gra!

- No, nie wiem, Sam - Yank był śmiertelnie poważny. - To dobra gra. Sam popatrzył w sufit i zwrócił się do Mitcha.

- Zajmę się nim, obiecuję.

Mitch omawiał dalsze szczegóły, strategię zdobywania kapitału, plan marketingowy, lecz Susannah nie słyszała ani słowa. Miała wrażenie, jakby wszystkie jej mięśnie napięły się do granic wytrzymałości. Jednocześnie nogi się pod nią uginały, a serce waliło zdecydowanie za szybko. Oni tymczasem rozprawiali bez końca. Nie zwracali na nią uwagi, aż poczuła się jak dziwka, z której usług już skorzystano i której nikt więcej nie potrzebuje. Zebrała się na odwagę i zapytała, choć krew szumiała w uszach:

- A co ze mną?

Sam zareagował błyskawicznie.

- Porozmawiamy o tym później.

Żadnych scen, Susannah. Bądź grzeczna. Uprzejma. Głosy przeszłości szeptały jej do ucha rady. Ale Sam Gamble nauczył ją odwagi i szaleństwa, więc nie słuchała cichych szeptów.

- O nie. Porozmawiamy o tym teraz, zwłaszcza że dotyczy to wszystkich tu obecnych. Mitch skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Sama gniewnie.

- Jeszcze jedno, Sam. Niech twoja kobieta trzyma się od firmy z daleka.

Susannah czuła, że policzki płoną jej żywym ogniem. Sam pochylił się i wyciągnął z kieszeni Yanka kluczyki do samochodu.

- Suzie, poczekaj w domu. Porozmawiamy, kiedy wrócę.

- Nie! - Zerwała się na równe nogi. Patrzyła na nich gniewnie. Na szyi pod napiętą skórą pulsowała mała żyłka. Kręciło jej się w głowie ze złości, nie zwracała uwagi na ludzi przy sąsiednich stolikach ani na to, że robi scenę publicznie.

- To mnie nie satysfakcjonuje, panie Blaine. W najmniejszym stopniu. Lekceważąco machnął ręką.

Panno Faulconer....

- Teraz ja mówię. Sam zapomniał podzielić się z panem pewnymi istotnymi informacjami. Skoro ma pan zamiar z nim pracować, powinien pan wiedzieć, że jest mistrzem w malowaniu wizji przyszłości, ale nie ma pojęcia o drobiazgach. Powinien był pana uprzedzić, że to ja wszystkiego dopilnowałam. To ja zdobyłam pieniądze na pierwszych czterdzieści kompletów. Płaciłam rachunki. Zadbaliśmy, żeby traktowano nas poważnie podczas targów w Atlantic City. Panie Blaine, gdyby nie ja, SysVal już by nie istniało, takie są fakty.

Popatrzyła na Sama i Yanka, jednak żaden nie odwzajemnił jej spojrzenia. Sam był wściekły. Yank przyglądał się kufłowi piwa. Obaj milczeli.

- Ani wizja, ani geniusz nie wystarczą, żeby prowadzić firmę. Potrzebny jest ktoś, kto pracuje, dogląda szczegółów. Tą osobą byłam ja.

I jeśli myślicie, jeśli wam się wydaje, że teraz mnie wykiwacie, to się grubo mylicie.

Sam wpatrywał się w stół. Po raz pierwszy, odkąd go znała, unikał jej wzroku. Tylko Mitch patrzył jej w oczy. Nie będzie łatwo, to widać. Pod wykrochmaloną sztywną koszulą kryje się uliczny wojownik.

- Czy pani aby nie przesadza, panno Faulconer? Na przyszłość radzę oddzielać sprawy domowe od zawodowych. - Powiedział to grzecznie, ale tonem nieskończonej wyższości. Nikt jej nie pomoże. Może liczyć tylko na siebie. Jeśli teraz nie stawi mu czoła, rozerwie ją na strzępy.

- To nie ma nic wspólnego ze mną i Samem. Ignorował mnie pan od samego początku, ale z tym koniec. Mówiłam już, że Sam jest kiepski, jeśli chodzi o szczegóły, więc nie dziwi mnie, że zapomniał panu powiedzieć o jednym bardzo istotnym drobiazgu.

- Mianowicie?

- SysVal ma trzech równoprawnych właścicieli. A ja jestem jednym z nich.

Sam gwałtownie podniósł głowę. Widząc jego konsternację, zrozumiała, że naprawdę zapomniał, jak tuż przed wyjazdem do Atlantic City podsunęła jemu i Yankowi pod nos kawałek papieru.

- Podpisaliśmy umowę wszyscy troje, panie Blaine, a fakt, że jedno z nas o tym zapominała, niczego nie zmienia. - Nie powiedziała, że nie było przy tym świadków i że umowa prawdopodobnie nie ma mocy prawnej. Dama z towarzystwa po raz kolejny blefowała. Rozumiem. W jej głosie pojawiły się pierwsze, na razie nieznacznie drżące tony.

- Nie jestem tylko dziewczyną Sama, panie Blaine, choć kurczowo trzyma się pan tego przekonania. Czy to się panu podoba, czy nie, jestem prezesem SysVal.

- Ten tytuł nic nie znaczy! - krzyknął Sam. - Chcieliśmy tylko, żeby na wizytówce było nazwisko Faulconer. To był twój pomysł.

- Owszem, i bez mojego nazwiska na wizytówkach nie byłoby nas tu dzisiaj.

Sam złapał ją za rękę i gwałtownie szarpnął, tak że usiadła. W jego oczach błyszczał chłodny gniew.

- Zepsujesz wszystko, nie rozumiesz? Spieprzysz wszystko. Co za różnica, jak podzielimy zyski? Kiedy się pobierzemy, to będzie bez znaczenia! Zabolało tak bardzo, że na chwilę zamknęła oczy. Miała wrażenie, że wbito jej w serce ostry nóż. Najchętniej zwinęłaby się kłębek. Ilekroć chciała porozmawiać o tym, co ich łączy, o ewentualnej przyszłości - zmieniał temat.

Teraz traktował małżeństwo jak marchewkę, jak kartę przetargową. Było jej jednocześnie gorąco i zimno. Po raz pierwszy zastanowiła się, czy SysVal naprawdę jest tego warte. Yank odezwał się zupełnie nie na temat.

- Jeśli odejdę z Atari, stracę ubezpieczenie zdrowotne.

Potrzebowała tej chwili, by wziąć się w garść. Później. Później pomyśli o tym, jak paskudnie Sam ją potraktował. Teraz musi oddzielić sprawy prywatne od zawodowych, jak to mężczyźni robili od wieków. Jak dziecko w piaskownicy zakopie wszystkie uczucia i wykopie je później.

Sam nie ścisnął jej już tak mocno. Odsunęła się od niego i splotła dłonie na stole. Nie chciała, żeby widzieli, jak drżą. Starła się nie myśleć o Samie, tylko o Mitchellu Blainie.

- Pan cieszy się dobrą opinią i ma pan doświadczenie, którego my nie mamy. My za to posiadamy coś, czego pan nie ma. Panie Blaine, prześledziłam pana karierę. Czasami był pan zbyt odważny jak na gust pracodawców, prawda? To chyba bardzo frustrujące, patrzeć, jak najlepsze pomysły lądują w koszu tylko dlatego, że przełożeni są zbyt zachowawczy. - Wydało się jej, że w jego oczach dostrzegła błysk zdumienia. Ciągnęła dalej. - W SysVal czeka na pana agresywny, twórczy klimat, którego pan szuka. U nas nie będzie się pan nudził. Jesteśmy niedoświadczeni, ale to może okazać się

zaletą. Nie zależy nam na ustalonym porządku. Mamy szansę zbudować nowoczesną firmę, która troszczy się i o produkt, i o pracowników. Wszyscy troje bardzo chcemy, żeby został pan naszym wspólnikiem, panie Blaine. Mimo to jednak jako prezes SysVal muszę panu przedstawić nasze warunki.

Sam mruknął coś niezrozumiale, ale nie dopuściła go do głosu:

- Kredyt w wysokości stu tysięcy dolarów to szczodra oferta, ale niewystarczająca, jeśli chce pan równego udziału w zyskach. Prowadzę księgowość, panie Blaine, więc wiem, że jeśli chcemy sami wyprodukować ten komputer, będziemy potrzebowali dwa razy tyle. Oczekuję także, że dorzuci pan dwadzieścia pięć tysięcy z własnej kieszeni. To byłby akt dobrej woli i pomogłoby nam to spłacić obecne należności. - Spojrzała na Yanka. - Czy to ci odpowiada?

Skinął głową.

- Sam? – Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Zacisnął zęby tak mocno, że pobieleły mu wargi.

- Co ty wyrabiasz, do cholery? Przecież to Mitch ma wszystkie karty. Nie możemy się targować.

- Nieprawda. To jest nasza firma. Nawet jeśli bardzo chcemy, żeby do nas dołączył, ostatnie słowo należy do nas. Mam rację, panie Blaine?

- Do pewnego stopnia, panno Faulconer. Tylko do pewnego stopnia. - Mówił cicho, ale stanowczo. - Beze mnie wasza firma nie przetrwa długo.

- Sam znajdzie kogoś innego - odparła równie spokojnie.

Przy stoliku zapadła cisza. Dopiero teraz Mitch trochę się zdenerwował. Susannah nie dała mu dojść do siebie.

- Radzę uważać i właściwie ocenić Sama. Owszem, jest bezczelny, arogancki i nie ma głowy do szczegółów. Ale ma dar. Niewielu ludzi go posiada, jeszcze mniej umie go wykorzystać, a Sam jest w tym mistrzem. Potrafi przekonać rozsądnych ludzi, żeby podejmowali szalone decyzje.

- Takich jak pani, panno Faulconer?

- I jak pan, panie Blaine.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę. Potem wstał, rzucił na stół zwitek banknotów i wyszedł bez słowa. Powietrze było chłodne. Mitch przyspieszył kroku, idąc przez parking. Podeszwy jego butów stukały gniewnie po asfalcie. Szczycił się tym, że podejmuje decyzje, kierując się rozsądkiem, że uczucia nigdy nie mają wpływu na jego wybory. Dzisiaj jednak wszystko schrzanił.

Nie jest jak Louise. Nie wyobrażał sobie, by kobieta, która przed chwilą stawiała mu czoło, zostawiła siedem lat małżeństwa bez walki. Mimo pozornego spokoju umie walczyć, nie jest taka, jak sobie wyobrażał.

Ale może się myli. Może nadal nie otrząsnął się po rozwodzie i nie umie oceniać kobiet. Znalazł kluczyki w kieszeni. Co by było, gdyby postawiła na swoim? Czy znudziłaby się szybko i zaczęła szukać nowej rozrywki?

Panie Blaine. Niechętnie odwrócił głowę.

Choć szła szybko, nie wyglądała, jakby się spieszyła. Zauważył to na samym początku: opanowane ruchy, milczenie, chłód. Przypominała mu jeszcze kogoś. Louise owszem. Chociaż nie, teraz, gdy widział Susannah w akcji, musiał przyznać, że wcale nie przypomina Louise. Więc kogo? Zatrzymała się tuż obok. Nie patrzył na nią, pochylił się z kluczykami w dłoni.

- Jeszcze pani ze mną nie skończyła, panno Faulconer?

Chciała coś powiedzieć, ale umilkła, już nie tak pewna siebie jak przed chwilą. Ucieszyło go to. Nie lubił przegrywać z kobietą, na dodatek nową w branży.



- Jeszcze tylko jedno - powiedziała w końcu. - Dlaczego tak bardzo mnie pan nie lubi? Przez mojego ojca, tak?

Jest taka szczerza, taka uprzejma. Znowu wydało mu się, że dobrze ją zna.

- Nie lubię pani ojca, ale go szanuję. Nie ma z tym nic wspólnego. Zauważył, że jego słowa wytrąciły ją z równowagi, i bardzo go to ucieszyło.

- Więc dlaczego? Co takiego zrobiłam? Tu nie chodzi o dzisiejszy wieczór. Nie lubił mnie pan od początku, prawda?

Uparła się, żeby to z niego wyciągnąć, a on postanowił, że nie da jej dalszych dowodów słabości. Z całą pewnością nie powie jej o Louise.

- Czy możemy dać temu spokój?

Zagryzła usta. Domyślał się, że jeszcze z nim nie skończyła. Ku swemu zdumieniu usłyszał, jak mówi:

- Nieważne, co o pani myślałem. Dzisiaj wieczorem diametralnie zmieniłem zdanie.

Uśmiechnęła się nieśmiało, ale tak uroczo, że poczuł, że kąciki jego ust także się unoszą.

- Czy to komplement? – zapytała.

- Owszem, panno Faulconer.

I wtedy zrozumiał, skąd ją zna. Doskonałe maniery, żelazny upór, opanowanie i uprzejmość. Nie przypomina mu Louise, tylko jego samego. W pierwszej chwili zmartwił się, zaraz jednak rozpromienił. Podjął decyzję świadom, że jego życie obrało nowy, niebezpieczny kurs.

- Przyjmuję pani warunki, panno Faulconer. Tylko proszę nie cieszyć się za bardzo, bo cały czas będę pani patrzył na ręce.

- Oczywiście, panie Blaine. I wzajemnie.

Parsknął śmiechem. W pewnym sensie jest równie bezczelna jak Sam Gamble, tyle że postępuje o wiele delikatniej. Zatrzasnął drzwiczki, ale otworzył okno i poprosił:

- Proszę powiedzieć naszym wspólnikom, że chyba wymyśliłem nazwę dla nowego komputera. - Tak?

- Nazwiemy go na pani cześć. Otworzyła szeroko oczy.

- Na moją cześć?

- Tak. - Wychylił się przez okno. - Ostra Sztuka.

Roześmiała się. Był to cudowny dźwięk, przypominał staroświecki srebrny dzwoneczek.

- Ostra Sztuka? Ja?

Wrzucił wsteczny bieg. Pani, panno Faulconer.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy wyjeżdżał z parkingu. Coś takiego, nazwał ją ostrą sztuką. To śmieszne. Ale przyjemne. Usłyszała za kroki sobą i spochmurniała. Sam położył jej rękę na ramieniu. Był nie tyle wściekły, ile zmęczony.

- Coś ty najlepszego zrobiła? Akurat po tobie nie spodziewałem się, że będziesz się awanturowała o władzę. Najchętniej odpowiedziałaby ostro, żeby zabolalo go tak jak ją, ale po konfrontacji z Mitchem nie miała już na nic siły. Poszła za Yankiem do dusteru. Sam nie dawał jej spokoju.

- Nie uda nam się, jeśli będziesz wykręcała takie numery. Tak nie można. To się, kurczę, nie uda!

Yank obmacywał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków. Wieczorny wiatr rozwiewał długie włosy Sama. Bolało ją serce. Dlaczego jest taki szalony? Taki gwałtowny?

- Skopałaś to, Suzie. Wszystko zepsułaś. Wszystko, do czego dążyliśmy. Wszystko, co chcieliśmy osiągnąć. Tak jakbyś celowo podstawiła nam nogę.

Yank klepał się po koszuli. Nagle stwierdził spokojnie:

- Niczego nie skopała, prawda, Susannah?

- Nie - odparła - nie skopałam.

- Nie skopała, Sam.

Sam wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

- Jak to? Coś ci powiedział? Co to ma znaczyć?

Nie zastawiała się, skąd Yank wiedział. Powiedziała tylko:

- Mitch przyjął moje warunki. Będzie czwartym wspólnikiem SysVal. Twarz Sama rozpromieniła się nagle.

- Powiedział ci? Przyjął? To super! To po prostu super! - Przyciągnął ją do siebie. Niestety, dla niej nie była to chwila radości.

Puścił ją, wymachiwał rękami.

- Będzie wspaniale. - Odrzucił głowę do tyłu i snuł wizję, malował słowami, opisywał rewolucję, którą zapoczątkują. Był niższy od Yanka i Mitcha, lecz gdy przecinał powietrze zamaszystymi gestami i rozjaśniał noc szalonymi marzeniami, wydawał się od nich znacznie wyższy.

Czuła, jak przyciąga ją jego energia, potężna siła woli, która znosi ją na jego prywatną tęczę. Chciała podążyć za nim, lecz tym razem jakaś jej część stawiała opór. Umilkł, gdy to wyczuł. Po chwili zaproponował:

- Yank, poczekaj przy samochodzie. Suzie i ja przejdziemy się. Yank wbił wzrok w ziemię. Sam wyciągnął kluczyki z kieszeni i rzucił je w jego stronę.

- Zaraz wracamy.

Złapał ją za ramię i pociągnął w kierunku pasażu handlowego.

- Nadal boisz się ze mną walczyć, tak? Jesteś wściekła, ale wolisz się dąsać, zamiast kłócić.

Powoli wracała jej odwaga. Czy to za sprawą jego dotyku? Czyżby posiadał magiczną moc i dzielił się z nią swoją energią?

- Nie boję się kłótni - odparła. - Ale w tej chwili nie jestem pewna, czy jesteś tego wart.

Nie wierzyła, że powiedziała coś takiego. Sam zwolnił kroku. Wiedziała, że go zraniła. To dziwne uczucie, świadomość, że ma nad nim władzę. Weszła na chodnik. Minęła czekoladowego loda rozlanego w smutną brązową kałużę. Przeszli obok Mom & Pop's. Zatrzymała się przed witryną pralni i tępym wzrokiem wpatrywała w ślubną suknię. Znowu zebrała się na odwagę żeby powiedzieć to, co musiała.

- Nigdy więcej nie próbuj mnie wykiwać, Sam - oznajmiła.

- Uważasz, że chciałem to zrobić?

- Tak. Pomiñałeś mnie, a potem wspomniałeś o małżeństwie, żebym się zamknęła.

- Przesadzasz. Pomyślałem, że i tak niedługo się pobierzemy. Nie jesteś kobietą, której wystarczy życie na kocią łapę. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Suzie, przepraszam. Nie chciałem. Po prostu nie wiedziałem, że tak ci zależy na tych drobiazgach.

- To nie są drobiazgi.

- No tak, ale jesteśmy parą, prawda? Wszystko, co mamy, jest wspólne.

Był taki szczerzy, taki przekonujący. Tym razem jednak nie ulegnie.

- Więc dlaczego ty się nie wycofałeś? - zapytała spokojnie. - Dlaczego nie powiedziałeś: ja się odsunę, niech Susannah będzie wspólnikiem. Wszystko, co mamy, jest wspólne? Puścił ją.

- To śmieszne! I bez sensu. To był mój pomysł. SysVal znaczy dla mnie wszystko.

- Straciłam ojca, Sam. Dla mnie również SysVal znaczy wszystko.

Rozchmurzył się, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów. Uśmiechnął się smutno. Poczula, jak lód w jej sercu topnieje. Dotknął jej czoła ustami. Zamknęła oczy. Trwali tak przez dłuższą chwilę.

- Przepraszam - szepnął.

Była bliska łez, ale powstrzymała się od płaczu.

- Chcę być dla ciebie równie ważna jak firma.

- Ty i firma jesteście dla mnie jednością.

Chwilę stali, dotykając się czołami, ale potem zetknęły się ich usta. Jeszcze się nie całowali.

- Kocham cię, Suzie - szepnął. Wydawał się bardzo młody i przerażony. - Czasami mi odbija, ale obiecuj, że ze mną zostaniesz. Proszę cię, skarbie. Tak bardzo cię potrzebuję. Boże, jak ja cię kocham. Obiecuj, że zawsze będziesz przy mnie. Ścisnął ją za ręce z całej siły. W tej chwili rozumiała, jak bardzo go kocha. Wzruszenie dławilo ją, nie była w stanie wypowiedzieć słów, na które czekał. Zamiast tego rozchyliła usta i pocałowała go namiętnie.

## Rozdział szesnasty

Pochlap go trochę farbą, Susannah - zaproponował Sam trzy tygodnie później i włączył piłę. - Wstyd mi, że przebywam z nim w tym samym pomieszczeniu. Mitch spojrział na swoją starannie wyprasowaną koszulę i granatowe dżinsy z ostrym kantem.

- Co ci się nie podoba? Kurczę, przecież stawiamy ścianę, a nie urządzamy pokaz mody.

Sam prychnął pogardliwie, Susannah uśmiechnęła się pod nosem. Odnawiali nowo wynajęte biuro. To była pierwsza wspólna praca. Sam i Mitch przekomarzali się bez przerwy, ale robota posuwała się naprzód.

Przez dwa tygodnie szukała odpowiedniego pomieszczenia na biuro SysVal. Niełatwo było o lokal odpowiadający ich potrzebom i jednocześnie na tyle tani, by mogli sobie na niego pozwolić. Dzięki Mitchowi bez trudu dostali pożyczkę z banku. Chwilowo skończyły się problemy z gotówką, ba, wypłacali sobie nawet skromne pensje. Wiedzieli jednak, że muszą oszczędzać, na czym się da.

W połowie października znalazła odpowiednie lokum na tyłach jednego z niskich prostokątnych budynków, typowego dla przemysłowej części Doliny Krzemowej. Nie był to duży lokal, większy jednak niż garaż. Wystarczy kilka drobnych zmian i biuro SysVal będzie gotowe. Poprzedniego dnia postanowili przedzielić je przepierzeniem.

- Pewnie nawet bieliznę zamawiasz u krawca - rzucił Sam, czekając, aż Yank przepiłuje deskę.

- Nie, mój krawiec nie zajmuje się bielizną - mruknął Mitch. - Ale wiesz co? Słyszałem, że na Dalekim Wschodzie chętnie kupują ludzkie włosy. Sprzedaj swoje, Sam. Będzie nas wtedy stać nie tylko na wynajem, ale i na kupno tej budy. Susannah jęknęła głośno.

- Yank, powiedz im, żeby się zamknęli, dobrze? Głowa mnie rozboleła.

- Rano cię nie boleła. - Sam łypnął na nią lubieżnie i zamachnął się deską tak energicznie, że lekko stuknął ją w pośladki.

Nie, nie zarumieni się. Skoro ma przez cały dzień pracować z facetami, musi udawać, że jest taka jak oni.

- Rzeczywiście - odparła słodko. - Za to wieczorem na pewno będzie mnie boleła.

Mitch uśmiechnął się pod nosem. Wiedziała, że nadal śledzi każdy jej ruch, lecz przynajmniej łączyła ich nić sympatii. Przytrzymała gwóźdź, który wbijał w ścianę.

- Jezu, ale z ciebie szczęściarz. W Bostonie nikt nie dałby ci takiej roboty.

Popatrzył na nią z góry, z drabiny, i z zadowoleniem skinął głową.

- Świetnie, prawda? Ostatnio równie dobrze bawiłem się na studiach.

Skrzywiła się złośliwie, ignorując ból ramion.

- O ile pamiętam, miałeś być jedynym rozsądnym wśród wariatów. Tymczasem jesteś równie szurnięty jak my wszyscy.

Po przeciwnej stronie pokoju Yank doprowadzał Sama do szału, mierząc każdą deskę z dokładnością do milimetra. Sam miał tego dosyć.

- Kurczę, przecież to nie chirurgia! Nie musi być tak dokładnie! Przepiłuj ją na pół i już!

Yank jednak nie rozumiał, co to kompromis, i po południu Sam odmówił dalszej współpracy.

Zastąpiła go Susannah. Cały czas obserwowała Sama. Zastanawiała się, kiedy to przejdzie, kiedy zniknie potrzeba dotykania go. Znała go dobrze: jest arogancki i skupiony na sobie, ale jest także najbardziej pociągającym mężczyzną jakiego kiedykolwiek poznała. Machał jej przed nosem czerwonymi płachtami nowych wyzwania, zabierał w inny świat, ilekroć się kochali. Przy Samie była silna i śmiała. Bez niego... Nie wyobrażała sobie życia bez Sama. Bez niego wróciłyby pewnie do starej skorupy i wegetowała tak do śmierci.

Wiedziała, że tamtego wieczoru, gdy Mitch dołączył do firmy, zmienił się także ich związek. Oboje czuli, jak mało brakowało, a straciliby coś cennego. Jak na ironię to Sam coraz częściej mówił o ślubie. I jak to Sam czarował ją wizją przyszłości: ich małżeństwo będzie wieczną unią duchową i cielesną. Czy nie rozumie, ile siły da im taka jedność? Ile horyzontów się przed nimi otworzy? Jak zwykle uległa czarowi jego słów. Posunęli się nawet do tego, że zrobili niezbędne badania i wypełnili potrzebne dokumenty. Wtedy jednak Susannah znalazła odpowiednie lokum na biuro i wszystko inne zeszło na dalszy plan.

Ochrzcili ściankę szczęścioma puszkami piwa. Następnego dnia wprowadzili się uroczyście. O dziesiątej wieczorem brudni i zmęczeni, wybrali się do Mom & Pop's. Mitch od dawna mówił, że powinni jakoś podzielić się obowiązkami i nadać firmie konkretną strukturę. Yank natychmiast stanowczo oznajmił, że nie interesuje go żadne stanowiska poza stanowiskiem inżyniera, lecz nawet Sam zdawał sobie sprawę, że pozostałe obowiązki należy jasno sprecyzować i rozdzielić. Gdy kelnerka przyjęła zamówienie, Mitch wyjął z kieszeni kartkę papieru. Susannah domyślała się, że to propozycja podziału administracyjnego firmy. Głupotą byłoby ludzić się, że zachowa stanowisko prezesa. Mitch ma większe doświadczenie. Byłoby lepiej, gdyby to on stanął na czele. Co prawda pogodziła się już z detronizacją, jeśli jednak Mitch myśli, że zadowolony się wyłącznie tytułem, jest w błędzie. Jeśli czeka ją kolejna walka, będzie walczyła.

Mitch rozłożył arkusik, rozprostował go palcami. Tak jak się spodziewała, była to propozycja podziału funkcji. Pierwsze, co zobaczyła, to imię Yanka i tytuł: główny inżynier.

Sam parsknął śmiechem, widząc swoje nazwisko.

- Przewodniczący rady nadzorczej. To mi się podoba.

A potem zdumiona Susannah zobaczyła, że dla niej Mitch przewidział stanowisko prezesa, dla siebie zaś wiceprezesa do spraw sprzedaży i marketingu. Jej zdziwienie nie uszło jego uwagi.

- Prezes to brzmi dumnie, Susannah, ale jeszcze długo będzie to ciężka, żmudna praca. Mam nadzieję, że dasz sobie radę.

- Ale przecież twoje kwalifikacje...

- Najlepiej znam się na promowaniu produktów technicznych. Dlatego zresztą mnie zatrudniliście.

Nie chcę zwracać sobie głowy codziennymi sprawami. Powiedziałaś, że umiesz dopilnować szczegółów. Teraz masz okazję to udowodnić. Zaszło jej w ustach. Choć osiągnęła to, czego pragnęła, była przerażona. Już nie pracują w garażu. Co ona wie o prowadzeniu prawdziwej firmy? Mitch zarządził głosowanie. Zanim podano pizzę, została wybrana pierwszym prezesem w historii SysVal.

W ciepłe słoneczne popołudnie pod koniec października Susannah pakowała w garażu Gamble'ów ostatnie drobiazgi. Mitch miał rację, stwierdziła, upychając w kartonowym pudle narzędzia. Tytuł prezesa brzmiał imponująco, praca natomiast okazała się nudna i męcząca. Wszyscy się rozeszli, musiała sama dokończyć przeprowadzkę. Yank pracował nad prototypem, Mitch poleciał do Bostonu zobaczyć się z dziećmi. Sam miał jej pomóc, ale znikł gdzieś przed kilkoma godzinami.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzielnie borykała się z drobnymi problemami i nieoczekiwanymi trudnościami. Firma funkcjonowała nadal. Yank co prawda wciąż narzekał, że we trójkę namówili go do odejścia z Atari, ale teraz praca nad prototypem posuwała się znacznie szybciej.

Zatrudnili także młodego zdolnego inżyniera, który pracował nad źródłem zasilania. Godzinami debatowali, jak nazwać komputer. Odkryli, że do wszystkich przemawiają słowa kojarzące się z ogniem i ciepłem. Po wielu dyskusjach stanęło na nazwie Blaze, płomień.

Czasami, gdy obserwowała Yanka przy pracy, przypominała sobie wieczór na placu zabaw. Sam powiedział wtedy: „Wiesz, co ci da zabawka Yanka? Odwagę”. W pewnym sensie jego przepowiednia się spełniła.

Zajrzał przez otwarte drzwi garażu, jakby przywołała go myślami. Teraz włosy miał jeszcze dłuższe, niż kiedy się poznali. Nocami, gdy leżeli nago, lubiła się nimi bawić, przykrywać nimi piersi.

- Najwyższy czas - burknęła.

Uśmiechnął się jak dzieciak, któremu uszła na sucho psota.

- Przepraszam, miałem coś do załatwienia. O, na pewno. Przejazdkę na motorze.

Wyjął jej pudełko z dłoni, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Gadasz jak marudna żona. Właściwie to nie taki zły pomysł. Idź się umyć. Pobieramy się za pół godziny.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Słucham?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wszystko już załatwione. Mama pojechała po Yanka. Spotkamy się na placu zabaw. Pomyślałem, że fajnie będzie się pobrać właśnie tam. Ślubu udzieli nam brat mojego kumpla. O pierwszej ma następną uroczystość, więc musimy się pospieszyć. Patrzyła na niego bez słowa.

Cofnął się o krok, przechylił głowę i spojrzał na nią wyzywająco. Gdzieś w oddali syrena policyjna zawodziła jęklonie. Widziała, jak czeka na jej sprzeciw, na długą listę rozsądnych powodów, dla których nie powinni postępować impulsywnie. Przypomniała sobie setki rozmów telefonicznych, niezliczone przymiarki i spotkania, które poprzedzały jej ślub z Calem – niekończące się, nudne, męczące przygotowania.

Choć znała go zaledwie od pół roku, nie wyobrażała sobie przyszłości bez Sama. Do końca życia będzie pragnęła jego dotyku, jego włosów między palcami.

- Dobrze - zgodziła się bez tchu. - Wyjdę za ciebie. Wydał okrzyk radości i porwał ją na ręce.

- Boże, jak ja cię kocham.

Zaciągnął ją do domu, gdzie błyskawicznie poprawiła fryzurę i makijaż. Ubłagała go, żeby pozwolił

jej się przebrać: zmieniła koszulkę na fioletową cieniutką bluzkę. Nie zdążyła jednak włożyć spodni - wyciągnął ją na dwór w dzinsach. " Zjawili się na placu zabaw w chwili, gdy Yank i Angela wysiadali z czerwonej toyoty. Yank był w fatalnym stanie, wyglądał, jakby nie miał pojęcia, co się dookoła dzieje. Angela trajkotała nieustannie i co chwila ocierała oczy chusteczką. Ku zdumieniu Susannah, Sam wyjął z torby przy siodełku pudełko z nazwą kwiaciarni. W środku znalazła ślubny bukiet z żółtych róż.

Pastor imieniem Howard miał na sobie koszulkę z logo zespołu Grate-ful Dead i ochoczo poinformował Sama, iż uważa, że ten pomysł za odjazdowy. Miejscowe dzieciaki przestały się bawić. Obserwowały, co będzie dalej. Susannah miała wrażenie, że cofnęła się czasie do lat sześćdziesiątych.

Stanęli pod baldachimem ze starych opon. Po prawej stronie Sama stał nieprzytomny Yank, u boku Susannah pochlipywała Angela z różańcem w garści.

- Słuchajcie - rozpoczął ceremonię Howard - nie znam was, więc nieważne, co powiem.

Najlepiej, jeśli popatrzyacie sobie w oczy i złożycie takie obietnice, których umiecie dotrzymać. Sam, ty zaczynasz. Sam spojrzał na nią i wziął ją za rękę.

- Susannah, przysięgam dać ci wszystko, co będę mógł. Będę szczery. Będę zawsze mówił prawdę. I nie będę się bał wejść w przyszłość z tobą u boku. To była dziwna przysięga, ale tak bardzo w stylu Sama, że wydała się właściwa i jak najbardziej na miejscu.

Teraz jej kolej. Patrząc mu w oczy, szukała słów, by nazwać nienazwane.

- Sam, przysięgam dać ci wszystko, co najlepsze, cokolwiek to jest. - Umilkła na chwilę. Pomyślała o tradycyjnych ślubach miłości i wierności. Zastanawiała się, jak powiedzieć to inaczej, tak, by oddawało radość i namiętność, którą ją obdarza, lecz milczała zbyt długo i Howard przeszedł do następnego etapu uroczystości.

- Super, naprawdę super. - Uniósł ich dłonie do góry i ścisnął mocno. - Według prawa jesteście teraz mężem i żoną, choć tylko wy wiecie, co to naprawdę znaczy. - Dłuższą chwilę mówił o odwiecznych siłach dobra i harmonii. Swoje przemówienie zakończył stwierdzeniem: - Bądźcie na luzie.

Dzieciaki na placu zabaw zachichotały, gdy Sam ją pocałował. Angela wyściskała oboje. Yank podał Samowi rękę, Howard klepał wszystkich po plecach, nawet dzieciaki. Sam jak wariat podbiegł do opon na łańcuchu, wspiął się po nich jak dziecko, zeskoczył na ziemię i roześmiał się na całe gardło. We dwoje jak szaleni puścili się biegiem do motocykla.

Angela nie znalazła w kuchni Yanka ani jednego ziarenka ryżu, wzięła więc ze sobą opakowanie makaronu. I tak dziwaczna mieszanina gości weselnych obsypała młodą parę żółtymi kluskami. Pojechali na wzgórze. Włosy Sama smagały jej policzki. Przywarła do niego z całej siły, chcąc w ten sposób osłonić się przed wiatrem. Cywilizacja została za nimi, wspinali się coraz wyżej. Skreślił w wąską zarośniętą dróżkę. Kiedy zniknęła, zwolnił. Zatrzymał się dopiero na skraju urwiska.

Po ryku silnika cisza dzwoniła w uszach. U ich stóp leżała dolina Santa Clara - warsztaty, garaże i szosy. Wyglądała jak otwarte wnętrze komputera.

- Składam świat u twoich stóp, Suzie - oznajmił ochryple. - We dwoje zdobędziemy wszystko. Osobno jesteśmy niczym, ale razem podbijemy tę dolinę. Ty i ja. Król i królowa. W jego głosie była jakaś nowa nuta, intensywność, która ją niepokoiła. Złagodziła napięcie mówiąc żartobliwie: - Królowa powinna mieć koronę, a ja nie mam nawet bejsbolówki.

Uśmiechnął się, w ciemnych włosach pojawiły się srebrne błyski - to słońce. Upajała się widokiem szalonego, wolnego kochanka, od dziś męża.

- Niedługo kupię ci harleya - oznajmił. - Co ty na to? - Wyciągnął jej bluzkę zza paska džinsów, przywarł ustami do skroni. - Pojedziesz na nim nago przez El Camino Real jak lady Godiva.

Gdy szukał zapięcia stanika, odruchowo przykryła piersi dłońmi. Co prawda wokół nie było żywej duszy, lecz nie przywykła do nagości na dworze. Roześmiała się nerwowo.

- To chyba niezbyt wygodne. Nie zmarznę?

Popatrzył na nią płomiennym wzrokiem spod w półprzymkniętych powiek.

- Skarbie, będzie ci tak gorąco, że zatęsknisz za chłodem. Stanik upadł na ziemię. Musnął jej piersi koniuszkiem palca. Poczula szaloną ochotę, by unieść ręce nad głowę i oddać mu się tutaj, teraz. Zsunął jej džinsy razem z majteczkami, ściągnął razem z butami. Powietrze było rześkie, ziemia chłodna pod bosymi stopami, ale niemal tego nie zauważyła. Przez moment zatrzymał dłoń na swoim rozporku, a potem go rozpiął. Dżinsy rozchyliły się, odsłaniając nagi brzuch i ciemne włosy. Otworzyła usta, gdy uświadomiła sobie, że nie ma na sobie bielizny.

- Robiłaś to już na motorze, Suzie?

- Tysiące razy - odparła bez tchu.

- Chwalipięta. - Ruchem głowy wskazał siodełko z czarnej skóry. - Wsiadaj.

Zaschło jej w ustach. Znowu rzuca jej wyzwanie, sprawdza, każde przekraczać granice. Ciągłe patrząc mu w oczy, usiadła. Oparła się plecami o kierownicę. Czarna skóra była zimna i śliska przy zetknięciu z pośladkami i wnętrzem ud. Uśmiechnął się krzywo. Przerzucił nogę przez siodełko, chwycił ją pod kolanami.

Rozsunął je, aż poczuła pod łydkami szorstki materiał jego džinsów, a pod udami silne mięśnie jego nóg. Patrzył na nią z góry. W tej chwili oddawała mu się całkowicie. Leżała przed nim naga, rozwarta, a on górował, ubrany i silny.

- Będiesz wspaniałą królową. - Pieścił jej piersi, aż jęczała z rozkoszy. Odrzuciła głowę do tyłu, spojrzała w niebo. Jej włosy opadły na reflektor. Obserwowała małe pierzaste chmurki. Sam całował jej nabrzmiące piersi.

Potem zsunął rękę w dół jej ciało, muskając ją, jak chmury muskały niebo. Zatrzymał się na rudych lokach.

- Chłodna i dumna na zewnątrz. - Poruszył palcami. - Rozpalona w środku.

Jęknęła, podkurczyła palce u nóg, gdy ją pieścił. Miała wrażenie, że opuszcza ciało, że wzbija się do nieba. Kalifornijskie słońce wyjrzało zza chmur, dotknęło jej skóry. Zacisnęła dłonie na jego plecach. Wygięła się w łuk, unosząc piersi, jakby składała się w ofierze prymitywnemu bóstwu.

Poczula, że Sam rozpina džinsy do końca. Odsunął się na chwilę, zaraz jednak w nią wszedł. Zacisnęła dłonie mocniej, wygięła się bardziej, a mimo to ciągle nie miała go dosyć. Uniosła się, tak że teraz siedziała mu na kolanach. Jej włosy opadały mu na ramiona – rudy jedwab na czarnej skórze. Teraz ona przejęła inicjatywę. Przyjmowała go coraz głębiej, narzuciła swój rytm. Kosmyk jego włosów łaskotał ją w twarz. Wzięła go w usta. Otoczyła jego szyję ramionami i przywarła do niego z całej siły. Jęknął.

- Wspaniale... Jest wspaniale. Miała łzy w oczach.

- Tak. Tak.

- Jeszcze... Chcę jeszcze.

- Kocham cię - wyszeptwała. - Kocham.

- Jeszcze... tak... jeszcze...

Jej orgazm był szybki i intensywny.

- Kocham cię tak bardzo - szlochając wtulona w niego. Zaciśnął palce na jej pośladkach i pchnął mocniej. Gdy czuła, że zaraz skończy, przytuliła go do siebie i czekała na słowa miłości. Krzyknął cicho, ochryple.

- Jeszcze - zażądał. - Chcę jeszcze.

## Rozdział siedemnasty

Biuro SysVal było skromnie umeblowane. W trzech kątach pokoju stały trzy sfatygowane biurka, w czwartym królował przenośny warsztat. Na ścianach wisiały plakaty z koncertów rockowych i reklama Harley-Davidsona. Wchodząc do biura, Mitch nie mógł się opanować, by nie porównać tej dekoracji z płótnami Helen Frankenthaler, które zdobiły jego poprzedni gabinet.

Było dopiero kilka minut po siódmej, a Susannah już siedziała za biurkiem. Podkuliła nogi, zatknęła ołówek za ucho. Na jego widok uśmiechnęła się ciepło.

- Kto rano wstaje i tak dalej - powiedziała - ale czy nie powinieneś się najpierw przespać?

- Spałem w samolocie.

- Jak było w Bostonie?

Nie wypytywała o szczegóły, i dobrze. Nadal było mu przykro, że musiał rozstać się z dziećmi. Ciemne włosy Lizy pachniały szamponem, gdy całował ją na pożegnanie. David złapał go za szyję i błagał, żeby nie odchodził. Mitch zamrugał szybko i pochylił się nad ekspresem do kawy.

Susannah odezwała się po chwili wahania.

- Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale domyślam się, że niełatwo ci z dala od dzieci.

Gdybyś chciał kiedyś pogadać...

- Dziękuję - odezwał się stanowczo, dając do zrozumienia, że jego życie prywatne to wyłącznie jego sprawa. Sam się tym zajmie, nie potrzebuje współczucia. Podszedł do biurka, postawił wielki kubek na środku. Zerknął na kalendarz.

- Jak minął weekend?

- Nic specjalnego. Dopilnowałam wysyłek, przejrzałam pocztę, umyłam włosy, wyszłam za męża.

Odwrócił się gwałtownie, rozlewając kawę.

- Wyszłaś za męża?

Roześmiała się. Dopiero teraz zauważył, że bije od niej wewnętrzny blask. Jej skóra lśniła, rysy zdawały się łagodniejsze, jak na nieostрым zdjęciu.

- Od dawna o tym myśleliśmy. Znasz Sama. Dał mi pół godziny.

Opowiadała o ceremonii na palcu zabaw, aż zaciśnął dłonie na kubku. Był wściekły. Chyba zwariował, żeby dla czegoś takiego zostawić dzieci na drugim końcu kontynentu. Kiedy przerwała na chwilę, odstawił kubek i popatrzył na nią uważnie.

- Nie mieści mi się w głowie, że to zrobiliście.

Wewnętrzny blask przygasł. Czuł się okropnie, ale zdławił wyrzuty sumienia. Powinien był to przewidzieć, lecz zbyt pochłonięty go rozważania o przyszłości, by rozmyślać o związku Sama i Susannah. Zresztą nie widział Sama w roli ojca rodziny. Obserwował, jak dumnie podnosi głowę.

- Wiedziałaś przecież, co nas łączy.

- Nie przyszło wam do głowy, że najpierw powinniśmy o tym porozmawiać?

- Nie potrzebujemy twojego błogosławieństwa, Mitch.

- Może i nie, za to potrzebujecie prawnika, i to szybko. Nie pomyśleliście o tym, co wasze



małżeństwo oznacza dla firmy?

Jest bystra, musiał to przyznać. Niedługo trwało, zanim do niej dotarło, że razem z Samem przejęła kontrolę nad połową SysVal.

Ja... przykro mi. Nie pomyślałam. Załatwimy to jeszcze w tym tygodniu. Wiesz przecież, że żadne z nas nie zamierzało grać nie fair.

Chyba nie kłamie, pomyślał. I to właśnie jest niewiarygodne. Od początku wiedział, że wiąże się z amatorami, może więc mieć pretensję tylko do siebie. Posmutniała tak bardzo, że złagodniał.

- A gdzie szczęśliwy małżonek? Na zapleczu? Ostrożnie przyjęła gałązkę oliwną.

- Nie, jeszcze śpi.

- Widziałem motocykl na parkingu. Myślałem... - Urwał, widząc jej zadowoloną minę. - Sama tu przyjechałaś na harleyu?

Uśmiechnęła się.

- To fantastyczne uczucie, Mitch. Zdążyłam przed porannym ruchem, więc tylko trochę się bałam.

Usiłował wyobrazić sobie byłą żonę na harleyu i poniósł sromotną klęskę. No tak, już dawno przecież doszedł do wniosku, że Louise i Susannah różnią się jak ogień i woda. Przestała się śmiać. Miała tak poważną minę, że nie mógł się dłużej gniewać.

- Życz nam szczęścia, Mitch.

Nie chciał słuchać zwierzeń. Upił łyk kawy i spojrzał na jej dłoń.

- Bez obrączki? Uśmiechnęła się.

- Przeszarzały symbol zniewolenia.

- To brzmi jak Sam, nie jak ty.

- Racja. Ale to ja zdecydowałam zachować panieńskie nazwisko.

- Nie wszystkie stare tradycje są złe.

- Wiem. Ale to ostatnia nić łącząca mnie z ojcem. - Zawahała się. - Jeszcze nie jestem gotowa, żeby ją zerwać.

Sam zdążył mu opowiedzieć, jak Joel Faulconer ją potraktował. Mitch nie wyobrażał sobie, by mógł zrobić coś takiego własnej córce.

- A co na to Sam?

- Męczył mnie przez dobrą godzinę, ale chyba chodziło mu raczej o trening niż o zwycięstwo. Chciał się upewnić, że po ślubie nie stałam się potulną kobietką. - Sam lubi awantury.

Susannah spoważniała nagle.

- Nie boję się kłótni, Mitch. To, że wzięliśmy ślub, nie znaczy, że będę mu we wszystkim potakiwała. Jeśli chodzi o SysVal, mam własne zdanie.

Zobaczymy, pomyślał, zobaczymy.

Jeszcze w tym samym tygodniu podjęli odpowiednie kroki zabezpieczające firmę na wypadek klęski małżeństwa Sama i Susannah. W razie rozwodu udziały nie mogą zmienić właścicieli, bo to zachwiałoby równowagę. Nawet jeśli Sam lub Susannah nie byli zachwyceni, podpisując dokumenty, które teoretycznie dotyczyły rozpadu dopiero co zawartego związku, nie dali tego po sobie poznać.

Jesień ustąpiła miejsca zimie. Mitch wypatrywał oznak, że małżeństwo wpływa na zawodowe decyzje Susannah i Sama. Z czasem jednak nawet on musiał przyznać, że Susannah częściej popiera jego niż własnego męża.

Właściciele SysVal zadomowili się już na dobre w nowym biurze, a firma Apple nadal działała w garażu państwa Jobs w Cupertino. Jej twórcy pracowali tak jak SysVal – nad małym komputerem,

który nazwali Apple II. Pewnego wieczoru, na początku grudnia, podczas kolacji w Mom & Pop's Mitch odkrył, że Yank omawiał szczegóły techniczne Blaze ze Steve'em Wozniakiem. Nie mógł uwierzyć własnym uszom, gdy wyszło to na jaw podczas zwykłej pogawędki.

- Czyś ty zwariował? – zawołał gniewnie do Yanka, który pochylał się nad konsolą do gry. - Twoje projekty to najważniejszy, jedyny skarb tej firmy Nie wolno ci rozmawiać z konkurencją! Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy!

Yank nie rozumiał, w czym problem.

- Szanuję Woza, a on mnie - wyjaśnił spokojnie. - Zawsze sobie pomagamy.

Sam i Susannah grali przy stanowisku obok. Czując ciekawskie spojrzenia, przesunęła się lekko, żeby zasłonić ich przed wzrokiem gapiów. Sam tymczasem starał się uspokoić Mitcha.

- Słuchaj, tu jest inny świat - zaczął Sam. - Yank to haker. On nie rozumie sensu słów „informacja poufna”. Mitch się naburmuszył.

- To wy mnie posłuchajcie. SysVal to nie gra, nie zabawa. Od tej chwili poufne jest wszystko, co dotyczy SysVal, nawet liczba śrubek w obudowie, jasne? Nie ma dyskusji! Na zewnątrz trzymamy gęby na kłódkę, rozumiemy się?

Yank popatrzył na Mitcha, potem na Sama i powiedział głośno: Do dupy.

Pierwszy raz Susannah usłyszała w jego ustach wulgarne słowo. Nie powiedział nic więcej, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Mitch był wściekły jak nigdy. Sam, impulsywny jak zwykle, chciał załatwić sprawę w restauracji, ale uciszyła obu i zawiozła ich do mieszkania.

Mieszkanie Susannah i Sama było małe i brzydkie, z widokiem na śmietnik, jej jednak to nie przeszkadzało. Była zachwycona, że mają własny kąt. Nie mieli ani czasu, ani pieniędzy, by je urządzić. I dobrze, bo Susannah wreszcie przyznała sama przed sobą, że nigdy tego nie lubiła. Mając do wyboru pracę w firmie albo kupno zasłon do salonu, wybrała SysVal.

Sam podał Mitchowi piwo, sobie nalał coli. Nerwowo przechadzał się po pokoju. Mitch, nadal rozjuszony lekkomyślnością Yanka, siedział na kanapie z ponurą miną. Susannah zajęła jedyny fotel. Właśnie w ten sposób spędzali często wieczory, snując plany i omawiając szczegóły.

Ileż to razy Sam malował wizje firmy o ścianach ze szkła, otwartych szeroko drzwiach i muzyce rockowej płynącej z radiowęzła. Mitch przedstawiał własną, bardziej pragmatyczną wizję - opowiadał o udziale w rynku i zyskach. Mimo łączącej ich przyjaźni, obaj mężczyźni często się kłócili i Susannah musiała łagodzić spory. Dzisiaj będzie tak samo, uświadomiła sobie.

Sam wziął się pod boki i popatrzył na Mitcha.

- Uczyłeś się w MIT, a Yank i ja jesteśmy dzieciakami z doliny. Nie chodziliśmy do college'u. Nasze korzenie tkwią na przedmieściach - w garażach. Dla hakera nagrodą jest złamanie kodu, włamanie się do systemu i dzielenie się zwycięstwem z kimś, kto zrozumie, czego dokonałeś. Kiedy zabraniasz Yankowi pochwalić się najlepszym sprzętem, jaki kiedykolwiek zmontował, jednemu z nielicznych ludzi, którzy docenią jego wysiłek, to tak, jakbyś mu odciął dopływ tlenu.

- Więc mamy poważny problem - stwierdził Mitch chłodno. Zapadła cisza.

Susannah westchnęła głośno. Dlaczego jeden nie chce zrozumieć drugiego? Najchętniej chwyciłaby obu za włosy i stuknęłaby ich głowami. Dla Mitcha najważniejsza była rzeczywistość, dla Sama wizja. Chyba tylko ona widzi, że przyszłość SysVal leży w połączeniu rzeczywistości i wizji.

Weszła w rolę mediatora jak w stary szlafrok.

- Nie zapominaj, że Yank przy okazji ogląda Apple II. To chyba dobrze?

- To szaleństwo - zaprotestował Mitch. - A co, jeśli... jeśli z Bożą pomocą odniesiemy sukces? Nie możemy pozwolić, żeby najlepsze pomysły wyfruwały nam przez okno.

- Masz rację - zgodziła się szybko. - Tylko że akurat w tym wypadku to nie ma znaczenia, bo Yank i tak cię nie posłucha. - Długo nad czymś myślała i teraz podzieliła się swoim pomysłem. - Gdy tylko będzie nas na to stać, otoczmy go najlepszymi młodymi inżynierami, ekscentrycznymi jak on. Stworzymy mu prywatne Homebrew. Sam podniósł gwałtownie głowę. W jego oczach pojawił się nowy błysk.

- Nie ma sprawy. Najlepsi będą się do nas pchali drzwiami i oknami. Nie będzie sztywnego czasu pracy. Żadnych dupków w garniturach wydających rozkazy.

- Ale wszystko pod kontrolą - wpadł mu w słowo Mitch. - Wszyscy będą pracować w konkretnym celu.

- Tak. Żeby dać światu najlepszy mały komputer wszech czasów - sprecyzował Sam.

- Żeby przynieść zysk - poprawił Mitch. Susannah uśmiechnęła się znad filiżanki herbaty.

- Macie całkowitą rację.

Minał grudzień - czasami pracowity, czasami boleśnie nudny. Święta Bożego Narodzenia były dla Susannah bardzo trudne. Wręczali sobie prezenty przy sztucznej, tandetnie ubranej choince Angeli, ona tymczasem wspominała dumny świerk, który zawsze królował w holu Falcon Hill. Zdobiły go kokardy z francuskiego jedwabiu i barokowe aniołki. Czy Joel i Paige w ogóle o niej myślą? Głupotą byłoby liczyć, że świąteczna magia ich

połączy. Ze smutkiem spojrzała na plastikowego Mikołaja na choince Angeli.

Powtarzała sobie, że nie powinna tego robić, ale po południu, gdy Sam i Angela oglądali w telewizji mecz, wymknęła się do kuchni i zadzwoniła do Falcon Hill. Zagryzła usta, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę.

Halo?

Niski, głęboki głos ojca był tak dobrze znany, tak bliski jej sercu. Zabrakło jej tchu.

- Ojczy? To ja... Susannah.

- Susannah? - Powtórzył, jakby zapomniał, kim jest. Kłykcie jej pobielaly, tak mocno ścisкала słuchawkę.

Ja... chciałam ci życzyć wesołych świąt.

- Naprawdę? Niepotrzebnie.

Zamknęła oczy. Żołądek podszedł jej do gardła. A zatem jej nie wybaczył. Jak mogła choćby przez chwilę łudzić się, że będzie inaczej?

- Jak się czujesz?

- Doskonale, Susannah. Niestety, wybrałaś niewłaściwy moment na telefon. Paige przygotowała wspaniały obiad. Właśnie siadamy do stołu.

Powróciły wspomnienia minionych świąt. Pamiętała ich zapach, atmosferę. Kiedy była mała, ojciec sadzał ją sobie na ramionach, żeby mogła umieścić aniołka na szczycie choinki. Aniołek dla aniołka, mówił. Teraz Paige usiadzie na jej miejscu, teraz do niej będzie się uśmiechał.

Bała się, że się rozplacze, więc mówiła szybko.

- W takim razie nie będę ci przeszkadzać. Proszę, przekaż Paige życzenia ode mnie. - Słuchawka jej ciążyła, nie mogła jednak zerwać ostatniej nici łączącej ją z ojcem.

- Czy to wszystko? Skuliła się.

- Nie chciałam wam przeszkadzać. Tylko... - Mimo że się bardzo starała, głos jej się załamał. - Tato,

wyszłam za mąż.

Żadnej reakcji. Ani słowa.

Rozpłakała się.

Odezwał się zimnym, piskliwym głosem starca.

- Nie rozumiem, dlaczego przypuszczasz, że to mnie obchodzi.

- Tatusiu, proszę...

- Nie dzwoń więcej, Susannah. Chyba że będziesz gotowa wrócić do domu.

Płakała głośno. Nie pozwoli, żeby się rozłączył. Jeśli wytrzyma jeszcze chwilę, jeszcze tylko chwileczkę, wszystko będzie dobrze. Nie będzie już gorzkich słów.

- Tatusiu... – Zniosła się płaczem. - Tatusiu, proszę, wybacz mi. Nie wrócę do domu, ale bardzo cię kocham.

Przez chwilę nic się nie działo, potem szczerknęła odkładana słuchawka. W tej chwili, przynajmniej tak jej się wydawało, pękła ostania nić łącząca ją z ojcem. W kuchni Falcon Hill Paige przyciskała słuchawkę od ucha. Po skończonej rozmowie delikatnie odłożyła ją na widełki i wytarła spocone dłonie w fartuszek. Zaszło jej w ustach, serce waliło jak oszalałe.

Pochyliła się nad kuchenką. Starła się odsunąć wspomnienie sprzed roku, jak stoi w brudnym przedpokoju, owija nerwowo kabel wokół dłoni i czeka na ciepłe słowo od ojca. Nie chciała współczuć Susannah. Tak jest sprawiedliwie, przekonywała się, wyjmując indyka z pieca. W zeszłym roku spędzała święta w ciasnej norze pełnej karaluchów nieszczęśliwa i załamana. Teraz kolej na Susannah.

Służba miała wolne, więc świąteczny obiad był na jej głowie. Od dawna się na to cieszyła. Indyk zaraz będzie gotowy, podobnie jak przeróżne zapiekanki. Na stole stały już dwie brytfanki ciasta ozdobionego owocami i kremem. W ciągu minionych siedmiu miesięcy ze zdziwieniem przekonała się, że prace domowe przynoszą jej niespodziewanie wiele radości. Przy kuchennych drzwiach założyła mały ziołowy ogródek. W całym domu układała śliczne, bezpretensjonalne bukiety zamiast wyrafinowanych kompozycji kwiatowych, które Susannah zamawiała w kwiaciarni.

Tylko że ojciec nie zwracał na to uwagi. Zauważał za to wszystko, o czym zdarzyło się jej zapomnieć - zaproszenia, na które zapomniała odpowiedzieć, szafy, o których sprzątnięciu nie pamiętała, hydraulika, którego nie wezwała. Wypominał jej wszystkie drobiazgi, o których siostra zawsze pamiętała. Nie liczyło się dla niego to, że przy łóżku zawsze czeka najnowsza powieść, a w kuchni smakowicie pachnie pyszne danie.

- Pomóc ci, Paige?

Uśmiechnęła się, gdy Cal wsadził głowę do kuchni. Zdawała sobie sprawę, że to karierowicz, wątpiła też, czy byłby równie oddanym przyjacielem, gdyby jej ojcem był kto inny, a nie Joel Faulconer. Z drugiej strony wiedział, jak trudny we współżyciu potrafi być Joel, i cierpliwie słuchał jej skarg. Była szczęśliwa, że ma kogoś po swojej stronie.

- Poczekaj, wyłożę indyka na półmisek i zaniesiesz go do pokoju.

Ponieważ mieli usiąść do stołu tylko we trójkę, zrezygnowała z posiłku w wielkim, chłodnym pokoju stołowym. Zdecydowała się na mały stolik z wiśniowego drzewa przy kominku, skąd będą widzieli choinkę w holu.

Gdy wszystko już było gotowe, usiadła do stołu i zsunęła czerwono-zieloną kokardę ze swojej serwetki. Na środku stołu królował piękny staromodny stroik z gałązek sosny i starych zabawek choinkowych, które wygrzebała na strychu. Zdziwiło ją, ile dziecinnych skarbów przetrwało na

poddaszu, znalazła nawet kilka par malutkich pantofelków lalki Barbie. Nie do wiary, że nie pogubiły się przez tyle lat. Potem jednak przypomniała sobie, jak troskliwie Susannah przechowywała ich zabawki.

Ojciec kroił indyka, a ona wspominała dawne czasy. Przypomniała sobie, jak Susannah zamiata rudymi włosami podłogę i wyciąga spod dywanu miniaturowy domek od gry w Monopol. Widziała siostrę w czystych żółtych szortach, jak zbiera kredki, które Paige zostawiła na słonecznym tarasie. Paige lubiła tylko ostre końcówki, później traciła zainteresowanie kredkami, Susannah zaś zużywała je do końca – cierpliwie odrywała woskowany papier, aż zostawał tylko kawałeczek. Nagle Paige poczuła pustkę.

Mimo starań, jakie włożyła w przygotowania, i mimo wysiłków Cala, by podtrzymać rozmowę, nie był to udany posiłek. Joel wydawał się zmęczony, niewiele mówił. Ona także rzadko się odzywała. Nie miała Calowi za złe, że zmył się zaraz po deserze. Odprowadziła go do drzwi. Cmoknął ją w policzek i obiecał, że zadzwoni następnego dnia.

Skinęła głową i wróciła do salonu. Joel rozsiadł się w fotelu z książką, miała jednak wrażenie, że wcale nie czyta. Czowała się bardziej samotna, niż gdyby była sama.

- Pójdę pozmywać - stwierdziła nagle.

Joel zatrzasnął książkę i gniewnie wskazał resztki świątecznego obiadu.

- Nie rozumiem, dlaczego kazałaś nam się tłoczyć przy małym stoliku, skoro mamy wspaniałą jadalnię, która zresztą kosztowała mnie fortunę. Paige z trudem powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć ostro. Nie okazała, jak bardzo zaboląły ją jego słowa.

- Było nas tylko troje. Myślałam, że tu będzie przytulniej.

- Nie rób tego więcej. Susannah nigdy by... - urwał w połowie zdania. Zrobiło jej się zimno.

- Susannah już tu nie ma, tato.

Wydawał się walczyć ze sobą. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, ojciec wydawał się niepewny i nagle do urazy dołączyła duma. Wstał i oznajmił oschle:

- Wiem, że uważasz, że to nierozsądne, ale mam swoje nawyki. Zdaję sobie sprawę, że czasami jestem wobec ciebie niesprawiedliwy.

Nigdy nie powiedział niczego, co w równym stopniu przypominałoby przeprosiny. Ruszył do drzwi. Gdy ją mijał, poklepał ją niezdarnie po ramieniu. To już coś, pocieszała się, odprowadzając go wzrokiem. Podeszła do okna i wyjrzała na zadbane ogrody Falcon Hill. W jej wyobraźni pojawiła się wizja innej Gwiazdki. Zobaczyła siebie ale nie w jedwabnej kreacji, tylko w spranych dżinsach, pod choinką ubraną papierowymi łańcuchami, a nie barokowymi aniołkami. Zobaczyła hałaśliwe, roześmiane dzieciaki, potężne psisko ze zrezygnowaną miną i męża bez twarzy, za to w powyciąganej bluzie.

Poczuła łzy pod powiekami.

- Co za tandeta - mruknęła z niesmakiem.

## Rozdział osiemnasty

Nie możemy sobie na to pozwolić - zaprotestował Mitch, sypiąc do kawy czubatą łyżeczkę cukru.

- Nie możemy sobie na to nie pozwolić - poprawiła Susannah. Sam uśmiechnął się pod nosem zadowolony, że dla odmiany ktoś inny musi się użerać z jej obsesją na tle pozorów. Był marzec, nowe biuro zajmowali od pięciu miesięcy. We trójkę siedzieli w Bob's Big Boy, gdzie co rano

wpadali na śniadanie i omawiali plan dnia. Sam napił się coli.

- Mitch, odpuść sobie i ustąp. W głębi serca Susannah została damą z towarzystwa. Jeśli chodzi o te bzdury, właściwie zawsze ma rację.

- To nie są bzdury - sprzeciwiła się. Oparła ręce na stole i przystąpiła do ataku. - Obu wam się wydaje, że coś, czego od razu nie da się zmierzyć, nie ma znaczenia. Popadacie z jednej skrajności w drugą. Albo walicie w kalkulator albo chodzicie z głową w chmurach. Usiadła wygodniej i czekała, aż jej złośliwość przedrze się przez opary senności. Obaj dochodzili do siebie dopiero koło dziesiątej, ona natomiast wyskakiwała z łóżka pełna pomysłów.

- Musisz wziąć się za nią, Sam - zauważył Mitch poważnie. - Dostrzegam pewną niebezpieczną prawidłowość. Ciągłe atakuje nas przed ósmą rano.

Susannah posłała mu pogodny uśmiech i zwróciła się do męża.

- On tylko żartuje, Sam. Wiesz, skąd wiemy, że Mitch żartuje? Nie zaciska zębów.

Gdybyśmy czekali, aż się uśmiechnie, siedzielibyśmy tu do końca świata. Mitch smutno potrząsnął głową.

- Obrzydliwe przytyki osobiste o tak bezwstydną porze.

- Przestań - mruknęła. - Wiesz, że mam rację. Mitch prychnął tylko i napił się kawy.

Postanowili, że pokażą Blaze na Pierwszych Targach Komputerowych Zachodniego Wybrzeża. Miały się odbyć w San Francisco w przyszłym miesiącu. Zanosił się, że impreza będzie większa niż w Atlantic City, chociaż nikt do końca nie wiedział, ile firm weźmie w niej udział.

Problem w tym, że Blaze nie był gotów. Nadal biedzili się nad źródłem zasilania, poza tym Yank ciągle nie był zadowolony z wersji BASIC na kasecie, dzięki której będzie można uruchomić komputer. Co więcej, opóźniała się dostawa obudowy, w której chcieli zaprezentować swoje dzieło. I kończyły się pieniądze. Susannah robiła wszystko, co w jej mocy, by zapomnieć o poważnych problemach i zająć się tylko tymi, które można rozwiązać. Teraz najważniejsze było, żeby konkurencja nie przyćmiła premiery Blaze.

Sięgnęła po grzankę i ponowiła atak.

- To duża impreza. Nasze stoisko jest imponujące, ale i tak można nie zauważyć Blaze. Musimy zadbać, żeby wszyscy się o nim dowiedzieli, i dlatego dzień wcześniej wydamy przyjęcie. Nakarmimy wszystkich, napoimy i pokażemy Blaze jeszcze przed otwarciem targów.

- Mitch, przykro mi, że trzymam stronę wroga - zaczął Sam - ale podoba mi się ten pomysł. Zdusimy konkurencję w zarodku.

Susannah była mu wdzięczna za poparcie. Nigdy nie wiedziała, po czyjej stronie się opowie. Sam był nieobliczalny pod każdym względem. Małżeństwo z nim przypominało ciągły narkotykowy haj. Było to męczące, choć cudowne zarazem - cały czas czuła, że żyje. Żyje, lecz zbyt często na krawędzi. Chciał od niej czegoś jeszcze, czegoś, czego mu nie dawała. Nie wiedziała, o co mu chodzi.

Mitch uniósł ręce.

- No, dobrze, poddaję się. To rzeczywiście dobry pomysł. Ale Susannah zna stan naszych finansów równie dobrze jak ja. Wiesz, że musimy oszczędzać na wszystkim.

- Absolutnie na wszystkim - zgodziła się. - Zobaczysz.

Susannah wcześniej zjawiała się w restauracji, w której miało odbyć się przyjęcie promujące Blaze. Nadal mogła sobie pozwolić na zakupy tylko w tanich sklepach polecanych przez Angelę, ale tego dnia była bardzo zadowolona ze spodni z czarnej krepy i bluzki z błyszczącą aplikacją. Włosy związała na karku srebrną szarfą. Była sama. Mężczyźni od rana pracowali nad oprogramowaniem.

Zatrzymała się na progu salki, którą wynajęli, i przyjrzała się dekoracjom. Pęki czerwonych i czarnych balonów - w kolorach logo Blaze - nadawały sali świąteczny wygląd, a były znacznie tańsze niż kwiaty. Na przeciwległej ścianie reflektor punktowy wyławiał z mroku jedyne dwa istniejące komputery Blaze.

Za nimi wisiało powiększone nowe logo. Nazwa BLAZE układała się w czarno-ognistą piramidę, przy czym litera A była szczytem. Poniżej widniała nazwa SysVal. Podeszła bliżej i zatrzymała się o krok od maszyny, z którą wiązali przyszłość. To Sam zaprojektował obudowę dla Blaze. Od początku wiedział, czego chce - czegoś małego i zgrabnego, co będzie pasowało do większości wewnątrz. Wymyślił przyjazną dla użytkowników maszynę w neutralnej obudowie w kolorze kości słoniowej.

Patrząc na Blaze, widziała marzenie Sama, które stało się rzeczywistością. Komputer i klawiatura tworzyły spójną całość. Zamiast powieleć układ maszyny do pisania, stworzyli klawiaturę szeroką; klawisze miękko dopasowały się do palców. Dotknęła twardej pokrywy, pod którą geniusz Yanka zmieścił wszystko na sześćdziesięciu sześciu chipach. Ktoś wszedł do sali.

- Cześć, skarbie. Piękny, prawda? Odwróciła się i zamarła na jego widok.

- Och, Sam... coś ty zrobił?

Jego wspaniałe włosy zniknęły - dzikie, nieokiełznane włosy motocyklisty, włosy, które lubiła trzymać w dłoniach, gdy się kochali, włosy buntownika, które trzepotały na wietrze jak piracka flaga, gdy porwał ją z domu ojca. Nadal zwisały prosto, zaczesane za uszy, ale teraz nie sięgały nawet kołnierza białej koszuli. Biała koszula, granatowy krawat, sportowa marynarka. Jedno gorsze od drugiego. To ubrania Cala, ubrania jej ojca, nie marzyciela, który chciał zmienić świat.

Tylko dzinsy wyglądały znajomo, ale nawet one się zmieniły. Były nowe, sztywne i ciemne, a nie sprane i miękkie, zdawały się pozbawiać go męskości. Nie znosiła tego. Z całego serca. Wróciła wzrokiem do jego włosów. Zaczesane do tyłu odsłaniały parę zwykłych uszu bez żadnych kolczyków. To uszy człowieka z IBM, z FBT Jak mogłyby należeć do wędrownego sprzedawcy, który sprzedawał nie Biblię, lecz przyszłość?

Za jej plecami radośnie kołysały się czerwone i czarne balony. Na pokrywie Blaze został wilgotny odcisk jej dłoni.

- Coś ty zrobił? - szepnęła.

Sam spojrział na nią pytająco, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, drzwi otworzyły się jeszcze raz. Wkroczyli Mitch i Yank. Mitch uśmiechał się od ucha do ucha, i poklepał Sama po plecach i poprawił mu klapy marynarki.

- I co ty na to, Susannah? Zrobiłem z niego człowieka, prawda? Poszliśmy na małe zakupy. Zmienia zdanie, kiedy machasz mu przed nosem włoską marynarką za trzysta dolarów.

Yank miał na sobie swoją wersję stroju wyjściowego, czyli brązowy sztruksowy garnitur i krzywo zawiązany wąski musztardowy krawat. Gdy Susannah przyjrzała mu się bliżej, zobaczyła, że krawat jest nie tyle zawiązany, ile zaplątany w dziwaczny supeł. Mitch wzruszył ramionami.

- Nie zdążyłem. Zrób coś z tym, dobrze?

Zajęła się krawatem Yanka. Starła się opanować niezrozumiały przypływ paniki. Przecież Sam to Sam, powtarzała sobie. Fakt, że ściął włosy i ubrał się jak biznesmen, niczego nie zmienia. Zresztą od początku twierdziła, że powinien wyglądać bardziej profesjonalnie. Teraz ma, czego chciała. Zerknęła na niego, gdy wykladał ulotki o Blaze. Byli małżeństwem, ale nie spełniły się jej oczekiwania. Nie dawał jej poczucia pewności, stabilności. Każdy dzień był pełen nowych przygód. Czasami dziwiła ją intensywność życia na tej samej planecie co Sam Gamble.

Goście schodzili się powoli, nie miała więc czasu na rozmyślanie. Wysłała ponad setkę zaproszeń do dziennikarzy i wpływowych ludzi z branży. Teraz obserwowała, jak tłoczą się przy obu komputerach, żują pizzę, sączą piwo i zadają pytania. Wkrótce z zapartym tchem wpatrywali się w kolorowe monitory, na których prezentowano gry i programy mające zademonstrować możliwości ich komputera.

Niejeden sceptyk podnosił czerwone sukno, przekonany, że za zasłoną kryje się potężny komputer. Z niedowierzaniem kręcił głową, gdy widział tylko kartonowe pudła i kable.

- Nie do wiary.

- Sukinsyn.

- Po prostu bomba!

Założyciele SysVal w głębi serca pozostali hakerami. Nie minęło wiele czasu, jak Sam już zdejmował pokrywę z jednego modelu. (Ani jemu, ani Yankowi nawet przez myśl nie przeszło, by wypuścić komputer z pokrywą zamocowaną na stałe.) Setka gości wyciągała szyje, aby zerknąć na cudowny twór Yanka. O północy stało się jasne, że Blaze odniósł niekwestionowany sukces.

Restaurację zamykano o drugiej. Załadowali sprzęt do samochodu Mitcha i pojechali do hotelu, gdzie zarezerwowali pokoje. Sam i Mitch byli tak podekscytowani, że nie byli w stanie zasnąć, choć za kilka godzin zaczynały się targi. Susannah natomiast padała z nóg i nie chciała iść do baru na drinka.

Yank także odmówił, więc razem poszli przez hol w stronę wind.

Yank nadal stanowił dla niej tajemnicę. Od Angeli wiedziała, że nauczył się zapominać o bożym świecie dawno temu, gdy był dzieckiem. Jego rodzice kłócili się bez przerwy, ale jako praktykujący katolicy nie brali pod uwagę rozwodu. Od dzieciństwa uciekał w świat elektroniki, żeby nie słuchać ich awantur. Przed laty przenieśli się do Sun City i kłócili równie zajadle jak dawniej. Rzadko ich widywał.

Gdy wsiadali do windy, spróbowała nawiązać rozmowę.

- Roberty nie było na przyjęciu. Chyba nie jest chora?

- Roberty? - Wydawało się, że nie wie, o kim mówi.

W innej sytuacji rozbawiłoby ją to, ale dzisiaj była na skraju wyczerpania, mimo sukcesu Blaze, dlatego odparła ostro:

- Roberty Pestacola, twojej dziewczyny.

- Wiem, wiem.

Czekała. Drzwi się otworzyły. Wyszli razem. Po kilku krokach Yank zatrzymał się przy gaśnicy, postać chwilę i ruszył dalej. Nagle zapragnęła normalnie z nim porozmawiać.

- Nie układa ci się z Robertą?

- Z Robertą? Ach. Tak? - Macał się po kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Szli obok siebie. Była wysoka, ale przewyższał ją o dobre kilkanaście centymetrów. Minęło kolejne pół minuty ciszy. Susannah była zmęczona i zdenerwowana zmianami w wyglądzie Sama. Jej i tak napięte nerwy nie wytrzymały.

- Celem rozmowy jest wymiana informacji. Nie jest to łatwe w wypadku osoby, która rzadko kiedy kończy zaczęte zdanie i nigdy nie ma pojęcia, o czym mowa. To naprawdę wkurzające.

Zatrzymał się i utkwiał wzrok w przestrzeni tuż nad jej prawym uchem.

- To nie jest dobry pomysł wyzywać się na jednym, kiedy jesteś zła na innego.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Skąd wie, że jest wściekła na Sama?

Przesunął wzrok tak, że patrzył jej prosto w oczy.



Mało brakowało, a wzdrygnęłyby się. Patrzył tak bystro i przenikliwie, że miała wrażenie, iż widzi najmniejszą komórkę jej ciała.

- Nie jestem już z Robertą, Susannah. Nie jestem dumny, że tak długo się z nią spotykałem, zwłaszcza że od początku za nią nie przepadałem, ale trudno mi kogoś poderwać, a bardzo lubię seks. A to znaczy, że czasami muszę iść na kompromis. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Zarumieniła się.

- Przepraszam. To nie moja sprawa.

- Rzeczywiście, nie twoja.

Zawstydzona gorączkowo szukała klucza i upuściła go, akurat gdy zatrzymali się przy drzwiach jej pokoju. Yank pochylił się, żeby go podnieść. Podał go i jeszcze raz spojrział na nią tak przenikliwie, że zbiło ją to z tropu.

I nagle, w jednej chwili, straciła go na rzecz elektroniki. W jego oczach pojawiła się pustka, twarz straciła wyraz. Mruczając pod nosem coś, co brzmiało jak „dioda, dioda”, oddalił się korytarzem. Czarna skarpetka. Brązowa skarpetka. Czarna. Brązowa. Żadne z nich nie było przygotowane na to, co nastąpiło następnego dnia. Już od rana przed budynkiem, w którym odbywały się targi, ustawiała się długa kolejka chętnych. Nikt nie spodziewał się takiego odzewu, lecz wszyscy zachowali doskonale humory.

Przez cały dzień głośniki wykrzykiwały reklamy i grały muzykę elektroniczną, drukarki zgrzytały monotonnie. Kolejki ustawiały się na wykłady i pokazy, przy każdym stanowisku tłoczyły się grupki entuzjastów IMSAI proponowało wyznaczenie biorytmów, przy stanowisku Processor Technology można było pograć. Wiele firm – w tym sporo większych niż SysVal – prezentowało się przy stolikach oznaczanych tekturką z nazwą firmy, ginęły jednak przy stoiskach konkurencji: Cromemco, MITS, nawet malutkiej Apple Company - najwyraźniej jej właściciele nie zapomnieli lekcji z Atlantic City. Choć dopiero co wynieśli się z garażu, dumnie prezentowali Apple II na imponującym stoisku, a ich nowe kolorowe logo rzucało się w oczy.

Mitch nawiązywał kontakty z dystrybutorami i handlowcami, Yank włóczył się po hali i przyglądał się konkurencji, Sam i Susannah zaś, wraz z gromadką nastolatków zatrudnionych do pomocy, reprezentowali SysVal. Sam był wszędzie naraz, prowadził cztery rozmowy jednocześnie, opowiadał wszystkim, którzy znaleźli się w zasięgu jego głosu, o cudownym komputerze, Blaze. Jaskrawa grafika Yanka przykuwała uwagę, podobnie jak gra - ludzie czekali w kolejce, żeby się pobawić.

Susannah rozdawała setki kolorowych broszurek, uśmiechała się, aż bolały ją policzki, i przyjmowała zamówienia na Blaze. Opowiadała o pojemności pamięci, różnych źródłach zasilania i rodzajach dysków i nagle dotarło do niej, jak daleką drogę przebyła. Pomyśleć, że kiedyś wyzwaniem wydawało jej się znalezienie dobrego kucharza.

Pod koniec targów ogłoszono, że odwiedziło je trzysta tysięcy ludzi. Tłum wiwatował. Targi komputerowe odbywały się w Trenton, Atlantic City i Detroit, ale targi Zachodniego Wybrzeża pobiły je na głowę. W tamten kwietniowy weekend 1977 roku Kalifornia zasiadła na komputerowym tronie.

Sam porwał Susannah na ręce.

- Dzisiaj przeszliśmy do historii! To nasze Woodstock, skarbie. Cyfrowy początek nowej ery. Wracali do Doliny z zamówieniami na dwieście osiemdziesiąt siedem komputerów Blaze w kieszeni.

## Rozdział dziewiętnasty

W sierpniu góry Santa Clara były spalone słońcem i spragnione deszczu. Joel Faulconer zmrużył oczy, poprawił lusterko w wynajętym samochodzie i zatęsknił za zimowymi wiatrami. Oddychał z trudem. W powietrzu było za dużo kurzu. Zaparkował tak, żeby dobrze widzieć wejście do biura SysVal, a furgonetka na rogu osłaniała go przed wzrokiem ciekawskich. W ciągu minionych sześciu miesięcy nauczył się, jak się maskować. Wynajmował nie rzucające się oczy samochody. Zawsze miał przy sobie gazetę, żeby się za nią schować, gdyby Susannah pojawiła się nieoczekiwanie.

Wolał nie myśleć, jak się poniza, postępując w ten sposób. Nie uważał, że szpieguje córkę. Po prostu musiał tu przyjeżdżać, to wszystko. Musi wymyślić, jak ją odzyskać. Za godzinę czeka go rozmowa z jednym z najbardziej wpływowych japońskich przemysłowców. Kiedyś na myśl o takim spotkaniu serce biło mu żywiej. Teraz najchętniej by się zdrzemnął.

Nadal źle sypiał, a ostatnia noc była wyjątkowo kiepska. Szkoda, że nie był bardziej szczery wobec lekarza, gdy się do niego wybrał kilka tygodni temu, ale nie mógł się przecież zwierzyć chlęstkowi młodszemu o dwadzieścia lat, że męczy go depresja tak mroczna i ponura, że stracił już całkiem nadzieję, by kiedykolwiek ustąpiła. Poprzedniej nocy przesiedział kilka godzin w bibliotece ze wzrokiem wbitym w pistolet smith & wesson zazwyczaj zamkniętym w szufladzie biurka.

Oblał się potem. Od wielu tygodni miał wrażenie, że żyje o krok od straszliwej tajemnicy. Powtarzał sobie, że nie powinien o tym myśleć. Niedługo poczuje się lepiej. Lada dzień. Drzwi do budynku otworzyły się i Sam Gamble wyszedł na zewnątrz. Żołądek podszedł Joelowi do gardła. Sukinsyn. Gamble szedł w kierunku używanego volvo, które kupił przed kilkoma miesiącami. Szedł pewnie, swobodnie, jakby był królem, a nie żalonym debiutantem. Joel pocieszał się myślą, że już niedługo samochód Gamble'a zostanie zlicytowany, podobnie jak wszystko, co posiada. Trzeba tylko poczekać, aż jego śmieszna firma upadnie. Drażniło go i dziwiło, że jeszcze do tego nie doszło. Oczywiście nie spodziewał się, że Mitchell Blaine pojawi się na scenie. Ale nawet Blaine nie zdziała cuda.

Cal był równie zdziwiony jak on, gdy o tym usłyszał.

- Dlaczego Blaine robi coś tak głupiego? - zastanawiał się na głos. Joel odpowiedział spokojnie. Nie było sensu pokazywać młodszemu mężczyźnie, jak bardzo ta nowina nim wstrząsnęła.

- Żona od niego odeszła. Najwyraźniej nie jest w stanie rozsądnie myśleć. Mimo wszystko nie mamy powodów do żałobienia. Nawet Mitchell Blaine nie utrzyma ich na powierzchni.

Cal po raz kolejny nalegał, by podjęli zdecydowane kroki przeciw SysVal, i Joel znowu odmówił. Susannah musi ponieść klęskę z własnej winy. Dopiero wtedy, gdy jej marzenia obrócą się w proch, przyjmie ją z powrotem pod swój dach. Wyobrażał sobie, jak go błaga o przebaczenia, jak prosi, by pozwolił jej znowu zamieszkać w Falcon Hill.

Zgrzyt opon na żwirze wyrwał go z zadumy. Gamble miał właśnie wsiąść do swego wozu, gdy mała czerwona toyota wpadła na parking i zahamowała ostro obok volvo. Wskoczyła z niej drobna kobieta. Miała na sobie obcisłą elastyczną bluzkę, portfelową spódnicę i pantofle na wysokim obcasie. Joel rozpoznał w niej żalostną tandetną szmatę, matkę Gamble'a.

Gamble także ją zauważył. Nie wyłączyła silnika, nie zamknęła drzwi. Biegła w jego stronę zaniepokojoną miną. Złapała go za ramię i zaczęła mówić coś szybko, nerwowo. Joel usłyszał kilka oderwanych słów, ale nie zrozumiał, o co chodziło. Gamble denerwował się coraz bardziej. Zacisnęła dłonie na jego ramionach. Odepchnął ją i podszedł do swojego samochodu.

- Sam! - krzyknęła.

Gamble wsiadł do volvo, nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem. Odjechał, wzbijając tuman kurzu. Matka osunęła się na swój samochód jak szmaciana lalka. Joel obserwował, jak trzyma się za brzuch i kołysze. Złote koła w jej uszach huśtały się rytmicznie. Miała zmierzwiłone włosy i rozmazany makijaż. O dziwo, widok jej cierpienia poprawił mu humor. Wydawało mu się, że przynajmniej częściowo odzyskał kontrolę nad życiem, że jest taki jak dawniej. Jednocześnie dręczyła go ciekawość. Coś, co wkurza Sama Gamble'a, jego może uradować.

Wahał się tylko przez chwilę, zanim wysiadł i podszedł do niej. Chodnik kołysał mu się pod stopami. Nie czuje się dobrze, o nie. Może lepiej odwołać dzisiejsze spotkanie i pojechać do domu? Nie, nie. Jeszcze ktoś się domyśli, że źle się czuje. Nie, tak nie można. Minęło kilka długich sekund, zanim go poznała. Nie uśmiechnęła się nawet, nie skinęła głową.

- Czy mogę pani pomóc? - zapytał. Mimo uprzejmych słów nie współczuł jej. Jest taka tandetna i pospolita. Mimo to czerpał dziwną siłę z jej rozpacz. Ostatni rok był dla niego bardzo trudny, tak, ale nigdy nie poniżył się do czegoś tak żalosego jak okazywanie uczuć.

- To koniec - chlipnęła. Po jej policzku spływała czarna smuga tuszu. - Nic już nie można zrobić. I znowu wydało mu się, że chodnik ucieka mu spod stóp. Starał się utrzymać równowagę i zrozumieć sens jej słów. Czego koniec? Czyżby wiedziała coś o SysVal? Dlatego Gamble jest taki zły?

- Czy pan kiedyś kogoś stracił - ciągnęła przez łzy - kogoś ważnego? W pierwszej chwili przeraził się, że coś się stało Susannah, i wpadł w panikę. Zaraz jednak przypomniał sobie gniew Gamble'a i pomyślał, że chodzi o coś innego. Ta kobieta zapewne pokłóciła się z podstarzałym amantem. Tak, to na pewno to.

- Część mnie także chce umrzeć. - Otarła oczy wierzchem dłoni, brudząc sobie rękę tuszem do rzęs. - Bzdura - stwierdził ostro i skrzywił się, gdy przenikliwy ból przeszył mu ramię. Chciał je rozmasować, ale nie ruszył się. - To śmieszne, że tak bardzo przejmują się pani bzdurami. Powinna pani wracać do domu i napić się czegoś mocniejszego.

- Nie mogę. Muszę tam pojechać. - Odwróciła się. Ruszyła do drzwiczek toyoty. Spojrzał na zegarek. Jeśli zaraz nie wyruszy, spóźni się na spotkanie. I nagle wskazówki zaczęły skakać mu przed oczami. Zachwiał się, przytrzymał maski samochodu. Jego wynajęty wóz zdawał się oddalony o kilometry.

Pochyliła się, by wsiąść do auta. Ból przeszył jego pierś. Opadł na maskę samochodu. Ból nie przechodził. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może tu zemdleć. Przeraziła go ta myśl. Co będzie, jeśli Susannah go znajdzie? Musi usiąść. Musi odpocząć. Tylko że jego samochód jest tak daleko, a on nie ma siły, żeby się do niego dostać. Zrobił kilka chwiejnych kroków w kierunku otwartych drzwiczek toyoty.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Otumaniony bólem nie znajdował właściwych słów. Musi usiąść. Nie wytrzyma tego dłużej.

- Pani... pani musi jechać do domu - wyszeptał. - Nie może pani prowadzić w tym stanie. Sięgnęła po olbrzymie okulary słoneczne.

- Nie mogę wracać do domu. Muszę coś załatwić.

Pocił się obficie. Zdyszany, urywanym głosem, który brzmiał obco nawet w jego uszach, zaproponował:

- Nie sama. Nie powinna pani jechać sama. - Zacisnął dłoń na krawędzi dachu. Nie zemdleje. Nie pozwoli, by Susannah zobaczyła go w takim stanie. - Pojadę z panią. Dopilnuję, żeby nic się pani nie stało.

- Jak pan chce - mruknęła. - To i tak bez znaczenia.

Z trudem dowlókł się do drzwi, ona jednak była tak pochłonięta własną rozpaczą, że niczego nie zauważyła. Ciężko opadł na fotel pasażera i łapczywie zaczerpnął powietrza. Samochód ruszył. Nie zawracał już sobie głowy spotkaniem ani wynajętym samochodem zapomnianym na parkingu. Liczy się tylko jedno - że córka nie znajdzie go na asfalcie skulonego jak stary embrion.

Włączyli się w strumień samochodów na El Camino. Ból powoli ustępował. Zauważył, że ma długie paznokcie pomalowane tandetnym, krwistoczerwonym lakierem. Wepchnęła chusteczkę pod okulary i otarła łzy. Pomyślał, że wszystko w niej jest nie takie jak trzeba, ale naprawdę mało go to obchodziło. Jest zmęczony, boli go głowa, nogi się po nim uginają. Zostanie z nią jeszcze trochę, aż poczuje się lepiej, potem zadzwoni po szofera i wróci do domu. Zamknął oczy. Odpocznie chwilę i wróci do siebie.

Kiedy się obudził, słońce chyliło się ku zachodowi. Zamrugał szybko, próbując zorientować się, gdzie jest. Po prawej stronie mignął mu drogowy autostrady międzystanowej numer pięć. Na poboczu pasły się krowy, w oddali piętrzył się masyw gór Sierra Nevada. Są pewnie gdzieś w dolinie San Joaquin.

Z radia dobiegała spokojna piosenka popowa. Spojrzał na zegarek i przestraszył się. Dochodziła siódma.

- Gdzie jesteśmy? Dokąd jedziemy?

Drgnęła, jakby zupełnie zapomniała, że ma pasażera. Zdjęła okulary. Na kolanach leżała kolekcją mokrych chusteczek higienicznych. Wskazała radio ruchem głowy.

- Nie teraz. Po... po piosence.

Głos w radiu wydawał się znajomy. Jakiś piosenkarz. Zna tę piosenkę, chyba już ją kiedyś słyszał. Ma tyle rzeczy do załatwienia. Każe jej zjechać z autostrady i wezwie kierowcę. Jak to wytłumaczy? Pewnie wszyscy wpadli w panikę, kiedy nie zjawił się na spotkaniu. Jutro czeka go ciężki dzień. Starał się pozbierać myśli, ale nie był w stanie. Cały czas miał przed oczami kasetkę z rewolwerem. Znów zamknął oczy. Poczul się bezradny. Piosenka się skończyła.

Odezwała się drżącym głosem.

- Od kilku godzin puszczają tylko Elvisa. Nadal... nadal nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Nie był stary, miał dopiero czterdzieści dwa lata. Gwałtownie otworzył oczy. O kim pani mówi?

- O Elvisie - szepnęła. - Nie słyszał pan? Elvis Presley nie żyje. Umarł dzisiaj, szesnastego sierpnia 1977 roku.

Więc o to chodzi? Najchętniej krzyknąłby na nią, ale wydawało mu się, że jego mózg spowija miękka, gorąca, mokra wata. Patrzyła prosto przed siebie, na autostradę. Łza spłynęła jej po policzku i upadła na fioletową bluzkę. Nic dziwnego, że Gamble się na nią wkurzył na parkingu. Joelowi nie mieściło się w głowie, że można do tego stopnia przejąć się śmiercią gwiazdora, kiedy na świecie jest tyle prawdziwych zmartwień.

- Muszę jechać do Graceland... do Memphis. Muszę oddać mu cześć. - Zaniósła się szlochem.

Nie wierzył własnym uszom.

- Do Tennessee?

- Tak. - Wytarła nos, upuściła chusteczkę na kolana, wyjęła z torebki następną. A potem powiedziała coś, co sprawiło, że po jego plecach przeszedł lodowaty dreszcz. - Król nie żyje.

Nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe. Król nie żyje.

Poczul, jak na jego czole pojawiają się krople potu. Nie! To on jest królem! Ma przed sobą jeszcze

wiele lat. Dziesiątki. Ma jeszcze tyle do zrobienia. W samochodzie było chłodno, on jednak pocił się nadal. Otarł czoło rękawem marynarki. Jej usta drżały.

- Nawet sobie tego nie wyobrażałam. Myślałam, że będzie żył wiecznie. - Spojrzała na Joela. Na jej twarzy nie został nawet ślad makijażu. - Mam czterdzieści trzy lata, to niedużo.

Jestem od niego o rok starsza.

Tylko że... Jak można być młodym, skoro Elvis Presley nie żyje? Jak możemy się ludzić? Joel nie pamiętał nawet, co to znaczy być młodym. Znow zamknął oczy, tym razem żeby uciec, a nie żeby odpocząć.

Na południe od Bakersfield zjechała z autostrady, żeby zatankować. Poszedł do telefonu i zadzwonił do sekretarki. Wytłumaczył nieobecność niewinnym kłamstwem. Już miał poprosić, żeby przysłała po niego kierowcę, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Poleciał tylko zawiadomić Paige, że nie wróci na noc. To szaleństwo. Czuje się lepiej, a postępuje jak wariat. Mimo wszystko nie mógł tego zmienić. Postanowił, że pojedzie z Angelajeszcze kawalek, najwyżej kilka godzin. Potem poprosi, żeby go wysadziła przy motelu, tam przenocuje, a rano wróci do domu i zdąży na zebranie.

Angela czekała w samochodzie z dwiema puszkami napojów gazowanych i przekąskami. Usiadł za kierownicą. Otworzyła puszkę i podała mu. Spragniony upił mały łyk. Napój był przesłodzony, obrzydliwy. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz pił coś takiego. Kolejny łyk smakował lepiej.

Ponieważ jego marynarka była pognieciona i przepocona, zdjął ją i starannie ułożył na tylnym siedzeniu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wjechał na autostradę.

- Nie pojedę daleko.

- Nie wiem nawet, czemu dotarł pan aż tutaj.

W pierwszej chwili chciał odpowiedzieć, że jest tu, bo nie chciał umrzeć, ale to bzdura. Nie jest stary, ma dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat. Jest ważnym człowiekiem. Nie, nie będzie o tym myślał.

Spytał ją:

- Dlaczego pani to robi? Dlaczego to takie ważne?

- Elvis jest ojcem Sama. Joel prychnął tylko.

- Nie wierzy mi pan, prawda? Nikt mi nie wierzy. - Widział, jak zbiera siły, ale nagle odwróciła się do okna i opuściła ramiona w geście rezygnacji, jakby straciła coś cennego. - Chciałabym, żeby był jego ojcem. Chciałabym go poznać. Opowiadają o nim tyle kłamstw.

Że zdradzał Priscillę, kiedy jeszcze byli razem, że brał narkotyki, że się dziwnie zachowywał. Nigdy w to nie wierzyłam. Elvis kochał zwykłych ludzi. Troszczył się o takich jak ja. Ta podróż to wszystko, co mogę dla niego zrobić. Opadła na oparcie i zamknęła oczy. Monotonia autostrady i spokojne ballady Presleya usypiały go. Ściemniało się, więc włączył reflektory. Nie pamiętał, kiedy ostatnio sam tak długo siedział za kierownicą. Angela zasnęła, rozchyliła usta przez sen. Po raz pierwszy od dawna się odprężył. Dobrze się czuje za kierownicą. Od tej pory będzie sam prowadził. Tak, na tym polega jego problem. Za mało odpoczywa.

Radio cichło momentami, tak że piosenki *Kentucky Rain* wysłuchał tylko częściowo, ale nie zmienił stacji. Zauważył medalik świętego Krzysztofa nad deską rozdzielczą. Na podłodze poniewierala się buteleczka lakieru do paznokci. Pod lusterkiem dyndał breloczek znanego towarzystwa ubezpieczeniowego. Nie chciało mu się już spać. Było mu dobrze. Angela oddychała spokojnie, miarowo. Stwierdził, że ma niezłe nogi, ale nie podniecała go. Nigdy nie lubił tandety, nawet w młodości. Zanim minęli Barstow, odwróciła się na drugi bok.

Koło północy zatrzymał się na stacji benzynowej. Obudziła się i usiadła za kierownicą. Joel

błyskawicznie zasnął na siedzeniu pasażera.

W nocy przejechali całą Arizone. Zmieniali się za kółkiem, gdy tankowali. Rano zatrzymali się na śniadanie w zajeździe dla kierowców ciężarówek niedaleko Albuquerque. Angela zniknęła w łazience. Wróciła z nową warstwą makijażu na twarzy. Kierowcy ciężarówek oglądali się za nią. Joel wstydził się, że przebywa w jej towarzystwie. Pocięsział się myślą, że nikt go tu nie zna.

W męskiej toalecie zobaczył w lustrze kogoś obcego. Miał opuchniętą, niezdrowo bladą twarz z siwym zarostem. Zazwyczaj golił się dwa razy dziennie, żeby nie pamiętać, że siwieje, ale teraz nie miał przyborów do golenia, więc tylko się umył. Cały czas patrzył w umywalkę, nie w lustro.

Nie wiedział, kiedy zdecydował się pojechać z nią aż do Memphis. Nie był w stanie zdobyć się na nic innego. Jazda dobrze mu robi, powtarzał sobie. Potrzebne mu są wakacje. Niedaleko wschodniej granicy Nowego Meksyku Angela znowu zaczęła płakać. W pewnym momencie nie mógł już tego znieść, więc warknął:

- Na litość Boską, proszę przestać! Przecież pani go nawet nie znała.

- Będę płakała, jeśli będę miała na to ochotę. Nie zapraszałam pana, sam się pan wprosił.

- Nastawiła radio na cały regulator. Od rana słuchała wiadomości z Memphis.

- ...z dwudziestu tysięcy zebranych przy Elvis Presley Boulevard zrobiło się już pięćdziesiąt tysięcy. Wszyscy mają nadzieję rzucić okiem na ciało króla rock and rolla wystawione w salonie w Graceland. Vernon Presley, ojciec piosenkarza, polecił otworzyć bramę rezydencji, żeby jak najwięcej fanów mogło oddać mu cześć. Od wczoraj napływają tysiące wieńców z całego świata. Na wielu widnieje krótki napis: „Dla Króla”. Żalobnicy nadal nie mogą uwierzyć, że król nie żyje.

Joel wyłączył radio. Nie chce słuchać o śmierci królów. Woli nie myśleć o...

Angela włączyła radio. Łypnął na nią groźnie, lodowato - to spojrzenie onieśmielało głowy państw i prezesów korporacji, a ona zaś je zignorowała. Pod Amarillo złapali gumę. Siedzieli przy chwiejącym się stoliku w cieniu na pół uschniętego drzewa, patrzyli na popękany asfalt i czekali, aż zmienią im koło.

- Elvis dał mi tak dużo - opowiadała Angela. - Pomagał mi, gdy byłam smutna, kiedy Frank, mój mąż, źle mnie traktował. Dzięki jego piosenkom odnajdywałam spokój ducha. Wiem, że to, co powiem, zabrzmii jak świętokradztwo, ale... czasami w kościele, gdy klękam do modlitwy i podnoszę głowę, widzę Jezusa na krzyżu, a czasami wydaje mi się, że to Elvis tam wisi. Tak wiele dla nas poświęcił.

Joelowi nie przychodziło do głowy nic, co Presley poświęcił - z wyjątkiem godności, rzecz jasna - ale to spostrzeżenie zachował dla siebie. Ta kobieta to wariatka. No tak, a co z nim?

- Chodziłeś do szkoły średniej, Joel? - zapytała. Po raz pierwszy zwróciła się do niego na „ty”. Nie przywykł, by kobiety pokroju Angeli Gamble zwracały się do niego po imieniu. Wolał, żeby mówiła do niego „panie Faulconer”.

- Do akademii wojskowej.

- Mieliście cheerleaderki?

- Nie, skądże.

- Należałam do cheerleaderek. Byłam jedną z najlepszych. - Cicho, smutno zanuciła bojową pieśń swojej drużyny. - Lubili mnie. Wszystkie dzieciaki za mną przepadały, bo nie zadzierałam nosa jak inne dziewczyny. Byłam miła dla wszystkich. Wiesz, co jest najlepsze w szkole średniej? Że całe życie przed tobą. W wyobraźni zawsze dokonujesz właściwych wyborów, wszystko układa się jak po maśle. W rzeczywistości jest inaczej, wychodzisz za mąż za niewłaściwego faceta i masz problemy z dzieckiem. I masz schrzaniłone życie jak ty i ja.

Podskoczył gwałtownie, mało brakowało, a wywróciłby stolik.

- Niech pani mówi za siebie! Moje życie jest doskonałe. Nie zmieniłbym niczego. Spojrzała na niego ze smutkiem, aż się zawstydził.

- Skoro pańskie życie jest takie doskonałe, po co jedzie pan do Graceland? - zapytała miękko.

Odwrócił się do niej tyłem. Zakurzone chwasty zasłaniały jego drogie buty. Na białej koszuli szytej na miarę wykwitła ciemna plama z kawy.

- Jestem zmęczony to wszystko. Chcę odpocząć. Tym razem ona prychnęła z niedowierzaniem.

- Nie oszukasz starej naciągaczki, Joel. Jesteś jeszcze bardziej samotny niż ja. Chciał ją uderzyć, ukarać, ale nie przychodziły mu do głowy odpowiednio okrutne słowa. Podeszła do niego od tyłu. Położyła mu rękę na karku i pogłaskała delikatnie jak matka dziecko. Zamknął oczy, jakby jej dotyk sprawił mu ból.

Mechanik zawołał, że koło zmienione. Teraz Angela miała usiąść za kierownicą.

- Bóg zabrał Elvisa do siebie - stwierdziła, wracając na szosę. - W kółko to sobie powtarzam.

- I wierzysz w to? - burknął.

- Ty nie?

- Należę do kościoła episkopalnego. Płacę składki. Czasami nawet chodzę na nabożeństwo, ale... nie, nie wierzę w Boga.

- Przykro mi - stwierdziła współczująco. - Chyba takim jak ty trudniej uwierzyć. Masz władzę, wydaje ci się, że jesteś Bogiem, i zapominasz, jak niewiele naprawdę znaczysz. A kiedy przychodzi kryzys, nie masz żadnego oparcia. Ja to co innego. Wierzę od dziecka.

- Bóg to pociecha dla prostaków.

- A więc cieszę się, że jestem prostytutką, bo nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Ich dziwaczna odyseja trwała nadal. Z Amarillo pojechali do Oklahoma City, z Oklahoma City do Little Rock, a stamtąd do Memphis. Jechali przez cały kraj – dwoje ludzi w średnim w wieku w drodze do Graceland: jedno opłakiwało minioną młodość, drugie chciało zobaczyć śmierć i przekonać się, czy warto żyć.

Przybyli do Memphis w czwartek rano. Wielotysięczny tłum czuwał przed Graceland przez całą noc i nie sposób było znaleźć miejsce do parkowania w pobliżu rezydencji. Angela zostawiła toyotę obok czerwonego hydrantu. Joel marzył o prysznicu, czystym ubraniu i przyzwoitym posiłku. Zastanawiał się, czy nie wezwać taksówki. Przeszło mu na myśl wiele rzeczy, które mógłby zrobić, ale koniec końców razem z Angelą poszedł do Graceland.

Powietrze było ciężkie od wilgoci. Helikoptery krążyły nad rezydencją, flagi opuszczono do połowy masztów. Ten widok bardzo go zdenerwował. To nieprzyzwoite, tak się przejmować śmiercią jakiegoś piosenkarza. Czy w Kalifornii opuszczą flagi po jego śmierci? Odsunął od siebie tę myśl. Nie umrze jeszcze długo. Zaraz po powrocie do Kalifornii pójdzie do lekarza, powie, że źle się czuje. Opowie o ucisku w piersi, o zmęczeniu i depresji.

Będzie zażywał lekarstwa, przestrzegał diety, ćwiczył regularnie. Było jeszcze wcześniej, ale na ulice już wylegli sprzedawcy pamiątek. Zapłakani fani tulili do siebie koszulki z wizerunkiem Elvisa, jego zdjęcia i plastikowe gitary wyprodukowane w Hongkongu. Jakie to wulgarne, pomyślał Joel.

Kondukt żałobny wkrótce wyjedzie przez słynną muzyczną bramę Graceland. Angela chciała to zobaczyć. Joel zaprowadził ją w środek tłumy przed centrum handlowym dokładnie naprzeciwko rezydencji. Trwało to dosyć długo, ale ludzie zorientowali się, że jest ważną osobistością i ustępowali mu miejsca mimo niechlujnego wyglądu. Jego uwagę zwróciła duża liczba policjantów i

punktów pierwszej pomocy - wiele osób mdlało w upale. Najwyraźniej władze miasta obawiały się tłumu, którego nastroje wahały się od rozpaczki po karnawałowe niemal rozbawienie. Kobieta w zielonych gumowych klapkach opowiadała Angeli, jak nastolatek w białym fordzie wjechał w tłum i potrafił trzy nastolatki. Dwie zmarły. Życie nabierało dla Joela coraz większej wartości.

Przez bramę na teren posiadłości wjeżdżały samochody - nabożeństwo żałobne miało się odbyć w domu. Angeli wydało się, że w jednym z nich dostrzegła Ann-Margret, ktoś inny twierdził, że widział George'a Hamiltona, a Burt Reynolds, jeśli wierzyć plotkom, wślizgnął się ukradkiem. Joelowi nie mieściło się w głowie, że ci ludzie tak bardzo przejmują się jakimiś aktorami, z których żaden nie miałby szans na członkostwo w jego klubie.

Mógłby bez trudu sprawić, by wzięli udział w nabożeństwie, wystarczyłoby kilka telefonów, ale brzydził go sam pomysł. Nie jest uczestnikiem, tylko obserwatorem plebejskiego karnawału uczuć. Ranek się przeciągał, upał narastał, Joel oddychał z trudem. Kupił dwa chwiejne krzeselka turystyczne od ulicznego sprzedawcy. Usiedli naprzeciwko bramy i czekali.

- Co jest dla ciebie najważniejsze, Joel?

Nietaktowne pytanie. Nie odpowie.

Uniosła włosy na karku i wachlowała się biało-czerwonym opakowaniem po prażonej kukurydzy.

- Dla mnie ważny jest Sammy i moi przyjaciele. Twoja córka. Wyjazdy do Vegas. Chodzenie do kościoła. Lubię układać włosy i bawić się z przyjaciółkami. Staruszki śmieją się z moich dowcipów, dzięki mnie czują się ładne - to także lubię. Ale najważniejszy jest Sammy. - Odłożyła prowizoryczny wachlarz, popatrzyła na paznokcie, z których powoli schodził lakier. - Wstydzi się mnie, tego, jaka jestem, jak wyglądam, że opowiadam na prawo i lewo, że jest synem Elvisa. Ale nie zmienię się, nawet dla niego. Próbowałam zmienić się dla Franka i nic z tego nie wyszło. Człowiek jest, jaki jest. Lubię się dobrze bawić i nosić wyzywające ciuchy. Gdyby nie to, ledwie by się człowiek obejrzał, a już byłby starym ramolem.

Joel ma pięćdziesiąt dziewięć lat. Czyżby to aluzja pod jego adresem?

- Mieszkam w jednej z najpiękniejszych posiadłości w Kalifornii - oznajmił chłodno. - Mam domy na całym świecie, mam wszystko, czego zapagnę.

- Mimo wszystko szkoda mi ciebie. Był wściekły. Jak śmie go żałować?

- Proszę się uzalać nad tymi, którym jest to potrzebne.

- Ominęły cię wszystkie przyjemności w życiu. - Znowu wachlowała się pudełkiem. - Nie wierzysz w Boga i nie chcesz się pogodzić z córką.

- Proszę nie mieszać do tego Susannah!

- To wyjątkowa dziewczyna, dobra i wrażliwa. Mój Sammy na pewno ją skrzywdzi i dobrze by było, gdyby wtedy mogła liczyć na ciebie.

- Na nic nie zasługuje. Sama nawarzyła sobie piwa i teraz niech je wypije.

- Czasami najtrudniej jest kochać, gdy druga osoba nas krzywdzi. Posłuchaj, Joel. Każdy głupi może kochać człowieka bez skazy, kogoś, kto wszystko robi, jak trzeba. Ale to nie jest prawdziwa miłość. Prawdziwa miłość umie wybaczać tym, którzy nas krzywdzą.

- Na przykład niewiernemu mężowi? - rzucił gniewnie. - Wy, kobiety ciągle mnie zadziwiacie. Pozwalacie mężczyznom łączyć wam po głowie, a potem tłumaczycie słabość prawdziwą miłością.

- Miłość to nie słabość, ale kłamstwo - tak. Tak jak z Sammym. Chciałby, żebym była damą. Już taki jest. Kupuje mi perłowe kolczyki i białe sweterki. Dziękuję mu grzecznie, ale to nie są rzeczy w moim stylu i choć bardzo go kocham, nie zmienię się. Muszę być sobie wierna.



Codziennie się modłę, żeby kiedyś między nami było lepiej. Tak samo z tobą i Susannah. To, że zrobiła coś, czego nie aprobujesz, nie znaczy, że masz o niej zapomnieć. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Nie chcę mieć do czynienia z kimś, kto mnie zdradził.

- Nie zdradziła cię, tylko poszła własną drogą. To nie ma z tobą nic wspólnego.

- Nie mogę jej wybaczyć.

- Ależ Joel, właśnie na tym polega miłość. Inaczej to tylko uścisk dłoni. Nie chciał myśleć o jej słowach, ale nie mógł ich zapomnieć. Czyżby ta tandetna kobieta bez gustu wiedziała o życiu coś, co jemu umknęło? Nagle brama muzyczna otworzyła się. Limuzyny, białe jak stroje Elvise z Las Vegas, wyjeżdżały jedna po drugiej. Angela szlochała głośno. Wyjechało szesnaście białych samochodów. Wszyscy płakali. Mężczyźni o surowych twarzach i kobiety z nadwagą – wszyscy pozwalali płynąć łzom. Angela mocno złapała go za ramię, gdy pojawił się biały cadillac - karawan wiozący ciało króla rock and rolla.

Angela zaczerpnęła głęboko tchu i szepnęła:

- Żegnaj, Elvis.

Joel obserwował, jak karawan powoli wyjeżdża na ulicę. Poczł ostry ból w barku. Nie będzie zastanawiał się nad losem królów. Nie chciał rozmyślać o śmierci ani o tym, dlaczego wyruszył w tę dziwną podróż, lecz nagle poczuł tak bolesną pustkę, że miał wrażenie, iż przygniata go sucha, spalona słońcem ziemia Tennessee. Myślał o tym, co powiedziała Angela, że naprawdę kocha się, gdy wybacza się tym, którzy człowieka zranili. Zamknął oczy i przypomniał sobie, jak bardzo Susannah go zraniła. Ale tutaj, w obliczu śmierci i pogrzebu, nie było to takie ważne.

I wtedy w końcu przyznał przed sobą, jak bardzo za nią tęskni. Chce odzyskać Susannah i chce kochać Paige tak, jak na to zasługuje. Wyobraził sobie rodzinę przy świątecznym stole: uśmiechnięte wnuki i Kay u jego boku - głupiutka, beztroska Kay, która zawsze umiała go rozśmieszyć i pozwalała mu zapomnieć o odpowiedzialności ciężającej na władcy.

Kurczowo trzymał się za bark, przed oczami zaś miał nieskończenie długą listę swoich błędów. Zgrzeszył dumą i egoizmem. Dopiero teraz widział, jaki był okrutny i głupi, wierząc, że siłą woli zmieni świat. Widział, jak bezmyślnie deptał miłość najbliższych.

Ból narastał, wędrował z barku do klatki piersiowej, a Joel wspominał małą dziewczynkę, którą przed laty wydobył z ciemnej garderoby babki. Obdarzyła go bezwarunkową miłością nikt nigdy nie dał mu nic piękniejszego – a on odrzucił ten dar. Poczł strach. Czy już za późno? Czy może ją jeszcze odzyskać?

Nagle, nie wiadomo skąd, przysła fala euforii równie potężnej jak ból. Nie, nie jest za późno! Powie jej zaraz po powrocie! Powie, że wybacza i że ją kocha. Jego życie odzyska sens. Wszystko będzie dobrze.

Angela nie odrywała wzroku od białego karawanu. Była załamana.

- Wiem, nie jestem już młoda - szepnęła. - Ale, Joel... czy myślisz, że nadal jestem atrakcyjna? Złapał się za serce, nie mógł zaczerpnąć tchu. Nie ma czasu. Człł ogarniające go chłód i ciemności. Wiedział, że musi odpowiedzieć szybko, musi dać jej coś dobrego, pięknego. Ostatkiem sił wyszeptał:

- Angela... zawsze będziesz... piękna.

I gdy karawan uwoził ciało jednego króla, drugi osunął się na ziemię.

## Rozdział dwudziesty

Telefon rozdzwonił się tuż po północy, gdy Susannah akurat zasnęła. Z jękiem sięgnęła po słuchawkę. Chciała obudzić Sama, ale w porę przypomniała sobie, że nadal jest w pracy. Ona także powinna tam być, lecz poczuła się tak zmęczona, że wróciła do domu. Szukała telefonu po omacku zła, że mąż i współpracownicy nie dają jej chwili spokoju.

- Halo? - mruknęła.

- Susannah?

- Paige? - Obudziła się błyskawicznie, słysząc zdławiony głos siostry. - Co się stało?

Chodzi o... o tatusia.

- O tatusia? - Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Przygotowała się na złe wieści.

- On... on nie żyje, Susannah. Miał atak serca.

- Nie żyje? - Powtórzyła, nic nie rozumiejąc, niewyraźnie, jakby mówiła pod wodą.

Paige płakała w słuchawkę. To się stało w Memphis. Nie wiadomo, co tam robił. Susannah zacisnęła dłonie na kołdrze. Noc otaczała ją jak ciasne pudełko. Siostra odłożyła słuchawkę. Susannah wsłuchiwała się w ciągły sygnał. Nie chciała skończyć tej rozmowy. Nie chciała zerwać ostatniego ogniwa łączącego ją z kimś z rodziny. Tatusiu, szeptała bezgłośnie, nie rób mi tego. Jestem twoją księżniczką, pamiętasz? Będę grzeczna, obiecuję.

Poczuła ogromny ciężar na sercu. Jej złoty księżę odszedł. Nie będzie już okazji, by odzyskać jego miłość. Rozpłakała się. Był to przeraźliwy szloch z głębi duszy. Nie uzyska już jego przebaczenia. Tatuś nie żyje.

Sam usłyszał ją, ledwie wszedł do domu – ciche zwierzęce odgłosy. Przerażony wbiegł do sypialni. Susannah kulila się w kącie zapłakana, nieszczęśliwa.

- Suzie...

Podbiegł do niej, ukląkł, przyciągnął ją do siebie. Przeraził go wyraz jej twarzy. Ktoś się tu włamał i ją zgwałcił? Przytulił ją mocno.

- Już dobrze, skarbie. Jestem przy tobie.

- Sam? - mówiła drżącym głosem, jak stara kobieta. - Mój ojciec nie żyje.

Kamień spadł mu z serca. Nic jej nie jest. Nic strasznego jej nie spotkało. Nie zmartwiła go zbyt wiadomość o śmierci Joela. Nie udawał, że dzieli jej ból po stracie człowieka, którego nienawidził. Głaskał ją czule. Dziwnie się czuł, widząc jej bezradność. Było mu niewygodnie na podłodze. Podniósł ją i zaniósł na łóżko. Była naga, nie licząc koszuli nocnej, i poczuł, że jest gotów. Boże, ona nigdy go nie zrozumie. Nienawidził samej myśli o śmierci. Kiedyś słyszał księdza mówiącego, że to śmierć nadaje sens życiu, ale nie zgadzał się z tym. Śmierć zabiera sens, zabiera wszystko. Kiedy miał dziesięć lat, uświadomił sobie, że każdego człowieka czeka nieunikniony koniec, i wpadł w panikę. Miesiącami bał się iść spać, aż wmówił sobie, że jego to nie spotka. On zmieni losy wszechświata. Śmierć to kolejna przeszkoda do pokonania.

Oddałby wszystko, byle przestała płakać. Był zły, że za jej sprawą śmierć znalazła drogę do ich sypialni. Delikatnie gładził jej piersi. Wśród śmierci jest życie. Wśród śmierci jest...

- Sam. - Odepchnęła jego dłoń.

- Pozwól mi, Suzie - szepnęła. - Będzie dobrze, zobaczysz. Płakała, gdy zdejmował z niej koszulę nocną.

- Będzie ci lepiej - obiecywał. - Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było. Gdy skończył, czuła się jeszcze bardziej samotna.

Przez następne dwa dni opiekował się nią troskliwie, lecz gdy przebudziła się w dzień pogrzebu, była sama. W panice zadzwoniła do biura. Ani Mitch, ani Yank nie widzieli Sama. Angeli nie było od kilku dni, nikt u niej nie odbierał. W końcu zrozumiała, że zniknął celowo i że musi iść na pogrzeb sama.

Wzięła kluczyki używanego volvo, które niedawno kupili, i ścisnęła je mocno, aż zaboląła dłoń. Potrzebuje go, a jego nie ma. Wychodziła właśnie, gdy na parking przed ich blokiem wjechał ciemnobrązowy cadillac seville. Mitch podbiegł do niej.

- Wsiadaj - powiedział spokojnie. - Jadę z tobą.

Nogi ugięły się pod nią z radości. Wziął ją pod rękę i zaprowadził do samochodu. Przez całą drogę na cmentarz tępo wpatrywała się w okno.

- Sam boi śmierci się - powiedziała nagle. - Gdyby nie to, pojechałby ze mną.

Mitch nie zareagował. Silny, ogromny, niewzruszony, trwał przy niej przez całe nabożeństwo. Czasami wydało się jej, że tylko dzięki niemu zdołała to przetrzymać. Gdy wstrząsały ją spazmy, trzymał ją mocno za rękę. Nie chciała się rozplakać. Jeśli zacznie, nie będzie mogła przestać. Ilekroć spoglądała na elegancką czarną trumnę, szczekała zębami. Bezgłośnie przemawiała do ojca. To jeszcze nie koniec, tato. Jeszcze nie. Kocham cię. Nadal cię kocham. Lecz zza grobu nie nadchodziła pocieszająca odpowiedź.

Cal siedział u boku Paige. Po uroczystości zebrani gromadzili się wokół nich, mało kto składał kondolencje Susannah. Ludzie, których znała od lat, udawali, że jej nie znają, tak, jakby łamiąc zasady, zdradziła ich wszystkich. W drodze na cmentarz usłyszała komentarz jednego z żałobników:

- Nie, nie rodzona córka, skądże. Adoptowana. - Ostatnie słowo wypowiedziano jadowicie, gorzko.

Mitch także to usłyszał. Wziął ją za rękę.

Modlitwa przy grobie okazała się na szczęście bardzo krótka. Mitch prowadził ją z powrotem do samochodu, gdy podszedł do nich Cal.

- Susannah?

Nie rozmawiali od roku. W jego niegdyś pełnych dumy oczach płonęła nienawiść. Czy to z nim chciała kiedyś spędzić życie?

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona - syknął. - Zabiłaś go, wiesz o tym. Po tym, jak odeszłaś, bardzo się zmienił.

Poczuła się, jakby wymierzył jej cios w żołądek. Mitch zeszywniał, zrobił krok w stronę Cala.

- Daj jej spokój, Theroux - rzucił ostrzegawczo.

Czyjaś dłoń na ramieniu wyrwała Susannah z rozpacz - dotyk delikatny jak muśnięcie motyla. Odwróciła się do siostry.

Paige, miłośniczka obcisłych dzinsów i rozkołysanych bioder, miała na sobie skromną czarną sukienkę, a na szyi perłową kolbę Kay Jej siostra, która machała włosami do wtóru ostrego rocka, wyglądała jak poważna matrona. Susannah czekała na ostre słowa także od niej, lecz Paige unikała jej wzroku.

- Chodźmy, Paige - Cal zacisnął usta w wąską kreskę. - Nie musisz znosić jej obecności.

Mitch odwiózł ją do domu i zaproponował, że wejdzie na górę, podziękowała jednak grzecznie, czując, że lada moment straci panowanie nad sobą. Zanim wysiadła, pocałowała go w policzek.

- Dziękuję - szepnęła. - Bardzo ci dziękuję.

W mieszkaniu cicho grało radio. Spodziewała się zastać Sama, tymczasem to Angela zmywała w kuchni naczynia. Odłożyła mokry talerz na jej widok i otworzyła ramiona.

- Biedactwo.

Coś w Susannah pękło. Podbiegła do niej jak trzylatka z rozbitym kolanem. Płakała z całego serca, a Angela gładziła ją po głowie i mruczała:

- Wiem, kochanie, wiem.

Ciekło jej z nosa, łzy kapwały na bluzkę Angeli. Miała wrażenie, że jej ciało należy do kogoś innego. Gdzie się podziała kobieta, która nigdy nie płacze?

- Mój ojciec nie żyje - powiedziała. - Już nigdy go nie zobaczę.

- Wiem, skarbie.

- Nie zdążyłam... nie zdążyłam się z nim pożegnać. Nie prosiłam o wybaczenie.

- Ale chciałaś, skarbie.

- Nie myślałam, że umrze. Nigdy. Był jak Bóg.

Angela posadził ją na kanapie w saloniku. Tuliła ją i głaskała, Susannah jednak nie mogła się uspokoić.

- Kochałam go, zawsze go kochałam, ale on nigdy mnie nie kochał. Angela odsunęła jej włosy z twarzy.

- To nieprawda, skarbie. Kochał cię. Sam mi to powiedział. Minęło kilkanaście sekund, zanim jej słowa dotarły do Susannah.

Podniosła głowę, żeby przez łzy popatrzeć na Angelę.

- Powiedział ci?

Angela powoli skinęła głową.

- Byliśmy razem do końca. Twój ojciec pojechał ze mną do Graceland na pogrzeb Elvisa.

- Do Graceland? Mój ojciec? - Susannah nic nie rozumiała.

- Chyba wcale nie chciał ze mną jechać, ale jakoś tak wyszło. Angela opowiadała o dziwnej podróży, a Susannah słuchała, nie wierząc własnym uszom.

- Tamtego dnia, zanim umarł, mówił o tobie - powiedziała Angela. Susannah skuliła się, jakby powiał zimny wiatr.

- Co powiedział?

- Nieprawda, że cię nienawidził, Susannah. Wydaje mi się, że nienawidził samego siebie.

Okrutne słowa Cala nie dawały jej spokoju.

- Zabiłam go - szepnęła. - Zrobiłam mu coś okropnego. Gdybym nie uciekła, żyłby do dziś.

- Nie mów tak! Nie mów tak, skarbie! To nie twoja wina! - Angela wyrzucała z siebie słowa szybko, bez tchu. - Ostatnich kilka godzin siedzieliśmy na turystycznych krzeselkach naprzeciwko bramy i czekaliśmy, aż pokaże się kondukt żałobny. Rozmawialiśmy o was, o tobie i o Sammym.

Tuż przed tym, jak zobaczyliśmy karawan, popatrzył mi w oczy i powiedział: – Angelo, popełniłem duży błąd, zrywając wszelkie kontakty z Susannah. Musiała pójść własną drogę, teraz to rozumiem. Kocham ją i powiem jej to, gdy tylko wrócimy do Kalifornii.

Susannah znieruchomiała.

- Powiedział ci? Że mnie kocha?

- Bóg mi świadkiem, że tak.

Zacisnęła oczy, czując łzy pod powiekami.

- Och, Angelo.

Teściowa objęła ją ponownie. Była o wiele drobniejsza niż Susannah, ale umiała ją pocieszyć.

- Nie mogłam... nie mogłam się pogodzić z myślą, że umarł pełen nienawiści.

- On cię kochał, skarbie. W kółko opowiadał, ile dla niego znaczysz.

Susannah odsunęła się trochę i podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Nie wymyśliłaś tego, żeby mnie pocieszyć, prawda? Błagam, muszę znać prawdę.

Angela uścisnęła jej dłoń.

- To prawda. Susannah, nie zapominaj, że jestem praktykującą katoliczką. Kłamstwo na temat ostatnich słów umierającego to grzech śmiertelny. Bardzo cię kochał. W kółko to powtarzał. Oczy Angeli, okrągłe i poważne, wydawały się szczere, a ona tak chciała jej uwierzyć. Rozpacz jednak, która stępiła jedne zmysły, wyostrzała inne i w głębi serca Susannah wiedziała, że teściowa kłamie jak z nut.

Wieczorem wrócił Sam. Przyniósł jej prezent - piękny ręcznie tkany szal, który oglądała w drogim butiku przed kilkoma tygodniami. Nie mówił, gdzie był, a ona była zbyt zmęczona, by pytać. Wpychając szal na samo dno szuflady, powtarzała sobie, że nikt nie jest doskonały i że musi pogodzić się z wadami Sama. Mimo to w ich małżeństwie pojawiła się pierwsza rysa.

Dopiero po kilku tygodniach dowiedziała się, że ojciec usunął ją z testamentu i zapisał wszystko Paige. „Wszystko” oznaczało miliony dolarów i pakiet kontrolny akcji FBT. Bolała jednak nie strata finansowa, ale świadomość, że jej nie wybaczył. Sam był zły, że nie zakwestionowała testamentu. Nienawidził Joela nawet po śmierci. Ona jednak nie chciała pieniędzy. Chciała, żeby żył. Żeby los dał im jeszcze jedną szansę. Czasami miała wrażenie, że tylko nawał pracy pozwolił jej przetrwać następne miesiące.

Nie miała czasu na żale nad sobą i na wyrzuty sumienia. Cały czas, który w innych okolicznościach zajęłoby rozpamiętywanie, pochłaniało SysVal. Jak na ironię sukces okazał się dla nich bardziej niebezpieczny niż klęska.

- Uspokój się, na litość Boską. - Sam łypnął na nią gniewnie. Nerwowo przechadzał się po miękkim dywanie przed gabinetem Lelanda Hoffmana, najpotężniejszego finansisty w San Francisco. - Kiedy zobaczą twoją minę, od razu się wycofają. Mówię poważnie, Susannah! Wszystko spieprzysz, jeśli... Mitch przestał udawać, że czyta, cisnął gazetę na stół.

- Daj jej spokój! Susannah, jak ty to wytrzymujesz? Sam, na twoim miejscu zastanawiałbym się, co im powiem, a nie wyzywał się na żonie!

- Pieprz się!

- Sam...

Susannah odwróciła się na pięcie.

- Przestańcie natychmiast! Wszyscy jesteście zdenerwowani. Nie możemy wyzywać się na siebie. - Mitch i Sam zawsze się kłócili, ale od śmierci jej ojca sytuacja znacznie się pogorszyła. W miarę rozpadu ich przyjaźni coraz bardziej zbliżała się do Mitcha. Nigdy nie zapomni, że był przy niej wtedy, gdy tego najbardziej potrzebowała.

Ostatnie miesiące były wyjątkowo ciężkie. Nie dość, że straciła ukochanego ojca, to jeszcze na dodatek SysVal miało kłopoty. Co tydzień przychodziły zamówienia, lecz skończyły się im pieniądze. Sam łypnął na nią gniewnie i przechadzał się dalej. Mitch nachmurzył się. Susannah podeszła do okna. Patrzyła na most Golden Gate i na ocean. Grudniowy deszczowy dzień był równie ponury jak jej nastrój.

Martwiło ją, że ilekroć go potrzebuje, Sam jest w fatalnym humorze. Na przykład dzisiaj. Od tego spotkania zależy wszystko. Jeśli nie zdobędą pieniędzy, nie przetrwają. W miarę jak napływały nowe zamówienia, gorączkowo zatrudniali personel, wynajmowali nowe pomieszczenia, szukali

podwykonawców - wszystko w przeciągu kilku miesięcy. Teraz nie mieli czym zapłacić rachunków. Pieniądze były na papierze, w postaci należności za komputery, ale nie mieli gotówki w rękę, a właśnie teraz bardzo jej potrzebowali.

Od początku wiedzieli, że płynność finansowa to ich największy kłopot. Zarówno Susannah, jak i Mitch twiedzili, że za miesiąc zostaną bez grosza. Koniec z niebezpiecznym balansowaniem na linie. Nie mają wyjścia, muszą szukać inwestorów. Mitch obserwował ukradkiem, jak wyprostowana stała przy oknie. Polubił ją podczas tego roku. Martwił się o nią. Śmierć ojca bardzo ją przybiła, a sytuacja SysVal komplikowała się bardziej z każdym dniem. Sam w niczym jej nie pomagał. Im częściej widział ich razem, tym bardziej był przekonany, że Sam potrafi tylko brać. Przyjmował wszystko, co Susannah miała do zaoferowania, a dawał jej bardzo niewiele.

Każde z nich trojga zdawało sobie sprawę, jak ważne jest to spotkanie. Oczywiście w mieście są inne firmy, nie tylko Hoffman Enterprises, ale Mitchowi szczególnie zależało właśnie na tej. Leland T. Hoffman to szczytowy lis, który wie wszystko o finansowaniu nowych przedsiębiorstw i który pomógł powstać niejednej fortunie. Jeśli Hoffman udzieli im poparcia, SysVal zacznie się liczyć.

Opinia publiczna coraz bardziej interesowała się mikrokomputerami. Commodore wprowadził PET. W sieci sklepów Radio Shack na terenie całego kraju demonstrowano TRS-80. I Blaze, i Apple cieszyły się zainteresowaniem małej, ale wiernej grupki. Tylko czy to wystarczy, by przekonać Hoffmana, że w SysVal warto inwestować? Sekretarka zaprosiła ich do sali konferencyjnej. Hoffman, siwy i pulchny, siedział za stołem z orzecha i kartkował kolorowy folder, który dla niego przygotowali. Ani jeden z pozostałych sześciu mężczyzn nie skinął im głową na powitanie – w żaden sposób nie dali znać, że zauważyli ich wejście. Mitch miał nadzieję, że ta taktyka nie odbierze jego wspólnikom odwagi.

Sam skrzywił się, widząc bogaty wystrój wnętrza, i rozsiadł się na krześle. Odchylił się do tyłu, wyciągnął przed siebie nogi jak naburmuszony James Dean. Susannah uśmiechnęła się uprzejmie i pochyliła nad dokumentami. Poprawiła spódnicę jasnoszarego kostiumu, na którego kupno Mitch namówił ją przed tym spotkaniem. Była zła, że zwraca sobie głowę jej strojami, a nie zwraca uwagi na wystrzępione dzinsy Sama. Mitch jednak wiedział dokładnie, jaki efekt chce osiągnąć, i ubiór partnerów nie był tu bez znaczenia.

Hoffman uniósł głowę i przyjrzał się Mitchowi znad okularów. Potem przesunął wzrok na Susannah.

- Dzień dobry, wujku Lelandzie - powiedziała.

Mało brakowało, a Mitch spadłby z krzesła. Wujku Lelandzie? Sam wydawał się równie zaskoczony tym, że jego żona zna Hoffmana. Mitch najchętniej udusiłby ją, że to przed nimi ukryła.

- Susannah, jak miło. Jak mogę pomóc twoim przyjaciółom? - Hoffman mówił energicznie i bardzo oficjalnie.

Mitch stracił resztki nadziei. Hoffman wcale nie traktuje ich poważnie. Zgodził się na spotkanie nie dlatego, że bierze pod uwagę możliwości zainwestowania w SysVal, ale dlatego że chciał zrobić grzeczność Susannah. Najchętniej walnąłby głową w ścianę. Zapomniał, że zaledwie kilka minut temu współczuł Susannah. Teraz zabiłby ją gołymi rękami. Miała mówić pierwsza. Wzięła teczkę i przeszła na środek sali. Wydawała się tak spokojna i opanowana, że nawet Mitch, który przecież znał prawdę, prawie dał się nabrać.

- Panowie - uśmiechnęła się uprzejmie. - Przede wszystkim chciałam przeprosić moich wspólników. Nie uprzedziłam ich, że spotkam dziś starego przyjaciela rodziny. Choć Leland nie jest moim krewnym, przyjaźnił się z moim ojcem i znam go, odkąd sięgam pamięcią. Nie mówiłam o tym, bo nie

chciałam, żeby moi współnicy choćby przez chwilę łudzili się, że dzięki starym znajomościom Hoffman Enterprise od razu sięgnie po książeczkę czekową. – Zamyślona zrobiła krok naprzód. – Gdybym była mężczyzną, synem swojego ojca, nie córką, stara znajomość działałaby na moją korzyść. Lecz jako kobieta, jako córka swojego ojca, mam wrażenie, że jestem w gorszej sytuacji. – Uśmiechnęła się do Hoffmana. – Kiedy byłam mała, nie widziałeś, żebym wspinała się po drzewach i uganiała za piłką. Widziałeś za to, że bawię się lalkami i urządzam dla nich herbatki. Patrzysz na dorosłą kobietę, ale jestem przekonana, że w głębi duszy krzywisz się na myśl o finansowym wsparciu dla małej dziewczynki, która, przyznaję to ze wstydem, szukała kiedyś u ciebie ratunku przed wyjątkowo obrzydliwym robalem.

Mężczyźni przy stole zachichotali. Mitch odprężył się. Nie sposób było cokolwiek wyczytać z miny Hoffmana, ale wmawiał sobie, że spodobała mu się przemowa Susannah. Coraz bardziej ją podziwiał. Jest naprawdę dobra. Nagle dotarło do niego, że Susannah bawi się całą tą sytuacją.

- Kobiety to rzadkość w branży elektronicznej - ciągnęła. - Zabawne, biorąc pod uwagę, że właśnie one mają używać małych komputerów. Uważam moją płeć za spory atut, bo mam na wszystko świeże spojrzenie. Jeśli jednak naprawdę panom przeszkadza, że jestem kobietą... - wskazała głową Sama i Mitcha przy końcu stołu i zakończyła z uśmiechem – moi współnicy mają aż nadto testosteronu.

Nawet Hoffman się uśmiechnął. Dopiero teraz, kiedy się rozluźnili, przeszła do właściwej prezentacji. Spokojnie, rzeczowo omawiała biznesplan, nad którym ślęczeli tyle czasu, prezentowała śmiało, ale realistyczne projekty. Jej spokojny głos z akcentem prywatnej szkoły przydawał ich firmie wiarygodności, czego nie zmieniały nawet nogi Sama na stole.

Skończyła, wróciła na miejsce. Jak zauważył Mitch, mężczyźni zerkali na dokumenty z odrobinę większym zainteresowaniem. Sam opuścił nogi na podłogę, wstał powoli.

- Są wygrani i przegrani - mruknął pod nosem. - Milionerzy, oszuści, durnie. - Potoczył po zebranych gniewnym wzrokiem. - I są zwycięzcy. A wiecie, co różni jednych od drugich?

- Uniósł pięść. - Misja. Różni ich misja!

Wędrowny kaznodzieja wyruszył w trasę. Przez kolejne dwadzieścia minut przechadzał się po sali, rozluźnił sobie krawat, ściągnął marynarkę, wbił dłoń w kieszeń dżinsów po to tylko, by po chwili dramatycznie przeciąć pięścią powietrze albo przeczesać włosy palcami. Malował wizję przyszłości słowami, które przypominały fajerwerki. Alleluja, bracie. Amen.

Kiedy było po wszystkim, Mitch był wniebowzięty. Dobrze zrobił, zdając się na intuicję. Nie musiał nawet otwierać ust. Sam i Susannah przedstawili SysVal tak, jak tego chciał - stabilność i solidność w połączeniu z wizjonerstwem i odwagą. Tylko głupiec zdołałby się im oprzeć, a Leland Hoffman nie jest głupi.

Dopiero za kilka dni dowiedzą się, czy Hoffman zechce ich finansować, wiedzieli jednak, że dali z siebie wszystko, i postanowili to oblać w Mom&Pop's. Sam natychmiast stanął do Zwycięzców, nowej gry, którą wszyscy oprócz Yanka uważali za najlepszą grę wszech czasów. Sam zawołał:

- Chodź, Suzie! Będziesz mnie dopingowała. - Jego gniew zniknął bez śladu. Podeszła do niego ochoczo. Pocałował ją lekko, nie odrywając oczu od ekranu. - Dobrze mi idzie. Daj mi jeszcze kilka minut, potem ty pograsz.

Staneła za nim, oparła podbródek na jego ramieniu i obserwowała, jak manipuluje dżojstikiem. Jej szalony mąż. Przesunęła dłonie na jego ramiona, czuła każdy ruch mięśni pod koszulką. Czasami miała wrażenie, że przy nim balansuje na skraju przepaści. Co będzie, gdy runie? Czy Sam jąłapie, czy zepchnie? Była to nieprzyjemna myśl. Odsunęła ją od siebie.

Mitch grał w inną grę na sąsiednim automacie. Podeszła do niego. Tęsknie spojrział na konsolę Sama.

- Skończył już?

- Nawet nie próbuj. Teraz moja kolej.

- Nie mam szans?

- Chyba że przekupisz mnie brylantami. Uśmiechnął się.

- Dobrze chociaż, że nie muszę się kłócić jeszcze z Yankiem. Nie rozumiem, dlaczego nie gra w Zwycięzców. Przecież uwielbia gry komputerowe.

- A kto rozumie Yanka?

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i Yank wszedł do restauracji. Susannah spojrziała w jego stronę i krzyknęła ze zdumienia. Sam odruchowo podążył za jej wzrokiem.

- Jezus, Maria - mruknął.

Yank zmierzał ku nim, lecz to nie on wywołał tak gwałtowne reakcje, tylko kobieta uwieszona na jego ramieniu. Miała ogniście rude włosy, szkarłatne usta, ostry makijaż i spodnie w lamparcie cętki tak obciste, jakby namalowano je na jej skórze. Nad nimi zaś kołysała się para piersi tak niewiarygodnie wielkich, że chyba tylko dzięki najnowszym osiągnięciom techniki utrzymywała je w skąpej złotej koszulce.

- Może to jego mamka. - Susannah nie mogła oderwać wzroku od monstrualnego biustu.

- Zwariowałaś - szepnął Mitch. - Udusiłaby go.

Yank podszedł do nich i skinął głową. Nie chciał słuchać o codziennych kłopotach firmy Nie zapytał, jak poszło z Hoffmanem, tylko o techniczny drobiazg.

- Co na to producent, Sam? Rozmawiałeś z nim.

Ja... tak. - W obecności towarzyszki Yanka Sam stracił swój dar wymowy.

Yank się zirytował.

- No dobrze. I co ci powiedział?

- Powiedział?

Susannah wzięła sprawy w swoje ręce. Uśmiechnęła się do towarzyszki Yanka.

- Jestem Susannah Faulconer.

- Kismet - przedstawiła się rudowłosa sztucznym, gardłowym głosem.

- Słucham?

- Kismet Jade. To pomysł mojego numerologa. Jesteś Strzelcem, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie. - Susannah przedstawiła jej pozostałych, ale Kismet nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem. Zbyt była pochłonięta umieszczaniem lewej piersi na przedramieniu Yanka.

- Jestem głodna, ogierze - zamruczała. - Postawisz mi kolację czy muszę na nią zapracować? - Posłała mu uwodzicielski uśmiech, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do charakteru pracy, którą miała na myśli.

Yank spokojnie poprawił okulary na nosie.

- Chętnie postawię ci obiad. Pizza jest pyszna, hamburgery też nie są złe.

- Ogierze? - mruknął Mitch pod nosem.

- Zamówię pizzę - zaproponowała Susannah. Kismet przejechała paznokciem po dłoni Yanka.

- Zagraj ze mną w Zwycięzców, zanim podadzą jedzenie.

- Przykro mi, Kismet, ale nie gram w Zwycięzców. Nadała się.

- A dlaczego? To najlepsza gra w tym roku. Yank zdenerwował się nie na żarty.

- Przykro mi, Kismet. Nie lubię tej gry. Sam to nasz mistrz, nie ma lepszego gracza niż on. - Zerknął



na niego błagalnie. - Zagrasz z Kismet?

- Eee, pewnie. Nie ma sprawy.

Mitch zostawił automat do gry i wrócił z Susannah do stolika.

- Zdecydowanie różni się od Roberty - stwierdził. - Sam będzie miał kłopoty z koncentracją.

- Ty też- zauważyła, siadając.

Kismet zakłęta, chichocząc przy tym seksownie, gdy Sam rozgromił ją na drugiej planszy. Wzięła ćwierćdolarówkę od Yanka. Susannah obserwowała całą trójkę.

- Zastanawiałeś się, co z nami będzie, jeśli się uda?

- Cały czas.

- Nie chodzi mi o firmę, ale o nas, o ludzi. Przynajmniej na papierze będziemy bogaci.

- Ja już jestem, ty byłaś. Wiemy, jak to jest. Wpatrywała się w Sama i Yanka. Oni nie.

- Wszystko się zmieni, Susannah.

- Tak, masz rację. - Napiała się piwa.

Po przeciwnej stronie sali Kismet otoczyła chudą szyję Yanka ramionami i wsunęła mu w usta doświadczony język.

Susannah była rozbawiona i smutna zarazem. Mitch ma rację. Wszystko się zmieni.

## Część druga

### *Misja*

*Razem wyruszamy ku przygodzie, by dać ludzkości najlepszy komputer na świecie. Będziemy wierni naszym produktom, przedkładając jakość i jedność nad wszystko. Wyruszamy ku przygodzie, bo ona pozwoli nam rzucić wyzwanie losowi i nam samym.*

Deklaracja Korporacji Komputerowej SysVal

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Pojawiły się pieniądze. Szybkie, duże pieniądze. Nowe pieniądze. Pieniądze, które aż się prosiły, by je wydawać. Nadeszła nowa dekada. Największa przemysłowa karuzela XX wieku nabierała rozpędu. Dolina Krzemowa płynęła złotem. Domowe gry wideo podbiły serca Amerykanów. W 1982 roku komputer w domu nie wydawał się wcale szaleństwem. Firmy wyrastały jak grzyby po deszczu. Jedne upadały równie nieoczekiwanie, jak powstały, inne przynosiły niewyobrażalne wręcz zyski.

W ekskluzywnych dzielnicach Los Gatos, Woodside i Los Altos Hills inżynierowie wyskakiwali z jacuzzi, zakładali garnitury od Armaniego, wsiadali do bmw i śmiali się na całe gardło. Jesienią 1982 roku, Dolina należała do jajogłowych. Pryszczaci, okularnicy, grubi, chudzi, samotni i wyśmiewani byli niekwestionowanymi królami całej cholernej doliny! Jezu, ale fajnie.

Yank z piskiem opon zaparkował swego porsche dziewięćset jedenaście na parkingu przed siedzibą SysVal i skierował się do głównego wejścia. W roztargnieniu skinął głową dwóm dziewczynom z księgowości, nieświadom, że odprowadzają go tęsknym wzrokiem.

Udawał, że nie zauważa uzbrojonego strażnika koło recepcji. Wszyscy pracownicy SysVal wchodzili do budynku po okazaniu plastikowego identyfikatora. Nawet Sam nosił małą plaketkę. Tylko Yank odmówił. Udawał, że identyfikatory nie istnieją, i Susannah zrobiła dla niego wyjątek.

Teoretycznie wszystko rozumiał, wiedział, że cudowne beztrioskie dni zapaleńców w garażach odeszły bezpowrotnie, że skończyły się czasy bezinteresownej wymiany informacji. Był wrzesień 1982 roku. John Lennon nie żył, w Białym Domu zasiadał Ronald Reagan, Wuj Sam dokopał AT&T. Świat się zmieniał, w Dolinie roilo się od szpiegów przemysłowych. Chcieli wykraść najnowsze technologie i sprzedać je Japończykom, Rosjanom albo konkurencji z sąsiedniej ulicy. Sukces SysVal czynił z firmy smakowity kąsek dla pasożytów. Yank to wszystko rozumiał, ale i tak nie będzie nosił identyfikatora.

Gdy szedł korytarzem w stronę supernowoczesnego laboratorium, wybudowanego za miliony dolarów specjalnie dla niego, miał wrażenie, że zapomniał o czymś istotnym. Zaraz jednak odsunął od siebie tę myśl. Co może być ważniejszego niż praca nad nowym modelem? Właśnie wpadł na nowy pomysł... Szesnaście kilometrów dalej w ociekającej złotem sypialni jego domu w Portola Valley modelka Tiffani Wade zmarszczyła śliczne czołko.

- Yank? Yank, chodź! Jestem gotowa!

Zawołała go jeszcze trzykrotnie, zanim zdała sobie sprawę, że nikt jej nie odpowie. Opadła na poduszki.

- Ty draniu - mruknęła pod nosem. - Znowu mi to zrobiłeś.

Susannah wyłączyła Blaze III i przeciągnęła się z rozkoszą. Któryś z pracowników znowu bawił się syreną. Nie zwracała na to uwagi. W Sys-Val ludzie w kółko bawili się syreną i wygłupiali przez radiowęzeł, choćby po to, żeby nikt, broń Boże, nie pomylił ich z IBM czy FBT.

Jakby w odpowiedzi z głośników rozległ się głos:

- Uwaga, uwaga! Japończycy atakują parking! Właściciele amerykańskich aut proszeni są o zejście do schronu. To nie ćwiczenia, powtarzam, to nie ćwiczenia. Spojrzała w sufit. Boże uchowaj przed prawdziwym niebezpieczeństwem. Nikt by nie uwierzył.

W SysVal pracowali głównie młodzi mężczyźni między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, dumni ze swej niesforności. Sam Gamble był ich idolem od początku istnienia firmy. Nawet geniusze w Apple Computer nie byli równie bezczelni, równie arogancy, równie dziwni jak ludzie z SysVal. Ci z Apple w piątki tonęli w morzu piwa, w SysVal na dodatek oglądali pornosy. Chłopcy z SysVal dumnie obnosili się ze swoją młodością, odwagą, poczuciem misji. To dzięki nim ludzkość poznała się na geniuszu małego Blaze. Podobnie jak ich charyzmatyczny przywódca byli młodzi, niezwycześni, nieśmiertelni.

Susannah zdjęła okulary i rozmasowała bolący nos. Zerknęła na sfatygowaną tarczę do rzutków z wymalowanym pośrodku logo Apple. Przed oczami stanęła jej cała piątka: Jobs i Woz, Yank, Sam i ona. Nieudacznicy, kujoni, buntownicy i dama z towarzystwa. Żadne z nich nie ukończyło college'u. Tymczasem w ciągu pięciu lat, które upłynęły od Targów Komputerowych Zachodniego Wybrzeża, wszystko, czego się dotknęli, zamieniało się w złoto. Teoretycznie każdy ze wspólników SysVal wart był ponad sto milionów dolarów, podczas gdy Steve'a Jobsa w Apple wyceniano na trzysta. Czasami rozmiar sukcesu przerażał ją śmiertelnie.

Sfatygowana tarcza z logo Apple była żywym dowodem dawnej rywalizacji między dwiema firmami, lecz w ciągu ostatnich lat wszystko się zmieniło. Na początku lat osiemdziesiątych wielkie firmy wreszcie zorientowały się, że zostały w tyle. Pod koniec 1981 roku IBM wypuściło na rynek swego IBM PC. W odpowiedzi Apple Computer zdobyło się na brawurowy gest, którego zazdrościła im do dzisiaj. Wykupiło całe strony w gazetach o zasięgu krajowym i umieściło na nich napis: WITAJ, IBM. POWAŻNIE. Poniżej bezczelne żółtodzioby udzielały praktycznych rad starym wyjadaczom z

IBM, jakby IBM było zbyt młode i głupie, zbyt niedoświadczone, by wiedzieć cokolwiek. Cała Dolina śmiała się z tego przez wiele miesięcy.

Malutki zdalnie sterowany samochodek wjechał do jej gabinetu, zakręcił się i zniknął za rogiem. Inżynierowie z SysVal znowu się dobrze bawią. Założyła włosy za uszy. Nosiła teraz krótszą, lżejszą fryzurę, włosy laskotały ją w policzki i łagodziły ostrość rysów. Ponieważ tego dnia nie miała żadnych spotkań, włożyła miękki sweter i dżinsy. Na jednej ręce miała dwie cienkie złote bransoletki, przegub drugiej oplatała szeroka złota obręcz. Na wskazującym palcu prawej ręki połyskiwał dwukaratowy brylant, który sama sobie kupiła. Lepiej więcej niż mniej, stwierdziła autorytarnie.

Pod wpływem impulsu sięgnęła po telefon i wykręciła numer wewnętrzny do gabinetu Mitcha. W tej samej chwili Blaine stanął w drzwiach.

- Telepatia - stwierdziła. Wystarczył sam jego widok, by jej napięcie znikło. - Właśnie do ciebie dzwoniłam.

Ciężko opadł na krzesło.

- Ktoś zostawił stanik w korytarzu.

- O ile jego właścicielka nie biega teraz topless po firmie, nie narzekaj.

Z nich wszystkich Mitch zmienił się najmniej. Spoważniał może, na skroniach pojawiła się siwizna, ale jego ciało nie straciło dawnej muskulatury. W wieku trzydziestu siedmiu lat wiceprezes SysVal do spraw sprzedaży i marketingu był równie zwinny i silny jak ulubiony gracz Woody'ego Hayesa.

Mitch był najspokojniejszym pracownikiem SysVal. Bardzo się zaprzyjaźnili z Susannah. Natychmiast zauważyła, że jest bardzo zmęczony. Od kilku miesięcy pracował ponad siły, chcąc zdobyć dla nich kontrakt na komputeryzację urzędów stanu Kalifornia. Było im to potrzebne, by skończyć prace nad Wildfire i zaprezentować komputer nowej generacji, póki rywale są jeszcze w lesie. Niestety, konkurentem do lukratywnego kontraktu było FBT, a Cal Theroux ostro lansował Falcona 101.

- Bądź ze mną szczerza - poprosił, prostując długie nogi. - Uważasz, że jestem sztywny?

Ty? Broń Boże!

- Nie żartuję. Powiedz.

- Szczerze? Skinął głową.

- Tak. I to bardzo.

- Cóż, dziękuję. Bardzo ci dziękuję. - Łypnął na nią krwiożerczo. Uśmiechnęła się.

- Czyżby ta nieoczekiwana autoanaliza miała coś wspólnego z twoją ostatnią zdobyczą, czyli piękną, utalentowaną i cholernie bezczelną Jacqueline Dane?

- Jacqueline nie jest bezczelna. To jedna z najlepszych aktorek w tym kraju.

- O czym przypomina nam przy każdej okazji. Widziałeś wywiad z nią w zeszłym tygodniu? Bez przerwy podkreślała konieczność kręcenia poważnych filmów o poważnych rzeczach. Przeczesała włosy palcami, jakby miała łupież. Za każdym razem, gdy ją widzę, udaje się jej zauważyć w rozmowie, że skończyła Yale. Przecież nawet obgryza paznokcie. Popatrzył na nią z komiczną powagą.

- Wolałabyś, żebym umawiał się z idiotkami jak Yank?

- Wiesz co? Obu wam wyszłoby na dobre, gdybyście na kilka miesięcy zamienili się kobietami. Yankowi przyda się dziewczyna o ilorazie inteligencji wyższym niż limit prędkości w terenie zabudowanym, a tobie bardziej wyluzowana kobieta. Szczerze mówiąc, Mitch, nie wierzę, żeby

Jacqueline nazwała cię sztywnym. Ta kobieta nie umie się uśmiechać.

- Przecież przed chwilą sama powiedziałaś, że jestem sztywny - zauważył.

- Mnie wolno, bo jestem twoją najlepszą przyjaciółką i cię uwielbiam. Ją natomiast interesują jedynie zmarli filozofowie o nazwiskach, których nie potrafi wymówić żaden normalny człowiek.

- W czasie małżeństwa z Louise poznałem wystarczająco dużo rozrywkowych kobiet. Dziękuję bardzo, mam dosyć.

Susannah z niesmakiem pokręciła głową. Nie ma na niego rady. W ciągu minionych sześciu lat Mitch związał się z trzema kobietami. Wszystkie były piękne, inteligentne i rozsądne. Susannah do tej pory nie mogła zdecydować, która była najgorsza. W głębi serca Mitch tęsknił za rodziną i Susannah obawiała się, że lada dzień oświadczy się Jacqueline Dane. A aktorka, co gorsza, przyjmie go z otwartymi ramionami. Mitch dziwnie działa na kobiety. Jak na takiego sztywniaka bardzo łatwo je podrywa.

Wiedziała, że strzepi język na darmo, ale nie dawała za wygraną.

- Dlaczego nie pozwolisz, żebym cię z kimś umówił? Naprawdę, Mitch, wiem dobrze, kogo ci trzeba. Potrzebna ci kobieta inteligenta, ale ciepła. Taka, która nie będzie ci matkowała, bo tego nie znosisz. Kobieta z poczuciem humoru za dwoje, bo ty nie masz go za grosz. - To była nieprawda. Miał fantastyczne poczucie humoru, tyle że zbyt wysublimowane, by zauważali je wszyscy dokoła. - Kobieta o niezbyt wybujałym temperamencie, bo starzejesz się i łóżko nie pociąga cię już tak bardzo jak dawniej.

- Tego już za wiele. - Zerwał się na równe nogi. - Mój temperament to nie twoja sprawa.

- No tak, to drażliwy temat. Prawda w oczy kole. - Usiłowała wyobrazić sobie, że prowadzi taką rozmowę sześć lat temu. Niemożliwe. SysVal zmieniło ich wszystkich. Uśmiechnął się nagle.

- Odkąd jesteś obrzydliwie bogata, zachowujesz się jak rozpuszczony bachor, wiesz?

- Wszyscy jesteśmy obrzydliwie bogaci. I nie zachowuję się jak bachor.

Nie był już tak spięty jak na początku. W firmie kryzysy pojawiały się co chwila. Ona i Mitch odkryli już dawno, że przyjacielskie sprzeczki i przekomarzania pomagają im się rozluźnić.

W głośniku odezwał się gniewny męski głos:

- Co za sukinyś buchnął mi pieprzony kalkulator? Proszę natychmiast mi go oddać! Mitch skrzywił się z niesmakiem i pytająco spojrzął na głośnik.

- Susannah? Westchnęła.

- Dobrze, przypomnę, żeby nie przeklinali.

Już dawno nauczyli się, że nie ma sensu zamykać radiowęzła na klucz. Spryciarze z SysVal uwielbiali włamywać się od zamkniętych pomieszczeń. Zapytała, jak było w Bostonie. W ciągu minionych lat dzieci Mitcha często go odwiedzały i Susannah bardzo je polubiła. Na jej biurku stał obrazek, prezent od dziewięcioletniej Lizy, i przycisk do papieru, który David specjalnie dla niej zrobił na plastyce.

Mitch podszedł do okna.

- W końcu poznałem nowego męża Louise. Wypiliśmy kilka piw i porozmawialiśmy o dzieciach. Twierdzi, że dobrze się z nimi rozumie, ale nie chce zająć mojego miejsca. Widzi siebie jako starszego brata, nie ojca. Równy gość.

- Nie cierpisz go, co?

- Miałem ochotę rozkwasić mu nos.

Uśmiechnęła się współczująco. Nie po raz pierwszy dotarło do niej, że Mitch jest znacznie lepszym

przyjacielem niż Sam.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Gdy Mich wyszedł, Susannah zaburczało w brzuchu. Przypomniała sobie, że jest głodna. Może uda się namówić Sama na wcześniejszy powrót do domu. Miło byłoby spędzić razem wieczór i zjeść kolację we dwoje. Nie pamiętała, kiedy ostatnio byli sami.

Wstała. Wolała nie myśleć, że Sam nie chce spędzać z nią długich wieczorów. Postanowiła sobie, że w pracy nie będzie się martwiła domowymi problemami, ale było to trudniejsze, niż się spodziewała. Wychodząc z gabinetu, zmusiła się, by myśleć o firmie. SysVal było potentatem. Dzięki genialnej strategii finansowej Mitcha każde z nich było właścicielem piętnastu procent akcji. Susannah nie chciała nawet myśleć, jacy są bogaci.

Takie sumy są wręcz nieprzyzwoite. Skręciła za róg i wpadła na dwóch inżynierów, którzy bawili się zdalnie sterowanym samochodem. Pogadała z nimi, pochwaliła zabawę i poszła dalej. Nie wiedziała, że odprowadzają ją tęsknym wzrokiem.

Susannah nie była ładna, lecz coś w niej doprowadzało młodych mężczyzn z SysVal do szaleństwa. Może to przez obcisłe dzinsy i długie smukłe nogi. A może chodziło o sposób poruszania się - spokojny, dumny. Jednak pociągała ich nie tylko jej uroda. Potężnym afrodyzjakiem była władza i rosnący wpływ w męskim świecie. Mówiąc krótko, Susannah stanowiła zapierającą dech w piersiach kombinację seksapilu, inteligencji, pieniędzy i władzy, co czyniło ją bardzo pociągającą w oczach młodych mężczyzn ściągających do SysVal z całego świata. Licytowali się w opisach, co by z nią zrobili w łóżku, ale w rzeczywistości bardzo ją szanowali. Susannah była surowa i wymagająca, lecz sprawiedliwa. W przeciwieństwie do innych. Sama nie było w gabinecie.

Susannah szukała go dalej. Siedziba SysVal składała się z trzech budynków. Jej gabinet znajdował się w największym. Centralna część była oszklona. Ścianki działowe nie sięgały sufitu. Z jednego z laboratoriów dobiegały dźwięki rockowej piosenki, w kąciku dwaj mężczyźni pochylali się nad grą. W SysVal granice między pracą i rozrywką były bardzo płynne.

Z lewej strony zobaczyła światło, gwałtownie więc skręciła w tamtą stronę. Choć było już po szóstej, dział nowych produktów nadal pracował nad Blaze Wildfire, supernowoczesnym komputerem, który mieli nadzieję wypuścić na rynek w przeciągu roku.

Nieważne, jak barwne wizje malował Sam, mówiąc o Wildfire, to Blaze III stanowił siłę napędową SysVal, podstawę istnienia firmy. Amerykanie kupowali go dzieciom na święta, małe firmy polegały na nim coraz bardziej. To Blaze III wreszcie uczynił z nich milionerów, choć przyczyniły się do tego także starsze modele, Blaze I i II. Z jednej z sal konferencyjnych dobiegł ją głos Sama. Zatrzymała się w progu, by na niego popatrzeć. Dawniej rozpałał ją sam jego widok. Teraz ogarnęło ją poczucie klęski. Musi coś zrobić, żeby znowu było dobrze. Ale od czego zacząć, skoro nie wie nawet, na czym polega problem?

Siedział okrakiem na krześle. Podwinął rękawy białej koszuli, rozpiął kołnierz, stopy we włoskich mokasynach zaplótł wokół stołka. Na podłodze siedział tuzin zapatrzonych w niego słuchaczy. Chciwie chłonęli każde słowo Kazania na Górze. Błogosławiony niech będzie mikrochip, przemknęło jej przez myśl, albowiem jego wyznawcy opanują ziemię. Pracownicy kochali i nienawidzili Sama jednocześnie. Z zapalem apostoła namawiał do rzeczy niemożliwych, ale denerwowały go błędy i brutalnie za nie krytykował. Mimo to nieliczni odchodzili, gdy publicznie zmieszał ich z błotem. Dzięki niemu mieli poczucie misji. Są wojownikami ostatniej wyprawy krzyżowej.

Nawet ci, którzy z czasem go znienawidzili, wychodzili ze skóry, żeby go zadowolić. Zmarszczyła

brwi, widząc, jak chłoną każde jego słowo. Wokół Sama wytworzyła się aura proroka. Martwiło ją to. Może to dobre dla firmy, ale szkodliwe dla Sama. Dostrzegł ją stojącą w drzwiach. Zmarszczył brwi, zły, że mu przerywa. Pamiętała, jak dawniej uśmiechał się na jej widok. Kiedy się zmienił? Czasami miała wrażenie, że wszystko zaczęło się w dzień pogrzebu jej ojca.

Wskazała kuchnię na tyłach budynku. Poczekaj tam na niego. Ponownie skupił się na słuchaczach. Odeszła dumnie wyprostowana. W drodze do kuchni minęła kobietę z dwójką dzieci. Szli do stołówki. Mieli identyfikatory dla gości. Matka niosła wielki kosz piknikowy. Susannah nachmurzyła się jeszcze bardziej. Nie po raz pierwszy widzi coś takiego. W SysVal pracowano tak długo, że coraz częściej żony zjawiały się z dziećmi i jedzeniem, żeby chociaż raz na jakiś czas urządzać namiastkę rodzinnego obiadu. W SysVal byli sami pracoholicy, co odbijało się na ich życiu rodzinnym. Sam nie wziął tego pod uwagę, wcielając w życie utopijną wizję firmy idealnej. No tak, dla Sama rodzina nie jest ważna. Dotknęła swego łona, pustego niestety. Jak długo jeszcze będzie tłumiła w sobie pragnienie macierzyństwa? To, że jest prezesem SysVal, nie znaczy, że przestała być kobietą.

Podeszła do lodówki i wyjęła kubeczek jogurtu. Nagle zacisnęła powieki. Co robić? Jak ratować małżeństwo? Coraz częściej Sam wydawał się wrogiem, kolejnym mężczyzną, którego trzeba zadowolić, kolejnym egzaminatorem, którego oczekiwania musi spełnić. Wpadł jak burza, zmęczonym gestem przeczesał krótkie ciemne włosy.

- Susannah, musisz porozmawiać z ludźmi z marketingu. Mam ich dosyć. Albo zajmą się Wildfire, zaangażują całkowicie, albo niech spadają do starych dup w Apple. Przecież to banda...

Nie przerywała mu. Pewnie jutro zrobi awanturę w dziale marketingu, a potem będzie musiała po nim posprzątać. Mimo trzydziestu lat pod wieloma względami pozostał małym chłopcem. Osunął się na krzesło. Podaj mi colę. Posłuchała. Otworzyła szybko puszkę, postawiła przed nim, stanęła z tyłu i pocałowała go lekko. Jego usta były suche i chłodne. Zawsze się dziwiła, że nie są rozpalone do czerwoności po tym, jak przemawiał. Powoli masowała mu napięte mięśnie barków.

- Może w piątek urwiemy się wcześniej i wyjedziemy do Monterey? Słyszałam, że jest tam uroczy zajazd. Z widokiem na ocean.

- Nie wiem, może. Dobrze nam to zrobi.

- Tak, chyba tak.

Wiedziała, że Sam wcale nie chce wyjechać. Jego życiem było szalone tempo firmy Nawet w domu myślał, pracował, wrzeszczał na pracowników przez jeden z siedmiu aparatów telefonicznych. Czasami wydawało się jej, że Sam chce uprzedzić los.

Jej dłonie znieruchomiały na jego barkach.

- To właściwy moment. Odsunął się gwałtownie.

- Boże, tylko nie zaczynaj znowu o dziecku, dobrze? Tylko nie to. Nie masz czasu, żeby wybrać ze mną dywan do jadalni. Niby kiedy zajmiesz się dzieckiem?

- Nie lubię wybierania dywanów. Dzieci - owszem. Mam trzydzieści jeden lat, Sam. Mój zegar biologiczny tyka coraz głośniej. Pod koniec roku w SysVal będzie żłobek. Dzięki temu i mnie, i innym kobietom w firmie będzie o wiele łatwiej.

Jeszcze nie skończyła mówić, a już wiedziała, że popełniła błąd, wspominając o żłobku. Sam wykorzystała to, by sprowadzić rozmowę na tematy zawodowe.

- Nie wiem, czemu zachowujesz się tak, jakby temat żłobka był zamknięty. Nie poprę cię, Mitch chyba też nie. Firma nie musi się zajmować dziećmi pracowników, na litość Boską.

- Owszem, jeśli chce zatrzymać w pracy kobiety. Będę o to walczyć, Sam. Jeśli będę musiała,

wystąpię z tym na zebraniu zarządu.

- Nie po raz pierwszy. - Zerwał się gwałtownie. - Nie rozumiem cię, Susannah. Walczysz ze mną bez przerwy.

Nieprawda. Jej zdaniem to Sam miał najbardziej klarowną wizję, jak powinno wyglądać SysVal. Dzięki niemu firma nie kosztowała. Organizacja była płynna, ruchoma i opłacalna.

- Sam nie wiem, Susannah. Bardzo się zmieniłaś. I wcale nie wiem, czy na lepsze. – Obrzucił wzrokiem jej strój. Nie lubił, kiedy nosiła dzinsy. Nie znosił jej nowej fryzury. Wpadał w szal, gdy słyszał, jak przeklina. Nagle zdała sobie sprawę, że jakaś część Sama chciała, by była taka, jak na początku ich znajomości.

- Sam, musimy spędzać razem więcej czasu. Musimy rozwiązać nasze problemy ale nie uda się nam to, jeśli wciąż będą dzwoniły telefony, a wokół będzie kupa ludzi.

- Powtarzasz się jak zepsuta płyta, wiesz? Nie chcę tego słuchać. Mam dosyć spraw na głowie, daruj sobie te kazania.

- Przepraszam. Sam?

Mindy Bradshaw weszła do kuchni ostrożnie, jakby po podłodze pełzały grzechotniki. Była szczupłą, anemiczną blondynką o cienkich, delikatnych włosach, które opadały jej na twarz jak jasny welon. Niedawno dołączyła do działu nowych produktów. Brakowało jej pewności siebie i dlatego coraz częściej stawała się obiektem werbalnej chłosty Sama. W ciągu ostatnich tygodni Susannah nieraz widziała ją we łzach, choć nie tak wyobrażała sobie zachowanie nielicznych w firmie kobiet, z których była bardzo dumna. Mimo brutalności Sama Mindy była wpatrzona w niego jak w obraz.

Sam ucieszył się, że nie musi dalej rozmawiać z żoną.

- O co chodzi, Mindy?

- Pete i ja pomyśleliśmy... Wpadło nam do głowy...

- Do cholery, Mindy, zacznij od początku, dobrze? Po pierwsze, wejdź tu, jakby to była twoja kuchnia. Plecy wyprostowane, patrz mi w oczy i powiedz, że mam się wypchać, jeśli to masz na myśli.

- Nie, nie - zapewniła bez tchu. - Tylko że siedzimy z Petem nad danymi i wymyśliliśmy coś w związku z cenami. Gdybyś mógł rzucić okiem...

- Jasne. - Cisnął pustą puszkę do kosza na śmieci i wyszedł, nie zaszczyciwszy Susannah spojrzeniem.

Wróciła do swojego gabinetu. W ostatnich latach nauczyła się walczyć, ale jak walczyć w takiej sytuacji? Pod wpływem impulsu skręciła w stronę wschodniego skrzydła. Może Yank jeszcze u siebie siedzi. Czasami, gdy była w złym humorze, lubiła do niego zaglądać. Nie rozmawiali, ale i tak jego obecność działała na nią pokrzepiająco. Uspokajały ją jego wyważone ruchy i przenikliwe spojrzenie, o ile oczywiście w ogóle ją zauważył.

Zawahała się. Nie będzie wykorzystywała innych tylko dlatego, że sama nie daje sobie rady z kłopotami. Wróciła do siebie i włączyła Blaze III. Patrzyła na komputer z mieszaniną miłości i goryczy, a potem zajęła się pracą.

Późnym wieczorem tego samego dnia Sam wszedł do wanny na dworze. Za plecami miał supernowoczesny dom. Dach odcinał się na tle nieba jak skrzydła nietoperza. Mieściło się na nim osiemnaście baterii słonecznych. Niemal rok zespół architektów i Sam projektowali ten dom, budowa zajęła kolejne dwa lata. Wszystko tu było najlepsze, w pierwszym gatunku. Wewnątrz

czekały miękkie bezkształtne kanapy pokryte białym zamszem i stoły z blatami z selenitu o nierównych krawędziach. Taras wyłożono marmurem i czarnym granitem. Surowe, geometryczne meble ze stali lśniły dyskretnie. Wanna wykonana z czarnego marmuru rozmiarami przypominała niewielki basen.

Rozsiadł się wygodnie. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Zanurzony w wodzie czarnej jak atrament, patrzył na migoczące poniżej światła Doliny i wyobrażał sobie, że to gwiazdy, a on szybuje w kosmosie. Zapomniał o wszystkim, czuł tylko pieśczętę wody i pęd powietrza w nieznannej przestrzeni.

Ma więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek śmiał marzyć. Może kupić wszystko, co zechce, pojechać, dokąd zechce, zrobić, czego zapragnie, ale czegoś mu brakuje. Woda szumiała cicho. Znajdź to, szepnął jakiś głos. Rozejrzyj się i znajdź brakującą część. Ma dopiero trzydzieści lat, nie chce się ustatkować. Gdzie się podziały wyzwania? Ryzyko? SysVal już mu nie wystarczało. Susannah też nie. Jakiś dźwięk wyrwał go z zadumy. Drzwi na taras otworzyły się i po chwili zobaczył żonę. Z wrogością obserwował, jak ciałniej otula się jedwabnym szlafrokiem. Nocne powietrze było chłodne, przenikliwe.

- Nie mogłeś zasnąć? - zapytała.

Osunął się głębiej w czarną toń. Chciał, żeby sobie poszła.

- Mogę dołączyć? - zapytała miękko. Wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz.

Rozwiązała szlafrok. Nie miała nic na sobie. Woda zafalowała, gdy siadała obok niego. Gorąca.

- Jak zawsze. - Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy, żeby o niej zapomnieć. Poczł palce na ramieniu.

- Sam, martwię się o ciebie.

- Nie musisz.

- Dlaczego mi nie powiesz, co jest nie tak? Gwałtownie otworzył oczy.

- Ty! Daj mi w końcu spokój!

Przez chwilę nie robiła nic. Potem wstała. Woda lśniła na jej ciele. Błądził wzrokiem po drobnych piersiach, talii, kasztanowych loczkach między nogami. Tak bardzo go podnieca. Złapał ją za rękę, zanim zdążyła odejść, i pociągnął na dół. Straciła równowagę, upadła niezdarnie. Przewrócił ją na plecy.

- Rozsuń nogi.

- Nie chcę. - Starła się wyrwać.

- Zrób to, do cholery.

- Sam, nie. Musimy porozmawiać. Seks nie załatwi sprawy.

Chciała wstać. Zacisnął zęby i przydusił ją sobą. Nie będzie jej słuchał. Odnajdzie dawne wyzwanie, płomień, słodycz zwycięstwa. Siłą rozsunał jej uda i wszedł jednym ruchem. Nie była gotowa. Syknęła z bólu, ale nie zwrócił na to uwagi. Wbiła ręce w jego pierś, starła się go odepchnąć.

- Cholera, Sam, nie rób tego!

Nie ustępował. Czarna woda bulgotała jak czarnoksiężska mikstura. Biła od niego para, wchodził w nią coraz mocniej. Przeklinał ją w myśli. Kiedyś dawała mu szczęście. Kiedyś życie było ekscytujące... Wszystko było nowe, firma, Susannah... Kiedyś życie było ciekawe. Krzyknął, szczytując. Ciężko opadł na nią. Zepchnęła go z siebie i wyskoczyła z wanny.

- Susannah...



Odwróciła się na pięcie. W szarych oczach błyszczała wściekłość.

- Nie waż się tak mnie traktować.

Górowała nad nim, naga i gniewna. Odcinała się na tle nieba, księżyc otaczał jej głowę srebrną aureolą. Woda spływała po piersiach jak rtęć. Wydawała się lśnić w świetle księżyca. Była zarazem święta i pogańska. Nie mógł znieść jej siły. Siły i odwagi, których w niej nie było, gdy spotkali się po raz pierwszy. Kiedy go wyprzedziła? Kiedy poznała sekrety, których on nie zna? Poczł przyływ mrocznych uczu. Krzyknął do niej:

- Dlaczego miałbym się przejmować tym, jak się czujesz? Nie zależy ci na mnie!

Patrzyła na niego z góry opromieniona nieziemskim światłem.

- Sam nie wiesz, czego chcesz.

Chciał, by powróciło dawne uczucie, że za jej sprawą wszystko wraca na swoje miejsce, a on staje się całością. Że Susannah łagodzi jego szorstkość, tłumi niecierpliwość. Chciał, aby przegnała strach przed śmiercią. Chciał, by rozwiła nudę, pokazała mu nowy cel. Chciał, żeby nadała jego życiu sens. Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Wstał energicznie.

- Jeśli nie wiesz, co jest nie tak, nie będę ci niczego tłumaczył.

- Musisz pogodzić się ze sobą - powiedziała cicho. - Nie mogę zrobić tego za ciebie.

To zdenerwowało go jeszcze bardziej.

- No tak, mogłem się spodziewać, że zwalisz winę na mnie! Ale to twoja wina, Susannah, nie moja!

Odwrócił się na pięcie, ale jeszcze nie skończył. Spojrzał na nią znów i zadał ostateczny cios.

- Ostrzegam! Nie waż się manipulować pigułkami! Zadrzała.

- Świnia.

Jej policzki lśniły, nie wiedział, czy od wody, czy do łez.

- Jeśli zajdziesz w ciążę, zostawię cię - powiedział jadowitym głosem. - Mówię poważnie.

Pobiegła do domu. Zapomniany szlafrok leżał na skraju wanny.

- Wszystko ma się zmienić! - zawołał za nią. Nie słyszała go, zniknęła w domu. Został sam.

## Rozdział dwudziesty drugi

FBT obudziło się z ręką w nocniku. Wszystkie prognozy, specjaliści, legiony doktorów i profesorów oraz dziesiątki lat doświadczenia poszły na marne, bo nikt nie przewidział, że masy pokochają komputery osobiste.

Osobiste. Już sama nazwa budziła odrazę. Osobisty może być dezodorant, na rany Boskie! Pod koniec lat siedemdziesiątych menedżerowie klepali się po plecach, śmiali i gratulowali sobie, w wywiadach rozwodzili się nad przewidywalnością rynku i stabilną marką. Wychwalali tradycje FBT, zachwycali się wielkimi nieporęcznymi komputerami i lekkim tonem przytaczali zawrotne sumy – zyski z raportów rocznych. A im więcej mówili, im głośniejsze się przechwalali, tym bardziej kpił z nich światowy biznes. W końcu wykiwała ich banda szczeniaków.

Cal Theroux nie mógł tego znieść. To dzięki niemu FBT odzyskało wiarę w własne siły, gdy w 1982 roku wypuściło na rynek komputer osobisty Falcon 101. Od samego początku było to jego oczko w głowie. Sukces Falcona pomógł mu umocnić swoją pozycję w FBT. Cal wykorzystał zainteresowanie komputerem do własnych celów. W przeciwległym kącie gabinetu sekretarka rozpakowała jego rzeczy i ustawiała je na półkach. Robiła to już dłuższy czas i Cal powoli tracił cierpliwość. Za niecałą godzinę zostanie nowym prezesem FBT. Potrzebuje odrobiny samotności.

- Dosyć tego, Patricia. Proszę wpuścić moją żonę, gdy tylko przyjdzie. Skinęła głową i wyszła. Wreszcie sam, Cal Theroux rozsiadł się wygodnie i z dumą rozejrzał po imponującym gabinecie. Jedni mają obsesję na punkcie seksu, inni na punkcie pieniędzy. Dla Cala Theroux zawsze liczyło się jedno - władza. Pogładził malachitowy blat biurka prezesa, dotknął przelotnie pulpitu z przyciskami sterującymi fontannami przed budynkiem. Ponieważ po terenie firmy kręciło się wielu dziennikarzy, nie uległ kaprynowi i nie zaczął bawić się fontannami, jak to zwykł robić Joel.

Nawet Paul Clemens nie oparł się pokusie, gdy zasiadł w tym gabinecie w dzień po śmierci Joela. To był symbol władzy, która teraz należała do niego, do Cala. W progu stanęła jego żona, Nicole.

- Witaj, skarbie. - Szła do niego po grubym dywanie. Zauważył, jak niemal niedostrzegalnie ściągnęła ramiona. Czekwała, aż powie, co sądzi o jej stroju. Była bardzo szczupła, czarny kostium z brązowymi dodatkami doskonale na niej leżał. Krótkie ciemne włosy odsłaniały małe uszy i brylantowe kolczyki – prezent od niego z okazji trzeciej rocznicy ślubu, którą obchodzili w zeszłym tygodniu. Miała dopiero trzydzieści cztery lata, lecz w kącikach jej oczu pojawiły się pierwsze zmarszczki. Niedługo będzie musiał zafundować jej operację plastyczną.

- Zdejmij bransoletkę - polecił, z obrzydzeniem patrząc na srebrną obręcz. Posłuchała natychmiast. Jej oddanie było jedną z tych rzeczy, które najbardziej w niej lubił. Dokonał właściwego wyboru. Nie dość, że Nicole jest córką jednego z dyrektorów FBT, to jeszcze kochała się w nim od dawna, już wtedy gdy planował ślub z Susannah. Lecz córka Joela Faulconera był lepszą zdobyczą. Zaciśnął usta. Ileż by dał, żeby zobaczyć minę tej suki, gdy dzisiaj zasiądzie w fotelu prezesa.

- W holu rozpętało się piekło - stwierdziła Nicole. - Chyba pół świata zjechało się na twoją koronację. - Rozejrzała się po gabinecie. - Nadal nie mogę w to uwierzyć. Jestem z ciebie dumna, kochanie.

Paplała dalej i Cal niemal uwierzył, że ją kocha, widząc błysk podziwu w jej oczach. Nie był jednak sentymentalny i już dawno doszedł do wniosku, że nie jest zdolny do takich uczuć.

Jeżeli kiedyś kogoś kochał, była to Susannah, i odpłaciła mu największym upokorzeniem. Nawet teraz, po sześciu latach, robiło mu się niedobrze na wspomnienie, gdy stał przy ołtarzu i patrzył, jak odjeżdża na motocyklu. Uptywający czas tylko podsycił jego pragnienie zemsty. Był cierpliwy. Póki żył Joel, powstrzymywał go przed zrobieniem tego, co trzeba.

Potem, za Paula Clemensa, pozycja Cala była na tyle niepewna, że nie mógł ryzykować. Dopiero sukces Falcona 101 zmienił wszystko. Interkom przerwał monolog Nicole na temat tego, dlaczego wybrała akurat taki strój.

- Przyszła panna Faulconer.

- Niech wejdzie.

Wyczuwał niechęć żony. Uśmiechnął się pod nosem. Nicole nie ukrywała, że nie znosi córki Joela. I dobrze. Przyjaźniąc się z Paige, podsycił w żonie zazdrość. Drzwi się otworzyły i Paige wbiegła lekko, beztraska, piękna i opalona. Cmoknęła powietrze w okolicach policzka Nicole i podeszła do Cala.

- Nie mogę uwierzyć, że kazałeś mi wracać na tę okropną uroczystość, Calvin. Jakiś fotograf ścigał mnie w holu. Fantastyczny tyłek, ale nawet mnie odstrasza zapach potu. - Przytuliła się do niego. - Tylko bez języczka, kochanie. Twoja żona na nas patrzy. Pocałował ją lekko. Paige okazała się męcząca, ale niezbędna. Jak na ironię to dzięki niej, a nie dzięki Susannah, zdobył kontrolę nad FBT. Paige nie interesowała się firmą.

Denerwowało ją, że musi podejmować decyzje jako posiadaczka olbrzymiego pakietu akcji FBT,

który odziedziczyła po śmierci Joela. Sprytny Cal był zawsze przy niej, zawsze służył jej radą. W niecały rok po śmierci Joela Paige dała mu pełnomocnictwo, pod warunkiem że nie będzie jej zanudzał sprawami FBT. Wygrał.

- Wiesz przecież, że nie ściągałbym cię, gdyby to nie było konieczne - zapewnił.

- Ale będą przemówienia! Nie znoszę przemówień! - Nadąsała się zabawnie.

- Paige - Nicole posłała jej lodowate spojrzenie - życie to nie zabawa.

- A kto tak twierdzi? - Paige usadowiła się na biurku Cala i założyła nogę na nogę. Jest bez rajstop, zauważył z dezaprobatą. Za to kostium z surowego jedwabiu był bez zarzutu, choć dałby głowę, że nie ma pod nim stanika. Z rozrzewnieniem wspominał czas przed śmiercią Joela, gdy Paige ubierała się klasycznie i zachowywała w miarę przyzwoicie. To się zmieniło w niecały rok po jego śmierci - mniej więcej w tym czasie, gdy zawarł z nią umowę.

- Nie zawracałem ci głowy od kilku miesięcy - dodał. - Wiesz, że gdybym nie musiał, nie kazałbym ci tu być.

Spojrzała na niego spod oka.

- Nie mogłeś oprzeć się pokusie, żeby się dzisiaj ze mną sfotografować, tak? Chcesz, żeby cały świat zobaczył, jak Paige Faulconer symbolicznie przekazuje ci władzę ojca. Czasami okazywało się, że Paige jest mądrzejsza, niż przypuszczał. Musi o tym pamiętać.

Nicole kręciła się przy drzwiach. Widać było, że nie chce zostawić ich samych.

- Mam się spotkać z Marge Clemens. Muszę iść.

- Będę na dole za kilka minut - zapewnił Cal.

Nie miała wyjścia. Gdy drzwi się za nią zamknęły, Paige roześmiała się cynicznie.

- Biedna Nicole. Nie rozumie, że gdybyśmy na siebie lecieli, zrobilibyśmy coś w tej sprawie już kilka lat temu?

Zsunęła się z biurka. Tonem zbyt lekceważącym nawet jak na nią oznajmiła:

- Urywam się z przyjęcia FBT

- Dlaczego?

- Susannah przysłała mi zaproszenie na imprezę w SysVal. - Założyła jasny kosmyk za ucho. Unikała jego wzroku. - Postanowiłam tam wpaść. Cal zachował obojętny ton.

- W ostatnich latach Susannah zapraszała cię wielokrotnie. Nie przypominam sobie, żebyś w ogóle brała pod uwagę spotkanie z nią. Skąd taka odmiana?

- Jestem tu.

- Tylko ty nie znosisz Susannah tak bardzo jak ja. Dlaczego tam idziesz? - spytał.

Wahała się przez chwilę, potem wyjęła z torebki biały kartonik i dała mu do przeczytania. Było to zaproszenie na przyjęcie w SysVal - firma świętowała obroty rzędu pół miliarda dolarów w roku podatkowym. Na dole Susannah dopisała odręcznie: „Jak długo jeszcze chcesz uciekać, Paige? Czego się boisz?”.

Paige wyrwała mu zaproszenie i wepchnęła do torebki.

- Wyobrazasz sobie? Ta suka myśli, że się jej boję.

- Odniosła sukces - stwierdził spokojnie, choć na myśl o tym robiło mu się niedobrze. - Jest pewnie najbardziej znaną kobietą w branży komputerowej.

- A mnie się dostało FBT i miliony tatusia. I dzisiaj wieczorem nie pozwolę jej o tym zapomnieć ani na chwilę.

Pierwszą rzeczą, którą Paige dostrzegła, wchodząc do gwarneho holu SysVal, było gigantyczne logo

Blaze. Przyglądając się płomiennym literom, rozmyślała, ile jej siostra osiągnęła w ciągu sześciu lat. Z zazdrości kręciło jej się w głowie. Przeczesała wzrokiem tłum. Ponieważ Susannah nigdzie nie było widać, odprężyła się trochę. Gdyby nie to, że pokazała Calowi zaproszenie, nie przyszłaby tutaj. Teraz jednak nie miała wyboru. Po lewej stronie ustawiono bar. Przebijała się przez tłum w tamtą stronę i zwróciła przy tym uwagę, że większość gości ma na sobie dżinsy i stare adidasy. Jej suknia z białej satyny, odpowiednia na galę w FBT, tutaj wydawała się nie na miejscu, lecz wcale jej to nie przeszkadzało. Paige nigdy nie przejmowała się, gdy jej stój odbiegał od przyjętych norm.

Większość piła piwo i barman długo szukał szampana, by zrealizować jej zamówienie. Czekając, zastanawiała się, czy nie przenocować w hotelu, zamiast wracać do Falcon Hill. Wszystkie meble zniknęły pod pokrowcami, w całym domu unosił się smutny zapach śmierci. Falcon Hill przywoływało zbyt wiele wspomnień, zwłaszcza z tamtego roku, gdy jak wariatka starała się, by był to prawdziwy dom, siała ziółka i piekła ciasta jak kura domowa. Nosiła nawet sukienki siostry. Koniec końców okazało się to bez znaczenia. Nawet wtedy ojciec jej nie pokochał.

Zamknęła oczy. Po co tu przyszła? Dlaczego po tylu latach uległa kapryswi i zdecydowała się zobaczyć z siostrą? Może gdyby nie ta straszna scena w Malibu trzy dni temu, zaproszenie Susannah wylądowałoby w koszu na śmieci, gdzie jego miejsce. Naprawdę łudziła się, że znalazła mężczyznę swego życia. Kręcił filmy dokumentalne, spotykali się od pół roku. Jezu, ale była głupia. Nietrudno było się domyślić, że bardziej zależy mu na tym, żeby sfinansowała jego nowy film, a nie rodziła mu dzieci, ona jednak wytrwale ignorowała wszystkie sygnały. Idiotka. W głębi duszy już planowała ślub.

Barman podał jej kieliszek szampana. Zmieniła plany. Jutro poleci na Sardinie, do nowej willi. Zabawi się z Luigim, z Fabiem albo z innym włoskim książęciem. Pili z nią wino w barze w hotelu Cervo, odprowadzali do willi i zostawali na noc. W ciągu trzech lat kupiła pięć domów. Za każdym razem urządziła je z zapalem, przekonana, że właśnie tutaj znajdzie szczęście i spokój. Niestety, szczęście okazało się towarem, którego nie można kupić nawet za miliony ojca.

W holu panował tłok, ale znalazła sobie miejsce przy oknie. Stąd mogła spokojnie obserwować tłum. Mężczyźni już ją dostrzegli, co było do przewidzenia. Zawsze ją zauważali. Wyjrzała na parking. W szybie zobaczyła, że zbliża się do niej jakiś młodzieniec. Miał rozwiane włosy, wystające jabłko Adama i okulary w drucianych oprawkach. Bomba, pomyślała znużona. Tylko tego mi trzeba. Oparł dłoń na szybie za jej głową. Chciał się wydać luzacki i swobodny, ale zostawił plamę potu na szkle.

- Nigdy nie zapomnę takich pięknych oczu jak twoje. Jestem Kurt. Czy myślimy się już kiedyś nie spotkali?

- Wątpię, Kurt. Z zasady nie rozmawiam z mięczakami. Uśmiechnął się, jakby to był żart, ale widząc jej poważną minę, stracił resztki odwagi.

- Eee, może się czegoś napijesz?

Uniosła pełen kieliszek szampana, przez co poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie i głupio.

- Więc może coś zjesz? Klopsy są super.

- Nie, dziękuję. Jest jednak coś, co możesz dla mnie zrobić, Kurt. Uśmiechnął się szeroko. Wyglądał jak radosny szczeniak.

- Słucham.

- Odpieprz się, dobrze?

Zaczerwienił się, mruknął coś niezrozumiale i uciekł z podkulonym ogonem. Zagryzła usta. Przecież to nieszkodliwy dzieciak, spokojnie mogła go spławić, nie sprawiając mu przykrości. Od kiedy jest

taka okrutna?

- Cóż za przedstawienie. - Za plecami usłyszała niski męski głos.

Paige nie zapominała przystojnych mężczyzn i już po chwili go rozpoznała: Mitchell Blaine. Pogrzeb ojca pamiętała jak przez mgłę, ale nie zapominała, kto stał u boku Susannah. Był silny i przystojny. I przyzwoity. Była gotowa się założyć, że ma całą kolekcję nagród za dobre sprawowanie w szkółce niedzielnej.

- Cieszę się, że ci się podobało - odparła.

- Wcale mi się nie podobało. To fajny dzieciak.

Pieprzyć go, pieprzyć cały świat. Właściwie to niegłupi pomysł. Wypiła szampana do dna.

- Chcesz iść ze mną do łóżka?

- Nie za bardzo. Lubię kobiety, nie dzieci. - W zimnych błękitnych oczach nie było nawet cienia uśmiechu.

Rozzłościł ją.

- Ty draniu. Do mnie nie wolno tak mówić. Wiesz, kim jestem? - Wzdrygnęła się, słysząc swoje słowa, takie aroganckie i dumne. Najchętniej cofnęłaby je natychmiast i zamieniła na coś miłego, przyjaznego.

- Jak się domyślam, Paige Faulconer. Słyszałem, że cię zaproszono. Dalej zachowywała się jak dziwka.

- I co? Nic to dla ciebie nie znaczy?

- Owszem. Przekonałem się, że plotki na twój temat są prawdziwe.

- Jakie plotki?

- Że jesteś rozpuszczonym bachorem, któremu już dawno ktoś powinien złoić skórę.

- Brzmi nieźle. Chcesz spróbować? - Uśmiechnęła się sztucznie.

- Nie, dzięki. Mam dwoje dzieci, to mi wystarczy.

Nie okazała w żaden sposób, jak bardzo ją upokorzył. Odpowiedziała tonem wyższości:

- A więc jesteś żonaty. Jaka szkoda.

- Dlaczego? Nie rozumiem, jaka to dla ciebie różnica. Obrzuciła go długim spojrzeniem, celowo zatrzymała wzrok na jego rozporku.

- Nie sypiam z żonatymi.

Ku jej zdumieniu roześmiał się na całe gardło.

- Tylko z całą resztą, prawda?

Wkurzyło ją, że się z niej śmieje. Nikomu nie wolno z niej kpić, nikomu. Nie zdążyła jednak wymyślić odpowiednio złośliwej riposty, bo dotknął jej policzka wskazującym palcem i szepnął:

- Rozluźnij się, skarbie. Życie jest piękne.

- Mitch?

Gdy odwracał się w stronę kobiecego głosu, surowe rysy jego twarzy złagodniały tak bardzo, że Paige zrobiło się niedobrze. Ona także spojrzała w tamtą stronę. Stare uczucia odżyły z nową siłą. Po raz kolejny pożałowała, że tu przyszła. Od śmierci ojca widziała Susannah tylko kilka razy – za mało, by przywyknąć do zmian w jej wyglądzie. Susannah nosiła teraz krótsze włosy – ledwie sięgały linii podbródka – zachowywała się swobodniej. Wydawała się wolna, w niczym nie przypominała starej Susannah. Tego wieczoru miała na sobie rdzawą bluzkę i szare spodnie, w uszach złote koła. Tylko wyraz twarzy był ten sam - napięcie, strach i chęć niesienia pomocy.

- Paige! Nie powiedzieli mi, że przyszłaś! Tak się cieszę! Poznałaś już mojego współnika Mitchella

Blaine'a?

- Owszem - mruknął Mitch. Paige uśmiechnęła się złośliwie.

- Zaproponowałam, że pójdę z nim do łóżka, ale odmówił. Czy on jest gejem, Susannah?

Susannah wyglądała w tej chwili tak jak dawniej, ilekroć Paige i Joel znajdowali się w tym samym pokoju. Paige...

- Nie jestem gejem - odpowiedział Mitch. - Jestem koneserem. - Pocałował Susannah w policzek, uściśnął jej ramię i odszedł.

- Niepotrzebnie to zrobiłaś - stwierdziła Susannah cicho. - Mitch to mój najlepszy przyjaciel.

- Jeśli nie chcesz, żebym obrażała twoich przyjaciół, trzeba było nie wypisywać złośliwych uwag na zaproszeniu.

- Ale dzięki temu tu jesteś, prawda?

Paige wyjęła kieliszek wina z ręki przechodzącego obok mężczyzny. Nagrodziła go uwodzicielskim uśmiechem. Przechyliła lekko głowę.

- Nigdy w życiu nie widziałam tylu kujonów w jednym miejscu.

- To geniusze. W tym pomieszczeniu zgromadziły się najtęższe umysły Doliny.

- Pasujesz do nich. Ale przecież zawsze byłeś kujonem, prawda, Susannah?

Susannah uśmiechnęła się. Cierpliwa święta Susannah.

- Wcale się nie zmieniłaś, Paige. Wciąż ostra jak żyłeta.

- Tak jest, siostrzyczko.

- Chciałam ci przedstawić Sama, ale chyba już wyszedł.

Paige przez sześć lat skutecznie unikała poznania Sama Gamble'a i nie miała zamiaru zmieniać tego teraz. Zresztą widziała go, gdy weszła do holu. Zbierał się do wyjścia. Otaczał go tłum współpracowników tak jak Cala w FBT Gamble udawał, że nie zwraca na nich uwagi, ale nie dała się nabrać. Tacy mężczyźni zawsze wiedzą, co robią. I dlatego ją nudzą.

- Widziałam go.

- Jest wyjątkowy - stwierdziła Susannah. - Trudny, ale wyjątkowy. Ktoś parsknął śmiechem, z głośników popłynęła piosenka ze znanego serialu komediowego. Paige dopiła wino. Nie wytrzymała tego dłużej.

- Przykro mi Susannah, na mnie już czas. Wracam do Falcon Hill i będę liczyła pieniądze tatusia.

Susannah pobladła, ale nie dała za wygraną.

- Najpierw cię oprowadzę.

- Nie zrozum mnie źle - syknęła Paige – ale naprawdę nie uśmiecha mi się zwiedzanie laboratoriów.

Siostra towarzyszyła jej uparcie w drodze do drzwi.

- Więc wybierzmy się na przejażdżkę – zaproponowała Susannah na dworze.

- Mowy nie ma.

- Przecież cię nie zjem.

Paige zatrzymała się w pół kroku.

- Nie boję się ciebie.

- Udowodnij to. - Susannah złapała ją za ramię i zaprowadziła do najnowszego modelu bmw. - Przejedziemy się, pokażę ci mój dom.

Paige wyrwała się jej.

- Nie chcę oglądać twojego domu! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Susannah zatrzymała się przy samochodzie. Światło latarni odbijało się w złotych kolczykach. Uroda

siostry stanowiła kolejny policzek dla Paige.

- A właśnie że się mnie boisz, Paige. Paige roześmiała się sztucznie.

- Co to jest? Co to za dziecinne gierki? O ile pamiętam, zawsze ja cię prowokowałam!

Susannah otworzyła drzwi po stronie kierowcy.

- To fajna zabawa. Więc jak, stchórzysz czy wsiadasz?

Paige wiedziała, że wcale nie musi reagować na dziecinne wyzwanie Susannah, ale zadowolenie na jej twarzy działało jej na nerwy. Zapowiadała się bardzo długa noc. Wszystko wydawało się lepsze niż powrót do Falcon Hill. Wsiadła do samochodu, wzruszając ramionami.

- Czemu nie? I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Susannah starała się nie dać po sobie poznać, jak jest zadowolona. Im gorzej układało jej się z Samem, tym bardziej pragnęła nawiązać kontakt z siostrą. Paige to jej jedyna krewna. Chyba są na tyle dorosłe, że potrafią się dogadać? Wjechała na autostradę i skierowała rozmowę na lżejsze tematy. Paige odpowiadała monosylabami albo milczała. Susannah zrzędlą mina. Paige zdawała się coraz bardziej zła. Skręciły między wzgórz. Jeszcze kilka kilometrów i Susannah wjechała na podjazd prowadzący do jej domu. Gęsty żywopłot oddzielał ogród od drogi. Na tle nieba rysowały się złowieszco kontury dachu. Po raz kolejny pomyślała, jak bardzo nie lubi tego domu. Była to lodowata świątynia zaawansowanej technologii zaprojektowana przez człowieka, który zawsze chciał wszystkiego, co najlepsze.

- Jak przytulnie - skomentowała Paige złośliwie.

- To projekt Sama.

- Jak to, mężulek nie pozwolił ci wtrącić swoich trzech groszy? Susannah ominęła pułapkę. - Dla mnie to nieistotne.

Suknia Paige szeleściła cicho, gdy szła do domu. Minęła główną bramę z brązu. Wybrała wąską ścieżkę wiodącą do drzwi kuchennych. Susannah szła za nią coraz bardziej niespokojna. Kryształowe paciorki na sukni Paige błyszczały jak sople lodu. Siostra wręcz emanowała wrogością.

Skręciły za róg. Przed nimi rozciągała się zapierająca dech w piersiach panorama doliny. Paige wbiegła po granitowych stopniach na taras i zapatrzyła się w dal.

- Założę się, że jesteś z siebie bardzo dumna, co, Susannah?

W jej głosie było jakieś okrucieństwo. Susannah najchętniej by uciekła. Co za głupi pomysł. Skąd jej przyszło do głowy, że uda się naprawić stosunki z siostrą?

- Ciężko pracowałam - odparła, z trudem nad sobą panując.

- O, nie wątpię! - prychnęła Paige. - Głównie na plecach, prawda? Susannah nie wiedziała, co powiedzieć na tyle jadu.

- Teraz liczysz pieniądze i śmiejesz się z ojca.

Susannah nie chciała już przyjaźni z siostrą, o nie. Stary gniew odżył z nową siłą.

- Nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda.

- Prawda, a jakże! - syknęła Paige. - Pokazałaś mu, co? Szkoda tylko, że nie żyje, że nie możesz roześmiać mu się w twarz.

- Zrobiłam to dla siebie, nie dla niego.

- Jesteś taka poprawna. Taka mądra i doskonała.

Każde słowo raniło Susannah jak ostrze. Zacisnęła dłonie.

- Daj spokój, Paige. Zachowujesz się jak dziecko. Nie chcę tego słuchać.

Ale Paige nie miała zamiaru przestać. Tłumiona nienawiść wybuchła gwałtownie.

- Zawsze byłaś doskonała. Zawsze miałaś rację. Byłaś lepsza niż inni.

- Dostyc tego! Od lat staram się nawiązać z tobą kontakt, ale koniec z tym! Jesteś zepsuta i samolubna, nie obchodzą cię uczucia innych!

- A skąd możesz to wiedzieć? - krzyknęła Paige. - Nic o mnie nie wiesz! Miałaś tylko jedno w głowie: odebrać mi ojca! Ja cię nigdy nie obchodziłam!

- Wynoś się! - Susannah rzuciła jej kluczyki. - Weź samochód i zjedź mi z oczu. - Odwróciła się na pięcie i podbiegła do drzwi wejściowych. Ale Paige jeszcze nie skończyła. Lata nienawiści do samej siebie kazały jej pobiec za Susannah. Susannah nie mogła tego znieść. Paige otworzyła drzwi.

- Czy wiesz, jak bardzo cię nienawidziłam? - krzyknęła za jej plecami. - To ja jestem jego córką, nie ty! Ale nie mogłam się równać z chodzącym ideałem! Nie rozumiesz? Nie ma dnia, żebym nie żałowała, że się urodziłaś!

Susannah potknęła się na schodach. Paige deptała jej po piętach. Wbiegła za nią do salonu.

- Dlaczego z nami zamieszkałaś? – szlochała. - Dlaczego byłaś we wszystkim lepsza ode mnie?

Susannah jęknęła. Po chwili jej jęk przeszedł w ciche kwilenie, jakby miauczenie kotka. Na białej zamszowej kanapie na środku salonu Mindy Bradshaw nerwowo obciągała spódnice, a Sam zapinał rozporek. Susannah zakwiliła ponownie. Czuła, że otwiera i zamyka pięści. Świat nagle ograniczy się do strasznej sceny w salonie i rozpaczliwego jej jęku. W końcu powiedziała okropnie sztucznym, metalicznym głosem.

Przepraszam.

Było to idiotyczne, nieprzyzwoite wręcz. Zataczając się, wybiegła z pokoju zaślepiona łzami. Wiedziała, że idzie, bo ściany migwały jej po bokach. Weszła po schodach, zbiegła na dół, minęła olbrzymi kredens. Co kilka kroków z jej gardła wydostawał się ten żalony dźwięk. Starła się go powstrzymać, zacisnąć usta. Na próżno. Ktoś dotknął jej łokcia. Myślała, że to Sam, i chciała go odepchnąć. Intruz nie dawał za wygraną i wtedy zdała sobie sprawę, że to Paige.

Łatwiej było myśleć o siostrze niż o tym, co przed chwilą widziała. Wobec zdrady Sama nienawiść Paige wydawała się spokojną przystanią. Czuła, jak drżą jej usta. Sam i Mindy. Sam spał z Mindy. Jej mąż. Mężczyzna, którego tak długo darzyła ślepą miłością. Znalazła się w kuchni. Ból wypełniał ją całą, zalewał goryczą. Paige odezwała się po chwili.

- Chodźmy stąd.

- Idź sobie. - Susannah z trudem wydusiła te słowa przez ściśnięte gardło.

Paige położyła jej dłoń na ramieniu. Była lodowato zimna.

- Zabiorę cię stąd.

Susannah nie zniesie litości, zwłaszcza od osoby która jej nienawidzi.

- Daj mi spokój - poprosiła. - Nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Paige puściła ją, jakby się sparzyła, i zacisnęła palce na kluczykach.

- Proszę bardzo. Jutro odeślę ci samochód.

Susannah stała pośrodku kuchni i wpatrywała się w ciemność. Mijały sekundy. Paige wybiegła.

Nie odrywała wzroku od okna. Na dworze było ciemno i ponuro.

- Wszystko po staremu, co, Suzie? Jezu, to typowe dla ciebie. Nie wiem nawet, czemu się dziwię.

Wstrzymała oddech. Broni się przez atak. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że tak postąpi? Nie wytrzyma dłużej nieznośnego bólu. Z trudem odwróciła się w jego stronę. Ciemne proste włosy rozsypały się w nieładzie, jeden kosmyk opadał na ucho, jak zawsze gdy wsuwała palce w jego włosy, gdy się kochali. Tylko że dzisiaj to były palce Mindy.



- Odesłałem Mindy - oznajmił, jakby to coś zmieniało.

Łzy spływały jej po policzkach. Czowała słony smak na wargach. Przypomniała sobie, jak walczyła o ich małżeństwo i o dziecko, którego tak pragnęła.

- Czy Mindy była pierwsza? – Nie chciała zadać tego pytania, ale ledwie padło, wiedziała, że musi poznać prawdę.

Przeczesał włosy palcami. Niemal widziała, jak zbiera siły do walki, zadowolony, że dojdzie do konfrontacji. W tym właśnie jest najlepszy: będzie na oślep walił w przeszkodę, aż mur runie. Z jej gardła wydarł się szloch.

- To nie ma znaczenia. Ilość się nie liczy. Wierność, zdrada... to tylko słowa. Nie o to chodzi.

Był zły, bronił się. Emanowała z niego niespożyta energia. Przechadzał się po kuchni, omijał meble z czarnego granitu.

- Nigdy nie staraliśmy się, żeby nasz związek pasował do wyobrażeń innych, i dlatego nam się udało. Jesteśmy mądrzejsi. Oboje wiemy, czego chcemy...

Mówił i mówił, i mówił...

-.. Jesteśmy ponad konwenanse. Razem osiągniemy wszystko. W tym nasza siła. To, co dzisiaj widziałas, jest nieważne, Suzie. W porządku, może nie powinienem był tego robić, ale to nieistotne. Nie rozumiesz? To nic takiego! Nieważne, do cholery!

Zacisnęła dłonie na ceramicznej misie. Jednym ruchem cisnęła mu ją pod nogi. Wykrzyczała pytania, które nie dawały jej spokoju.

- Czy ona była pierwsza? Były inne? Ile? Umilkł, widząc jej cierpienie. Przestraszył się.

- Ile?! - wrzasnęła.

Był idealistą. Wierzył w prawdę i starał się postępować zgodnie z tym, czego nauczał.

- Kilka. Na wyjazdach - mruknął. - Dawna narzeczona... Co za różnica? Nie rozumiesz? To nie ma nic wspólnego z nami.

- Owszem, ma! - krzyknęła i dla podkreślenia wagi tych słów zbiła kolejną misę. - Wzięliśmy ślub! Kiedy ludzie się pobierają, nie pieprzą się z innymi! - Specjalnie użyła niecenzuralnego słowa, wiedząc, że Sam tego nie znosi.

- Przestań! - Podbiegł do niej. - Natychmiast przestań!

Syknęła z bólu, gdy złapał ją za rękę i nagle, nieoczekiwanie uderzył w twarz. Osunęła się na szafkę. Z jękiem bólu podniosła dłoń do twarzy. Ciekło jej z nosa.

Dotknęła go delikatnie wierzchem dłoni. Krew.

On także to widział. Otworzył szeroko oczy, przerażony tym, co zrobił.

- Suzie ja...

Widok krwi otrzeźwił ją. Cofnęła się. Skrzywił się jak dziecko.

- Nie chciałem. Ja... Boże, jak możesz mi to robić? Jak mogłaś dopuścić, żebym cię uderzył?

Minęła go chwiejnym krokiem. Szła do holu. Z szafy przypominającej grobowiec wyjęła podręczną torbę, spakowaną na wypadek nagłego wyjazdu. Bolał ją policzek, drżały ręce, ale była spokojna.

- Nie rób tego! - W jego głosie pojawiła się panika. - Nie odchodź ode mnie, Suzie! Mówię poważnie. Jeśli odejdziesz, nie masz po co wracać. Słyszysz? Nie masz po co wracać! Płakała. Odwróciła się do niego twarzą i powiedziała cicho:

- Popelniłeś błąd, Sam. Nie widzisz? Stałam się taka, jak chciałeś. I kobieta, którą stworzyłeś, nie wytrzyma z tobą dłużej.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Susannah wybiegła z domu. Jak przez mgłę przypominała sobie, że nie ma kluczyków i że Paige zabrała samochód. To nieważne. Pójdzie pieszo. Za żadne skarby nie wróci do domu. Minęła kępę krzaków. Jej samochód nadal stał na podjeździe. Paige siedziała za kierownicą jak sęp czyhający na padlinę. Susannah stłumił szloch. Więcej nie zniesie. Dlaczego Paige nie odjechała? W ogóle nie umie współczuć? Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem.

- Suzie!

Zawołał ją tak samo jak tamtego dnia, gdy zabrał ją od ojca. Potknęła się, wyprostowała. Szła dalej. Zawołał jeszcze raz. Widziała, jak Paige pochyła się i otwiera drzwi od strony pasażera.

- Suzie! - zawołał Sam.

Paige to mniejsze zło. Rzuciła torbę na tylne siedzenie i wsiadła. Sam dogonił ją, akurat gdy Paige nacisnęła pedał gazu. Dostrzegła jeszcze jego twarz w oknie. Wjechały na szosę. Wiedziała, jaki uparty jest Sam, i zerknęła, żeby sprawdzić, czy już pobiegł po swój samochód. On jednak stał w miejscu. Ogarnęła ją absurdalna wdzięczność, że dał jej spokój. Dopiero po chwili przypomniała sobie Mindy i zrozumiała, że pozwala jej odejść tylko dlatego, że Mindy zabrała jego wóz.

Opony zapiszczały, gdy Paige wjechała na szosę. Mknęły w dół wzgórza z zatrważającą szybkością, momentami Paige zdawała się tracić kontrolę nad samochodem. Może się zabijają. Ta myśl wcale jej nie przerażała.

Susannah jęknęła cicho. Bolał ją policzek, paliło gardło, miała łzy w oczach. Ciałem wstrząsały spazmy. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim się zatrzymały. Podniosła głowę i zobaczyła, że są na lotnisku. Paige wysiadła, obeszła samochód i przytrzymała jej drzwi.

- Nie... proszę, Paige... Siostra złapała ją za ramię.

- Idziemy, i to już.

Susannah nie miała siły, by walczyć. Na lotnisku mimo późnej pory panował duży ruch. Nagle zrozumiała, co Paige chce zrobić – zaprowadzi ją w największy tłum i nikt jej w tym nie przeszkodzi. Myliła się. Paige zaprowadziła ją do prywatnej salki. Przyniosła kawę. Od samego zapachu zrobiło się jej niedobrze. Paige zajrzała do jej torby i znalazła paszport, który Susannah trzymała tam na wszelki wypadek. Wsunęła go do torebki, podeszła od telefonu.

Zadzwoiła gdzieś.

- Za godzinę jest lot do Londynu. Zarezerwowałam dla nas miejsca. Tam złapiemy połączenie do Aten - oznajmiła po powrocie.

- Do Aten? - powtórzyła tępo Susannah. - Nie mogę lecieć do Grecji. Moja praca...

- Praca nie zajac. Mam domek na wyspie Naksos. - Po raz pierwszy w głosie Paige dało się słyszeć wahanie. - Tam jest bardzo ładnie. Słońce świeci, świat jest biały i czysty. - Natychmiast się nachmurzyła, jakby nie obchodziło jej, czy siostra przyjmie zaproszenie, czy nie.

Susannah dotknęła jej policzka.

- Nie mogę. Mam obowiązki. - Ledwie to powiedziała, uświadomiła sobie, że nie będzie w stanie pójść w poniedziałek do pracy i spojrzeć Samowi w oczy. Paige wbiła wzrok w ścianę. Nerwowo skubała paciorki przy sukni.

- Mam koty. Takie głuptasy. Nie rasowe, ale chciałabym ci je pokazać. W jej głosie tęsknota walczyła z arogancją. Nadal skubała kraj sukni. Susannah zmrużyła oczy i starała się zrozumieć to, co ją spotkało, ale rozpacz nie pozwalała jej się skupić. I nagle pomysł, by lecieć na koniec świata i oglądać koty Paige, wcale nie wydał się jej taki szalony. Przynajmniej nie będzie musiała iść w

poniedziałek do pracy.

\* \* \*

Skalisty archipelag Cykladów przypomina garstkę żwiru ciśniętą w turkusowe wody Morza Egejskiego. Małe wysepki to mekka dla miłośników greckich mitów. Duch Narcyza unosi się nad Mykonos, Santorini może być zaginioną Atlantydą, a na Naksos została porzucona Ariadna, gdy pomogła Tezeuszowi wydostać się z labiryntu, który zbudował jej ojciec, król Minos.

Susannah bywała w Grecji, nigdy jednak nie była na Naksos. Wiekowy poobijany dżip wiózł siostry w głąb wyspy, coraz dalej od zakurzonego lądowiska. Nad głowami białe słońce świeciło na wyblakłym niebie. Minęły miasteczko Chora pełne turystów, reklam coca-coli i dyskotek i zbliżały się coraz bardziej do serca wyspy. Susannah nie dostrzegała zapierających dech w piersiach kontrastów – surowego księżycowego krajobrazu i turkusowego morza. Na stromych zboczach przycupnęły wiatraki i winnice, przy białych domkach rosły gaje oliwne.

Stary dżip stękał, gdy przemierzali kręte wiejskie drogi, czasami tak wąskie, że kierowca zjeżdżał na pobocze i czekał, aż przejdzie wieśniak z osłem, bo dla samochodu i dla zwierzęcia nie było miejsca. Oczy Susannah piekły, jakby ktoś przetarł je papierem ściernym, bolały ją wszystkie mięśnie. Wydawało się jej, że podróżują całą wieczność. Nie wiedziała nawet, jaki jest dzień tygodnia, nie pamiętała, dlaczego wyruszyła w tę podróż.

Paige siedziała cicho. Gorące popołudniowe słońce srebrzyło jej włosy. W brudnej, wygniecionej sukni wieczorowej była piękna i wolna jak pozbawiona grosza przy duszy dziewczyna z powieści Fitzgeralda. Zajęła się wszystkim: paszportami, biletami, załatwiła samochód szybko i sprawnie jak niegdyś Susannah. Przez cały czas siostry nie zamieniły ze sobą ani słowa.

Zapadł już wieczór, gdy dotarły do domku na wschodnim wybrzeżu wyspy. Susannah posłusznie weszła do pokoju, który wskazała jej Paige. Słyszała szum morza, czuła zapach lawendy. Zasnęła.

Obudziła się późno, słońce zaglądało przez szpary w żaluzjach, pełzało po białych ścianach i podłodze. Obolała powlokła się do łazienki. Wzięła prysznic, włożyła sprane szorty i koszulkę, które leżały na umywalce.

Odruchowo zmrużyła oczy, gdy weszła do głównego pomieszczenia – słońce ją oślepiło. Bolała ją głowa. Podeszła do otwartego okna i przekonała się, że mały biały domek przywarł do skalnego urwiska nad morzem. Choć nieraz odpoczywała w Grecji, zapomniała, jak błękitne jest Morze Egejskie. Przypominało zbiornik leż bez dna.

Rozejrzała się po pokoju. Na skromnym drewnianym stoliku królowała gliniana misa pełna soczystych brzoskwiń. Na parapecie zieleniło się geranium. Ramy okienne, drzwi i okiennice pomalowano na niebiesko, na kolor morza. Ściany były czyste, jakby świeżo wybielone. Miała wrażenie, że znalazła się w świecie trzech kolorów: szaro-brązowej skały, oślepiającej bieli ścian i nieba oraz błękitu morza i okiennic. Gruby rudy kocur otarł się o jej nogi.

- To Rudy - poinformowała Paige z sąsiedniego pokoju. - Miska śpi na tarasie. Paige miała na sobie powyciąganą koszulkę i wytarte, postrzępione szorty. Była boso, bez makijażu. Związała włosy w zwykły kucyk i mimo to była piękna. Susannah nie mogła uwierzyć, że zdała się na siostrę. Musi stąd uciec. Im szybciej, tym lepiej.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Paige. Wzięła ze stolika biało-niebieską ścierkę i wyciągnęła z pieca smakowicie pachnący chleb. - Idź do Miszy na patio. Nakryłam już do stołu, zaraz będzie śniadanie.

- Nie zwracaj sobie mną głowy - oznajmiła Susannah chłodno. - Popelniłam błąd. Muszę wracać.

Paige postawiła pękaty dzbanek soku na tacy obok dwóch niebieskich kubków.

- Weź to. Zaraz przyjdę.

Łatwiej było wykonywać polecenia, niż myśleć. Susannah wyszła na taras wyłożony brązowymi kamieniami. Zmrużyła oczy i podziwiała wspaniały widok na morze i niebo. Przy niskim murku w cieniu jaśminu stał stoliczek, a na nim ceramiczne naczynia. Po obu stronach ustawiono drewniane krzesła, każde z miękką błękitną poduszką na siedzeniu. Kwiaty zdawały się wręcz wylewać z glinianych donic. W najbardziej zacienionym zakątku spał kot.

Zwierzak popatrzył na nią, przeciągnął się, ziewnął i wrócił do drzemki. Zjawiała się Paige z jedzeniem. Przyniosła jajka na miękko w brązowych skorupkach, kawę i kawałki melona żółte jak promienie słońca. Pokroiła świeży chleb i posmarowała kromkę masłem.

Topiło się, zmieniało w małe bursztynowe kałuże. Wyciągnęła rękę z pieczywem do siostry.

Susannah pokręciła przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Nie mam apetytu.

- Spróbuj.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła - na pewno nie w samolocie i, o ile pamięta, nie na przyjęciu. Smakowity zapach chleba drażnił nozdrza. Ostrożnie wbiła zęby w grubą kromkę i przekonała się, że tak prosta czynność jak żucie pozwala na chwilę zapomnieć o bólu. Wypiła szklankę soku z pomarańczy i zjadła kawałek melona. Gdy żołądek zaczął protestować, dołała sobie kawy i zapatrzyła się w horyzont.

Milczenie przeciągało się. Jeszcze niedawno nie dopuściłaby do tego, paplałaby bez sensu, teraz jednak już jej nie zależało na Paige. Nie będzie się wysilać. Marzenie o siostrzanej miłości okazało się mrzonką jak wszystko inne.

Paige odezwała się pierwsza. Opowiadała, jak wyremontowała domek, jak go znalazła. Potem włożyła na głowę baseballówkę, dla Susannah znalazła stary kapelusz i oznajmiła, że idą na plażę.

Susannah zgodziła się tylko dlatego, że nie miała siły na sprzeciw. Paige poprowadziła ją za domek, aż doszły do wąskiej ścieżki, która wiodła na plażę z boczem łagodniejszym niż niemal pionowe urwisko pod tarasem. Mimo to Susannah była wyczerpana, gdy stanęły na gorącym piasku. Paige zanurzyła stopy w wodzie.

- Nie powiedziałaś, jak ci smakowało śniadanie. I mój chleb. Sama go upiekłam.

- Pyszny - zapewniła grzecznie Susannah. Co takiego zrobiłam, pytała się w myślach. Dlaczego Sam szukał innych kobiet?

Paige trąciła stopą kamyk.

- Lubię gotować.

Długa chwila milczenia. Susannah uświadomiła sobie w końcu, że powinna coś powiedzieć.

- Naprawdę? Ja nie znoszę. Paige spojrzała na nią z ukosa.

- Przecież zawsze gotowałam, kiedy służba miała wolne.

- A kto by to zrobił? Paige podniosła muszelkę.

- Może ja?

- Może - zgodziła się Susannah z goryczą. - A może kazałabyś mi iść do diabła.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, zaatakowała pierwsza. Paige nie odpowiadała, tylko zdjęła czapkę z głowy i cisnęła ją na piach. Susannah podniosła wzrok. Domek wydawał się bardzo daleko.

- Chyba wrócę i się zdrzemnę. Potem zarezerwuję bilet powrotny.

- Jeszcze nie. - Paige rozpięła szorty. - Najpierw popływamy.

- Jestem za bardzo zmęczona.

- To ci dobrze zrobi. - Paige ściągnęła szorty i białe majteczki, zrzuciła koszulkę. - To moja prywatna plaża nudystów. Nikt tu nie przychodzi. Susannah obrzuciła ciało siostry uważnym spojrzeniem. Paige miała większe piersi niż ona, smukłe uda, wąską talię. Cała była opalona. Spodobałaby się Samowi. Lubił kobiety z dużymi piersiami.

- No chodź! - namawiała ją Paige, przeskakując fale. - A może się boisz? Susannah zapragnęła nagle zapomnieć o wszystkim. Chciała być młoda i beztroska i pluskać się w wodzie jak siostra. Chciała odzyskać dzieciństwo, którego nigdy nie miała, odnaleźć świat, w którym nie ma miejsca na zdradę. Załamana, smutno pokręciła głową i odwróciła się na pięcie.

Po południu Paige wybrała się do wioski na starym motorze, a Susannah drzemała na tarasie w cieniu jaśminu i robiła sobie wyrzuty. Powinna była gotować mu domowe obiady. Powinna była wykazać więcej entuzjazmu dla tego okropnego domu. Poczwała chłód, którego nie mogło pokonać nawet gorące greckie słońce. Czyżby ostatecznie sześć lat niczego jej nie nauczyło? Dlaczego zakłada, że fiasko ich małżeństwa to wyłącznie jej wina? Sam zdradzał ją od dawna. Krytykował ją bez przerwy, złościł się, gdy nie spełniała jego niejasnych oczekiwań. Wyśmiewał ją, gdy mówiła, że pragnie dziecka, ignorował jej próby ratowania związku. I jednocześnie jak dziecko oczekiwał, że rozwiąże wszystkie jego problemy z samym sobą. Znosiła jego napady złego humoru, arogancję i okrucieństwo.

Gdyby jeszcze przyknęła oczy na jego niewierność, podporządkowałby ją sobie zupełnie. Zjadły wczesną kolację i poszły spać po zmroku. Obiecała sobie, że rano pomyśli o powrocie do San Francisco, rano jednak wolała zdrzemnąć się na tarasie. Dni mijały niespostrzeżenie. Paige dawała jej jeść i zmuszała, żeby chodziła na plażę; poza tym zostawiła ją w spokoju. Pod koniec tygodnia wytrasowała skądś drugi skuter i zarządziła, że Susannah pojedzie z nią do wioski. Była głucha na jej sprzeciwy, więc Susannah posłusznie wsiadła na siodełko.

Po drodze Paige zatrzymała się przy starym gaju oliwnym. W milczeniu spacerowały wśród wiekowych drzew. Susannah wdychała świeży zapach ziemi i owoców. Odruchowo dotknęła ręką pustego łona. Łzy, które tyle czasu powstrzymywała, wezbrały pod powiekami. Już nigdy nie będzie miała dziecka.

Stała pod powykęcany drzewem. Paige przycupnęła w cieniu. Było tak cicho, że Susannah wydawało się, że zawędrowała na koniec świata. Jeszcze krok i runie w bezdenną przepaść.

Po tylu dniach milczenia słowa popłynęły strumieniem.

- Nie wiedziałam, że sypia z innymi. Zdawałam sobie sprawę, że w naszym małżeństwie wiele rzeczy się popsło, ale sądziłam, że w łóżku jest jak dawniej.

- I pewnie miałaś rację. Spojrzała na Paige.

- Niemożliwe. Gdyby tak było, nie szukałby innych.

- Wydorosłej wreszcie, Susannah. Niektórym wydaje się, że nie niczego nie doświadczyli, jeśli nie przelecieli połowy ludzkości. - Paige spochmurniała nagle.

- On mnie kocha! - krzyknęła Susannah. - Mimo wszystko kocha mnie!

- A ty?

- Oczywiście, że go kocham - odparła oburzona, że Paige śmie w to wątpić. - Wszystko dla niego poświęciłam! Muszę go kochać! - Wstrzymała oddech, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów. Jak to? Kocha Sama czy tylko kurczowo trzyma się przeszłości?

- Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie - zaczęła Paige powoli - ale są chyba różne rodzaje miłości.

Dobre i złe.

- Skąd wiadomo, która jest która?

- Dobra miłość sprawia, że stajemy się lepsi.

- W takim razie nas na pewno łączyła dobra miłość, bo Sam sprawił, że stałam się lepsza.

- On? Czy ty?

- Nic nie rozumiesz. Ojciec chciał, żebym była jego idealną córeczką. Sam pokazał, że mogę być wolna i silna. Posłuchałam go, Paige. Posłuchałam go i uwierzyłam mu.

- I co?

- I stał się cud. Odkryłam, że odpowiada mi wizja Sama.

- Więc powinien być szczęśliwy. - W głosie Paige czaił się cynizm.

Susannah starała się powstrzymać łzy.

- Ale nie był. Wiesz, Sam chyba wolał dawną Susannah Faulconer. W głębi duszy chciał, żebym była taka jak dawniej.

- Ja lubię nową Susannah.

Miękkość jej głosu sprawiła, że Susannah podniosła głowę. Przez łzy rysy Paige były zamazane, niewyraźne jak twarz anioła.

- Naprawdę byłam dla ciebie taka okropna, kiedy dorastałyśmy? Paige zerwała źdźbło trawy.

- Byłaś cudowna. I dlatego cię nienawidziłam. Chciałam, żebyś była paskudna, żebym miała jakieś usprawiedliwienie dla mojej złości.

Susannah czuła, jak narasta w niej jakieś ciepło, jak chleb w piecu. Przenikliwy chłód zelżał odrobinę.

- Myślałam, że gdybyś zeszła mi z drogi, tata kochałby mnie - ciągnęła Paige. - Ale tak się nie stało.

Nawet kiedy się wyprowadziłaś, dawał mi wciąż do zrozumienia, że nie mogę się z tobą równać.

Najzabawniejsze, że wiele rzeczy robiłam lepiej od ciebie, na przykład gotowałam smaczniej. Tylko że on nigdy tego nie zauważał. Widział tylko to, co robiłam źle. Smutek Paige poruszył w Susannah jakąś strunę.

- Sądząc po tym, jak się mną opiekujesz, nie wierzę, żebyś cokolwiek mogła robić nie tak.

Paige zbyła komplement wzruszeniem ramion.

- Rzuć kiedyś okiem na stan moich finansów. Jestem niezorganizowana. Nienawidzę FBT. Ojciec popełnił błąd, zostawiając mi firmę. Nie wiem, co bym zrobiła bez Cala. Susannah odwróciła głowę.

- Jest dobrym przyjacielem - zauważyła Paige. - Upokorzyłaś go.

- Wiem. Ale jakaś samolubna częśćka mnie wcale tego nie żałuje. To okropne. Tak bardzo się cieszę, że za niego nie wyszłam, że jestem skłonna znieść wyrzuty sumienia do końca życia.

- Nawet jeśli zerwanie z Calem oznaczało ślub z Samem? Susannah patrzyła na plamki słońca wśród liści. Nic się nie zmieniło, a przecież chaos w niej jakby przycichł.

- Nigdy nie będę żałowała, że byłam z Samem. W pewnym sensie on mnie stworzył, tak samo jak stworzył Blaze. Po prostu nie odpowiada mu wizja mnie samej. Ale mnie tak.

- Wrócisz do niego?

Ból zawsze czaił się w pobliżu i teraz zaatakował z całą siłą. Susannah nie bała się walki. I nie rzuciła słów przysięgi małżeńskiej na wiatr. Tu, w cichym oliwnym gaju przypomniała sobie te słowa wyraźnie, jakby wypowiedział je przed chwilą: „Sam, przysięgam dać ci wszystko, co najlepsze, cokolwiek to jest”. I nagle zrozumiała, że już dotrzymała obietnicy. Zrozumiała, że czas pomyśleć o sobie.

- Nie - szepnęła. - Nie wróć do niego.

- To dobrze - odparła Paige.

Na kolację Paige upiekła placek serowy ze świeżym majerankiem i ugotowała fasolkę szparagową. Susannah zjadła z apetytem smakołyki siostry. Poczowała, jak powraca jej spokój. W gaju oliwnym wydarzyło się coś bardzo ważnego. Może dokończyła dzieła, które zapoczątkowała, uciekając z domu. Może w końcu odnalazła siebie. Rano po śniadaniu Paige znowu zaciągnęła ją na plażę. Rozebrała się i zdecydowała.

- Tym razem ty też się wykąpiesz. I ani słowa sprzeciwu. Susannah już chciała zaprotestować, ale ugryzła się w język. Jak długo jeszcze będzie się użalała nad sobą? Ściągnęła stanik od kostiumu, zrzuciła szorty. Stała naga, podobnie jak siostra.

- Mam większe piersi - zakpiła Paige, gdy Susannah ostrożnie wchodziła do wody.

- A ja dłuższe nogi - odcięła się siostra.

- Jak żyrafa.

- Lepsza żyrafa niż kaczka.

Woda była ciepła, morze spokojne. Susannah ukucnęła. Łagodny szum fal przynajmniej na chwilę przyniósł ulgę.

- Uważaj. - Paige lekko popchnęła ją na plecy. - Prawdziwa blada twarz z ciebie, że nie wspomnę o innych częściach ciała. - Mała fala załapała ją pianą. - Co zrobimy na kolację? Susannah odwróciła twarz do słońca.

- Przecież dopiero co zjadłyśmy śniadanie.

- Lubię planować. Jagnię. Tak, to dobry pomysł. Do tego sałatka z pomidorów i ogórków z serem feta i nadziewany karczoch... Uważaj, znosi cię na morze.

Susannah grzecznie posłuchała.

Wieczorem razem pracowały w kuchni. Paige otworzyła butelkę skeponi, miejscowego wina, i naląła im po kieliszku.

- Nie tak grubo, Susannah. To mają być plasterki ogórka, nie krążki hokejowe.

- Nie podoba mi się to - narzekła Susannah, gdy kolejny plasterzek spotkał się z dezaprobatą siostry.

- Wiesz co? Ty zrób sałatkę, a ja zajmę się twoimi finansami.

- Bomba! - roześmiała się Paige.

Pięć minut później obie siostry pracowały bardzo z siebie zadowolone - Paige wypychała karczoch mieszanką orzeszków, ziół i porzeczek, a Susannah za pomocą kalkulatora walczyła z – jak to określiła – finansami z piekła rodem.

Siadały właśnie do stołu, gdy na drodze od strony wioski pojawił się skuter. Paige znieruchomiała. Skuter zatrzymał się. Po chwili ktoś zapukał. Paige uchyliła drzwi i Susannah dostrzegła przystojnego młodego Greka z kręconymi włosami. Paige wyszła na zewnątrz, ale Susannah dobiegły strzępki rozmowy.

- ... w wiosce. Czemu nie przyszedłeś?

- Nie jestem sama, Aristo. Nie powinieneś tu przyjeżdżać. Rozmowa trwała jeszcze kilka minut. Gdy Paige wróciła do domku, znów miała zaciętą minę.

- Jeden z moich niezliczonych kochanków - rzuciła oschle, stawiając talerze na stole. Susannah dołąła wina.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała ostrożnie. Paige nastroszyła się błyskawicznie.

- O czym tu rozmawiać? W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie byłam święta.

Był to jej pierwszy atak. Susannah odstawiła wino.

- Jakie są nowe reguły gry?

- Nie rozumiem.

- Gdyby nie ty, do dzisiaj nie wzięłabym się w garść. Pomogłaś mi. Ale czy to znaczy, że między nami będzie dobrze, dopóki będziesz mi potrzebna? Odwrotnie już nie? Paige bawiła się pomarszczoną oliwką w sałatce.

- Lubię się opiekować innymi. Po prostu nigdy nie miałam do tego okazji.

- No to teraz masz. - Głos jej się załamał. - Jestem w fatalnym stanie, Paige.

Zaoferowałaś mi schronienie. Nie przywykłam, żeby polegać na innych, i przeraża mnie to, że tak bardzo cię potrzebuję.

W oczach Paige zalśniły łzy.

- Zawsze chciałam być taka jak ty.

Susannah chciała się uśmiechnąć, ale nie wyszło jej to najlepiej.

- A ja chciałam się buntować jak ty.

- Ładna mi buntowniczką - obruszyła się Paige. - Wcale nie chcę tak żyć. Mam dosyć włóczenia się po świecie i sypania z mężczyznami, na których wcale mi nie zależy.

- Więc czemu to robisz?

- Sama nie wiem. Seks daje poczucie wspólnoty, rozumiesz. Przynajmniej teoretycznie.

Opowiedziała Susannah o chłopaku, który ją zgwałcił, gdy miała szesnaście lat. Opowiedziała o Aristo, Luigim, Fabiu i innych, którzy czekali na nią na całym świecie. Opowiedziała o twórcy filmów dokumentalnych i o aborcji, której nigdy sobie nie darowała. Milczały. Susannah rozmyślała o rolach, które im narzucono od dziecka. Paige udawała zbuntowaną, niegrzeczną córkę, ona zaś wcieliła się w rolę, idealnej dobrej siostry. Tymczasem naprawdę było na odwrót, jakby wydano im złe kostiumy przed spektaklem.

Paige przerwała milczenie.

- Umieram z głodu.

Kolacja dawno wystygła, ale i tak jadały z apetytem, onieśmiałe nagłą bliskością.

- Wiesz, czego bym chciała? – Paige oblizwała palce. - Matkować całemu światu. Być skrzyżowaniem dziwki z matką Teresą.

I Susannah, która myślała, że już nigdy nie będzie się śmiać, roześmiała się na całe gardło. Piły wino, Paige opowiadała sprośne kawały, zmywały razem naczynia. Potem Paige postawiła na stole starą lampę i spojrzała na Susannah kątem oka.

- Kupiłam nam coś. Jeśli będziesz się śmiała, nie odezwę się do ciebie ani słowem.

- Nie będę.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Wyjęła z szuflady tanią książkę do kolorowania i pudełko kredek świecowych. Susannah ryknęła śmiechem.

- Będziemy kolorować? Paige dumnie podniosła głowę.

- Coś ci się nie podoba?

- Och, nie. Bardzo mi się podoba. - Porwała siostrę w objęcia i uściskała tak mocno, że Paige wołała o pomoc.

Usiadły obok siebie przy stole i pochyliły się nad obrazkami. Susannah kolorowała lewą stronę,



Paige prawą. Paige z fantazją pomalowała uśmiechniętą krowę na różowo i pomarańczowo, po chwili namysłu dodała zawadiacki kapelusz. Jej artystyczne oko nie zwracało uwagi na kontury obrazka, choć dusza pragnęła jasnych, ściśle wytyczonych granic.

Susannah starannie obrysowała kontury pani świnki, zanim wypełniła ją pastelowym odcieniem. W rysunkach trzeba trzymać się granic, prawdziwe życie to co innego.

- To niesprawiedliwe, Susannah. Zepsułaś niebieską. Nie znoszę tępych kredek. A ponieważ dla Susannah ważniejsze było ostre życie niż ostre kredki, posłusznie oddała siostrze najostrejsze kredki, sama zaś rysowała stępionymi ogryzkami. Taki układ odpowiadał obu siostrzom Faulconer.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Mitch stał na tarasie i patrzył na plażę pod urwiskiem przez słoneczne okulary w srebrnych oprawkach. Na jasnoniebieskiej koszuli wykwitła plama potu, szare spodnie pogniotły się podczas długiej podróży. Jednak nie o ubraniu myślał, obserwując dwie kobiety igrające z falami.

Paige była bardziej kobieca, bardziej kusząca, on jednak nie mógł oderwać oczu od smukłej postaci Susannah. Na jej ramionach jak kryształki lśniły krople wody, spływały po płaskim brzuchu, błyszczały na małym, okrągłym tyłeczku. Wiedział że nie powinien podglądać, ale działała na niego tak bardzo, że nie był w stanie się odwrócić. Nie pożądaj żony współnika swego, zaszeptał wewnętrzny głos. On tymczasem już od dawna pożądał żony współnika.

Nie wiedział dokładnie, kiedy przyjaźń zamieniła się w miłość, a oddanie w pożądanie. Nie był w stanie wskazać chwili, w której to się stało. Kiedy zrozumiał, że Susannah Faulconer to kobieta jego życia. Nie chciał się w niej zakochać. To błąd. To niewygodne. Wbrew jego zasadom. A jednak na sam jej widok ogarniały go uczucia, które były czymś znacznie silniejszym niż to, co kiedykolwiek czuł do kobiety. Tylko że teraz, gdy wreszcie skończyła się farsa, którą Susannah nazywała swoim małżeństwem, pojawił się gniew. Od lat trzymał uczucia na wodzy. Nigdy się nie zdradził, ani razu. Dopiero kiedy dowiedział się, co się stało, coś w nim pękło. Najchętniej potrząsnął by nią z całej siły, żeby dostrzegła zmarnowane lata, podczas których się łudziła. Potrząsałaby nią, aż na dobre uwolniłaby się od Sama Gamble'a.

A teraz będzie musiał ją pocieszać. Będzie starym dobrym Mitchem, poklepie ją po plecach i uda, że dzieli z nią smutek. Będzie uważnym, współczującym przyjacielem, choć wcale tego nie chce. Najchętniej śpiewałby na całe gardło z radości. I chciałby, żeby mu zawtórowała. Żeby spojrzała w niebo i powiedziała: - Dzięki Bogu, to już koniec. Teraz mamy nową szansę. We dwoje.

Lecz Susannah nie szafuje uczuciami. Wiedział, że na coś podobnego będzie musiał jeszcze długo poczekać... To, co wydarzyło się ostatnio w SysVal, wszystko tylko skomplikowało. Pomyślał o ostatnim kryzysie i zastanowił się, co zrobi, jeśli Susannah nie zechce z nim wrócić.

Paige uniosła głowę i wytrąciła go z zadumy. Znieruchomiała. Pewnie go zobaczyła. Nie odwróciła się jednak. Susannah nadal brykała wśród fal, więc siostra nie powiedziała jej, że ktoś je podgląda. Skoro Paige milczy, on także będzie trzymał język za zębami. Obserwował je dalej.

Susannah nie wierzyła własnym oczom, gdy na tarasie zobaczyła mężczyznę. Odwrócił się i uśmiechnął. W srebrnych oprawkach lustrzanek zabłysło słońce.

- No proszę, zguba SysVal.

- Mitch! Co ty tu robisz?

- Przejeżdżałem w pobliżu.

Rzuciła się w jego stronę. Raptem przypomniała sobie, że ma na sobie ręcznik kąpielowy i nic poza tym. Owinęła się ciaśniej, podeszła do niego i pocałowała w zarośnięty policzek. Przytulił ją mocno, ale tylko na moment.

- Martwiłem się o ciebie. To już trzy tygodnie.

- Naprawdę? – Wrzesień przeszedł w październik, a ona prawie tego nie zauważyła. - Przejechałeś taki kawał świata tylko dlatego, że się o mnie martwisz? Ku jej zdumieniu zacisnął usta, jakby go czymś rozzłościła.

- Mogłaś zadzwonić, Susannah. Wiesz przecież... - urwał, jakby co innego przykuło jego uwagę.

Odwróciła się z ciekawiona. Jej oczom ukazała się Paige z ręcznikiem luźno zawiązanym w tali. Piersi miała nagie i brązowe jak na obrazach Gauguina.

- No, no, no - odezwała się Paige. - Pan... Black we własnej osobie.

- Blaine - poprawił. Patrzył na nią przez chwilę, a potem opuścił wzrok, tak, że było oczywiste, że patrzy na jej piersi. - Doskonale wyglądasz, Paige. Susannah było wstyd. Choć właściwie dlaczego? Przecież to dorośli ludzie. Mitch wie, co robi, a Paige musi sama uporać się z demonami przeszłości. Paige zerknęła na nią, wyraźnie szukając pomocy. Susannah uniosła brwi. Sama się w to wpakowałaś, siostrzyczko. Sama się wykaraskasz.

Widać było, że Paige się denerwuje. Mitch uparcie patrzył na jej piersi. Paige ziewnęła szeroko, jakby na znak, że jest bardzo, ale to bardzo znudzona.

- Pić mi się chce - oznajmiła. - Przyniosę coś zimnego. Susannah miała ochotę bić jej brawo. Paige przegrała tę potyczkę, ale nie poddała się do końca.

I to właśnie Paige zadała ostatni cios.

- Panie Blaine, trzeba było do nas dołączyć, a nie podglądać z góry. Przynajmniej nie byłoby panu tak gorąco. - Zerknęła na siostrę i bardzo z siebie zadowolona weszła do domku. Susannah spojrzała na Mitcha.

- Podglądałeś nas?

Powoli zdjął okulary, złożył je.

- Niezupełnie.

- A dokładnie?

- Tylko sobie patrzyłem.

- Nie do wiary! Mitch, jak mogłeś zrobić coś tak obrzydliwego?

- Susannah, daj spokój. Rozluźnij się, dobrze? - Wsunął okulary do kieszonki na piersi. - A co niby powinien zrobić zdrowy heteroseksualny facet na widok dwóch pięknych kobiet brykających nago wśród fali? Widziała, do czego zmierza, w tym momencie jednak nie lubiła mężczyzn jako takich i nie chciała się poddać.

- Nie jestem piękna. I nie jestem kobietą. Jestem twoim współnikiem.

- Taak. Jak na współnika masz fantastyczne...

Urwał, gdy poczuł na sobie jej najbardziej lodowaty wzrok. Przed pięciu laty patrzyła tak na wszystkich, którzy śmieli żądać, by SysVal uiszczało należności w terminie. Obserwował ją przez chwilę. Nagle spowaźniał. Znowu zauważyła, jak niemal niedostrzegalnie zacisnął usta.

- Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał.

Wzruszyła ramionami i przysiadła na taborecie, cały czas pilnując, by ręcznik się nie rozwinął. Opuszką palca musnęła szeroki pas na tkaninie ręcznika.

- Wiedziałaś, Mitch?

Podszedł do balustrady. Patrzył na morze.

- O czym?

- O Samie i Mindy? O innych?

Wiatr zmierwił mu włosy. Stał do niej tyłem. Twierdząco skinął głową. Miała wrażenie, że zdradzono ją po raz kolejny.

- Wszyscy wiedzieli, że Sam ma kochanki, prawda? Wszyscy poza mną.

- Nie, nie wszyscy, ale... Wstała powoli i podeszła do niego.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Dlaczego mi nie powiedziałeś? Przyglądał jej się przez chwilę, zanim powiedział cicho:

- Myślałem, że wiesz.

Zbierało jej się na mdłości. Więc takie ma o niej zdanie? Czy wszyscy uważają ją za mięczaka bez ikry? Myślą, że zamykała oczy na zdrady Sama?

- Myślałam, że znasz mnie lepiej.

- Jeśli chodzi o Sama, nie znam cię w ogóle. Wydawało się, że ją potępia. Nie mogła tego znieść.

- Uważasz, że to moja wina, tak?

- Posłuchaj, Sam to wizjoner, jeden z najbardziej utalentowanych ludzi w branży, ale jeśli chodzi o relacje międzyludzkie, wszyscy wiedzą, że jest do niczego. Wiesz, czego nie rozumiem? Że tak cię to zaskoczyło. Dlaczego, Susannah? Bolało. Nie mogła uwierzyć, że Mitch ją atakuje.

- Nie zapraszałam cię tutaj i nie życzę sobie, żebyś wtykał nos w moje życie prywatne. Spojrzał na nią wrogo, zacisnął usta w wąską linię. Nagle coś w nim pękło.

- A niech to. - Pokonał dzielącą ich przestrzeń dwoma długimi krokami i zamknął ją w objęciach.

Potrzebowała jego współczucia, więc nie musiał długo czekać na wybaczenie. Przytuliła się do niego, przywarła do silnej piersi, słuchała równego bicia jego serca.

- Kochałam go, Mitch - szepnęła. - Bardzo go kochałam i nie chciałam wiedzieć. Przyciągnął ją bliżej, gładził po plecach.

- Wiem, skarbie - mruknął ochryple. - Wszystko będzie dobrze. W miarę jak mówił, czuła ruchy jego podbródka. Jego palce uniosły się nad ręcznik, dotykały nagiej skóry. Zamknęła oczy i cieszyła się z jego bliskością.

Czegoś takiego nigdy nie doświadczyła w objęciach Sama.

Aż nagle coś się zmieniło. W jego mięśniach pojawiło się napięcie. Ramiona stwardniały, aż stały się niebezpieczną przystanią, tylko więzieniem. W jej głowie rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Czuła, jak napiera nogą na jej uda, jakby chciał je rozsunać. Jeszcze nigdy nie była tak bardzo świadoma jego siły fizycznej, nigdy się go nie bała. To tylko Mitch, powtarzała sobie, stary dobry Mitch. W tym momencie zacisnął dłonie na ręczniku.

- Mitch! - Z krzykiem wyrwała mu ręcznik i odskoczyła w tył. Puścił ją tak gwałtownie, że się potknęła. Złapała ręcznik w ostatniej chwili, zanim się zsunął. Wyprostowała się.

- Mitch, co to... - Gdy jednak napotkała jego spojrzenie, zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Tak, Susannah? - zapytał niewinnie.

Wyglądał tak samo jak zawsze. Solidnie i spokojnie. Zrobiło jej się głupio. Co się z nią dzieje? Mitch jej nie zagraża. Czyżby to była kolejna pamiątka po Samie, przekonanie, że wszyscy mężczyźni to wrogowie?

- Może przekąskę? - Paige przyniosła tacę z krakersami, oliwkami i serem.

Susannah rozboląła głowa. Jak dobrze, że jest tu Paige. Uciekła do domu, pod prysznic. Paige z

czystej złośliwości – Susannah była gotowa się o to założyć - nalegała, żeby Mitch przenocował u nich. Przeszła samą siebie, serwując krewetki w maśle i ziołach, ryż, sałatkę grecką i świeży ciepły chleb. Mitch prawil jej komplementy, aż zarumieniła się z radości. W ogóle nie zwracali uwagi na Susannah.

Podczas deseru - szarlotka z bitą śmietaną - Mitch zabawiał je opowieścią o tym, jak to Yank zgubił swoje nowe porsche w centrum handlowym. Był tak dowcipny, że Susannah sama nie wiedziała, kiedy włączyła się do rozmowy. Napięcie między nią a Mitchem zniknęło bez śladu i wkrótce prześcigali się w opowiadaniu Paige anegdot o Yanku.

Opisywali właśnie jego zwyczaj gubienia aktualnych przyjaciółek w różnych miejscach, gdy Paige oskarżyła ich o kłamstwo:

- To już przesada! Nikt nie jest aż tak roztargniony! Susannah i Mitch wymienili spojrzenia i parsknęli śmiechem. Niestety, dobry humor Susannah nie dotrwał do kolacji, podczas której Mitch wspomniał o powrocie do Kalifornii. Zdawała sobie sprawę, że nie może tkwić tu bez końca, i tak została już za długo, ale na myśl o powrocie czuła w żołądku ucisk.

- Jeszcze nie jestem gotowa.

Zmarszczył brwi. Miał taką minę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko potrząsnął głową, napił się kawy i zapytał Paige o wyspę. Napięcie wróciło. Przez następne dwa dni Mitch i Paige przekomarzali się bez przerwy, aż Susannah chciała zatkać sobie uszy. Mitch wiele razy próbował namówić ją do powrotu, zawsze jednak zmieniała temat. Wspominał coś o nowych kłopotach w SysVal. Puszczala to mimo uszu.

Poświęciła firmie sześć lat życia. Niech inni się martwią. Trzeciego dnia Mitch nie mógł już dłużej odwlekać powrotu.

- Susannah, jesteś nam potrzebna w Kalifornii - powiedział, patrząc, jak kierowca ładuje jego walizkę do dzipa. - Wróc ze mną. Polecimy późniejszym samolotem.

Znowu miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa.

- Niedługo - odparła. - Niedługo wrócę.

- Kiedy? Do cholery, Susannah...

Paige interweniowała błyskawicznie jak niedźwiedzica broniąca swoich małych. Posługując się własną taktyką, uśmiechnęła się od Mitcha zalotnie.

- Na razie, Mitch. Zajrzyj do mnie, jeśli zbierzesz się kiedyś na odwagę i zdecydujesz wykąpać ze mną nago.

Nie puścił mimo uszu jej złośliwości, tylko się uśmiechnął. Przez chwilę patrzył Susannah w oczy, a potem przyciągnął Paige do siebie mocno, namiętnie pocałował. Susannah zobaczyła, jak wsuwa język w usta siostry i odwróciła głowę. Wiedziała, że pod klasycznym garniturem Mitcha kryje się namiętny mężczyzna, ale nie chciała na to patrzeć.

Mitch klepnął Paige w pośladek.

- Na razie, pulpeciku. Jeśli nie będę miał nic do roboty, skorzystam z twojej oferty. Cmoknął Susannah w policzek i wskoczył od samochodu. Paige odprowadzała samochód wzrokiem.

- Mitchell Blaine to prawdziwy mężczyzna, bez dwóch zdań.

Po raz pierwszy wyraziła się o mężczyźnie bez ironii. Susannah zdławiła zazdrość. Paige tak dobrze rozumie się z Mitchem, podczas gdy ich przyjaźń przechodzi dziwny kryzys.

- Powinnam była z nim wyjechać - mruknęła szorstko. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę ciągle tu siedzieć.

Paige objęła ją czule.

- Daj sobie jeszcze trochę czasu.

Ale czas nie pomagał. Minął następny tydzień i wciąż na myśl o powrocie do Kalifornii serce Susannah waliło jak szalone. Pewnego popołudnia stała przy zlewie i zmywała po obiedzie. Paige wybrała się do wsi po zakupy. Musi coś zrobić, doszła do wniosku. Nie może bez końca siedzieć Paige na głowie. Po raz pierwszy wzięła pod uwagę odejście z SysVal i pracę w innej firmie. Była tak pogrążona w myślach, że nawet nie usłyszała dzipa przed domem.

Yank nie znosił podróży. Nigdy nie mógł znaleźć biletów, gubił karty pokładowe. Zawsze zabierał cudzy bagaż i tajemniczym zrządzeniem losu miał za sąsiadów płaczące dzieci. Kiedyś nawet do tego stopnia zagłębił się w myślach, że przegapił samolot. W rezultacie w SysVal panowała niepisana zasada, że Yank sam nigdzie nie lata. Mitchowi jednak nie udało się przywieźć Susannah, a Sama z wiadomych przyczyn nie mogli wysłać.

Dlatego padło na Yanka.

Jego współpracownicy nie wierzyliby własnym oczom, gdyby widzieli, jak doskonale sobie radził podczas długiej, skomplikowanej podróży z Kalifornii na Naksos. Nadal nie wierzyli, że jeśli zechce, funkcjonuje całkiem normalnie. Rzecz w tym, że rzadko mu się chciało.

Wysiadł z dzipa, błyskawicznie przeliczył dolary na drachmy i wręczył kierowcy równo piętnaście procent napiwku w równych kupkach monet. Potem starannie wsunął portfel do tylnej kieszeni spodni, żeby go nie zgubić. Podniósł walizkę. Było to skórzane cudeńko ozdobione inicjałami Y.Y. Podarowała mu ją jedna z przyjaciółek. Dopiero później dowiedział się od księgowego, że zapłaciła jego kartą kredytową.

Idąc do domku, przygotowywał się na spotkanie z Susannah. Nie może tego zepsuć. To zbyt ważne dla nich wszystkich. Szybko otworzyła drzwi. Była tak zmęczona i smutna, że najchętniej serdecznie by ją uściskał, czego oczywiście nie zrobił. Uczucia, jakie w nim budziła od tamtego pierwszego wieczoru w Homebrew powróciły falą elektronów.

- Yank! - Ze zdumienia szeroko otworzyła usta. Zerknęła mu przez ramię, ciekawa, kto go przywiózł.

Domyślał się, że umiera ze strachu, że to Sam.

- Witaj, Susannah. - Zerknęła z drugiej strony. - Jestem sam.

- Sam? Skinął głową. Zmarszczyła czoło.

- Ktoś ci towarzyszył do pewnego momentu, tak?

- Przyjechałem sam. Do Grecji?

- Mogę wejść, Susannah? I jeśli ci to nie sprawi kłopotu, chętnie bym się czegoś napił.

- Oczywiście. - Przesunęła się, żeby go wpuścić, ale nie mogła się powstrzymać, by jeszcze raz nie wyrzeć na zewnątrz.

- Mamy greckie piwo - zaproponowała. - Ale... właściwie dlaczego przyjechałeś, Yank?

- Żeby cię zabrać do domu - odparł spokojnie.

Słońce świeciło Paige prosto w oczy, więc w pierwszej chwili wzięła mężczyznę na tarasie za Mitcha. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl o kolejnej rundzie słownych potyczek z bardzo apetycznym panem Blaine. Zaraz jednak zauważyła, że mężczyzna na tarasie jest od Mitcha wyższy i dużo szczuplejszy.

Gdy spojrzał w jej stronę, wstrzymała oddech. Co za facet! Brązowe włosy były starannie ostrzyżone i przedzielone na środku. Miał wyraźne, ostre rysy: wystające kości policzkowe, orli nos, ładnie wykrojone usta, a nad tym wszystkim ciepłe piwne oczy. Ubrany był w płócienne spodnie i koszulkę

polo. Na nadgarstku błysnął złoty zegarek. W rękę trzymał prawie pustą butelkę greckiego piwa. Mówiąc krótko, bardzo pociągający okaz.

Podeszła bliżej i nagle poczuła się niepewnie. Patrzył na nią tak dziwnie, jakby rozkładał ją na kawałki i analizował cal po calu - źrenice, kosmyk włosów na policzku jej usta, piersi... Przesunął wzrok na brzuch i uda. Zamiast się obrazić, poczuła, że jej to pochlebia.

- Mam się odwrócić?

- Jeśli pani chce. - Miał niski miękki głos.

Drzwi na taras otworzyły się. Susannah przyniosła szklanek wody. Była spięta i zmartwiona.

- O, Paige, jesteś już. Nie słyszałam skutera.

- Właśnie przyjechałam. - Paige położyła na ziemi siatkę z zakupami i spojrzała ciekawie na gościa.

- Paige, to jest Yank Yankowski. Yank, to moja siostra, Paige. Mało brakowało, a Paige zakrzuszyłaby się wodą. To jest Yank? Ten gapowaty geniusz, o którym Mitch i Susannah opowiadali prześmieszne anegdoty? Czyżby Susannah oślepla albo zwariowała? Paige obrzuciła Yanka spojrzeniem pełnym aprobaty.

- Nic dziwnego, że tak cię wciągnął świat biznesu, Susannah. Masz może jeszcze więcej wspólników?

Susannah spojrzała na nią tępym wzrokiem.

Paige ponownie skupiła się na Yanku i zobaczyła, że ma błędne, nieprzytomne oczy. Nerwowo macał się po kieszeniach, mrucał coś pod nosem, aż nagle, bez słowa, wszedł do domku.

Paige obserwowała go ciekawie. Co on...

- Pracuje nad czymś. To normalne. - Susannah napiła się wody i opadła na krzesło. - Paige, nie pozwól mu zabrać mnie do domu. - Jej dłonie drżały lekko. - Jak to?

- Yank przyjechał po mnie, a ja nie jestem jeszcze gotowa. Paige przyglądała się jej ciekawie.

- Więc nie wracaj. Przecież ci mówiłam, że możesz tu siedzieć, ile zechcesz.

- Nie wiesz, jaki on jest. Kiedyś coś sobie wbije do głowy, nie sposób go powstrzymać.

Jest pod tym względem podobny do Sama, choć jego stanowczość ma inny charakter. Yank jest delikatny. I dobry. Och, nie umiem tego wytłumaczyć.

- To śmieszne, Susannah. Nie może cię zmusić. Susannah nie wyglądała na przekonaną.

- Nie spodziewałam się, że tu przyjedzie. Yank sam nie podróżuje. Nie radzi sobie.

- Jak widać, poradził sobie doskonale. - Paige pokręciła głową. - Nie do wiary, że to ten sam facet, o którym opowiadaliście z Mitchem. Susannah, on jest taki seksowny. Susannah poruszyła się niespokojnie.

- Bardzo się zmienił. Rzeczywiście teraz wygląda o niebo lepiej, niż kiedy go poznałam.

Kobiety zrobiły z niego człowieka. Po prostu to działo się stopniowo i my, którzy znaliśmy go od początku, nie zauważyliśmy tego.

- Jak to zrobiły z niego człowieka?

- No, kupowały mu ciuchy. Zaprowadziły do fryzjera. Kiedyś strzygł się na jeża, okropnie. I nosił straszne okulary w czarnych oprawkach. Miały szkła jak denka od butelek. Kobiety namówiły go na szkła kontaktowe. Ale to wszystko kosmetyka. Yank to Yank. - Wzdrygnęła się lekko. - Czasami mnie przeraża.

Była to opinia, z którą Paige się zgadzała.

Potraktowała go tak jak Mitcha, zaprosiła na pyszny obiad. Yank zachowywał się jak na niego wręcz wspaniale - rozmawiał cały czas, wyłączył się tylko raz czy dwa. Po posiłku poprosił, żeby Susannah

pokazała mu plażę. Udawała, że jest zaabsorbowana próbami wciśnięcia korka do butelki.

- Może jutro. Jestem bardzo zmęczona.

- Chciałbym obejrzeć plażę. Teraz - powtórzył spokojnie.

- Późno już, Yank. To strone zejście.

- Jest pełnia. Damy sobie radę.

Susannah spojrzała na Paige błagalnie. Macierzyński instynkt siostry wziął górę. Odłożyła ścierkę i wzięła Yanka pod ramię.

- Spacer po plaży to moja specjalność. Jeśli będziesz grzeczny, dam ci buzi. Susannah zastygła w bezruchu, gdy Yank uśmiechnął się szeroko. Paige ma rację. Ostatnio bardzo wyprzystojniał, a ona tego nie zauważyła. Paige wzięła go za rękę i pociągnęła do drzwi.

- Nie czekaj na nas! - zawołała do siostry. - Wrócimy późno. Mimo buńczucznych słów sam na sam z Yankiem Paige poczuła się nieswojo. Było w nim coś niesamowitego, jakby wiedział rzeczy, o których zwykli ludzie nie mają pojęcia. Nie podobało jej się to. Księżyc oświetlał im drogę, lśnił srebrem na skałach. Było ciepło i cicho, fale szumiały leniwie. Zatrzymała się, udając, że patrzy na morze. W rzeczywistości starała się nie zauważać, że Yank się jej przygląda.

Denerwowała się coraz bardziej. Postanowiła wykorzystać stare sztuczki.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś cholernie pociągający?

- Tak.

- Zdaniem Susannah jesteś dziwakiem.

- Wiem.

- Nie przeszkadza ci to?

- A powinno?

- Skąd mam wiedzieć? Jeśli chcesz, żeby wszyscy mieli cię za czubka, to twoja sprawa.

Roześmiał się cicho.

Zdenerwowało ją to. Jego śmiech oznaczał, że wie coś, o czym ona nie ma pojęcia. Ze złością zadarła koszulkę, chciała ją ściągnąć przez głowę.

- Popływamy?

Złapał ją za rękę, unieruchomił z zadziwiającą siłą.

- Nie chcę, żebyś się rozbierała.

- Boże, jeszcze jeden. Najpierw Mitch, teraz ty. Co z wami?

- Może Mitch także to zrozumiał. Nie powinnaś iść do łóżka z żadnym z nas. Nie teraz.

- Kim ty jesteś? Bogiem? Skąd wiesz, co powinnam, a czego nie powinnam robić?

- Po prostu wiem. Dzisiaj przy kolacji przyszło mi do głowy, jak to wszystko może się skończyć. Pod warunkiem że będziemy mieli dużo, dużo szczęścia.

- Co skończyć? O czym ty mówisz?

Dotknął jej policzka najczulszym gestem, na jaki kiedykolwiek zdobył się wobec niej mężczyzna. Podniosła na niego wzrok. Miał gorąco współczujące oczy jak Jezus z tandetnych obrazków.

- Paige, przez jakiś czas nie oddawaj się nikomu. To ważne. Odepchnęła jego dłoń.

- Zrobię, co będę chciała! Boże, ale z ciebie dziwak! Pilnuj swojego nosa, słyszysz? Odpieprz się, koleś. Odpieprz się.

Uśmiechnął się smutno i zapatrzył na fale.

Susannah położyła się na długo przed ich powrotem. Nie zniesie jeszcze jednej rozmowy na temat wyjazdu. Gdy poprawiła poduszkę, przypomniła się jej zadziwiająca opinia Paige na temat Yanka.

Nie zaskoczyło jej, że siostra była zachwycona Mitchem, przecież jest bardzo przystojny, ale żeby Yank zrobił na niej równie wielkie wrażenie?

Zamknęła oczy i usiłowała zasnąć, ale co chwila unosiła powieki. Żeby się rozerwać, usiłowała sobie wyobrazić, jak to by było, kochać się z Yankiem. Niestety, bez względu na to, jak się starała, za każdym razem Yank wyłączał się w kluczowym momencie. I wtedy – o wstydzie! – poczuła przyływ podniecenia. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że czeka ją życie bez seksu. Jej zmysłowa natura nie zmieni się tylko dlatego, że nie ma już męża. Jednocześnie nie wyobrażała sobie, żeby mogła związać się z innym mężczyzną, a bez miłości nie poszłaby do łóżka.

Przypomniała sobie twarz Sama, gdy się kochali. Było to tak bolesne, że mocno zagryzła wargi. Nie myśl o nim. Pomyśl o kimś innym. Wyobrażała sobie ponure lata bez seksu. Ponownie usiłowała wyobrazić sobie siebie z Yankiem i znowu fantazja ją zawiodła. Zobaczyła natomiast siebie z kimś innym - z Mitchem. Fantazjowanie to niewinna zabawa, więc pozwoliła, by w jej marzeniach zdjął czarne kąpielówki, w których widziała go na plaży. Wyobrażała sobie, jak wygląda nago, i powoli się odpreżała. Pozwoliła, by wziął ją na ręce i ułożył na jedwabnej błękitnej pościeli.

Przypomniała sobie jego zapach, mieszankę czystego płótna i czystej skóry. Jej ciało robiło się ociążałe. Z głośnym jękiem wtuliła twarz w poduszkę. Zamknęła oczy i znowu zobaczyła usta Sama – wąskie męskie usta szepczące miłosne obietnice, których nie dotrzymał.

Następnego ranka wstała bardzo wcześnie. Boso, żeby nikogo nie obudzić, wymknęła się na taras. Chciała umknąć, zanim Yank wstanie. Później z nim porozmawia, nie teraz.

- Susannah?

Skrzywiła się. Stał w drzwiach swojej sypialni i szybko wciągał pogniecione spodnie. Miał zmierzwiłone włosy. Uświadomiła sobie, że dotąd nigdy nie widziała go bez koszuli. Był szczupły, niemal chudy, ale mięśnie rysujące się pod skórą przydawały mu męskości.

- Idę do wioski - odparła, zdecydowana uciec, zanim zdąży ją powstrzymać. - Przyniosę bułeczki na śniadanie.

- Nie trzeba. - Podeszedł do stołu, wybrał najbardziej soczystą brzoskwinę i ugryzł. Żuł powoli. Spojrzał na owoc, jakby nigdy przedtem nie widział brzoskwiń. - Najprościej będzie, jeśli po prostu zgodzisz się ze mną wrócić. Dzisiaj po południu.

- Dzisiaj po południu? To niemożliwe.

- Wolisz jutro rano?

- Nie, ja...

- Więc dzisiaj. - Stwierdził to ze złowieszczą pewnością.

- Yank, nie chcę wracać. Jeszcze nie. Nie nalegaj.

- Ktoś musi nalegać. Zawiodłem się na Mitchu. Myślałem, że cię przywiezie.

- Nie jestem przedmiotem! Posłuchaj, Yank, na myśl o tym, że zobaczę Sama... Nie dam rady.

- Oczywiście, że dasz. Jesteś silna, Susannah. Nie zapominaj o tym. Wcale nie czuła się silna. Czuła się jak mała dziewczynka z pękniętym balonikiem.

- Nie zniosę spotkań z Samem, jeszcze nie teraz.

- Firma cię potrzebuje.

Upuściła sandały na ziemię. Upadły koło nogi krzesła.

- Zapomnij o firmie! Mam jej dosyć! Według ewangelii świętego Sama Gamble'a SysVal jest równe Bogu. Dla mnie już nie. Produkuje komputery, na litość Boską! Maszyny. To wszystko. - Wskazała sufit. - Widzisz? Świat się nie zawalił. Błuznię i nic się nie dzieje.



Yank wydawał się zmęczony, jakby wyczerpywało go przebywanie w pobliżu tak silnych emocji. Cisnął pestkę do kosza.

- SysVal to coś więcej niż trójka żółtodziobów w garażu. To ludzie z hipotekami na głowach i dziećmiakami do wykarmienia.
- To nie moja sprawa. Nie jestem za nich odpowiedzialna.
- Owszem, jesteś. Jesteś filarem SysVal.
- Ze wszystkich współników mnie najłatwiej zastąpić, dobrze wiesz.
- Ciebie najtrudniej zastąpić. Dziwi mnie, że jeszcze tego nie zauważyłaś. Od samego początku ty jedna miałaś przed oczami całość. My wdzieliśmy tylko poszczególne kawałki.
- To śmieszne. Mitch też widzi całość.
- W większym stopniu niż ja. W większym niż Sam? Może. Ale jego wykształcenie to przeszkoda, która ciebie nie powstrzymuje. Mitch i Sam czerpią z siebie nawzajem energię, ale się nie rozumieją. Kiedy nie wytłumaczysz jednemu, o co chodzi drugiemu, nie są w stanie się porozumieć. Jak na niego była to długa przemowa. Zapatrzył się w dal, więc doszła do wniosku, że odpłynął. On tymczasem robił zbierał siły do dalszej walki.
- Nie jesteś wizjonerką jak Sam ani specjalistką od marketingu jak Mitch. Nie projektujesz jak ja. Ale rozumiesz ludzi i to dzięki tobie wygraliśmy. Gdyby nie ty, SysVal poniosłoby klęskę. Tylko ty trzymasz nas na właściwym kursie.

Ta jej część, która nie rozpaczała za Samem, była Yankowi wdzięczna za te słowa. W pewnym sensie uznanie z jego ust miało dla niej większą wagę niż pochwały Mitcha czy Sama.

- Mitch chce, żebyś wróciła, gdy będziesz gotowa. Powiedział wyraźnie, że mam cię nie zmuszać.
- Jestem wolnym człowiekiem - oznajmiła. Miała nadzieję, że powiedziała to z przekonaniem. - Nie możesz mnie zmusić.
- Może, ale wolność to pojęcie względne. Wiem coś, o czym Mitch zabronił ci mówić. Gdybyś wiedziała to, co ja, wróciłabyś natychmiast.

Choć cały czas domyślała, że Mitch coś przed nią ukrywa, zdenerwowała się dopiero teraz.

- Co to za informacje? O czym ty mówisz?
- To poważna sprawa, Susannah.
- Przestań mnie zwodzić! Skoro wiesz coś, co powinnam wiedzieć, powiedz! Nie obchodzi mnie, co mówił Mitch.
- Och, powiem, powiem. Zdziwiło mnie, że Mitchowi się wydaje, że może mi rozkazywać.
- Co się dzieje, Yank? O co chodzi?

Yank podszedł do okna i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w morze. Odwrócił się do niej.

- Kilka dni po twoim wyjeździe Sam przypuścił atak na radę nadzorczą.
- To nic nowego. Ciągle ich do czegoś namawia.
- Tym razem chodzi o coś innego. Susannah poczuła dreszcz niepokoju.

O co ci chodzi? Co zrobił?

- Susannah, przykro mi to mówić, ale Sam namawia radę do sprzedaży SysVal.

## Rozdział dwudziesty piąty

Ledwie Paige się obudziła, Susannah zaczęła ją namawiać, żeby wróciła do San Francisco razem z nimi. Paige jednak zbyła propozycję wzruszeniem ramion. Woli lecieć na Sycylię, stwierdziła.

Natychmiast zajęła się tuzinem drobiazgów - spakowała bagaże, zadzwoniła po samochód z kierowcą, który zabierze ich na lotnisko. Nowa bliskość z siostrą była na tyle krucha, że Susannah bała się ją naciskać. Z drugiej strony jednak zbliżyła się do Paige tak bardzo, że nie wyobrażała sobie życia bez niej. Co będzie, jeśli znowu się oddalą? Jeśli powróci stara wrogość?

Rozstanie na lotnisku okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała, a to za sprawą Yanka. W ostatniej chwili się zgubił. Mało brakowało, a poleciałby do Marakeszu, na szczęście Paige przyprowadziła go, gdy Susannah już straciła nadzieję. Machinalnie oddał jej paszport i bilet i zwrócił się do Paige:

- Proszę, pamiętaj, o co prosiłem na plaży. To ważne. Susannah spojrzała z ciekawością.

O co mu chodzi? Paige bawiła się sprzączką przy torbie.

- A ile to dla ciebie warte?

- Warte?

- Umowa obustronna, jasne? Zarumienił się.

- Mam dotrzymać takiej samej obietnicy?

- Czemu nie? Przynajmniej nie będę cierpieła sama.

- Nie myślałem o tym.

- A szkoda.

- Właściwie masz rację. Chociaż z drugiej strony...

- Zgadzasz się czy nie?

Zastanawiał się jeszcze chwilę, w końcu twierdząco skinął głową. Susannah była bardzo zdziwiona, ale nie miała wiele czasu na rozważania, bo wywołano ich lot. Ani Paige, ani ona nie wiedziały, co powiedzieć. Susannah uśmiechnęła się blado.

- Dzięki za wszystko.

Paige zbyła ją wzruszeniem ramion.

- Byłam ci coś winna.

Yank się oddalił. Susannah złapała go za ramię i pchnęła w stronę bramki. Pospiesznie się odwróciła i pomachała siostrze jeszcze raz. Paige stała w tłumie pasażerów i odprowadzała wzrokiem siostrę i Yanka Yankowskiego. Gdy zniknęli jej z oczu, poczuła w sercu smutek, jakby ciemna fala rozbiła się na jej małej plaży. Coś ważnego uchodziło z jej życia, a ona nie wiedziała, jak to zatrzymać. Podczas lotu z Aten do Londynu Yank opowiedział Susannah wszystko, co wiedział o nowym pomysle Sama. Mówił jak zwykle spokojnym głosem, koncentrował się na faktach, nie pozwalając sobie na żadne spekulacje.

Sam postanowił sprzedać SysVal Databeck Industries, międzynarodowemu konsorcjum. Databeck byli zainteresowani SysVal już w zeszłym roku - wtedy Sam wyśmiał ich ofertę, choć kilku członków rady nadzorczej nalegało, by poważnie ją przemyślał. Myślała i myślała. Przychodziło jej do głowy tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego tak nagle zmienił zdanie - chce się na niej zemścić. Świadomość, że jest gotów poświęcić firmę, która tyle dla niego znaczyła, tylko po to, żeby ją ukarać, zmroziła jej serce. Jak to możliwe, że zna się kogoś tak dobrze, a jednocześnie nie zna wcale?

W Londynie musieli poczekać kilka godzin na samolot do San Francisco. Yank zasnął zaraz po starcie, lecz Susannah nie mogła zmrużyć oka. Nie myślała jednak o kryzysowej sytuacji SysVal. Wyobrażała sobie, że wchodzi do holu firmy. Wszyscy będą się jej przyglądać. Widziała współczucie na ich twarzach, słyszała szepty za plecami. Nie, nie zniesie tego. Lepiej już myśleć o nowym pomysle Sama.

Byli tacy pewni, że do podobnej sytuacji nigdy nie dojdzie. Każde z założycielskiej czwórki miało po piętnaście procent akcji, w sumie więc mieli sześćdziesiąt. Pozostałe czterdzieści znajdowało się w rękach członków rady nadzorczej. Jeśli jednak Sam przekona wszystkich członków rady do sprzedaży i dorzuci swoje piętnaście procent, ona, Yank i Mitch będą bezsilni.

Wylądowali w Kalifornii o szóstej rano. Mimo tak wczesnej pory Susannah poprosiła Yanka, żeby podrzucił ją do domu Mitcha. Blaine mieszkał w ogromnej posiadłości na wzgórzach Los Altos. Miał tam uroczy dom. Otworzył drzwi. Miał na sobie tylko szorty, jego ciało błyszczało od potu, jasne włosy na piersi pociemniały. Wydawał się zdziwiony jej widokiem, jednak tak trudno było go przejrzeć, że nie była pewna, czy jest zadowolony, czy nie. Nagle przypomniała sobie erotyczną fantazję, w której się z nią kochał, i nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Witaj w domu - oznajmił. Przesunął się, żeby mogła wejść. - Właśnie skończyłem biegać. - Wyjął jej torbę z rąk i zaprowadził do salonu. Było to jej ulubione pomieszczenie w tym domu: bezpretensjonalna mieszanina Południowego Zachodu i Riwiery Francuskiej.

Krzesła i kanapy obito jasnymi tkaninami w neutralnych kolorach. Ożywiały je miękkie poduszki w jaskrawe geometryczne wzory. Na ścianach wisiały wielkie obrazy przedstawiające tropikalną dżunglę, w odpowiednich miejscach stoliczki z kutego żelaza czekały na filiżanki kawy. Tego dnia jednak nie cieszyła się jak zwykle, że przebywa w tak przytulnym pomieszczeniu. Podstawił jej torbę przy miękkiej kanapie.

- Poczekaj chwilę, szybko wezmę prysznic i zaraz wracam. W kuchni jest gorąca kawa, jeśli masz ochotę.

Powstrzymała go.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, co planuje Sam, gdy byłeś na Naksos? - Nie miała zamiaru mówić tak stanowczo, z taką pretensją, lecz między nimi nadal istniało dziwne napięcie i nie mogła nic na to poradzić.

- Mogłaś zapytać - odparł. - Nie przypominam sobie, żebyś zadała choć jedno pytanie.

- Nie czas na gierki, Mitch. Nie spodziewałam się tego po tobie. Podniósł pogniecioną koszulkę z fotela, wytarł nią pot z klatki piersiowej.

- Czy to oficjalna reprimenda, pani prezes?

Miesiąć temu nie przyszłoby jej do głowy, że w obecności Mitcha może czuć się onieśmielona, a teraz jednak było w nim coś nowego, coś groźnego. Wbiła wzrok w podłogę.

- Możesz to rozumieć, jak ci się podoba. Energicznie założył koszulkę.

- Susannah, robiłem, co w mojej mocy, żeby przekonać cię do powrotu, ale nie chciałem cię zmuszać, póki nie będziesz gotowa. Czeka nas ciężka walka, a twoje problemy osobiste tylko wszystko skomplikują. Skoro Yank i ja nie mogliśmy liczyć na sto procent zaangażowania, wolałem, żebyś trzymała się z daleka.

Mówi, jakby mógł za nią decydować.

- Decyzja nie należy do ciebie - warknęła. - Co się z tobą dzieje, Mitch? Od kiedy jesteśmy po przeciwnych stronach barykady?

Wydawało się, że trochę złagodniał.

- Nie jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, Susannah. Nie chciałem być niegrzeczny. Sam zwołał nieoficjalne zebranie rady na jutro na trzecią. Moim zdaniem chce ich przycisnąć.

- O nie! - zaperzyła się. - Niech sobie zwołuje zebrania, ale bez współników niewiele zdziała. Nie pójdę na żadne zebranie, oficjalne czy nie, dopóki nie porozmawiam z kilkoma osobami. Bez nas

zebranie nie ma sensu.

- Prędzej czy później będziemy musieli się pokazać.

- Wiem. Ale na razie moja kolej. Pamiętaj, jutro po południu masz być nieuchwytny. Ja zajmę się Yankiem.

Mitch przemyślał jej słowa.

- Dam ci kilka tygodni, Susannah, ale nie więcej. Nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że uciekamy. To byłoby równie szkodliwe jak wybryk Sama. Nie była zadowolona, że kwestionuje jej decyzję, ale przynajmniej trochę się rozluźnił. Co się z nimi dzieje? Przywykła, że zawsze może na niego liczyć, i nie wyobrażała sobie, że mogłaby stracić jego przyjaźń, szczególnie teraz, gdy jest taka krucha i wrażliwa. Poziom adrenaliny opadł. Ciężko osunęła się na kanapę.

Widział, jaka jest zmęczona, więc podał jej kawę. Powiedział jej też, że na wszelki wypadek zarezerwował dla niej dom dla gości SysVal, żeby miała dach nad głową, póki się nie uspokoi. Odebrał jej samochód z lotniska i przechował w swoim garażu. Jego troskliwość trochę poprawiła jej humor. Trzy kwadransy później weszła na drugie piętro domu SysVal, rzuciła się na czyste łóżko i zasnęła głębokim snem. Obudziła się koło południa. Zadzwoiła do domu, żeby sprawdzić, czy Sam tam jest. Gdy nikt nie odbierał, ubrała się i wsiadła do samochodu.

Podświadomie spodziewała się, że zmienił zamki, tymczasem jej klucz pasował jak zwykle. Dom wyglądał tak jak zawsze - chłodny i odpychający. Poszła do sypialni, gdzie łoże ze stali odcinało się od ścian wyłożonych szarym zamszem. Wszystko tak samo jak w dniu jej wyjazdu. Wszystko oprócz... Otworzyła szeroko oczy, widząc na przeciwległej ścianie mały obraz olejny, między dwiema komódkami. Był to pejzaż morski utrzymany w delikatnych, pastelowych odcieniach. Nie pasował do chłodnych szarości sypialni. Wypatrzyła go w galerii w Mill Valley i zakochała się od pierwszego wrażenia. Tylko że Sam go nie znosił i nie pozwolił go powiesić.

Dzisiaj widziała go po raz pierwszy od czasu, gdy kiedyś po powrocie z podróży służbowej dowiedziała się, że Sam odesłał go do galerii. Usiadła ciężko na skraju łóżka wpatrzona w obraz. Miała łzy w oczach. Jak to możliwe, że z jednej strony chce jej odebrać firmę, a z drugiej daje ten obrazek? Widziała go niewyraźnie przez łzy, wydawało się, że fale naprawdę się ruszają.

Przypominała jej się fala Sama - fala przyszłości, o której opowiadał przed laty. Ta fala porwała ich, tak jak obiecał, i tak jak mówił, zmienili się całkowicie. Patrzyła na mały obrazek i czuła, jak rozpacz, do tej pory zamknięta gdzieś w jej wnętrzu, wypływa na powierzchnię ciemnymi falami. Objęła się ramionami, kołysała powoli i na skraju łóżka opłakiwała śmierć małżeństwa.

Wraz ze śmiercią związku z Samem opłakiwała także dziecko, które kiedyś miała nadzieję urodzić - ciemnowłose, czarnookie, zadziorne i szalone. Tuliła je do siebie, kochała z całego serca, wkładała lata macierzyńskiej troski w te krótkie chwile. Nuciała nieistniejącemu, niepoczętemu dziecku smutną kołysankę i ze złamanym sercem złożyła je do grobu.

Kiedy wychodziła, była pusta i wypalona jak gliniana skorupa.

## Rozdział dwudziesty szósty

Gdy tego samego popołudnia wchodziła do budynku SysVal, miała wrażenie, że to jeden z najtrudniejszych momentów w jej życiu. Miała na sobie surową czarną sukienkę. Czuła się w niej jak w zbroi. Strażnik przy recepcji nie patrzył jej w oczy, gdy machnęła plastikowym identyfikatorem. Grupka pracowników w dzinsach przestała rozmawiać, gdy ich mijiała. Patrzyli w podłogę, na ściany,

były nie na nią. Wieści roznoszą się szybko. Najwyraźniej Mindy Bradshaw nie umiała trzymać języka za zębami. Teraz pewnie już wszyscy w SysVal wiedzą, że Susannah przyłapała Sama w łóżku z Mindy.

Wiele osób pozdrawiało ją ostrożnie, jakby umierała na raka, i nikt nie wiedział, co powiedzieć. Uprzejmie kiwała głową i szła dalej - wyprostowana, jakby połknęła kij, ze ściągniętymi ramionami. Prędzej umrze, niż się ugnie. Przecież to ona, debiutantka roku w San Francisco z 1965 roku. To ona, Susannah, która wie doskonale, jak ukrywać uczucia pod maską spokoju i jak zachować godność w obliczu najgorszej klęski. W miarę jak zbliżała się do swego gabinetu, coraz bardziej zwilgotniały jej ręce, ale nie opuściła głowy nawet o ułamek milimetra. Technik nadchodzący z przeciwka skręcił pospiesznie do jakiegoś gabinetu, byle uniknąć spotkania z nią. Poczowała, jak drżą jej kąciki ust, i zrozumiała, że nie wytrzyma dłużej. Nie jest już idealną debiutantką, nie jest prezesem SysVal. Jest cierpiącą, załamana kobietą. Zwolniła kroku. Nie da rady. Po prostu nie da rady.

Była tak spięta, że podskoczyła, gdy z głośników rozległ się głos. Było to o tyle zaskakujące, że głos należał do człowieka, który od lat daremnie walczył o zaprzestanie pracy radiowęzła. Mitch odchrząknął i mówił spokojnym, urzędowym tonem człowieka, dla którego najprzyjemniejszą rozrywką jest czytanie prognoz handlowych.

- Panie i panowie, dowiedziałem się przed chwilą, że nasza pani prezes Susannah Faulconer właśnie wkroczyła do budynku. Uznałem za swój obowiązek wyjaśnić pewne fakty. Nieprawdą jest jakoby pani Faulconer zatrudniła się w Las Vegas jako striptizerka i tancerka rewiowa. Wszyscy rozpowszechniający takie plotki zostaną niezwłocznie zwolnieni. Z pewnych źródeł wiadomo, że pani Faulconer nie występowała nago. Miała pióra w strategicznym miejscu. - Z głośników popłynęła rewiowa muzyka.

Z gabinetów wychylały się głowy. Po całym budynku przetoczyła się fala śmiechu. Susannah najchętniej zabiłaby Mitcha, albo go wycalowała. Wiedział, jak trudno będzie jej wrócić, i pomógł jej w ten dziwaczny, lecz bardzo typowy dla SysVal sposób. Po trudnym spotkaniu rano ten przyjacielski gest dużo dla niej znaczył. Komunikat Mitcha rozładował napiętą atmosferę i dał ludziom temat do rozmowy z nią. Przez następnych kilka godzin wszyscy nabijali się z niej niemiłosiernie. Nadal jednak byli bardzo ostrożni. Zazwyczaj gdy wracała po krótkiej choćby nieobecności, imię Sama padło tuzin razy w ciągu pierwszej godziny. Tym razem nikt o nim nie wspominał.

Najgorsza wydawała się perspektywa spotkania z nim, lecz Susannah wiedziała, że im bardziej to odwleka, tym trudniej przyjdzie jej z nim rozmawiać. Gdy Helen, jej sekretarka, przyniosła najpilniejszą pocztę, Susannah zmusiła się, by podnieść wzrok znad notesu i zapytać najspokojniejszym tonem, na jaki było ją stać:

- Czy Sam jest u siebie?

- Jezu... tak, chyba tak.

- To dobrze - oznajmiła energicznie. - Zadzwoń do niego i powiedz, że chcę się z nim widzieć, gdy tylko będzie wolny.

Zmusiła się do pracy. Podczas jej nieobecności zebrano się tyle pilnych spraw, że nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Do tego dochodziły irytujące drobne nieprzyjemności. Kiedy włączyła swój Blaze III, ze złością stwierdziła, że zastąpiono go innym egzemplarzem. Niby był taki sam jak poprzedni, wołała tamten. Był jednym z pierwszych trzynastu próbnych egzemplarzy. Sam zawsze nalegał, żeby nowe modele pracowały w biurze przez dwa miesiące. W ten sposób mogły wyjść na

jaw potencjalne problemy.

Na pytanie, co się stało ze starym komputerem, Helen odpowiedziała, że wymienił go technik.

- Skopiował wszystkie pliki na nowy, więc chyba wszystko w porządku.

- Złap go i powiedz, że chcę stary komputer. - Nic nie szkodzi, że zachowuje się irracjonalnie. W ciągu ostatnich tygodni w jej życiu zmieniło się wystarczająco wiele. Nad tym przynajmniej panuje.

Helen skinęła głową. Zadzwonił Mitch. Susannah podniosła słuchawkę.

- Striptizerka? Nie mogłeś wymyślić nic lepszego?

- Jestem inżynierem, nie poetą. O ile pamiętam, prosiłem, żebyś przyszła dopiero jutro.

- Jest za dużo roboty, żeby zwlekać jeszcze jeden dzień. Zawahał się.

- Susannah, obawiam się, że to nie koniec złych wieści. Niezbyt cieszy mnie perspektywa martwienia cię zaraz po powrocie, ale właśnie dzwonili do mnie z Sacramento. Oparła się ciężko na łokciach, przygotowana na następny cios.

- Do ludzi z administracji stanowej dotarły plotki o sprzedaży Sys-Val i to przeważało szalę na korzyść Falcona 101 i FBT.

Masowała skronie palcami. Kontrakt wart wiele milionów dolarów przeszedł im koło nosa. Sam chce sprzedać firmę. Miesiąc temu mieli wszystko. Dzisiaj ich świat walił się w gruzy. Przez następne dwie godziny wydzwaniała do Sacramento i przekonywała każdego, kogo zastała, że pogłoski o sprzedaży to tylko plotki, nic więcej. Urzędnicy byli uprzejmi, ale nieugięci. Podjęli decyzję na korzyść Falcona 101, nie Blaze III, i była to decyzja nieodwołalna. Włączyła komputer i usiłowała wyliczyć, ile stracą i jak to wpłynie na Wildfire.

Sam wszedł do jej gabinetu koło piątej. Wiedziała, że stoi w progu, jeszcze zanim powiedział:

- Cześć, Suzie.

Przez tyle lat ożywała na sam jego widok, teraz jednak odrętwienie nie ustępowało. Powoli odwróciła się na obrotowym krześle i przez chwilę patrzyła na niego oczami tych, którzy nie ulegli jego urokowi. Był zmęczony i zdenerwowany. Przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Miał na sobie wymięte, nieświeże ubranie, jakby w nim spał.

- Byłaś w domu? - zapytał.

- Zabrałam moje rzeczy.

- Nie możesz uciekać, jeśli mamy coś z tym zrobić.

Dopiero teraz, kiedy od niego odeszła, chciał rozwiązywać ich problemy. Właściwie mogła się tego spodziewać, więc czemu tak boli?

- Nie będziemy niczego robić, Sam. To już koniec. Mam dosyć.

Przezeszał włosy palcami, wbił pięść w kieszeń spodni.

- Susannah, przepraszam. Zachowałem się okropnie. Ale to nie musi oznaczać końca. Gdybym wiedział, że to dla ciebie takie ważne...

- Nie chcę o tym rozmawiać! - Z trudem się opanowała. Lata gorzkiej praktyki nauczyły ją, że nietrudno ulec dziwacznej logice Sama, a teraz nie miała siły na kłótnie. - Jesteśmy w pracy, Sam, więc skupmy się na kwestiach zawodowych. - Wstała, obeszła biurko dookoła. - Właśnie dowiedziałam się od Mitcha, że kontrakt ze stanem przeszedł nam koło nosa tylko dlatego, że doszły ich plotki o sprzedaży SysVal. Powiedz, dlaczego podstawiasz nam nogę. Opadł na krzesło, wyprostował nogi, opuścił ramiona jak nadąsany uczeń.

- To chyba oczywiste. Teraz jest odpowiedni moment na sprzedaż. Zbliża się recesja, w całej Dolinie firmy plajtują. Do tej pory mieliśmy szczęście, ale nie przeciągajmy struny. Zresztą ten

kontrakt wcale nie był taki lukratywny.

- Więc bez konsultacji ze współnikami postanowiłeś na własną rękę przekonać radę nadzorczą i sprzedać SysVal?

- A co miałem robić? - odparł arogancko. - Przecież uciekłaś, zapomniałaś już? Jak miałem się z tobą konsultować?

Nie da się wciągnąć w kłótnię.

- A Mitch i Yank? Oni nie uciekli.

- Mitch i Yank nic nie rozumieją. Posłuchaj, Susannah, może to wygląda na szaleństwo, ale wiem, co robię. Nauczyliśmy się dużo i możemy zacząć od nowa. Stworzymy firmę o wiele lepszą niż SysVal. Za szybko staliśmy się zbyt potężni. Tym razem założymy coś małego. Pomyśl, ile już wiemy. Automatyzacja to kwestia przyszłości. Zaoszczędzimy miliony na sile roboczej, jeśli wszystko zmechanizujemy. Inwestorzy będą się ustawiać w kolejce.

Mówił to, co trzeba, ale nie było w nim dawnej energii. Jego oczy nie płonęły już wizją świetlanej przyszłości. Wyczuła, że to zasłona dymna. Grając na zwłokę, podeszła do okna, wyjrzała na mały trawnik. Był ładny, ale nie mógł się równać z ogrodem przed FBT.

O co chodzi, Sam? - zapytała cicho. O co chodzi naprawdę? Chcesz się zemścić?

- Nie! Na litość Boską, chyba na tyle mnie znasz! Za kogo mnie uważasz? Nie odpowiedziała.

Wstał, trącił skraj dywanu czubkiem włoskich mokasynów robionych na zamówienie.

- Nie rób tego, Suzie. Nie rzucaj wszystkiego tylko dlatego, że postąpiłem jak świnia. Pozbyłem się Mindy. Wiedziałem, że nie będziesz chciała na nią patrzeć, więc ją zwolniłem. I kupiłem ten obrazek, który ci się tak podobał.

Jak dziecko podsuwał jej prezenciki w nadziei, że mu wybaczy. Zdradzona żona cieszyła się, że Mindy straciła pracę. Szefowa firmy widziała jawną niesprawiedliwość i postanowiła natychmiast coś z tym zrobić.

Nie będzie teraz rozmawiała o ich małżeństwie, a już na pewno nie o Mindy.

- Dlaczego chcesz sprzedać SysVal?

- Mówiłem ci. Zarobiliśmy kupę szmalu, a teraz czas się wycofać. Posłuchaj, Suzie, to wszystko zawali się z hukiem. Czuję to. Uciekajmy, póki czas.

W jego oczach zapłonął dawny ogień. Przestraszyła się.

- Ukrywasz coś przede mną.

- Dlaczego jesteś tak cholernie podejrzliwa? Niczego nie ukrywam, Susannah. Wystarczy spojrzeć na pieprzoną gospodarkę.

- Nie sprzedamy SysVal.

- Akurat. Rada nadzorcza mnie posłucha. To banda dusigroszy. Nie spodoba im się, kiedy się zdenerwuję. Koniec końców nie będziesz miała wyboru. Zaufaj mi, jeśli nie chcesz wyjść na idiotkę.

- Nie, to ty wyjdiesz na głupca.

- Weszliśmy w to razem i zadbam, żebyśmy razem z tego wyszli. - Miął ją w drodze do drzwi. - Nie walcz ze mną, Susannah. Ostrzegam cię. Jeśli mi się sprzeciwisz, będzie to ostatni błąd w historii SysVal.

O trzeciej po południu następnego dnia nieobecność Mitcha, Susannah i Yanka na zebraniu rady nadzorczej SysVal rzucała się w oczy. Sam nerwowo przechadzał się po sali konferencyjnej, a jego asystenci poruszali niebo i ziemię, żeby ich odnaleźć. Powrócili z wiadomością, że Mitch musiał niespodziewanie polecieć do Bostonu, a Susannah i Yank zniknęli bez śladu. Rada nadzorcza

przegłosowała Sama i zebranie przesunięto.

Sam wyszedł na korytarz. Nie mieściło mu się w głowie, że Susannah rzuca mu kłody pod nogi, że sprzeciwia mu się we wszystkim. To jego wina, mógł się domyślić, że wpadnie w szal, gdy się dowie, że sypia z innymi. Susannah nie rozumie, że to bez znaczenia. Nie rozumie, że jest jedyną kobietą, z którą chce spędzić resztę życia.

Wrócił od gabinetu, ignorując wszystkich, którzy chcieli z nim rozmawiać, i oznajmił sekretarce, że mają kwadrans na odszukanie jej.

Susannah chce mieć dziecko. W porządku, będzie dziecko. Może właśnie tego mu trzeba. Może dzięki dzieciakowi i on się ustatkuje. Poczul, że jest mokry od potu. Jezus, Maria, ależ się boi. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Musi przekonać wspólników do sprzedaży. I odzyskać Susannah. Nie ze względu na firmę, ze względu na siebie. Teraz, gdy patrzył na wszystko z szerszej perspektywy, przyznał, że to nie tylko jej wina, że był nieszczęśliwy. Właściwie to głównie jego wina. Ale Susannah wie, że czasami mu odbija. Powinna była zrozumieć, że po prostu przechodzi ciężki okres. Wie przecież, że ją kocha. Że jej potrzebuje. Jeśli od niego odejdzie, zabierze ze sobą całe jego życie.

- Nie, skądże, nie jestem zły, że mnie na to namówiłaś - odparł Yank, gdy wraz z Susannah oglądał nowe puste luksusowe mieszkanie z basenem, solarium i fantastycznym widokiem. - Ale nie potrzebuję niańki. Szkoda, że nie ufasz mi na tyle, żeby uwierzyć, że uda mi się zniknąć na całe popołudnie.

Susannah zerknęła na zegarek. Dochodziła czwarta. Do zebrania już chyba nie dojdzie. Uśmiechnęła się do Yanka przepraszająco.

- Nie chciałam ryzykować. W końcu mogło się zdarzyć, że odpłyniesz i zapomnisz, która godzina. Nie odpowiedział uśmiechem. Patrzył na nią poważnie, surowo. Poczula się nieswojo, więc odwróciła wzrok. Yank jest taki tajemniczy. Nigdy nie wiedziała, co sobie myśli. Chyba nikt tego nie wie.

Agent handlujący nieruchomościami zostawił ich, żeby mogli w spokoju obejrzeć mieszkanie. Dzisiejsze popołudnie równie dobrze jak inne nadaje się na szukanie nowego domu, uznała Susannah. Bez entuzjazmu wyjrzała przez okno na wzgórze.

- Chyba w porządku.

- Może być. Oczywiście dopiero meble nadają wnętrzu charakter. Susannah przypomniała sobie kiczowaty, kapiący od złota dom Yanka - efekt działań dekoratorskich jednej z jego pierwszych przyjaciółek.

Na dole trzasnęły drzwi. Wstrzymała oddech, słysząc tupot na schodach. Yank zmarszczył brwi. Sam wpadł do pokoju jak burza.

- Nie do wiary. Już sam nie wiem, na kim mogę polegać. Susannah straciła panowanie nad sobą.

- Nie waż się mówić o zaufaniu!

- Masz dom, Susannah! - krzyknął. - Mój dom. Nasz. Nie potrzebujesz innego mieszkania.

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać, Sam. Wyjdź, proszę. Ruszył w jej kierunku. Yank stanął mu na drodze.

- Słyszałeś, Sam - powiedział cicho. - Susannah nie życzy sobie, żebyś tu był.

- Zejdź mi z drogi!

Popchnął go. Yank jednak był silniejszy, niż na to wyglądał, i zachwiał się co prawda, ale nie upadł. Kark Sama poczerwieniała.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem! Myślałem, że będziesz na zebraniu! A ty trzymasz z moją



żoną!

- Poprosiłam Yanka, żeby tu ze mną przyjechał - wtrąciła się Susannah. Zachowanie Sama było żenujące. Znowu patrzyła na niego z dystansu, oczami obcego człowieka.

- Pewnie wychodził ze skóry, żeby ci pomóc - rzucił Sam jadowicie. Yank zacisnął oczy.

- To chyba koniec, Sam. Susannah się ze mną zgadza. To koniec. Sam skrzywił się. Przez moment wyglądał, jakby chciał się rozpłakać.

- Byłam dziś rano u adwokata - powiedziała cicho. - Podjęłam decyzję.

Ominęła go szerokim łukiem, idąc do drzwi.

- Nie rób tego, Susannah! - zawołał za nią. - Chodź, wracamy do domu!

Nie chciała z nim walczyć, więc bez słowa zeszła na dół.

Zamiast do SysVal, pojechał do domu matki. Opalała się na podwórku za domem wystrojona w brązowożłote bikini, które chyba nigdy nie widziało wody. Na uszach miała słuchawki walkmana, jej oczu nie było widać za wielkimi okularami słonecznymi, które ozdobił złoty nonogram AG.

Proponował, że kupi jej dom, gdzie tylko zechce, ona jednak nie chciała się wyprowadzić ze starej dzielnicy. Twierdziła, że tu jej się podoba, bo zna wszystkich, a staruszki na nią liczą. Powtarzał, że nie musi już pracować, przecież on, Sam, ma więcej pieniędzy, niż można sobie wyobrazić, na co odpowiadała, że ceni swoją niezależność. Chciał jej nawet kupić pierwszorzędny zakład fryzjerski, ale stwierdziła, że nie ma ochoty na tak ciężką pracę. Pochylił się i wyłączył magnetofon. Gwałtownie otworzyła oczy.

- Cześć, skarbie. - Przesunęła okulary na czubek głowy i uniosła się odrobinę. Gdy się poruszyła, jej brzuch trochę się zmarszczył, ale i tak miała wspaniałe ciało jak na kobietę tuż przed pięćdziesiątką.

- Ależ z ciebie elegant - powiedziała jak zwykle. - Gdyby ktoś mi powiedział, kiedy miałeś osiemnaście lat, że pewnego dnia będziesz nosił krawaty po osiemdziesiąt dolców sztuka, uznałabym go za wariata.

Przycupnął na metalowym krzeselku. Jego uwagi nie uszła rdza przy śrubach.

- Ciuchy są nieistotne.

- Tak? To przestań się tak stroić.

Wyprostował nogi, popatrzył w niebo, zamknął oczy.

- Rozmawiałaś z Suzie?

- Dzwoniła wczoraj.

- Wbiła sobie do głowy, że się wyprowadza.

- Mhm.

- I co ty na to?

- Masz ochotę na spaghetti?

- I co ty na to?

- Nic. Suzie jest dorosła.

- Co ci powiedziała?

- Że od ciebie odchodzi. Zerwał się na równe nogi.

- Tylko jej się tak wydaje. Widzisz, ona chce mieć dziecko.

- Wiem. I męża. Masz, na co zasłużyłeś, synu. Od dawna próbowałam ci to wytłumaczyć.

- Wiesz co, wkurzasz mnie. W końcu jesteś moją matką, nie jej. Zawsze trzymałaś jej stronę. Od początku.

- Jestem wolna, Sammy. Robię, co mi się podoba. Wziął się pod boki, spojrzał na nią gniewnie.

- Wiesz co? Ona jest dla mnie ważna. Potrzebuję jej. Angela westchnęła i wyciągnęła do niego rękę.  
- Och, synku, tak trudno cię kochać.  
- Databeck złożyło bardzo interesującą ofertę, Susannah - stwierdził Leland Hoffman przy lunchu w uroczej knajpce przy Ghirardelli Square. Stary finansista należał do najbardziej wpływowych członków rady nadzorczej SysVal. Oprócz niego i czwórki założycieli w skład rady wchodziłi rozmaici bankierzy i inwestorzy, do których zwracali się, gdy potrzebowali pieniędzy. Wszyscy oni byli bardzo konserwatywni i Susannah, która w ciągu minionych czterech dni składała im wizyty, z przerażeniem patrzyła na ich panikę. Nawet Hoffman, dla którego ryzyko stanowiło chleb powszedni, był zaniepokojony.

Wsypał dietetyczny słodzik do kawy i pokręcił głową.

- Zrozum, kiedy taki ryzykant jak Sam namawia do sprzedaży, wszyscy nadstawiają uszu.  
- Sytuacja jest stabilna - zapewniła. - Nie ma powodu do sprzedaży.  
- Prace nad Wildfire bardzo się przeciągają a Kontrakt stanowy przeszedł wam koło nosa. I ty to nazywasz stabilną sytuacją?  
- Straciliśmy kontrakt przez plotki o sprzedaży.

- Może tak, a może nie.

Susannah rozumiała aż za dobrze. Gdyby ona lub Mitch wyrazili niepokój stanem finansów firmy, członkowie rady byliby z troskami, ale nie przerażeni. Skoro jednak ryzykant pokroju Sama zaczął bić na alarm, wpadli w panikę.

Dopili kawę i zbierali się do wyjścia. Leland nagle zmarszczył brwi.

- A tak przy okazji, Susannah, nie podoba mi się wasz serwis. Kiedy byłem na urlopie, zabraliście mój komputer od przeglądu i jeszcze nie dostałem go z powrotem. Ani żadnej maszyny zastępczej. Susannah skrupulatnie zanotowała to w kalendarzu. Jedną z głównych zasad w SysVal było, że jeśli pracownik przyjął skargę klienta, prowadził sprawę do końca, nieważne, czy był to goniec czy prezes.

- Lubiłem tamten komputer - ciągnął Leland. Zachichotał nagle. - Pracując z modelem próbnym Blaze III, czułem się jak pionier, jak odkrywca.

Susannah nadstawiła uszu.

- Miałeś model próbny?

- Sam mi go dał. Dowiedział się, że w ogóle nie używam komputera, i stwierdził, że przynoszę wstyd firmie. Trochę trwało, zanim nauczyłem się go obsługiwać, ale teraz nie wyobrażam sobie bez niego życia.

Susannah przypomniała sobie, że jej komputer też zniknął. Pewnie ktoś z działu technicznego chciał sprawdzić, jak się sprawują po dłuższej eksploatacji. Zapewniła Lelanda, że wyśle mu nowy egzemplarz jeszcze tego dnia, i poprosiła, żeby jeszcze raz przemyślał swoją decyzję.

- Zazwyczaj polegam na intuicji - odparł - a w tej chwili instynkt mi mówi, że SysVal ma kłopoty.

Wróciła do biura zmartwiona i spięta. Przejrzała stertę wiadomości z nadzieją, że znajdzie coś od Paige. Od kilku dni bezskutecznie usiłowała się do niej dodzwonić. Następnego dnia myślała właśnie o siostrze, gdy Lydia Dubeck, absolwentka Harvardu, nowy pracownik SysVal, zajrzała przez otwarte drzwi.

- To dziwne, Susannah. W dziale technicznym nie ma wiedzy o trzynastu próbnym trójkach. Nie ma żadnych zleceń, nikt nie reklamował. To chyba dobre wieści? Susannah nie była przekonana.

- Asystenci Sama powinni mieć listę osób, które dostały pierwszą trzynastkę. Zdobądź ją i niech ktoś

sprawdzi, jak się sprawują poszczególne egzemplarze. Lydia wróciła po południu zmęczona i zirytowana.

- Nie wiem, w czym rzecz. Chyba tylko Sam ma tę listę. Można by pomyśleć, że to wielki sekret. Żaden z jego asystentów nie chciał mi jej dać, a kiedy do niego poszłam, był w złym humorze. Susannah wiedziała, co to znaczy. Biedna Lydia została ofiarą jego werbalnej chłosty. Po chwili namysłu doszła do wniosku, że nie ma sensu robić mu awantury o coś tak nieistotnego, skoro szykuje się poważna bitwa.

- Dzięki, Lydio. Na razie zostaw to.

Czekało ją tego dnia jeszcze wiele spotkań. Ostanie zebranie skończyło się o szóstej. Susannah poszła do Mitcha. Może da się wyciągnąć na obiad, opowie mu o nowych planach dotyczących Wildfire.

Jego gabinet był najbardziej oficjalny. W oknach wisiały ciężkie zasłony w kremowo-brązowe pasy. Fotele zapraszały, by na nich usiąść. Na ścianach wisiały dyplomy i zdjęcia jego dzieci.

Mitch siedział pogrążony w lekturze opasłego raportu, więc przez chwilę przyglądała mu się niezauważona. W mankietach koszuli błyskały złote spinki, kołnierzyk był zapięty jak należy, krawat zawiązany perfekcyjnie. Podniósł głowę i światło lampy odbiło się w szklach okularów w rogowej oprawie. Nie rozumiała, jak to możliwe, by ta opoka konserwatywnego biznesu mogła tak namiętnie całować jej siostrę.

- Pójdziemy coś zjeść? - zaproponowała

- Niestety, umówiłem się z Jacqueline. - Widząc jej minę, uniósł brwi. - Możesz do nas dołączyć, Susannah. Jacqueline bardzo cię lubi.

- Dzięki, ale nie. Jakoś nie mam ochoty na rozmowę o nieżyjących filozofach. - Usiadła na fotelu naprzeciwko biurka, zrzuciła pantofle. - Ożenisz się z nią?

Od razu się naburmuszył.

- Susannah...

- Tak czy nie?

Na korytarzu zatrzeszczał głośnik.

- Uwaga, uwaga! W budynku ukrywa się świnia. Proszę natychmiast zawołać ochronę, gdyby ktoś zobaczył stukilowego wieprzka imieniem Yoda.

Mitch westchnął. Susannah spojrzała w sufit.

- Boże, mam nadzieję, że to tylko żart - mruknęła.

- W tej firmie nigdy nic nie wiadomo.

Susannah przestała się uśmiechać na myśl o tym, ile firma dla niej znaczy, zwłaszcza teraz, po rozpadzie małżeństwa.

- Boże, kocham tę budę. Nie chcę tego stracić, Mitch. Zdjął okulary.

- Ja też nie, ale to nie najgorsze, co może nas spotkać. Gdybyśmy ją sprzedali, dostalibyśmy tyle pieniędzy, że nie moglibyśmy ich wydać przez dwieście lat. Susannah nie chciała nawet myśleć o klęsce. Nie podobało się jej, że Mitch w ogóle bierze to pod uwagę.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Stworzyliśmy wspaniałą firmę i nikt jej nam nie odbierze.

- Sam ma spore poparcie, Susannah. Nie łudź się.

- My też. Wiesz przecież, że członkowie rady wcale go nie lubią.

- Może i nie, ale kiedy uderzy na alarm, zareagują jak szczury na tonącym okręcie. Wsunęła stopy w pantofle. Dotąd nawet przez myśl jej nie przeszło, że Mitch mógłby zmienić zdanie. Teraz nie była już taka pewna.

- Mam wrażenie, że przygotowałaś plan awaryjny, i wcale mi się to nie podoba. Nie stracimy

SysVal.  
- Przemawiają przez ciebie uczucia, nie logika. Musimy być przygotowani na wszystko.  
Musimy brać pod uwagę możliwość, że przegramy.

Poderwała się z krzesła.

- Proszę bardzo, bierz sobie pod uwagę, ty komputerowy mózdzku! Ja mam inne sprawy na głowie!  
- Susannah, przesadzasz.

Miał rację, ale to wcale nie poprawiało sytuacji. Myślała, że Mitch zawsze będzie walczył z nią ramię w ramię. Teraz rozumiała, że jeśli uzna, że bitwa jest przegrana, zmieni stronę. Zaciśnęła ręce na stercie papierów.

- Mitch, jesteś albo ze mną, albo przeciwko mnie. Nie ma innej możliwości. Jeśli jesteś ze mną, nie marnuj czasu na planowanie ucieczki. Jeśli jesteś przeciwko, zejdź mi z drogi, bo ja nie przegram tej walki.

Odłożył czytany raport.

- Susannah, SysVal to tylko firma. To nie jest sprawa życia i śmierci.

- Nieprawda! SysVal to przygoda! - Rzuciła mu w twarz słowa Deklaracji SysVal. Tekst Sama płynął prosto z jej serca. – Chcemy dać światu najlepszy komputer, jaki jest w stanie stworzyć człowiek. Będziemy wierni naszym produktom, jakość i integralność to nasze priorytety. Oto nasza przygoda: spełnić najwyższe wymagania. Ja w to wierzę, Mitch. W każde słowo.

- Nie myl retoryki z rzeczywistością.

- To nie jest retoryka. Musimy trzymać klasę. Nie tylko jako firma, także jako ludzie. Inaczej wszystko pójdzie na marne.

Wybiegła na oślep. Czyżby straciła przyjaciela? Odruchowo skierowała się do laboratorium Yanka. Jest późno, ale na pewno jeszcze pracuje. Popatrzy, jak pracuje. Kilka minut w jego obecności pozwoli jej wziąć się w garść.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Dom SysVal, w którym chwilowo mieszkała Susannah, znajdował się na końcu krętej alei, za wzgórzem porośniętym dębami i wiązami. Był sobotni poranek. Susannah właśnie usiadła na tarasie z tyłu, żeby w samotności rozkoszować się pierwszym kubkiem kawy, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. Miała nadzieję, że to Mitch. Czasami odwiedzał ją właśnie w sobotnie ranki, a po ostatniej kłótni chciała jak najszybciej zakopać topór wojenny. Jednak w drzwiach stała jej siostra.

- Paige!

- Tylko nie płacz. Minęło dopiero kilka tygodni. Susannah wciągnęła ją do środka i uściskała serdecznie.

- Długich tygodni. Tęskniłam za tobą.

Paige została w jej ramionach nieco dłużej, niż to było konieczne.

- Na Sardynii nudziłam się jak mops. Przyleciałam wczoraj. - Cisnęła torebkę na schody, rozejrzała się dokoła i zawyrokowała: – Co za nora!

Nie był to pałac, ale z całą pewnością dom SysVal nie przypominał nory. Susannah jednak nie zamierzała dyskutować.

- Mieszkam tu tylko chwilowo, nic mi się nie podoba. Jak mnie znalazłaś?

- Zadzwoiłam do Mitcha. Co go ugryzło? Miał dziwny głos.

- Pewnie był w łóżku z Jacqueline Dane. - Susannah zdziwił ostry ton własnego głosu. - Chodź do kuchni, zrobisz śniadanie.

- Ja? Jestem gościem!

- Tak, ale gotujesz lepiej niż ja.

Paige utyskiwała przez cały czas, ale Susannah widziała, z jakim zapalem szykuje francuskie tosty. Susannah ugryzła pierwszego.

- Ambrozja. Wiesz co, właściwie opłaca się znieść twój paskudny charakter w zamian za takie pyszności.

Paige odłożyła widelec po kilku kęsach. Jane włosy opadły do przodu, rozsypały się po eleganckiej bluzce. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

- Co się stało? - Susannah także odłożyła widelec.

- Nic. Nic i bardzo dużo. Sama nie wiem. Sprawa z tym draniem, twoim mężem, to okropne, ale ten czas w Grecji... Było fajnie. Paige nie była wylewna i Susannah wiedziała, że tak wygląda deklaracja uczuć siostry.

- Tak - zgodziła się, machinalnie bawiąc się widelcem. - Było fajnie. - Starannie dobierała słowa. - Paige, przez cały czas w Grecji bawiłaś się w starszą siostrę, a ja byłam zagubionym maleństwem. Bardzo mi się to podobało, ale teraz muszę wrócić do dawnej roli.

- Bomba - skrzywiła się Paige. - Akurat tego mi trzeba po podróży przez pół świata.

Susannah wzięła ją za ramię.

- Masz rzadki talent, dziecino. Jesteś troskliwa. Ignorujesz to jednak, udajesz, że to nieważne. I dlatego jesteś taka nieszczęśliwa. Daj sobie szansę.

- Niby jak? - zachnęła się Paige. - Nie mam męża ani dzieci. Faceci to świny, geje albo zбочeńcy.

- Paige, mamy rok 1982. Małżeństwo to nie jedyna droga spełnienia dla kobiety. Przestań się nad sobą uzalać i rozejrzyj się dokoła. W szpitalach roi się od smutnych dzieci, którym mogłabyś pomóc. Wszędzie szukają wolontariuszy, w szkołach, w ośrodkach pomocy społecznej...

- Susannah, jestem jedną z najbogatszych kobiet w Kalifornii. Nie mogę tak po prostu iść do harcerzy i powiedzieć, że chcę piec ciasteczka na zabawę.

- Nie rozumiem dlaczego nie. Pieniądze są po to, żeby dawać wolność, a nie żeby krępować. Pomyśl, co chcesz robić, i zrób to.

Przerwał jej dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę.

- Cześć, aniołku, to ja.

Uśmiechnęła się, słysząc głos Angeli. Była wdzięczna losowi, że rozstanie z Samem nie wpłynęło na jej stosunki z jego matką. Angela w ciągu tych sześciu lat właściwie się nie zmieniła. Nadal traktowała każde urodziny jak śmiertelne zagrożenie. Teraz była w trakcie płomiennego romansu z młodszym o dziewięć lat mężczyzną, który oszalał na jej punkcie.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę, ale w nocy pękła rura w garażu, koło umywalki. Sąsiedzi zakręcili wodę, ale mam tam straszny bałagan. Susannah nie wiedziała, co o tym myśleć. To nie w stylu Angeli żalić się na takie drobiazgi. Słuchała uważnie, jak Angela opowiadała o próbach zlokalizowania hydraulika.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytała.

- Nie mogę nigdzie złapać Sama.

Skoro nie ma go w domu w sobotni rano, to oczywiste, że nocował gdzie indziej. Tym razem nie bolało tak bardzo. Angela paplała dalej.

- Pomyślałam, że może coś się stać tym komputerem za przepięrzeniem. Woda mogła się tam dostać. Jakim komputerem?

- No, tym, które Sam przywiózł do mnie jakiś czas temu. Ten nowy projekt czy coś tam. Chodziło o względy bezpieczeństwa.

Susannah nie miała pojęcia, o co chodzi. Dlaczego Sam przechowuje sprzęt SysVal w garażu? Obiecała Angeli, że się tym zajmie. Pogawędziły jeszcze chwilę, zanim Susannah skończyła rozmowę i zadzwoniła do SysVal.

W ostatniej chwili położyła słuchawkę. Coś tu jest nie tak.

- Paige, muszę wyjść. Posłuchaj, chyba nudno ci samej w Falcon Hill. Tu na górze jest bardzo wygodny pokój gościnny. Może zostaniesz ze mną na kilka dni?

- Chcesz mieć gosposię za darmo - burknęła Paige, ale widać było, że ucieszyło ją zaproszenie. Zaczęła robić listę zakupów, jeszcze zanim Susannah zdążyła wyjść. Angela wpuściła Susannah do garażu i uciekła na spotkanie z przyjaciółmi. W garażu pachniało wilgocią, ale poza tym wszystko wydawało się znajome. Poczowała przyływ nostalgii na wspomnienie ich początków. Teraz ta część garażu służyła jako magazyn. Na półkach, na których kiedyś leżały pierwsze komputery SysVal, stały pudła kosmetyków.

Pod ścianką dzielącą garaż na dwie części stały w dwóch szeregach pudła z logo Blaze. Policzyła je - trzynaście.

Zapaliła wszystkie światła, przeskoczyła płytką kałużę i podeszła do pudeł. Nie były zabezpieczone. Otworzyła pierwsze z brzegu i zobaczyła srebrnoszary komputer. Nie był obłożony styropianem jak egzemplarze z fabryki. Wyjęła go z kartonu. Rzut oka wystarczył, by się przekonać, że był używany, nie znała jednak numerów seryjnych próbnej trzynastki, nie wiedziała więc, czy to jeden z nich.

Zakasała rękawy. Otwierała pudło po pudle. Spociła się, czuła strumyk potu między piersiami, wilgotne kosmyki przywierały do policzków. Przy jedenastym komputerze dyszała ciężko. Przyjrzała mu się uważnie i zobaczyła to, czego szukała - jaskrawą naklejkę z napisem „Szefowa”.

Jedna z asystentek przykleiła ją dla żartu. Wreszcie znalazła swój zaginiony komputer.

Zadzwoniła do Yanka z salonu fryzjerskiego. Nie spał, ale odpowiadał niezbyt przytomnie.

Dwukrotnie powtórzyła, o co chodzi, usiadła w garażu pośród cieni przeszłości i czekała. Zjawił się szybciej, niż przypuszczała. Nie pytał o nic, tylko ustawił cztery komputery – w tym Susannah – na ławie i włączył je. Dwa nie reagowały, dwa – w tym jej – pracowały normalnie. Przewrócił zepsuty komputer na bok i zdjął pokrywę.

- Ktoś tu majstrował przede mną - stwierdził. - Nie ma płyty głównej.

Susannah zajrzała do środka. Rzeczywiście, płyta główna została wyjęta. Yank przestawił dwa działające komputery w kąt, ale ich nie wyłączył. Pochylił się nad pudłami na podłodze. Rzućmy na nie okiem. Po kolei. Okazało się, że sześć nie działa, siedem zaś pracuje bez zarzutu. W dwóch zepsutych były płyty główne. Yank zręcznie je wymontował. Susannah przysiadła na starym metalowym stołku i patrzyła w milczeniu, choć korciło ją, by zasypać go gradem pytań. Gdy rozboleł ją kręgosłup, zsunęła się ze stołka i poszła do zakładu fryzjerskiego zapażyć kawę. Wracając do garażu z dwoma kubkami gorącej kawy, gdy jej uwagę przykuł dziwny odgłos. Dochodził z jednego z włączonych komputerów. Zaskoczona podeszła bliżej. Okazało się, że to jej stary komputer. Brzmiało to tak, jakby stacja dysków miotała się. Rozlała kawę, gdy hałas się nasilał. Jej śliczny Blaze III zachowały się jak rozklekotany gruchot, a nie produkt najnowocześniejszej technologii.

Nagle wszystko ucichło. Monitor zgasł. Z obudowy wzbil się w powietrze obłoczek dymu.

- Ciekawe - mruknął Yank z typową dla niego powściągliwością.

- Ciekawe? Boże, Yank, co się stało?

Padł - odparł. Miała ochotę krzyknąć, by wyrażał się jaśniej, ale wiedziała, że to nic nie da. Zaniósł komputer na stół roboczy. Nagle popatrzył na nią.

- Nie czekaj tu, to potrwa.

Po chwili wahania przyznała mu rację. Zwariuje, tkwiąc tu beczynn timer. Yank powie jej, co się stało, kiedy skończy, wcześniej nie piśnie ani słowa. Sięgnęła po torebkę.

- Musisz rozgryźć to sam, Yank. Kiedy znajdziesz przyczynę, zawiadom mnie. Nie dzwoń do Mitcha. Ani do Sama. - Było jej głupio, że wyklucza także Mitcha, najpierw jednak sama chciała wyrobić sobie zdanie.

Yank przyglądał się jej bez słowa.

Tego popołudnia czekało ją spotkanie z adwokatem w sprawie rozvodu. Towarzyszyła jej Paige, później razem poszły na zakupy, Susannah jednak myślami cały czas przebywała w garażu Gamble'ów.

Siostrzostwo było dobrze ze sobą. Jedyne przykre momenty miały miejsce wtedy, gdy chcąc zachęcić siostrę do pracy w organizacjach dobroczynnych, Susannah wspominała te, które wspiera SysVal. Może dlatego, że ciągle martwiła się tajemniczą sprawą trzynastu komputerów, nie dość ostrożnie dobrała słowa.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, Paige, ale od śmierci taty FBT kiepsko się spisuje na tym polu. Ostatnio jest coraz gorzej. Cal nie żałuje na spektakularne cele: na muzea, koncerty symfoniczne. Ale ani grosza nie daje alkoholikom czy narkomanom. Paige nachmurzyła się.

- Nie chcę rozmawiać na żadne tematy związane z Calem. Umówmy się, że to dla nas tabu.

Poczuwam się do lojalności wobec niewielu osób na tym świecie, ale Cal jest jedną z nich. Był przy mnie, kiedy nie miałam nikogo.

Susannah nie powiedziała nic więcej. W domu czekała na nią wiadomość od Yanka - ma być w garażu o siódmej. Paige była umówiona na kolację. Susannah pokręciła się trochę po ogrodzie i pojechała do domu Angeli. W garażu paliło się światło. Yank nadal pochylał się nad stołem i nagle wydało się jej, że czas się cofnął. Znowu uciekła sprzed ołtarza i obserwuje geniusza przy pracy. Wystarczyło jednak, by Yank się odwrócił, a złudzenie znikło. Patrzył na nią silny, pociągający mężczyzna, a nie zakompleksiony genialny chłopak.

- Pozostali zaraz tu będą - oznajmił spokojnie. Zatrzymała się w pół kroku.

- Pozostali?

- Jesteśmy współnikami, Susannah. Musimy załatwić to razem. Walczyły w niej gniew i poczucie winy.

- Zabroniłam ci, a ty mimo to...

- Tak.

- Miałeś do nikogo nie dzwonić.

- To byłby błąd, Susannah. Mitch zaraz tu będzie. Sama zawiadomiłem dopiero przed chwilą, więc zdążymy porozmawiać, zanim przyjedzie.

Błysk reflektorów zdradził, że przyjechał następny gość. Po chwili Mitch wpadł do garażu.

- O co chodzi? - zapytał od razu.

- Mamy kłopot - odparł Yank.



Mitch rozejrzał się po garażu, zatrzymał wzrok na komputerach, spojrzął na nią. Miała nadzieję, że się nie dowie, że ściągnął go tu Yank, nie ona. Yank odchrząknął i zaczął mówić:

- Wypuściliśmy trzynaście próbnych modeli Blaze III. Sam chciał, żeby pracowały przez co najmniej cztery miesiące, zanim wejdziemy z nimi na rynek.

Niemal widziała, jak Mitch bezgłośnie liczy pudła w garażu.

- Pamiętam. Dostali je pracownicy, klienci, jeden czy dwa trafiły do szkół.

- Jeden znajdował się w gabinecie Susannah - ciągnął Yank - ale zniknął podczas jej pobytu w Grecji. Kiedy chciała go odnaleźć, okazało się, że nie tylko jej egzemplarz zapadł się pod ziemię.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zdziwił się Mitch.

- Wobec innych kłopotów wydało mi się to mało ważne.

- Znikają próbne egzemplarze, a tobie wydaje się to nieważne?

- To nie tak. - Nie podobało się jej, że spycha ją do defensywy, więc chłodno opowiedziała wszystko po kolei.

Doszła do rozmowy z Angelą. Tu wtrącił się Yank i wytłumaczył, co znalazł. Zaczął od tego, że razem Susannah byli świadkami awarii jej komputera.

- Miałem szczęście, że to się stało na moich oczach. Gdyby nie to, o wiele dłużej szukałbym źródła problemu. A teraz wiem, że mamy kłopot z jednym z chipów ROM-u. ROM, czyli *read only memory*, to chipy, na których zapisywano instrukcje dla komputera. Susannah słuchała uważnie, jak Yank szczegółowo opisuje, co odkrył.

Mitch zadawał coraz bardziej drobiazgowo pytania, a Susannah odtwarzała w myśli proces produkcji mikrochipów. Najpierw specjaliści w SysVal decydują, jakie mają być zadania konkretnego chipa. Potem piszą instrukcję w danym języku programowania. Następnie chip powstaje w specjalistycznej firmie. SysVal od lat współpracowało z Dayle-Wells w pobliżu Oakland.

- Już wcześniej mieliśmy wpadki - stwierdził Mitch, gdy Yank skończył tłumaczyć. – To nie jest drobiazgi, ale nawet poważna sprawa nie tłumaczy takiego zamieszania. Susannah była tego samego zdania. Przecież to nie problem, wymontować jeden chip i zastąpić go innym. Mitch znów na nią spojrzął.

- Zakładam, że za tym wszystkim stoi Sam. Jak myślisz, czy to ma coś wspólnego z pomysłem sprzedaży SysVal?

- Nie wiem, ale byłoby chyba optymizmem uważać to za zbieg okoliczności. Mitch wskazał komputery.

- Tylko dlaczego robi z tego taką tajemnicę? Nawet jeśli jedna seria chipów jest uszkodzona, nie wszystkie muszą być złe. To kłopot, ale można temu zaradzić.

- Nie zapominaj, że rozmawiamy o chipie ROM z oprogramowaniem - wtrącił Yank. - I niepokoi mnie to, że...

Nie dowiedzieli się jednak, co go niepokoi, bo do garażu wpadł Sam. Wyglądał jak człowiek na skraju załamania nerwowego.

- Czy to przypadek, że przychodzę jako ostatni, czy może na moim zaproszeniu specjalnie podano późniejszą godzinę?

Mitch spochmurniał.

- Ciesz się, że w ogóle zostałeś zaproszony.

Sam rzucił się do Susannah. Przez moment myślała, że ją uderzy. Mitch chyba też się tego obawiał, bo postąpił krok naprzód.

- To twoja wina - krzyknął Sam. - Wtykasz we wszystko nos i sama nie wiesz, co robisz, choć wydaje ci się, że wszystko wiesz najlepiej!

- Dosyć - uciał Mitch. - Daruj sobie te bzdury i powiedz, co się tu dzieje. Sam rozejrzał się po garażu, zobaczył puste pudła i rozmontowane komputery. Susannah widziała, jak kark mu poczerwieniał. Ściągnął brwi w poziomą kreskę.

- Trzeba było pozwolić mi to załatwić. Powinniście byli mi zaufać. Byłem gotów wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Trzeba było mi pozwolić. Dlaczego się sprzeciwialiście?

- Bo to nie jest twoja firma - odparła Susannah. Jego ramię przecięło powietrze.

- Wasza także nie, bo niedługo wszystko szlag trafi.

- Uszkodzony chip to nie koniec świata - burknęła.

- Nie? Powiedz, ile modeli Blaze III wypuściliśmy na rynek?

- Prawie dwieście tysięcy. Ale to, że w próbnej serii są wadliwe chipy, nie znaczy, że są we wszystkich egzemplarzach.

- Niestety.

- Skąd wiesz? - zachnęła się. - Przecież nie...

- Wszystkie. Co do jednego. Każdy model trójki padnie po tysiącu godzin pracy. Statystycznie rzecz biorąc, po roku - w domu później, w biurach wcześniej.

- Po roku! - Wstrzymała oddech. Mitch zaklął pod nosem. Nie chciała w to uwierzyć, ale Sam nie opowiadałby takich rzeczy, gdyby nie miał pewności.

Starła się skupić, przemyśleć wszystko na spokojnie. Już wcześniej mieli kłopoty, choć nigdy na taką skalę. Myślała głośno w nadziei, że tym sposobem uspokoi i siebie, i innych.

- To ogromny problem, ale damy sobie radę. Dayle-Wells to uczciwa firma. Skoro wypuścili chip z błędem, wezmą na siebie finansową odpowiedzialność. - W myśli już organizowała całą operację wymiany. Po otwarciu obudowy wymiana chipa zajmie chwilę, wystarczy wyjąć wadliwy element i wsadzić nowy. Problem stanowi tylko liczba komputerów, zwłaszcza że trzeba zdążyć, zanim komputer popęka samobójstwo.

- Polyanna jak zwykle - zakpił Sam. - Zawsze szuka światełka w tunelu. Cóż, skarbie, tym razem nie ma światełka. Dayle-Wells nie skopali sprawy. To nasza wina. Mitch gwałtownie podniósł głowę. Susannah wydało się, że zimna dłoń dotknęła jej kręgosłupa.

Sam przechadzał się nerwowo.

- Wysłaliśmy błędny prototyp do Dayle-Wells. Mitch odwrócił się energicznie.

- To niemożliwe. Po to mamy tak rygorystyczną kontrolę, żeby nie dopuścić do podobnych wpadek.

- Cóż, tym razem dopuściliśmy. Pięć linijek, tylko pięć cholernych linijek. Ale te pięć linijek to bomba zegarowa. Każdy egzemplarz padnie dokładnie po tysiącu godzin. Napęd niszczy się sam i na dodatek psuje źródło zasilania. To koniec. - Mówił szorstko, ochryple. - Tysiąc godzin, odkąd się go włączy po raz pierwszy. Każdy Blaze III padnie. Yank odezwał się powoli, z namysłem.

- Pierwsze egzemplarze padną lada dzień, o ile już nie padły. Inne zepsują się za kilka lat. W głowie Susannah wirowały dane i liczby. W najlepszym wypadku mają kilka miesięcy. Nadal myślała głośno:

- Poradzimy sobie. Wymiana będzie kosztowna, ale nas nie zrukuje.

- Susannah ma rację - włączył się Mitch. - Coś wymyślimy. Pchniemy kilkaset osób w teren, do punktów obsługi klienta. Dzięki Bogu, że to tylko jeden chip. Wyjmujemy stary, wsadzamy nowy i po kłopotcie.

Sam przygarbił się. Stał do nich tyłem. Yank mówił dziwnie przytłumionym głosem.

- Niestety, nie. Chodźcie tu i rzućcie okiem.

Susannah podeszła do stołu ze złymi przecuciami. Mitch stanął koło niej. Sam nie drgnął. Wiedział, co Yank chce im pokazać.

Susannah zajrzała do uporządkowanego, logicznego wszechświata Blaze III. Mikrochipy były jak domki na zielonym trawniku płyty głównej. Yank wydobył jeden za pomocą specjalnych szczypczyków. Susannah pochyliła się, żeby lepiej widzieć.

- To ten chip - wytłumaczył Yank. - Zobaczcie, jest przyspawany, przylutowany do płyty głównej. - Zawiesił głos, jakby chciał, żeby jego słowa dotarły do nich. - Nie możemy tak po prostu zamienić chipów. Akurat ta część miała być na stałe. A to oznacza, że musimy wymienić całą płytę główną w każdej trójce.

Susannah nogi odmówiły posłuszeństwa. Czuła się, jakby ktoś uderzył ją z całej siły w żołądek. Nie stać ich na wymianę wszystkich płyt głównych. To zbyt kosztowne. Nie patrzyli na siebie. Susannah spoglądała na płytę główną, Mitch na narzędzia na stole. Mijały minuty. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że słowa Yanka to wyrok śmierci.

## Rozdział dwudziesty ósmy

We czwórkę siedzieli przy kuchennym stole w domu Angeli. Mitch bawił się okularami. Sam toczył po stole pustą puszkę po coli, Susannah pocierała skroń wnętrzem dłoni. Przed chwilą zrobiła rzecz niewyobrażalną. Telefonicznie wstrzymała produkcję Blaze III. Yank wpatrywał się w przestrzeń. Był bardzo, bardzo daleko od nich. Mitch odezwał się pierwszy.

- Nie wyobrażam sobie nawet, ile to będzie kosztować. Pozostali milczeli. Nawet giganci tacy jak IBM czy FBT mieliby kłopoty po podobnej klęsce. Młoda firma taka, jak SysVal, nie miała szans. Susannah zacisnęła pięści. Gdyby problem dotyczył tylko części Blaze III, poradziliby sobie, ale ponieważ wadliwe były wszystkie egzemplarze, te wyprodukowane w zeszłym tygodniu, wczoraj, dzisiaj rano, wszystkie - nie wiedziała wyjścia z sytuacji.

Yank powrócił do rzeczywistości.

- Kto pisał ten program? Sam odstawił puszkę po coli.

- Nie jestem pewien, chyba Ed Fiella. Pracował u nas tylko pół roku, potem odszedł.

- Szukałeś go?

- Tak, ale zniknął bez śladu, więc dałem spokój. Nie mogłem zadawać zbyt wielu pytań, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

- Nikt o tym nie wie? – zainteresował się Mitch. Sam przecząco pokręcił głową.

- Do dziś wiedziałem tylko ja. Susannah odsunęła włosy z czoła.

- Jak ci się udało utrzymać to w tajemnicy?

- Korzystałem z niezależnych instytutów badawczych w Bostonie i w Atlancie, uważałem, żeby goście, którzy przeprowadzali testy, nie wpadli na siebie. I utrzymywałem, że chodzi tylko o próbną serię.

Yank zwrócił się do Sama.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie jest przypadek. Zbyt dużo zbiegów okoliczności. I do tego jakie to widowiskowe! Komputer pracuje tysiąc godzin, a potem bum!

- Sugerujesz, że ktoś, pewnie Fiella, celowo napisał błędny fragment? – zapytała Susannah.

Sam skinął głową.

- Pięć linijek. To wystarczy.

- Ale przecież mamy tak szczelny system kontroli - sprzeciwiła się. - Zespół próbny, wzajemne testy... Jak to możliwe?

- Może Fiella dopisał te pięć linijek w ostatniej chwili. - Sam wyjął z lodówki puszkę coli. - Wiecie co, właściwie to się cieszę, że się dowiedzieliście. Zaczynało mnie wkurzać, że traktujecie mnie jak wyrzutka.

Mitch ponownie założył okulary.

- Więc dlatego chcesz sprzedać firmę.

- Jeśli Databeck kupi SysVal - uśmiechnął się Sam - to będzie ich problem. Wyjdziemy z tego z czystymi rękami i kupą szmalu na nową firmę. Databeck to moloch. Ucierpią na tym, ale przetrwają.

- To wbrew prawu - zauważyła Susannah znużonym głosem. - Kiedy się zorientują, oskarżą nas o oszustwo.

Sam odstawił puszkę na stół z hałasem.

- Wcale nie. To właśnie jest takie piękne. Upłynie wiele miesięcy, zanim zauważą, że to coś więcej niż pojedyncze przypadki. Nie zostawiłem żadnych śladów. Nigdy nam nie udowodnią, że o tym wiedzieliśmy.

Susannah utkwiała wzrok w blacie stołu.

- Więc porzucamy im kukułcze jajo, zabieramy kasę i w nogi.

- Mniej więcej. - Sam wzruszył ramionami. Podniosła głowę, spojrzała mu prosto w oczy.

- To kurestwo, Sam. Kurestwo.

Nachmurzył się jak zawsze, ilekroć przeklinała. Z niesmakiem odwróciła wzrok.

Głos Mitcha był chłodny, oficjalny.

- Powinniśmy przynajmniej zastanowić się nad sprzedażą. Susannah przeszedł dreszcz.

Popatrzyła na niego gniewnie.

- Databeck kupi SysVal, tylko pod warunkiem, że nie powiemy o błędzie.

- Mają dużo większe zasoby - odparł spokojnie. - Jest szansa, że uratują SysVal. Nam się to nie uda.

Zrobiło jej się zimno. Miała wrażenie, że straciła coś bezcennego. Zwróciła się do Yanka. Zapytała drżącym głosem:

- Co ty na to, Yank?

Powrócił z bardzo daleka. Najpierw nie robił nic, potem delikatnie, niemal niewyczuwalnie dotknął jej dłoni. Miała wrażenie, że dotknęła źródła energii.

- Przykro mi, Susannah - powiedział łagodnie. - Wciąż analizuję dane. Jeszcze nie mam zdania.

Rozumiem.

- Ja też nie - wtrącił się Mitch. - Powiedziałem tylko, że musimy rozważyć wszystkie opcje.

Nie uwierzyła mu. Mitch to człowiek interesu, prawdziwy kapitalista. Mogą sobie rozważać rozmaite opcje, ale w głębi serca już podjął decyzję i w ostatecznym rozrachunku poprze Sama.

Sam bombardował ich danymi. Mitch znalazł stary notes Angeli i pisał, zapełniał stronę za stroną.

Susannah słuchała i milczała.

Z czasem jej milczenie zaczęło działać Samowi na nerwy. Położył dłonie na stole, pochylił się w jej stronę.

- Wiemy już, co się dzieje, kiedy się sprzeczamy. Susannah, jesteśmy współnikami.

Musimy przejść przez to razem. I być jednego zdania.

- Oczywiście tego samego co ty - warknęła.

- Bzdura. Przestań się dąsać i zagraj fair!

- Dobrze. - Wstała, podeszła do kuchenki. - Zagram fair. To wszystko sprowadza się do prostego pytania, kluczowego pytania. Powiemy Databeck o błędzie czy nie? Mitch pochłonięty był rysowaniem prostokąta. Starannie obrysowy-wał wszystkie boki. Sam jak zwykle nazwał rzecz po imieniu.

- Databeck natychmiast wycofają ofertę, jeśli się dowiedzą. Musimy trzymać język za zębami.

- To wszystko upraszcza, prawda? Okłamiemy ich czy nie? Mitch zatrzasnął notes.

- Susannah, nie podoba mi się ten ton. Nie masz bezpośredniego telefonu do Pana Boga, o ile mi wiadomo.

- Mieliśmy misję do spełnienia - odpowiedziała łamiącym się głosem. - Mieliśmy przed oczami przygodę i zawsze byliśmy jej wierni. Nie kłamaliśmy. Nie oszukiwaliśmy, nie kradliśmy i nie nabieraliśmy. Zarobiliśmy więcej, niż to się wydawało możliwe, ale pieniądze nigdy nie były najważniejsze w naszej przygodzie. Najważniejsze było przekroczenie granic i sprawdzanie się. Mitch wstał.

- To piękne słowa, ale decydujemy o przyszłości tysięcy ludzi.

- To nie tylko słowa! - krzyknęła. Muszą zrozumieć, muszą! - To jest nasza próba. Mitch zbył ją ruchem ręki.

- Ludzie przechodzą próby każdego dnia - ciągnęła. - Tylko nie tak dramatyczne jak my. Sprzedawca wydaje ci za dużo reszty. Co robisz? Oddajesz czy zatrzymujesz? Kolega opowiada rasistowski kawał, śmiejesz się? Oszukujesz w zeznaniu podatkowym? Rozcieńczasz alkohol? W którym momencie mówisz: dosyć? W to wierzę i nie wyprę się tego aż do śmierci?

Sam uśmiechnął się krzywo.

- Posłuchajcie tylko jak przemawia przez nią bogaczka. Tylko ktoś, kto nigdy nie zaznał biedy, mógł zachować taką czystość.

Bolały ją mięśnie, tak bardzo była spięta, miała dłonie mokre od potu, ale nie dawała za wygraną.

- Nie rozumiecie? To godzina próby.

- To tylko interes - sprzeciwił się Mitch. - Rozważamy możliwość transakcji.

- Nie. To coś o wiele ważniejszego. Patrzył na nią z mieszaniną bólu i podziwu.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy byli wierni tym ideałom, nawet jeśli to oznacza samobójstwo?

- Tak, tego chcę. - Podeszła bliżej, tak że dzielił ich tylko róg stołu.

- Odkąd sięgam pamięcią, mówiono mi, jak mam żyć, jakimi prawami rządzi się świat.

Babka, ojciec... - Przeniosła wzrok na mężczyznę, który nadal był jej mężem. - I ty, Sam. Ty przede wszystkim. Niestety, żadne z tych praw nie pasowały do mnie. Teraz, dzisiaj, wiem, kim jestem. Wiem, w co wierzę. A wierzę w naszą misję. Zawsze tak było. Nasze motto to nie tylko motto SysVal. To sens życia. Wysoka jakość, uczciwość, duma z własnych dokonań i trwanie przy swoich przekonaniach. Dzięki temu życie jest wspaniałe. Sam unikał jej wzroku. Mitch sposepniał. Spojrzała na Yanka, ciekawa jego reakcji. Odpłynął, jego twarz była pusta jak kartka papieru. Ona odkrywa przed nim duszę, a on ucieka do własnego świata. Dotknięta mówiła dalej. Róg stołu boleśnie wbijał jej się w udo. Zakończą to. Zakończą przygodę, czuła to. Ich piękna, odważna misja zmieni się w coś małego i brzydkiego. Chciała sprawić im ból, ukarać ich, a jedynym sposobem było zmuszenie, by na głos powiedzieli prawdę o sobie samych.

- Głosujmy - zaproponowała głucho. - Powiemy Databeck prawdę czy nie?

- Głosowanie nas czworga niczego nie rozwiąże - stwierdził Mitch.

- Podzielimy się.

- Nie! Domagam się głosowania. To nasza próba. Teraz. Tutaj. Los przyparł nas do muru i musimy wybrać. Musimy określić, w co wierzymy.

Mitch wyciągnął do niej rękę. Dziwny gest. Jakby chciał powstrzymać jej słowa.

Wymknęła mu się, zdecydowana doprowadzić to do końca.

- Yank, jak głosujesz? Powiemy Databeck prawdę czy nie? Yank zamrugał gwałtownie. Był wyraźnie zbity z tropu.

- Oczywiście! Nieuczciwie byłoby tego nie zrobić.

Patrzyła na niego, poruszona jego absolutną pewnością. W tej chwili zrozumiała coś, co powinna była zauważyć już dawno: wizja doskonałości i jedności, wizja, którą Sam niósł w świat z zapalem apostoła, to wizja Yanka. Sam tylko ubrał w słowa to, w co Yank wierzył.

Uśmiechnęła się do niego słabo i spojrzała na męża. Jakaś jej część nadal pragnęła go dotknąć, przytulić, lecz wiedziała już, że to niemożliwe.

- Sam, proszę.

- Czasami cel uświęca środki - mruknął.

- A misja? Proszę - błagała. - Pomyśl o naszej misji. Pomyśl, ile to znaczy.

- Zbyt wiele osób na nas polega - odparł cicho. - Za duże pieniądze. Głosuję przeciw.

Jakaś iskra optymizmu, naiwna wiara w niezwykłego ducha umarła w niej na zawsze. Zmęczona, pokonana, zwróciła się do Mitcha. Był blady, mówił z trudem. - To bez sensu, Susannah. I bez znaczenia. Trzeba wszystko przemyśleć, przeanalizować, omówić...

Dławiły ją dziwne nowe uczucia, które w niej budził.

- To próba, Mitch - szepnęła. - Powiemy im czy nie?

Opuścił głowę. Utkwił wzrok w podłodze. Widząc, jak ciężko pochyla ramiona, które tyle razy udzielały jej wsparcia, zawstydzona się swojej arogancji. Jakim prawem go osądza? To dobry człowiek. Nie ma prawa.

Odezwał się cicho, smutno.

- Za. Głosuję za. Powiedzmy im prawdę.

Przeszedł ją dziwny dreszcz, gorący i lodowaty zarazem, i narodziło się coś nowego. Sam ciężko oparł się o ścianę. Przygarbił się. Wszystko w nim świadczyło o przegranej. Podeszła do niego. Jej adidasy cicho skrzypiały na podłodze. Tym razem dotknęła go, odnalazła jego dłoń.

- Mamy kilka miesięcy - szepnęła. - Pomóż nam dokonać cudu.

- Nie - odparł wojowniczo. - Nie będzie cudu.

Wplotła palce w jego, chciała podzielić się z nim swoją siłą, tak jak on kiedyś dzielił się z nią.

- Jeśli zechcesz, sprawisz cud. Możesz wszystko. Naprawdę w to wierzę, Sam. Zawsze w to wierzyłam.

- Jesteś idiotką. - Puścił jej dłoń, popatrzył gniewnie w oczy. - W poniedziałek rano dostaniesz moje wypowiedzenie.

Wyrwał się jej szept sprzeciwu.

- Odchodzę - odparł. - Zgodnie z umową macie sześćdziesiąt dni, żeby mnie spłacić. Lepiej, żebyście dotrzymali terminu.

Chciała być na niego zła, ale zamiast tego poczuła, jakby był gdzieś bardzo daleko. Pogłaskała policzek mężczyzny, którego kiedyś kochała tak mocno i głupio.

- Nie rób tego, Sam. Nie odchodź. Przygoda jeszcze się nie skończyła. Zostań i walcz. Ale w ciemnych oczach nie błysnęły żadne iskry. Coś się w nim wypaliło. Stał tam - wizjoner bez wizji, misjonarz bez wiary. Delikatnie odsunął jej dłoń. A potem odwrócił się i wyszedł.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Susannah umierała ze strachu. Nie wyobrażała sobie SysVal bez Sama. Przecież SysVal to Sam. Był źródłem ich energii, wytyczał kierunek. Yank zebrał swoje narzędzia, Mitch nieprzytomnie głaskał samochód. Nie chciała się z nimi rozstawać, jeszcze nie.

- Wpadnijcie do mnie. Mam pełną lodówkę.

Najwyraźniej im również nie uśmiechała się samotność, bo do razu przyjęli zaproszenie. Pojechali osobno. Mitch i Yank zostawili swoje samochody na parkingu, Susannah wjechała go garażu.

Wchodząc od strony kuchni, usłyszała z holu gardłowy śmiech Paige.

- A niech mnie, to mój szczęśliwy dzień. Chłopcy, powiedzcie, myśleliście może o trójkącie?

Susannah ruszyła w tamtą stronę. Usłyszała, jak Mitch chichocze z wysiłkiem.

- Niestety, skarbie, uznaję tylko występy solowe.

- No tak. I pewnie chodzisz do łóżka w skarpetkach. Susannah weszła akurat w chwili, gdy Paige podchodziła do Yanka.

- Co, nudzi ci się, kochasiu? - Chciała podejść jeszcze bliżej, ale złapał ją za rękę.

- Cieszę się, że cię widzę, Paige.

Obecność Paige okazała się bardzo dobrą wymówką, by nie rozmawiać o SysVal.

Wyczuła ich ponury nastrój, ale nie zadawała żadnych pytań, tylko zaprowadziła ich do kuchni i błyskawicznie wyczarowała kanapki i półmisek wędlin.

Ponieważ Paige posiadała znaczny pakiet akcji FBT, nie mogli przy niej omawiać kryzysu i wszyscy powitali to z ulgą. Wystarczy że następnego dnia będą musieli rozdrapywać rany.

Yank milczał przez cały posiłek. Mitch tymczasem przekomarzał się z Paige, jakby nie miał żadnych trosk. Co takiego jest w Paige, że Mitch tak się przy niej zmienia, zastanawiała się Susannah.

Podczas deseru - lody waniliowe z sosem karmelowym domowej roboty - Paige wreszcie zainteresowała się Yankiem. Uśmiechnęła się łobuzersko.

- Wiesz, dlaczego Pigmejki nie używają tamponów?

- O Boże - jęknęła Susannah i straciła apetyt na lody.

Paige uciszyła ją ruchem dłoni, a Yank zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią. Milczał jednak, więc Paige pochyliła się do niego.

- Potykają się o sznureczki.

Mitch zachichotał. Yank zmarszczył czoło, jakby starał się dokładnie zrozumieć.

- Paige, to obrzydliwe - mruknęła Susannah.

Wszyscy troje spojrzeli na nią z dezaprobatą, choć każde z innym nasileniem. Poczowała się jak stara panna z wąsikami. Cisnęła serwetkę na stół i wstała.

- Jak chcecie, możecie balować do rana, ja idę spać. Rano przychodzi sprzątaczką, więc nie zawracajcie sobie głowy zmywaniem.

Mitch też wstał.

Późno już. Ja też się położę. Paige uniosła pytająco brwi.

- Może w łóżku Susannah? O, to dopiero by było! W sypialni rozgorzałby płomień namiętności.

Gdybyście się postarali, pewnie podnieśliście temperaturę o... no, powiedzmy o dwa stopnie.

- Zamknij się Paige, dobrze? - Spojrzała na siostrę przez ramię, odprowadzając Mitcha do drzwi. To głupie, ale poczuła się bardzo nieswojo, słysząc żarty Paige. - W poniedziałek o ósmej u mnie, dobrze?

Skinął głową i pocałował ją w czoło.

- Uważaj na siebie, słyszysz? Wszystko będzie dobrze. Zamknęła za nim drzwi i poszła na górę do swego pokoju. Oby było dobrze.

Tymczasem w kuchni Paige ostentacyjnie sprzątała ze stołu. Energicznie zabrała Yankowi miseczkę po lodach. Delikatnie przytrzymał jej dłoń.

- Byłaś niemiła dla Susannah.

- Zawsze jestem niemiła dla Susannah. Nie poznałaby mnie, gdybym się zmieniła.

Nie puszczał jej. Żeby go ukarać, usiadła mu na kolanach, wcisnęła się w wąską przestrzeń między krawędzią stołu a jego chudym ciałem.

- Jak tam celibat, kochasiu? Masz dosyć postu? - Wsunęła palec między guziki jego koszuli i dotknęła nagiego ciała. Zabrał jej dłoń. Westchnęła ostentacyjnie i wstała z jego kolan.

- Przy tobie czuję się jak Maria Magdalena kusząca Jezusa.

- To nie jest odpowiedni moment, Paige.

- I nieodpowiedni facet. - Chciała powiedzieć to lekko, żartobliwie, ale zabrzmiało ostro. Starła się zamaskować to śmiechem, lecz wypadł sztucznie. Podszedł za nią do zlewu.

- Nie martw się.

- Kto, ja? Skądże.

- Sytuacja bardzo się skomplikowała. Przechodzimy kryzys.

- To nie moja sprawa, mądralo. A tak przy okazji, nasza umowa jest nieważna. Od tej chwili.

- To nie jest dobry pomysł.

- Niestety, musisz to przyjąć do wiadomości. Jeszcze w tym miesiącu wyląduję w łóżku z tym przystojniakiem, twoim kumplem.

Znieruchomiał.

- Chcesz iść do łóżka z Mitchem?

- A czy nie chce tego każda kobieta?

Czekała na jakąkolwiek reakcję. Miała nadzieję, że na nią nakrzyczy albo powie, że prędzej zamknie ją na klucz, niż pozwoli, by złamała obietnicę. On tymczasem przyglądał się jej uważnie. A potem, o dziwo, rozparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął z zadowoleniem człowieka, który panuje nad całym światem.

- Jeśli z Mitchem, to w porządku.

Najchętniej przyłożyłaby mu w tę kujonowatą twarz okularnika. Równie dobrze mógł jej wbić nóż w serce. W tej chwili nienawidziła go, uśmiechnęła się więc złośliwie.

- Chcesz popatrzeć?

Przez chwilę wyglądał na tak skupionego, że przestraszyła się, iż wziął jej propozycję na serio. Zaraz jednak wstał, poklepał ją po ramieniu, życzył dobrej nocy i wyszedł. Tego wieczoru w pokoju gościnnym wydawało się jej, że słyszy diabelski śmiech.

*I can't get no... I can't get no...*

W poniedziałkowy rano rezygnacja Sama czekała na biurku Susannah. Patrzyła na nią dłuższą chwilę, nie chcąc jej dotknąć. Czarne litery rozplływały się jej przed oczami. Przykryła kartkę



kolorową ulotką. Na razie będzie udawała, że nie istnieje. Udało się jej przesunąć zebranie rady nadzorczej o kolejny tydzień, tymczasem najlepsi ludzie z ochrony poszukiwali Eda Fiella, inżyniera, który według Sama wprowadził błąd do programu. Podkreślając konieczność zachowania tajemnicy, kazała także sprawdzić wszystkich pracowników SysVal i Dayle-Wells, którzy mieli coś wspólnego z produkcją chipa. Przez cały weekend przygotowywała się do zebrania rady zwołanego na poniedziałek. Z nadzieją, że jej słowa zostaną przyjęte lepiej w ładnym opakowaniu, włożyła tego dnia różowy kostium, na szyi zawiązała apaszkę z reprodukcją obrazu Matisse'a. Kupiła ją w sklepie z upominkami w San Francisco Museum of Modern Art.

Mitch dogonił ją, gdy szła do sali konferencyjnej.

- Rozmawiałem z Yankiem. Sam dał mu pełnomocnictwo.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Chociaż cieszyła się, że pełnomocnictwo dostało jedno z nich, wolałaby, żeby to był Mitch. Nie zawahałaby się powierzyć Yankowi własnego życia, ale w sprawach mniejszej wagi był nieobliczalny. Zebrani usiedli. Susannah przekazała im złe wieści najspokojniej, jak umiała. Równie dobrze mogła zdetonować na środku sali bombę atomową. Leland Hoffman poszarzał na twarzy. Zerwał się na równe nogi.

- To niedopuszczalne! Jak do tego doszło?

- Moi inwestorzy zbankrutują - jęknął inny członek zarządu, nerwowo obmacując kieszenie w poszukiwaniu fiolki z nitrogliceryną. - Co ja im powiem?

Mitch starał się zapanować nad chaosem.

- Mamy jeszcze kilka miesięcy. Susannah i ja mamy nadzieję, że uda się nam przynajmniej częściowo rozwiązać nasze kłopoty.

- Kłopoty? To nie kłopoty! To katastrofa!

Krzyczeli i krzyczeli. Susannah nie starała się ich uspokoić. Dla wielu członków zarządu bankructwo SysVal oznaczało koniec kariery. Delikatnie dali do zrozumienia, że współnicy powinni zachować informację o błędzie w oprogramowaniu dla siebie i sprzedać SysVal Databeck.

- To sprzeczne z ideologią naszej firmy - odparła Susannah. - Wiedzieliście o tym od początku.

- Sam chciał sprzedać - zauważył Hoffman oskarżycielskim tonem. - Dlaczego go powstrzymaliście? Nikt nie mógłby nas oskarżyć, bo o niczym nie wiedzieliśmy. A właściwie gdzie jest Sam? Dlaczego go tu nie ma?

Do tej pory wymijająco odpowiadała na pytania dotyczące Sama, nie mogła jednak dłużej stosować uników. Poinformowała radę nadzorczą o jego rezygnacji. Śmiertelna cisza była gorsza niż chaos. Ta wieść rozwiała cień nadziei, że jakoś wyplączą się z kłopotów. Nie lubili Sama, ale w niego wierzyli.

Czuła się tak samo, widząc jego rezygnację na biurku, ale coś w ich posępnych minach wzbudziło jej gniew. Sam nie jest bogiem. Nie ma żadnych nadprzyrodzonych zdolności. W SysVal są także inni zdolni i kreatywni, na przykład ona. Nie wiedząc do końca, co chce powiedzieć, wstała z fotela.

- Panowie, od początku wiedzieliście, że SysVal to ryzykowne przedsięwzięcie.

Zgodziliście się zainwestować, bo ludziliście się, że czwórka wspólników o wszystko zadba.

Zarabialiście tyle pieniędzy, że wmawialiście sobie kłamstwa na nasz temat.

- O czym ty mówisz? - zachnął się Leland. - Jakie kłamstwa?

- Kłamstwa, które kołły wasze sumienie, pozwalały cieszyć się fortuną - rzuciła ostro. - Kłamstwa o nas. Och, wierzyliście w cudowne umiejętności Sama, wydawało się wam, że jest w stanie uporać się z najgorszym nawet kryzysem, ale w głębi serca baliście się go. Ponieważ jednak to wam się nie

podobało, staraliście się pokonać ten strach, wmawiając sobie, że Mitch, Yank i ja to przyzwoici, godni zaufania ludzie, przeciwwaga dla nieprzewidywalnego Sama. Nie widzieliście nas jako pojedynczych osób, tylko jako trzech wspólników Sama.

Drażniła was jego arogancja, więc pocieszaliście się moim dobrym wychowaniem. Baliście się jego braku doświadczenia, więc słuchaliście Mitcha, któremu doświadczenia nie brakuje. Kiedy mieliście dosyć jego teatralnych gestów, przypominaliście sobie o milczącym Yanku. Ale zawsze Sam był dla was punktem odniesienia. Staraliście się nie pamiętać o tym, że uciekałam sprzed ołtarza na motocyklu. Przymykaliście oczy na wątpliwą rozwagę Mitcha, który przecież rzucił wszystko, wspaniałą karierę, i przyłączył się do trójki dzieciaków majstrujących coś w garażu.

Lekceważyliście radykalny geniusz Yanka, wmawialiście sobie, że to nieszkodliwy dziwak. To Sam był szalony. To Sam był ryzykantem, ekscentrykiem. Nie rozumieliście, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Nie chcieliście dostrzec, że wszyscy czworo jesteśmy reneгатami.

Członkowie rady nadzorczej byli poruszeni pasją w jej głosie. Mitch oparł się wygodnie i bił brawo jako jedyny. Yank patrzył w pusty notes i uśmiechał pod nosem.

- Przygoda się nie skończyła, panowie – powiedziała cicho. – Nie obiecuję, że uratujemy firmę. Ale gwarantuję wam jedno - to my troje mamy największą szansę to zrobić, a nie Sam Gamble.

Zebranie potoczyło się dalej w ponurym nastroju. Gdy wychodzili z sali konferencyjnej, Mitch złapał ją za ramię.

- Dobra robota. Co teraz?

- Teraz zabieramy się do pracy - odparła.

SysVal aż wrzało od plotek. Sam Gamble przepadł bez śladu, wstrzymano produkcję Blaze III, dopóki nie powstanie nowy chip ROM, i – o dziwo – zawieszono wszelkie prace nad projektem Wildfire. Wiadomo było, że dzieje się coś niedobrego, ale nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi. Radiowęzeł milczał jak zaklęty.

Susannah i Mitch przystąpili do ataku. Żeby podtrzymać zainteresowanie Blaze III i nie dopuścić, by klienci wybrali inną markę, musieli zagrać ostro. Wykupili całostronicowe ogłoszenia w prasie o zasięgu krajowym i otwarcie informowali klientów, że ze starymi egzemplarzami mogą być kłopoty, firma jednak zajmie się tym w najbliższym czasie. Zanim jednak pojawiły się ogłoszenia, musieli poinformować o wszystkim załogę.

Dwa dni po zebraniu rady nadzorczej Susannah wystąpiła przed kamerami zakładowej telewizji i poinformowała pracowników o sytuacji. Patrząc śmiało w obiektyw, zapewniła, że SysVal będzie wierny swemu produktowi. Potem przyszło najgorsze – zamrożenie płac i konieczność zwolnień. Mówiła z głębi serca, przypomniawszy o ideologii SysVal i konieczności popierania swojego produktu.

- Ta firma zawsze balansowała na krawędzi chaosu - zakończyła. - Chaos to ból, ale też początek czegoś nowego. Zamiast użalać się nad sobą, potraktujmy to jak okazję do tego, żeby jeszcze raz zaskoczyć świat. Jeśli zdamy ten egzamin, przygoda SysVal będzie trwała nadal.

Ledwie skończyła, zadzwonił telefon. Sekretarka powiedziała, że to Mitch.

- Dobre przemówienie - pochwalił. - Dziwnie się w życiu układa, nie sadsisz? Mówisz coraz bardziej jak Sam. Zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Sam jest częścią nas wszystkich. Mam tylko nadzieję, że tą lepszą.

Nie mogła zapomnieć, jaką minę miał Sam, gdy się ostatnio widzieli. Wielokrotnie usiłowała się do niego dodzwonić, ale nikt nie odbierał. Angela pojechała nawet do jego domu, lecz był pusty.

Martwiła się coraz bardziej. Tego wieczoru Susannah postanowiła przekonać się na własne oczy, co

się z nim dzieje. Małżeństwo się skoczyło, ale nie była w stanie równie szybko zapomnieć o sześciu latach troski.

W domu pachniało stęchlizną Ostrożnie otworzyła drzwi. Lampy w kształcie pochodni nie paliły się, salon wydawał się zimny i obcy. Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo nie lubi tego domu, jego surowości i ascetyzmu. Zadzwoił telefon. Podskoczyła przestraszona przenikliwym dźwiękiem. Stała bez ruchu, dopóki nie umilkł. W korytarzu dostrzegła wąską smugę światła spod drzwi czarnego granitu. Podeszła bliżej i pchnęła je.

Sam leżał pogniecionej, skotłowanej pościeli. Był nieogolony, bez koszuli, w dżinsach z rozpiętym rozporkiem. Leżał na plecach z ręką pod głową i patrzył w sufit pustym wzrokiem. Po drugiej stronie łóżka młoda kobieta w bieliźnie piłowała sobie paznokcie. Była piękna, ciemnowłosa, z pełnymi piersiami i długimi nogami. Pierwsza zobaczyła Susannah.

Poderwała się gwałtownie, wymachując przy tym pilnikiem jak dyrygent batutą. Sam przeniósł wzrok z sufitu na żonę. Cały czas miał taką samą minę. Susannah wdychała ciężkie powietrze przesycone zapachem marihuany i seksu. Zrobiło jej się niedobrze. Na meblach z czarnej laki zauważyła warstwę kurzu. Żaluzje odgradzały pokój od świata zewnętrznego. Na podłodze za łóżkiem poniewierały się brudne naczynia i opakowania po daniach na wynos. Pejzaż morski, który jej kupił, stał pod ścianą przebity pięścią.

- Wynoś się - rzuciła po adresem kobiety.

Ta otworzyła usta, by zaprotestować, ale chyba przestraszyła się stanowczości Susannah. Zerknęła ukradkiem na Sama. Nie zwracał na nią uwagi. Susannah ledwie zauważyła jak kobieta ubrała się pośpiesznie i wybiegła z pokoju. Dopiero gdy z oddali doszedł ją odgłos zamykanych drzwi wejściowych, podeszła bliżej.

- Co ty wyprawiasz? Znów patrzył w sufit. Kopnęła wilgotny ręcznik.

- Ukrywanie się to tchórzostwo. Niczego w ten sposób nie załatwisz.

- Albo się ze mną pieprzysz, albo wynocha.

Nie skrzywiła się, słysząc wulgarne słowo, choć na samą myśl o pójściu z nim do łóżka zrobiło jej się niedobrze. Nie chodziło tylko o to, że sypia z innymi kobietami. Nie zniosłaby jego dotyku.

- Twoja matka martwi się o ciebie. My wszyscy...

- Jasne.

Zachowywał się jak obrażony chłopczyk. W tym momencie straciła dla niego resztę szacunku.

Zniszczyły go jego dziecinność, niewierność i rozczulanie się nad sobą.

- Masz zamiar do końca życia dąsać się, tylko dlatego że coś poszło nie po twojej myśli? Nie ruszał się przez chwilę. W końcu powoli dźwignął się z posłania. Przyćmione światło rzucało czarno-niebieskie cienie na nieogoloną szczękę, lśniło w zmierzwionych głosach. Szedł do niej ze zwieszonymi ramionami. Wyczuwała jego gniew i powiedziała sobie, że nie wolno jej go nie doceniać.

- Beze mnie jesteś nikim - syknął.

- Czy ty wiesz, jak serdecznie dosyć mam twoich obelg? Widziała, jak drgają mu nozdrza, jak w ciemnych oczach błyszczy gniew.

- Jesteś nikim, słyszysz? Kiedy cię poznałem, byłaś zakompleksioną panienką. I wiesz co? Nic się nie zmieniło, tylko teraz udajesz, że pracujesz. Zabolało. Powtarzała sobie, że to nieprawda, nie wierzy mu, była jednak na tyle niepewna siebie, że odczuła ten atak boleśnie.

- Pani prezes - skrzywił się. - Wydaje ci się, że tyle zrobiłaś dla SysVal. Bzdura! SysVal było moje!

Byłaś śmieszna tamtego wieczoru, gdy opowiadałaś o misji i przygodzie! Rzygać mi się chciało. Chciała się bronić. Otworzyła usta i przekonała się, że wcale już tego nie chce. Sam jest żaloszny jak rozpuszczone dziecko.

- Chciałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku - powiedziała tylko. - Ale widzę, że sprawia ci przyjemność rozczulanie się nad sobą, więc wychodzę. Odwróciła się. Złapał ją za ramię.

- Masz jeszcze jedną szansę. Dam ci jeszcze jedną szansę. Chodź ze mną.

- Ku nowej przygodzie? – spytała złośliwie.

- Tak. Ku nowej przygodzie. Lepszej. Kiedy tylko się rozeszło, że odchodzę z SysVal, inwestorzy ustawili się do mnie w kolejce. Błagają, żebym coś zrobił z ich pieniędzmi. Jestem Midasem, mała. Choć jego słowa brzmiały jak przechwałki, wiedziała, że to prawda. Jeden ze zdesperowanych inwestorów szukał go nawet u niej w domu. Odsunęła się od niego.

- Nawet nie wiesz, czym jest prawdziwa przygoda. Nie chodzi o stworzenie czegoś - to dobre dla dzieciaków. Prawdziwa przygoda polega na doprowadzeniu tego do końca. Wycofałeś się w kluczowym momencie, Sam. I z pracy, i z małżeństwa. – Przez moment obawiała się, że ją uderzy, ale nie drgnęła. Takim jak Sam trzeba stawić czoło.

- Wynoś się - burknął. - Wynoś się i nie wracaj, póki nie zrozumiesz, jakie jest życie.

Może wtedy przyjmę cię z powrotem.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- Ja nie wrócę, Sam. Nigdy.

Wyszła. Gdy otoczyło ją rześkie powietrze pachnące eukaliptusem, poczuła ulgę. Wreszcie zerwała ostatnie więzy miłości łączące ją z Samem. Skończyła z małymi chłopcami.

## Rozdział trzydziesty

Hal Lundeen, szef ochrony SysVal, był jednym z nielicznych pracowników po czterdziestce. Dawniej pracował w policji w Oak-land. Był urodzonym pesymistą – wierzył, że nawet najgorsza sytuacja może się skomplikować jeszcze bardziej. Poszukiwania sabotażysty potwierdzały jego słowa.

Nadchodził grudzień, tymczasem od października stawał na głowie, żeby znaleźć dowody. Wszystko wskazywało na Edwarda Fiellę. Lundeen przypuszczał nawet, że wie, jak doszło do zamiany: gdy zjawił się goniec z Dayle-Wells po listę instrukcji w chipie, Fiella niechcący rozlał kawę i pewnie wtedy podmienił dane. Niestety, o wiele trudniej było znaleźć samego Fiellę.

Lundeen ostrożnie przysiadł na fotelu naprzeciwko kobiety za biurkiem. Nie spodoba jej się to, co ma do powiedzenia.

- Niestety, mam złe wieści. O Fielli.

- Bomba - mruknęła. - Znowu nam uciekł?

- Niezupełnie. W końcu znaleźliśmy go w Filadelfii. Niestety, spóźniliśmy się o dziesięć dni.

- Znowu się wymknął?

- Nie. On... nie żyje.

- Nie żyje?

- Tak. Zginął w wypadku samochodowym dziesięć dni temu.

- O nie. - Potarła czoło dłonią. - Jak to się stało?

- Pijany nastolatek nie zatrzymał się na skrzyżowaniu. Fiella zginął na miejscu. Pech.

- Szczęście całkiem się od nas odwróciło, co? Masz coś jeszcze?

- Tak. Gliniarze wyciągnęli go z mercedesa 380 SL. Kabriolet. Kupił go kilka tygodni po odejściu z SysVal.

- To drogi wóz. Nie pamiętam, żeby na wyciągach z jego kart kredytowych był po nim ślad.

- No właśnie. Zapłacił gotówką.

Gdy dotarło do niej, co sugeruje, zacisnęła dłoń na ołówku.

- A więc to wyklucza wersję, że Fiella był hakerem, który zrobił nam kawał, prawda?

- Tak, panno Faulconer. Wyklucza absolutnie.

Ponieważ tylko wspólnik mógł wykupić udziały innego wspólnika, Mitch, Yank i Susannah byli zmuszeni zainwestować w akcje Sama. Wycofanie Blaze III znacznie obniżyło wartość jego piętnastu procent, ale i tak był to wydatek rzędu milionów dolarów. Susannah była w najgorszej sytuacji – nie mogła wykorzystać wspólnego majątku jej i Sama, dopóki rozwód się nie uprawomocni. Zmieniła bmw na forda i porzuciła myśl o kupnie własnego domu. Na razie nie było ją na to stać. Tak to już jest w Dolinie Krzemowej - zażartowała kiedyś z goryczą - jednego dnia bogacz, drugiego biedak. Tylko że wcale nie było jej do śmiechu. Przed całym tym zamieszaniem jej majątek był wart, przynajmniej teoretycznie, sto milionów dolarów. Teraz jednak nadszedł nowy rok, wszystko, co miała, poszło na ratowanie SysVal i oto znalazła się na krawędzi bankructwa.

Pochmurne smutne zimowe miesiące przeszły we wczesną wiosnę. Strumyczek informacji o popsutych komputerach wezbrał w powódź. Sys-Val wykrwawiało się. Sprzedali wszystko, bez czego mogli się obejść: ośrodek konferencyjny niedaleko Carmel, magazyny, grunt pod dalszą rozbudowę. Niestety, to tak, jakby chcieć zatamować ranę po kuli kawałkiem papieru toaletowego. Pod koniec czerwca Susannah miała wrażenie, że każdy dzień, w którym jeszcze nie ogłosili upadłości, to zwycięstwo.

W czerwcowy wieczór wracała do domu w SysVal i zastanawiała się, czy Yank i Mich już tam są. Jej wspólnicy nabrali zwyczaju zaglądania do niej kilka razy w tygodniu. Pretekstem była konieczność omówienia w spokoju dalszych planów. Susannah podejrzewała jednak, że prawdziwy powód był inny - liczyli, że będzie tam Paige. Paige pomagała im zapomnieć o kłopotach. Okazała się ich złotowłosą niańką. Rozpieszczała ich i karmiła, syciła ciała i dusze. Gdy padali z nóg ze zmęczenia, pobudzała ich do działania radosną paplaniną. Była posiadaczką kontrolnego pakietu akcji ich największego rywala, ale nie obawiali się już rozmawiać przy niej o interesach, bo Paige nie obchodziły interesy, tylko jedzenie i picie.

Susannah bezwiednie zacisnęła dłoń na kierownicy. Miłość do Paige walczyła w niej z zazdrością, która pojawiła się kilka miesięcy temu. Jeśli Mitch jest w domu, na pewno żartuje sobie z Paige, jak zwykle przekomarzają się i prowokują. Pewnie znowu szczerzy zęby jak wariat. Susannah ma tego dosyć. Paige i Mitch są obrzydliwi. Nawet ślepiec zauważyłby, jak idealnie do siebie pasują. Jin i jang. Idealne połączenie. Przeciwieństwa się przyciągają.

Dlaczego więc nie pójdą wreszcie do łóżka i nie postawią sprawy jasno? Wcale nie chciała, żeby to zrobili. Kochała oboje i wiedziała, że do siebie pasują, a jednak na myśl, że mogliby być razem, robiło jej się słabo. Drażniło ją, że jest taka samolubna, ale nie mogła nic na to poradzić. Chciała, by powróciła dawna zażyłość z Mitchem, ale jego związek z Paige wszystko komplikował.

Kilka tygodni temu sytuacja drażniła ją tak bardzo, że próbowała porozmawiać o tym z Yankiem. Uśmiechnął się tajemniczo i kazał jej czekać. Wszystko ma swój czas, tłumaczył. Najchętniej dałaby mu klapsa.

Już od progu słyszała głosy z salonu. Jak się tego spodziewała, Paige karmiła jej wspólników.

Susannah stanęła w korytarzu i ukradkiem obserwowała, jak Paige nadskakuje obu mężczyznom. Sprawnie szykowała ich porcje - Yanka bez grzybów, bo ich nie lubił, z dodatkową garścią oliwek dla Micha, bo za nimi przepada. Rzeczywiście, matka Teresa w ciele Dziewczyny Miesiąca. Mimo miłości do siostry Susannah czuła się przy niej coraz mniej kobieca. Paige była ucieleśnieniem marzeń każdego mężczyzny: matka i bogini seksu w jednej osobie. Jak mogłabym się z nią równać, pytała się w duchu.

O, wcale nie chciała się z nią równać. Przecież nie zakochała się w Mitchu, to bzdura. Ma już za sobą miłość swego życia. Wie, dokąd to prowadzi. Po prostu ostatnio widzi Mitcha w innym świetle. To jak najbardziej zrozumiałe. Jest kobietą zmysłową. Jej ciało nie przywykło do celibatu, a Mitch jest bardzo atrakcyjny. Ostatnie miesiące przyprószyły jego skronie siwizną i pogłębiły bruzdy przy ustach, ale te zmiany tylko dodały mu uroku. W każdym razie w oczach kobiety, której przez prawie rok nie dotknął żaden mężczyzna.

Rozparł się wygodnie w fotelu i przeciągnął jak kot. Susannah zrobiło się gorąco, gdy patrzyła, jak doskonale skrojona koszula opina silną klatkę piersiową.

- Wiesz, Paige, szkoda, że nie możemy cię porcjować i sprzedawać - stwierdził. - Zrobilibyśmy majątek.

Paige skrzyżowała ręce na piersi, tak że uniosły się lekko, i podeszła bliżej.

- Przepraszam, co masz na myśli? Moje talenty kulinarne czy... inne? Mitch uśmiechnął się. Uśmiecha się właściwie tylko przy niej.

- Jako bezlitośni kapitaliści sprzedamy to, za co zapłacą nam najwięcej.

- Czyli jej talent kulinarny - wtrącił Yank spokojnie. Mitch pokręcił głową z udanym niedowierzaniem.

- Wiesz, Yank, chyba powinieneś znowu zacząć chodzić na randki. Odkąd przestałeś, pomieszały ci się priorytety.

- Święci mężowie nie chodzą na randki - stwierdziła Paige. - Prawda, Yank? Są ponad zapasy z kobietami.

Yank uśmiechnął się do niej smutno - uśmiechał się tak, ilekroć Paige była w pobliżu - i wycofał się na swoją starą pozycję z boku. Nie uszło uwagi Susannah, że z nim Paige nie przekomarza się tak beztrudnie jak z Mitchem. Nic dziwnego, przecież Yank i Paige to dwa różne światy.

- Mógłbym dostać jeszcze kawy? - zapytał grzecznie Yank.

Paige zerwała się w obłoku jasnych włosów. Obaj mężczyźni wodzili wzrokiem za jej okrągłym tyłeczkiem w opiętych dzinsach. Susannah zdjęła płaszcz. Nie umiała opanować zazdrości. To takie poniżające, ale chciałaby, żeby chociaż raz na nią popatrzyli takim wzrokiem.

Ile dałaby, żeby choć na chwilę zapomnieć o kryzysie SysVal i być tylko kobietą. Wyobrażała sobie, że ma duże piersi siostry przykryte tylko czarną koronką. Podchodzi do Mitcha, kołysząc biodrami, i szepce uwodzicielsko coś w rodzaju: - Witaj, wielkoludzie. Może wskoczymy do łóżka?

I tu wszystko się psuło, bo w jej wyobraźni Mitch się peszył, bladł, chrząkał z zakłopotaniem.

- Susannah, wiesz, że nie chcę cię skrzywdzić. Wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń, ale Paige i ja...

- Ja też poproszę kawy. - Mitch podsunął Paige swój kubek. Zauważył Susannah skuloną w holu, ale udawał, że jej nie widzi. Paige posłusznie pochyliła się nad nim. Uśmiechnął się. Jest jak ciepły kompres na jego duszę. Podobało mu się, że się dokoła niego uwija. Bawiło go przekomarzanie się z nią. Między nim a Paige nie było nawet cienia prawdziwego zainteresowania, Susannah jednak tego

nie widziała. Na razie odpowiadała mu taka sytuacja.

Odkąd przestał udawać Mitcha-kumpla, uczucia Susannah wobec niego zdawały się zmieniać. Przynajmniej taką miał nadzieję. Susannah jeszcze o tym nie wie, ale wypowiedział jej wojnę i liczył, że w efekcie zdobędzie jej miłość. Modlił się, żeby się nie przeliczyć. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim Susannah dostrzeże to, co dla niego było jasne od dawna – że są dla siebie stworzeni, że patrzą na świat w ten sam sposób i że pasują do siebie tak, jak kobieta i mężczyzna pasować powinni?

Rozwód Susannah uprawomocni się pod koniec lata i Mitch zamierzał wykorzystać każdą wolną chwilę, by otworzyć jej oczy. Nawet siłą. Może to nie fair, że zajmuje się czymś takim w samym środku największego kryzysu w historii SysVal. Trudno. Stało się jasne, że SysVal nie doczeka jesieni. Skoro ma stracić pieniądze i firmę, nie dopuści, żeby los odebrał mu także Susannah. Martwiło go tylko jedno - Yank Susannah coraz częściej znikwała w jego laboratorium i przyglądała się, jak pracuje. Uciekała tam, gdy była smutna lub wyczerpana. Mitch przypuszczał, że jej uczucie do Yanka jest raczej platonicznej natury, ale nie miał całkowitej pewności. A Yank był nieprzenikniony. Co, jeśli zakocha się w Susannah? Nie uśmiechała mu się wizja takiego rywala. Może cała reszta nie doceniała jego wspólnika, ale nie Mitch.

- Suzie! Nie słyszałam, kiedy weszłaś! - Paige dostrzegła siostrę w korytarzu. - Siadaj, zaraz podam ci obiad.

Susannah przywitała się ze wszystkimi i usiadła do stołu. Paige przyniosła jej kieliszek schłodzonego białego wina i sporą porcję smakowicie pachnącego kurczaka po prowansalsku. Brakowało tylko, żeby jeszcze poprawiła jej poduszkę na oparciu. Susannah poczuła się jak ostatni drań. Jak może być zazdrosna o siostrę, która tak troskliwie się nią opiekuje?

- Moje dzieci będą tu w drugi weekend lipca - oznajmił Mitch. - W sobotę urządzimy grilla. Jesteście wszyscy zaproszeni.

- Niestety, skarbie - Paige pokręciła głową. - Obowiązki wzywają. Tego dnia wydaję coroczne przyjęcie FBT w Falcon Hill. Co prawda wołałabym być z wami. Jezu, jak ja nie cierpię tych imprez.

- Więc czemu to robisz? – zainteresował się Mitch.

- Cal zrobił dla mnie tyle, że nie mogłam mu odmówić, kiedy mnie poprosił.

Mitch i Susannah wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nie podobało im się, że Paige przekazała pełnomocnictwo Calowi Theroux. Ponieważ Cal był tematem tabu dla sióstr, Susannah prosiła Mitcha, żeby wpłynął na Paige. Powinna bardziej interesować się FBT. Paige kazała mu pilnować swoich spraw.

Wieczorem, gdy mężczyźni wyszli, Paige skuliła się na kanapie z ilustrowanym tygodnikiem, a Susannah postawiła aktówkę obok fotela. Na samym wierzchu leżała okazałych rozmiarów koperta. W pierwszej chwili nie wiedziała, co to jest, zaraz jednak przypomniała sobie – akta Edwarda Fielli, które zabrała w ostatniej chwili. Chciała jeszcze rzucić na nie okiem, zanim powędrują do archiwum. Rozparła się wygodnie i dostrzegła smutną minę Paige.

- Co jest?

Paige szybko wróciła do rzeczywistości.

- Nic.

- Wydawało mi się, że nie mamy przed sobą tajemnic. Kłopoty w schronisku? - Od pewnego czasu Paige pracowała jako wolontariusza w schronisku dla maltretowanych kobiet. Czasami nadmiar

cierpienia, które tam widziała, psuł jej humor na wiele dni. Zaprzeczyła ruchem głowy i pochyliła się nad gazetą.

- Nic równie szlachetnego. Zastanawiałam się tylko... Właściwie dlaczego z nikim się nie umawiasz? Rozstałaś się z Samem prawie rok temu. Niedługo uprawomocni się rozwód.

- Nie miałam czasu. Zresztą kiepskie ze mnie towarzystwo. Niełatwo się śmiać, kiedy się przed chwilą zwolniło kolejne siedemset osób.

- I nie brak ci męskiego towarzystwa?

- Przebywam w męskim towarzystwie dzień w dzień - odparła, świadomie omijając pułapkę.

- Nie to miałam na myśli.

Susannah wiedziała doskonale, co Paige miała na myśli, ale nie opowie jej przecież o żenujących fantazjach erotycznych z Mitchem w roli głównej. Zdobyła się jednak, by wyznać część prawdy.

- Życie z dnia na dzień pochłania całą energię, na jaką mnie w tej chwili stać. Nie mam sił na związek.

- A seks? Nie brakuje ci seksu? Bardzo.

Paige była bardzo niezadowolona.

- To głupie, wiem, ale w Grecji Yank wymusił na mnie obietnicę, że nie pójdę z nikim do łóżka. Nie wiem, czemu się zgodziłam, ale wiesz, jaki on jest. Zaraz po przyjeździe do San Francisco wkurzyłam się na niego i oznajmiłam, że będę sypiała, z kim zechcę. Ale wcale tego nie zrobiłam. W zeszłym miesiącu jednak poleciałam do Paryża i uparłam się, że się zabawię. Chciałam się spotkać ze znajomym. Podrywacz, ale przemiły... W każdym razie, nawet do niego nie zadzwoniłam. Boże, Suze, to już wieki...

- Celibat chyba jest zaraźliwy. Mitch przestał się umawiać z tymi okropnymi babami. - Ledwie to powiedziała, pożałowała, że nie ugryzła się w język. Pewnie, że Mitch się z nikim nie umawia.

Podrywa jej siostrę. Zaraz jednak opanowała się. - Może chciałaś po prostu odpocząć od mężczyzn.

- Chyba tak. Najzabawniejsze, że coraz więcej myślę o seksie. To śmieszne, bo nigdy nie lubiłam tego robić.

Nagle Paige zerwała się z kanapy, jakby zła, że powiedziała zbyt dużo. Ja... chyba dzisiaj przenocuję w Falcon Hill. Jutro rano muszę się spotkać z Calem w sprawie przyjęcia. Jeśli zanocuję się w Falcon Hill, uniknę porannych korków. Susannah kiwnęła głową. Nic dziwnego, że Paige ucieka. Ona nie jest teraz miłym towarzystwem. Podeszły do drzwi. Paige włożyła kurtkę, chwyciła torebkę, cmoknęła Susannah w policzek i już jej nie było. " Noc była piękna, powietrze pachnące, księżyc jaśniał na niebie. Paige starała się myśleć o pięknie nocnego nieba, nie tym, że ma ochotę płakać. Niestety, zanim wjechała na autostradę, poczuła łzy na policzkach. Nie lubiła płakać. To głupie, dziecinne i świadczy o słabości. Co z tego, skoro odkąd w jej życiu pojawił się Yank Yankowski, płacze coraz częściej. Boże. Od kilku miesięcy zachowuje się jak wariatka. Ilekroć przychodziła do Susannah i widziała go na fotelu, czuła się jak po heroinie. Wystarczy, że zamknie oczy, i już go widzi. Doszukiwała się ukrytego sensu w jego gestach, usiłowała wyczytać z krótkich, zwięzłych wypowiedzi sonety pełne miłosnej pasji. Na próżno. Zbyt twardo stąpała po ziemi. Los spletał jej kosmicznego figla. Ona, która mogła mieć każdego mężczyznę na świecie, zakochała się w roztargnionym jajogłowym, który z kolei szalał za jej głupią, ślepą siostrą.

Susannah poszła na górę z aktami Edwarda Fielli. Postanowiła trochę popracować, bo wiedziała, że i tak nie zaśnie. Przygotowała się do snu, poprawiła poduszkę, ułożyła się wygodnie i otworzyła akta. Przeglądała je już wcześniej i właściwie nie spodziewała się znaleźć nic nowego, jednak chciała



jeszcze raz rzucić na nie okiem.

Na pierwszej stronie, czyli na liście motywacyjnym Fielli, była plama po kawie. Przejrzała pozostałe dokumenty. Zatrudnili Fiellę zaraz po studiach. Pamiętała, że ukończył college w San Jose. Zerknęła na dyplom i dane z uczelni. Nie należał do żadnej korporacji, do żadnej organizacji.

W czasie ostatnich studenckich wakacji pracował przy komputeryzacji jachtklubu Mendhan Hills. Znieruchomiała, widząc tę nazwę. Jakim cudem wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Była w tym klubie wiele razy. Choć mały, należał do najbardziej ekskluzywnych w okolicy. A Cal Theroux był jego członkiem.

Jej serce waliło jak oszalałe. Przed chwilą wydawało się jej, że w sypialni jest zimno, teraz płonęła. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, upominała siebie, podrywając się z łóżka. Spośród wysoko postawionych członków zarządu FBT nie tylko Cal należy do klubu. Nie może mu zarzucić czegoś tylko dlatego, że przebywał w jednym pomieszczeniu z pracownikiem SysVal. Przecież SysVal i FBT do niedawna nawet ze sobą nie konkurowały, przypomniawszy sobie. Zaczęło się od rywalizacji Blaze III z Falconem 101. Kontrakt stanowy był znacznie ważniejszy dla SysVal niż dla FBT.

Lecz najbardziej logiczne argumenty świata nie były w stanie jej przekonać. Sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do Hala Lundeena. Dwa dni później przyszedł do niej wielce zaaferowany.

- Znalazła pani coś, to pewne. Cal Theroux był przewodniczącym komitetu do spraw komputeryzacji klubu. Niemożliwe, żeby nie kontaktował się z Fiellą Susannah odłożyła długopis. Teraz może zaufać intuicji. Od razu, gdy zobaczyła nazwę klubu w dokumentach Fielli, w głębi serca wiedziała, że to Cal ponosi winę za sabotaż Blaze III. Pomyślała o nienawiści, która wzbierała w nim od lat. Czy naprawdę sądziła, że jej daruje po tym, co mu zrobiła? Że nie zechce się zemścić?

- Potrzebujemy dowodów - stwierdziła.

- Proszę dać mi kilka dni, zobaczę, co się jeszcze uda wyszperać. Im więcej wiem o panu Theroux, tym mniej mi się podoba. Jego droga na szczyt FBT jest usłana trupami. Zaraz po wyjściu Lundeena wezwała Mitcha i Yanka i podzieliła się z nimi swoimi podejrzeniami. Ku jej rozczarowaniu obaj – mistrzowie racjonalnego, logicznego myślenia – nie byli przekonani do jej teorii.

- To są poważne zarzuty - zauważył Mitch - a opierasz się jedynie na poszlakach. Jeśli nie będziesz ostrożna, wpakujesz się w proces o zniesławienie. Jeśli Lundeen nie wygrzebie czegoś konkretnego, nic z tego.

- Wygrzebie. Na pewno.

Niestety, tydzień później Hal mógł się pochwalić tylko opowieściami o tym, jak to Cal brutalnie, ale skutecznie, dostał się na szczyt FBT.

Susannah nie mogła spać, nie mogła jeść. Minęły dwa pierwsze tygodnie lipca, nadszedł drugi weekend miesiąca. Całą sobotę przesiedziała przy biurku. Mitch zabrał dzieci na mecz. Paige organizowała przyjęcie FBT. Blaine przesunął planowanego grilla na następny dzień. Susannah cieszyła się na spotkanie z jego dziećmi, ale wolała nie myśleć o tym, że zobaczy Mitcha i Paige razem.

O siódmej padała ze zmęczenia, ale nie chciała wracać do domu. Bez celu włóczyła się po pustych korytarzach. W wielu gabinetach nie paliło się światło, niektóre pokoje ziały pustką. Pamiętała, jak dawniej w sobotnie wieczory SysVal tętniło życiem. Teraz w korytarzu słychać było echo jej kroków. Zajrzała do laboratorium. Jeszcze niedawno młodzi inżynierowie napełniali je życiem i energią. Teraz było spokojne, ciche. Nikt nie ostrzegał przed atakiem Japończyków, nikt nie poszukiwał wieprzków na korytarzu. Wydawało się, że szalony, cudowny świat SysVal był tylko snem.

Przywarła policzkiem do zimnej zielonej ściany. Przygoda dobiegła końca. Poczucie klęski przytłaczało – najchętniej zwinęłaby w kłębek i płakała rzewnymi łzami. Cal Theroux zwyciężył. W tej chwili w Falcon Hill zaczyna się przyjęcie. Będzie się szczycił sukcesami FBT, a w głębi duszy cieszył z klęski SysVal.

Myślała o młodych zapaleńcach, którzy ściągali do SysVal z całego kraju, o tysiącach, na których zemsta Cala odcisnęła piętno. Jednocześnie oczami wyobraźni widziała Cala tańczącego w ogrodach Falcon Hill.

Zamknęła oczy. Mitch nazwał ją kiedyś ostrą sztuką, ale to nieprawda. Gdyby naprawę była ostra, nie pozwoliłaby, żeby taki drań jak Cal Theroux zniszczył wysiłek tysięcy ludzi. Prawdziwa ostra sztuka coś by wymyśliła. Na przykład... Gwałtownie uniosła powieki. Przez chwilę stała bez ruchu, prawie nie oddychała. Spojrzała na zegarek i puściła się biegiem.

## **Rozdział trzydziesty pierwszy**

Biblioteka w Falcon Hill wcale się nie zmieniła. Jak dawniej mahoniowe biurko ojca dominowało nad innymi sprzętami. Susannah oparła się ciężko o szeroki blat i ścisnęła słuchawkę w dłoni. Czekala, aż ktoś odbierze telefon po drugiej stronie domu, koło basenu. Miała na sobie obcisłą szkarłatną suknię wykończoną sztucznymi kamieniami. Czekając, przypomniła sobie wieczór, gdy weszła do biblioteki i zastała tu Sama z oczami utkwionymi w suficie. Wtedy także trwało przyjęcie.

- Słucham? - Odebrał ktoś nieznanym z cudzoziemskim akcentem. Pewnie kelner.

- Jeden z gości jest pilnie proszony do biblioteki - powiedziała. - Pan Cal Theroux. To bardzo ważne. - Powtórzyła nazwisko, jeszcze raz podkreśliła wagę sprawy i odłożyła słuchawkę.

Kilka razy głęboko zaczerpnęła powietrza, nerwowo bawiąc się bransoletką. Okna biblioteki wychodziły na inną stronę, nie widziała więc gości. Jednak nawet tu słyszała przytłumioną muzykę. Zerknęła na książki, za którymi ukryła mały dyktafon, żeby po raz kolejny upewnić się, że go nie widać.

Wybiegła z SysVal niecałe dwie godziny temu. W tym czasie sprawdziła, czy dyktafon działa, jak należy, pojechała do domu, przebrała się i wyruszyła do Falcon Hill. Wślizgnęła się bocznym wejściem i ukryła w bibliotece, tak że nikt – ani siostra, ani służba – jej nie widział. Teraz pozostało jej tylko czekać.

Nerwowo krążyła po bibliotece, powtarzając sobie, co powie Calowi. Nie spodziewa się jej - to dobrze, musi wykorzystać element zaskoczenia. Dama z towarzystwa znowu będzie blefować.

Chciała zawiadomić Mitcha o swoich planach. Niestety, nie było go w domu, gdy dzwoniła. Pewnie wyszedł gdzieś z dziećmi.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Odwróciła się powoli.

- Witaj, Cal.

Wyraźnie zdziwił się na jej widok.

- Co tu robisz?

- Dobrze się bawisz? - zapytała, celowo unikając odpowiedzi na pytanie. Choć elegancki i przystojny, budził jej obrzydzenie. Naprawdę chciała spędzić z nim życie? Ciekawe, czy jego żona jest równie zestresowana w łóżku z nim jak ona.

- Czego chcesz?

Podeszła bliżej, nie próbując ukryć wrogości.

- Chcę zobaczyć, jak się trzęsiesz ze strachu, ty draniu.

Nie spodziewał się bezpośredniego ataku. Pamiętał uprzejmą zgodną arystokratkę. Dawniej nawet do głowy by jej nie przyszło, żeby zaatakować.

- O czym ty mówisz?

- Dopiero niedawno zrozumiałam, że to twoje dzieło - powiedziała gorzko. - Czy to nie zabawne?

Nawet mi przez myśl nie przeszło, że jesteś zdolny do takiego świństwa.

Odzyskał panowanie nad sobą.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O moje komputery, ty draniu.

- Nie...

O Blaze III i sabotaż. O błąd w chipie ROM.

- To chyba żart.

- Chodzi mi o tysiące ludzi, których życie legło w gruzach. O niewinnych ludzi, którzy stracili wszystko. O człowieka, którego nie obchodziło, kogo skrzywdzi, byle zemścić się na kobiecie, która od niego uciekła.

I wtedy to zobaczyła – błysk satysfakcji w jego oczach, choć starał się go ukryć.

- Problemy SysVal są powszechnie znane - odparł. - To rozumiałe, że szukasz kozła ofiarnego. W końcu łatwiej zrzucić winę na sabotaż, niż przyznać się do niekompetencji własnych inżynierów.

Zrobiło jej się niedobrze.

- Podoba ci się, że tańczysz na naszym pogrzebie, co? Jak możesz spać spokojnie?

- Śpię bardzo dobrze. Równie dobrze jak ty, kiedy upokorzyłaś mnie na oczach wszystkich znajomych i współpracowników.

- Nie uciekłam przed ołtarza z premedytacją, a ty... To obrzydliwe.

Podszedł do barku pełnego kryształowych karafek i nalał sobie brandy. Przy każdym ruchu biła od niego pewność siebie i samozadowolenie. Napił się i błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Słyszałem, że odeszłaś od męża. Szkoda, że się wam nie ułożyło.

- Och, ułożyło się, owszem. Nie na wieki, przyznaję, ale nie oddałabym tych lat z Samem za nic.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Zacisnął usta.

- Wiesz, Susannah, jest w tobie coś prostackiego. Nie widziałem tego, kiedy byliśmy razem.

Właściwie powinienem być wdzięczny losowi, że jednak się nie pobraliśmy. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym dzielić z tobą życie.

- Nie - zgodziła się. - Ja też nie. Teraz, po tylu latach, wreszcie osiągnęłaś cel. Pewnie, wiesz, że SysVal jest o krok od bankructwa?

Uśmiechnął się przebiegle. Przeszły ją ciarki. Co za pech.

- Pech dla nas obojga.

Poruszył szklanką, aż alkohol zawirował na dnie.

- Nie, nie dla mnie. Dochody z Falcona 101 wzrosną.

- Mylisz się. To także twój pech. - Na chwilę zawiesiła głos i oznajmiła miękko. - Nie mam nic do stracenia, Cal. Pociągnę cię za sobą.

W pokoju zapadła cisza przerywana tylko dźwiękami muzyki z ogrodu. Odstawił szklankę.

- Nic mi nie zrobisz.

Blefuj, podpowiadał wewnętrzny głos. Blefuj, blefuj.

- Owszem, zrobię. Pomyśl o ludziach tam, w ogrodzie. Członkowie rady nadzorczej FBT,

menedżerowie... senatorzy USA, magnaci prasowi... Ważni, wpływowi ludzie. - Zniżyła głos do szeptu i zaczęła kłamać: – Zaraz tam pójde i opowiem im pewną historię.

Jego twarz zszarzała lekko pod opalenizną.

- Susannah, ostrzegam...

- Podejdę do każdej grupki. Opowiem o jachtklubie Mendhan Hills i o człowieku nazwiskiem Edward Fiella. I o nowiutkim mercedesie, który kupił za twoje brudne pieniądze. Opowiem wszystko, co wiem.

Dumnie podniósł głowę.

- Nic mi nie udowodnisz.

- To przyjęcie, nie sala sądowa. Nie muszę niczego udowadniać.

- To oszczerstwo. Zrzuńnię cię.

- Już to zrobiłeś.

Cisza przeciągała się. Susannah potrzebowała czegoś bardziej konkretnego, jeśli nagranie ma przynieść jakiś pożytek. Cal wyjął z kieszeni idealnie czystą chusteczkę, otarł nią czoło i schował z powrotem do kieszeni. Niemal widziała, jak jego szare komórki pracują gorączkowo, szukają wyjścia z tej sytuacji. Nie wie, że jej groźby to tylko blef. Chce, żeby stanął przed sądem, najpierw jednak musi mieć dowody na taśmie. Cal musi się przyznać.

- Pomyślą, że zwariowałaś. - Pod jego okiem pulsowała mała żyłka. - Nikt ci nie uwierzy.

- Niektórzy rzeczywiście nie. Ale narobiłeś sobie mnóstwo wrogów, Cal. Wielu jest tu dzisiaj. Oni mi uwierzą.

Nagle stał się podejrzliwy.

- Dlaczego mnie ostrzegasz? Dlaczego nie poszłaś do nich od razu?

- Powiedziałam już. Chcę, żebyś cierpiał. Chcę, żebyś wiedział, co cię czeka, tak jak ja wiedziałam, co będzie dalej, i patrzyłam, jak moja firma umiera.

- Ty suko! - Wypluł te słowa.

- Tak jest, Cal. Jestem wredną suką, drugiej takiej jeszcze nie spotkałeś.

- Nie pozwolę ci.

- Nie uda ci się mnie powstrzymać.

Miał czoło mokre od potu. Znowu sięgnął po chusteczkę.

- Jak się czułeś, kiedy doprowadzałeś mnie do bankructwa? – zapytała.

- Ostrzegam... Dobrze?

- Susannah...

- Czy dzięki temu poczułeś się mężczyzną?

- Niech cię piekło pochłonie!

- Oboje wiemy że kobiety cię nie podniecają. To cię kręci bardziej?

- Ty suko! - Jego twarz wykrzywiła wściekłość. - Tak, było mi lepiej niż kiedykolwiek!

Wiesz co? Właściwie cieszę się, że wiesz. Chciałem, żebyś wiedziała, kto cię tak załatwił.

Właśnie własnoręcznie wbił sobie gwóźdź do trumny, ale nie dała po sobie znać radości.

Zacznie świętować, dopiero gdy wyjmie taśmę ze schowka.

- Ciesz się zemstą, póki możesz, Cal. - Skierowała się w stronę drzwi.

Rzucił się za nią, tak jak przewidywała.

- Nie wychodź! - wrzasnął.

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. - Chciała, żeby poszedł z nią do ogrodu, do gości. Będzie

jej towarzyszył i słuchał. Gdy się przekona, że nie spełniła swojej groźby, uzna, że stchórzyła. Kiedy tylko będzie to możliwe, wróci do biblioteki po taśmę i pojedzie do domu. Skopiuje ją i wyśle do wszystkich członków rady nadzorczej FBT.

Jej dłoń spoczywała już na klamce, gdy usłyszała za plecami głośnie, ciężkie dyszenie, jak po długim biegu. Przeszedł ją zimny dreszcz, gdy Cal położył rękę na jej ramieniu.

- Susannah...

Straciła jego dłoń, chciała się cofnąć, ale złapał ją za przegub.

- Nie możesz tego zrobić, Susannah.

Odwróciła się szybko i zobaczyła panikę w jego oczach. Przerazona chciała mu się wyrwać.

- Nie dotykaj mnie. Wzmocnił uścisk.

- Nie zrobisz tego!

Nigdy nie widziała, by Cal stracił panowanie nad sobą. Desperacja widoczna na jego twarzy przeraziła ją nie na żarty.

- Puść mnie! - Zamachnęła się na niego pięścią. Powstrzymał jej rękę w powietrzu, wykręcił tak silnie, że zaboląły ją mięśnie karku. Chciała krzyczeć, ale pchnął ją na ścianę. Przycisnął ją ciężarem swego ciała i złapał za szyję.

- Przestań! - polecił.

Wbiła mu palce w ramię i jęknęła cicho, boleśnie. Sytuację pogarszał fakt, że nie mogła złapać tchu. Kopała go i biła jak zwierzę instynktownie walczące o życie.

- Nie dopuszczę, żebyś mnie zniszczyła! - syknął z obłędem w oczach.

Opuściła głowę i z całej siły ugryzła go w ramię. Uderzył ją w skroń ze stłumionym okrzykiem. Cios ją ogłuszył. Ciężko osunęła się na ziemię. Jak przez mgłę czuła, że bierze ją na ręce.

- Nie zrobisz mi tego. - Jego słowa docierały do niej z przerwami, urywane jak sygnał radiowy z daleka. Miała wrażenie, że mówi do niej i zarazem do siebie, że układa plan na bieżąco, ciągnąc ją długim korytarzem.

- Nie pozwolę, żebyś... Wiem.. wiem, co zrobimy... Popełnisz... samobójstwo.

Szepnęła jego imię, ponieważ jednak resztkę sił, jaka jej została, wkładała w każdy kolejny oddech, nic nie słyszała. Jest silny, tak niewiarygodnie silny. Przypomniała sobie, że zawsze był bardzo dumny ze swego ciała, ćwiczył z zapalem.

- Jakie... może być ... lepsze miejsce... żeby... popełnić samobójstwo. .. niż dom dzieciństwa? -

Dyszał ciężko. - Twoja firma... zbankrutuje lada dzień... małżeństwo... się rozpadło...

Kopnęła go lekko. Cal był zbyt zaferowany, żeby to zauważyć.

- Paige mi... mówiła... że się o ciebie martwi. Wszyscy... zrozumieją...

Wydała następny stłumiony okrzyk. Wzmocnił ucisk na jej tchawicę, ona zaś wciąż próbowała narobić hałasu, choć wiedziała, że są małe szanse, żeby ktoś w ogrodzie ją usłyszał. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie jest Falcom Hill.

Przed oczami majaczyły jej drzwi do garażu. Nadal trzymając ją za szyję, Cal zdjął z haczyka przy framudze właściwy klucz. Wpiła mu się w ramię, walcząc o każdy haust powietrza, o przytomność.

Wciągnął ją do garażu i zamknął drzwi. Byli w najdalszym skrzydle domu, daleko od gości. Nad nimi znajdowała się jej dawna sypialnia, pokoje gościnne - pomieszczenia nie używane od lat. Nikt jej nie usłyszy, nawet gdyby mogła krzyczeć. Boże, błagam, modliła się, niech ktoś tu przyjdzie. Błagam.

W garażu stały dwa samochody - mercedes Paige i chevrolet pokojówki. Chevrolet był bliżej.

Ciągnął ją w jego stronę. Po drodze znalazł gdzieś parę rękawic roboczych. Po co mu rękawice,

zastanawiała się przerażona.

Puścił jej gardło. Zaniósł się kaszlem.

- Cal, nie...

Ciągnął ją do chevroleta. Przyływ strachu dodał jej sił. Zebrała resztki energii i rzuciła się na niego. Walczyła, okładając go pięściami, kopiąc i gryząc. Zaklął pod nosem. Nie zdążyła się osłonić. Ponownie ją ogłuszył. Czarny wir wciągnął ją coraz głębiej. Ktoś ją ciągnął, szturchał. Nie! Nie wejdzie do szafy! Tam jest lisi łeb. I sprzedawca baloników. Chciała walczyć, ale coś dziwnego stało się z jej rękami. Nie może ich unieść, nie może nimi poruszyć. Wszędzie dokoła są futra, duszą ją, dławi się. Kolorowe balony wirują przed oczami w upiornym tańcu. Chciała je obserwować, ale ktoś głośno dyszał jej do ucha. Ręce. Dlaczego nie może ruszać rękami?

Przed oczami majaczył jej szkarłat i błyszczące kamyki. Czowała, jak jej głowa opada w tył i znowu do przodu. Stopniowo odzyskiwała przytomność. Jest w samochodzie. Za kierownicą. To stary chevrolet pokojówki. Rozpoznała szkarłatny materiał. To szarfa przy jej sukni. Cal w rękawiczkach przywiązywał jej dłonie do kierownicy szarfą.

- Nie - jęknęła. Chciała się poruszyć, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Z nogami też coś było nie tak. Związał jej kostki.

Cal dyszał jej do ucha. Upewnił się, że szarfa trzyma się dostatecznie mocno. Starła się skupić na siwym paśmie w jego włosach. Nadgarstki pulsowały bólem, sztuczne klejnoty boleśnie wbijały się w ciało. Za mocno związał. Dlaczego ją skrępował? Mówił, że ona, Susannah, popełni samobójstwo.

- Nie rób tego... - wymamrotała z trudem.

Cofnął się, obrzucił swe dzieło uważnym spojrzeniem. Niemal czułym gestem poprawił jej włosy i wygładził sukienkę. Zadowolony z efektu zamknął okno samochodu i zatrzasnął drzwiczki.

Miała sucho w ustach, spuchnięty język przeszkadzał. Nadal nie do końca odzyskała przytomność. Mówienie przychodziło jej z trudem.

- Cal... nie rób... tego.

- Nie musiało tak być - odparł szeptem. W jego głosie słychać było żal, w oczach jednak nadal błyszczało szaleństwo. - Nie chciałem się do tego posunąć. Zmusiłaś mnie.

- Nikomu nie powiem... Obiecuję.

- Przykro mi. Naprawdę. - Sprawdził szarfę. Ręce bolały ją coraz bardziej. - Rozwiążę cię - obiecał czule. - Później.

Później. Kiedy umrze. Zanim ktoś ją znajdzie. Pomyślała, że popełniła samobójstwo.

- Nie - jęknęła.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i motor chevroleta ożył. Bezradnie obserwowała, jak zapalił silnik w mercedesie Paige. Potężna niemiecka maszyna pracowała rytmicznie. Zatrzymał się przy samochodzie, obciągnął frak. Przez chwilę scena wyglądała jak reklama w ekskluzywnym magazynie: drogi samochód, drogie ciuchy, bogaty zły mężczyzna. Krzyknęła, szarpała się z szarfą, usiłowała dosięgnąć skrzyni biegów. Osiągnęła tylko tyle, że kamyki w zbyt mocno zaciągniętych węzłach boleśnie raniły jej skórę. Podszedł do drzwi, odłożył rękawice na półkę i wyjął chusteczkę z kieszeni. Otworzył drzwi przez chusteczkę i zniknął.

Nie chciała umierać, milcząc. Krzyczała, póki starczyło jej sił. Jak długo umiera się wskutek uduszenia tlenkiem węgla? Może ktoś przyjdzie. Może ktoś ją usłyszy. Nadgarstki ani drgnęły. Z płaczem rzuciła się na kierownicę, chcąc uruchomić klakson. Daremnie. Szamocząc się, zużywała cenny tlen w zastraszającym tempie. Zobaczyła krew na szarfie i krzyknęła. To kamyki przebiły

skórę. Chciała zmienić biegi nogami, ale nie sięgała tak daleko.

Szamotała się, a silniki mruczały śmiertelną kołysankę. Wpatrywała się w rdzawe palmy krwi na szarfie i poczuła, że nie chce umierać. Kiedy zobaczą ślady na jej nadgarstkach, zrozumieją, że to nie samobójstwo. Prędzej czy później ktoś znajdzie taśmę w bibliotece. Tylko że już nie zależało jej na postawieniu Cala przed sądem.

Twarz Mitcha tańczyła jej przed oczami. Teraz, w obliczu śmierci, zrozumiała, że go kocha. Kochała go od lat, ale była mężatką, więc wmówiła sobie, że to tylko przyjaźń. Jest dobry i silny, taki jak trzeba. Nie szkodzi, że kocha jej siostrę. Z silników wydobywały się śmiertelne opary. Krew kapała z ran na nadgarstkach. Ile czasu minęło? Czyżby morzył ją sen? Błagam, Boże, tylko nie to. Nie sen. Chce mieć dziecko. Chce powiedzieć siostrze, że ją kocha. Chce spojrzeć w ciepłe oczy Yanka. Chce jeszcze raz zobaczyć Mitcha. Nie szkodzi, że nie będzie go miała, wystarczy, że zobaczy, jak jego twarz łagodnieje w uśmiechu. Proszę, Boże, pozwól mi żyć. A potem ogarnął ją spokój. Głowa opadła na piersi. Musi odpocząć. Tylko chwilę. Małą chwileczkę. Aż wróca jej siły. Wtedy usłyszała ojca. „Obudź się, skarbie. Obudź się natychmiast”. Joel stał koło niej. Wyciągał do niej ramiona złocisty i młody jak księżę z bajki. Był tam. Nie umarł. Nie nienawidził jej. Zatrzepotała powiekami.

- Tatusiu? Tatusiu, gdzie jesteś?

Przestał się uśmiechać. Był zły tak jak tamtego dnia, gdy uciekła z Samem Gamble'em. „Ręce – powiedział. - „Ruszej rękami”. Nie. Nie może. Nie ma siły. Jest zmęczona. On jednak powtarzał to w kółko. „Ręce! Ruszaj rękami!”

Więzy są zbyt ciasne, nadgarstki krwawią, chce spać. Był jednak taki zły, a przecież nie chciała go rozniewać. Spróbowała więc jeszcze raz. Zebrała resztki siły i szarpnęła się po raz ostatni. Ręce, śliskie od krwi, poruszyły się. Ból otrzeźwił ją odrobinę, gdy usiłowała zsunąć wilgotną szarfę. Świat wirował. Musi odpocząć. Na chwilę. Niech przestanie boleć. Jej palce napotkały skrzynię biegów, ale nie pamiętała już, dlaczego to takie ważne. „Obudź się – polecił Joel. – W tej chwili!” Starła się skoncentrować, przypomnieć sobie, co ma zrobić. Charcząc, wrzuciła wsteczny bieg. Zużyła ostatki energii. Nie ma siły na nic więcej. „Nogi – polecił. – Unieś nogi.” Zbyt wiele od niej wymaga. Zawsze zbyt wiele od niej wymagał. Ma takie ciężkie nogi. Nie uniesie ich. „Natychmiast!” Niezdarnie wcisnęła pedał gazu.

Silnik zaryczał. Samochód rzucił się w tył. Wyważył drzwi garażu i wypadł na podjazd. Nagły przypływ tlenu podziałał jak adrenalina. Chciwie wdychała życiodajne powietrze. Mijały minuty. Wracały jej siły, pojawił się ból w poranionych nadgarstkach.

Rozpląkała się. Cała kierownica była we krwi. Nie mogła się wyplątać z więzów. Ile czasu jej zostało, zanim Cal ją znajdzie i zobaczy, że nie dokończył dzieła? Z oddali dobiegały dźwięki muzyki. Była to najpiękniejsza melodia, jaką słyszała w życiu. Zagryzając wargi z bólu, wjechała na podjazd i ponownie nacisnęła pedał gazu.

Samochód pomknął przez trawnik. Miała skrzepowane ręce i właściwie nie mogła kierować, ale udało się jej skrócić w prawo, za róg. Po przeciwnej stronie olbrzymiego trawnika dostrzegła markizę w pasy i białe lampiony wśród drzew. Samochód zachwiał się na nierównej nawierzchni. Przez moment obawiała się, że się przewróci, ale zaraz odzyskała równowagę. Przed nią wyrósł niski żywopłot. Samochód pokonał go z jękiem silnika. Coraz wyraźniej widziała ludzi. Biegli w jej stronę. Samochód otarł się o kamienną fontannę. Zatrząsł się, ale jechał dalej. W ostatniej chwili wyminęła marmurowy posąg. Mężczyźni we frakach i kobiety w sukniach

wieczorowych obserwowali ją z przerażeniem.

Uniosła stopę, by zahamować, ale nie miała siły. Fontanna była tuż przed nią, podobnie jak goście. Rozpierzchli się w popłochu. Ze szlochem nacisnęła pedał hamulca. Pod oponami zazgrzytał żwir. Samochód okręcił się wokół własnej osi, uderzył w fontannę i stanął.

Usłyszała kobiecy krzyk, tupot nóg i męski głos:

- Przecież to Susannah Faulconer!

Ktoś otworzył drzwi od strony pasażera, zbliżył się do niej. Czyjeś dłonie dotknęły więzów i ran na nadgarstkach. Jęknęła z bólu. Głosy.

- Jest związana. Dlaczego?

- Wezwę karetkę.

- Krwawi.

- Nie ruszajcie jej, nie wolno jej ruszać.

Ktoś jednak uwolnił ją z więzów, wziął w ramiona. Mitch. To Mitch przybył jej na pomoc. Uniosła powieki. Chciała mu podziękować, powiedzieć, że go kocha. I wtedy zobaczyła siwe pasmo.

- Nic nie mów - Cal przytulił ją do siebie. - Ani słowa. - Głośniej powiedział: - Zabiorę ją do domu.

Jest w szoku.

Susannah chciała krzyczeć, ale była w półprzytomna. Cal poruszał się coraz szybciej. Lampiony migwały bielą. Chciała krzyczeć, zdołała jednak tylko wyszeptać: Paige... U jej boku pojawiła się różowa plama i obłok jasnych włosów.

- Jestem, Suzie. Nic nie mów, skarbie. Nic nie mów.

- Nie pozwól mu... - Susannah z trudem składała sylaby. Cal wbił jej palce w żebra. - Nie pozwól mu zabrać mnie... do domu... - wystękała.

Paige głaskała ją po głowie.

- Komu, kochanie? Już dobrze.

- Jest w szoku. - Cal przyspieszył kroku. Był tuż przy domu, wchodził na taras. - Wracaj do gości, sprawdź, czy nikt nie jest ranny.

- Nie pozwól mu... chciał... zabić....

- O co jej chodzi, Cal? - Siostra dotknęła jej ramienia. - Suzie, nie rozumiem.

- Histeryzuje, Paige.

- Co się stało, skarbie? - szepnęła Paige. - Zaopiekuję się tobą. Susannah powiedziała to w końcu.

- Chciał mnie zabić.

- Nie słuchaj jej...

Paige nie dała mu skończyć.

- Chwileczkę, Cal. Nie zatrzymał się.

- Jest ranna. Muszę wnieść ją do środka. Idź do gości.

- Stój!

Paige rzuciła się na niego – lwica broniąca małych.

U jej boku pojawili się inni. Cal puścił Susannah. Paige ułożyła ją na leżaku. Świat powoli wrócił na miejsce.

Dokoła niej zebrał się tłum. W oddali widziała stoliki nakryte obrusami z różowego lnu. Sokoły wyrzeźbione w lodzie rozpościerały skrzydła, gotowe do lotu. U boku Cala stała przerażona, zagubiona Nicole Theroux. Cal rozglądał się nerwowo, czując na sobie spojrzenia wszystkich. Chciał odejść, ale nikt się nie ruszył. Susannah rozpoznała wielu pracowników FBT, członków



zarządu i ich żony - większość była także na ich nieszczęsnym ślubie.

Paige delikatnie trzymała ją za ręce i kazała leżeć spokojnie. Tylko że ale nie ma na to czasu.

Susannah zwróciła się do Paula Clemensa, przyjaciela ojca:

Paul... - Miała cichy, zmęczony głos starej kobiety. - W bibliotece. Dyktafon.... –

Powiedziała, gdzie go ukryła. Bardzo ją to zmęczyło.

Cal rzucił się do drzwi.

- Ani kroku - polecił Paul lodowato.

Zebrani mężczyźni przywykli do wykonywania rozkazów. Bez słowa zacieśnili krąg. Cal patrzył nieprzytomnym wzrokiem. Nie rozumiał, jak to możliwe, że jego świat wali się w gruzy. Nim do niego podeszli, rzucił się w krzaki.

Pobiegli z nim, ale Cal uciekał gnany strachem i nie dogonili go.

Paul wrócił z dyktafonem. Nikt się nie odzywał. Susannah wzięła siostrę za rękę, gdy padły pierwsze słowa z kasety.

Przyjechał lekarz i policja. Paige ułożyła Susannah w starym łóżu Joela, z czułością dotknęła zabandażowanych przegubów. Lekarz dał Susannah środek uspokajający, ale chciała powiedzieć coś siostrze, zanim odpłynie w nieświadomość.

- Widziałam go.

Paige odsunęła jej wilgotne włosy z czoła.

- Kogo?

- Tatusia. - Susannah miała łzy w oczach. - Przyszedł do mnie, kiedy umierałam. Paige, on do mnie przyszedł.

Paige pogłaskała ją po głowie. - Śpij już, Suzie. Śpij.

## Rozdział trzydziesty drugi

Z Paige zajęła się nią troskliwie. Susannah zacisnęła powieki i modliła się, żeby ten, kto tak hałasuje na korytarzu, już sobie poszedł. Dostała bardzo silny środek uspokajający, dlatego dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że to Mitch. Przez okno wpadały szare smugi. Dlaczego odwiedza ją tak wcześnie?

- Jak mogła postąpić tak głupio? - O świcie jego głos brzmiał bardzo donośnie.

- Mówię poważnie, Paige. Zabiję ją, kiedy się tylko obudzi.

- Ćśś – syknęła jej siostra. - Zachowujesz się jak wariat. Yank, każ mu siedzieć cicho.

Po gniewnych okrzykach Mitcha szept Yanka był jak kojąca bryza. Susannah ponownie odpłynęła w sen.

Obudziła się dużo później, światło słoneczne zalewało pokój. Mimo bólu mięśni odczuwała dziwną radość. Oto nowy dzień, a ona żyje. Materac ugiął się pod czyimś ciężarem. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że pochyla się nad nią Yank. Był zmęczony, nieogolony, w wygniecionym ubraniu. Na widok jego kochanej twarzy coś w niej pękło. Och, Yank...

Mitch właśnie położył rękę na klamce, gdy usłyszał jęk Susannah. Miał przekrwione oczy i zmierzwił włosy. Czuwał u jej boku przez całą noc, odszedł tylko na chwilę, by pomóc Paige uporać się z wyjątkowo natarczywym dziennikarzem. Gwałtownie otworzył drzwi, nie wiadomo, dlaczego przekonany, że jej cichy jęk to przedśmiertne majaki. Nie powinien był odchodzić, nawet na chwilę. Nie dopilnował jej i teraz Susannah umrze.

Wpadł do pokoju jak burza. Stopniowo docierało do niego, co widzi. Susannah tuliła się do Yanka, jakby był jedynym mężczyzną na świecie. Mitch poczuł się, jakby ktoś zadał mu cios w splot słoneczny. Yank podniósł głowę i uśmiechnął się delikatnie.

- Obudziła się.

- Wiem. - Mitch czuł, że głos mu się łamie ze wzruszenia. - Widzę. Susannah znieruchomiała. Yank ostrożnie ułożył ją na łóżku. Odwróciła się do Mitcha.

- Cześć, Susannah - powiedział najspokojniej, jak umiał, żeby jej nie denerwować. Wyciągnęła do niego rękę.

- Mitch.

Podszedł do niej, ujął jej dłoń, ich palce splotły się. Widząc bandażę na nadgarstkach, myślał, że się rozpłacze.

- Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę - szepnęła. Uścisnął jej dłoń, zamknął oczy. - Nigdy więcej nie będziesz się bawiła w detektywa, skarbie. Obiecuj mi to. Paige wkroczyła do sypialni na czele pochodu składającego się z kucharki i pokojówki. Wszystkie trzy niosły tace pełne jedzenia.

- Policja zatrzymała Cala godzinę temu na prywatnym lotnisku. W ogrodzie koczują tłumy dziennikarzy. Ani słowa, teraz wszyscy będziemy jeść.

Nie mieli apetytu, ale kiedy Paige wpadła w opiekuńczy trans, nie sposób było się jej sprzeciwić. Skutki skandalu nie dały na siebie długo czekać. Specjaliści od public relations w FBT zwijali się jak w ukropie, a Susannah okrzyknięto Joanną d'Arc Doliny Krzemowej. Nie minął nawet miesiąc, a jej twarz znalazła na okładkach trzech tygodników. Występowała w najpopularniejszych talkshow i ze wszystkich starć wychodziła obronną ręką. Kto nie kupiłby komputera od takiej kobiety?

Każdy by kupił. Rozgłos zaowocował falą zamówień na Blaze III. SysVal zwiększyło zatrudnienie do poprzedniego poziomu, żeby sprostać powodzi zamówień. Tymczasem FBT robiło, co mogło, żeby zmyć plamę ze swego honoru. Fakt, że były prezes siedział za kratkami i czekał na proces pod zarzutem usiłowania morderstwa i sabotażu przemysłowego, bynajmniej nie wpłynął pozytywnie na wizerunek firmy. Ceny akcji spadały na łeb, na szyję. Stan Kalifornia zerwał umowę z FBT i zdecydował się jednak na Blaze III. Do SysVal napłynęły pieniądze od nowych inwestorów, a także pierwsza rata ogromnego odszkodowania od FBT.

Był już wieczór, mimo to na parkingu SysVal stało jeszcze wiele samochodów, gdy Sam skręcił przed budynek. Wyłączył silnik i kilka minut siedział bez ruchu. Upłynęło sześć tygodni, odkąd Theroux usiłował zamordować Susannah. Sam trzymał się z dala od SysVal, póki media śledziły całą sprawę, czas jednak nagiął i musiał wykonać swój ruch. Od wiosny każdą chwilę poświęcał na tworzenie nowej firmy. Pomysł był wspaniały, nie mieściło mu się w głowie, że nie wpadł na to wcześniej. Pewnego wieczoru stał w restauracji z kartą kredytową w dłoni i wtedy nadeszło olśnienie. Patrzył na kawałek plastiku i czuł, że w jego głowie eksploduje nowy genialny pomysł: a gdyby tak umieścić w karcie mikrochipy?

O Boże... Mało brakowało, a rozplakałby się, takie mu się to wydało wspaniałe. Sposób załatwiania interesów zmieniłby się diametralnie. W jego głowie nowe pomysły migają jak lasery na koncercie rockowym. Elektroniczna karta kredytowa ułatwiłaby transakcje handlowe, można by za jej pomocą korzystać z telefonu, parkometru, automatów z napojami.

... Na takiej karcie można by zapisać całą historię finansową jej posiadacza, historię jego chorób, historię jego pieprzonego życia. Karta byłaby kluczem do drzwi i do samochodu, identyfikatorem... Kręciło mu się w głowie. Jezus, Maria... Inwestorzy pchali się do niego drzwiami i oknami.

Pieniądze nie stanowiły problemu, za to ludzie - owszem. Wyruszył na łowy. Namówił kilku zdolnych programistów zwolnionych z SysVal, podkradł młode talenty Billowi Gatesowi z Microsoftu, podkupił menedżera z Intelu. Oczarował młodego specjalistę od marketingu z Apple. Dolina Krzemowa aż się roiała od młodych i zdolnych, a Sam wybrał najlepszych. W lecie miał pieniądze i ludzi. Potrzebny był mu tylko Yank.

Wsunął kluczyki do kieszeni. Idąc do drzwi wejściowych, rozmyślał o tym, jak szczęście po raz kolejny uśmiechnęło się do jego byłych współpracowników. Właściwie co tydzień czytał o nich w gazetach. Starał się nie zwracać uwagi na fakt, że prasa przedstawiała go jako łajdaka i czarny charakter, bo wycofał się, gdy firma wpadła w tarapaty. Ponieważ sprzedawał swoje udziały po zaniżonej cenie, stracił na tym interesie miliony dolarów, ale to akurat mu nie przeszkadzało. I tak zarobił fortunę. Pieniądze się nie liczą. Liczy się wizja. SysVal stało się stare i zbyt szacowne. Potrzebuje nowego wyzwania, nowej przygody. Lubi zaczynać, nie kończyć.

Niektórzy po prostu nie umieją pracować w zwykłych firmach i on należy do tej grupy. Boże, jak dobrze, że się z tego wyrwał. Czuł przyspieszone bicie serca. Musi jednak odzyskać Yanka. Nie wyobrażał sobie przyszłości bez geniuszu Yanka. Zdawał sobie sprawę, że póki SysVal znajduje się na pierwszych stronach gazet i na ustach wszystkich, musi się trzymać z daleka, wkrótce jednak szum ucichnie i wtedy przeprowadzi swój plan. Yank oszaleje z radości, kiedy się dowie, nad czym Sam teraz pracuje. Jeśli będzie pewien, że SysVal nic nie grozi, Sam bez trudu przekona go do swojej nowej firmy. Tylko że Yank nie był jedynym, którego chciał przekonać. Przed drzwiami nerwowo przeczesał włosy palcami. Niedługo uprawomocni się ich rozwód. Musi się pospieszyć.

Serce biło mu coraz szybciej. Boże, najbardziej na świecie kocha wyzwania, a to będzie największe ze wszystkich. Jak to kiedyś powiedziała Susannah – potrafi sprawić, że rozsądni ludzie podejmują szalone decyzje. Teraz musi ją przekonać, że się ustatkował. Życie znowu nabrało barw. Nie musi już niczego sobie udowadniać, sypiając z innymi, i wreszcie dojrzał do ojcostwa. To jego asy w rękawie.

Może to i dobrze, że spędzili trochę czasu z dala od siebie, bo dopiero teraz zrozumiał, ile Susannah dla niego znaczy. Nim go rzuciła, był znudzony i zdenerwowany i uważał, że to jej wina. Zapominał, jaka jest mądra, jaka słodka. Odkąd odeszła, miał wrażenie, że zabrała ze sobą część jego samego. Splawiała go, gdy próbował porozmawiać z nią przez telefon, więc postanowił dotrzeć do niej przez Yanka. Wpadnie do niego do pracy, niby przypadkiem. Zresztą i tak musi go przycisnąć. Tym sposobem upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu.

Bez trudu wszedł do budynku, strażnicy go nie zatrzymywali. Dochodziła siódma wieczorem, a na korytarzach wciąż uwijało się sporo ludzi. Przybił piątkę z dawnymi współpracownikami, zanim odszukał Yanka. Ktoś powiedział, że je kolację. Skręcał w stronę małej kuchenki na tyłach budynku, gdy głośniki zahuczały mu nad głową:

- Uwaga, uwaga. Proszę odebrać trzydzieści sześć porcji pizzy i koktajli mlecznych z recepcji!

Wbił dłonie w kieszenie. Jak dobrze jest wrócić. Zaraz jednak wyśmiał tani sentymentalizm. Przecież to kłody rzucane pod nogi postępu! Już z daleka zobaczył Susannah i Yanka przy małym stoliku z jasnego drewna. Między nimi stał wielki kosz piknikowy. Kurczę, jaka sielanka. Odkąd Susannah go rzuciła, martwił się uczuciami Yanka do niej. Przed laty Yank się w niej kochał, ale Sam nigdy nie traktował tego poważnie. Kiedyś nawet podniecało go, że Yank w taki sposób patrzy na jego dziewczynę. Teraz gryzły go obawy, że może potraktował to zbyt lekko.

Susannah parsknęła śmiechem. Yank uśmiechnął się lekko. Miał taką minę, jakby chciał ją schrupać,

zupełnie jak kurczaka z talerza. Właściwie odkąd Yank ma czas, żeby jeść kolację? Susannah zobaczyła Sama pierwsza. Jej uśmiech znikł. Zabolalo, że go nie wita. Jezu, przecież nadal jej pragnie. Stanowi część niego samego, do licha.

- Sam. - Yank odłożył widelec, wstał, wyciągnął rękę. Sam uściśnął dłoń i wyczuł w Yanku jakąś ostrożność, napięcie. Było to niemal równie przykre jak chłodna reakcja Susannah.

Usłyszał hałas za plecami i zorientował się, że nie są sami. Paige, siostra Susannah, mocowała się z korkiem w butelce wina. Widział ją tylko raz, tamtej nocy, gdy Susannah złapała go na gorącym uczynku z Mindy. Od razu widać, że to suka.

- Ho, ho, ho. W spodniach prawdziwy z ciebie przystojniaczek. - Obrzuciła go kpiącym spojrzeniem. Najchętniej uderzyłby ją z całej siły.

Susannah nie skarciła siostry za głupią uwagę i to wkurzyło go naprawdę. I przestraszyło. A co, jeśli jej nie odzyska?

- Siadaj, Sam - zaproponowała. - Chyba znajdzie się jeszcze kawałek pysznego kurczaka Paige.

Usiadł, ale podziękował za jedzenie. Susannah sięgnęła po serwetkę i zobaczył blade blizny na jej nadgarstkach. Na myśl o tym, co musiała przejść tamtego wieczoru, gdy ten sukinsyn Theroux chciał ją zabić, ogarnął go gniew. I coś jeszcze. Pewnie jakieś głupie poczucie winy.

Yank zapytał uprzejmie, co Sam ostatnio porabia, opowiedział mu więc o nowej firmie. Nie minęło kilka minut, a zdjął marynarkę i przechadzał się po kuchni. Wymachiwał rękami i mówił, mówił, mówił.

Alleluja, bracie! Wędrowny kaznodzieja znowu wyruszył w trasę! Susannah obserwowała go ze znużoną miną, Yank za to chłonał chciwie każde słowo. Gdy Sam skończył, zauważył nieobecne, zamglone oczy starego przyjaciela, wyczuł jego podniecenie na myśl o nowym wyzwaniu – sprawić, by cieniutki kawałek plastiku umożliwił komunikację ze światem.

Nawet Paige zapomniała o minie pełnej wyższości. Odstawiła kieliszek wina i przyglądała mu się, jakby się urwał z choinki. Reakcja Yanka nie uszła uwagi Susannah. Zaatakowała Sama:

- Czego chcesz? Dlaczego przyszedłeś?

Zapominał, jaka potrafi być ostra, i zbyt późno zorientował się, że popełnił błąd, rozmawiając z Yankiem w jej obecności. Chciał tylko zasiać w nim ziarno zainteresowania, a nie porywać go sprzed jej nosa. Boże, ale się wkurzyła. Na myśl o awanturze poczuł przyływ adrenaliny. Nie ma to jak porządna walka. Otacza go zbyt wielu potulnych klakierów, za mało wojowników jak Suzie. Lubi jasne sytuacje, więc właściwie czemu nie? Niech wie, czego chce. Wtedy przynajmniej nie będzie mogła mu zarzucić, że działał za jej plecami.

- A jak myślisz? - odparł. Odwrócił ostatnie wolne krzesło przy stoliku i usiadł na nim okrakiem.

- Czekam, aż mi powiesz.

- Chcę wszystkiego, co najlepsze, skarbie. Jak zawsze.

- Nie dostaniesz go.

- Yank to duży chłopiec. Sam zdecyduje.

- Już to zrobił. Zostanie tutaj.

- SysVal jest stare i nudne. Yank lubi wyzwania.

Paige wodziła wzrokiem od siostry do Sama, jakby odbijali piłeczkę tenisową. Yank intensywnie się nad czymś zastanawiał. Susannah odłożyła serwetkę.

- Słyszałam, że podkupujesz ludzi. Myślałam, że zostało ci tyle przyzwoitości, żeby nie tknąć Yanka. Sam zwrócił się do Yanka.

- Nadal pozwalasz, żeby inni mówili za ciebie? Yank popatrzył na niego spokojnie.

- Nie tylko na mnie ci zależy, prawda, Sam? Po raz pierwszy Sam unikał odpowiedzi. O co ci chodzi?

- Susannah przeszła wystarczająco dużo - odparł Yank. - Kiedy wreszcie dasz jej spokój? Sam oparł się na krześle, za wszelką cenę starał się przybrać nonszalancką pozę.

- Nie mam zamiaru jej zatrudniać. Wiem, że nie odejdzie z Sys-Val.

- Nie tego od niej chcesz, prawda? Nie chcesz, żeby dla ciebie pracowała, tylko żeby do ciebie wróciła, żeby znowu była twoją żoną, twoim amuletem.

Susannah odepchnęła do siebie talerz, zerwała się na równe nogi.

- Wyjdź stąd, Sam. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Sam jednak jej nie słyszał. Całą uwagę skupił na Yanku. Yanku-dziwaku, Yanku-geniuszu. Yanku, który nosił skarpetki nie do pary i zapominał o swoich dziewczynach. Jak to możliwe, że Yank się ludzi, że ma szansę u Susannah? Sam uśmiechnął się krzywo. Chciał zranić oboje.

- Jeśli myślisz, że ucieknę z podkulonym ogonem i zostawię ci wolną rękę, jesteś w błędzie, kolego. Wystarczy jedna noc i wróci do mnie. Może nie, Suzie? Susannah zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

- Wynoś się stąd. W tej chwili.

- Obawiam się, że musimy położyć temu kres - oznajmił nagle Yank. - Susannah, musimy położyć kres złudzeniom Sama. Ma obsesję na twoim punkcie. Tak dalej być nie może.

- Za kilka dni rozwód się uprawomocni - warknęła. - Może wtedy przestanie.

- Kawałek papieru nic nie znaczy! - Sam przewrócił krzesło, tak energicznie zerwał się z miejsca. - Proszę bardzo, miej rozwód! Tysiące rozwodów! Nic mnie to nie obchodzi! Ślub jest nieistotny, rozwód też nie! Chcę, żebyś do mnie wróciła. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Tylko to się liczy.

Susannah uderzyła pięścią w stół.

- Dostyc tego! Wynoś się!

- On cię nie słyszy, Susannah - zauważył Yank. - Nie chce cię słyszeć. Sam nie rozumie znaczenia słowa „rozwód”. Rozumie za to, że umów trzeba dotrzymywać, prawda, Sam? - Yank od niechcenia bujał się na krześle.

Paige patrzyła na tę scenę szeroko otwartymi oczami.

- Dom wariatów.

Yank wpatrywał się w przestrzeń, nagle zaproponował:

- Co powiesz na pojedynek? Sam stał się czujny:

- Pojedynek?

- Ty i ja. Zwycięzca bierze Susannah. Przegrany na zawsze usuwa się w cień.

- Czyś ty oszalał? - krzyknęła Susannah. - Czy wyście obaj zwariowali? Sam parsknął śmiechem.

- Chwileczkę. Żeby wszystko było jasne. Pojedynek? Między nami? Jeśli przegrasz, na zawsze dasz jej spokój?

Yank powoli kiwał głową.

- A jeśli ty przegrasz, ty dasz jej spokój.

Susannah wydała zdławiony okrzyk, ale mężczyźni nie zwracali na nią uwagi. Sam już spacerował, już uściślał niejasności.

- Nie możesz trzymać się od niej z daleka, pracując z nią. A to znaczy, że będziesz musiał poszukać innej pracy.

- Tak. Dobrze. Nie sprzedam udziałów, ale poszukam innej pracy. Susannah jęknęła. Sam wyczuł okazję.

- U mnie.

- To nie ma nic do rzeczy. Chodzi o Susannah.

- Nie jestem nagrodą! - zaprotestowała. Sam nie zwracał na nią uwagi.

- Uściślijmy, co miałeś na myśli, mówiąc, że zwycięzca bierze Susannah. Co to znaczy?

- Powiedziałeś, że wróciłaby do ciebie po jednej nocy - przypomniał Yank. - Susannah spędzi noc ze zwycięzcą. W porządku?

- Nie zgadzam się - krzyknęła Susannah. - Yank, jak możesz! Yank spojrzał na nią poważnie.

- Taka jest umowa, Susannah. Rozumiesz?

Ogarnęła ją rozpacz. Yank jest taki poważny, taki zdecydowany. Bała się go w takich chwilach.

Kocha go, tak, ale go nie pragnie i nie pójdzie z nim do łóżka.

- Nie! Nie rozumiem!

Yank zwrócił się do Sama, który zatrzymał się przy drzwiach.

- Susannah spędzi noc ze zwycięzcą. A przegrany da jej spokój. Sam uśmiechnął się szeroko. Kolejne wyzwanie. Kolejna przeszkoda do pokonania.

- Tak. Dobra. To mi się podoba. Jaki pojedynek?

Yank popatrzył na Sama, jakby w życiu nie widział głupszego człowieka.

- Jak to? Na gry wideo.

- Słucham? - wrzasnęła Susannah.

- O mój Boże - roześmiał się Sam. Oparł się o framugę. - Zagramy o nią? Jezu, to mi się podoba.

Ostatni piraci XX wieku grają o kobietę. W co?

Po raz pierwszy Yank się zawahał.

- Wybieraj.

Ledwie padły te słowa, Susannah wiedziała, co będzie dalej. Powtarzała sobie, że to bez znaczenia.

Bez znaczenia. I tak nie podporządkuje się ich głupim zasadom. Mimo podbiegła do Yanka.

- Nie, nie, Yank! Sam wybierze...

- Zwycięzcy - oznajmił Sam. - Wybieram Zwycięzców.

O Boże... Opadła na krzesło. Oszaleli. Obaj oszaleli. A ona razem z nimi, skoro siedzi tu i tego słucha. Co ją obchodzi, jaką grę wybierze Sam? Dlaczego żołądek podszedł jej do gardła? Sam może wygrywać z Yankiem w Zwycięzców w nieskończoność, ona i tak nie pójdzie z nim do łóżka. Gra jest bez sensu. To, co mówi Sam, jest bez znaczenia. Ale o co chodzi Yankowi? Nie dosyć przeszła ostatnio? W co tym razem ją pakuje?

Paige nie mogła wyjść się ze zdumienia.

Mężczyźni skierowali się do drzwi. Sam tryskał energią, Yank jak zwykle szedł spokojnie. Konsola

Zwycięzców zachowała się w jednym z magazynów. W dzisiejszych czasach była to gra-dinozaur.

Grafika była zbyt prosta, dźwięk prymitywny. Ale to klasyka - jak Pacman czy Space Invaders.

Zwycięzcy to klasyka. A Yank Yankowski nie grał w to ani razu.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Mężczyźni wtaszczyli ciężką konsolę do pustego gabinetu koło magazynu, włączyli do kontaktu, sprawdzili, czy wszystko dzia-ła. Gdy Paige weszła do niewielkiego pomieszczenia, przekonała się,

że Susannah już tam jest. Stała jak najdalej od mężczyzn. Była przejęta, jakby naprawdę mieli zdecydować o jej przyszłości.

Podobno z miłości się nie umiera, lecz patrząc to na siostrę, to na Yanka, Paige wcale nie była tego taka pewna. Czuła, że umiera. A ponieważ kocha oboje, musi to ukryć. Być może wynik tego dziwnego pojedynku nie wpłynie na jej życie, ale samo to, że miał miejsce, sprawiało, że marzenia Paige legły w gruzach.

Od prawie sześciu tygodni – od tamtej nocy, gdy Susannah cudem uniknęła śmierci – Paige modliła się, żeby przeszła jej miłość do Yanka Yankowskiego, ale ilekroć go widziała, serce trzepotało jej w piersi. Była szczęśliwa, przebywając z nim w tym samym pomieszczeniu, oddychając tym samym powietrzem, patrząc w jego ciepłe oczy. Chciała spędzić z nim całe życie. Urodzić mu dzieci, prać jego ubrania, opiekować się nim, gdyby zachorował. Chciała zestarzeć się z nim u boku i móc kiedyś siedzieć w fotelu bujanym i trzymać go za rękę.

Chciała z nim umrzeć i spocząć w jednym grobie. Chciała uwierzyć w życie wieczne, żeby ich dusze na zawsze pozostały razem. Tylko przy nim odzyskiwała spokój. A teraz musi się pogodzić z tym, że nie będzie go miała, bez względu na wynik tego głupiego pojedynku. Yank pragnie jej siostry i Paige musi zejść im z drogi. Nigdy nie zapomni, jak bardzo się bała, że Susannah umrze, a zaufanie, którym tak długo darzyła Cala Theroux, ciążyło jej ogromnie. Tamtej nocy Susannah stała się jej jeszcze bliższa. Bliższa im wszystkim, uświadomiła sobie. Yank pilnował jej jak pies. Mitch wodził za nią udreńczonym wzrokiem. Biedny Mitch. Spowaźniał jeszcze bardziej. Nie uśmiechał się już prawie w ogóle.

Nie odwiedzał ich. Właściwie tylko pracował. Susannah powitała siostrę bladym uśmiechem.

- Myślałam, że poszłaś do domu.

- Nie, jestem.

- To szaleństwo, prawda? Obaj zwariowali.

- Więc dlaczego się przyglądasz?

- Yank... Nie wiem, czemu to robi.

- Bo cię kocha - Paige z trudem wypowiedziała te słowa. Susannah pokręciła przecząco głową.

- To nieprawda. I wie, że Sam wygra. Dlaczego pcha mnie z powrotem w jego ramiona?

Nie chcę, Paige. Nie obchodzi mnie, co Yank robi ani co powie. Tym razem nie postawi na swoim. Nie wrócę do Sama.

Paige tylko kiwała głową. Pewnie. Która kobieta wolałaby takiego ogiera jak Sam Gamble od cudownego Yanka?

Gra piszcziała radośnie. Sam rozpiął mankiety, zakasał rękawy białej koszuli.

- Może partyjkę na rozgrzewkę, kolego? Żebyś potem nie mówił, że nie dałem ci szansy.

Yank z niesmakiem spojrzał na ekran.

- Nie, Sam. Nie lubię tej gry. Sam poklepał go po plecach.

- No to pech, bracie. To był twój pomysł.

Zwycięzcy byli swego czasu najbardziej rozbudowaną grą. Była to historia wojskowości w pigułce, od czasów epoki kamienia łupanego do ery atomowej. Na pierwszej planszy jaskiniowcy w skórach ciskali kamieniami w zwierzęta i chowali się przed błyskawicami. Na kolejnych używali strzał, później strzelb i ukrywali się przed ostrzałem przeciwnika. Ostatnia plansza przedstawiała panoramę miasta w nocy. Gracz sterował bombowcem – zrzucał bomby na małe cele i unikał rakiet wycelowanych w jego samolocik. Na końcu, jeśli przeszedł wszystkie plansze, pojawiał się grzyb

atomowy i napis:

GRATULACJE. UDAŁO CI SIĘ CAŁKOWICIE ZNISZCZYĆ CYWILIZACJĘ. CO TERAZ?

Ten napis wszystkich zwał z nóg. Sam w przeciwieństwie do Yanka nie miał żadnych oporów przed rozegraniem próbnej partii. Gdy stanął przed konsolą w rozchełstanej koszuli, bez krawata, Susannah przypomniała sobie niezliczone wieczory w Mom & Pop's. Mom & Pop's przekształciło się w wegetariańską restaurację o nazwie Radosne Kiełki. Nie byli tam od lat.

- No dobra, jestem gotów - oznajmił Sam. - Kto ma więcej punktów, wygrywa. Rzucamy monetą, kto zaczyna?

- Możesz ty - odparł Yank posępnie. - Jesteś gotów, więc graj. Sam gimnastykował palce jak pianista przed koncertem. Uśmiechnął się do Susannah zawadiacko i pochylił się nad konsolą.

- No, skarbie, tylko mnie nie zawieź.

Paige nie mogła się powstrzymać. Podeszła bliżej, żeby lepiej widzieć. Susannah była pewna, że Sam wygra. Może to coś zmieni w uczuciach Yanka. Może zapomni o Susannah i zwróci uwagę na jej siostrę. Może się pobiorą i zamieszkają w Falcon Hill... A na ich ślubie krowy wzbijają się w powietrze w charakterze gołąbków.

Sam Gamble był doskonałym graczem, musiała to przyznać. Skupił się na ekranie, tak że chyba nic nie było go w stanie rozproszyć. Kosmyk czarnych włosów opadł mu na czoło. Pierwsze trzy plansze pokonał z wprawą mistrza. Konsola piszczała coraz bardziej. Doszedł do ostatniej planszy. Mięśnie rąk grały pod skórą, gdy sterował samolocikiem. Rakiety wyły, bomby wybuchały. Poczzerwieniał z emocji.

Wydał zwycięski okrzyk. Pojawił się grzyb atomowy i napis. Sam zdobył 45 300 punktów na 50 000 możliwych.

Uśmiechnął się do Yanka tryumfalnie.

- W dawnych dobrych czasach dochodziłem do 48 000, ale nie mogę narzekać.

I wtedy Paige zobaczyła, jak omiół spojrzeniem ciało siostry. Nie było to obrzydliwe, nie. Paige widziała, że na swój sposób zależy mu na Susannah. Mimo to jego zaborczość przyprawiła ją o dreszcze. Tylko ktoś skupiony wyłącznie na sobie może sobie pozwolić na taką bezczelność. Okropny facet do kochania. Yank podszedł do konsoli z bardzo nieszczęśliwą miną. Westchnął, spojrzał na ekran. Przez chwilę nie robił nic. Odwrócił się do nich, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Zacisnął usta, skupił się na konsoli i wcisnął klawisz. Cudowny. Jak cudownie patrzeć na niego, gdy pracuje.

Był rozluźniony, ale skupiony. Każdy ruch był przemyślany. Niczego nie robił spontanicznie. Pokonywał plansze jedną po drugiej. Każdy pocisk trafiał do celu. Strzały świstały, kule przecinały powietrze. Zrzucał bomby ze śmiertelnością precyzją, unikał rakiet, nim zdążyły się zbliżyć. Wydawało się, że widzi przyszłość, że uprzedza bieg wydarzeń. Żadnych przypadkowych ruchów. Był wszechwiedzący, wszechmocny. Taka doskonałość nie jest ludzka, lecz boska. Tylko Stwórca może tak grać. Pięćdziesiąt tysięcy.

Pięćdziesiąt tysięcy punktów.

- Ty draniu - powiedział Sam. - Ty draniu, ty draniu... - powtarzał w kółko.

- Jest moja, Sam. - Yank wydawał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przed grą. - Zawarliśmy umowę i musisz jej dotrzymać.

Sam patrzył w podłogę. Mijały sekundy. Podniósł wzrok na Susannah.

- Chcesz tego?



- Umowa to umowa - szepnęła.

Paige czuła, jak wzbiera w niej przeraźliwy, rozpaczliwy szloch. Nie oddychała z obawy, że rozplacze się na głos. Musi ukryć rozpacz i dać jej upust, gdy będzie sama, z dala od nich. Musi okazać wielkoduszność i życzyć jak najlepiej dwóm osobom, które tak bardzo kochała. A potem na zawsze usunie się z ich życia, bo nie zniesie widoku ich szczęścia.

- Kocham cię, Suzie - wyznał Sam ochryple, desperacko. Powoli, smutno Susannah pokręciła głową. I wtedy Sam zrozumiał. Poczul to głęboko, w żołądku. Wreszcie do niego dotarło, że naprawdę ją utracił. Żadna przemowa, żadna kampania - choćby najbardziej szalona, śmiała, agresywna - nie zwróci mu jej. Po raz pierwszy w życiu pokonała go czyjaś wola. I wtedy w ciemności dostrzegł błysk czegoś groźnego, brzydkiego. Dostrzegł błysk czegoś, co Susannah chciała mu kiedyś powiedzieć - że wizja to nie wszystko. Wizja nie wypełni samotności, nie zatrzyma młodości. Istnieje pewien rodzaj miłości, do którego on, Sam, nie jest zdolny. Susannah tak, on nie. I ponieważ nie umiał jej kochać w ten właśnie sposób, odeszła.

Zamrugął szybko. Włożył marynarkę. Niech ją szlag trafi. Nie potrzebuje jej. Nie potrzebuje nikogo. Ma głowę pełną wspaniałych pomysłów. To mu wystarczy. Postawił kołnierz marynarki i spojrzał na Yanka.

- To twoja gra, prawda? Yank potwierdził powoli.

- Ostatnia. Zaraz potem kazałeś mi odejść z Atari.

- Dlaczego nam nie powiedziałaś?

- Wszyscy się nią zachwycaliście. Wstydzilem się. Miałem zamiar wam powiedzieć, ale czekałem z tym za długo i potem nie było odpowiedniej okazji. Sam mógł zaprotestować, uznać to za zagranie nie fair, ale Yank to geniusz i należy mu się szacunek.

- To dobra gra, Yank - stwierdził cicho. - Naprawdę dobra gra. Odwrócił się, podszedł do drzwi.

I zderzył się z Mitchellem Blaine'em.

Mitch wpadł do gabinetu jak burza. Był zdyszany, niebieska koszula przywarła do szerokiej piersi. W błękitnych oczach płonął lodowaty płomień. Nigdy go nie widzieli w takim stanie.

Co tu się, do cholery, dzieje? - zagrzmiął.

Nogi Paige same niosły ją ku niemu przez cały gabinet. Przywarła do Mitcha z całej siły. Porządny, silny Mitch. Równie dobry jak tatuś. Jedyne normalny w świecie wariatów. Zadzwoiła po niego, gdy tylko zrozumiała, że naprawdę będą grać, ale nie zdążył.

- Za późno - powiedziała. - Już po wszystkim.

Mitch objął ją i przytulił. Był silny i opiekuńczy, taki powinien być ojciec. Najchętniej zostałyby w jego ramionach i wypłakała wszystkie żale.

- Czekam na wyjaśnienia i to szybko - syknął. - Susannah, powiedz, co się tu dzieje. Wzruszyła ramionami z nonszalancją niezwykłej prezes SysVal, kobiety gotowej na wszystko. Jednak widząc siostrę w ramionach Mitcha, nie mogła powstrzymać drżenia ust.

- Yank mnie wygrał.

Mitch spojrzał na Yanka. Przeszył go lodowatym wzrokiem, śmiertelnościami jak rakiety w Zwycięzcach.

- Co to ma znaczyć?

- To proste, Mitch - wytłumaczył Yank. - Sam nie chciał przyjąć do wiadomości, że Susannah do niego nie wróci, więc zagraliśmy o nią. Zwycięzca idzie z nią do łóżka. Gdzieś w ciele Mitcha wciąż drzemał najlepszy gracz Uniwersytetu Ohio. Ze stłumionym rykiem odepchnął Paige, pokonał gabinet

w kilku susach i zamachnął się na Yanka. Yank wyciągnął się jak długi.

Paige wrzasnęła, Susannah piszczała, obie pobiegły w stronę mężczyzny i rzuciły się na Mitcha. Jedna złapała go za nogi, druga za ramiona.

- Puść go! - krzyczała Paige, szarpiąc go za biodra. - Puść go, bo go zabijesz!

Susannah złapała za niebieską koszulę (tylko odrobina krochmalu) i szarpnęła z całej siły.

- Przestań, Mitch! Nie rób tego!

Sam stał w drzwiach i obserwował szamotaninę na podłodze. Boże, ależ mu będzie tego brakowało.

Susannah zgubiła pantofel w ferworze walki. Paige zrzuciła na ziemię stertę dokumentów, tak że papiery fruwały po całym pokoju. Ekran Zwycięzców mrugał zielono. Mitch strząsnął z siebie kobiety, pomógł Yankowi wstać i grzmotnął nim o ściankę działową. Ścianka nie wytrzymała ciężaru i w efekcie obaj panowie wylądowali w sąsiednim pokoju. Sam obserwował całą czwórkę. Widział ich miny i wreszcie rozumiał, kto tu do kogo pasuje. Ta wizja mu umknęła, nie miał dość czasu, by ją dostrzec. Pokręcił głową zdumiony własną głupotą.

- Puść go, Mitch! - krzyczała Susannah. Złapała Mitcha za ramię. Coś jej przeszkadzało.

Kątem oka spostrzegła Sama. Odwróciła się ku niemu, gdy stanął w progu.

Patrzył na nią Wstrzymała oddech, widząc smutek i rezygnację w jego oczach.

Zrozumiała, że w końcu pozwolił jej odejść.

- Na razie, skarbie - powiedział. - Do zobaczenia.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Skinęła lekko głową definitywnie żegnając się z pierwszą prawdziwą miłością. Żegnaj, Samie Gamble. Niech cię Bóg prowadzi. Uśmiechnął się zawadiacko jak dawniej, jak motocyklista, który porwał ją z domu ojca w dzień ślubu i nadał nowy kształt jej przeznaczeniu. A potem odwrócił się i wyruszył na podbój innego nowego wspaniałego świata.

Z głośników ryknął stary przebój *Twist & Shout*. Walcz, do cholery! - warknął Mitch. Choć był wściekły, nie miał sumienia rozkwasić nosa przeciwnikowi, który okazał się tak żałośnie bierny. - Walcz, ty draniu!

Yank jednak kompletnie tracił głowę w obliczu przemocy fizycznej. Co prawda podobał mu się pomysł, by po raz pierwszy w życiu wziąć udział w walce, ale sama walka podobała mu się znacznie mniej. Wszystko działo się tak szybko, że nie miał czasu, by cokolwiek przemyśleć, przeanalizować czy zaplanować.

Właściwie kobiety sprawiły Mitchowi więcej kłopotów niż Yank. Siostry Faulconer czepiały się go jak rzepy. Ledwie stracił jedną, druga przypuszczała atak. Paige trzymała go za szyję, Susannah szarpała w pasie. Bolało go kolano, wałnął się w łokieć, gdy rozwalili przepierzenie. Co on, do cholery, wyprawia? Ma trzydzieści osiem lat i dwoje dzieci. Jest szanowanym obywatelem. Co on, do jasnej cholery, wyprawia?

Puścił Yanka, wyzwolił się z ramion Paige. Gdy Susannah zobaczyła, że już nie walczy, uwolniła jego biodra z morderczego uścisku. Yank mrugał szybko. Mitch patrzył na niego gniewnie.

- Nie pójdziesz z Susannah do łóżka.

- Nie. - Yank nadal mrugał. - Nie, to nie byłby dobry pomysł.

Zapadła długa cisza. Mitch wodził wzrokiem od Yanka do Susannah. I nagle napięcie uszło z niego jak powietrze z dziurawego balonika. Yank mrugał i mrugał.

- Zgubiłem szkło kontaktowe.

Wszyscy rzucili się na podłogę, szczęśliwi, że mają pretekst, by odzyskać panowanie nad sobą. Szkło

znalazła Paige pod kartką papieru. Mitch poprawił krawat i rozmasował bolący łokieć. Susannah szukała buta.

- To skomplikowane... - Yank włożył szkło i obejrzał zadrapaną rękę. - Sytuacja jest skomplikowana. Zawarłem z Samem umowę. Nie jestem z siebie dumny, bo nie byłem wobec niego całkiem uczciwy. Powinienem był mu powiedzieć, że Zwycięzcy to moja gra. W każdym razie nie wyszło z tego nic dobrego. Zawarłem z Samem umowę i mam pewne zobowiązania.

Teraz Susannah chciała mu dołożyć. Szła w jego stronę w jednym pantoflu, utykając.

- Yank, daj spokój. Już po wszystkim. Pojedynek nie ma znaczenia.

Ku jej zdumieniu Mitch się obruszył.

- Zamknij się, Susannah! Jeśli chodzi o interesy, jesteś jak dynamit, ale jeśli chodzi o związki międzyludzkie, jesteś beznadziejna! Mam tego dosyć! Od sześciu tygodni kręcę się koło ciebie z podkulonym ogonem, obawiając się, że rozsypiesz się na kawałki. Mam już tego dosyć!

- Nie mów do mnie w ten sposób!

- Będę mówił, jak mi się podoba. Teraz ja tu rządzę. - Spojrzał na Yanka. - Zrobimy aneks do umowy.

- Aneks? Tak, to dobry pomysł. Serce Paige biło nierówno.

- Co proponujesz? - zapytał Mitch, zadowolony, że znów wszystko jest pod kontrolą. - Ty wygrałeś, ty dyktujesz warunki.

Yank długo się zastanawiał.

- Może zaoferujesz mi jakąś sumę.

Mitch zjadł zęby na zawieraniu umów i wiedział, jak szybko dobija się targu.

- Proponuję pięć dolarów.

- Pięć dolarów! - Susannah nie wierzyła własnym uszom. - Powiedziałeś pięć dolarów?

- Zgoda - odparł Yank. - Gotówką, jeśli możesz. Ciągle gubię czeki. Mitch wyjął portfel z kieszeni.

- Mam tylko dwudziestki. Wydasz mi resztę?

Yank wyjął swój portfel i starannie przejrzał jego zawartość.

- Przykro mi, też mam tylko dwudziestkę. Paige?

Paige niemal straciła równowagę, tak szybko rzuciła się po torebkę. Ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła jej utrzymać, więc wysypała wszystko na biurko. Po chwili znalazła portmonetkę wśród szminek i gum do żucia. Otworzyła ją błyskawicznie, dysząc ciężko.

- Nie, nie mam - jęknęła. - Boże, mam tylko pięćdziesiątkę. Po co mi ta pięćdziesiątka. - Spojrzała na Mitcha i wrzasnęła: - Na rany boskie, daj mu dwudziestkę! Susannah postanowiła walczyć o własną godność. Głosem zimnym jak lód zaproponowała:

- Skoro to aukcja, oferuję dwadzieścia i sama się kupuję.

- To nie aukcja - sprzeciwił się Yank stanowczo. - To byłoby poniżające.

Paige zaniósła się kaszlem. Yank delikatnie poklepał ją po plecach. Mitch wręczył mu banknot dwudziestodolarowy.

- Jesteś mi winien piętnaście dolarów.

Yank skinął głową i przyciągnął Paige do siebie. Zamknął oczy, gdy jego obolały podbródek spoczął na jasnych włosach.

Paige wtuliła się w niego. I zeszywniała. Przypomniała sobie, co dzisiaj przez niego przeszła. Yank bił się o Susannah. Trzech facetów bił się o jej siostrę. Nie jeden, trzech! Czyżby zapomnieli, że to ona jest ładniejsza? Że to za nią szaleją mężczyźni? Yank nie zapomniał. Patrzył na nią, na to śliczne

jasnowłose stworzenie, w którym zakochał się szaleńczo. Paige uosabiała te wszystkie dziewczyny, które z niego drwiły, które go lekcewały. Przez całe życie trzymał się z boku i patrzył, jak kobiety w rodzaju Paige Faulconer przechodzą obok, nie dostrzegając go. Ale teraz to się zmieniło.

Kto by uwierzył, że Paige zakocha się w kimś takim jak on? A przecież wie, że go kocha. Ich dusze rozumiały się bez słów od samego początku, od czasu Naksos. Chciał jednak, by zostali razem na zawsze, więc dał jej tyle czasu, ile potrzebowała, żeby przywyknąć do tej myśli, choć już od pierwszego wieczoru chciał jąpry sobie zatrzymać.

A dzisiaj przeraził ją nie na żarty. Cierpiała, gdy ratował Susannah. Dąsa się, to widać. Teraz musi jej to wynagrodzić.

- Susannah, nie będzie mnie w pracy jakiś czas - oznajmił. - Paige i ja wyjeżdżamy. Paige wydeła usta i popatrzyła w sufit jak najpiękniejsza dziewczyna na balu, którą zmuszono do tańca z najbrzydszym chłopcem w szkole.

- Nigdzie z tobą nie pojedę! Jesteś okropny! I stuknięty! Yank rozważał wszystkie możliwości. Jak każdy naukowiec najwyżej cenił prawdę. Fakt, że oszukał Sama, bardzo go martwił, choć zrobił to w dobrej wierze. Już raz naruszył dzisiaj swój kodeks. Z całą pewnością nie zrobi tego po raz drugi. Nie robi?

- Trudno, Paige - powiedział spokojnie. - Susannah, czy mogłabyś zawieźć mnie do lekarza? Boli mnie ramię. Chyba nie jest złamane, chociaż...

O Boże. Nie zdążył złapać tchu, a Paige już chuchała i dmuchała na jego ramię i zajmowała się nim, jakby był opalonym na złoto kalifornijskim bożkiem surfingu o twardych mięśniach i mózgu zbyt małym, by zrozumieć cokolwiek.

Susannah odprowadziła ich wzrokiem. Szli wtuleni w siebie, jakby nigdy nie mieli się rozstać. W gabinecie panowała przedłużająca się cisza. Mitch stał przy drzwiach z dłonią na klamce, druga spoczywała na biodrze.

Susannah nie mogła myśleć ze zdenerwowania. Od kilku miesięcy znajdowała się na huśtawce emocjonalnej – rozumiała, że kocha Mitcha, ale ukrywała to, bo była przekonana, że zależy mu na Paige. Teraz chciała, żeby wziął ją w ramiona i szeptał czule słówka. On tymczasem milczał.

Zagłuszyła ciszę paplaniną.

- Z ramieniem Yanka wszystko w porządku. Manipuluje Paige w ten sposób. Yank dziwacznie coraz bardziej. A Paige... - Urwała. Czy Mi-tchowi na niej zależy? Tak, na pewno inaczej przecież nie rzuciłby się na Yanka. Wpatrywała się w punkt na ścianie nad jego ramieniem.

- Myślałam, że ty i Paige...

Nic nie mówił, tylko stał i patrzył na nią.

Patrzył na nią zaborczo. Przypomniała sobie pięć dolarów i poczuła, że się rumieni. Czyżby naprawdę sądził, że kupił ją od Yanka?

Uklękła i udawała, że z zapalem szuka buta. Wszystko, byle nie patrzeć na Mitcha. Zajrzała pod biurko, pod szafkę, wyrzała na korytarz. I natknęła się na buty Mitcha. Na jego nogach, rzecz jasna. Wypolerowane, lśniące, czarne półbuty wyglądały spod nogawek granatowych spodni.

Cisza stawała się coraz cięższa. Było jej gorąco. Podskoczyła, gdy pantofel upadł jej przed nosem. Ledwie go podniosła, para silnych ramion pomogła jej wstać. Mitch miał poważną minę.

- Twój rozwód jeszcze się nie uprawomocnił. Kiedy już będziesz wolna, spotkamy się w sypialni. W pierwszej chwili myślała, że powiedział „w jadalni”. Spotkamy się w jadalni. Jest tak zdenerwowana, że źle go rozumiała. Kiedy w końcu do niej dotarło, co naprawdę powiedział,

zbierał się od wyjścia.

Zazgrzytała zębami. O nie. To nie są interesy. Jeśli pan sztywniak myśli, że w ten sposób to załatwi, jest w błędzie. Cisnęła butem w drzwi.

Miał doskonały refleks. Zresztą wcale w niego nie celowała, więc but minął go o dobre pół metra. Co nie poprawiło mu humoru.

Odwrócił się, założył ręce na piersi i oznajmił z lodowatym spokojem:

- Masz trzydzieści sekund, Susannah. - Żeby...?

- Żeby przestać się zachowywać jak trzpiotka i powiedzieć jasno, czego chcesz.

- Ja...nie wiem, o co ci chodzi.

- Dwadzieścia pięć sekund.

- Nie poganiaj mnie.

- Osiemnaście.

- Jesteś wredny, wiesz o tym?

- Dwanaście.

- Może ty to powiesz?

- Dziesięć.

- No dobrze, powiem to. Pięć.

- Kocham cię, ty świnió!

- Tak jest, kochasz mnie. I nie waż się o tym zapomnieć.

Nadal był zły jak szerszeń, ale Susannah poczuła, że ogarnia ją cudowne ciepło. Najchętniej przytuliłaby się do niego i została tak na zawsze. Co takiego jest w ramionach Mitcha Blaine'a, że kobiety chcą w nich zniknąć? Podeszła bliżej, położyła dłonie na jego piersi. Jego serce biło równie szybko jak jej. Zamknęła oczy i uniosła usta do pocałunku.

Jęknął cicho, złapał ją za ręce i odsunął stanowczo.

- Jeszcze nie teraz - szepnął ochryple. - Kupiłem cię i sam zdecyduję kiedy ... Błyskawicznie otworzyła oczy. - Żartujesz.

Spojrzał na nią chłodno spod zmrużonych powiek. W ten sposób zawsze patrzył na przeciwników podczas negocjacji.

- Z punktu widzenia prawa nadal jesteś mężatką. Nie dotknę cię, póki nie będziesz wolna, bo kiedy zacznę, nie mam zamiaru przestać.

Stłumiła rozkoszny dreszcz oczekiwania i zmarszczyła czoło.

- To jeszcze cały miesiąc, Mitch. Długo.

- Wykorzystaj ten czas właściwie. Ja?

Znów spojrzał na nią groźnie, dostrzegła jednak iskierki rozbawienia w błękitnych oczach.

- Cóż, Susannah, właściwie mogę ci powiedzieć już teraz. Mam nadzieję, że nie przepłaciłem.

Z jej gardła wydarł się dźwięk, w którym śmiech mieszał się z oburzeniem. Zaraz jednak uznała, że i ona może się zabawić. Podeszła do niego i złapała go za krawat.

- Ja wiem, co daję. To ty jesteś wielką niewiadomą.

- O, właśnie nad takim zachowaniem musisz popracować. To brak szacunku. - Mówił poważnym głosem sędziego, ale nie dała się nabrać.

- Susannah, tak daleko być nie może. Potrzebne są chociaż pozory podporządkowania...

- Podporządkowania?

- Jestem mężczyzną, a ty kobietą. Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest jasne. I lepiej niech tak zostanie

także po ślubie.

- Powiedziałeś, „po ślubie”?

- Nie wykluczam tego.

- Nie wykluczasz? No nie. Ze wszystkich...

- Najpierw sprawdzian w sypialni. Potem pomyślimy o kontrakcie. Gdy nabierała powietrza w płuca, zobaczyła, jak jego twarz rozjaśnia najbardziej promienny uśmiech, jaki widziała. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, bo ruszył w stronę drzwi.

Tylko że ona jeszcze nie skończyła. Podbiegła do drzwi i zobaczyła, że jest już w połowie korytarza.

- Ani kroku dalej, Mitchellu Blainie - krzyknęła. - Kochasz mnie?

- Oczywiście - odparł, nie zatrzymując się. - Dziwię się, że w ogóle o to pytasz. I na jej oczach rozpędził się, podskoczył i dotknął dłonią sufitu. Przy czym koszula nie wyszła mu ze spodni.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Yank i Paige wyjechali do Reno, nie zwracając sobie głowy pakowaniem ubrania ani przebieraniem się. Wprawdzie Paige nigdy nie przypuszczała, że będzie brała ślub w szarych spodniach i jedwabnej bluzce, ale żadna siła na ziemi nie zmusiłaby ich, żeby poczekali jeszcze choćby dzień. Niedługo po północy wzięli ślub w tandetnej kaplicy. W szklanej gablotce znajdowała się jedna z gitar Elvisa Presleya. Yank przyglądał się jej długo i stwierdził, że przypomina mu kobietę, którą kocha.

Nie bardzo rozumiała, co gitara Elvisa ma z nią wspólnego, ale ceremonia miała się rozpocząć lada moment, więc nie zadawała żadnych pytań. Apartamenty dla nowożeńców we wszystkich lepszych hotelach były od dawna zarezerwowane, musieli się więc zadowolić lokalem o niższym standardzie. Boy wprowadził ich do pokoju, który zdaniem Paige wyglądał jak upiorna wersja bombonierki na Dzień Zakochanych. Ściany obito puszystą tapetą w biało-czarne pasy, podłogę pokrywała wykładzina kudłata i gruba jak mop. Nad łóżem w kształcie serca znajdował się baldachim z czerwonej satyny. U wezłowania mieli lustro upstrzone złotymi cętkami.

- Ładnie tu - stwierdził Yank z podziwem.

W innych okolicznościach Paige parsknęłaby śmiechem, ale teraz była zbyt przejęta. Co będzie, jeśli Yank się rozczaruje? Udawała orgazm w łóżku z najlepszymi kochankami, ale Yank jest taki bystry. Co prawda nie sądziła, że seks okaże się najważniejszym elementem ich związku. Yank pewnie nie jest najlepszym kochankiem świata. I bardzo dobrze, jeśli o nią chodzi. Była w łóżku z najlepszymi i wcale jej się to nie podobało.

Najbardziej lubiła się do niego przytulać – jest taki ciepły i miły. Tak, chciałaby się od niego przytulić i dla niego gotować. Przygotowywać dla niego smakowite posiłki. Karmić jego dzieci bujną pierśią. Nie wiadomo dlaczego, poczuła łzy pod powiekami. Stała do niego tyłem, ale jakimś sposobem wyczuł, że płacze. Przyciągnął ją do siebie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Nie martw się. Wspięła się na palce, ukryła twarz na jego szyi.

- Tak bardzo cię kocham. Nie zasługuję na ciebie. Nie jestem dobra. Przeklinam. I robię awantury. Jesteś o wiele lepszym człowiekiem niż ja.

Uniósł jej podbródek i odgarnął jasne włosy z twarzy.

- Jesteś cudowna. Nadal nie mogę uwierzyć, że jesteś moja. Patrzył jej w oczy i nagle jego dobroć ukoila jej obawy. Pochylił głowę i ją pocałował. Powoli. Nikt nigdy jej tak nie całował. Dotknął jej

ust tak delikatnie, że na początku prawie tego nie poczuła. To ona przywarła mocniej. To ona rozchyliła wargi. Całowali się i całowali. Yank był bardzo cierpliwy. Uważał, że wszystko trzeba robić jak najlepiej. Całował jej policzki i powieki, ułożył ją na łóżku, odchylił jej głowę i całował szyję. Znalazł żyłkę na szyi i sprawdzał jej puls koniuszkiem języka. Było jej tak dobrze, tak ciepło. Jego usta musnęły rozchylony dekolt bluzki. Jej piersi nabrzmiały w oczekiwaniu na jego dotyk. Jej dłonie odnalazły jego koszulę. Zaraz jednak wziął ją za rękę i uściśnął mocno.

- Może szampana?

Przecząco pokręciła głową. Nie chce szampana. Nie chce, żeby przestawał.

On jednak wstał. Podeszedł do kubelka z lodem, mocował się z butelką. Minęła wieczność, zanim ją otworzył. Najpierw starannie wytarł serwetką, potem ostrożnie zerwał folię. Odkręcał drucik, jakby pracował nad bardzo skomplikowanym urządzeniem. Miała ochotę krzyknąć, żeby to zostawił, do cholery, i wracał do niej. Oparła się o poduszkę. Nalał sobie kieliszek i jeszcze raz zapytał, czy się napije.

- No, dobrze - burknęła. - Skoro już otworzyłeś...

Przyniósł kieliszki do łóżka. Stał i przyglądał się jej z góry. Cienka złota obrączka lśniła na jego długim chudym palcu. Jej ciało znowu ogarnęło przyjemne ciepło, a gniew ustąpił. Usiadł, odstawił kieliszki na stolik. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

- Nie pij jeszcze - powiedział. - Chcę wnieść toast. I spokojnie siedział dalej.

Nie do wiary. Chciała, żeby ją całował, żeby dotykał jej piersi, a on sobie siedzi i myśli nad jakimś głupim toastem. Siedzi, i myśli, i bawi się jej dłonią. Rysuje po niej kciukiem. Jeszcze nikt nigdy tak jej nie dotykał. To takie podniecające. Po chwili poruszyła się niespokojnie.

- Wymyśliłeś? - jęknęła.

- Jeszcze chwilę. - Przesunął kciuk z jej dłoni na wrażliwą skórę wewnętrznej strony ręki. Zamknęła oczy. Rozchyliła usta. Co on z nią wyprawia? Głaskał ją i głaskał, a potem poczuła na sobie jego usta. Wreszcie, pomyślała. Wracamy do rzeczy. Jęknęła, gdy pieścił jej szyję. Jego palce bawiły się guzikiem bluzki. Minęło kilka długich lat i w końcu go odpiął. Pocałował skórę pod spodem i odpiął kolejny guzik. Guzik i pocałunek. Guzik i pocałunek.

Jej piersi wznoszące się nad koronką stanika były lekko zarumienione. Kiedy dotrze do stanika? I niżej? Przerwał.

- Wymyśliłem toast.

Zazgrzytała zębami. Jeśli zaraz nie zabierze się od rzeczy, już ona mu da toasty! Podał jej kieliszek.

- Za moją żonę, najpiękniejszą kobietę na świecie. Kocham cię. To miłe, naprawdę miłe, ale przecież niewarte takiego oczekiwania.

Stuknęła się z nim kieliszkiem, wypiła duszkiem szampana, upuściła kieliszek na ziemię i objęła go. Delikatnie wyplątał się z jej ramion i zdjął jej bluzkę.

Chciało jej się krzyknąć z radości. Tak! Wreszcie zrozumiał, o co chodzi! Przypomniał sobie, co ma robić! Teraz stanik. Pamiętaj o staniku. Pamiętał. Jego zwinne palce rozpięły go z taką łatwością, jakby haftki topniały pod jego dotykiem. Odłożył koronkę na łóżko.

I patrzył na nią. Leżała na plecach. Brodawki nabrzmiały pod jego spojrzeniem. Pochylił się nad nią. Zamknęła oczy, zamarła w oczekiwaniu na jego ciepły oddech na piersiach, na dotyk jego delikatnych ust na... ..ramieniu.

Wyrwał się jej stłumiony jęk rozczarowania. Zacisnęła pięści, a Yank bawił się jej ramieniem przez kolejne dziesięć lat. Piersi - chciała zawołać. Dotknij moich piersi, moich pięknych piersi!

Niestety, ten dziwak, za którego wyszła za mąż, odkrył wyjątkowo wrażliwe miejsce w zgięciu jej łokcia i badał je skrupulatnie.

- Spodnie ci się pogniotą - stwierdził w końcu.

- Tak - zgodziła się ochoczo. - Och, tak. - Chciała je rozpiąć, ale znowu odepchnął jej dłonie. Sam je ściągnął i złożył starannie.

- Daj spokój - poprosiła. Rzuć je na krzesło.

- Pogniotą się - odparł takim tonem, jakby pogniecione spodnie były straszliwą zbrodnią, czymś wbrew naturze. Wstał, złączył nogawki, dopasował szwy i złożył je z geometryczną precyzją, która Euklidesa rozczuliłaby do łez.

Paige też była bliska łez, ale nie z radości. Dlaczego nie dociera do niego, że z trudem osiąga takie podniecenie. Może zniknąć lada chwila. Zawsze tak jest. Musi działać szybko, póki jest rozgrzana. Nie rozumie tego?

Najwyraźniej nie rozumiał. Zaniósł spodnie do szafy, starannie powiesił je na wieszaku. Oczywiście nie na pierwszym lepszym wieszaku, w żadnym wypadku. Na specjalnym wieszaku do spodni. Ściągnęła majteczki, gdy stał tyłem, i oparła stopę na kolanie. Na ten widok szerzej otworzył oczy. Zdecydowana postawić na swoim, omdlewającym ruchem opuściła rękę na podłogę i powoli pocierała stopą o kolano. Yank ruszył w stronę łóżka. Przygryzła dolną wargę. Nagle skręcił w przeciwną stronę.

Uniosła się na łokciu.

- Dokąd idziesz?

Podszedł do stolika i zapalił jeszcze jedną lampę.

- Za ciemno tu - odparł. - Nie widzę, co robię. - Z tymi słowami wrócił do łóżka. Delikatnie, ale stanowczo rozsunął jej nogi.

Zaschło jej w ustach. Uniósł dłonie do koszuli. Tylko że wcale jej nie zdjął, jedynie zakasał rękawy. Spojrzała mu w oczy i dopiero teraz zobaczyła w nich iskierki rozbawienia.

- Robisz to celowo! - jęknęła.

- Wydaje mi się, że do tej pory nikt nie dał ci wystarczająco dużo czasu. Tej nocy Paige przeżyła najpiękniejsze chwile swego życia. Yank długo uczył się cierpliwości. I wierzył w staranną pracę. Lubił formułować założenia i sprawdzać je w praktyce. Na przykład jeśli tutaj będzie pieścił ją językiem, a tam ręką... Był inżynierem, geniuszem, jeśli chodzi o małe części. Odnalazł każdą najmniejszą nawet część jej ciała i sprawił, że pod jego dotykiem eksplodowała rozkoszą. Kto by pomyślał, że będzie tłumił pocałunkami jej krzyki? Kto by pomyślał, że roztargniony geniusz da jej satysfakcję, której nie mogła znaleźć przez całe życie? Gdy w końcu w nią wszedł, oddychał równie ciężko jak ona. Nie była w stanie myśleć logicznie, ale jak przez mgłę uświadomiła sobie, ile go kosztowała taka cierpliwość, za to kochała go jeszcze bardziej.

Zachował ostrożność do ostatniej chwili. Był jej kochankiem, jej mężem, przede wszystkim jednak inżynierem. A żaden mądry inżynier nie łączy elementów różnych rozmiarów.

- W porządku - szepnął.

- Tak. Och, tak.

- Moja żona. Najdroższa.

Krzyczała z rozkoszy, gdy w nią wchodził. Zdławił jej jęk pocałunkiem. Poruszali się razem, jednocześnie osiągając spełnienie. O świcie, nasyceni sobą, leżeli przytuleni.

- Dlaczego zachowywałaś się, jakbyś nie miał nic przeciwko temu, żebym poszła do łóżka z



Mitchem? - spytała cicho.

- Bo wiedziałem, że Mitch nie poszedłby do łóżka z tobą.

- A właśnie, że poszedłby - oburzyła się, ale zaraz się uśmiechnęła. - Nie, chyba nie. - Od niechcenia muskała jego pierś. - Myślałam, że kochasz Susannah. Pogłaskał ją po policzku.

- Kocham. Tak samo jak ty. - Nie było sensu tłumaczyć jej, że kiedyś Susannah bardzo mu się podobała. Była taka inna niż pozostałe kobiety, które znał. - Zależy mi na tym, żeby była szczęśliwa - mówił dalej. - Dlatego musiałem uświadomić Samowi, że jej nie odzyska.

Ale jeśli chodzi o pociąg fizyczny...

Nie dokończył, więc Paige ponagliła.

- No? Powiedz. Zmartwił się.

- Paige, proszę, nie obraż się. Kocham Susannah i szanuję ją. Ale czy nie wydaje ci się, że jest trochę... bezbarwna?

Paige rozejrzała się po tandetnym apartamencie, który zdaniem Yanka był taki elegancki.

Zachichotała radośnie i przytuliła go do siebie.

- Jak najbardziej, Yank. Dla ciebie Susannah jest rzeczywiście zbyt bezbarwna.

Wszystko w Mitchu doprowadzało Susannah do szału. Na przykład jego ubrania. Ile doskonale skrojonych granatowych garniturów można mieć w szafie? Ile krawatów w czerwono-granatowe prążki? Czy nie może zaszaleć choć raz i włożyć coś mniej konserwatywnego?

Nie znosiła, jak stukał długopisem w biurko, gdy był zdenerwowany. Drażniło ją, jak odchyła się na krześle i poprawia węzeł krawata, zanim powie coś ważnego. Notował absolutnie wszystko - tego też nie znosiła.

Ciekawe, co robi z tymi żółtymi notesami, kiedy je już zapisze? Wynajmuje na nie specjalny magazyn czy co?

Wściekała się, gdy obserwowała, jak złote pióro sunie po papierze. Pewnie ma notes nawet w sypialni i notuje, jak partnerka spisała się w łóżku. Nie, o tym nie wolno jej myśleć. Wystarczy jednak przypomnieć sobie, jak doprowadza ją do szału na zebraniach. Siedzą przy stole konferencyjnym, Mitch czyta milionowy raport, zongluje danymi, aż nagle, w połowie zdania, zsuwa z nosa te głupie okulary w rogowej oprawie i patrzy na nią. Jedno spojrzenie. Spojrzenie macho. Jakby była jego własnością. Boże, to irytujące. Irytowało ją to do tego stopnia, że traciła poczucie czasu i miejsca i wtedy wszyscy patrzyli na nią. - Susannah?

Zamrugnęła szybko. Jack Vaughan, jeden z wiceprezesów, przyglądał się jej uważnie. No proszę, znowu to zrobiła. Mitch uśmiechał się pod nosem i huśtał na krześle. Złożył palce w idiotyczną wieżę.

- Susannah? - powtórzył Vaughan. - Masz jakieś pytania?

- Nie, nie. Wszystko jasne. - Podejrzewała, że wszyscy przy stole wiedzą, że dla niej nic nie jest jasne, bo nie ma pojęcia, o czym mówią. W głowie tykał jej gigantyczny zegar, odmierzał czas pozostały do jej rozwodu. Dlaczego Mitch jest taki uparty? Dlaczego doprowadza ją do szaleństwa? Nie mogła spać. Oczekiwanie doprowadziło ją na skraj załamania nerwowego.

Głośnik rozdarł się nad ich głowami:

- Uwaga kobiety stanu wolnego. Darmowe badania ginekologiczne w budynku C. Proszę pytać o Ralpha.

Susannah zerwała się z krzesła.

- Tego już za wiele! Powyrywam im nogi z dupy! Mitch skrzywił się boleśnie.

Jack Vaughan zamknął teczkę.

- Zakładam, że zebranie dobiegło końca - stwierdził spokojnie. Rzuciła się do drzwi. Mitch powstrzymał ją w ostatniej chwili. To kolejna z jego głupich sztuczek. Po prostu wyprzedził ją i zastawił jej drogę. Kolejne szczeniackie zagrania, jakby chciał jej przypomnieć, kto jest silniejszy.

- Czego? – warknęła, nie zwracając uwagi na to, że żołądek jej się ścisnął, gdy poczuła cudowny zapach jego koszuli.

Pochylił się, by szepnąć jej do ucha:

- Jeszcze tylko tydzień, mała. I wezmę, co do mnie należy. Przełknęła z trudem ślinę. Zalazł jej za skórę. Naprawdę. Jej rozwód uprawomocnił się w pewną zupełnie zwyczajną środę. Siedziała na spotkaniu ze specjalistami od marketingu ze Wschodniego Wybrzeża, rozmawiała z dyrektorem ich fabryki w Singapurze. Paige zadzwoniła kilka dni wcześniej i chciała wpaść koniecznie dzisiaj, Susannah więc przesunęła konferencję na inny termin, żeby spotkać się z siostrą. Podniosła wzrok znad kartki i zerknęła na zegarek. Zaraz przyjdzie Paige. Nie widziała Mitcha cały dzień. I bardzo dobrze. Dał jej w kość przez ostatni miesiąc, teraz więc odpłaci mu tą samą monetą. Jeśli mu się wydaje, że wskoczy mu do łóżka teraz, gdy oficjalnie jest wolna, to się myli. Może jest wolna, ale nie łatwa. Paige wsadziła głowę do gabinetu.

- Cześć.

Tak się ucieszyła na widok siostry, że napięcie trochę opadło. Odkąd wyszła za Yanka, Paige promieniała wewnętrznym blaskiem. A Yank wiecznie miał na twarzy głupkowaty uśmiech. Nowożeńcy osiedli się w Falklcon Hill. Uśmiechała się na myśl, o tym, że Yank Yankowski jest panem i władcą królestwa Joela Faulconera. Polubiłbyś go, tatusiu, pomyślała. Oczywiście dopiero wtedy, gdy minąłby początkowy szok. Jest cudowny i sprawił, że Paige jest szczęśliwa.

Susannah zauważyła kostium siostry w kolorze malin, perły na szyi, włosy upięte w kok, czółenka z jaszczurki.

- Ho, ho. Jestem pod wrażeniem. Czy to dla mnie tak się wystroiłaś?

- Nie. Dla Paula. Nie lubi, kiedy członkowie rady nadzorczej biegają w dzinsach. Dla Paula?

Paige przesunęła się i Susannah zobaczyła, że nie przyszła sama. Był z nią Paul Clemens, poprzednik Cala na stanowisku prezesa. Susannah przywitała się z nim uprzejmie. Rozmawiali w napiętej atmosferze kilka minut. Widząc, że zanosi się na coś więcej niż siostrzaną pogawędkę, Susannah zaprowadziła ich do małej sali konferencyjnej obok swego gabinetu. Ledwie usiedli, wpadł Mitch. Serce Susannah fiknęło, podskoczyło jak zwykle. Mitch usiadł koło Paige.

- Nie wiedziałam, że to oficjalne zebranie - zaczęła chłodno. Paige bawiła się perłami.

- To ja zaprosiłam Mitcha. Posłuchaj, Susannah, przepraszam, że...

- To moja wina - wtrącił Paul Clemens. - Rozmawiałem długo z Paige i poprosiłem, żeby zaaranżowała to spotkanie.

Susannah splotła dłonie.

- Paul, znamy się od dawna, ale jeśli przyszedłeś tu jako reprezentant FBT, będziemy rozmawiać tylko w obecności prawników.

- Przeszedłem na emeryturę, Susannah, choć nadal zasiadam w radzie nadzorczej. Powiedzmy, że przyszedłem z wizytą nieoficjalną.

- Wysłuchaj go, Suzie - poprosiła Paige. - To bardzo ważne.

Susannah zgodziła się z ociąganiem i Paul zaczął opowiadać szczegółowo o kłopotach FBT po tym, jak wyszły na jaw machinacje Cala Theroux. Fakt, że byłego prezesa firmy czeka proces o sabotaż i

usiłowanie morderstwa, bardzo komplikował sytuację. Im dłużej słuchała, tym bardziej się denerwowała. Zdawała sobie sprawę, że FBT ma kłopoty, nie wiedziała jednak, że aż tak poważne. Firma była o krok od katastrofy.

Paul skończył. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chciałabym, żebyście zrozumieli, że SysVal nie chce klęski FBT. Naszym problemem był Cal, nie cała firma.

- Mówiłaś to bardzo jasno wielokrotnie i jesteśmy ci wdzięczni - odparł Paul - ale opinia publiczna mimo wszystko widzi w nas złego wilka, a w tobie Czerwonego Kapturka. Traktują nas, jakbyśmy byli trędowaci. Klienci masowo odpływają do konkurencji. Zarzuciliśmy produkcję Falcona 101, ale to za mało. Ceny naszych akcji są śmieszne. Cała firma jest zagrożona, każdy dział.

Paige podniosła głowę. Dotąd rysowała coś na stole.

- Suzie, to moja wina. Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o zarządzanie akcjami. Kiedy siedzę na zebraniu w FBF, nie mogę się skupić, odpływam i nigdy nie wiem, jak mam głosować. Dlatego dałam Calowi pełnomocnictwo. I proszę, jak to się skończyło.

- Przecież nie chciałaś zaszkodzić firmie - zauważyła Susannah.

- Ale to zrobiła - wtrącił Clemens. - Ani ja, ani Paige nie chcemy, żeby to się powtórzyło. FBT zatrudnia prawie trzysta tysięcy osób. Polegają na nas całe społeczności. Wiele miasteczek umrze, jeśli zamkniemy fabryki. A zamkniemy, Susannah. Wszystko wymyka się nam spod kontroli.

Paige pochyliła się nad stołem.

- Daję ci pełnomocnictwo, Susannah. Chcę, żebyś zarządzała moimi akcjami.

- Paige, doceniam ten gest i naprawdę chcę ci pomóc, ale nie mogę. Przecież to jawny konflikt interesów. Zarząd SysVal nigdy się na to nie zgodzi.

- Zgodziliby się, gdybyś złożyła rezygnację - powiedziała Paige miękko. - Gdybyś odeszła z SysVal i została prezesem FBT.

Susannah zamurowało. Chcieli, żeby przejęła stery jednej z największych firm w Stanach Zjednoczonych, żeby zajęła stanowisko ojca. Silna dłoń uścisnęła pod stołem jej rękę.

Uspokoiła się, czując jego dotyk.

Paul przyglądał się jej z uwagą.

- FBT musi odzyskać zaufanie opinii publicznej. W tej chwili tylko ty możesz nam to zapewnić.

Susannah przecząco pokręciła głową.

- Przykro mi, naprawdę. Pomogę wam, jak tylko będę umiała, ale odejść z SysVal? Wykluczone.

Mitch odezwał się po raz pierwszy.

- Susannah musi to przemyśleć. Dajcie jej trochę czasu.

- Nie muszę niczego przemyśleć, trochę czasu...

- W niczym nie zaszkodzi - wpadł jej w słowo.

Nie pokłóci się z Mitchem w obecności Paula Clemensa. Skinęła głową.

- Dobrze. Kilka dni. - Mówiąc te słowa, wiedziała, że za żadne skarby świata nie zostawi SysVal.

Ledwie dotarła do domu, Mitch pojawił się na progu. Nadal miał na sobie garnitur, nie poluzował nawet krawata. Choć nie mogła się doczekać tej chwili, gdy w końcu nadeszła, najchętniej odsunęłaby ją jeszcze trochę. Ostatni miesiąc był bardzo wyczerpujący, musiała jednak przyznać sama przed sobą, że podobało się jej uczucie, że dręczy ją ukochany mężczyzna.

Czy rzeczywistość dorówna oczekiwaniom? Mitch będzie dobrym kochankiem, choć w głębi serca wątpiła, by był kochankiem doskonałym. Jest na to zbyt porządny, zbyt poprawny. Spojrzała mu w

oczy i przestraszyła się. Co będzie, jeśli go zaskoczy? Jeśli okaże się, że lubi w sypialni potulne kobiety?

- Przepraszam - wyjąkała. - Nie zaproszę cię do środka. Mam migrenę.

- Masz stracha - poprawił.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Poszła do salonu i drżącą ręką wzięła gazetę, której wcale nie chciała czytać. Boże, co z niej za erotomanka! Kocha go, ale przecież nie uda jej się powstrzymać. Kiedy się przekona, jaka jest naprawdę, ucieknie przerażony. Może wyśle jej memo. OD: Mitchell Blaine DO: Susannah Faulconer DOT: nieodpowiednie zachowanie w sypialni...

Wszedł do salonu. Wsunął do kieszeni klucz, który sama mu dała, gdy w połowie sierpnia wprowadziła się w końcu do nowego domu. Oddaj klucz poprosiła.

- Nie.

Wpatrywała się w kolorowe zasłony, które wybrała dla niej Paige. Kocha go bardzo i chciałaby, żeby wszystko ułożyło się idealnie, ale życie to nie bajka. Przypomniała sobie, że muszą omówić jeszcze kilka spraw, usiadła więc na kanapie. Przynajmniej na jakiś czas odsunie nieuniknione.

- Nie odejdę z SysVal.

- Nie masz wyboru, Susannah.

- Nie mów tak!

Usiadł koło niej, opadł na miękkie poduszki. Jak to możliwe, że jest rozluźniony, podczas gdy ona jest kłębkim nerwów?

- Jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś spokojnie przełknęła ruinę trzystu tysięcy ludzi - zaczął. - Nie wspominając o małych miasteczkach.

- Nie pasuję do FBT. Jest stare, konserwatywne i sztywne.

- Rzeczywiście. Na dodatek od śmierci twojego ojca było źle zarządzane.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że potrzebują pionka. Oczekują, że wykorzystam pakiet Paige, żeby popierać ich decyzje. Nie mają zamiaru dzielić się ze mną władzą.

Mitch zachichotał.

- Nie wydaje ci się, że doskonale byś się bawiła, dowodząc im, jak bardzo się mylą? Zmieniła taktykę.

- Nie skończyłam studiów.

- Ja tak. Trzy fakultety. Chcesz jeden dyplom? Spróbowała z innej strony. - Chcę mieć dziecko.

Złagodniał.

- Naprawdę? To świetnie, naprawdę świetnie. Miałem nadzieję, że chcesz, ale nie rozmawialiśmy o tym.

- O niczym nie rozmawialiśmy! - Poderwała się z kanapy. - Nie rozumiesz? Prezes SysVal może być w ciąży, jak najbardziej. W Sys-Val wszystko jest możliwe. Ale czy możesz sobie wyobrazić, tylko szczerze, prezes FBT karmiącą piersią dziecko podczas zebrania zarządu?

- Nie, na pewno nie starego FBT. - Uśmiechnął się. Stał koło niej. - Ale nowego FBT?

Nowego FBT, z nowoczesną linią produkcyjną, z nowym stylem zarządzania, ze złością na terenie zakładu... Su-sannah...

Dali się ponieść wizji. Była to wizja nowej firmy, zaangażowanej i etycznej. Firmy XXI wieku.

Wziął ją za rękę.

- Masz trzydzieści dwa lata, to już poważny wiek. Ja mam trzydzieści osiem. SysVal to firma dla dzieciaków. Mamy tylu utalentowanych ludzi, że sami nie wiemy, co z nimi robić. Zejdźmy im z

drogi, niech sami popracują.

- Nie możemy oboje tak po prostu odejść. To niemożliwe. A bez ciebie nie pójde do FBT. Pomijając nasze związki, jesteś najlepszym specem od marketingu.

- Zostanę w SysVal, dopóki wszystko się nie uspokoi. Potem do ciebie dołączę.

Uniósł jej podbródek, tak że patrzyła mu w oczy. Były pełne miłości.

- Kocham cię, Susannah. Nawet nie wiesz jak bardzo. Tyle lat patrzyłem, jak jesteś z Samem.

Czasami wydawało mi się, że oszaleję.

- Wiem, Mitch. Och, kochany. Ja też cię kocham.

Pochylił głowę. Poczła jego miękkie, ciepłe usta. Duże dłonie obejmowały ją, bawiły się włosami.

Otworzył usta, całował ją mocno i zaborczo. To był pocałunek mężczyzny – dawał, ale i brał. Jej piersi rozplaszczyły się na jego klatce piersiowej, gdy ją do siebie przyciągnął. Odwzajemniła się równie intensywną pieśczoą, owinęła nogę wokół jego uda. Trzymał jej głowę w dłoniach. Jak dobrze poczuć jego usta, znaleźć się w silnych, opiekuńczych ramionach. Tak, miała rację, rozstając się z małymi chłopcami. Przesunął dłoń na jej pierś.

- Już czas, skarbie - wyszeptał ochryple. - Nie wytrzymam dłużej.

Gdy poczuła jego dłoń na piersi, wróciło zdenerwowanie. Mitch dobrze całuje, ale całowanie to nie wszystko.

- Mitch, sama nie wiem, czy...

Cofnął się. Przyglądał się jej przez boleśnie długą chwilę. Wskazał głową korytarz.

- Na górę, Susannah - polecił spokojnie.

Nie rozumie, jakie to ważne. Nie wie, że to, co będzie, co mogłoby się zdarzyć, może wszystko zepsuć.

- Mitch, może się okazać, że mamy pewne problemy z... I to już.

Odwróciła się i pomaszerowała w stronę schodów, jakby trzymał ją na muszce. Czasami nie znosi inżynierów. Naprawdę. Jej obcasy stukały po parkiecie. Ponieważ jej obawy nie mają racjonalnych podstaw, Mitch je ignoruje. Wszystko musi być racjonalne. Ten facet nie ma za grosz wyczucia.

Wpadła do sypialni, zrzuciła z nóg pantofle na wysokim obcasie. Słyszała go za sobą, poruszał się powoli, jak zwykle. Jakby szedł na zebranie personelu. Gdy wszedł do sypialni, odwróciła się błyskawicznie.

- Jeśli nic z tego nie będzie, nie miej do mnie pretensji! Patrzył na dywan. Pokręcił głową.

- Obiecałem sobie, że będę dla ciebie miły, ale widzę, że w ten sposób do niczego nie dojdziemy. -

Podniósł głowę i spojrzał na nią groźnie. – Rozbieraj się, Susannah.

Była nieco spięta i w tej chwili straciła panowanie nad sobą.

- Idź do diabła!

- Tego już za wiele. - Uniósł rękę i jednym szarpnięciem rozwiązał krawat. - Naprawdę chciałem być miły. Niezbyt nachalny. Kwiaty, księżyc, świece. - Rzucił krawat na podłogę, ściągnął marynarkę.

Wziął się pod boki i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, jakby była niewolnicą. – Chyba muszę ci przypomnieć, że cię kupiłem. Serce podeszło jej do gardła. O Boże, on się z nią bawi. Gra się jeszcze nie skończyła. Ogarnął ją płomień miłości i pożądania, gdy uświadomiła sobie, że Mitch rozumie, co czuje. Uspokoiła się. Uniosła głowę i z dezaprobatą wydeła usta.

- Nie kupiłeś mnie.

- Pieniądze przeszły z rąk do rąk - odarł spokojnie, zdejmując koszulę. - Kupiłem cię. A teraz się rozbieraj, żebym cię trochę rozgrzał. Bezwstydnik. Podeszła do łóżka, przysiadła na skraju. Spojrzała

na niego uwodzicielsko.

- Nie musisz rozgrzewać czegoś, co już płonie. Przez chwilę myślała, że go pokonała. Szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Taka uwaga z twoich ust nie powinna mnie dziwić. - Podkoszulek dołączył do sterty ubrań na podłodze. Przelknęła ślinę na widok jego torsu, wyobraziła sobie, co poczuje, mając ją pod palcami. Mitch zdjął buty, ściągnął skarpetki. - Może uda ci się oszukać innych, Susannah, ale nie zapominaj, że mam trzy fakultety i niełatwo mnie zmylić. Pod maską grzeczności i układności kryje się dzika kotka. Lubisz iść na całość. I tak będzie. - Jednym ruchem wyciągnął pasek ze spodni. Czarna skóra strzeliła w powietrzu jak bat. - Pójdziemy na całość.

O Boże... A ona obawiała się, że nie dotrzyma jej kroku.

- Na kolana. I ściągnij sukienkę.

Tak jest, proszę pana. Uklękła. Nerwowo mocowała się z guzikami. Męczyła się, a on w tym czasie bezczelnie bawił się paskiem. Przesuwał go w dłoniach. Błysk w jego oczach prawie wszystko zepsuł, ale i tak był cudownie groźny. Jeśli parsknie śmiechem, zabije go. Wyobraziła sobie najbliższe czterdzieści lat z tym człowiekiem... Jest jej przyjacielem, kochankiem, jej drugą połową. Mimo wszystko nie powinien mieć o sobie zbyt wysokiego mniemania, zwłaszcza po tym, jak ją traktował przez ostatnie tygodnie. Przygotowała mu małą niespodziankę. Żaden sztywniak w wykrochmalonej koszuli nie nazwie jej grzeczną. Nie ujdzie mu to na sucho. Rozpięła ostatni guzik i ściągnęła sukienkę przez głowę, odsłaniając bieliznę, którą włożyła rano w przypływie niecierpliwości – brzoskwiniowny głęboko wycięty staniczek, majteczki i pas, i pończochy.

Czarny pas Mitcha upadł na podłogę.

- To mi się bardziej podoba - oznajmił ochryple. Nie odrywając od niej oczu, zdjął spodnie.

Susannah przesunęła wzrokiem po jego silnych udach i parsknęła śmiechem. Mitch miał na sobie najmniejsze slipki w czarno-białe pasy jakie w życiu widziała. Opadła na poduszki, zanosząc się śmiechem.

- Od dawna nosisz taką bieliznę?

- Owszem.

- Chcesz powiedzieć, że na wszystkich zebraniach i naradach nad budżetem siedziałeś w takich majtkach?

- Mógłbym zapytać o to samo. - Pochylił się nad łóżkiem i dotknął brzoskwiniowej podwiązki.

Objęła go za szyję, wsunęła palce w jego włosy.

- Czasami nie noszę żadnej bielizny - szepnęła.

Jęknął i wziął ją w ramiona. Pocałował ją zaborczo, namiętnie. Wkrótce bielizna wylądowała na podłodze. Poznawali swoje ciała, aż zrosił ich pot. Czekali jednak zbyt długo, by skończyć wcześniej, więc kontynuowali czułą wojnę.

- Masz być dobra - warknął.

- Lepszej nie znajdziesz.

- Zobaczymy.

Walczyli o dominację - raz ona była na górze, raz on. Ugryzła go w ramię. Odpowiedział, kłapiąc jej pośladek. Oplatała go pościelą i uciekła z sypialni. Złapał ją przy schodach, przerzucił sobie przez ramię i zaniósł z powrotem do sypialni. Zachowywali się jak wariaci, zupełnie nieodpowiedzialnie, ale w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zwrócić im uwagę.

Rzucił ją na łóżko, przykrył sobą, chwycił rude włosy. Wygięła się w łuk i wsunęła mu język w usta.

Jego dłonie poznawały jej ciało i jego sekrety.

Kiedy nie mogli już dłużej wytrzymać, rozsunał jej nogi i ułożył się między nimi. Już miał w nią wejść, gdy spojrzała na niego poważnie.

- To na zawsze, prawda, Mitch?

Skończyły się śmiechy i żarty. Patrzył na jej opuchnięte od pocałunków usta i fala uczucia złagodziła jego rysy, ujęła mu lat.

- Tak, najdroższa. Do końca świata.

Nie byli dziećmi. Mieli za sobą inne życie, inne miłości, zdawali więc sobie sprawę, jak cenny dar otrzymali. Wszedł w nią gwałtownie, jak mężczyzna, który wie, że szczęście da mu tylko kobieta, która nie boi się wyzwania. Przyjęła go bez obaw, szczęśliwa, że znalazła swoją drugą połowę.

Pasowali do siebie, jakby stworzono ich razem tego samego dnia. A gdy w końcu, krzycząc, osiągnęli spełnienie, wciąż patrzyli sobie w oczy.

## Epilog

Styczniowy ranek był rześki i słoneczny. Tego dnia Susannah obejmowała stanowisko prezesa FBT. Miała na sobie klasyczny szary kostiumik, czarne czółenka na niskim obcasie i skromne kolczyki. Nie nosiła biżuterii oprócz złotej obrączki.

Była bardzo ładna, ale nieco zbyt krzykliwa, bo zdobiły ją wielkie brylanty.

Grupka mężczyzn czekała na nią przy wejściu do Zamku.

- Witamy w FBT, pani Blaine.

- Cieszymy się, że pani do nas dołączyła.

- Miło mi panią poznać, pani Blaine.

- Faulconer - poprawiła. - Ale mówcie mi Susannah. Uśmiechali się radośnie - menedżerowie w ciemnych garniturach wiedzieli, że pełnomocnictwo siostry daje jej kontrolę nad największym pakietem akcji. Przyglądała się im uważnie, szukała choć jednej kobiecej twarzy, zaraz jednak przypomniała sobie, że w FBT kobiety rzadko osiągają wyższe stanowiska.

Mężczyźni okazali się uroczymi przewodnikami – oprowadzali ją po całym budynku, jakby nigdy przedtem tu nie była. Gawędzili pogodnie, gdy przemierzali długie ciche korytarze i zaglądali do gabinetów wyłożonych grubą wykładziną. Otwierali jej drzwi i szarmancko podawali rękę.

- Susannah, zaplanowaliśmy dla pani długi okres adaptacyjny...

- Nie chcemy zwalić pani wszystkiego od razu na głowę.

- Stworzyliśmy dla pani specjalny zespół doradczy. Odpowiedzą na wszystkie pytania...

- Wy tłumaczą nasze założenia...

- Zapoznają z naszymi planami...

- Zadbają, żeby nie zwracano pani głowy drobiazgami.

- Pomyśleliśmy że w najbliższym czasie powinna się pani skupić na działalności w zakresie public relations.

- Udzielać wywiadów...

- Zwołać konferencje prasowe...

- Pewnie zechce pani zmienić wystrój wielu pomieszczeń...

- Asystenci przygotowali już listę uroczystości i przyjęć, na których pani i pan Blaine powinniście się pokazać. To ważne.

Uśmiechała się chłodno i wyobrażała sobie, że jadalię dla menedżerów przekształci w żłobek. Jednym z pierwszych gości będzie maleństwo, które nosi w łonie. Oddałaby wiele, żeby Mitch był dziś u jej boku, ale najwcześniej za pół roku będą mogli przekazać SysVal grupie młodych zapaleńców, których wybrali, żeby przeprowadzili ich firmę z wieku dziecięcego w dorosłość. Będzie za nim tęskniła. Gdy dołączy do niej w FBT, ciąża będzie już bardzo zaawansowana. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak dumnie będzie kroczył korytarzami FBT. W końcu będzie pierwszym mężczyzną, który zrobił dziecko prezesowi firmy  
Lekko uniosła głowę, słysząc łagodne dźwięki z radiowęzła.

- Pan Ames proszony do stanowiska ochrony - oznajmił miękki głos. Nie wyobrażała sobie, żeby ten głos mógł ostrzegać przed inwazją Japończyków na parkingu. Wytrzymała jeszcze godzinę, słuchając uprzejmych rad i zawołanych poleceń, zanim podziękowała wszystkim i poszła do gabinetu.

Ledwie zbliżyła się do drzwi, grupa identycznie ubranych asystentów stanęła na baczność. Wszyscy trzymali skórzane teczki i grube notatniki.

- Pani Blaine, pozwoli pani, że zapoznam ją z planami na ten tydzień...

- Pani Blaine, zaplanowaliśmy pierwszą konferencję prasową na... Uniosła rękę. - Nazywam się Faulconer. Mówcie do mnie Susannah. Uprzedzam, że następna osoba, która się odezwie, będzie do końca kariery w FBT myła dzbanki po kawie.

Odwróciła się do nich plecami, weszła do gabinetu i zamknęła drzwi. Nie licząc bukietów kwiatów od znajomych i przyjaciół, gabinet wyglądał właściwie tak samo jak w czasach, gdy urzędował w nim ojciec. Przechadzała się powoli, dotykała dobrze znanych przedmiotów, półek z książkami, krzesel, lampy z mosiądzu. Złoto-niebieskie zasłony w oknach

wyglądały tak samo jak te, które pamiętała z dawnych lat. Ogromne biurko z malachitowym blatem nadal stało pośrodku gabinetu. Brązowy sokół FBT wciąż wisiał na ścianie. Rozpościerał skrzydła, gotów podbić cały świat.

Nagle przytłoczył ją ogrom zadań, które wzięła na swoje barki.

- Boże, tatusiu, co ja tu robię?

Dzisiaj jednak ojciec do niej nie przemówił. Może wiedział, co planuje. Żeby się uspokoić, czytała bileciki przy bukietach. Jeden był od Paige i Yanka. W starym domku gościnnym w Falcon Hill urządzili laboratorium dla Yanka. Yank został wolnym strzelcem, pracował dla SysVal, Sama i dla każdego, komu udało się go zainteresować.

Susannah ciągle bawiło, że człowiek, który do niedawna nie widział świata poza pracą, rzucał wszystko, słysząc kroki Paige. Nie wyobrażała sobie nawet, co będzie, kiedy będą mieli dziecko.

Dzieci Mitcha przysłały tuzin róż. Rozczulało ją to, choć podejrzewała, że ojciec maczał w tym palce. Mimo wszystko to cudowne dzieciaki. Bardzo się cieszyła, że tak spokojnie przyjęły drugie małżeństwo ojca.

Angela przysłała krzykliwy bukiet z goździków, lwich paszczy i stokrotek. Na razie tylko ona wiedziała o dziecku. Natychmiast zdecydowała, że ma ją nazywać Nana.

- Nie babcia - powtarzała, poprawiając czerwoną skózaną kurtkę nabijaną ćwiekami. - Jestem za młoda, żeby być babcią. Ale Nana brzmi fajnie.

Mitch i Susannah wzruszyli się jej słowami. Wiedzieli, że będzie cudowną babcią, bez względu na to, jak się ją będzie nazywało.

Susannah miała łzy w oczach, gdy czytała liścik od byłej teściowej: „Zawsze będziesz moją córką. Rozłóż ich na łopatki, malutka!”



Podeszła do malachitowego biurka i po chwili wahania usiadła w wielkim skórzanym fotelu, w którym dawniej zasiadał jej ojciec. Zobaczyła pulpit do sterowania fontannami. Zapisała, że należy go usunąć. Tego rodzaju władza nigdy jej nie pociągała. Odsunęła notes i zobaczyła małą srebrną paczuszkę. Na pewno nie jest to prezent od Mitcha - podarunek od niego czekał rano przy łóżku. Pod jego baczny wzrokiem rozpakowała tygodniowy zapas czarnej bielizny z logo FBT. Życzył jej szczęścia i całował do utraty tchu. Potem kochali się pod prysznicem. Przez chwilę bawiła się srebrną paczuszką, potem otworzyła załączoną kopertę. Dużymi drukowanymi literami napisano: PAMIĘTAJ, SKĄD PRZYSZŁAŚ. SAM. W paczuszce znajdował się mały talizman - złota miniaturka Blaze. Zacisnęła dłoń na talizmanie i powiedziała sobie, że mądry dyrektor wie, że zmian nie można wprowadzać z dnia na dzień. Usprawnienia należy wprowadzać stopniowo, powoli. Rewolucje denerwują ludzi, budzą niepewność. Mądry dyrektor wie, ile warte są cierpliwość i takt. A potem rozejrzała się po gabinecie i przypomniała sobie, że to tutaj jej ojciec upokorzył Sama.

- Myliłeś się, tatusiu - szepnęła. - Trzeba było go posłuchać.

Z talizmanem w dłoni podeszła do regału z orzecha. W jednej z szafek znalazła mikrofon, który łączył się z radiowęzłem, w sąsiedniej szafce stała wieża, którą postawił tu Cal. Susannah wyjęła z torebki kasetę i włożyła do magnetofonu. Spojrzała na złotą kopię Blaze, uśmiechnęła się do siebie i szepnęła:

- Za dzieciaki w garażu.

- Sięgnęła po mikrofon i podłączyła się do radiowęzła. - Tu Susannah Faulconer. Za godzinę otwieram drzwi szeroko dla każdego, kto zechce ze mną rozmawiać. Ustawcie się w kolejce. Stanowisko jest bez znaczenia. Kto pierwszy, ten lepszy. Nie zamknę drzwi, dopóki nie skończymy. Lepiej przygotujcie się na ostrą jazdę, bo postawię tę firmę na głowie. Zawieszam wszystkie obowiązujące procedury. Odkryjemy na nowo, kim jesteśmy. A kiedy już to zrobimy i jeśli szczęście nam dopisze, zadziwimy świat.

- Włączyła magnetofon.

Ciche korytarze FBT załała muzyka Rolling Stonesów. Susannah rozsiadła się wygodnie, oparła stopy na biurku i czekała na okrzyki oburzenia.

## Od autorki

Ta powieść oparta została na faktach - na wydarzeniach związanych z narodzinami przemysłu komputerowego. Wydarzenia te, podobnie jak ludzie i firmy biorące w nich udział, stanowią kanwę tej książki. Moi bohaterowie nie przypominają jednak żadnych autentycznych postaci, a ich związki z istniejącymi firmami lub osobami są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni.

Ze wszystkich książek i artykułów, z którymi zapoznałam się przed napisaniem tej powieści, najbardziej przydatna okazała się fascynująca praca Stevena Levy'ego *Hackers: Heroes of the Computer Revolution*. Bardzo pomocne były również *Fire in the Valley: The Making of the Personal Computer* Paula Freibergera i Michaela Swaine'a; *Silicon Valley*

*Fever* Everetta M. Rogersa i Judith K. Larsen; *The Ultimate Entrepreneur: The Story of Ken Olsen and Digital Equipment Corporation* Glenna Rifkina i George'a Harrara oraz *Charged Bodies: People, Power and Paradox in Silicon Valley* Thomasa Mahona.

Czytelnicy zainteresowani historią Apple Computer Corporation będą zachwyceni książkami *The Little Kingdom* Michaela Moritza i *Odyssey* Johna Sculleya, którą uważam zresztą za jedną z

najbardziej intrygujących pozycji ostatniej dekady - chociaż została poświęcona biznesowi, czyta się ją jak najlepszą powieść. Chciałabym podziękować wszystkim wymienionym autorom: pobudzali moją wyobraźnię i dostarczyli potrzebnych informacji.

Wiele zawdzięczam także trzem moim konsultantom technicznym: Danowi Winklerowi, Geraldowi Vaughanowi i Billowi Phillipsowi. Za wszelkie błędy wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność. Wszyscy trzej zrobili, co w ich mocy by mi pomóc.

Chciałabym także podziękować wspaniałym ludziom z IBM i Apple Computer Inc., którzy z niezwykłą cierpliwością odpowiadali na moje pytania. Dziękuję także Mary Pershall, Richardowi Phillipsowi, Johnowi Titusowi i DeDe Eschenburg za jakże pomocne wskazówki. I wam z Pocket Books - jesteście najlepsi! Szczególne podziękowania należą się Claire Zion, która wierzyła w tę książkę od początku i nigdy swej wiary nie straciła, nawet gdy ja wątpiłam. Stevenie Axelrod, jesteś prawdziwym błogosławieństwem. Zawsze będę wdzięczna Lindzie Barlow, która namówiła mnie do napisania tej powieści i której uwagi okazały się bezcenne przy pracy nad ostatecznym jej kształtem. Dziękuję, Lyd, że nauczyłaś mnie, co naprawdę znaczy siostra. Życzę wszystkiego najlepszego tobie i Zachowi.

Susan Elizabeth Phillips Naperville, Illinois